

GENE WOLFE

POWRÓT DO WHORLA

Tom III trylogii KSIĘGA KRÓTKIEGO SŁOŃCA



GENE WOLFE

POWRÓT DO „WHORLA”

(RETURN TO WHORL)

KSIĘGA KRÓTKIEGO SŁOŃCA (TOM: III)

Przełożył Wojciech Szypuła



MAG: 2007

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Imiona i nazwy własne występujące w tekście

Do moich gospodarzy,

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

Posłowie

Teri i Alowi z szacunkiem

Imiona i nazwy własne występujące w tekście

Wiele osób i wiele miejsc, które pojawiają się w tej książce, występowało już w „Księżce długiego słońca”, do której odsyłamy Czytelnika. W zamieszczonym tu spisie najważniejsze nazwy i imiona wyróżniono WERSALIKIEM.

AANVAGEN — gospodyni i strażniczka głównego bohatera w DZIURZE.

Pułkownik *Abanja* — kobieta-oficer z Trivigaunte.

Acalypha — żona *Alki*. Razem udali się na ZIELEŃ.

Alga — młoda kobieta, którą *Matka* dała ROGOWI.

Alka — złodziej, który dawniej uczył JEDWABIA sztuki złodziejskiej .

Sierżant *Azijin* — legionista z DZIURY.

BABBIE — oswojony hus, własność *Pleśni*.

Bala — żona *Ściegna*, na ZIELENI.

BEROEP — właściciel domu w DZIURZE, mąż AANVAGEN.

BIAŁOZÓR — magnat z NOWEGO VIRONU.

Calde BIZON — mąż maytere MIĘTY, obecnie calde VIRONU.

Blanko — miasto w głębi łądu.

BŁĘKIT — jedna z dwóch nadających się do zamieszkania planet krążących wokół KRÓTKIEGO SŁOŃCA.

Cijfer — żona kapitana WIJZERA.

Cilinia — najstarsza córka *Tyfona*.

DZIURA — portowa miejscina leżąca na północ od NOWEGO VIRONU.

Echidna — bogini we „WHORLU”, patronka GAONU.

Eco — dawny najemnik, mąż *Mory*.

Flannan — jeden z przyjaciół ŚWINI, lotnik.

GAON — miasto na BŁĘKICIE, w pewnym okresie rządzone przez narratora.

Patere *Gulo* — koadiutor VIRONU.

Sędzia HAMER — jeden z piątki sędziów rządzących DZIURĄ.

Hart Mau — nowy rajan GAONU.

Hierax — bóg śmierci we „WHORLU”.

Incanto — imię, pod jakim znano narratora w *Blanko*.

Inclito — diuk *Blanko*.

JAHLEE — inhuma uwolniona przez narratora.

JASZCZURKA — wyspa leżąca na północ od NOWEGO VIRONU.

Patere JEDWAB — dawny calde VIRONU.

Język — jeden z braci ROGA.

JUGANU — inhumi uwolniony przez narratora.

Kalina — służąca w pałacu calde VIRONU.

Kocur — jeden z kolonistów, którzy towarzyszyli *Alce* i *Acalyphie*.

KOŚCIEC — sklepikarz z VIRONU, ojciec ROGA.

Patere *Kowadełko* — prolokutor VIRONU.

Kozioł — syn KOŚĆCA z drugiego małżeństwa.

Krait — inhumni adoptowany przez ROGA.

Krew — bandyta zabity przez JEDWABIA, przybrany ojciec *Pleśni*.

KRÓTKIE SŁOŃCE — słońce, wokół którego krąży „WHORL”.

Patere Kwezal — inhumni, dawny prolokutor VIRONU.

Kypris — pomniejsza bogini, która zachęciła JEDWABLA. do zjednoczenia się z PAHEM.

Szeregowy *Leeuw* — legionista z DZIURY.

Łasica — wnuk PAPRYKI.

Łój — jeden z braci ROGA.

Maytere MARMUR — starszy chem.

Matka — Zaginiona Bogini.

Merryn — wiedźma.

Mistrz *Miecznik* — stary fechmistrz.

Maytere MIĘTA — przywódczyni buntu, w którym obalono radę rządzącą VIRONEM.

Molpe — bogini wiatrów we „WHORLU”.

Mora — córka diuka *Blanko*.

„*Morska Pokrzywa*” — jol, łódź żaglowa zaopatrzona w grot — maszt i mały bezanmaszt.

Mota — jeden ze zwolenników *Hari Mau*.

Nabeanntan — górskie miasto we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA.

NAT — magnat z DZIURY.

NOWY VIRON — miasto na BŁĘKICIE założone przez kolonistów z VIRONU.

OGAR — sklepikarz z *Zaścianka*.

OLIWIN — chem, córka maytere MARMUR.

Onorifica — służąca w domu diuka *Blanko*.

OREB — gadający nocny kruk.

PAH — ojciec bogów WHORLA DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Pajarocu — widmowe miasto na zachodnim kontynencie BŁĘKITU.

Pajqk — vironski łowca szpiegów.

PAPRYKA — kochanka i kat *Szpika*.

Parel — dziewczka służebna z DZIURY.

Pierwiosnek — jedna z sióstr ROGA.

Pięściak — żołnierz armii VIRONU, ojciec OLIWINU.

Pizmo — przestępca z Vironu, obecnie już nie żyje.

Pleśń — kobieta obdarzona nadprzyrodzonymi mocami, wnuczka maytere MARMUR.

POKRZYWA — żona ROGA, matka RACICY, SKÓRY i *Ściągna*, współautorka *Księgi Długiego Słońca*.

Prymulka — jedna z sióstr ROGA.

QUADRIFONS — bóg drzwi, rozstajów i wielu innych rzeczy.

RACICA — jeden z synów ROGA i POKRZYWY, brat bliźniak SKÓRY.

RAJAN — tytuł przysługujący władcy GAONU.

Rajya mantri — doradca RAJANA GAONU.

Patere REMORA — prolokutor NOWEGO VIRONU.

Roti — jeden ze zwolenników *Hari Mau*.

Rozeta — magnatka z NOWEGO VIRONU.

Rożek — syn KOŚĆCA z drugiego małżeństwa.

RÓG — główny autor *Księgi Długiego Słońca*.

Maytere RÓŻA — starsza sybilla, obecnie już nie żyje.

Generał *Saba* — kobieta-oficer z Trivigaunte.

SĄSIEDZI — dawni mieszkańcy BŁĘKITU, nazywani także *Zaginionym Ludem*.

SKÓRA — jeden z synów ROGA i POKRZYWY, brat bliźniak RACICY.

Słonka — przybrane imię szpiega z Trivigaunte.

STOKROTKA — córka rybaka, uczennica POKRZYWY.

Kapitan *Strik* — kupiec z DZIURY, dawny przyjaciel ROGA.

Strup — magnat z NOWEGO VIRONU.

Szpik — magnat z NOWEGO VIRONU.

Ścięgno — najstarszy z trzech synów ROGA i POKRZYWY.

Świerszcz — syn *Prymulki*.

ŚWINIA — imię, jakie przybrał ślepy wędrowiec.

Mójpan Advocaat TAAL — adwokat wynajęty przez BEROEPA i innych do obrony narratora.

Tartaros — wierny syn PAHA, bóg złodziei i handlu.

Ten-od-owiec — myśliwy.

Thiona — pomniejsza bogini we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Trivigaunte — obce miasto leżące na południe od VIRONU i rządzone przez kobiety.

Calde Tussah — przybrany ojciec JEDWABIA

Tyfon — antyczny tyran, którego osobowość przeobraziła się w PAHA.

Tygrysówka — klientka Czcigodnego Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy.

VADSIG — służąca w domu AANVAGEN.

Mójpan Advocaat *Vent* — adwokat przydzielony narratorowi z urzędu.

Versregal — żona kapitana *Strika*.

VIRON — miasto, w którym toczyła się większość akcji *Księgi Długiego Słońca*.

Szeregowy *Vlug* — legionista z DZIURY.

Wapen — niezadowolony młody człowiek z DZIURY.

„WHORL” — statek kosmiczny, którego ogromne wnętrze jest całym małym światem; pierwotnie — asteroida.

WHORL DŁUGIEGO SŁOŃCA — wnętrze „WHORLA”.

Kapitan WIJZER — kupiec z DZIURY, który skierował ROGA do *Pajarocu*.

Wrotycz — żona OGARA.

Zaciemnienie — zachodni kontynent BŁĘKITU; nazwa nadana mu przez ROGA.

Zaginieni Bogowie — domniemani bogowie SAŚSIADÓW.

Zaginiony Lud — inna nazwa SAŚSIADÓW.

Zajqc — kryminalista pochodzący z VIRONU.

Zamsz — jeden z braci ROGA, sklepikarz z NOWEGO VIRONU.

Zaścianek — wioska podległa VIRONOWI.

ZEWNĘTRZNY — bóg, patron wszystkiego, co znajduje się poza WHORLEM DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Ziek — kupiec z DZIURY.

ZIELEŃ — jedna z nadających się do zamieszkania planet w układzie KRÓTKIEGO SŁOŃCA.

Do moich gospodarzy,

Śpię w waszym domu. To ja jestem tą młodą kobietą, która całe dni i noce spędza w łóżku. Kobieta, która nie budząc się, ma stanąć przed waszymi sędziami.

Która ma zostać osądzona we śnie.

I we śnie skazana na obsunięcie się w śmierć.

Zastanawiacie się czasem, czy w ogóle oddycham? Kładziecie mi piórko na wargach? Na pewno. Czuję waszą obecność, kiedy nade mną stajeście.

Tylko mój ojciec może mnie obudzić.

Zapytajcie Aanvagen.

Niech usiądzie przy mnie na fotelu i zaśnie. Wtedy się obudzę.

Zapytajcie Aanvagen.

Niech weźmie mnie za rękę. Nazywajcie go Rogiem, gdyż dźwięk rogu mnie obudzi. Pozwólcie mu przyjść do mnie, a zobaczycie, że się ocknę.

Zapytajcie Aanvagen.

Jahlee wasz śpiący gość

1

Splamieni krwią

Podróżujemy po omacku — i najwyższy czas się do tego przyznać. Nie ukrywam więc, że tak właśnie jest, i zarazem przyznaję, że do tej pory szczęście nam sprzyjało. Nie podobna jednak kontynuować naszej wędrówki w ten sposób, chyba że zaginieni bogowie Błękitu są nam o wiele bardziej przychylni niż innym swoim podopiecznym.

Tę księgę, trzecią i z pewnością ostatnią, zacznę od tego stwierdzenia — oraz od przedstawienia ci się, czytelniku. Najpierw jednak wypada wspomnieć, że bandyci nie żyją, a ja, przeglądając ich łupy, znalazłem ten oto papier, całą belę, którą teraz śpieszę wykorzystać.

Jego myśli nie miały nic wspólnego z nieżyjącą kobietą, jej trumną ani gorącymi promieniami słońca wpadającymi przez otwarte drzwi do ubogiej izdebki. Dał się słyszeć cichy, rytmiczny stukot, jakby padającego deszczu. Czując wilgotne bryźnięcia na kostkach, spojrział w dół. Krew skapywała mu z palców rąk i zbierała się w kałużę pod stopami.

Syn go opuścił.

Był ranny. (Krew z pewnością pochodziła z tej rany, bo skąd?).

Znajdował się w ambulatorium lądownika, ale nie leżał na marach, lecz stał przy nich, a krew ściekała mu z rąk na

sfatygowane deski podłogi. Mary najwyraźniej przeznaczono dla kogoś innego — a tym kimś innym była kobieta w średnim wieku. Martwa.

Na podłodze leżał nóż ze zniszczonym ostrzem i pękniętą drewnianą rękojeścią. Odruchowo schylił się po niego, ale odskoczył natychmiast, jak przed szykującym się do ataku wężem. Jakby usłyszał rozbrzmiewający w pustce ostrzegawczy krzyk, bardziej natarczywy niż żal, niż myśl o wodzie, pożywieniu i uzdrowieniu.

Zostawił nóż i na drżących nogach wyszedł. Pochłonął go najgłębszy nocny mrok.

Jest nas czworo. Mówiąc tak, zaliczam do naszej grupy Oreba, nie uwzględniam zaś naszych czterech koni i białego muła Jahlee. Oreb to mój ptak. Często jest dla nas utrapieniem, tak jak w tej chwili, kiedy usiłuje wyszarpnąć mi z ręki jedno z jego własnych starych piór.

— Daj spokój, Orebie — tłumaczę mu. — Chcę popisać, właśnie zacząłem nową książkę i nie będę się z tobą bawił, jeśli będziesz niegrzeczny.

— Ptak dobry! — mówi o sobie.

Wspomniałem już o Skórze? Przebiegam wzrokiem skreślone na tym arkuszu wersy i widzę, że nie. Skóra jest czwartą osobą w naszej grupie — i moim synem, jednym z trzech. Średniego wzrostu, dość przystojny, krzepki, muskularny, niedługo skończy szesnaście lat. Nosi barani kozuch, krótszy niż mój, baranią czapkę i buty; buty solidnie natłuścił, znalazłszy garniec baraniego łoju. Bandydzi z pewnością używali go w tym samym celu.

Powinienem nadmienić, że bandyci nie żyją. Wszyscy, co do jednego. Chciałbym sprawić im w miarę przyzwoity pogrzeb,

ale ziemia jest zamarznięta. Jahlee radzi spalić ciała, lecz do spalenia zwłok dziewięciu mężczyzn trzeba by zużyć mnóstwo drewna.

Musiałem być obecny przy tym, jak patere Jedwab, patere Kwezal i maytere Marmur palili maytere Różę. Gdyby ktoś zapytał mnie o to wczoraj, odparłbym przecząco i wyjaśnił, że w tym czasie razem z Pokrzywą walczyliśmy pod dowództwem maytere Mięty, której Echidna nakazała zniszczyć Alambrerę. Dziś jednak potrafię bez trudu przywołać z pamięci wyrazisty obraz czaszki widocznej w płomieniach. Niewykluczone, że po prostu mylą mi się dwie kremacje.

W każdym razie jestem pewien, że stos pogrzebowy maytere Róży zbudowano z dużej ilości suchego cedrowego drewna. Tutaj zaś mielibyśmy do dyspozycji drewno albo świeże, albo całe zawilgocone od śniegu. Mnie i Skórze, gdybyśmy harowali jak woły, zgromadzenie odpowiedniej ilości opału zajęłoby pewnie z tydzień. (W pojedynkę naciąłbym tyle drewna w pół godziny, używając azotha Hiacynta — ale jakże nierozsądne byłoby zdradzenie się teraz z tym, że go mam!).

Coś jeszcze na temat Skóry? Sporo tego jest, ale nie wszystko chcę tu zapisywać. Ma brata bliźniaka, Racicę. Są podobni jak dwie krople wody. Racica przebywa na południu — tak przynajmniej uważa Skóra. Kusiło nas, żeby skrócić na południe, obejść mokradła i go poszukać. Nadłożylibyśmy drogi, lecz teraz żałuję, że tak nie zrobiliśmy.

Piszę o tym wszystkim, na wypadek gdyby dwie pierwsze księgi, które wiozę w jukach przy siodle, zaginęły lub uległy zniszczeniu, czego nie można przecież wykluczyć. Jeśli jednak trafią w twoje ręce, czytelniku, powiedzą ci znacznie więcej o mnie i moich synach niż ja sam.

Co jeszcze należałoby dodać? Jako towarzysz podróży Skóra ma skłonność do pesymizmu i popadania w melancholię. (Całkiem możliwe, że on to samo powiedziałyby o mnie). Mówi mało, a kiedy już się odezwie, rzadko powie coś interesującego. Jest jednak odważny i zaradny, a uśmiech ma tak promienny, że w jego blasku mógłbym ogrzać zmarznięte ręce.

Widzę, że napomknąłem już o Orebie, pozwolę więc sobie teraz do niego wrócić. Jest mniejszy od kury, za to skrzydła ma znacznie bardziej rozłożyste. Jego pióra lśnią. Głowę, dziób i łapy ma czerwone. Co mnie niezwykle drażni, lubi porzucać mnie zniechacka — znika wtedy na godzinę, na cały dzień, albo (jak raz mu się zdarzyło) prawie na rok. Złapałem go we whorlu długiego słońca, zanim Hari Mau pojmał mnie i wsadził do swojego lądownika.

Właściwie uczciwiej było stwierdzić, że to Oreb mnie złapał. Przygarnął mnie jako swojego opiekuna i — czasami — zausznika. Gdyby nie to, że karmię go częściej niż on mnie, trudno byłoby stwierdzić, który z nas dwóch posiadał prawdziwą mądrość.

Najpierw pomyślał, że oślepl; potem — że tak wygląda śmierć. Nie udało mu się dotrzeć do Złotej Ścieżki i teraz będzie przez wieki błąkał się w ciemnościach, dręczony przez diabły.

Diabły gorsze od inhumich? Gorsze od ludzi? Roześmiał się w głos. Obłąd. Szaleństwo. Szaleństwo to śmierć, tak jak śmierć to szaleństwo. A szaleństwo i śmierć to ślepotą.

Dotknął palcami szorstkiej kory drzewa i po raz drugi stwierdził, że są śliskie od krwi, która spływała z rozciętej skóry na przedramionach i nadgarstkach. Sięgnął do nieznanym sobie kieszeni. Znalazł paciorki, okulary, dwie karty i chusteczkę złożoną w sposób, który dawał jeszcze cień nadziei,

że uchwalała się czysta. Nadgryzł skraj, przedarł ją na dwoje i opatrzył najgłębsze rany. Pracował bez pośpiechu, starannie, zaciskając niezgrabne węzły wolną ręką i zębami.

W oddali zamajaczyło słabe światełko. Wstał, zmrużył oczy i spojrzał ponownie. Tak, światło. Blady, złotawy punkcik.

Kiedy duch nieżyjącego dziecka Astra zaczął nawiedzać jej dom, Remora wyłożył wszędzie wodę święconą, pozapalał świece i długimi czytaniem z Pisma usiłował wypędzić ducha do Krótkiego Słońca.

Tak powiadano w mieście. Kiedy o to zapytał, Remora wyjaśnił, że duchy zazwyczaj nie zdają sobie sprawy z własnej śmierci.

— To chyba... aaa... hmm... zrozumiałe? Niewinna pomyłka, hę? Nigdy wcześniej nie doświadczyły śmierci, prawda? My... aaa... ludzie religijni, wiemy. Zwykle. Wykształceni, tak? Spodziewamy się. Nie ma duchów... hmm... augurów, hę? Ani... eee... sybilli. Znaczą, zdarzają się, ale... hmm... rzadko. Bardzo rzadko.

Remora szedł obok i mówił mu prosto do ucha.

— My to... eee... przewidujemy. Niektórzy nawet modlą się o przyspieszenie śmierci, tak bardzo pragną znaleźć się... aaa... w błogosławionej obecności Dziewięciorga. Ale... hmm...

Niewierzący.

— Sceptycy widzą to inaczej. Brak dowodów, tak? Rozumiesz, Rogu? Snują teorie o... eee... rozplątaniu się? Mówią, że czuły uścisk Hieraxa Wielkiego to... aaa... sen zwyczajny. Tylko bez marzeń sennych. Tymczasem, hmm, hmm, nie ma czegoś takiego.

Tak, patere.

— Oni się z tym... hmm... nie godzą. Bo nie... eee... nie zawsze pamiętają... aaa... sny. Znasz boginię... hmm... snu, prawda? Morphię? Aspekt Thelxiepei. To ona, w swej... eee... mądrości, tak? Sprawiała, że... hmm... śnimy. Ze podlegamy, prawda? Tak, podlegamy ułudom...

Nastąpił na coś okrągłego i twardego. Wziął to do ręki. Sucha, martwa kora ustępowała pod naciskiem wścibskich palców. Złamana gałąź.

— Rozumiesz?

Nie, patere, pomyślał. Nie. Nie rozumiem.

— We śnie zawsze... hmm... śnimy, abyśmy wiedzieli, że sen nie jest końcem. My, którzy niezliczone... aaa... godziny poświęcamy modlitwie, tak? Jesteśmy, znaczy, przygotowani. Rozpoznamy Hieraxa, kiedy po nas przychodzi, prawda? Jesteś... aaa... hmm, hmm... człowiekiem morza? Żeglarzem?

Mniejsze odrosty były słabe i kruche, ale sama gałąź wyglądała solidnie.

— Sterujesz podług gwiazd, he? Rozumiesz, do czego zmierzam, Rogu? Podług gwiazd... eee... o północy, a wedle słońca... hmm... znaczy, za dnia. Właśnie. Ja nie. Nie nadaję się na morze, tak? Ale tak słyszałem: słońce i, znaczy, gwiazdy.

Machnął kijem przed sobą. Po lewej natrafił w drzewo, prawdopodobnie cały czas to samo, po prawej zaś natknął się na coś gąbczastego — zapewne jakiś krzew. Punkcik światła wzywał go jak ognisko z wyrzuconego na brzeg drewna, jakie nocami na plażach rozpalają żony rybaków.

— Punkty orientacyjne. One są... aaa... najważniejsze, tak? Rozmawialiśmy o wierze. O godzinach spędzonych na... hmm... modlitwie. Niezbyt to... eee... naturalne u dziecka, prawda? Zgodzisz się? Biegają. Krzyczą. Bawią się. Zupełnie normalne.

Nie mogą wysiedzieć w manteionie. Widziałem je dziesiątki razy. Ty z pewnością też.

Owszem, patere. Naturalnie.

Łatwiej mu się szło, odkąd podpierał się kijem. Powtarzał sobie, że podąży w stronę Złotej Ścieżki, ku rzeczywistości duchowej, której materialne Długie Słońce jest zaledwie świetlistym cieniem. Stamtąd uda się do Centralnego Procesora (już tam zresztą był), gdzie spotka bogów.

— Dlatego dziecko... aaa... Ignie, tak? Szuka punktów orientacyjnych, miejsc rodzinnych i znajomych.

Witaj, Molpe. Nazywam się Róg, Molpe Cudowna, i prawdę mówiąc, nigdy szczególnie cię nie czciłem, Molpe. Przepraszam cię teraz, chociaż chyba już na to za późno. Byłaś boginią Piżma. Piżmo kochał ptaki, uwielbiał sokoły, orły i inne, ja zaś go nie lubiłem. A na pewno nie podobało mi się to, co inni o nim mówili.

— Trzymają się blisko brzegu, tak? Ci, którzy... aaa... odeszli? Dzieci, które przedwcześnie... eee... osiągnęły kres istnienia, tak? Znajomy dom, hę? Pokój. Zabawki? Tak, nawet zabawki. My... hmm, hmm... gaworzemy, że odeszły, tak? Sam tak mówiłem. Jak my wszyscy, czyż nie? Może chcą je odszukać, jak zgubioną lalkę. Smutne to. Tragiczne. Zupełnie co innego niż egzorcyzmy. Calde Jedwab, prawda? On... aaa... egzorcyzmował. Napisał... hmm... raport. W starym domu przy ulicy Muzyki. Widziałem go. Raport, znaczy.

Byłaś także boginią muzyki, Molpe. Powinienem był o tym pamiętać. Jakaś wesoła piosenka podniosłaby mnie na duchu. Zresztą śpiewałem, Molpe, naprawdę, chociaż nie myślałem wtedy o tobie. Och, Molpe! Molpe najdroższa, bogini latawców i dzieciństwa, czy to się nie liczy?

Punkcik światła przybrał kształt prostokąta. Wciąż znajdował się bardzo daleko i był mikroskopijny, ale bez wątplenia prostokątny. Kto z bogów był patronem światła? Molpe? Molpe opiekowała się jesiennymi liśćmi, zabłąkanymi skrawkami papieru, dzikim ptactwem, chmurami i wszystkim co lekkie i ulotne, więc może także i światłem?

— Pah, tak? Bóstwo solarne... hmm... bóg słońca, znaczy. Idź do światła, dziecko, hę? Steruj podług słońca.

A co z gwiazdami, patere? Czy Pah był także bogiem gwiazd? Nie mógł im patronować, bo przecież płonęły poza granicami jego whorla.

Później śpiewałem nie tylko w manteionie, Molpe — ale jako chłopiec właśnie tam śpiewałem w każdy scyldag:

*Molpe Cudowną wiatr wysoki niesie,
Domena jej kończy się w niebiesiech.
Zatańcz dla nas, Molpe!
W koronach drzew śpiewaj,
Ześlij nam swe tchnienie słodkie, chłodne...*

Hymn ścichł i zgasł, gdy umilkł jego łamiący się, samotny głos. Tartaros był bogiem nocy i mroku; Tartaros, przyjaciel Alki, z którym szli, trzymając się za ręce. Jego dłoń nie ścisnęła ręki boga — miał tylko kij, który przed chwilą podniósł z ziemi. Kto był bogiem kijów? Bogiem drzew i drewna, bogiem — lub boginią — stolarzy i cieśli? Jeśli miały swojego patrona, w tej chwili jego imię nie przychodziło mu do głowy.

Dym.

Przystanął i zaczął węszyć. Palone drewno. Zapach był ledwie uchwytny, ale nie do pomylenia.

Ależ było gorąco!

Kiedy osiedlili się na Jaszczurce, próbował solić i wędzić ryby. Patrzył później, jak ryby się psują, aż koniec końców, po licznych upokorzeniach, udał się do rybaków i poprosił, aby zdradzili mu swoje sekrety. Zapach dymu zawsze przypominał mu o tamtych klęskach, o jedzeniu ryb, których nawet wierna Pokrzywa nie chciała wziąć do ust i po których przez pół dnia ciężko chorował. To wysuszenie, a nie dym (jak wtedy sądził), konserwowało rybę i powstrzymywało jej rozkład.

— Tartarosie! Słyszysz mnie, Tartarosie Mroczny? Wysłuchaj mnie!

Pisząc o Alce, przedstawiał Tartarosa jako boga, który bezzwłocznie reaguje na takie wezwania. Ale to nie była książka, to nie była opowieść i żadna odpowiedź nie nadeszła.

To, po czym stąpał i co przypominało mu trawę, było zapewne łanem pszenicy. Albo innego zboża. Najwidoczniej w mrokach otaczających Złotą Ścieżkę uprawiano pszenicę — w ciemności, której materialną namiastką był cień klosza, chłodzący nie tylko cały whorl, ale nawet tchnienie Molpe.

Po śmierci Krwi Zajęc dołączył do generał Mięty. Opowiedział im o orle i o modlitwie starego wytwórcy latawców, który prosił Molpe o wiatr. I wiatr powiał, jak twierdził. Wraz z wiatrem przyszła długo wyczekiwana zima i śnieg orzeźwił pola, wypalone dotąd i suche jak martwe ryby zawieszane nad ogniem.

Jakże mocno wiał wiatr! Jak przenikliwy i zimny był, kiedy zeszli do tuneli!

Nie to co na Zieleni. Na Zieleni było zupełnie inaczej.

Bomba wybuchła i Hiacynt przestraszyła się, że ich koń padł. Hiacynt — przemarznięta, trochę brudna, ale i tak prześliczna w przyćmionym świetle i śnieżycy, aż trudno było na nią patrzeć. Pokrzywa była pogodna i odważna, Hiacynt zaś piękna, zawsze, nawet kiedy ledwie trzymała się na nogach albo klęła jak szewc. Nienawidziła mężczyzn, wszystkich, jako zbiorowości — za to, co jej mówili i co musiała robić za pieniądze, za upokorzenia gorsze niż zepsute ryby.

Kochał Pokrzywę — Pokrzywę, którą własna matka znienawidziła od chwili poczęcia, dając temu wyraz w wyborze imienia — i z całego serca zazdrościł patere Jedwabiowi Hiacynta, ślicznej i dzikiej.

Potknął się i upadł. Wstał. Nie miał siły kląć. Spojrzał w górę, ale złocisty prostokąt gdzieś zniknął. Nagle poczuł, że jest zmęczony. Słaby, strudzony, w głowie mu się kręciło... I po co to wszystko? Z westchnieniem osunął się na kolana, opadł na ziemię i wyciągnął jak długi w miękkim, na wpół wyrosłym zbożu.

Gdyby Hiacynt należała do niego, nie udałby się na Błękit, nie poleciałby na Zielen, nie umarłby na Zieleni...

Pierwszy raz przyznał sam przed sobą, że nie żyje, że naprawdę zmarł w ambulatorium wykradzionego lądownika, który desperacko usiłował naprawić. Wrócił do whorla, do „Whorla”, w którym się urodził, a to jest jedyne życie po śmierci, jakiego dane mu będzie zaznać.

Gdyby był w jakiś sposób posiadał Hiacynta, wciąż mieszkałby we whorlu długiego słońca. Tymczasem nie posiadał jej, a i tak się tu znalazł, tyle że bez Długiego Słońca.

Powieki same mu opadły; widział zresztą równie dobrze jak przed zamknięciem oczu. Miękki, zimny śnieg z przeszłości

wirował w powietrzu i wypełniał mu umysł, jakby natrzęsając się z suchej, upalnej, czarnej nocy.

Usłyszał nad głową trzepot skrzydeł i chrapliwy skrzek:

— Jedwab? Jedwab? Jedwab?

Nie zareagował.

Trzecią osobą w naszej grupie jest moja córka Jahlee. Średniego wzrostu, rudowłosa, atrakcyjna, ma gładką twarz o kształcie migdała i psotny uśmiezek, któremu mało kto umie się oprzeć. Biały muł jest jej własnością. Pod długim, obszernym futrem ze śnieżnej pantery Jahlee nosi grubą wełnianą suknię. Ma też wysokie buty z cielęcej skóry. Mimo to zimno otępia ją i usypia. Obawia się — ja zresztą również — że może zamarznąć na śmierć, tak jak moja nieszczęsna przyjaciółka Fava.

Jahlee jest niezwykle utalentowana, lecz nierozsądnie było zdradzać tu prawdziwą naturę jej uzdolnień. Gdy tylko bandyci sobie poszli, wyśliznęła się z więzów. Z łatwością uwalnia się z pęt. O dziwo, duży biały muł jakoś ją toleruje, chociaż jest z natury nieco strachliwy. Konie płoszą się, gdy Jahlee znajdzie się zbyt blisko nich... No, nie wiem, czy już za dużo nie napisałem.

O mnie nie ma co opowiadać. Jestem Róg, ojciec Skóry i Jahlee. Jestem chudy i bardzo wysoki. Mam nijaką, trochę kościstą twarz i siwe włosy, długie i gęste jak u kobiety. Noszę buty z baraniej skóry, tak jak mój syn, i długi kozuch narzucony na starą czarną togę, w której wyjechałem z Gaonu.

Teraz, czytelniku, znasz już całą naszą czwórkę. Muszę trochę odpocząć.

Mieliśmy nadzieję, że dziś dotrzemy na wybrzeże, ale wciąż go nie widać. Pytałem Skórę, czy od brzegu morza do Nowego

Vironu jest kilka dni jazdy, on zaś przytaknął i stwierdził, że będzie nas wtedy czekał co najmniej tydzień drogi. Z pewnością ma rację, wolałbym jednak usłyszeć bardziej optymistyczną odpowiedź. Skoro znajdujemy się na północ od miasta, po drodze do niego miniemy Jaszczurkę — miniemy ją, lecz nie mając łodzi, nie będziemy mogli na nią popłynąć. Dlatego też mimo że ogromnie stęskniłem się za Pokrzywą (i Racicą), papiernią i domem, postanowiłem najpierw udać się do Nowego Vironu, gdzie sprzedamy konie i część łupu, by za te pieniądze nabyć łódź.

Skóra i Jahlee śpią. Trochę mnie to niepokoi, ponieważ Jahlee zwykle mało sypia. Teraz siedzi przy ogniu, na dwóch kocach, przykryta dalszymi trzema i futrem. Jej twarz...

Wysłałem Oreba na poszukiwanie morza. Nie ma wprawy w szacowaniu odległości, ocenianiu trudności przepraw rzecznych, nachylenia stromizn i tak dalej, ale i tak przyniesie bezcenne nowiny. Taką mam nadzieję. Gdyby było cieplej, posłałbym na zwiady Jahlee. Z lepszym skutkiem.

Musimy jutro znaleźć kogoś, kto sprzeda nam trochę jedzenia. Gdyby Jahlee była równie głodna jak ja w tej chwili, bałbym się zasnąć.

Skóra mnie obudził, żeby opowiedzieć swój sen. Pomyślał, że to może być coś ważnego. Niewykluczone, że ma rację. Teraz znów śpi, ja jednak do świtu będę czuwał. Zresztą gdyby nie chmury, słońce dawno by się pokazało.

— To było takie dziwne uczucie, ojcze. Nie wiedziałem, że śnię, dopóki sen się nie skończył. A był strasznie długi.

Pokiwałem głową.

— Mówi się, że kiedy masz świadomość tego, że śnisz, na dobrą sprawę wcale nie śpisz.

— Ja spałem, ale ledwie sen się skończył, natychmiast się obudziłem. Dosłownie przed chwilą. Może nie powinienem był szturchać cię w ramię.

— Za późno na takie refleksje, nie uważasz? — Przeciągnąłem się i ziewnąłem. Wtedy jeszcze wydawało mi się, że za chwilę bez trudu ponownie zasnę.

— Podać ci coś? Może chcesz się napić? Zostało nam sporo wina.

Pokręciłem głową i zaproponowałem, żeby opowiedział mi swój sen, skoro z takim zamiarem mnie obudził.

— Rzecz działa się w takim dużym, bardzo dużym domu. Może w pałacu. Nigdy nie widziałem prawdziwego pałacu, ale pamiętam, jak opowiadaliście z matką o pałacu calde. Tylko że ten nie był taki wspaniały, przypominał raczej ogromną, przeogromną kuchnię z mnóstwem pokojów. Wiem, to głupio brzmi...

— Powiedzmy: brzmi jak sen.

— Były tam korytarze, spiżarnie i inne pomieszczenia, stoły, krzesła i mnóstwo takich dużych kredensów z jakiegoś jasnego drewna, gładkich i wywoskowanych, ale nie ozdobnych, no wiesz, bez rzeźbień, bez malunków... Niektóre krzesła były przewrócone. Rzadko śnią mi się zapachy, ale tu cały czas czułem aromat jedzenia — piekącego się chleba i mięsa gotowanego z mnóstwem pieprzu.

— Bo jesteś głodny — wyjaśniłem. — Ludzie, którzy głodni kładą się spać, często śnią o jedzeniu.

— Żadnego jedzenia nie widziałem, ale jego woń cały czas unosiła się w powietrzu. A chodziłem po całym... Nie wiem, jak to wytłumaczyć.

— W takim razie nie próbuj.

— Byłem młodszy. Nie wiem dokładnie, ile miałem lat, ale wiedziałem w tym śnie, że jestem młodszy.

— Chciałbym, żeby przyśnił mi się taki sen.

— Bałem się, że spotkam Racicę. Mógł się na mnie zezłościć za to, że jestem młodszy, a on byłby przecież większy i silniejszy ode mnie. Długo tak chodziłem. Wydawało mi się, że widzę, jak do pokojów wchodzi wysocy mężczyźni o więcej niż dwóch nogach, ale sam nie mogłem otworzyć żadnych drzwi. Czasem stali pod ścianami, tak że nie mogłem im się dobrze przyjrzeć, bo zasłaniały ich szafki albo kredensy, a ja bałem się podejść i obejrzeć ich z bliska. Znowu zakreślasz kółka palcem na policzku, ojczu. Dlaczego?

— Zapewne bez powodu. Udało ci się im w końcu przyjrzeć?

Pokręcił głową.

— Mieli długie nosy?

— Chyba tak.

— I duże uszy?

— Nie wiem. Nie widziałem wyraźnie ich twarzy. Ale wiem, że ich nie znałem. Chyba.

— Rozumiem. Spojrzałeś może wtedy na swoje ręce, Skóro?

— Na ręce? Raczej nie.

— Rzadko to robimy. W każdym razie ja rzadko oglądam swoje dłonie; Jahlee z pewnością robi to znacznie częściej. Kiedy walczyliśmy z bandytami, kosturem zatłukłem człowieka na śmierć.

Skinął głową.

— Pamiętam.

— Myślałem, że nie zauważyłeś. Strzelałeś.

— Nie miałeś wyboru, ojczu.

— Miałem. Wcale nie chciałem go zabić. Sęk w tym, że uderzyłem go, i to chyba kilka razy, aż upadł, ale nie wypuścił noża z ręki. I kiedy zaczął wstawać, przestraszyłem się... Okrutnie się bałem, Rogu...

— Jestem Skóra, ojcze.

Kiedy o tym teraz piszę, rumienię się ze wstydu, ale wtedy tylko przetarłem oczy i wbiłem w niego wzrok. Zupełnie nie rozumiałem, jak mogłem się tak głupio pomylić. Oreb wybawił mnie z opresji. Wylądował na ziemi — w takim miejscu, żeby ognisko dzieliło go od Jahlee.

— Duża woda — zaskrzeczał z dumą. — Ptak znaleźć.

— Daleko jeszcze? — zainteresował się Skóra.

— Ptak znaleźć! — powtórzył Oreb.

— To znaczy, że dla nas daleko, ale dla niego blisko — wyjaśniłem. — Orebie, czy w miejscu, gdzie ląd przytyka do morza, znajduje się miasto?

— Duże miasto!

— Rozumiem. Są jakieś inne po drodze? Bliżej? Na przykład takie, żebyśmy jutro do niego dotarli?

— Nie ma miasta.

Pokiwałem głową.

— Dziękuję ci, Orebie. Bardzo nam pomogłeś.

Kruk odleciał.

— Nadal boi się Jahlee — powiedziałem. — Wątpię, by miał ku temu powody, ale fakt jest faktem.

— Ja trochę też — przyznał Skóra. — Na Zieleni ani w tym drugim miejscu bym się nie bał, ale tu tak.

— Była w twoim śnie?

Pokręcił głową.

— A ktoś jeszcze w ogóle tam był, poza tobą i tymi wysokimi mężczyznami?

— Dwie dziewczynki. Jedna miała na imię Mora. A ta druga... Pamiętasz Morę z czasów, kiedy mieszkaliśmy na farmie, która rzekomo należała do Jahlee? Powiedziałeś wtedy, że ją znasz. Ona też mówiła o tobie w taki sposób, jakbyście się wcześniej spotkali.

— Naturalnie.

— Więc ta druga dziewczynka bardzo ją przypominała. Też miała ciemne włosy i była taka ładniutka. I miała tu coś na policzku.

Skóra dotknął swojej twarzy.

— Rozumiem.

— Bawiły się lalkami. No wiesz, jak to dziewczynki.

— Oczywiście.

— Miały mnóstwo lalek, maleńkich naczyń, mały stół i krzeselka. Ta ciemnowłosa chciała, żebym się z nimi pobawił. Zgodziłem się, ale nie chciałem się bawić lalkami, na co ta druga zaproponowała chowanego. Znów się zgodziłem, a dziewczynki stwierdziły, że lalki mogą się bawić razem z nami: ten, kto kryje, może też szukać lalek.

— To prawda.

— Zasłoniłem oczy, jak to przy zabawie w chowanego, i policzyłem do stu. Pytałeś, czy widziałem swoje ręce.

— No właśnie. Spojrzałeś na nie?

— Wcześniej tylko o tym myślałem, a w tej chwili rzeczywiście spojrzałem. Pamiętam, jak po liczeniu odjąłem dłonie od oczu. Wydały mi się młodsze, tak jak całe moje ciało.

— Miałeś na palcu pierścień? Albo inną biżuterię?

— Nie.

— Pamiętasz pierścień, który znalazłem w lądowniku?

— Oczywiście. Ale dałeś go Ściągnu, nie mnie. Nie mogłem go mieć.

— Byłem po prostu ciekaw, czy pamiętasz, jak wyglądał.

— Był z białego złota i miał wprawiony biały kamień.

Pokiwałem głową, spojrzałem na swoje ręce i wziąłem do ręki kij, który położyłem przy posłaniu, układając się do snu.

— Mówiłem ci o tym, jak zabiłem nim człowieka. Nie miałem takiego zamiaru, ale bałem się, że on nas zabije. Myślałem o tym, że mógłby zabić ciebie albo Jahlee, i biłem go z całej siły. Kiedy walka dobiegła końca, spojrzałem na niego. Nie żył.

— To nie twoja wina, ojciec.

— Moja, naturalnie, ale i jego. To była — i jest — moja wina, że go zabiłem. Jego wina zaś polega na tym, że dał mi dobry powód, abym się wystraszył, czym sprowokował mnie do zabicia go. Ale nawet gdyby udało się dowieść, że żaden z nas nie jest winien tej śmierci, nie przywróciłoby go to do życia.

— Nie.

— Po walce zauważyłem, że mam krew na rękach. Jego krew. Umyłem ręce i wtedy się przestraszyłem, że zgubiłem pierścień, który dostałem od Algi.

— Ptak powie — zaproponował Oreb, siedzący gdzieś na gałęzi nieopodal ogniska. — Powie dziewczeczce.

Odszukałem go wzrokiem.

— O co ci chodzi?

— Powie dziewczeczce. Jedwab idzie. Idzie woda!

Zerwał się do lotu i zaraz zniknął na tle ciemnego nieba.

— Może powie matce, że wracamy do domu — zasugerował Skóra.

— Być może. Mogę zapytać, jak skończył się twój sen?

— Przerwałem na tym, że kryłem. Potem długo, bardzo długo szukałem. Czasem widywałem tych wysokich mężczyzn, ale zawsze stali obok jakichś wysokich przedmiotów: raz była to szafa, innym razem zegar albo jeszcze coś innego. Ale ja wiedziałem, że oni się z nami nie bawią i w ogóle nie powinienem ich widzieć, więc udawałem, że ich tam nie ma i szukałem dalej.

— I co?

— Długo to trwało, ale w końcu znalazłem. Otworzyłem duży kredens i w środku była lalka. — Skóra umilkł, a jego twarz przybrała zatroskany wyraz.

— Nie ucieszyłeś się?

— Ucieszyłem. Chociaż to była tylko lalka. Wyglądała jak dziecko, z buzią trochę podobną do tej na twoim kosturze, tylko że dziecinną i pomalowaną na różowo. Musiałaby być młodsza niż dziecko Bali. Trudno nawet było określić, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

Odparłem, że to chyba bez różnicy.

— Pewnie tak. Wziąłem ją na ręce jak prawdziwe dziecko i chciałem wrócić do bazy. Tam, gdzie liczyłem.

— Rozumiem. Trafiłeś z powrotem?

— Nie. Szukałem i szukałem, ale ich nigdzie nie było, no wiesz, tego malutkiego stołu i krzesełek dla lalek. W końcu posadziłem lalkę w kącie i powiedziałem jej, że kryje. Wy tłumaczyłem, jak ma zasłonić sobie oczy, policzyć do stu, a potem szukać ludzi. Zostawiłem ją i pobiegłem się schować. Była tam taka ogromna, długa sofa z mnóstwem nóg, nie wiem, miała ich chyba z osiem albo dziesięć, i pod nią się wczółgałem.

— Mów dalej.

— Okazało się, że pod sofą schowała się już wcześniej jakaś dziewczynka. W pierwszej chwili pomyślałem, że to ta z jasnymi włosami, ale nie.

Przyznałem, że bardzo mnie to ucieszyło.

— Więc pomyślałem, że może to Mora, ale to nie była też ona.

— A kto?

Skóra zmieszał się i nie chciał mi spojrzeć w oczy.

— Nie wiem.

— I to był koniec snu?

— Prawie. Nie rozmawialiśmy. Leżeliśmy tylko przyciśnięci do siebie i skuleni. Baliśmy się.

— Czego? Przecież zwyczajnie bawiliście się w chowanego.

— Chyba tego, że ktoś nas znajdzie. Ona była z tyłu, bliżej ściany. Chciałem jej powiedzieć, że jeśli lalka mnie zobaczy, wyjdę i będę krył, a o niej nikt się nie dowie, ale nic nie powiedziałem. Niedługo potem usłyszeliśmy kroki lalki, która szła powoli i zaglądała do wszystkich szafek i kredensów. Wtedy się obudziłem i obudziłem ciebie.

— Żeby zapytać, co ten sen oznaczał.

Skinął głową.

— No właśnie.

— Coś przede mną ukrywasz. Kim była dziewczynka pod sofą?

— Nie wiem.

— Powiedziałeś mi wszystko, co zapamiętałeś na jej temat?

— Co ten sen oznacza, ojcze? Wiesz?

— Mógłbym zgadywać, nie mam jednak takiego zamiaru, dopóki nie powiesz mi wszystkiego, co pamiętasz. Co ty na to?

— Zastanowię się — odparł i położył się przy ogniu.

Po lewej miał morze, po prawej czarne, skaliste, wilgotne urwisko zwieńczone ciemnymi, wysokimi drzewami. Czasami musiał się wspinać na zwalone z klifu głazy i przedzierać przez zwalone pnie. Kiedy indziej znów szedł kamienistą plażą, a fale omywały mu buty. Pokonał już szmat drogi i przeczuwał, że czeka go jeszcze długa wędrówka, choć nie wiedział ani jak długa, ani dokąd właściwie zmierza. Samotny ptak zataczał kręgi nad morzem. Za którymś razem krzyknął chrapliwie. Ten krzyk obudził w nim jakieś wspomnienie, którego nie potrafił nazwać.

W końcu zobaczył dom, mały i prymitywny, o ścianach z grubych bali i stromym dachu krytym gontem, który zaczynał się wypaczać od morskiej soli i żaru Krótkiego Słońca. Skierował się w jego stronę. Zdawał sobie sprawę, że oddala się od plaży. Pod stopami miał piasek przemieszany z kawałkami kory. Próbował strząsnąć go z butów, zanim wejdzie do środka — delikatnie popukał w stopień najpierw lewą, potem, prawą nogą, przeszedł przez próg...

I znalazł się w domu. Stół, przy którym jadali, stał na swoim miejscu, podobnie jak krzesło Pokrzywy i jego własne oraz taborety dla chłopców. Kiedy Szpik i pozostali przyjdą go prosić, by wrócił do „Whorla”, nie wystarczy miejsc do siedzenia dla wszystkich. Trzeba będzie przysunąć do stołu ciężką skrzynię, w której trzymali zimowe ubrania.

Ale na razie Szpik i inni jeszcze się nie zjawili. Małe dziecko spało w starym wiklinowym koszu. Pokrzywa go uplotła, zanim porzucili swoją farmę na Błękiecie, przydzieloną im wkrótce po przybyciu, kiedy wszyscy chcieli mieć własną ziemię i żywy inwentarz, nawet ci, którzy — tak jak oni — nie mieli zielonego pojęcia, co z jednym i drugim robić. Śpiącym malcem był

Ściągnął. Wiedział to, zanim zobaczył twarz dziecka, zanim dostrzegł srebrny pierścionek na jego palcu i wprawiony weń biały kamień.

Zjawiała się inhuma — zgarbiona, wychudła postać, która nie była kobietą, w sukni pozszywanej z zółknących łachmanów. Przypominała Jahlee. Czyżby Jahlee przybyła na Błękit po niezbędną jej do życia ludzką krew? Wróciła na Zieleń, a potem znów przyleciała na Błękit? Jak długo cierpiała głód, spoczywając pod kamienną płytą w Gaonie?

Schyliła się, zamierzając się napić. Odwrócił wzrok i stwierdził, że kuca na piasku obok odmłodniałego Roga, który siedzi na kocu obok Pokrzywy i trzyma ją za prawą rękę. Lewą Pokrzywa wskazywała rybę, która w oddali wyskakiwała ponad wodę; ryby nie było widać na tle zachodu słońca, ale zostawiała srebrzyste kręgi na łagodnie rozfalowanej wodzie. Nad obojgiem zawisł cień lęku przed następną ciężką, niewidoczny jak ryba, lecz bardziej rzeczywisty.

— Widziałeś kiedy coś równie pięknego? — zapytała Pokrzywa.

Ciebie, szepnął Rogowi do ucha.

— Kiedy byliśmy w statku powietrznym... Pamiętasz? Weszłam na górę. Sama. Na dach gondoli. Nigdy ci o tym nie mówiłam.

— Poszedłbym z tobą.

— Wiem. Ale spałeś, a ja po prostu chciałam zrobić coś sama, ten jeden raz. To było dzień przed tym, jak wróciliśmy do Vironu.

— Musiało być zimno — stwierdził Róg.

Ten, który przyszedł skrajem morza, wiedział, że Róg myśli o niedawnej zimie, która wkrótce znów przyjdzie; osła

zamarzniętego w szopie, którą dla niego zbudował; siebie, stojącego nad martwym osłem z nożem w ręce i rozmyślającego o tym, że ktoś musiał się pomylić, że to nie może się dziać naprawdę, że osiołek był taki młody, nie miał jeszcze roku, i to na pewno nie dzieje się naprawdę. A tymczasem w domku na plaży Jahlee napiła się do syta. Jej kły się schowały. Oblizwała buzię i szyję dziecka, otarła usta wierzchem dłoni, a potem obszarpana, boleśnie wychudzona istota o pałających głodem oczach wymknęła się za próg i zniknęła bez śladu.

— Było, ale nie tak jak na ziemi, w Vironie, kiedy już tam dolecieliśmy. Nie widzieliśmy zbyt wiele słońca, bo statek leciał wzdłuż klosza.

— Pamiętam — rzekł siedzący obok Pokrzywy Róg.

— Wyczułam chwilę, kiedy klosz zaczął się podnosić. Widziałam to oczyma wyobraźni. Pierwsze promienie światła spłynęły z nieba jak złoty pył.

Może siedzący obok niej Róg powiedział coś wtedy, a może nie; jeśli tak, to człowiek, który przyszedł plażą i przykucnął obok niego, nic nie usłyszał.

Za chwilę słońce zajdzie, pokażą się gwiazdy, powieje przenikliwy, zimny wiatr. Wróćcie do domu, znajdziecie Ściągno i nic już nie będzie takie samo. Nigdy. Przytul ją. Powiedz, że ją kochasz, teraz, tutaj, zanim będzie za późno.

Rozpaczliwie pragnął odezwać się, zostać usłyszonym i zrozumianym. Przetoczył głowę z boku na bok na miękkich, zgniecionych pod jej ciężarem źdźbłach pszenicy. Wiedział, że z jego ust nie dobywa się żaden dźwięk.

Otworzył oczy. Usiadł. To wszystko było takie rzeczywiste — ale było snem, tylko snem. Nadal panowała ciemna noc.

Powinien znów się położyć i zasnąć. Rano będą od niego oczekiwać, że poprowadzi ich do walki przeciw wiosce swojego syna.

Cały dzień jedziemy w dół. Zima jest tu łagodniejsza, choć nadal nielekka. Wszyscy chętnie gdzieś byśmy się schronili, nawet nasze konie i muł Jahlee, żeby choć na godzinę uciec przed wiatrem i chłodem.

Spotkaliśmy dzisiaj innych podróżnych, czterech kupców ze sługami i jucznymi zwierzętami. Ucieszyliśmy się na ich widok, mam jednak wrażenie, że oni uradowali się bardziej, ponieważ pokłócili się wcześniej i byli skorzy do wyłuszczenia swoich racji. Słuchałem ich, póki starczyło mi cierpliwości, a nawet dłużej, wspominając wszystkie idiotyczne spory, w których sam brałem udział i które sam często wszczynałem. To bardzo kształcące, choć zarazem upokarzające, słuchać, jak inni dają upust pretensjom tak podobnym do naszych. Kupcy byli na wskroś źli, jak i ja sam — należeliśmy do tego samego rodzaju ludzi, mianowicie takich, którzy z przyjemnością myślą o sobie, że są dobrzy.

W końcu Jahlee odrzuciła kaptur na plecy, drżącym palcem wskazała tego, który akurat mówił, i zapytała, czego od nas chcą.

— Abyście nas rozsądzili — odparł najbardziej małomówny z nich. Jeśli mnie pamięć nie myli, ma na imię Ziek.

Odparłem, że uczynienie mnie sędzią nie ma sensu, dopóki nie zobowiążą się, że podporządkują się mojemu werdyktowi, na co jeden po drugim obiecali, że będą mi posłuszni. Dowiedziałem się, że czczą Scyllę przed innymi bogami, tak jak

my w Vironie. Kazałem im zatem przysiąc na Scyllę, Zewnętrznego i wszystkich bogów, którzy mogli się jeszcze błąkać po Błękicie, a kiedy zobaczyłem, że robi to na nich wrażenie, także na sam Zaginiony Lud.

— Oto moja decyzja — oznajmiłem, odebrawszy ich przysięgi. — Tak bardzo zapamiętaliście się w swoim sporze, tak się zapiekliście i zaplątaliście w gąszczu sprzecznych pretensji i oskarżeń, że nie może być wśród was mowy o pojednaniu. Nie ma jednak powodu, abyście nadal dręczyli się nawzajem tak jak do tej pory. Czy słusznie się domyślam, że wszyscy udajecie się w to samo miejsce?

Owszem, wszyscy jechali do nabrzeżnej miejsciny o nazwie Dziura.

— Postanawiam zatem, że macie tam podążyć osobno. Ty! — Wskazałem najgrubszego z nich. Miał na imię Nat i wyglądał na najbardziej zamożnego. — Wyruszysz natychmiast. Ile koni i mułów należy do ciebie?

— Szesnaście — odparł.

— Weź je i ruszaj. Nie trać czasu. My tu odpoczniemy i ruszymy za tobą, a wtedy na czele pojedzie ten blondyn. Za nim podąży mój syn, dalej ten w czerwonej czapce, potem ja, moja córka, a na końcu on. — Miałem na myśli Zieka. — Mniej więcej po godzinie pošlę blondyna przodem, tak jak teraz posyłam ciebie. Godzinę później pojedzie następny, a po kolejnej godzinie ostatni. — A jeśli ktoś mnie napadnie? — zaprotestował Nat. — Jeden człowiek się nie obroni.

— Obroni się. To prawda, może zginąć, ale taka jest cena za kłótnię z przyjaciółmi. Każ swoim ludziom zebrać wasze zwierzęta i ruszajcie.

— Jedzie — poparł mnie Oreb.

Nat wpatrywał się we mnie przez kilka sekund, które ciągnęły się w nieskończoność. Jego oczy pałały nienawiścią.

— Nigdzie nie pojedę!

— Aresztujcie go — powiedziałem, zwracając się do pozostałych trzech. — Przysięgaliście, że mnie posłuchacie. Zwlecście go z konia na ziemię.

Wyciągnął igłowiec. Wytrąciłem mu go z ręki kosturem. Przykro mi to przyznać, lecz nadal trzymamy go w niewoli, razem ze służącym, dwoma mulnikami, ośmioma końmi i dziesiątką mułów. Zamierzałem dziś wieczorem kazać Skórze rozwiązać go i wyjąć mu knebel, żeby mógł coś zjeść, ale byłem zmęczony, a Skóra miał huk roboty z rozładowaniem, rozkulbaczeniem i spętaniem naszych wierzchowców — i koniec końców zapomniałem. Sądząc po jego tuszy i rumieńcach, utrata posiłku wyjdzie mu na zdrowie. Wystarczy, że nakarmimy go rankiem, przed uwolnieniem.

Padam z nóg, ale zanim się położę, powinienem jeszcze wspomnieć, że mamy tu cztery konie, nie licząc muła Jahlee. Łącznie są więc z nami dwadzieścia trzy zwierzęta (nie licząc Oreba, który najwyraźniej wybrał się na rekonesans): wierzchowiec Nata, koń jego sługi, jego juczne konie i muły, rumaki mój i Skóry, biały muł oraz dwa juczne konie zabrane bandytom, niosące teraz nasz skromny bagaż i część łupu.

Bożę Paha Wielkiego

Gospodarz trzymał lampę, a gospodyni obmywała mu rany ciepłą wodą. — Co ci się stało? Pokręcił głową. Gospodarz parsknął.

— Nie wie — wyjaśniła. — Spójrz na jego twarz. — Zwróciła się do niego: — Opuść tę i podstaw drugą. Nad wiadro.

Posłuchał, potulny jak dziecko. — Twój kuzyn, Świetlik...

— Śpieszek.

— Pamiętasz, jak upadł? Zapomniał wtedy, jak się nazywa.

— Przewróciłeś się? — zapytał mąż. — Uderzyłeś w głowę?

— Nie.

— Jak ci na imię?

Zawahał się.

— Róg.

— Nie chce nam powiedzieć — stwierdził gospodarz.

— Już są czyste — powiedziała jego żona. — Niektórzy mówią, że lepiej przemywać winem, ale gotowana woda jest równie dobra. A wino kosztuje.

Z wdzięcznością pokiwał głową.

Podniosła wiadro — drewniane, okute żelaznymi obręczami — przeniosła je do zlewu i opróżniła z zaróżowionej wody.

— Skąd jesteś?

— Jaszczurka — wymknęło mu się.

— Jaszczurka cię przysłał? A kto to jest?

— Czy jesteśmy we „Whorlu”?

— Nie inaczej — przytaknął gospodarz. — Próbują nas przegonić, ale prędzej my ich pogonimy.

— Mocnyś w gębie — prychnęła gospodyni.

— W takim razie pochodzę z Vironu. Tam się urodziłem i wychowałem. — Poczul ukłucie strachu. — Nie prowadzicie chyba wojny z Vironem?

— Nie interesują się nami tutaj — powiedział gospodarz.

— A gdzie jesteśmy?

Rozejrzał się po kuchni, tak jakby przycupnięty w kącie poczerniały piec albo zwieszające się z powały warkocze cebul mogły mu coś podpowiedzieć.

— W Zaścianku.

Gospodyni oderwała kawałek czystej szmaty. Dźwięk dartego płótna przypomniał mu krew, dym i huk karabinów.

Gospodarz potwierdził skinieniem głowy.

— W Zaścianku mieszkamy tak daleko od Vironu jak to możliwe bez zagłębiania się w dzicz.

— Właściwie to niezupełnie tam teraz jesteśmy — powiedziała z ożywieniem kobieta. — Wyciągnij rękę. Ta rana znów zaczyna krwawić. — Owinęła mu przedramię kawałkiem starej, ale czystej szmatki. — Kiedy słońce się pokaże, w godzinę dojdiesz do Zaścianka.

— To najbliższa osada — dodał jej mąż.

— Jedyna — poprawiła go.

— Nie chcę być wam ciężarem.

Żadne nie odpowiedziało.

— Chyba już nim jestem, ale pójdę sobie, jak tylko mnie opatrzycie.

— To od noża? — W głosie gospodarza zabrzmiała odrobinę życzliwsza nuta.

— Ja nie... — Przypomniał sobie nóż leżący na podłodze. Jakże groźnie wyglądał! — Tak — odparł. — Chyba tak.

— Aha! Próbowałeś je odpędzić, co? — I dalej, podchwytiliwie: — To było bożę?

Pierwszy raz słyszał to słowo.

— Bożę by go zabiło — orzekła gospodyni.

— Duże na pewno — przytaknął jej mąż.

Chciał zapytać, co to jest bożę, ale czuł, że nie powinien.

— Zobaczyłem wasze światło. — Te słowa wydały mu się bezpieczne. — Zasnąłem na polu, pewnie waszym. Kiedy się obudziłem, widziałem tylko to jedno światło, nic więcej, więc poszedłem w jego kierunku. Mam... mam nadzieję, że...

— Jak człowiek wypije, to potem wdaje się w bójki — powiedziała gospodyni ze śmiertelną powagą. — A bijatykę lepiej zostawić młodym.

— To jedyny dom w okolicy — wtrącił jej mąż. — Nie licząc plebanii.

Podniósł wzrok, zaskoczony.

— Macie tu augura?

— Już nie.

Gospodyni zacisnęła ostatni węzeł. Wyprostowała się.

— Kiedyś mieliśmy. Mówią, że plebania dalej należy do kapituły. — Zmrużyła oczy. — Mieszka tam teraz jakaś kobieta, pewnie z miasta. Znasz ją?

— Nie wiem. — Wstał. — Jak się nazywa?

— Nie mów za wiele — uprzedziła go.

Jej mąż opuścił lampę i postawił ją na sfatygowanym stole.

— Żona poszła się z nią zaprzyjaźnić, ale tamta zamknęła jej drzwi przed nosem. Powiedziała, że jest chora.

— Nawet wyglądała na chorą... — Gospodyni zawiesiła głos.
— Zjesz coś? Nam nie ubędzie.

Pokręcił głową.

— Nie chcę się wam dłużej naprzykrzać. Pójdę już. — Wyrzał przez otwarte okno i skrzywił się w duchu, myśląc o nieprzeniknionej ciemności na zewnątrz. — Nie wiecie, kiedy będzie rozjaśnienie?

— Rozjaśnienie? — Gospodarz splunął przez okno.

— Zapomniałeś — powiedziała gospodyni.

— O czym?

W kącie oparty o ścianę stał kij — szorstki, koślawy, z pewnością należący do niego.

— Jest dzienna noc. Słońce gaśnie. Właśnie zgasło.

Jak przez mgłę przypomniał sobie wydarzenie na ulicy Słońca: ołtarz na środku ulicy, święte okno, w którym ukazała się Echidna, upał, który nastąpił po zmroku, płonące drzewo figowe.

— Wiem o tym — powiedział.

— Coś ci się stanie. — Gospodyni odezwała się zduszonym głosem, jakby ktoś zmusił ją do wypowiedzenia tych słów. — Znowu. Zostań, poczekaj, aż słońce wróci.

Przeniósł wzrok na jej męża.

— Nie wiecie pewnie... ?

— Nikt tego nie wie. — W głosie gospodarza gniew mieszał się z rezygnacją. — Bogowie gaszą słońce, żeby się nas pozbyć.

Gospodyni westchnęła.

— Coś nie tak jest z twoją głową. Inaczej byś wiedział.

— Powiem wam prawdę. Całą prawdę, od początku. Od razu powinienem był tak zrobić.

Zapadła cisza, którą dopiero po długiej chwili przerwała gospodyni:

— Mów.

— Nie okłamałem was. Naprawdę urodziłem się i dorastałem w Vironie, tak jak mówiłem. Później spędziłem ponad dwadzieścia lat na Błękicie.

Ich zwyczajne, pomarszczone od trudów życia twarze niczego nie wyrażały. Nie zrozumieli.

— Błękit — powtórzył. — Tak nazywamy jeden z whorli na zewnątrz „Whorla”.

Nie odezwali się.

— To przez to, że z wysoka, kiedy się leci lądownikiem, wydaje się niebieski. Błękit jest poprzecinany białymi pasmami chmur, ale widać je dopiero z bliska. Widziany z Zieleni Błękit to po prostu niebieski punkcik — o ile niebo jest wystarczająco pogodne, żeby w ogóle było go widać. Jak mówiłem, przeżyłem na Błękicie wiele lat, a potem spędziłem sporo czasu na Zieleni. Przynajmniej dla mnie był to długi okres, chociaż w rzeczywistości upłynęło pewnie nie więcej niż jakieś pół roku. W każdym razie dawno nie byłem tutaj, w tym whorlu. To właśnie chciałem wam powiedzieć.

— Byłeś tam, dokąd próbują nas wygonić — mruknęła gospodyni.

— Bogowie? Tak, tam właśnie byłem.

— Po co wróciłeś? — zainteresował się gospodarz.

— Żeby odszukać Jedwabia. Znacie patere Jedwabia? Calde Jedwabia z Vironu?

Nie odpowiedzieli. Przysunęli się do siebie, obserwując go spod przymrużonych powiek.

Reszta wydawała się odległa i nieistotna, ale postanowił dokończyć:

— A także by sprowadzić nowe odmiany kukurydzy i innego ziarna oraz poznać niektóre procesy produkcyjne. Przede wszystkim jednak mam sprowadzić Jedwabia na Błękit, do Nowego Vironu.

— Ziarno? Nie możemy ci wiele dać, sami go potrzebujemy. Pokornie skinął głową.

— Wystarczy mi dosłownie kilka. Ze sześć.

Gospodarz potrząsnął głową jak muł, który uparcie odmawia wzięcia wędzidła do pyska.

— Nie możemy ci oddać sześciu kolb.

— Miałem na myśli sześć ziaren. Sześć ziaren kukurydzy.

— Wystarczy ci?

— W zupełności. Byłbym wam za nie bardzo wdzięczny.

— Jak wrócisz? — spytała gospodyni.

— Nie wiem. — Złapał się na tym, że trzyma głowę w dłoniach i wpatruje się w szerokie, spaczone deski podłogi. Wyprostował się i spojrzał kobiecie w oczy. — Sąsiedzi to zrobili. Sąsiedzi to Zaginiony Lud, dawni mieszkańcy Błękitu, którzy zamieszkiwali go przed tysiącem lat. Jakoś mnie tu przenieśli, lecz nie wiem jak.

— Od dawna tu jesteś?

— Od wczoraj. A może i nie, ale odkąd się tu znalazłem, spałem tylko raz. — Wyteżył pamięć. — Kiedy przybyłem, świeciło słońce. Tego jestem pewny.

Gospodarz pokiwał głową.

— Dni i noce nie mają znaczenia. Liczy się słońce albo jego brak. Jeśli znajdziesz Jedwabia, jak chcesz z nim wrócić?

— Zapewne w ładowniku. Mówiliście, że bogowie usiłują was wygnać.

Oboje ponuro skinęli głowami.

— To znaczy, że są jakieś ładowniki. Może te, które wróciły po dalszych osadników. Bogowie nie zmuszaliby was do odejścia, gdyby nie było sposobu przetransportowania was.

Gospodarz ponownie splunął przez okno.

— Ładowniki nie działają. Tak słyszałem.

— Zdarzało się nam to na Zieleni.

Przeszedł przez kuchnię — nogi niosły go prężniej, niż się spodziewał — i wziął kij do ręki.

— Usmażę bekonu — zaproponowała gospodyni. — W taki gorąc rzadko to robię, ale jak tylko napalę w piecu, migiem się usmaży.

— To bardzo miło z twojej strony. — Mówiąc, zdał sobie sprawę, że przemawia szczerzej niż mu się wydawało. — Naprawdę jestem wam wdzięczny, ale nie potrzebuję jedzenia. A już z całą pewnością żadnych luksusów.

Odsunęła stare prześcieradło, które zasłaniało niemal pusty kuchenny regał. Wydawało się, że nie słyszała, co powiedział.

— Zaparzę też kawy. Jest droga, ale tego, co mamy, wystarczy jeszcze na cały dzbanek.

Przypomniał sobie, co najchętniej pijał w dzieciństwie.

— Mógłbym prosić o matę? Tak dawno jej nie piłem.

— To co, chcesz ziarno? — spytał gospodarz. — Musiałbym przynieść ze stodoły.

Też trzymał w garści kij, krótki, gruby, bardziej przypominający pałkę niż laskę.

— Tak, bardzo proszę.

— W porządku.

Gospodyni kazała mu pompować. Zaczął poruszać długą żelazną dźwignią, aż spłynęła rdzawa ciecz i do czajnika naląła się czysta woda. Gospodarz oparł kij o krzesło, przykucnął i sięgnął pod stół po niechlujnie wykonaną cynową latarnię. Zapalił jej knot od lampy — Chodźmy, to jej chwilę zajmie — rzekł.

— Kawa, bekon, chleb — mruknęła gospodyni. Odwróciła się do nich. — To wystarczy?

— Aż nadto. Ale ja naprawdę wolałbym mate. Szczerze.

Gospodarz otworzył drzwi, wpuszczając do wnętrza ciemną jak atrament noc, sięgnął po kij i podniósł latarnię.

— Chodźmy.

Wyszli we dwóch.

— Czy na dworze jest niebezpiecznie? — Myślał o palce gospodarza. — Po zachodzie słońca?

— Czasami. Rogu... tak masz na imię, prawda?

— Tak. Ale chyba nie zapamiętałem twojego.

— Nie podałem go. — Gospodarz roześmiał się z własnego dowcipu. — Chcesz dostać ziarno?

— Bardzo.

Czuł, że ktoś — lub coś — ich obserwuje... zimny, wyrachowany intelekt, widzący w nocy i w dzień. Odsunął od siebie tę myśl i dogonił mężczyznę, który szybkim krokiem szedł po suchej, wyboistej i twardej jak żelazo ziemi.

— Wiesz, jak się uprawia kukurydzę?

— Nie. — Zawahał się, pełen obaw, że przyznanie się do prawdy może sprawić, że nie dostanie ziarna. — Raz próbowałem i doszedłem do wniosku, że się na tym nie znam.

Chociaż wcześniej myślałem, że sobie poradzę. Lecz ziarna, które mi dasz, trafią w ręce ludzi, którzy świetnie znają się na rzeczy. Ja mam je tylko dostarczyć.

— Po ciemku nie wyrosnie.

Przypomniał sobie swoje domysły, że ci, którym odmówiono wstępu na Złotą Ścieżkę, uprawiają zboże. Uśmiechnął się.

— Chyba nic nie rośnie po ciemku.

— Przeciwnie, są rośliny, które sobie radzą. Ale nie kukurydza. — Gospodarz otworzył szerokie drewniane wrota, wywołując głośnie protesty kwok. — Jeśli słońce nie wróci, z nami koniec. Wchodzisz?

Zadarł głowę i patrzył w ciemne jak sadza niebo.

— Tam jest światełko. Takie małe, czerwone. Czy to coś w krainach niebios? Macie tu przecież krainy niebios.

— Owszem. — Na Błękanie na nocnym niebie roi się od gwiazd; są ich tysiące. Tu zaś jestem zdziwiony, że widzę tę jedną.

— To miasto się pali.

Przerażony spojrział na gospodarza, który wyjaśnił.

— Prawie za każdym razem, kiedy gaszą słońce, tam pali się jakieś miasto. Chcesz ziarno? To chodź.

Pospieszył za nim do stodoły.

— Uprawiam dwie odmiany kukurydzy — mówił gospodarz.

— Nie wolno ich krzyżować między sobą ani z innymi odmianami. To chyba wiesz?

Z pokorą pokiwał głową.

— Tak mi się wydaje.

— Kiedy je skrzyżujesz, dostaniesz dobre ziarno. Można je zemleć na mąkę, można dać na paszę, ale nie powinno się go

wysiewać. Musisz się cofnąć do tych pierwotnych odmian i znów zrobić krzyżówkę. Mówiłeś: sześć?

— Tak. Tyle powinno wystarczyć.

— Może zabraknąć. Dam ci dwanaście.

W żółtym jak masło blasku lampy rysowały się kolby kukurydzy wiszące w pękach pod sufitem.

— Jesteś bardzo szczodry.

— Widzisz? Czarna. — Mężczyzna oderwał jedną kolbę.

— Tak. Z początku myślałem, że tak wygląda, bo tu jest ciemno, ale teraz widzę, że naprawdę jest czarna?

— Weź ją i wyłuskaj sobie sześć ziaren. Ale nie więcej; są mi potrzebne.

Kolba była mała i szorstka, ziarenka również nieduże, gładkie, twarde. Potarł ją palcami i wyjął sześć ziaren. Gospodarz wziął kolbę od niego.

— Patrz. — Pokazał mu drugą, nieco większą, jaśniejszą. — To druga odmiana. Ziarna są białe albo czerwone, widzisz?

Skinął głową.

— Czerwone czy białe — to bez różnicy — ciągnął gospodarz. — Kolor nie ma znaczenia.

— Rozumiem.

— Możesz wziąć trzy takie i trzy takie, jeśli masz się od tego lepiej poczuć, ale kolor naprawdę nie gra roli.

— Mimo to wezmę trzy białe i trzy czerwone. Na wszelki wypadek.

— Tak myślałem. Posadźcie je obok siebie, niech się krzyżują. Nie mielcie ich ani nie dawajcie do paszy. Posadźcie. Kolby będą białe albo żółte, ale na pewno nie czarne ani nie czerwone.

Pokiwał głową, mocując się z pierwszym ziarnem.

— Jak je z kolei wysiejecie, za rok zbierzecie naprawdę duży plon.

— Dziękuję. Mam nadzieję, że uda mi się je bezpiecznie dostarczyć na Błękit.

— Tylko musicie pamiętać, żeby co roku wysiać trochę czarnych i trochę tych biało-czerwonych osobno, z dala od innych. Wtedy co roku będziecie mieli coraz większe zbiory.

— Rozumiem.

Przysunął dłoń do latarni. W garści przemieszanych ziaren widział falujące zielone pola, smukłe konie, białe i czarne, i tłuste krowy o rudej sierści.

Gospodarz wziął od niego kolbę.

— Idziemy.

— Dobrze.

Ostrożnie schował wszystkie dwanaście ziaren do kieszeni i pomógł zamknąć wrota.

— Dzienną nocą wilki podchodzą coraz bliżej — wyjaśnił gospodarz niedbałym tonem. — Zabijają mi owce. Mało mi ich już zostało.

— Przykro mi to słyszeć — odparł. Mówił szczerze.

— Mam dwa owczarki. Dobre psy. Kiedy wilki się zakradną, robią rejwach, ale ja ich nie słyszę. Wracając do tego Jedwabia... Zmiana tematu nastąpiła zbyt nieoczekiwanie.

— Tak... do Jedwabia...

— Był w mieście ich wodzem.

— Calde. Zgadza się.

— Dobry był. Dostałem od niego pistolet. Dawno temu. Wciąż go mam. I trzy kule, które zaoszczędziłem. Ale jego już tu nie ma. Ludzie przepędzili go z miasta.

— Rozumiem. Nie wiesz, dokąd poszedł? Proszę, przypomnij sobie, to dla mnie bardzo ważne.

— Nie. — Gospodarz postawił latarnię na ziemi między nimi.
— Długo rządził. Miał żonę. Podobno ładną.

— To prawda. Była piękna.

— I była dziwką. Tak powiadali. Dlatego go szukasz?

— Nie, chodzi mi o niego, nie o nią. Jak mówiłem, chcę go zabrać do Nowego Vironu. Hiacynta też zabiorę, jeśli będzie chciała. Naprawdę nie wiesz, gdzie mogą być?

Gospodarz tylko pokręcił głową.

— Nie wątpię, że powiedziałaś mi, gdyby było inaczej. Byliście z żoną niezwykle dla mnie uprzejmi. Jak mogę się wam odwdzięczyć? Czy jest coś, co mógłbym dla was zrobić?

Gospodarz milczał. Stał bez ruchu, w lekkim rozkroku. Ciężką, gruzłową pałką uderzał o stwardniałą od odcisków dłoń. Przez otwarte kuchenne okno sączył się drażniący powonienie zapach kawy i smażonego bekonu.

— Chcesz, żebym sobie poszedł.

— Tak, idź stąd. Odejdź albo walcz, starcze. Ty masz swój kij, ja swój. Odejdiesz czy nie?

— Odejdę. — Podniósł kij znaleziony poprzedniej nocy i wygiął go w rękach. — Z całą pewnością nie będę z tobą walczył. Byłby to z mojej szczyt niewdzięczności, a zresztą już kilkakrotnie sam proponowałem, że odejdę. Wolałbym wszakże, byśmy rozstali się w przyjaźni.

— Precz!

— Rozumiem. Pozwól jednak, że coś ci powiem. Gdybym chciał, mógłbym cię pokonać, a potem pobić tym kosturem. Nie zrobię tego, ale mógłbym.

Gospodarz ostrożnie zbliżył się o krok.

— Złamałby się. Poza tym jesteś ode mnie starszy.

— Chyba rzeczywiście jestem starszy. Kij jednak by nie pękł; umiem go używać. Jeśli zaś uważasz, że różnica wieku daje ci nade mną znaczącą przewagę, nie powinieneś mi grozić. To podłe.

Minęła blisko minuta, zanim cofnął się o krok.

— Proszę, podziękuj ode mnie żonie. Okazała ludzkie uczucia obcemu człowiekowi w potrzebie. Ty również. Jeśli chcesz, możesz jej powiedzieć, że odszedłem z własnej woli, ponieważ nie chciałem uszczuplać waszych i tak skąpych zapasów żywności.

Odwrócił się, gotowy odejść.

Nie umiał później powiedzieć, czy usłyszał spadający cios, czy po prostu wiedział, że tak się stanie. Zrobił unik w prawo. Gruzłowata pałka świsnęła w powietrzu, zdarła mu skórę z barku i nabiła sińca z boku na udzie. W chwili, gdy wyrznęła o ziemię tuż przy jego lewej stopie, okręcił się w miejscu, przydepnął ją, pchnął skrwawionym kosturem prosto w twarz gospodarza i go odepchnął. Pół sekundy później trzymał już w ręce jego broń. Jednym krótkim, mierzonym uderzeniem rozciągnął go na ziemi, drugim zgasił lampę.

Raz odwrócił się i spojrzał w rozświetlone okna domu, który opuszczał — ale tylko raz.

— Musisz więcej ćwiczyć! — wykrzyknął starszy od niego człowiek, który zgoła nieproszony stanął mu przed oczami. — Takie bijatki cię niszczą! Zabijają technikę!

Miał rzadkie białe wąsy i miotał się na wszystkie strony w niepokojący sposób, ale pchnięcia i cięcia wymierzał równie precyzyjnie jak chirurg lancetem i skalpelem — a z pewnością o wiele szybciej.

Nie mogę teraz ćwiczyć, mistrzu Mieczniku. Kij jest mi potrzebny, abym mógł badać drogę przed sobą.

Tak miał staruszek na imię. Powtórzył je pod nosem, a potem wypowiedział na głos.

— Miecznik. Mistrz Miecznik.

Gdzieś w pobliżu odezwał się ptak:

— Jedwab? Jedwab?

Przypadek — lub, co bardziej prawdopodobne, wyobraźnia — ukształtowała ochrypy wrzask w znajome imię.

— Tak — odparł. — Jedwab. Patere Jedwab. I stary patere Płetwa, który musiał mieć z osiemdziesiąt lat. A także sybille: maytere Róża, maytere Marmur i generał Mięta.

Whorl wywinął fikołka i nagle, całkiem nieoczekiwanie pojawili się patere Kwezał, patere Gulo i patere Kowadelko; Alka i Acalypha; Pięściak, Pleśń, Słonka, piękna Hiacynt i dziesiątki innych. Biegali, strzelali i walczyli u boku maytere Mięty, która nie rozstawiała się z czarnym, bombazynowym habitem sybilli. W obszernych kieszeniach, gdzie dawniej nosiła kredę, teraz trzymała igłowiec i azoth.

Imbirkowi wybuch oderwał dłoń; maytere Marmur też straciła rękę.

— Mieszka mi się w głowie — przyznał na głos.

Ludzki głos — nawet jego własny — niósł pociechę. Pozbawione trawy i pożłobione koleinami podłoże, po którym teraz szedł, musiało być drogą — biegnącą nie wiadomo dokąd.

— To tak jak z tą pierwszą książką, którą Pokrzywa próbowała zszyć: nić pękła i stronice się rozpadły. Nie ma ich, nie ma nikogo; zostaliśmy tylko Pokrzywa i ja. No i jeszcze maytere mieszkająca z Pleśnią na skalistej wysepce, i kilkoro innych. Kolegów ze scholi. Sióstr i braci.

Zamsz, Język i Łój prosili go o pomoc; matka nalegała, żeby im pomógł, kiedy nie mieli z Pokrzywą nic do jedzenia. To było gorzkie wspomnienie, jedno z tych, które doradził sobie zapomnieć.

— Musisz ćwiczyć!

To był Miecznik, w sali błękitnej.

— Jak mam stać się dobrym szermierzem, mistrzu? Nie mam z kim ćwiczyć.

Natychmiast wyszarpnął rapier z pochwy i wcisnął mu go w dłoń. Stare, żyłaste (i wciąż zdumiewająco silne) ręce Miecznika postawiły go naprzeciw wysokiego lustra.

— Widzisz go? Walcz z nim! Jest tak samo dobry jak ty, w niczym ci nie ustępuje! Salut! Garda! Paruj! Jelcem, chłopcze! Użyj jelca! Chyba go masz?

Odparł „tak”, myśląc „nie”. Przystanął, siekąc na odlew cieńszym końcem długiej pałki i natychmiast parując cięcie.

— Nie najgorzej — mruknął. — Radzę sobie lepiej niż na Zieleni, chociaż tam miałem lepszą broń.

— Nie zarżnie — poprosił z góry zachrypnięty głos.

Zaskoczony przerwał ćwiczenia. Coś dużego, lekkiego i szybkiego przysiadło mu na ramieniu.

— Ptak wrócić!

— Orebie, czy to ty?

— Jedwab dobry.

— Niemożliwe! Na czworo Oczu Paha Jasnego, że też nie mogę cię teraz zobaczyć!

— Ptak widzi.

— Wiem, że widzisz, ale niewiele mi to pomoże. Chyba że ktoś się na nas zaczął, jak ongiś skazańcy na Alkę. Widzisz jakąś zasadzkę?

— Nie, nie.

— A zbrojnych? Albo wilki?

— Nie ma ludzi. Nie ma wilków.

Przypomniął sobie nowe słowo, którego używał gospodarz.

— A bożęta, Orebie? Widzisz jakieś?

Kruk zatrzepotał skrzydłami i kłapnął nerwowo dziobem.

— A więc tak. Z pewnością. Są blisko?

— Nie blisko.

— Zapytałbym cię, jak wyglądają, gdybym mógł liczyć na jakąś sensowną odpowiedź.

— Nie powie.

— Czy mówienie o nich przynosi pecha? O to ci chodzi?

Chrapliwy skrzek.

— Przyjmę to za potwierdzenie i zastosuję się do twojej rady, przynajmniej chwilowo. Naprawdę jesteś Orebem? Tym samym, który dawniej był własnością patere Jedwabia?

— Ptak dobry!

— Na pewno dobrze mówisz, tak jak prawdziwy Oreb. To on cię tak nauczył? Kiedyś słyszałem, że kiedy nocny kruk pozna jakieś nowe słowa, inne się od niego uczą.

— Człowiek idzie.

— Tutaj?

Wytężył wzrok, spoglądając w ciemności, ale z równym powodzeniem mógłby się wpatrywać w beczkę pełną smoły. Przypomniął sobie wzmiankę gospodarza o pistolecie i trzech ostatnich pociskach, odwrócił się więc i spojrzał wstecz, ale i tam mrok był nieprzenikniony.

Zwrócił się z powrotem w przód.

— Posłuchaj, Orebie. Chcę iść dalej w tym kierunku, w którym szedłem, zanim się odwróciłem. Tak będzie dobrze?

Mówiąc, opukiwał kosturem ziemię przed sobą.

— Dobrze. Dobrze.

— Nie wpadnę do żadnej dziury? Albo na drzewo, o które rozbiję sobie głowę?

— Droga idzie.

— Więc i ja pójdę. — Stanowczym krokiem ruszył przed siebie, wykonując cięcia i parady. Nadal jednak wydawało mu się, że słyszy stukot kija o grunt. — Kto tam?!

— Co, usłyszałeś mnie? — zabrzmiał głos w oddali.

— Tak, usłyszałem. Słyszę postukiwanie twojego kostura.

Regularne stukanie nie ustało, nie towarzyszyła mu jednak dalsza odpowiedź.

— Widzisz go, Orebie? — spytał szeptem.

— Ptak widzi.

— Właśnie tak, mów cicho. Jest sam?

— Duży człowiek. Nie ma ludzi.

— Ma pistolet albo inną broń tego rodzaju?

— Nie widzi.

— Nic nie widzę — zabrzmiał ten sam głos: basowy, ochryply, nieco bliższy. — Ty zresztą też.

— W rzeczy samej — przytaknął. Słyszając stłumiony, metaliczny grzechot, zapytał: — Co to było?

— Masz słuch, brachu.

— Nie narzekam.

Coraz bliżej.

— A gały jak, brachu?

— Chodzi ci o moje oczy?

— Człowiek duży — mruknął Oreb. — Uważa.

— Spokojnie! Nic mu nie zrobię.

Chrapliwy głos przywodził na myśl drugiego nocnego kruka, który w podskokach przemierza drogę, ale sądząc po jego głębi, musiałyby należeć do innego, o wiele większego ptaka.

— Coś zagrzechotało. Myślałem, że to szczęk kurka pistoletu.

— Serio, brachu?

Drugiemu słowu towarzyszył kolejny metaliczny grzechot.

— Tak. Co to było?

— Jak gały?

— Pytasz o mój wzrok? Mam niezgorszy. — Przypomniał sobie znalezione w kieszeni okulary i dodał: — Chociaż nie taki jak dawniej. Dużo czytam.

— Dużo czytasz, tak? — Chrapliwy głos był już bardzo blisko. — Więc umiesz czytać. — Basowy chichot. — Tylko że wiaterek ci świeczkę zdmuchnął, co?

— Nie jesteś z Vironu, jak mniemam.

— Żem znikąd nie jest.

Znowu chichot — i kolejny grzechot.

— Chyba już wiem, co to za dźwięk: szczęk ostrza rapiera w mosiężnej pochwie. Mam rację?

— Strzał w dziesiątkę, brachu.

Coś — twarda skóra — dotknęło jego palców. Znów przypomniał mu się Miecznik wciskający mu broń do ręki, chociaż dłoń, która chwyciła go za przedramię, była znacznie większa od dłoni fechmistrza.

— Chce dotknąć?

— Jak najbardziej. Mogę go wyciągnąć?

Namacał wylot pochwy, również okryty skórą, podobnie jak szczątkowy jelec i cała rękojeść.

— Nie widzisz mnie, co, chojraku?

— Nie. Ale bez pochwy będę go mógł... lepiej zważyć w dłoni. Chociaż jeśli wolisz, żebym tego nie robił, powiedz.

— Coś ty za jeden, oficerek?

— Żołnierz, znaczy? Nie. Nic z tych rzeczy.

— Gadasz jak oni. No dobra, bierz.

Klinga z sykiem wysliznęła się z pochwy. Rapier był cięższy od zdobycznej pałki i niewiele od niej krótszy. Wykonał na próbę kilka cięć, ostrożnie przesunął palcami po płazie ostrza i wytarł broń o rękaw.

— Żem go zabrał jednemu umarłakowi — usłyszał schrypnięty głos. — Już go nie potrzebował.

— W przeciwieństwie do ciebie, jak rozumiem.

Wsunął rapier do pochwy i wyciągnął go przed siebie. Uderzył dłonią w coś dużego i masywnego: skóra, stare, miękkie płótno, zimny metal... zapewne sprzączka od pasa, znajdująca się niemal na wysokości jego brody.

— To ja. — Ogromne ręce intruza musnęły jego skórę, kiedy odbierał broń. — Chcesz mi pomacać facjatę?

— Uważa! — Oreb wiercił mu się niespokojnie na ramieniu.

— Nie — odparł. — Nie muszę.

— Kruk, co? Żem myślał, że jakiś drugi gość. Jak kucnę, to dosięgniesz. Śmiało, brachu.

Lewy nadgarstek ścisnęły mu palce grube i twarde jak kostur. Pociągnęły go, aż dotknął gęstych, sztywnych włosów. Zaleciał go słaby, kwaśny odór potu.

— Masz brodę — stwierdził. — Tak jak ja.

Nos był wydatny i szeroki, policzki ściągnięte, kości jarzmowe wyraziste. Zmierzwione włosy opadały przybyszowi na ramiona.

— Zdejmę opaskę. — Jego ręka została uwolniona z uścisku, ale zaraz znów się w nim znalazła. — Moje ślepię. Wsadź palec.

— Wolałbym nie — odparł, ale nie miał wyboru: dwa palce zagłębiły się w pustym oczodole.

— Drugie tak samo. Pomacasz?

Nie miał wyjścia.

— Jesteś niewidomy — stwierdził. — Ja... Wiem, że to zabrzmiało banalnie, ale ci współczuję.

— Poczekaj, naciągnę opaskę — zadudnił przybysz. — Teraz ja cię obmacam. Muszę, kapujesz. Masz pojęcie, jak wygląda moja facjata?

— Owszem — przytaknął. Bał się, że znów będzie zmuszony dotykać twarzy intruza. — Muszę cię jednak uprzedzić, że Oreb nie lubi, kiedy się go bierze w ręce. Jeśli będziesz chciał go złapać, prawdopodobnie odfrunie.

— Dotknie ptaka! — odezwał się Oreb.

— Chyba nigdy z nim tego nie robił. Nie żywego.

— Dotknie ptaka.

— Z nim widział mnóstwo, zanim mi jeszcze gały wyłupili. Oreb go wołają, tak?

— Ja w każdym razie tak go nazywam. Przyjaciel, którego od dawna nie widziałem i którego teraz szukam, miał oswojonego nocnego kruka i takie nadał mu imię. Mam wrażenie, że tego nazwałem tak samo, żeby nie trudzić się wymyślaniem czegoś nowego. — Poczuję, że Oreb wzbija się do lotu. — Chyba właśnie do ciebie leci.

— Siednij se na mnie, Oreb. Pomacam cię. Mów, jakby cię zabolalo.

— Nie boli.

Poczuję ukłucie zazdrości, ale szybko je stłumił.

— Przedstawiłem ci Oreba, więc chyba sam również powinienem się przedstawić. Jestem Róg.

— Róg. I Oreb.

— Właśnie.

Oreb znów przycupnął mu na ramieniu.

— A jak myślisz, brachu, jak ja się nazywam, co?

— Ty? Dopiero co się spotkaliśmy. Nie mam pojęcia.

Znów dał się słyszeć rytmiczny stukot.

— Możemy gadać i iść. Róg... Żem nigdy nie słyszał takiego imienia. Tak jak Oreb.

— Oreb znaczy „kruk” — wyjaśnił, ruszając w ślad za miarowym grzechotem rapiera. — To z Pisma Chasmologicznego. Calde Jedwab, ten przyjaciel, o którym wspomniałem, był augurem.

— Oreb. Róg. Jedwab. Popularne imiona? To może ja mógłbym tu być... Bawełna?

— O nie, to imię kobiece. — Zmieszał się trochę. — Chyba lepiej będzie, jeśli pozostaniesz przy tym, jak nazywała cię matka.

— Cudak?

— Widzę, że... To znaczy, rozumiem. Masz rację: przyda ci się tu nowe imię.

— Ano.

— Pytałeś, czy Oreb, Róg i Jedwab to popularne imiona. Oreb nie; nie słyszałem o człowieku, który by się tak nazywał. Rzadko się też słyszy o Jedwabiach — ale się słyszy. Za to imię Róg jest bardzo pospolite.

— Aha!

— Tutaj, w Vironie, mężczyźni noszą imiona pochodzące od zwierząt lub ich części. Jedwab jest imieniem męskim, podobnie

jak Mleko, ponieważ jedwab tak jak mleko pochodzi od zwierzęcia: jest wytworem jedwabnika. Adaks, Alpaka, Mrówkojad... To także pospolite imiona. Podobają ci się?

— Może Wół? Byłoby niezłe. Albo Byk. Mogą być, brachu?

Uśmiechnął się.

— Ludzie pomyślą, że jesteśmy spokrewnieni, ale mnie to nie przeszkadza.

— Podrzucić jakieś inne.

— Niech no pomyślę... Jedwab miał przyjaciela Alkę. Alka, jak pewnie wiesz, to taki morski ptak.

— No to może Sowa? Mówią ludziska, że sowa jest ślepa w dzień, nie?

— Jeśli chcesz, może być. Są zresztą różne sowy. Na przykład puchacze. Ale zmierzałem do tego, że Alka miał kompana, który nazywał się Kocur. Określenie samca, więc tym lepsze dla mężczyzny. A Kocur był ogromny i silny, jak ty.

— Świnia — zadudnił obcy.

— Imię dobre!

— Że co, proszę?

— Ja żem powiedział: świnia, brachu. Orebowi się podoba. Prawda, Oreb?

— Świnia dobry!

Świnia roześmiał się serdecznie, wyraźnie zadowolony.

— Co to, brachu, żeś nie słyszał o ślepych świniach?

— Chyba nie, ale z pewnością są i takie.

— Tylko że jak sobie znajdę gały, to będę je musiał zmienić. Orzeł będzie dobre. Albo Jastrząb.

— Mówiłeś coś o znajdowaniu dla siebie oczu? — Nie posiadał się ze zdumienia.

— Ano. Po to Świnia przyszedł z góry, z kraju światła. W tym waszym Vironie znajdują się jakieś ślepie, brachu? Ślepie dla mnie? Bo to jakaś większa dziura. Tak o nim gadasz.

— Tak, Viron to spore miasto. Podlegają mu, przynajmniej w pewnym stopniu, wszystkie okoliczne ziemie, w promieniu stu pięćdziesięciu mil, a nawet i dalej. Jeśli jednak pytasz o to, czy w mieście znajdzie się lekarz dość dobry, aby przywrócić ci wzrok, to doprawdy nie wiem. Wątpię, żeby był tam ktoś taki, kiedy ostatni raz odwiedziłem Viron, ale od tamtej pory minęło dobre dwadzieścia lat.

Świnia chyba go nie słuchał.

— Już nie piję.

— Ja też rzadko. Od czasu do czasu trochę wina. Chciałem jednak powiedzieć, że to zdumiewający zbieg okoliczności. Szukasz oczu, prawda? Tak się składa, że ja również. Przynajmniej jed...

Świnia oparł mu dłoń na ramieniu. Wystraszony Oreb zaskrzeczał i odfrunął.

— Ślepie masz, żeś mówił. — Wścibskie kciuki dotknęły jego powiek i nacisnęły lekko. — Czytasz.

— Czasem tak, ale ostatnio raczej nie.

— Dobrze masz gały. — Palce prześliznęły mu się po policzkach, zatrzymały w kącikach ust, namacały ukryty pod zarostem podbródek. — Niebrzydka facjata, brachu. Żeś się uganiał za dziewczynami, co? Jakżeś młodszy był...

— Właściwie tylko za jedną.

Znów rozległo się miarowe postukiwanie obitej skórą pochwy.

— Ci, co mogą, nie chcą, a ci co chcą, nie mogą. Biednemu zawsze wiatr w ślepie, brachu.

— Ciężkie życie, powiadasz. To prawda.

— Słuchaj no. Żeś gadał, że ślepiów szukasz.

— Dla chema. Moja przyjaciółka, chem, straciła wzrok.

— Jak stary Świnia.

— Właśnie, z tą różnicą, że ona jest chemem. Nazywa się maytere Marmur. Zanim opuściłem Błękit, obiecałem, że postaram się znaleźć dla niej nowe oczy. Dała mi swoje jedno stare na wzór, ale już go nie mam.

— Żeś zgubił?

— Niezupełnie. Musiałem je porzucić. Ale pamiętam, jak wyglądało; tak mi się w każdym razie wydaje. Jeśli tylko będzie to możliwe, chciałbym zdobyć nowe. Bo widzisz, maytere była moją nauczycielką w scholi, to znaczy...

— Nie mówi!

— Nie bój się starego Świni, Orebie. Nie przedrzeźniasz mnie chyba, brachu, po tym, jak wymacałeś mi puste ślepia?

— Nie śmiałbym.

— Takżem myślał. Nie jesteś z takich. Żeś gadał, że szukasz jakiegoś gościa. Jakiegoś... Jedwabia.

— Tak, szukam calde Jedwabia. Patere Jedwabia. Chcę go znaleźć i sprowadzić na Błękit. Obiecałem, że to zrobię, i zamierzam dotrzymać słowa.

— Ano. A jak ten Jedwab już zimny?

— Jeśli nie żyje? Wtedy znajdę nowe oczy dla maytere Marmur i postaram się z nimi wrócić do domu.

Zapadła cisza.

— Świnio... czy tak mam się do ciebie zwracać?

— Ano.

— Mógłbym iść trochę bliżej ciebie? Może... czasem dałbyś mi się dotknąć?

— Zaciska się, co? Zamyka człowieka. Dotykaj sobie do woli.

— Masz na myśli mrok... ciemność. Tak. Dokucza mi.

— Lubi ciemno!

— Wiem, Orebie. Ty lubisz ciemność, ale ja nie. Zwłaszcza nie tę panującą tutaj. W domu... to znaczy na Błękanie... Mogę ci opowiedzieć, jak jest na Błękanie, Świnio? Nie chciałbym cię urazić, ale myślę, że dobrze mi to robi. Poczuję się lepiej.

— Ten Błękanit to gdzieś na zewnątrz, brachu?

— Tak. Właśnie. Ma... krótkie słońce: okrągłe i złote, które w ciągu dnia przebiega niebo i w porze zaciemnienia tonie w morzu. A kiedy nastaje rozjaśnienie, pojawia się za górami i wspina na niebo, tak jak człowiek mógłby się wdrapywać na wzgórze z niebieskiego szkła. Zanim jednak rozpocznie wspinaczkę, rozlega się niemy krzyk...

Świnia parsknął dobrodusznym śmiechem podobnym do hurgotu przetaczanych pustych beczek.

— Wiem, to głupio brzmi, ale nie umiem tego inaczej wyrazić. Ma się wrażenie, że cały ten whorl, który nazywamy Błękanitem i do którego uzurpujemy sobie prawo własności, z bezbrzeżną radością wita nadejście krótkiego słońca. Zdaję sobie sprawę, że gadam od rzeczy.

Dłoń Świni, dwukrotnie większa od jego własnej, dotknęła jego ramienia.

— Słyszysz rzeczy, których nikt inny nie słyszy, brachu?

Nie odpowiedział.

— Kumple?

— Pewnie. Kumple. Jeśli nie przeszkadza ci, że będziesz miał durnia za kumpla.

— Ckni ci się za tym twoim krótkim słońcem.

— To prawda. Ulżyłoby mi, i to bardzo, gdybym teraz zobaczył jakieś światło. Jakikolwiek. Latarnię, świecę, ale najbardziej chciałbym zobaczyć słońce. Światło dnia.

— Ano.

— Pewnie czujesz się podobnie. Gdybyśmy spotkali człowieka niosącego latarnię, zobaczyłbym światło, a potem jego. Nawet teraz, w tej przerażającej ciemności, mam wyjątkowe szczęście. To błogosławieństwo. Powinienem dziękować za to bogom, Świnio.

Z oddali dobiegło wycie wilka.

— Macie je na swoim whorlu? — spytał Świnia.

— Owszem. Są zwykłe wilki, takie jak wasze tutaj, i dzikowilki, ośmionogie i znacznie groźniejsze. Ale Świnio...

— No dalej, gadaj.

— Na tym naszym whorlu, na Błękicie, inni ludzie mieszkali już na długo przed naszym przybyciem. Może nadal mieszkają. Rzadko się ich widuje. Prawdę mówiąc, mało kto z nas ich widział. Nazywamy ich Zaginionym Ludem albo Sąsiadami. Dzieciom się wmawia, że to postaci z bajek, ale ja ich kilkakrotnie widziałem. Nawet z nimi rozmawiałem. Wątpię, żeby jeszcze kiedyś mi się to udało, ponieważ zgubiłem pewien przedmiot: srebrny pierścień z białym kamieniem. Został tam, gdzie oko maytere Marmur.

— Ha!

— Kiedy jednak miałem okazję spotkać się z Sąsiadami i porozmawiać, zapytałem, jak nazywali whorl, który my nazwaliśmy Błękitem. Odpowiedzieli mi: „Nasz”.

— Nie płacze!

— Przepraszam, Orebie.

Próbował otrzeć oczy rękawem, ale w końcu musiał wziąć laskę pod pachę i wyjąć chusteczkę. Zahaczył uchem o łokieć Świni. Przesunął się i biorąc przykład ze swojego towarzysza, zaczął ostukiwać drogę przed sobą.

— Kiedy Świnia miał oczy, niczego mu nie brakowało — odezwał się Świnia. — Żem gadał ci o tym?

— Nie. Opowiedz teraz.

Przypomniawszy sobie podartą, zakrwawioną chusteczkę, którą gospodyni wyrzuciła w kuchni do śmieci, i znów zaczął wycierać łzy w rękaw.

(Z otchłani pamięci wypłynęły słowa Remory: „To nie... hmm... miejsce na stałe dla nas, tak? My, śmiertelnicy, nie mamy... aaa... nic. Nic na własność. Ale z czasem, hę? Coraz więcej. Rozumiesz, Rogu? Mamy tylko bogów... eee... kiedy nastaje czas... hmm, hmm... ostatecznych rozrachunków”.)

— Dziewki, żarło i grog. — Głos dobiegał z bliska, ale Świnia wydawał się w mroku mniej rzeczywisty od Remory. — Niczego więcej żem nie szukał. I żem myślał, że żyję jak pan.

— Nie mówi.

— Hola! Świnia powie, Oreb wysłucha. To nie takie straszne.

— Nie mówi. Słysz.

— Słyszysz coś? Coś go wypłoszyło, brachu?

Zatrzymał się, zaciskając obie dłonie na pokrytym guzami kosturze, i słucał z przekrzywioną głową. Odkąd wrócił do whorla długiego słońca, nie poczuł ani jednego podmuchu wiatru — teraz jednak powiew musnął jego policzki, ciepły, wilgotny, cuchnący.

— Coś nas słysz — szepnął. — Nasłuchuje.

— Ha!

— Gdzie to coś jest, Orebie?

— Ptak widzi — mruknął siedzący mu na ramieniu Oreb.

— Wiem, że widzisz. Gdzie?

— Ptak widzi — powtórzył Oreb. — Żegnaj, Jedwab.

Pióra musnęły mu skroń; to Oreb rozłożył skrzydła. Pazurzaste łapki wpiły mu się na moment mocniej w bark, skrzydła zatrzepotały głośno i kruk odfrunął.

— Kruczek ma rację, brachu — zadudnił Świnia. — To bożę. Świnia je zwietrzył. Musi być gdzieś z przodu, na drodze.

Coś twardego uderzyło go w pieszczel. Dłoń Świni zacisnęła mu się na ramieniu; przywodziła na myśl rękę jego ojca z czasów dzieciństwa — wspomnienie było niespodziewanie wyraziste. Dłoń odciągnęła go na bok.

— Uważaj, brachu — usłyszał tuż przy uchu chrapliwy głos Świni. — Rów.

Rów był płytki i suchy, ale gdyby nie ostrzeżenie Świni, prawdopodobnie potknąłby się o niego i — być może — przewrócił. Zbłąkana gałązka przesunęła się po wierzchu jego dłoni. Zmusił się do zamknięcia oczu, chociaż miały ogromną ochotę wpatrywać się bezużytecznie w nieprzenikniony mrok.

— Świnio? — wyszeptał. — Świnio? — powtórzył nieco głośniej.

— Hę?

— Gdzie?

Nie doczekał się odpowiedzi. Ta sama potężna dłoń pociągnęła go głębiej między rozszeptane liście.

— Oreb nie chciał mi powiedzieć. Co to jest bożę?

— Ciii... — Świnia się zatrzymał. — Nastaw ucha.

Dłoń znów zaczęła go ciągnąć i przez czas, który dłużył mu się niemiłosiernie, słyszał tylko — z rzadka — trzask gałązek. Był pewien, że otaczają ich drzewa i krzewy. Od czasu do czasu

uderzał kosturem w pnie albo konary. Czasem jakiś ruch Świni budził ciche szepty listowia.

Nagle usłyszał dźwięczny, melodyjny chlupot wody, budzący pragnienie w ustach i na języku. Przyspieszył kroku, zanurzając się głębiej w czerń i wlokąc za sobą olbrzymiego Świnę, aż żwir zgrzytnął im pod stopami. Wyczuł, że woda, którą wcześniej słyszał, rozpościera się tuż przed nimi. Uklęknął. Rozkoszna wilgoć zaczęła się przesączać przez materiał na kolanach. Pochylił się i ochlapał sobie twarz. Posmakował wody na języku: była chłodna i słodka. Przełknął. I jeszcze raz.

— Dobra — powiedział. — Nawet...

Rozcapierzona przed chwilą dłoń Świni zacisnęła mu się na ramieniu. Usłyszał, że jego kompan już pije hałaśliwie.

Napił się jeszcze, a potem zaczął badać palcami dno strumienia — ostrożnie, żeby nie wzburzyć zalegającego dna mułu.

— Wąski — wyszeptał. — Chyba moglibyśmy go przekroczyć.

— Ano. — W basowym, ochrypłym głosie dało się słyszeć nutę lęku.

— Nie wiem, co to jest bożę, ale nie powinno nas usłyszeć, dopóki tu jesteśmy. Tak myślę. Szmer wody tłumi nasze głosy. — Jeszcze się napił wody. — Nie tak dawno pompowałem wodę dla kobiety, która opatrzyła mi poranione nadgarstki. To była dobra, zimna woda ze studni; miałem chęć poprosić ją, by nalała mi szklankę, ale mieliśmy zaraz siadać do stołu... Wmówiłem sobie zatem, że wcale nie chce mi się tak bardzo pić. Powinienem się nauczyć, żeby pić przy każdej okazji.

Przypomniał sobie rzuconą od niechcienia uwagę Świni na temat picia i dodał:

— Mam na myśli picie wody. Nauczyłem się tego na Zieleni, gdzie rzadko trafiała się woda zdatna do picia. Chyba że na liściach niektórych roślin, gdzie czasem gromadziła się deszczówka.

— Ptak znaleźć — obwieścił głos bardziej zachrypnięty niż bas Świni.

— To ty, Orebie? Co znalazłeś?

— Znaleźć coś. Coś słyszy.

— Udało ci się? Świetnie! Gdzie jest?

— Nie pokaże.

— Nie chcę, żebyś mi pokazał; nawet gdybyś to zrobił, i tak bym nic nie zobaczył. Chciałbym jednak, żebyś mi powiedział, jak uniknąć spotkania z tym czymś. Szliśmy do Vironu, taką przynajmniej mam nadzieję. Czy to coś, to bożę, stoi nam na drodze?

— Nie stoi. Siedzi.

— Ale na drodze? Czy może obok?

— Na moście.

— Oreb, my są teraz z Rogiem kumple — wtrącił Świnia. — Ty, Orebie, i ja też kumple, nie? Pasuje?

— Człowiek dobry!

— Nie za głośno, Orebie, proszę cię. — Napił się jeszcze trochę wody.

— Więc to jest tak, Oreb: Róg pyta, jak się sprawy mają. Powiesz nam? Jest jakaś inna droga? Przecinająca strumyk?

— Nie inna.

— Może łąka? Są tu krowy?

— Nie ma krowy.

— Ha! — Świnia chyba zaczynał się niecierpliwić. — Jak mu to wyjaśnić, brachu? Ty go znasz.

Oreb go wyręczył:

— Mówi las.

— My są w lesie? Niemożliwe.

— W lesie — uparł się Oreb. — Jedwab powie.

— Nazywam się Róg, Orebie, już ci to mówiłem. Wiesz, Świnio, wydaje mi się, że Oreb ma rację. Jesteśmy w jakimś zagajniku, może na skraju lasu. — Sięgnął głębiej do pamięci. — Kiedy mieszkałem w Vironie, na północ od miasta znajdował się rozległy las. Człowiek imieniem Krew miał w nim willę. Nie on jeden zresztą, inni bogacze również. Całkiem możliwe, że jesteśmy właśnie w tym lesie.

— Wyciągnij no rękę, brachu. Namacałeś jakieś drzewa? Bo ja nie.

— Bo to są duże drzewa i rosną w sporych odstępach.

— Aha... — Świni udało się nasycić to jedno słowo niewiarygodną dozą sceptycyzmu. — Są tu jakie duże drzewa, Orebie?

— Nie duże.

— A blisko siebie są? Czy jedno tu, drugie tam...

— Wszystkie blisko.

— Oreb wie, gdzie są drzewa, a gdzie nie. Może puścić go przodem, brachu?

Róg wstał.

— Chodźmy wzdłuż strumienia. Z doświadczenia wiem, że strumienie często dokądś prowadzą. Pójdziemy?

— Ptak idzie. — Oreb usadowił mu się na ramieniu. — Idzie Jedwab.

— Świnia też. Idziem z Rogiem.

Usłyszał trzeszczenie kolan olbrzymia i powiedział:

— Jeżeli nie chcesz mi opowiedzieć o bożętach, będziemy szli w milczeniu.

— Nie ma co gadać, brachu. Pah je przysyła, żeby wygonić ludzi na zewnątrz.

Przez jakiś czas szli bez słowa. Zdarzało się, że koniuszek kostura rozchlaprywał wodę, a czubek okrytej skórą mosiężnej pochwy uderzał cicho o pień drzewa. Chrząścił żwir pod stopami. Czasem Oreb półgłosem przed czymś ostrzegał. W końcu obwieścił:

— Nie widzi. — Bożęcia, Orebie? Chodzi ci o to, że już go nie widzisz?

— Nie widzi — powtórzył Oreb. — Coś czuwa. Nie czuwa.

Jego słowa miały dziwny, głuchy pogłos. Kostur stuknął o kamień z prawa, z lewa.

— Jesteśmy w jakimś tunelu.

— Ano, brachu. — Te słowa również zadźwięczały echem.

Wpatrując się w ciemność, prawie był sobie w stanie wmówić, że widzi przed sobą półokrąg ciemniejszy od wszechogarniającego mroku.

— Tu wszędzie są tunele, Świnio. Nie słyszałeś o nich? Niewiarygodnie długie i niesamowicie skomplikowane podziemia ciągną się pod powierzchnią całego whorla długiego słońca.

— Ha... — Nieodległy głos Świni wyrażał całkiem zrozumiałe powątpiewanie.

— Kiedyś, dawno temu, wędrowałem nimi. Trzeba nimi przejść, żeby dostać się do lądowników, które znajdują się tuż pod zewnętrzną powłoką whorla. Pierwszy Oreb też był wtedy ze mną. I Alka, i Acalypha.

— Dziura zła!

— To prawda. Mam jednak nadzieję, że się nie mylisz, twierdząc, że bożę nas tu nie znajdzie.

— Nie krzywdzą ludzi — mruknął Świnia. — Nie za często.

— Pewnie jesteśmy w tych właśnie tunelach. A jeśli tak, to zbliżamy się do jednej z komór, w których trzymano śpiących. Spójrz do przodu. Przysiągłbym, że coś tam widzę.

Nie czekając na Świnie, ruszył zwawym krokiem — i nagle stanął jak wryty, sparaliżowany zachwytem i przerażeniem.

Na północy i południu rozpościerały się krainy niebios, o wiele wspanialsze, niż je zapamiętał. Na ich cudownym tle, ponad mostem, pod którym właśnie przeszedł, dostrzegł zarys ramion przypominających dwoje wzgórz, gładkiej, mocno wysklepionej głowy, która nie zmieściłaby się w kuchni domku na farmie, i zwierzęcych spiczastych uszu.

Ład i sprawiedliwość

Nat przysłał żołnierzy z Dziury. Aresztowali nas. Wygląda na to, że Dziura ma stałą armię (podobnie jak Soldo); nazywają ją legionem. Przyszło po nas trzech legionistów z sierżantem. Dałem mu dwie srebrne karty. Nie uwolnił nas wprawdzie, ale trochę się zaprzyjaźniliśmy. Opłacam również wynajęcie pokoi w tej gospodzie, w jednym będę spał ja, sierżant i jeden legionista, w drugim Jahlee, Skóra i dwóch pozostałych żołnierzy.

Kolacja i kąpiel! Sierżant — nazywa się Azijin — otrzymał pieniądze, za które powinien kupować prowiant. Kazałem mu je oszczędzać, przynajmniej dzisiejszego wieczora. Zaprosiłem go razem z podwładnymi na naszą kolację. Było wino i jedzenie, które mnie i Skórze bardzo smakowały.

Przypuszczam, że Nat jest ważną personą w Dziurze. Znosi się na to, że czeka nas grzywna i kara chłosty. Próbowałem wyjaśnić córce, że chyba lepiej zrobi, zostawiając nas, nie jestem jednak pewien, czy mnie zrozumiała. Może zrozumiała, tylko nie przystała na moją prośbę. Jeżeli teraz spróbuje uciec, mogą ją zastrzelić.

Nie obchodzi mnie, co powie jakiś sędzia w Dziurze. Nie będę się biernie przyglądał temu, jak ją rozbierają.

Właśnie pisałem, kiedy przyszła do mnie, prosząc o rozpalenie większego ognia. Właściciel gospody zażyczył sobie dopłaty za dodatkowe drewno i zaczęliśmy się targować. Sierżant Azijin zepchnął go do kąta, sklął i kazał mu dostarczyć opał. Jahlee dostała, czego chciała, i zadowolona wróciła do siebie. Przed chwilą u niej byłem. Wygląda znacznie lepiej.

Podczas naszego sporu właściciel upierał się, że zawsze liczy sobie ekstra za dodatkowe drewno. Zapytałem go wówczas, od jak dawna istnieje jego gospoda, na co odparł z dumą, że od sześciu lat. Jesteśmy tu nowo przybyłymi, niektórzy z nas nie zdążyli jeszcze znieść ubrań zabranych z poprzedniego whorla, ale mówimy i zachowujemy się tak, jakby od niepamiętnych czasów należał do nas. Popłakałem się kiedyś, opowiadając Świni, co powiedzieli mi Sąsiedzi. Pewnie uznał, że jestem obłąkany, a ja byłem po prostu słaby, zmęczony i udręczony napierającym zewsząd mrokiem. Smutek zatruwał me serce. Nadal go czuję. Dlatego wyszukuję sobie wciąż nowe zajęcia.

Azijin pozwala mi pisać. To przynosi mi ulgę. Bałem się, że będzie chciał przeczytać moje zapiski, ale nie umie czytać. Tak twierdzi, a mnie się wydaje, że mówi prawdę. I chyba się tego wstydzi. Zapewniłem go, że czytanie nie jest trudną sztuką, i zaproponowałem, że go nauczę. Mógłbym pisać duże litery na tym papierze, który zabraliśmy bandytom i na którym spisuję ten dziennik.

Ranny napastnik, którego krew wypięła Jahlee, powiedział nam, byśmy wzięli, co chcemy, ale błagał, żeby darować mu życie, co zresztą nieopatrnie mu obiecałem. Wciąż stoi mi przed oczami: wąskie wargi pod cienkim wąsikiem, ogromne, wytrzeszczone z przerażenia oczy. Jahlee powiedziała mi, że był jej pierwszą ofiarą, wiem jednak, że kłamała. Zabijała już dla

mnie, gdy walczyliśmy z Hanami. Pochlebiamy sobie, kiedy widzimy w nich potwory — ale czy sami jesteśmy wiele lepsi?

Przeczytałem jeszcze raz powyższe słowa — i mowę mi odjęło, gdy spostrzegłem swą szczerłość. Co będzie, jeżeli dziennik trafi w ręce jakiegoś sędziego w Dziurze? Mógłbym go zniszczyć (może nawet powinienem), ale co z dwiema pozostałymi relacjami? Ileż pracy im poświęciłem, marząc, by pewnego dnia Pokrzywa po nie sięgnęła — co jeszcze wcale nie jest wykluczone. Muszę je ukryć.

Zrobiłem, co mogłem, ale i tak najlepiej byłoby nie dopuścić do inspekcji naszego bagażu. Muszę wypytać sierżanta o procedury prawne; jego ludzi również — całkiem możliwe, że mają lepsze informacje na ten temat. Albo chętniej się nimi ze mną podzielą. Na razie jednak, mimo że pogwarzyliśmy sobie przy kolacji, nie pamiętam ich imion.

Zanim położę się spać, powinienem jeszcze odnotować pewien istotny fakt, taki mianowicie, że się wykąpałem, z czego cieszę się niezmiernie nie tylko ja sam, ale — jestem pewien — także wszyscy, którzy ze mną przestają. Latem na Jaszczurce kąpaliśmy się w młynówce przy papierni albo w morzu. W zimie — myliśmy się tak, jak ja tutaj: podgrzewając wodę w miedzianym kotle zawieszonym nad ogniem, i skrobiąc się z brudu szmatą i mydłem.

Kiedy byłem mały, w Vironie mieliśmy do kąpieli balie, takie jak do prania, tylko większe, podłużne. Najtańsze były drewniane, lepsze — takie jak w moim domu rodzinnym — z emaliowanego żelaza. W domu Gronostaja, w pałacu calde, a także, jak podejrzewam, w domach wielu zamożnych mieszczan znajdowały się balie kamienne, o niezwykle

dostojnym wyglądzie. W nich również się kąpałem — i lepsze to niż kąpiel w młynówce.

Zaraz odłożę pióro i pomodłę się z godzinę. Gdybym wiedział, że Zewnętrzny spełni moje prośby, zawsze kąpałbym się w młynówce. I zawsze przy kąpeli robiłoby się lato.

* * *

Oreb wrócił! Wiem, że oddzielając ten akapit od poprzedniego rysunkiem trzech whorli sugeruję, że dzieli je co najmniej tydzień. W rzeczywistości minęła zaledwie jedna noc, bardzo za to obfitująca w wydarzenia. Samych nowin starczyłoby na tydzień, o snach nie wspominając. Postaram się wprowadzić w nie trochę ładu.

Poprosiłem o nowy zapas drewna na opał; byłem ciekaw, czy po wymianie zdań z Azijinem właściciel gospody nadal będzie próbował pobierać za nie dodatkową opłatę. Dostałem je za darmo, napaliłem, pokój się nagrzał i kiedy sierżant wrócił, poprosiłem go o otworzenie okna. Kiedy to zrobił, niewiele brakowało, aby oberwał prosto w twarz zmarzniętym, zmęczonym i wygłodniałym nocnym krukiem. Naturalnie krukiem tym był Oreb, który przyniósł mi w prezencie pierścień z niezwykłym czarnym kamieniem. Za chwilę opiszę go ze szczegółami, jeżeli nic mi nie przeszkodzi.

Tak więc sierżant omal nie zderzył się z Orebem, który, jak się domyślam, już od dłuższego czasu dziobał w okiennice, ja jednak nie słyszałem go, gdyż trzask ognia zagłuszał inne odgłosy. Dodam jeszcze, że szalała śnieżyca; skowyczący zachodni wiatr niósł tumany maleńkich płatków.

— Tych, co na morzu, niech w opiece Scylla ma — powiedział Azijin.

Przyniosłem Orebowi świeżą rybę i kubek wody. Zjadł, pod — frunął do stojącego w kącie pokoju pieca (jest tam drewniany wspornik komina, na którym lubi przesiadywać) i od tamtej pory nie rusza się ze swojej grzędę. Azijin i legionista Vlug najpierw przyglądali mu się z rozdziawionymi ustami, a potem zasypali mnie gradem pytań na jego temat; było ich tyle, że nie na wszystkie mogłem odpowiedzieć. Spodziewałem się, że zabiorą mi pierścień; zasugerowałem więc, by przechowali go dla mnie do czasu, aż znajdziemy się w Dziurze — tam bym wyjaśnił sędziemu okoliczności, w jakich wszedłem w jego posiadanie, i poprosił o jego zwrot. Obejrzeli klejnot z wielkim zainteresowaniem, nie zamierzali mi go jednak odbierać.

Jest dla mnie za duży, schowałem go zatem do kieszeni. Zamierzałem w wolnej chwili znaleźć łańcuszek, na którym mógłbym go nosić na szyi. Bałem się jednak, że go zgubię — i teraz, pisząc, mam go na kciuku lewej dłoni. Pasuje.

W czarnym kamieniu jest wyrzeźbiony jakiś wzór. Podszedłem z nim do okna i choć dzień jest raczej mroczny, dostrzegłem wyryte linie — nie wiem, pismo czy rysunek. Przypuszczam, że to pieczęć, którą można odczytać po odciśnięciu w wosku lub laku.

Poopowiadałem trochę o Orebie. Wyjaśniłem, że jest oswojony, umie trochę mówić i często fruwa własnymi drogami. Zanim mogłem się położyć, musiałem opowiedzieć także co nieco o Jedwabiu i pierwszym Orebie. Dodałem, że tamten kruk najprawdopodobniej nie żyje.

— Zakładać pan tak nie powinien, mójpanie — odparł Azijin. — Papuga mojej ciotki starsza od niego była. Ciotka dziewięćdziesiąt jeden lat miała, gdy do lądownika wsiadła. O starym ptaku matka moja często opowiada.

Może zatem mój Oreb jest jednak tym samym Orebem, którego miał Jedwab. Teoria ta wydaje mi się ogromnie interesująca i cieszę się, że nie ma jak sprawdzić jej słuszności. Ależ byłbym rozczarowany, gdyby okazało się, że jest błędna!

Potem się położyłem; sierżant i Vlug poszli w moje ślady. Nie wiem, jak długo spałem — może z godzinę — gdy obudził mnie delikatny dotyk dłoni na czole. Jahlee.

— Mój ogień wygasa, rajanie. W pokoju robi się coraz zimniej. Mogłabym przytulić się do ciebie i trochę rozgrzać? Nie odważę się położyć do łóżka Skóry; śpi twardo i zabiłby mnie, gdyby nagle się obudził. A chyba nie chciałbyś, żebym dzieliła łóżko z żołnierzami, prawda? Jest mi tak strasznie zimno; boję się, że zamarznę na śmierć. Rajanie, proszę... błagam, ocal mnie.

Zgodziłem się. To zawsze było niezwykle doświadczenie, nawet jeszcze zanim poleciliśmy na Zieleń. Objąłem ją i przytuliłem, aby mogła rozgrzać plecy o mój brzuch. Czułem się tak samo, jak gdybym obejmował prawdziwą kobietę, smuklejszą od Pokrzywy, mniej zmysłową niż Hiacynt, ale z całą pewnością młodą, pociągającą, miękką, pachnącą i czystą.

Próbowałem sobie przypomnieć, jak to było spać z Favą, w śniegu, na kamieniach. Wiedziałem dobrze, że jest kimś zupełnie innym, niż to udaje — że w istocie tulę gada, który umie zmieniać kształt w podobny sposób jak zmieniały kolor jaszczurki, które chwytałem w ogóreczniku przy oknie albo w gąszczu kapryfolium pod płotem. Moja sytuacja nie różniła się specjalnie od losu sypiającego na ulicy zaklinacza, który pod opończą hołubi zwiniętego w kłębek węża.

Obudziłem się i usiadłem na łóżku. Zamierzałem ubrać się, zbudzić Jahlee i kazać jej odejść. Spuściłem nogi na ziemię,

ziewając i trąc oczy, kiedy pokój zmienił się w sposób zgoła niemożliwy. Miejsce okiennic zajął okrągły otwór, przez który zobaczyłem niebo; miało niewiarygodnie delikatny odcień błękitu. Poharatane nożem ściany naprawiły się i zmieniły w miękki szary kamień. Jahlee wstała i owinęła się kocem — zrobiła to w taki sposób, abym nie miał cienia wątpliwości, że jest szczupłą ludzką kobietą o idealnie białej skórze, smukłej talii i półkolistych piersiach z różowymi sutkami, które natychmiast zapragnąłem pieścić. Objęła mnie, a ja ją. Dwa kroki od nas leżeli pogrążeni we śnie Azijin i Vlug, na tych samych łóżkach, które zajmują tu, w gospodzie, pod tymi samymi szorstkimi kocami.

Kiedy się rozdzieliliśmy, zapytałem, gdzie jesteście.

— Na Zieleni. Nie czujesz ciepła? Wilgoci w powietrzu? Gdybym była w tej samej postaci, w jakiej ostatnio mnie widziałeś, zachwycalabym się nimi. Ale jestem, kim jestem. — Uśmiechnęła się i lekko zsunęła koc. — I nadal się nimi zachwycam. Rozkoszuję.

Azijin otworzył oczy, zamrugał i powiódł dookoła nieprzytomnym spojrzeniem — a potem zamknął powieki i znów zasnął.

Przeszedłem przez pokój i wyjrzałem za okno, spodziewając się ujrzeć tam dżungle Zieleni. Tymczasem pode mną rozciągały się chmury, jakich nie widziałem od czasu, gdy lecieliśmy statkiem powietrznym Saby — nie czarne, ciężkie od deszczu kłęby, które dręczyły nas podczas długich miesięcy na Zieleni, lecz obłoki mieniące się perłowo w słońcu niczym morze, większe i bardziej świetliste od wszystkich mórz, po jakich kiedykolwiek żeglował człowiek — i nowy whorl, piękniejszy nawet od Błękitu i bardziej wzburzony.

Chcąc nasycić się tym widokiem, wychylałem się przez okno coraz bardziej, aż w końcu stanąłem boso na szarym kamiennym parapecie, jedną ręką złapałem się framugi i spojrzałem w dół, w górę, na prawo i lewo.

Znajdowaliśmy się w smukłej wieży, zbudowanej w zagłębieniu niebotycznego urwiska z ciemnorudej skały. Nad moją głową klif wznosił się jak bezkresna ściana zakrzepłej krwi, znikał w przecudownym niebie. Po bokach rozciągał się też bez granic, pożłobiony i zerodowany. Spod okna opadał mur wieży, wyższej od wszystkich budowli, jakie zdarzyło mi się widzieć na trzech whorlach. Zakręciło mi się w głowie. Musiałem zamknąć oczy i zejść z parapetu z powrotem do pokoju, w którym się z Jahlee obudziliśmy. Zdążyłem jednak dostrzec masywną podstawę wieży i opadające dalej urwisko tonące w niespokojnym oceanie chmur — strome, czarne od wilgoci i upstrzone plamami żywej, jaskrawej zieleni.

— Chciałam stać się prawdziwą kobietą — powiedziała cichym głosem Jahlee. — Dla ciebie, dla Skóry i dla każdego, kto chce, abym była tym, kim naprawdę jestem. Dlatego do was dołączyłam. Na pewno o tym wiedziałeś.

— Powinienem był cię odpędzić, ale gdybym to zrobił, bandyci zabiliby nas oboje.

— Przewidziałeś napad?

Pokręciłem głową i milczałem.

— Nasze ciała śpią w tej żałosnej karczmie na waszym lodowatym whorlu. Gdybym tam zginęła... Słyszałam, jak rozmawiałeś z synem o tej drugiej kobiecie, podobnej do mnie, którą spotyka w snach. Boi się jej. Mnie nie musiałby się bać.

— Chcesz, żebym cię zabił? Nie mogę. Moje ciało śpi, tak jak i twoje. Wiesz, co by się stało, gdybyś tu zginęła. Widziałaś diuka

Rigoglio.

Podeszła do okna i, biorąc ze mnie przykład, wspięła się na parapet. Powiew wiatru targnął kocem i rozwiął jej rudawe włosy.

— Gdybym mogła już zawsze tak wyglądać, skoczyłabym — powiedziała niebu.

— Czy zanim to zrobisz, odpowiesz mi na jedno pytanie? Ja i mój syn znaleźliśmy w tobie prawdziwą przyjaciółkę, waham się więc, czy powinienem zaciągać u ciebie kolejny dług wdzięczności, ale zżera mnie ciekawość. Poza tym to może być ważne.

Zeszła na podłogę i spojrzała na mnie.

— Odwiedziliśmy wiele miejsc na Zieleni, podobnie jak i na whorlu czerwonego słońca. Byliśmy także tam, gdzie dawniej stał dom diuka Rigoglio.

— To prawda.

Jej oczy miały barwę jasnoniebieską; miałem wrażenie, że przez wyborowane w jej czaszce na wylot otwory widzę niebo za jej plecami. Przyszło mi do głowy, że może umie zmieniać ich kolor, a zaraz potem, że może wchłonęły tak dużo błękitu, iż same upodobniły się do nieba.

— Zazwyczaj było tak, że odwiedzałem po raz drugi okolice, w których już wcześniej byłem. Na przykład ulica ruin w Nessus z pewnością była tą samą ulicą, przy której dawniej mieszkał Rigoglio. Bardzo jednak wątpię, aby Vlug i Azijin byli w przeszłości na Zieleni. Ja sam nigdy nie trafiłem do takiej wieży na urwisku. A ty?

Skinęła głową. Zapytałem kiedy.

— Byłam wtedy bardzo młoda. Tuż po tym, jak nauczyłam się latać, ale zanim postanowiłam wyprawić się na łowy na wasz

zimny, srogi Błękit.

— Zanim przyleciałaś pierwszy raz?

Nie odpowiedziała na to pytanie. Mówiła dalej:

— Nie wiedziałam, czy powiesz mi się Przeprawa. Słyszało się różne opowieści: że potrzeba do tego ogromnej siły, wielkiej wytrzymałości. Kto był za słaby, kto nie umiał dostatecznie dobrze latać, spadał na Zielen. Nieudacznik. Komu zaś brakło kondycji... — Wzruszyła ramionami. — Ten dolatywał na Błękit jako zmrożone truchło. Świetlistą skrå przecinał tamtejsze niebo i tyle. Na pewno widziałeś takie iskierki. Ja widziałam. Iskierka — i już po tobie. Mimo to bardzo chciałam spróbować. Wielu w ogóle nie podejmuje takiej próby, ale wszyscy by chcieli, jedni bardziej, inni mniej... Pragniemy się do was upodobnić. Stać się ludźmi tak bardzo, jak to w naszym przypadku możliwe.

— My też czujemy taką potrzebę — przyznałem. — Chociaż często jest zbyt słaba.

— Zastanawiałam się więc, czy mam szansę i czy wystarczy mi odwagi, aby to sprawdzić. Nie latałam jeszcze najlepiej i zdawałam sobie sprawę, że muszę się wiele nauczyć, bo żeby odlecieć z Zieleni na dobre, trzeba frunąć naprawdę szybko. Któregoś dnia chmury się rozsunęły. Mówiłeś, że przez pewien czas mieszkałeś na Zieleni, musisz zatem wiedzieć, że to się czasem zdarza.

Przytaknąłem.

— Słoneczny żar lał się z nieba — ciągnęła — ale podniosłam wzrok i ujrzałam szarą smugę na ścianie urwiska. Obiecałam sobie, że pewnego dnia tam polecę, by zobaczyć, jakie to uczucie. I jeśli mi się uda, będzie to znaczyło, że jestem wystarczająco dobra, aby pokusić się o Przeprawę.

— I zrobiłaś to.

— Tak. Ćwiczyłam latami. Zdarzały się dni, kiedy nie byłam w stanie wznieść się ponad chmury. Powietrze jest tu rozrzedzone, a wiatry wieją wściekle.

Wziąłem głęboki wdech.

— Mnie z pewnością lepiej oddycha się tutaj niż na dole, gdzie powietrze jest przesycone wilgocią.

— Domyślam się. Ciekawi cię, jak skończyła się moja historia? Bo się skończyła. Nadszedł w końcu dzień, kiedy udało mi się tu przylecieć. Wiedziałam już wtedy, że czeka mnie jeszcze długa nauka i że muszę nabrać sporo sił, nim zaryzykuję Przeprawę, ale zdawałam sobie też sprawę, że pokonałam już ponad połowę drogi. Wtedy to okno było zakryte skorodowanym metalowym włazem. Zerwałam go i zrzuciłam w przepaść. Obejrzałam wszystkie pokoje, na wszystkich piętrach. Postanowiłam ten uprzątnąć i urządzić sobie w nim dyskretną kryjówkę, moją własną komnatę w mojej własnej podniebnej wieży. Znalazłam tu jakieś kości i inne rzeczy. Wyrzuciłam je przez okno, po czym rękoma zamiotłam posadzkę. A kiedy wszystko posprzątałam, obiecałam sobie, że po Powrocie przylecę tu i przesiedzę wiele godzin, rozmyślając o tym, kim właściwie jestem i co zrobiłam dla swoich dzieci. Nigdy jednak tego nie zrobiłam — aż do teraz.

— Postaram się zostawić cię tutaj — obiecałem. — I zabrać żołnierzy ze sobą. Nie wiem, czy to możliwe, ale spróbuję. — Zamknąłem oczy, usiłując zebrać myśli, które uleciały mi z głowy zaraz po przybyciu do wieży. — Czyje to były kości?

— Przecież wiesz. Przyjaźniliście się. Na pewno nie chcesz o tym rozmawiać.

Usiadłem na oślep na łóżku, które niedawno dzieliliśmy. W tamtej chwili nienawidziłem Zieleni serdecznie, co zresztą często mi się zdarzało. Nienawidziłem tego całego whorla, jego bujnego, nieczystego życia, gwałtownej śmierci i wszechobecnego rozkładu. W duchu wziąłem z nim rozbrat, raz na zawsze, mam nadzieję.

— To były kości Sąsiadów? Zaginionego Ludu?

Może skinęła głową, nie wiem.

— Podejrzewam, że kiedy niszczyliśmy ich wszędzie, na całym whorlu, najdłużej bronili się na płaskowyżach. Wieże na urwiskach miały dla nich stanowić ostatni azyl. Specjalnie zaopatrzyli je w takie okna, żeby...

Zniknęła.

Słuchając jej, przypominałem sobie swoje ciało — wszystkie dobrze mi znane wypukłości, niedostatki, brodę, obwisłą skórę twarzy, kostkę, która zawsze bolała mnie na deszcz i rwała rozpaczliwie przy każdej pogodzie, jeśli musiałem długo iść... Ze zdumieniem stwierdziłem, że nie siedzę już na łóżku, tylko leżę. Otworzyłem oczy i ujrzałem pocerniałe od dymu belki, na których wspierał się strop gospody.

— Mistrzu Incanto? Mistrz się obudził?

To był Azijin. Zapytałem, kto kazał mu tak mnie nazywać.

— Pański syn, mójpanie. Gdziekolwiek byliście, on i ty, mistrzem Incanto nazywano cię. Na snach się znasz? Tak również twierdzi, mójpanie Rogu.

— Znacznie mniej o nich wiem, niż mu się wydaje.

Usiadłem. Jahlee smacznie spała obok mnie.

Vlug również usiadł na łóżku.

— Uaaaa... — Przeciągnął się. — Mójpanie Pahu!

Wstałem i stanąłem przy kominku.

— Wiem, co pan sobie myśli, sierzancie, widząc mnie w łóżku z córką. Mogę pana zapewnić, że nic z tych rzeczy nie miało miejsca. Po prostu bała się, co czasem zdarza się kobietom w nocy, w obcym otoczeniu, i szukała u ojca bezpieczeństwa.

Azijin podszedł do mnie. Jest muskularny i mocno owłosiony. Sypia bez ubrania i nadal był nagi.

— Tak nigdy bym nie pomyślał, mójpanie. Lecz to ja drzwi zawarłem. Gdyby sztabę ktoś zdjął, usłyszałbym, myślałem.

— Nie chcieliśmy pana budzić, sierzancie. Proponuję nie budzić na razie także mojej córki.

— Dobrze, mój panie. Głośno mówić nie będę.

Vlug zawinął się w koc i stanął przy nas. Azijin kazał mu przynieść nam coś do siedzenia. W pokoju nie ma krzeseł, więc legionista przyciągnął materac bliżej kominka. Jest wysokim chłopakiem o szczerzej twarzy i nieszczęśliwych włosach, które nie są ani naprawdę rude, ani naprawdę ciemnoblonde, lecz jaśniejsze od obu tych odcieni.

— Ranek chyba nastał, myślę — powiedział. — Świnie, która gospodę prowadzi, obudzimy, sierzancie?

— Jeszcze nie — odparł Azijin. — Aby mójpan Róg sen mi wyjaśnił, chciałbym.

— Ja też!

— W snach nigdy nie śpię, mistrzu Rogu — zaczął sierżant. — Inaczej niż w tym ostatnim, który dziś w nocy mi się przyśnił. Jak jawa był. — Poklepał dłonią podłogę. — Prawdziwy. Całkiem nie jak sen.

— Ze mną tak samo było! — wykrzyknął Vlug.

— W tym śnie w łóżku leżę. Śpię. Ty, mójpanie, i twoja córka jak ja nie śpicie, lecz chodzicie i rozmawiacie. Obudzić się muszę, myślę. Jeśli uciekniecie, co będzie? Kłopoty miał będę,

kiedy sędzia Hamer usłyszy! Obudzić się próbuję, ale nie mogę. Oczy otwieram. W pokoju jasno jest, światło słońca przez okno wpada, a moje łóżko jak obraz na ścianie wisi. Tam śpię i nie spadam, więc nie szkodzi. W pokoju jestem sam, więc to też w porządku jest. Tylko że we śnie starego czarownika, dziwnej dziewczyny, córki jego, i chłopca, który ojcem go nazywa, pilnować muszę. Uciekać nie ma kto. — Spojrzał na mnie błagalnie. — Nigdy takiego snu nie miałem, mójpanie. Wyjaśnisz?

Vlug chciał coś powiedzieć, lecz sierżant uciszył go gestem.

— Chłopiec mówi — odezwał się Oreb ze swojej grędy.

— Kruk ma rację — wtrąciłem, zwracając się do Azijina. — Sen Vluga może rzucić światło na to, o czym ty śniłeś. Albo odwrotnie. To się często zdarza. Opowiedz nam swój sen, Vlugu, póki go pamiętasz.

— Nigdy nie zapomnę go, mójpanie Rogu. Przenigdy! Nawet kiedy mi broda osiwieje, w najdrobniejszych szczegółach pamiętać będę.

Na chwilę umilkł. Wyciągnął przed siebie ręce z dłońmi zwróconymi ku dołowi. Jego szeroko otwarte oczy miały błękitny odcień porcelany. Był urodzonym gawędziarzem — pauzy i zmiany intonacji przychodziły mu równie łatwo i naturalnie niby śpiew młodemu drozdowi.

— Jak mówił sierżant, było. Śpię, ale nie śpię. W górę i w dół, w górę i w dół mężczyzna i kobieta chodzą. Mądry i łagodny, lecz stanowczy jest on. Niepocieszona i nieszczęśliwa jest ona. Jego rady pragnie. Radzi jej on. Ale nie, nie, tego nie robi ona, co on doradził. Zabije się. Niedługo. Bardzo niedługo. — Na chwilę zwrócił się do Azijina: — Jahlee i jej ojciec być to mogli, ale czemu? Mójpanie, rozejrzałem się. Przede mną twoja córka

stała. Taka piękna! — Uniósł brwi, dając w ten sposób wyraz swojemu zachwytowi. Mój stary druh Inclito oblizałby palce. — Jasne światło za jej plecami było. Potężny wiatr się zerwał. Płaszcz miała, bardzo obszerny i czarny. Ten płaszcz wiatr rozwiewał. — Gestem zilustrował falowanie materiału. — Jej włosy też. Takie długie, że gdyby nie wiatr, kolan sięgać musiały. Chwycić mnie setką ramion Scylli...

Zaniepokojony Oreb skrzeknął i zatrzepotał skrzydłami.

— Na mnie wiatr je zdmuchnął. Naprawdę takie długie są, mójpanie?

Pokręciłem głową.

— W moim śnie tak. — Zamknął oczy, żeby lepiej sobie przypomnieć. — Taka piękna jest. Sen? Taka piękna. Usta, oczy, zęby. Zapłonął mój duch. Złą boginią twoja córka, mójpanie, w moim śnie jest.

Zapytałem, czy pamięta, w co jeszcze — poza płaszczem — była ubrana.

— Nie... — Zerknął na Azijina. — Sukni nie pamiętam, mójpanie. Kapelusza nie miała. Może, co najwyżej, małą czapczkę.

— Dzieweczka dobra. — Oreb sfrunął mi na ramię.

— Mówisz serio, Orebie? Zwykle nazywasz ją złą rzeczą.

— Dzieweczka dobra! — uparł się.

— Nie pamiętasz jej sukni, legionisto, ale jednak wiesz, że była ubrana?

Znów spojrzał ukradkiem na Azijina.

— Ależ tak, mójpanie.

Azijin pokazał mi wyprostowany prawy palec wskazujący, po — stukał w niego lewym i powiedział:

— Młody jest, mójpanie.

Sam chyba nie ma jeszcze trzydziestki.

— Jedwab mówi — zarządził stanowczym tonem Oreb.

— Domyślam się, że jego zdaniem najwyższy już czas, abym wytłumaczył wam znaczenie waszych snów. Zgadzam się z nim. Jednakże chwila namysłu z pewnością dobrze by zrobiła mojemu tłumaczeniu, podobnie zresztą jak kawa i kęs bekonu. Może obudzimy mojego syna i pozostałych żołnierzy i przekonamy się, na jakie śniadanie można tu liczyć? Jahlee jest zmęczona i chora, jak z pewnością zauważyliście. Pozwólcie zatem, że przed wyjściem dorzucę kilka szczap do ognia i przykryję ją dodatkowym kocem. Jeżeli obudzi się przed śniadaniem, będzie mogła do nas dołączyć. A jeśli nie, to sen dobrze jej robi.

Ubraliśmy się, poszliśmy po Skórę i jego strażników, których Azijin zrugął za wypuszczenie Jahlee z pokoju, i zeszliśmy na parter. W gospodzie było ciemno i cicho, otworzyliśmy więc okien nice (przekonaliśmy się, że w nocy obficie padał śnieg) i pozapalaliśmy wszystkie świece od niewygasłego ognia w kominku. Azijin zaproponował, że pójdzie obudzić gospodarza i jego żonę, wrócił jednak z markotną miną, rozcierając knykcie.

— Chorzy są, powiedzieli. Może i prawdę mówią. Nam śniadanie Vlug przyrządzi. Jeśli ich jedzenie zmarnuje, winni sami sobie będą. Gotować umiesz, Vlug?

Vlug z zapalem zaprzeczył.

— No to nauczę cię. Legionista gotować musi umieć, tak jak strzelać. Zwaar, Leeuw, o konie się zatroszczcie. Tylko porządnie! Po śniadaniu sprawdzę.

— Ja zajmę się naszymi, ojcie — powiedział Skóra. — Mój ojciec dobrze gotuje, sierżancie. Na pewno pomoże wam w kuchni, jeśli go o to poprosicie.

Pomogłem, naturalnie. Odgrzałem szarlotkę z orzechami, wybrałem ser (ci ludzie zajadają się serem przy każdym posiłku) i upiekłem w żarze ciastka, kiedy na ogniu piekły się kiełbaski i kukurydziane placki z mieloną wieprzowiną.

— Niedobra strawa to jest — orzekł Azijin, kiedy wszystko było gotowe. — Żeby lepszą uwarzyć, kuchni jak ta w moim domu rodzinnym potrzeba i mojej matki jako kucharki. Ale gorsze już rzeczy w gospodach jadałem. Co w tych ciasteczkach małych jest, mójpanie?

— Miód z makiem.

Urwałem kawałek placka z mięsem i podałem Orebowi. Byłem ciekawy, czy mu posmakuje.

— Poza tym soda — powiedział Azijin — sól i trzy gatunki mąki. Jak je mieszasz, widziałem. Czy jeśli jeszcze jedno zjem, sny bardziej obłąkane niż dziś miał będę?

— Obłąkany mój nie był — zaoponował Vlug. — Najlepszy, jaki w życiu miałem. Bardziej rzeczywisty niż to, co teraz robimy.

Nadział na rożen następną kiełbaskę; kazaliśmy mu ich pilnować i wykonywał to zadanie z wyraźną dumą.

— Żeby w łóżku na ścianie, w sypialni bez dachu spać! — Azijin pokręcił głową i nałożył sobie dokładkę kiszonej kapusty.

Skóra bezgłośnie poruszył ustami: *Gdzie?*

— Prosiliście, abym objaśnił znaczenie waszych snów — zagałem, popróbowawszy placka z mięsem. — Mógłbym z łatwością zmyślić jakąś bajeczkę, co zresztą z początku zamierzałem uczynić. Kiedy jednak schodziliśmy tutaj, do jadalni, uznałem, że byłbym wobec was nieuczciwy. Do niczego mnie nie przymusiliście, poprosiliście tylko, bym pomógł wam zrozumieć, co się z wami dzieje. Zgodziłem się, mam zatem

obowiązek dotrzymać słowa. Czy wiecie o tym, że po śmierci duch opuszcza ciało?

Dwaj legionieści pokiwali głowami, a Leeuw odparł:

— Rozmawiać z duchami idzie.

— Być może, przynajmniej w niektórych wypadkach. Muszę was teraz prosić, was dwóch szczególnie, sierżancie Azijin i legionista Vlug, abyście przyjęli na wiarę fakt, że duch może opuścić ciało także w innych okolicznościach i czasem to robi.

Czekałem na protesty, ale nikt się nie odezwał.

— Przedstawię to w inny sposób. Pewien mężczyzna ma dom, w którym od wielu lat mieszka z żoną. Są bardzo szczęśliwi. Kochają się i nawet gdyby życie nie szczędziło im utrapień, mają siebie nawzajem. A potem żona umiera. Mężczyzna porzuca dom, w którym zaznał tyle szczęścia, ponieważ teraz, po śmierci żony, odstręcza go myśl, że mógłby w nim pozostać. Jeżeli Zewnętrzny, bóg nad bogami, nie przywróci jej do życia, mężczyzna nie zamierza do tego domu wracać. Czy wyrażam się jasno?

— Chyba tak — przytaknął Vlug.

— Nie dla mnie — odparł Azijin.

— Miałem na myśli ducha opuszczającego ciało po śmierci. Dom jest ciałem, żona — życiem, które wypełniało dom ciepłem i radością.

— Aha. — Sierżant pokiwał głową.

— Może mąż udaje się do bogów, jak to zasugerował legionista Leeuw, a może po prostu odchodzi w mrok, w tej chwili to nieistotne. Porzuca dom, który kobieta dla niego stworzyła, i nie zamierza wracać.

— Ptak idzie — oznajmił Oreb, który od jakiegoś czasu skakał po skraju stołu i żebrał o jedzenie. — Idzie Jedwab.

— Jeżeli to oznacza, że chcesz umrzeć razem ze mną, Orebie, to mam szczerą nadzieję, że tak się nie stanie. W Gaonie opowiadano mi, że niektórzy ludzie przed śmiercią zabijają jakieś ulubione zwierzę, zwykle jest to koń albo pies, żeby towarzyszył mu także po odejściu. We whorlu długiego słońca rządzący posuwali się wręcz do tego, że na stosie pogrzebowym razem z władcą żywcem palono jego ulubioną żonę. Nie chciałbym jednak, aby po mojej śmierci przyjaciele bądź krewni zachowywali się w podobnie głupi sposób.

Zwaar, który do tej pory milczał, odezwał się w tym momencie:

— Kiedy duch odchodzi, człowieka umiera, tak myślę.

Pokręciłem głową.

— Człowiek umiera dlatego, że kula przeszywa mu serce, dlatego że przegrywa walkę z chorobą albo przez to, że koń kopnie go w głowę, jak kiedyś powiedział mi mój mądry przyjaciel. Poruszyłeś jednak dwie ważne kwestie. Pierwsza jest taka, że duch nie jest życiem, a życie nie jest duchem. Druga zaś — że są jednością. Mąż nie może być swoją żoną, nie bardziej niż ona nim, ale oboje razem stanowią jedność. Zmierzałem do tego, że chociaż mężczyzna z mojej opowieści po śmierci żony na zawsze opuścił dom, już wcześniej zdarzało mu się z niego wychodzić, i to wielokrotnie. Kiedy szedł plewić ogród albo kupował buty na targu. Wtedy jednak porzucał dom na krótko i zawsze do niego wracał.

— W taki sam sposób duch może opuścić ciało, tak, ojczy? — spytał Skóra z nadzieją w głosie.

— Właśnie. Wszystkim zdarza się śnić na jawie. Wyobrażamy sobie, na przykład, że płyniemy nową łodzią, którą w rzeczywistości dopiero budujemy. Albo dosiadamy

rozbrykanego konia, którego wcale nie mamy. Większość naszych nocnych snów ma podobną naturę i te w pełni zasługują na swoją nazwę. Bywają jednak inne „sny”, będące w istocie wspomnieniami przyniesionymi przez ducha, który na krótki czas opuścił ciało i udał się w inne miejsce.

Azijin wyszczerzył zęby w uśmiechu, sprawiał jednak wrażenie zaniepokojonego. Vlug, Leeuw i Zwaar słuchali mnie z wytrzeszczonymi oczami i rozdziawionymi ustami.

— I to właśnie przytrafiło się panu, sierzancie, i szeregowemu Vlugowi. Kiedy spaliście, duchy opuściły wasze ciała i przeniosły się w inne miejsce. Tam duch Vluga...

Wstałem.

— Przepraszam na chwilę. Przy gotowaniu zdjąłem pierścień, który dostałem od Oreba, i zostawiłem go na półce w kuchni.

Wybiegłem z jadalni, nie czekając na ich reakcję. Pierścień leżał na swoim miejscu — zostawiłem go tam wcześniej, na wypadek gdybym potrzebował takiej nagłej wymówki. Włożyłem go, przeszedłem przez kuchnię i zajrzałem do mieszkania właściciela gospody. Właśnie naciągał spodnie.

— Słyszałem, że pan i pańska żona źle się czujecie — powiedziałem. — Dlatego zajrzałem do was. Jeżeli macie chęć coś zjeść, z przyjemnością przygotuję wam śniadanie.

— Tacyśmy słabi są, mójpanie. — Usiadł na małżeńskim łożu. — Dziękuję. Bardzo dziękuję. Cokolwiek.

Wyjaśniłem sytuację Azijinowi, jego żołnierzom oraz Skórze i poszedłem zająć się gospodarzami. Moje obawy się sprawdziły — oboje zostali pokąsani przez Jahlee. Jeżeli przez następne kilka dni zostawi ich w spokoju, powinni wrócić do pełni sił. Ona na razie śpi, chociaż dawno już minęło południe. —

Dzieweczka śpi — zameldował Oreb, który właśnie przyleciał do naszego pokoju.

Byliśmy zgodni, że lepiej będzie na razie jej nie budzić. Okryłem ją dodatkowymi kocami. Oczywiście zamknąłem też okiennice. Azijin i Vlug obiecali jej nie niepokoić.

Sierżant postanowił, że dziś nie wyruszamy w drogę.

— Sprawiedliwości równie dobrze tutaj, w cieple i wygodzie, jak i tam, w śniegu, marznąc i okulawienie koni ryzykując, się przysłużymy.

Całkowicie się z nim zgodziłem.

To bardzo dziwne, ale pierścień nie pasuje mi już na kciuk. Noszę go na serdecznym palcu.

On jest Jedwabiem

Poczuł zaciskające mu się na ramieniu palce Świni. —
Chałupy, brachu. Świnia wie, co gada. Wszędzie chałupy.

Był zbyt zmęczony, żeby się zastanawiać, skąd Świnia to wie.

— Zatrzymajmy się tu. Może ktoś będzie chciał z nami rozmawiać.

— Za dużo masz kart, brachu?

— Nie. Wcale nie.

— Ja też. Ani pewnie Oreb. Co, Oreb, masz karty? Nie masz!

— Ptak biedny.

— Może dobrzy ludzie się nad nami zlitują. Potrzebujemy tylko dachu nad głową i informacji.

— Jak sobie chcesz. — *Puk, puk, puk* pochwy zaczęło się oddalać, podobnie jak cała masywna sylwetka Świni widoczna w poświacie krain niebios. — Oreb zgłodniał. Prawda, Oreb? Dziabnąłbyś jakieś ślepię, co? Nie mów, żeś nigdy nie wydziobał nikomu ślepie. Świnia zna takich jak ty.

Oreb przefrunął mu na ramię.

— Rybie głowy? — Ano! Idziesz, brachu?

Pochwa zadźwięczała tępo o drewno, a potem przez chwilę ciszę mącił tylko stukot kostura i szuranie stóp.

— Idę — odparł. — Trochę źle oceniłem twoją pozycję. Skąd wiedziałeś, że tu są domy? Dopóki mi o nich nie powiedziałeś,

nie widziałem ich.

— Żem wyczuł. — Pochwa znów stuknęła w drzwi. — Na facjacie.

Wydawało mu się niemożliwe, żeby tak szybko dotarli do przedmieść Vironu.

— Dużo ich jest?

— Po obu stronach drogi. Tyle Świnia wie.

— No, to i tak sporo.

— Ślepym. Oreb więcej pogada. Ile jest domów, Oreb? Policz. Oreb zaklekotał dziobem.

— Dużo domów.

— No i masz. — Pochwa zadudniła o drzwi. — Trzeba słuchać. Mało kto słucha. Pochowali się. Myślisz, że słyszą, gdy tak grzecznie pukamy? Jakby im Świnia drzwi wykopał, toby musieli posłuchać, nie? Musieliby.

Donośny łomot oznaczał zapewne, że Świnia kopnął obutą stopą w drzwi.

— Przestań! Proszę cię, przestań. Możemy spróbować w następnym domu.

— Ano.

Następne kopnięcie rozbrzmiało tak głośno, że z pewnością zwróciło uwagę siedzącego na moście pół mili dalej bożęcia.

Ze środka dobiegł głos:

— Odejdźcie!

— Najpierw je wyważę — zadudnił Świnia. — Potem rozwalę następne. I to raz-dwa.

Wymierzył drzwiom trzeciego potężnego kopniaka. Z wnętrza domu dał się słyszeć przerażony kobiecy głos.

— Co ona gada? Załapałeś coś, brachu?

— Nie. — Końcem kija namacał masywny bucior Świni. — Proszę otworzyć drzwi — rzekł, podnosząc głos. — Nie zrobimy wam krzywdy.

W szparze pod drzwiami zamigotało złote światło. Rozległ się zgrzyt i łoskot sztaby wyjmowanej z uchwytów.

— No... — mruknął Świnia. — Już lepiej.

Drzwi uchyliły się na grubość kciuka, a potem otworzyły się z impetem na całą szerokość, gdy Świnia przyklęknął i pchnął je barkiem. Kobieta krzyknęła przerażona.

— Proszę się niczego nie obawiać. Gdybyście nam otworzyli, kiedy pukaliśmy, obeszloby się bez takich zabiegów.

— Kim pan jest? — Głos, który przedtem kazał im iść precz, drżał.

Przeszedł przez próg i położył dłoń na ręce gospodarza, próbując go uspokoić jak spłoszonego konia albo psa.

— Mój przyjaciel jest niewidomy. Nie boicie się chyba ślepcy, prawda? A już z całą pewnością nie macie powodu bać się mnie. Nie chcemy was okraść. Odłóż ten nóż, bardzo cię proszę. Komuś mogłaby się stać krzywda.

Kobieta pisnęła ze strachu. Gospodarz się cofnął. W jednej ręce trzymał świecę, w drugiej — okazałych rozmiarów nóż rzeźnicki. Nie wyglądało na to, żeby chciał się rozstać z jednym albo drugim.

— Tak lepiej. Niech Zewnętrzny, Pah i wszyscy inni bogowie pobłogosławią ten dom.

Uśmiechnął się, nakreślił w powietrzu znak dodawania, po czym odwrócił się do Świni i skulił się odruchowo, pierwszy raz widząc tę olbrzymią twarz, brudne łachmany, splątane włosy i pozwijaną w loki czarną brodę. Świnia zamierzał wejść do

domu na kolanach. Schylił się pod nadprożem i właśnie przepychał barki przez drzwi.

— Szukamy oczu. — W takich okolicznościach wyglądało to na dobry wstęp do rozmowy. — Dla mojego przyjaciela. Znać może lekarza, który mógłby wszczepić niewidomemu nowe oczy?

— W mieście — wykrztusił gospodarz. — W Vironie powinniście takiego znaleźć.

Był to jakiś postęp.

— Świetnie. Jak się nazywa?

— Nie znam go, ale... ale...

— Ale myślisz, że w mieście może nam się udać?

Mężczyzna z zapalem pokiwał głową.

— Rozumiem... W takim razie musimy udać się do miasta.

Gospodarz przytaknął z jeszcze większym entuzjazmem niż przed chwilą.

— Tak właśnie zrobimy. Najpierw jednak musimy odpocząć.

— Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spał. Na próżno.

— Potrzebny nam kąć, w którym moglibyśmy się przespać. Chcielibyśmy też wyzebrać jakieś jedzenie...

Oreb przysiadł mu na ramieniu.

— Rybie głowy?

— Chodzi zwłaszcza o jakąś karmę dla mojego ptaka i pożywienie, obawiam się, że w znacznych ilościach, dla Świni, mojego kompana. Przykro mi, że was wystraszyliśmy, ale słyszeliśmy, że jesteście w domu i kiedy nie chcieliście nam otworzyć, Świnia się zezłościł.

Mężczyzna mruknął coś niezrozumiale.

— Dziękuję. Bardzo dziękuję. Naprawdę jesteśmy wam ogromnie wdzięczni.

— ... nie wygląda na augura... — wyszeptała kobieta, dostatecznie głośno, żeby usłyszał jej słowa.

— Nie jestem augurem, lecz człowiekiem świeckim, tak jak twój mąż, pani. Sam mam żonę, która została w domu. Czy macie coś przeciwko temu, że wam błogosławię? Zapewniam was, że świecki, i to dowolnej płci, także może udzielać błogosławieństwa.

— Jestem Ogar — przedstawił się mężczyzna. — A to Wrotycz, moja żona.

Próbował wcisnąć jej w dłoń rzeźnicki nóż, a kiedy nie chciała wziąć, rzucił go na krzesło i wyciągnął rękę na powitanie.

— Ja mam na imię Róg. — Uścisnęli sobie ręce.

Świnia wyciągnął swoją dłoń, wielką jak szufla.

— Przepraszam. Nie chciałem przestraszyć.

— Mój ptak wabi się...

— Oreb!

Uśmiech rozświetlił drobną, bladą twarz przestraszonej Wrotycz.

— Przyniosę wam zupy.

— Możecie spać tutaj, w domu — zaproponował Ogar — albo... Może zjecie na dworze? Tu będzie ciasno. Na tyłach domu rośnie ogromne drzewo. Pod nim stoją ławki i stół.

Rzeczywiście. Świnia usiadł na ziemi, a oni dwaj na ławkach.

— Niestety, nie mamy wina — uprzedził przeproszającym tonem. — Ale jest piwo.

— A woda? — zagrzemiał Świnia.

— O tak, wodę mamy bardzo smaczną, z dobrej studni. Chcesz?

— Ano. Dziękuję.

Ogar, który dopiero co usiadł, poderwał się z miejsca.

— A co dla ciebie, Rogu? Piwo?

— Nie, też poproszę wody. Jeśli to nie kłopot, prosiłbym również, abys przyniósł jakieś małe naczynie, z którego Oreb mógłby się napić.

Wrotycz wyszła z domu z wypchanymi kieszeniami i parującą wazą w rękach.

— Staram się podtrzymywać ogień w piecu, żeby nie musieć rozpalać go od nowa przed każdym posiłkiem. Założę się, że twoja żona też tak robi.

Pokiwał głową.

— Wygrałabyś zakład.

— Skoro już więc nagotowałam zupy, trzymam ją na ogniu, żeby była cały czas ciepła. Więc nie muszę jej długo grzać. To nie jest żadna konkretna zupa, obawiam się. Zwykła, nasza zupa, jaką często jadamy z Ogarem. Jest w niej fasola, ziemniaki... No i dla lepszego smaku dodałam marchwi.

— Pięknie pachnie. Szynką. Świnia czuje.

Waza zajęła honorowe miejsce na środku stołu, obok świecy, którą postawił tam Ogar. Cztery miski zadźwięczały o blat, chwilę później dołączyły do nich grzechoczące łyżki.

— Przyniosę chleba. Jak ona ma na imię, Rogu?

Spojrzał na nią pytająco.

— Twoja żona...

— Ach, tak. Pokrzywa. Może ją znaliście? Dawno temu, w dzieciństwie, mieszkała w Vironie.

— Nie. To rzadkie imię. Chyba nigdy nie znałam żadnej Pokrzywy.

Wrotycz odeszła od stołu, zamieniła kilka pospiesznych zdań z mężem stojącym przy studni i wróciła do kuchni.

— Przyniesie kubki — wyjaśnił Ogar, stawiając wiadro z wodą na stole, obok wazy. — I piwo dla mnie. Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, prawda?

— Skądże. — Róg zawiesił głos, usiłując zebrać myśli. — Może na początek opowiem wam... A właściwie opowiemy sobie nawzajem, kim jesteśmy, dobrze? Wiem, że zwykle nie zaczyna się w ten sposób rozmowy, ale spróbujcie mnie zrozumieć. Pilnie potrzebuję pewnych informacji i mam nadzieję, że kiedy wyjaśnię wam trojgu dlaczego, będziecie bardziej skłonni mi ich udzielić.

Wrotycz położyła na stole szeroką deskę do krojenia, bochen ciemnego chleba i nóż. Rozdała wszystkim kubki.

— Mogę wam opowiedzieć o nas — zaproponowała. — Chyba że Ogar wolałby to zrobić. Mam mówić?

— Mów — zgodził się Ogar.

Świnia sięgnął po swój kubek i popchnął go przez stół.

— Lepiej wy mi nalejcie.

— Znacie już nasze imiona — zaczęła Wrotycz. — Pytałeś, czy znałam twoją żonę, kiedy w dzieciństwie mieszkała w mieście. Nie, nie znałam jej. Dorastałam tutaj, w Zaścianku, tak jak i Ogar. Jednakże przez długi czas mieszkaliśmy w mieście. Wyprowadziliśmy się dopiero pięć lat temu, kiedy zabrakło dla nas pracy.

— Pracy dalej nie ma — wtrącił Ogar. — Wcale albo prawie wcale.

— Przenieśliśmy się do miasta i pracowaliśmy tam do czasu śmierci naszego ojca. Matka przysłała nam wtedy list, w którym napisała, że możemy przejąć sklep. — Wrotycz zaczęła nalewać zupę.

— Matka mieszka po sąsiedzku — wyjaśnił Ogar. — Dlatego Wrotycz tak się wystraszyła, jak zagroziliście, że tam też wyważycie drzwi.

— Zgodziliśmy się. Prowadzimy sklep. Ogar głównie jeździ do miasta i szuka chodliwych towarów, które moglibyśmy dostać w dobrej cenie. Jest w tym świetny. Matka i ja spędzamy większość czasu w sklepie i sprzedajemy to, co przywiezie Ogar. Mamy młotki i zwykle gwoździe; dużo ich schodzi. Mamy też papiaki, śruby, cynowe naczynia i garnki.

— Oraz wiertła, strugi i piły — dodał Ogar. — Zona zapomniała o nich powiedzieć. Zanim przejęliśmy interes, byłem stolarzem. Mamy dom, nieduży, ale własny. Matka jest właścicielką sklepu i ma osobny dom. Dzielimy się z nią dochodami ze sklepu, a ona czasem pomaga mojej Wrotycz. Oto nasza historia, Rogu. Chyba że chcesz usłyszeć także coś o naszych braciach i siostrach.

Pokręcił przecząco głową.

— Dziękuję. Obyczaj nakazuje nam, gościom, przedstawić się pierwszym. Byliście niezwykle łaskawi, dając przykład. — Podał Świni napełniony kubek. — Proszę. To na pewno smaczna woda. Kiedy się spotkaliśmy, powiedziałaś, że podążasz na zachód, zdaje się?

— Ano.

Sam też nalał sobie wody, a następnie podstawił pełną chochlę Orebowi.

— Powiesz nam coś więcej? Jeżeli nie, wystarczy nam to, co już usłyszeliśmy — Ano, powiem. Nie chcę tylko wszystkiego wam tu wypląkiwać. Co mam gadać?

— Co ci się stało? — spytała Wrotycz. — Jak...

Świnia zaśmiał się tubalnie.

— Jak to jest, żem taki wielgachny, co? Cudak ze mnie, mamuśka mawiała.

— Jak to się... — Wrotycz zawiesiła głos. — Chcielibyśmy mieć dziecko, ale się boję, no wiecie... że coś będzie z nim nie tak. To znaczy, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby urosło duże i silne, tylko...

— Bez urazy — wtrącił Ogar. — Czy w dzieciństwie widziałeś normalnie?

— A pewnie. Żem był żołnierzem. Ale mnie capnęli i żem się nie spodobał. Jeszczem zobaczył, jak mi w ślepie nożem celują, i tyle. Potem mnie gdzieś obwozili, ale nic nie widziałem. Żem tylko słyszał. Rzucali we mnie czymś. To było na górze, w kraju światła, w górach. Bo tu, na dole, jest płasko. — Podniósł do ust łyżkę zupy i siorbnął głośno. — Nic nie jesz, brachu. Co z tobą?

— Ja... — Róg wziął do ręki łyżkę. — No tak, słyszałybyś pewnie, jak jem. Chociaż staram się nie hałasować przy stole. Szukasz nowych oczu?

— Ano. Znasz jakieś inne małe ludki, brachu?

— Chodzi ci o dzieci? Czy o nas? Z twojego punktu widzenia na pewno jesteście mali.

— Mniejsze niż wy. Tutaj o nich nie słyszeli, ale tam, w kraju światła, to tak. Raz przychodzą, raz odchodzą. — Świnia wyciągnął rękę nad blatem stołu. — Mali tacy. Zanim żem ślepie stracił, rzadko się pojawiali. No i rzadko kto ich widział z bliska. Potem zaczęli przyłazić częściej, bo wiedzieli, że nic im nie zrobię. Byle mi się pod nogami nie pętali.

Świnia przerwał opowieść i rozczesał palcami brodę.

— Przedtem to nawet może i wcale ich nie było. Taki jeden Flannan to najczęściej przyłaził. Dalej nie jesz, brachu?

— Chyba nie jestem bardzo głodny...

— Ptak je!

— Poza tym uważnie cię słucham. — Róg nabrał zupy i spił ją z łyżki. — To się działo w górach, w kraju światła, jak go nazywasz?

— Ano, krewniacy wzięli się mną zaopiekowali, po tym jak tamci mnie puścili. Żem sobie siedział kiedyś w słońcu, sam, na kamieniu; żem wiedział, że słońce świeci, bo mi facjatę grzało. A tu przychodzi ten Flannan. I gada, że na zachodzie dawają nowe ślepie. Musisz, gada, iść na drugi koniec słońca, nie? Tak powiedział Centralny Procesor, gada Flannan. Coś się tak wystraszył, brachu?

Róg upuścił łyżkę do miski. Wrotycz też się zaniepokoiła.

— Co się stało?

— No oczywiście! Ależ ze mnie dureń! Mówiłeś o małych ludziach, Świnio... Powinienem był się domyślić. Oni umieją latać, prawda?

— Czy umieją? Ano, brachu, umieją.

— Nazywamy ich tutaj lotnikami. Kiedyś znałem jednego. A góry, o których mówiłeś... Czy to Góry Spoglądające ku Górom?

— Ano, brachu. Ale to za długie, więc Świnia mówi po prostu „góry” i już.

Róg spojrzał na Wrotycza i Ogara.

— Góry Spoglądające ku Górom otaczają Centralny Procesor przy biegunie wschodnim. Kiedyś tam byłem. Przelatywaliśmy nad nimi.

— Ty też potrafisz latać? — spytała Wrotycz z szeroko otwartymi oczami. — Jak lotnik?

— Nie, leciałem jako... pasażer, tak chyba należałoby powiedzieć, na statku powietrznym rani Trivigaunte. Było nas więcej: Alka, Acalypha, Pokrzywa, ja, maytere, patere Remora...

Mnóstwo ludzi. Poleciliśmy do Centralnego Procesora i rozmawialiśmy z umarłymi. Wiem, jak to brzmi. Nie musicie mi wierzyć; nie mogę mieć o to do was pretensji.

— Ptak leci! — obwieścił Oreb.

— Chcesz odlecieć, dobry ptaku? — Wyłowił z zupy plasterek selera i podał go krukowi.

— To... — Wrotycz odgarnęła opadający jej na oczy kosmyk włosów. — Jesteście niezwykłymi ludźmi, Rogu. Obaj.

— Każdy jest na swój sposób niezwykły — odparł z powagą. — Nie wykorzystałem życia tak, jak powinienem; za mało się nauczyłem. Ale tego jednego jestem pewien. To niepodważalny fakt. Taka wiedza to też nie byle co. — Zwrócił się do Świni: — Nie chcielibyście jednak słuchać mojej opowieści, a już z pewnością ja nie mam ochoty jej wysłuchiwać. Wracając do tego lotnika, Flannana... Powiedział, że na biegunie zachodnim mogliby ci dać nowe oczy? Centralny Procesor twierdzi, że to wykonalne?

— Czy tak gadał? Ano tak. No to jak tylko odleciał, Świnia też ruszył w drogę. Ale to długa droga.

— Do bieguna zachodniego? — upewnił się Ogar. — Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wybierał się tak daleko. A ty, Rogu?

— Nie. To setki mil. Jeżeli mnie pamięć nie myli, Sciathan, bo tak się nazywał ten mój znajomy lotnik, powiedział mi kiedyś, że nawet konno do wschodniego bieguna jechałoby się wiele miesięcy. A wydaje mi się, że w tej chwili jesteśmy znacznie bliżej właśnie wschodniego bieguna niż zachodniego. Jest więc całkiem możliwe, że wędrowka zajmie Świni całe lata. — Rok już tak idę, brachu. — Świnia pochylił się w jego stronę. Na jego olbrzymiej, pospolitej twarzy, przewiązanej brudną chustą i podświetlonej chybotliwym blaskiem świecy, malowała się

desperacja. — Tylko że jeśli tam dawają nowe ślepie, to może dają je też gdzie indziej, nie? Żem pomyślał, że popytam po drodze.

— Rzeczywiście, to dobry pomysł.

— Ale jak będzie trzeba, pójdę aż na drugi koniec. Nie musisz tam iść ze mną.

Róg uśmiechnął się, napił wody i znów się uśmiechnął.

— Obawiam się, że w ten Oto sposób doszliśmy do mnie. Mam o sobie opowiedzieć?

Świnia chrząknął, Ogar i Wrotycz pokiwali głowami, Oreb przytaknął:

— Jedwab mówi!

— Jak już wiecie, nazywam się Róg. Urodziłem się w Vironie i mieszkałem tam do czasu, gdy skończyłem piętnaście lat. Wtedy z grupą kolonistów wsiadłem do lądownika, który zabrał nas na Błękit, gdzie założyliśmy miasto, które nazwaliśmy Nowym Vironem. Razem z moją żoną, Pokrzywą, osiedliliśmy się pod miastem, na wyspie zwanej Jaszczurką. Wytwarzamy tam papier, który sprzedajemy... Przynajmniej kiedyś to robiliśmy. — Pociągnął łyk wody. — Zapomniałem już, że tu potrafi być tak gorąco.

— Zwłaszcza ostatnio — przytaknął Ogar. — Upalne lata i krótkie zimy.

— Tak, przypominam sobie: Centralny Procesor nie kontroluje już w pełni długiego słońca. Pah chce was wszystkich zmusić do wyprowadzki.

— Tak mówią augurowie — przytaknęła Wrotycz.

— Gadaj dalej, brachu.

— Jak sobie życzycie. Z czasem Nowy Viron się rozrósł; gdybym nazwał go miastem z prawdziwego zdarzenia,

naprawdę niewiele bym przesadził. Na Błękit przybyło, rzecz jasna, więcej kolonistów. Część dołączyła do nas, osiedlając się w Nowym Vironie albo na podległych mu terenach, gdzie uprawiają ziemię, łowią ryby i prowadzą wyrąb drewna. Niektórzy pochodzą z Vironu, jak ja, ale są też mieszkańcy Limny i innych wiosek — tej na pewno także, oraz miast położonych za granicą. Kiedy grupa z innego miasta ląduje na Błękicie, nie pozwalamy im założyć własnego miasta w miejscu lądowania — z powodów, które chyba są oczywiste. Mają do wyboru osiedlić się w Nowym Vironie, wśród nas, albo opuścić nasze ziemie. Większość postanawia połączyć siły z nami.

— Rozumiem — powiedział Ogar.

— Z przykrością muszę tu nadmienić, że niektórych zmusza się, aby zostali z nami i dla nas pracowali; sprzedaje się ich i kupuje jak bydło. Oni również przyczyniają się do wzrostu populacji miasta. Do tego dochodzi przyrost naturalny, który chyba nikogo nie dziwi. My z Pokrzywą mamy trzech synów, a nasza rodzina nie zalicza się do dużych. Bywają takie z ośmiorgiem, a nawet dziesięciorgiem dzieci.

— Szukasz jakiegoś gościa, brachu. Jedwabia.

— Tak, to prawda, i w tej właśnie sprawie najbardziej zależy mi na uzyskaniu informacji. Był znany jako cal de Jedwab albo patere Jedwab. Wiecie może, gdzie go znajdę?

Ogar i Wrotycz pokręcili przecząco głowami.

— Bo widzicie, w Nowym Vironie sprawy nie układają się najlepiej. Bogacze walczą między sobą o wpływy, gromadzą zwolenników i każdy ma nadzieję, że za rok albo dwa przejmie władzę w mieście. A najsilniejsza i tak jest tłuszcza — czyli ci spośród nas, którzy nie uznają żadnej władzy i nie pragną ani sprawiedliwości, ani pokoju.

— Tak jak w Vironie — zauważył Ogar. — Na pewno się nie pomyliłeś?

— Nie. Od dwudziestu lat nie byłem w Vironie. Ogromnie mi przykro słyszeć, że tu także źle się dzieje. Ponieważ jednak ani ty, ani twoja żona nie wiecie, gdzie mógłbym znaleźć patere Jedwabia, rozumiem, że już nie stoi na czele vironskiego rządu.

— To było dawno temu — powiedziała Wrotycz.

— No tak. — Zamieszał łyżką w zupie i wyłowił kawałek kapusty dla Oreba. — Mielśmy nadzieję, że on by nam pomógł. Gdyby zechciał. Dlatego tu przybyłem.

— Z Błękitu? — zaciekawił się Ogar.

— Nie bezpośrednio, ale tak, z Błękitu. Przed laty dobrze znałem calde Jedwabia.

Wrotycz wyjęła z kieszeni fartucha kolorowy zwitek materiału.

— Serwetki! Przyniosłam serwetki i zapomniałam je wam dać.

Wziął sobie jedną i otarł oczy.

— Przepraszam. To dziecinna, wstydliva słabość. Przypomniałem sobie, jak opuszczałem Viron i ostatni raz widziałem Jedwabia. Padał śnieg. To była jedna z tych krótkich zim, o których mówiliście — tym krótsza, że widziałem tylko jej połowę. Może nawet mniej. Jedwab oszedł, zostawiając ślady na śniegu, a my z Pokrzywą zeszliśmy do tuneli. Byłem ogromnie podekscytowany, wydawało mi się, że robimy coś niezwykle śmiałego i że tego właśnie chce od nas Jedwab. Nadal tak uważam. Myśleliśmy, że udajemy się do nowego, pięknego whorla, i rzeczywiście tak było, ale kiedy wracam pamięcią do czasów, kiedy mieszkałem z rodzicami, z siostrami i braćmi, i kiedy wszyscy znaleźliśmy patere Jedwabia, to jest dla mnie

najlepszy czas. Złote lata. To smutne. Jacy my wtedy byliśmy młodzi!

— Biedny Jedwab!

— Bez przesady Orebie. — Uśmiechnął się przez łzy. — Przeżyłem dobre życie, które w dodatku jeszcze się nie skończyło. Kochałem wspaniałą kobietę i kobietę bardzo piękną, i sam byłem kochany. Niewielu jest mężczyzn, którzy mogą tak o sobie powiedzieć.

— Gadajże dalej, brachu.

— Dobrze. Zbudowaliśmy z Pokrzywą dom na Jaszczurce, z dala od zgiełku, strzelanin i złodziejstwa. Można powiedzieć, że byliśmy ubodzy, ale nawet kiedy nie mieliśmy co jeść, byliśmy szczęśliwi. — Przypomniawszy sobie o posiłku, nabrał i skosztował zupy. — Pyszna. Jestem głodny, to zawsze pomaga, ale i tak zupa jest doskonała.

Wrotycz skłoniła mu się lekko, nie wstając. Jej długie czarne włosy załśniły w blasku świecy.

— Żyliśmy sobie spokojnie i wychowywaliśmy synów, aż pewnego dnia przybyło do nas pięcioro możnych obywateli. Zaczęli się skarżyć na sytuację w mieście i słabe plony; szczególnie nędznie w tamtym roku obrodziła kukurydza. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, do czego zmierzają. Pokrzywa też. Nigdy wcześniej nie liczyli się szczególnie z naszym zdaniem — zresztą nawet gdyby chcieli zasięgnąć naszej opinii, niewiele mógłbym im poradzić. Przyplłynął Szpik, który od samego początku był jednym z naszych przywódców, patere Remora i troje innych; mógłbym podać ich imiona i opisać, jak wyglądali, ale moje słowa nic by dla was nie znaczyły. Przypuszczali, że poznali sposób na dostanie się z powrotem tutaj, do whorla długiego słońca. Lądownik, którym

przybyliśmy na Błękit, z pewnością umożliwiłby i znacząco ułatwił taką podróż, gdyby nie fakt, że tuż po wylądowaniu zrabowano z niego prawie całe niezbędne do latania wyposażenie. Niestety, nie nadawał się do naprawy. A Jedwab był naszym przywódcą zanim zeszliliśmy do tuneli; powinienem być wcześniej o tym wspomnieć.

— Jedwab dobry!

Z powagą pokiwał głową.

— Tak, był dobrym człowiekiem. Najwspanialszym jakiego znałem. I najlepszym. Mówi się, że mało który z wielkich ludzi jest naprawdę dobry, ale Jedwab taki był. W dodatku miał w sobie coś, co zmuszało nawet złych, by lubili go i mu ufali. Nie znałem drugiego takiego człowieka.

Wrotycz zerknęła nieśmiało na męża, zanim się odezwała:

— Żałuję, że go nie znaleźliśmy.

— Ja również. Znajomość z nim była jednym z najważniejszych wydarzeń w moim życiu. Napisaliśmy nawet z Pokrzywą książkę o nim. — Zjadł jeszcze zupy. — Kiedy odlatywaliśmy, był calde Vironu. Możecie mi powiedzieć, co się później stało?

— Nie znamy szczegółów — przyznał Ogar. — W każdym razie został zmuszony do ustąpienia. Gdyby mój ojciec żył, wszystko by wam opowiedział. Wiedział znacznie więcej niż my z żoną.

— Byliśmy wtedy dziećmi — dodała Wrotycz. — Miałam... nie wiem... dziesięć lat? Dwanaście? Jakoś tak.

Ogar pokiwał głową.

— Chciał, żeby wszyscy przeszli do lądowników. Sam też zamierzał lecieć, tak mówił. Powtarzał wszystkim, że powinni opuścić whorl. Wycofywał karty z obiegu. To się ludziom nie

podobało. Zaczęły się protesty, zamieszki... Było z tym trochę kłopotów. Wiem, że wielu mieszkańców chciało go aresztować i postawić przed sądem, ale chyba im się nie udało. W końcu był przecież augurem.

— Miał żonę — zaproponowała Wrotycz. — Mama zawsze mu to wypomina. To jej się nie podobało.

Świnia odkaszlnął i splunął.

— Nie jesz zupy, brachu? Szkoda by było, gdyby się miała zmarnować.

Róg odsunął miskę.

— Możesz ją zjeść, tylko podziel się z Orebem. Ja się najadłem. Próbowaleś chleba?

— Nie, brachu. A ty?

— Ukroję ci. Z zupą na pewno będzie smaczny.

— W kuchni zupa stoi na piecu — wtrąciła Wrotycz. — W kotle na pewno jest cieplejsza niż w waszych miskach. Daj, Świnio, podgrzeję ci ją.

— Zdaję sobie sprawę, że właściwie nie odpowiedzieliśmy na twoje pytanie, Rogu — odezwał się Ogar. — Ale i tak powiedzieliśmy ci wszystko, co pamiętamy.

— Nie wiecie, co się stało z Jedwabiem po tym, jak musiał ustąpić z urzędu?

Ogar wzruszył ramionami.

— Wątpię, żeby został zabity czy wtrącony do jam. Ojciec coś by nam powiedział.

— Ludzie różnie gadają — dodała Wrotycz. — Wiecie, jak to jest. Ktoś gdzieś widział go na targu. Ktoś tam słyszał, że Jedwab i jego żona zmienili imiona i zamieszkali w innym mieście. Że w przebraniu chodzi po whorlu i pomaga ludziom. Wielu uważa, że udał się na zewnątrz. Ponoć zawsze to zapowiadał.

Róg ukroił dwie kromki chleba i podał je Świni, kiwając w zadumie głową.

— Dzięki, brachu.

Ogar ziewnął.

— Widziałem go. Powinienem ci o tym powiedzieć. Mój ojciec bardzo go cenił, więc kiedy Jedwab tu przybył, ojciec wziął mnie na barana i mi go pokazał. Kiedyś nawet można było kupić jego obrazek, przez jakiś czas mieliśmy taki nad kominkiem. Pewnie nawet poniewiera się jeszcze gdzieś na strychu.

— Przepraszam, ale chyba przez nas nie możecie się położyć spać... ?

— Już prawie ranek — odparła z uśmiechem Wrotycz.

— Spaliśmy, kiedy przyszłście — dodał Ogar. — Kiedy słońce nie świeci, nie ma co robić.

— Świece są bardzo drogie — dodała jego żona. — Oliwa do lamp również. Kiedyś je sprzedawaliśmy...

— Oliwę nadal mamy, ale bardzo podrożała.

— Nie mamy, bo wszystko poszło, kochanie. Palma wczoraj wykupiła resztki.

— Jutro będę w mieście, może trochę kupię. I tak chciałem się rozejrzeć za świecami. Wy też idziecie do miasta?

— Czy idziem? Pewno! Żeby mi znaleźć ślepią, nie, brachu?

— Tak. Będziemy szukać oczu dla Świni i dla mojej przyjaciółki maytere Marmur, która została w domu. Tak się składa, że właśnie miałem wam o niej opowiedzieć. Jest chemem. Zostały jeszcze jakieś chemy?

— Owszem — przytaknął Ogar. — Chociaż niedużo.

— Oczy maytere zaczęły ją zawodzić. Chciałbym przywieźć jej nowe, jeśli zdołam. Ale zmierzałem do tego, że tamta piątka

przyplęnęła do nas na Jaszczurkę, ponieważ nikt na Błękanie nie znał patere Jedwabia lepiej niż ja i Pokrzywa. Wyjątkiem jest maytere Marmur, która znała go jeszcze lepiej, ale jest już wiekowa i... potrzebuje nowych oczu, jak mówiłem.

Świnia przełknął kęs namoczonego w zupie chleba.

— Mnie się nie musisz bać, brachu.

— Dziękuję. Po prostu wiem, że to musi być dla ciebie przykre. Możecie mi powiedzieć, gdzie mógłbym znaleźć nową parę oczu dla chema?

Ogar pokręcił głową.

— Zdziwicie się pewnie, ale mam pewien pomysł — ciągnął Róg. — Wiecie, gdzie znajdę jakiegoś chema płci męskiej?

— W mieście powinny jakieś być. Bo tu, w Zaścianku, to już wieków żadnego nie widzieliśmy. Ani mężczyzny, ani kobiety.

— Poza żołnierzami — mruknęła Wrotycz.

— Fakt. — Ogar pstryknął palcami. — Jakoś tak... będzie ze dwa miesiące temu, przemaszerowało tędy ze dwudziestu, może trzydziestu żołnierzy. Chemów, naturalnie. Wrotycz ma rację. Ale nie zatrzymali się w Zaścianku ani wtedy nie wracali.

— Dokąd szli? — zainteresował się Świnia.

— Nie mam pojęcia. Po co wam chem płci męskiej?

Oreb też postanowił zadać pytanie, więc chwilowo przestał znęcać się nad otrzymanym od Świni kawałkiem chleba.

— Żelazny człowiek?

— Tak, szukamy żelaznego człowieka. Daj mi znać, gdybyś jakiegoś wypatrzył, bardzo cię proszę.

— Ale po co? — dopytywała się Wrotycz.

— Chemy są zdolne do reprodukcji, tak samo jak biochemy. Jak ty i twój mąż. Powinienem był porozmawiać o tym z maytere Marmur.

— Dwa chemy różnych płci mogą się zejść i zbudować sobie potomka — powiedział Ogar. — Słyszałem o tym.

— My to robimy inaczej — zaprotestowała Wrotycz. — Oni muszą wyprodukować części i złożyć z nich dziecko. To nie to samo. Nasze dziecko będzie rosło we mnie. Modlimy się o to.

— No właśnie. Ty i Ogar możecie sobie zrobić syna. Gdybym miał więcej czasu, poszukałbym lepszego słowa niż „zrobić”, ale na razie to musi nam wystarczyć. Różnica polega na tym, że wy robicie całe dziecko naraz, nie po kawałku, w częściach, które trzeba potem składać w całość. Nie musicie robić najpierw nosa, potem oczu, serca, wątroby. Dlatego nawet gdyby siedział z nami przy stole doskonały chirurg, wybacz, Świnio, że o tym mówię, ale to konieczne, nawet gdyby był wśród nas chirurg, który umiałby wszczepić Świni nowe oczy, wy dwoje nie umielibyście tych oczu dla niego wyprodukować. Oczywiście chemy wytwarza się zupełnie inaczej. Każdy rodzic dysponuje połową informacji niezbędnych do stworzenia i złożenia części. Teraz uważajcie: kiedy moja droga maytere Marmur wyłupiła sobie jedno oko — jak mówiłem, oboje oczu odmówiło jej posłuszeństwa — zrobiła to z wielką łatwością i wyjęła je jako jeden spójny element. Czy wyrażam się jasno?

— Jak najbardziej — odparł Ogar.

— Oboje jej oczu przestało funkcjonować, chociaż nie jednocześnie. Gdyby zepsuły się w tym samym momencie, maytere z pewnością by się domyśliła, że problem leży gdzie indziej, głębiej, i same nowe oczy nie wystarczą, żeby znów zaczęła widzieć. Tymczasem najpierw przestało działać jedno oko, a po jakimś czasie, niezbyt długim, drugie. Wiem, że maytere Marmur odziedziczyła niektóre części po zmarłej wcześniej maytere Róży... maytere Róża również była sybillą,

najstarszą w naszym manteionie. Wątpię jednak, by maytere Marmur wzięła od niej akurat oczy. Jeżeli nie mylę się w rachunkach, oryginalne oczy służyły jej ponad trzysta lat, myślę więc, że zwyczajnie się zużyły.

Świnia odłożył łyżkę.

— Ha. A nie próbowała se zrobić nowych, brachu?

— O ile wiem, nie. Nic mi o tym nie mówiła, a nie widzę powodu, dla którego miałyby ten fakt przede mną ukrywać.

— Trza było spróbować. Dobrze radzę.

— Zgadzam się z tobą. Dlaczego nie spróbowała? Domyślam się, że nie wiedziała, jak to zrobić. Ponieważ małe chemy potrzebują oczu, wynikałoby z tego, że wiedza o ich konstrukcji jest domeną chemów płci męskiej. Jeżeli jakiegoś znajdę, spróbuję go namówić, aby zrobił maytere Marmur nowe oczy i mi je dał.

— Mógłbyś jeszcze znaleźć trupa, brachu — zauważył z namysłem Świnia. — I wydłubać mu ślepie.

— To prawda, o ile tylko udałoby mi się ich przy tym nie zniszczyć. — Spróbował usiąść prosto i przestać się garbić. Bez powodzenia. — Nie chcę wam przerywać rozmowy, przyjaciele, ale jestem bardzo zmęczony, a mówiliście, że wkrótce rozjaśnienie. Pozwólcie, że was opuszczę.

— Oczywiście — zgodził się Ogar.

— Możesz spać w domu, jeśli chcesz — zawtórowała mu Wrotycz. — Albo przyniosę ci koce tutaj.

— Gdziekolwiek się położę, będzie mi wygodnie.

Odszedł trzy kroki od stołu, osunął się na kolana i wyciągnął na suchej, szorstkiej trawie.

Świnia namacał po omacku swój rapier, wziął go do ręki i wstał.

— Ja też se legnę, brachu. Dobrej nocki wszystkim.

— Rogu? — odezwał się jeszcze Ogar. — Nie chcielibyście pójść jutro ze mną?

Nikt nie odpowiedział.

— Pojadę na ośle, Świnio. Dwa juczne będę prowadził luzem, więc... Teraz, kiedy wstałeś, widzę, jaki jesteś wysoki...

— Osioł to nie dla mnie. — Śmiech zadudnił Świni w piersi. — Dzięki. Brach na pewno się ucieszy. I podziękuje lepiej niż Świnia. Dobry z ciebie gość.

Wrotycz dotknęła ramienia męża.

— Klosz już prawie się podniósł, kochanie.

— Niech odpoczną, poczekam. Jeśli będzie trzeba, zanocujemy po drodze. — Ogar spojrział na Świnię. — Jest jeszcze coś, o czym chcielibyśmy porozmawiać. Krótko się z Rogiem znacie, prawda?

— Że krótko? Ano. Żeśmy się dziś na drodze spotkali. Ale nie powiesz nic, czego by stary Świnia nie wiedział.

— Chodzi o to... — Ogar posłał żonie bezradne spojrzenie. — Siedzieliśmy przy stole i udawaliśmy, że wszystko jest w porządku. Ty, Wrotycz, ja. Tylko ptak niczego nie udaje.

— Ptak dobry! — stwierdził Oreb tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Czy wiesz to, co my wiemy, Świnio? — spytała Wrotycz. — Nie jesteś stąd...

— Ano.

— Ja też udawałam. Znam Ogara jak nikt inny; zorientowałam się, kiedy otworzył wam drzwi. I po tym, jak z wami rozmawiał. Naprawdę od razu wiedziałam.

Ogar wziął głęboki wdech.

— Cały czas powtarzał, że szuka calde Jedwabia. Ale to przecież on jest calde Jedwabiem, Świnio! Ty go nigdy wcześniej nie widziałeś, lecz ja słyszałem, jak ludzie powiadali, że mieszka z żoną w starej plebanii, niedaleko stąd.

— Ano, chłopcze. Żem chciał do nich wpaść, ale go w domu nie było. Drzwi żem rozwarł, a tu jego żona zimna, trup, w trumnie leży. Żem wymacał. A potem żem spotkał jego i Oreba. Żem wiedział, kto on jest, a on mnie nie zna. — Świnia usiadł ciężko na trawę. — Świnia szczęściarz, mówicie? Ha... A on? Czas pokaże. Świnia wie tyle, co i Oreb. — Położył się na wznak, przyciskając broń do piersi. — Wołajcie go Róg, jak się obudzi. I mnie też obudźcie, co?

Chwilę później już chrapał. Ogar i Wrotycz spojrzeli po sobie, ale żadne nie wiedziało, co powiedzieć.

Siedział w łodzi. Pod wodą czaił się potwór większy i bardziej przerażający od grzbietoskóra; jego paszcza przezierała spod długich, łagodnych fal. Otworzył swój stary piórnik, zanurzył czarne pióro w buteleczce z atramentem i zaczął gorączkowo pisać, wiedząc, jak niewiele, jak bardzo niewiele czasu mu pozostało.

Wyruszam właśnie do Pajarocu, zaczął. Nie wiem jeszcze, co się tam wydarzy; nie wiem nawet o tym, że Ściągno, mój syn, postanowił mnie wytropić i udać się ze mną na Zieleń, ani o tym, że Krait, syn mojej córki Jahlee, wkrótce dołączy do mnie i zostanie moim synem.

Chrobot pióra ścichł. Spojrzał na papier. Kim był Krait? Nie miał przecież ani córki, ani synów.

Na zachód od niego samotny ptak krążył nad wodą. Raz po raz jego czarna sylwetka rysowała się na tle słońca. Wiedział, że ptak wabi się Oreb i w locie wykrzykuje:

— Jedwab?! Jedwab?! Jedwab?!

Był jednak zbyt daleko, by usłyszeć jego chrapliwy głos. Wpadł na pomysł, żeby wstać i pomachać ręką, przywołać Oreba albo wywiesić na maszcie zapaloną latarnię i zwabić kruka do siebie — a przy okazji przywołać także grzbietoskóra czy inne monstrum czyhające w wodzie, aby przybyło zaintrygowane jego ognistą wieczorną modlitwą. Miał ochotę wychylić się za burtę i spojrzeć w potworne oblicze bestii, sprowokować ją, aby wynurzyła się i zniszczyła go, jeśli tylko potrafi. Nie zrobił nic.

Łódź się zachybotwała — jak kołyska, którą zbił dla Racicy i Skóry, swobodnie mieszcząca dwójkę dzieci, żeby Pokrzywa, siedząc w morzu, mogła kołysać obu bliźniaków jednocześnie. Lewą ręką bujała kołyskę, prawą zaś prowadziła pióro: *Patere Jedwab doznał objawienia na boisku; od tej chwili wszystko miało się zmienić*. Książka, której nigdy nie potrafili zacząć, nareszcie się zaczęła. Książka, która natchnęła go do podjęcia próby wytwarzania papieru — wytwarzania papieru, które powiodło się nadszpiewanie dobrze tam, gdzie żadna inna działalność nie miała szans; wytwarzania papieru, który uczynił go obiektem zazdrości braci i przedmiotem dumy matki; wytwarzania papieru, który stał się zbawieniem dla jego rodziny.

Wyruszam do Pajarocu.

Kim był Pajarocu? Co zrobił? Skreślił wers i zaczął jeszcze raz:

Ten stary piórnik jest bez wartości. Zupełnie bez wartości. Można by cały dzień chodzić po bazarze i nie znaleźć żywej duszy, która dałaby za niego chociaż jedno świeże jajko. A jednak ma w sobie...

Wystarczy.

Tak, wystarczy. Dość tych bzdur.

Właśnie. Tak było dobrze. Wyciągnął rękę, chcąc przewrócić stronę, aby zacząć pisać na następnej, ale niepotrzebnie. Ta, którą zapisał, pozostała pusta.

Wstał i krzyknął. Nie mógł sobie jednak przypomnieć imienia ptaka, a zresztą ptak i tak nie chciał przylecieć, nie słyszał go, tkwił w piórniku, obojętny na to, jak gwałtownie krzyczy czy jak głośno wymachuje rękami. Stwór z ostrymi kłami i błyszczącymi ślepiami płynął w jego stronę, ku wschodowi, zawsze, na wieki ku wschodowi, prosto jak strzała, oddalając się od Zaciemnienia i zostawiając za sobą delikatnie fosforyzujący ślad na wodzie.

Krzyczał tak długo, aż z morza wynurzyła się Alga, żeby go pocieszyć. Dwoma białymi, gładkimi dłońmi przeczesła mu włosy.

— To sen, Rogu. Tylko sen. Jeżeli kogoś ci trzeba, ja i Ogar jesteśmy przy tobie.

Chciał, żeby z nim została, żeby położyła się z nim w łodzi i dalej go pocieszała, ale kiedy próbował ją objąć, zniknęła. Zapadał zmrok, wschodziła Zieleń jak złowrogie nefrytowe oko. Na stojaku leżały butelki z wodą, ale łódź zniknęła, a wraz z nią zniknęło słone morze, będące rzeką Gyoll, w której pływały zwłoki ogryzane przez olbrzymie żółwie z dziobami jak papugi;

rzeką, którą krążyła wraz z whorlem; rzeką, nad którą gwiazdy nigdy nie zachodziły. Dotarł do jej ujścia i było już za późno.

Usiadł. Otaczały go dobrze zapamiętane ściany jamy pocięte wilgotnymi szczelinami, które prowadziły w głąb zawalonych przejść, na wpół wypełnionych ziemią i kamieniami.

— Tu wszędzie jest ziemia — rozległ się głos za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył Pajaka siedzącego na obalonej kolumnie. Rozmawiał z małymi dziewczynkami w wykrochmalonych sukienkach.

— Tu wszędzie jest ziemia — powtórzył i dodał: — To widać po wykonaniu.

Zapytał uprzejmie, gdzie znajdzie Hiacynta.

— Na dole. — Mała blondyneczka wskazała wyciągniętą ręką.
— Jest tam, na dole, tak jak ja i Pajak.

Dziewczynka z ciemnymi włosami pokiwała głową.

— Tam, dokąd idziesz. Nie wróci. Weź ciasteczko dla psa.

Pajak również skinął głową.

— Na dole też jest ziemia. To widać po wykonaniu.

Pajak wyjął z kieszeni coś zielonego i mu podał. Było to jedno z tych zielonych pełzających światełek, które rozjaśniały mrok w tunelach. Zaczęło mu pełznąć po wnętrzu dłoni, lśnić w blasku słońca, dopóki nie zacisnął pięści.

— Dziękuję — powiedział. — Jestem ci ogromnie wdzięczny.

— Na razie mi nie dziękuj — odparł Pajak. — Podziękujesz, jak już tam zejdziesz.

Uklęknął, precyzyjnie się przez otwór i znalazł się z powrotem na łodzi. Zielone światełko, które przykleił do sufitu, zmieniło się we wschodzącą Zielen, złowrogo otwarte oko. Świnka siedział na rufie z ręką na rumplu. Oreb przysiadł mu na ramieniu.

— Jedwab dobry — powiedział kruk.

Świnia zdjął z oczu brudną szarą przepaskę — a wtedy ten, któremu wydawało się, że widzi, stwierdził, że widzi naprawdę. Ogromna, brodata twarz Świni była twarzą Jedwabia.

— To naprawdę bardzo miło z twojej strony — powiedział do Ogara, umywszy się i wypiwszy zaparzoną przez Wrotycz mate.

— Czy jednak nie wyruszymy przez to zbyt późno?

— Dość późno — zgodził się Ogar. — Ale to bez znaczenia. Zwykle wyruszam przed rozjaśnieniem, co Wrotycz z pewnością potwierdzi, bo wstaje wtedy razem ze mną, chociaż proszę ją, żeby tego nie robiła, i przyrządza mi śniadanie.

Wrotycz parsknęła śmiechem.

— Kiedy wyjedzie, ja wracam do łóżka.

— Przy dobrej pogodzie wystarczy solidnie pogonić osły, żeby zdążyć na wieczór do sympatycznej gospody w centrum miasta. Nocleg nie jest zbyt drogi, a ja następnego dnia rano mogę od razu zacząć zakupy.

— Rozumiem.

— Ale nawet gdybyśmy wyruszyli w tej chwili, nie zdążylibyśmy do miasta przed zaciemnieniem. Będziemy musieli zanoćować po drodze. Albo rozłożymy się gdzieś biwakiem, albo prześpimy się w wiejskiej karczmie. Nie jest tak miła jak gospoda w mieście, w której zazwyczaj nocuję, ale zaoszczędzimy parę bitów. A jeśli prześpimy się przy trakcie, to nocleg w ogóle będzie za darmo. Tak czy inaczej jutro będziemy na miejscu i po południu wyruszę na zakupy.

— Mam wam teraz coś ugotować, czy poczekamy, aż Świnia się obudzi? — zapytała Wrotycz.

— Poczekajmy — zdecydował Ogar. — Świnia zje więcej niż my dwaj razem.

— W takim razie chciałabym pokazać Rogowi nasz sklep. Mogę?

Ogar obejrzał się na Roga i wzruszył ramionami.

— Chcesz go zobaczyć? To zwykły sklep, tyle że bardzo mały.

— Ale to nasze miejsce pracy, więc dla nas wcale nie jest taki zwyczajny — zauważyła Wrotycz. — Jest nasz. Jedyny.

Sklepek mieścił się przy głównym placu, niedaleko domu, w którym mieszkali, znajdującego się na obrzeżach wioski.

Róg z szacunkiem odczekał, aż małżonkowie podejną po trzech schodkach do drzwi i je otworzą.

— Wątpię, żebyśmy o tak wczesnej porze mogli liczyć na jakichś klientów — powiedziała Wrotycz. — Jeśli jednak tak się zdarzy, sprzedamy im to, po co przyjdą, a potem znów zamkniemy i wrócimy do domu. Otworzę sklep na dobre, kiedy wy trzej już ruszycie w drogę.

— Mówiliście, że jest mały. — Róg powiódł wzrokiem po błyszczących garnkach i patelniach zwieszających się z sufitu, po beczułkach pełnych gwoździ, po młotkach i piłach zawieszonych na wbitych w ściany hakach. — Tymczasem jest większy od naszego domu na Jaszczurce, w którym odchowaliśmy trójkę dzieci.

— Na piętrze są pokoje — dodała Wrotycz. — Mój ojciec kiedyś je wynajmował. My też próbowaliśmy, ale nikt nie chciał.

— Teraz tyle domów stoi pustych... — mruknął Ogar. — Nic, tylko wybierać.

— Dlatego na górze urządziliśmy magazyn. Jest tam też łóżko; mama może się położyć, kiedy się zmęczy. Powinniśmy byli wczoraj cię tu przyprowadzić, spałbyś w łóżku.

— Mój ojciec miał w mieście podobny sklep. Podobny, tylko mniejszy. Sprzedawał w nim papier, pióra, atrament, księgi rachunkowe.

Ogar uniósł z zaciekawieniem brwi.

— Niegłupi pomysł. W Zaścianku nie ma gdzie kupić papieru. Zobaczę, ile kosztuje ryza w mieście.

— Tutaj nikt tyle nie kupi — zwróciła mu uwagę Wrotycz.

— Naturalnie — przytaknął z ożywieniem. — Moglibyśmy brać po bicie za dwa arkusze i kopertę. Mamy butlę atramentu; będziemy go sprzedawać na miarki.

— Ale pióra? Piór nie sprzedamy. Tu każdy albo poluje, albo trzyma gęsi czy kaczki.

— Albo robi jedno i drugie — zgodził się Ogar. — Spójrz na ten ubijak, Rogu. Sam go zrobiłem, więc był za darmo, a wyceniliśmy go na dziewięć bitów. Tyle kosztowałyby w mieście. Jesionowy trzonek, obuch z wiązu. Polerowany pumeksem i natarty olejem lnianym.

— Który źle się pali w lampach, ale doskonale nadaje się do drewna — uzupełniła Wrotycz.

Róg wziął młot do ręki i stanął przy oknie, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Wrotycz, trochę onieśmielona, podeszła do niego i podwinęła mu rękaw brązowej tuniki.

— Co ci się stało?

Spojrzał na poplamione bandaże.

— Pokaleczyłem się. Chciałbym móc powiedzieć, że wpadłem na kolczaste krzewy, ponieważ tak wyglądają moje obrażenia, ale naprawdę nie pamiętam, co się stało.

— Niektóre wyglądają paskudnie — zauważył Ogar.

— Zobaczyłam je, kiedy wziął do ręki ubijak — wyjaśniła Wrotycz. — Zdejmę te bandażę, Rogu, i posmaruję czymś rany.

Potem zabandażuję ci je znowu. Zdarza się czasem, że klient się skaleczy, mam więc na górze zapas bandażu i maści.

Podeszła do wąskich schodów w głębi sklepu.

— Sprawiam wam mnóstwo kłopotów — powiedział Róg, zwracając się do Ogara.

— To nie kłopot, tylko przyjemność. — Ogar wyjął mu młot z dłoni i odwiesił na miejsce. — Żałuję tylko, że nic więcej nie możemy dla ciebie zrobić. I że nie ma z nami ojca, bo on też chętnie by ci pomógł.

Oreb wleciał przez otwarte drzwi i przysiadł na trzonku kosy.

— Wstać. Duży człowiek.

— Świnia się obudził, tak?

Kruk poruszył łebkiem w górę i w dół.

— Świnia wstać.

— Powinniśmy do niego wrócić.

— Idzie sklep — wyjaśnił Oreb. — Ptak mówi. Mówi sklep. Świnia idzie.

— Wiesz, zaczynam go rozumieć... — Ogar parsknął śmiechem. — Czy twój przyjaciel przyjdzie tu do nas, Rogu?

Skinął głową. Drobne, żwawe stopy żony Ogara zatupotały na schodach.

— Mam nadzieję, że nas znajdzie.

— Jeżeli trafił spod bieguna wschodniego do Vironu, trafi i tutaj.

— Podwiń rękawy — poleciła mu Wrotycz. — Albo nie, ja ci podwinę. Wyprostuj rękę. Uważaj, może zabolec.

— Mam nadzieję.

Zerknęła na niego podejrzliwie.

— Jak to? Masz nadzieję? Czemu?

— Czuję, że zrobiłem coś złego, nie zdałem jakiegoś egzaminu i zasługuję na karę. — Zawiesił głos. Przed oczami stanęła mu tamta kuchnia i kobieta zawiązująca bandażę, które Wrotycz właśnie rozcinała nożyczkami. — Mówiłem coś wieczorem o tym, że nie pamiętam, gdzie ostatnio spałem? To nieprawda. Spałem na polu młodej pszenicy. Śniła mi się Pokrzywa siedząca na plaży Próbowałem ją ostrzec... Kogoś na pewno próbowałem ostrzec, ale na próżno.

— Biedny Jedwab! — Oreb sfrunął mu na ramię.

— Tak, biedny, bo nikt go nie szuka poza takim durniem jak ja. Może potrzebuje pomocy, a może nie, ale wszyscy bogowie wiedzą, że ja i Nowy Viron potrzebujemy jej na pewno.

— Nie ruszaj się. Nie pierwszy raz rozciąłeś rękę, prawda? Masz tu paskudną bliznę.

Od strony otwartych drzwi dobiegł nowy głos.

— Powiedziałeś, że nikt oprócz ciebie nie szuka calde Jedwabia, przybyszu?

— Kos, na bogów! — odezwał się Ogar. — Czym możemy ci służyć o tak wczesnej porze?

— Dzień dobry tobie i twojej żonie. — Szczupły mężczyzna w średnim wieku, w znoszonej, spłowiałej zielonej tunice, przeszedł przez próg. — Zobaczyłem, że macie otwarte, więc zajrzałem.

Wrotycz podniosła na niego wzrok.

— To Róg, nasz przyjaciel. Poranił się, a ja opatruję mu skaleczenia. Widzisz, jaki jest dzielny?

— Szukasz calde Jedwabia? — Kos potarł pokrytą krótkim zarostem szczękę.

— Tak. Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

— Podobno mieszkał na plebanii, ale nikt go tam nie widział.

— Gdzie to jest? Wskażesz mi drogę?

Zatroskany Oreb zatrzepotał skrzydłami.

— Nie idzie.

— Mógłbym ci pokazać, gdzie to jest, ale jego już tam nie ma. W każdym razie na pewno w tej chwili. — Kos westchnął. — Widziałeś tych ludzi z okutanymi głowami, Ogarze? Owijają je sobie jakimiś szalami, jak kobiety.

Ogar pokręcił głową.

— Tutaj gdzieś?

— Tak, tutaj, w Zaścianku. Nie żartuję. A ty ich widziałeś, przybyszu?

— Nie widzi — odpowiedział Oreb za dwóch.

— Jeśli nie liczyć mojego kompana, Świni, który przewiązuje sobie głowę chustą, aby ukryć puste oczodoły, to nie widziałem nikogo takiego.

— Te zawoje mają zamiast kapeluszy. Myślę, że chcą go zabić. Mają strzelby, szable, noże takie długie... — Kos wskazał wiszącą na ścianie maczetę do kukurydzy. — Mniej więcej takie, tylko ładniejsze. Wczoraj, w czasie wielkiego mroku, przyszli do mnie. Tawuła i Werbena tak się zlekły, że wlażyły pod łóżko. Poważnie.

— Ilu ich było? — zapytał Ogar.

— Trzech. — Kos zawiesił głos. — Wyglądali na cudzoziemców i mieli obco brzmiące imiona, nawet nie umiem sobie przypomnieć. Mirt mówiła, że nie są stąd, i miała rację. Powiedziałem im, gdzie jest stara plebania; tam radziłem im szukać. Nie wiem, czy go tam zastaniecie, ale może się czegoś dowiedzieć o nim.

— Znaleźli go? To dla mnie bardzo ważne.

— Pewnie nie wie — mruknęła Wrotycz, zawiązując Rogowi świeży bandaż na rękę.

— Myślałem, że więcej ich nie zobaczę, ale dziś spotkałem ich znowu. Szli do miasta. Widziałem ich na rozstajach nie dalej jak godzinę temu.

— Znaleźli Jedwabia?

— Podobno nie. Nikogo nie zastali. — Kos parsknął śmiechem. — Nie polubili mnie, to ci powiem. Ale wyjaśniłem, że powiedziałem wszystko, co wiem, i radziłem im popytać w mieście. No to oni na to, że w porządku i że tak właśnie zrobią.

— Ja też wybieram się do miasta, z Rogiem i jeszcze jednym człowiekiem — powiedział Ogar. — Czas na nas. I tak już za długo zwlekamy.

— To prawda. Dziękuję, chociaż nie wiem, jak mógłbym się wam odwdziaczyć za gościnę. Jeśli jednak ci cudzoziemcy zamierzają skrzywdzić Jedwabia, muszę pierwszy do niego dotrzeć. A wygląda na to, że w jednej kwestii wszyscy są zgodni: tu go nie ma.

— Kiedy dotrzemy do miasta, ty i Świnia pójdziecie swoją drogą? — zapytał niepewnie Ogar. — Będziecie dalej szukać calde Jedwabia, lekarza dla Świni i tak dalej?

— Tak przypuszczam.

— W takim razie... — Ogar obejrzał się na żonę. — Chcielibyśmy dać ci coś na pamiątkę, prawda?

Wrotycz podniosła wzrok i rozpromieniła się w uśmiechu.

— Chciałam im dać prowiant na drogę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Ależ naturalnie. Prowiant jednak zjedzą i nic im nie zostanie. A ja chciałbym dać Rogowi coś, co będzie mógł zatrzymać.

— Nie ma takiej potrzeby — odparł. — Biorąc pod uwagę, że będę podróżował głównie pieszo...

— Do miasta pojedziesz na ośle.

— Z konieczności muszę podróżować bez dużego bagażu. Dlatego naprawdę wolałbym nie sprawiać wam kłopotu...

Ogar udał, że go nie słyszy.

— To, co tu widzisz, to wszystko, co mamy. Wybierz sobie coś.

Zaintrygowany Oreb podfrunął, przycupnął na krawędzi kotła i zaczął się przyglądać tarce do jarzyn.

— Mały garnek, w którym mógłbyś coś sobie ugotować, nie będzie dużo ważył — odpowiedział Ogar. — A na pewno się przyda.

— Albo przybornik krawiecki — zasugerowała Wrotycz. — Mógłbyś sobie łątać i cerować ubranie. W takim przyborniku są igły, małe nożyczki, wszystko, co potrzebne, w zawiniątku z kawałka materiału. Zmieściłby ci się w kieszeni.

Wskazał coś ręką.

— Jeżeli naprawdę chcecie mi coś dać, mimo że, jak mówię, naprawdę nie musicie, chciałbym wziąć właśnie ją.

— Latarnię?

Pokiwał głową.

— Wczoraj w nocy... Nie, to chyba było wcześniej, w okresie, który Kos nazwał wielkim mrokiem, wiele bym dał za taką latarnię, znacznie więcej niż posiadam. Ale o tym, by dostać ją za darmo, nie śmiałem nawet marzyć. Jesteście pewni, że chcecie mi ją dać?

— Ależ tak.

— Na zapleczu mają lepsze — szepnął Kos. — Ta kosztuje trzy bity. Mają jeszcze takie po pięć. — To prawda — przytaknął Ogar. — Przyniosę ci taką. — Wyszedł i po chwili wrócił,

trzymając w rękach czarną latarnię, nieco mniejszą od tych ze srebrnej blachy, zawieszonych pod sufitem sklepu. — Ta jest emaliowana. Otwierasz ją w ten sposób, żeby można ją było zapalić, a potem zamykasz. Wtedy już na pewno nie zgaśnie.

Kos pochylił się nad latarnią, przyglądając się jej bacznie, jakby to on miał za chwilę ją dostać w prezencie.

— Myślałem, że nie macie świec.

— Bo nie mamy. Oczywiście w każdej latarni, którą sprzedajemy, jest świeca, ale nie mamy...

Sklepić pogрузił się w absolutnej, nieprzeniknionej ciemności.

— Patrzy — skrzeknął zaniepokojony Oreb. — Uważa!

5

Niezapomniana Dziura

Jest ranek. Kładłem się spać wyczerpany i nadal czuję się zmęczony, chcę jednak zaktualizować moją relację, którą I ostatnio bardzo zaniedbałem. Zdaję sobie zresztą sprawę, że dłużej i tak spać nie mogę — w przeciwieństwie do mojej biednej córki, która, o ile mi wiadomo, nadal śpi.

Spędziliśmy w gospodzie trzy noce, zbijając baki i opowiadając sobie historie o duchach, wojnie i zabawie, aż zaczęło brakować żywności dla nas i paszy dla koni, a śnieg wreszcie przestał padać. Jahlee nadal spała, ale Azijin zarządził wymarsz. Ruszyliśmy więc w drogę: Skóra, nieszczęsna Jahlee, sierżant, jego trzech legionistów i ja. Jahlee nie dało się dobudzić. Ze Skórą skonstruowaliśmy dla niej prymitywne nosze, które — zawieszane między jej białym mułem i jednym z jucznych koni — nieustannie sprawiały nam kłopoty.

Rozlokowano nas w prywatnych domach; ich właściciele są za nas odpowiedzialni. Mieszkam w pokoju na drugim piętrze, zimnym, zamykanym od zewnątrz na klucz. Panują tu przeciągi. Zaraz po przybyciu tutaj próbowano mnie nakarmić, jednak chciałem najpierw odpocząć. Teraz już nie śpię. Włożyłem płaszcz i owinąłem się kołdrą. Mam w pokoju mały kominek, ale ogień się nie pali. Czekam, aż ktoś w końcu

przyniesie mi coś do jedzenia, może wtedy poproszę o drewno i rozpalenie ognia. Mam nadzieję, że się uda.

Ostatnio często chodzę głodny — i teraz też czuję głód. Mając do wyboru strawę i ogień, chyba wybrałbym tę pierwszą, co mnie zdumiewa. Oreb zniknął. Chciałbym mieć coś dla niego, kiedy wróci.

Modlę się. Czasem mi się wydaje, że Zewnętrzny jest tak samo blisko mnie, jak kiedyś był blisko Jedwabia; tak właśnie się czułem, składając ofiarę na wzgórzu. Dziś jednak wygląda na to, że jest zajęty gdzie indziej i nie słyszy ani słowa z moich modlitw. Może złości się na mnie, bo zaprzyjaźniłem się z Jahlee, a nie ukrywam, że próbowałem to zrobić. Ciekawe, co myśli na jej temat rodzina, której kazano ją więzić. Ileż bym dał za to, żeby się tego dowiedzieć! Beze mnie, który mógłbym ich do niej nie dopuścić, wkrótce z pewnością poznają prawdę.

Waham się napisać bez ogródek, że jest inhumą, ale sam spójrz, czytelniku, zobacz, jak obszerna jest moja opowieść — i każde jej słowo skazuje mnie na potępienie. Nie zniszczę jej. Prędzej umrę. Skoro mnie potępia, z pewnością dowodzi niewinności Skóry, inhumami są złymi istotami, bez wątpienia. Mają inne wyjście?

Dalsza modlitwa i gorączkowe rozmyślenia. Chodzę po pokoju od ściany do ściany, otulony kołdrą jak togą. Duch Jahlee nie chce wrócić do ciała, to oczywiste. Muszę udać się tam po nią i sprowadzić ją z powrotem — tyle że nie mam zielonego pojęcia, jak to zrobić.

Staniemy przed sądem, nawet jeśli nie odkryją, że Jahlee jest inhumą. Za zniewolenie tego grubego kupca. W majestacie prawa ograbią nas ze wszystkiego, co zabraliśmy rabusiom, a

potem — mam nadzieję — wypuszczą. Albo zrobią z nas niewolników, tak jak to prorokował Azijin.

Nareszcie jedzenie. Dobre i dużo. Przyniosła mi je około południa wysoka, sympatyczna Aanvagen. Dom, w którym mieszkam, należy do niej i jej męża. Chleb, masło, ser, trzy gatunki kiełbasy (to ostatnie na pewno wyda mi się niewiarygodne, kiedy będę później czytał tę historię), świeża cebula, mieszanka marynowanych warzyw, musztarda i kawa, do której podano buteleczkę brandy, abym poprawił ją sobie do smaku. Prawdziwa uczta! Posiliłem się solidnie, zanim zasiadłem do pisania.

Zapytałem Aanvagen, czy nie boi się, że mógłbym ją obezwładnić i uciec, korzystając z tego, że przyniosła mi jedzenie. Odparła całkiem rozsądnie, że wiedziała, iż tego nie zrobię, bo mam sporo rzeczy: nasz bagaż i łupy zdobyte na bandytach. Użyła słowa „towary”. Powiedziała, że zostaną i dam się postawić przed sądem, bo mam nadzieję, że chociaż część towarów uda mi się zatrzymać.

— Myślisz, że to możliwe?

— W rękach Scylli wszystko jest, mójpanie — odparła Aanvagen, czym nieszczególnie mnie pocieszyła. Wciąż mi się śni.

— Skoro się mnie nie boisz, czy mógłbym odzyskać mój kostur? Brakuje mi go. Przypominały mi szczęśliwsze czasy.

— W kuchni jest. Teraz potrzebny ci, mójpanie?

— Nie, właściwie wcale go nie potrzebuję. Po prostu chciałbym go mieć pod ręką. Na pewno nie będę próbował zrobić ci nim krzywdy. Jeżeli pozwolisz mi zejść do kuchni, sam go sobie przyniosę. Nie chciałbym ci sprawiać kłopotu, Aanvagen.

Nie ukrywam, że liczyłem na odrobinę swobody, która pozwoliłaby odwiedzić Jahlee.

Jakiś czas potem służąca o marchewkowych włosach przyniosła mi kostur i naręcze drewna na opał. Ma na imię Vadsig i jest jeszcze dziewczynką; dopiero niedawno wyrosła z lat dziecięcych. Przypomniała mi się Onorifica. Pokazałem Vadsig twarz wyrzeźbioną na kosturze i powiedziałem, że umie mówić. Roześmiała się i poprosiła, żebym kazał jej coś powiedzieć. Odparłem, że twarz na kosturze jest na nią zła, bo się z niej śmieje, i chyba nigdy się do niej nie odezwie. To ją rozbawiło (o to mi chodziło). Ułożyła drewno w palenisku i poszła przynieść żaru z innego kominka. Obiecała, że zaraz wróci, obawiam się jednak, że pani znalazła jej inne zajęcie.

* * *

Co za sen! Muszę go koniecznie zapisać, nim zapomnę. Dział się na Zieleni. Jechałem z Morą i Favą otwartym powozem przez dżunglę. Konie truchtały rażno naprzód, chociaż nie mieliśmy stangreta. W kółko tłumaczyłem im, jak to jest z Jahlee; ledwie kończyłem jedno wyjaśnienie, natychmiast rozpoczynałem następne. Przerywały mi — choć bardzo rzadko — bezsensownymi pytaniami. Dwa zapamiętałem: Mora dociekała, czy mój pokój znajduje się nad kuchnią, a Favę interesował kolor włosów Vadsig.

W końcu zapytałem, dokąd jedziemy. Odpowiedziała mi Scylla, strzelając ramionami jak biczem nad grzbietami koni. Gigantyczne pnie mijanych drzew i migające nam w gąszczu bezwłose bestie świadczyły o tym, że jesteśmy na Zieleni, a ja wiedziałem (tak jak „wie się” różne nedorzeczne rzeczy w snach), że dopóki nie przejmę wodzy, nigdy nie dojedziemy nad

morze. Przesiadłem się więc na kozioł i ująłem lejce w dłonie. Mora przysiadła się do mnie. Pomyślałem, że Favie może się to nie spodobać. Odwróciłem się i zobaczyłem, że zmieniała się w martwą lalkę, a spomiędzy żeber sterczał jej nóż Acalyphy. Drzewa zniknęły. Otoczył nas tuman kurzu. Wyjaśniłem Morze, że jedziemy na Błękit, lecz ona już zmieniała się w piękną Hiacynt.

Więcej nie pamiętam, chociaż pewien jestem, że na tym sen się nie skończył. Powinienem jeszcze dodać, że wszystko wydarzyło się po tym, jak Vadsig wróciła z obiecany żarem i napaliła mi w kominku.

Wypytywała mnie o wszystko: skąd pochodzę, gdzie podróżowałem, dlaczego mnie aresztowano i tak dalej, i tak dalej. Opowiedziałem jej o Vironie, o tym, jak opustoszał, i o tym, jak w każdej chwili w środku dnia może nastać bezgwiazdna noc, która będzie trwała wiele dni — w tym miejscu akurat mocno powątpiewała w moje słowa. Powiedziałem, że składałem tam ofiary i byłem wtedy odziany w tę samą — dziś brudną i zniszczoną — togę, którą nadal noszę. Zdjąłem kołdrę, która przestała mi już być potrzebna, i płaszcz, odsłaniając togę. Vadsig, biedne dziecko, nie ma pojęcia nawet o augurach, a co dopiero o bogach. Stwierdziła, że nie potrafiłaby uwierzyć w boga, gdyby nie mogła go zobaczyć. Wyjaśniłem jej, że Zewnętrzny, który jest naszym głównym bogiem, nie można zobaczyć, i że nawet Jedwabowi objawiał się tylko we śnie.

Zaczęliśmy rozmawiać o snach i poprosiła mnie, żebym przepowiedział jej przyszłość — czyli złożył ofiarę i powrózył jej z niej, tak jak to robiłem w Vironie. Została jedna kielbaska, ofiarowałem ją więc bogom. Kominek pełnił jednocześnie rolę

świętego okna i ołtarza. Vadsig napełniła mój pusty kubek krwią-brandy i chlusnęła nią w płomienie, wywołując w ten sposób piękny, niebieski błysk. Odczytałem przyszłość z kiełbaski (rychle bogate zamążpójście, dużo dzieci, mnóstwo szczęścia) i kawałek jej spaliłem, a resztę dałem Vadsig. Jest chuda jak mój kostur, biedactwo, twierdzi jednak, że Aanvagen dobrze ją karmi.

Po jej wyjściu pomodliłem się jeszcze i położyłem spać, i wtedy właśnie przyśnił mi się sen, który przed chwilą streściłem. Nie wiem, co znaczy; pewnie nic.

Usiłowałem obmyślić jakiś plan, ale szybko złapałem się na tym, że odtwarzam w pamięci swój sen; w naszej obecnej sytuacji wszelkie snucie planów wydaje się pozbawione sensu. Po co planować, skoro jestem w niewoli i żadnego planu nie zdołam ziścić? Mógłbym z łatwością uciec Aanvagen i jej mężowi; bogowie jedno wiedzą, że za nic mam nasze bagaże i łupy. Przy odrobinie szczęścia ukradłbym konia i uciekł na nim z Dziury, zostawiając Skórę i Jahlee na pastwę ludzi, którzy nas pojмали; biedna Jahlee zostałaby żywcem spalona. Nie zamierzam jednak tego robić. To zobowiązanie zniewala mnie znacznie skuteczniej, niż chciwość zniewalała Nata.

Przynajmniej już wiem, kim była lalka, która szukała Skóry.

Jakże miło było ujrzeć Hiacynta — choćby tylko przez chwilę i we śnie! Kiedy mieszkaliśmy z Pokrzywą w pałacu calde, nie lubiłem jej, tak przynajmniej sądziłem. Byliśmy chyba nawzajem zazdrośni o to, że Jedwab poświęca temu drugiemu tyle uwagi, co było z naszej strony głupie i zgoła nieuzasadnione. Obojętne, czy była kobietą dobrą, czy złą, nade wszystko była piękna. Kiedy ktoś jest obdarzony jakimś szczególnym darem, oczekuje się po nim, że będzie zachowywał

się lepiej od większości z nas, tak jak miało to miejsce w wypadku Jedwabia. Tyle że u niego właśnie ta dobroć była darem, i to darem, który sam w sobie krzewił. Naturalny magnetyzm przyciągał do niego ludzi i zagwarantował jego embrionowi miejsce na pokładzie lądownika. To było dzieło naukowców Paha, tak samo jak wzrost i siła Świni.

(Kiedy pomyślę o tym, jak stał się whorlem czerwonego słońca, zastanawiam się zawsze, czy nie za wiele dla nas poświęcił).

Nad swoją dobrocią pracował w dzieciństwie i w młodości, o czym przed chwilą wspomniałem. Z całą pewnością matka dopingowała go w tym dziele, jak zresztą czynią wszystkie matki, także moja. Ale na co się w moim przypadku zdały matczyne zachęty?

Oreb wrócił. Nie znalazł nikogo, kto mógłby nam pomóc. Na zewnątrz zastał tylko ziąb i śnieg, był więc przygnębiony i nie chciał ze mną rozmawiać.

* * *

Co za postęp! Vadsig przyniosła mi dziś śniadanie, a wraz z nim nowinę lepszą od najlepszej kaszy. Jahlee jest przetrzymywana w domu, który znajduje się po drugiej stronie ulicy, na skos od naszego. Natychmiast podbiegłem do okna, ale wychodzi na złą stronę.

— Proszę cię, Vadsig, zaprowadź mnie do okna, z którego widać tamten dom. Gdybym choć przez chwilę mógł zobaczyć więzienie mojej córki, poczułbym się tysiąc razy lepiej. Przysięgam, że ci nie ucieknę. Kiedy każesz, grzecznie wrócę tutaj, do pokoju, a ty zamkniesz mnie w nim na klucz.

Długo musiałem ją błagać, ale w końcu się zgodziła. Przeszliśmy dziesięć kroków korytarzem i znaleźliśmy się w pokoju nieco tylko większym i bardziej komfortowym niż mój. Mieszka w nim sama Vadsig, o czym poinformowała mnie z rozczulającą dumą w głosie. Ma tam wąskie łóżko, zduszone gigantyczną pierzyną przeznaczoną do dwakroć większego łóża, kominek, pojemnik na drewno oraz starą skrzynię, w której prawdopodobnie z zapasem mieści się cała jej garderoba. Razem wyjrzelśmy przez okno, żeby mogła mi pokazać okno pokoju, w którym leży biedna Jahlee.

— Doktora sprowadzić jej chcą — powiedziała. — Ale sąd zapłacić by musiał.

— Biedna rzecz! — mruknął Oreb.

Zgadzam się z nim. Mam nadzieję, że sąd nie wyłoży pieniędzy.

Potem pokazała mi swoje najcenniejsze skarby: rysunek przedstawiający jej rodziców (dzieło ulicznego artysty) i pęknięty wazon, który dostała w prezencie od Aanvagen. Powiedziała, że ma szesnaście lat, ale kiedy ją przycisnąłem, przyznała, że ma najwyżej piętnaście. Ja jej daję czternaście.

Co zresztą nie ma wielkiego znaczenia. Liczy się fakt, że Jahlee jest przetrzymywana niedaleko miejsca, w którym w tej chwili siedzę, że podobnie jak ja zajmuje pokój na drugim piętrze prywatnego domu i że Vadsig jest do mnie przyjaźnie nastawiona. Obiecała odszukać dla mnie Skórę.

(Zaznaczę może w tym miejscu, że dom, w którym więziona jest Jahlee, ma kamienny parter i dwa piętra zbudowane z drewna. Ten rodzaj konstrukcji jest tu bardzo rozpowszechniony. Ulica jest wąska, lecz dość ruchliwa.

Nieustannie przemierzają ją wozy wyładowane belami, beczkami i skrzyniami).

Zgodnie z obietnicą wróciłem do swojego pokoju. Usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku i głuchy łoskot zasuw, przyklęknąłem i zajrzałem w dziurkę od klucza, wypatrując jedynej przyjaciółki, jaką mam w tym okrutnym, ruchliwym, dzikim porcie. Nic jednak nie zobaczyłem, ponieważ klucz nadal tkwił w zamku.

To podsunęło mi pewien pomysł. Wsunąłem ten arkusz papieru w szparę pod drzwiami i jednym z piór należących dawniej do Oreba obróciłem, a następnie wypchnąłem klucz. Kiedy spadł, ostrożnie wciągnąłem papier do środka, licząc na to, że zdołam w ten sposób wciągnąć także klucz. Niestety, nie udało mi się. Zakląłem.

— Niedobrze? — zainteresował się Oreb.

— Niedobrze — przytaknąłem. — Albo klucz jest za gruby i nie mieści się pod drzwiami, albo spadł z kartki.

— Ptak znaleźć.

Pomyślałem, że wyfrunie moim oknem i wróci do wnętrza domu przez jakieś inne i już chciałem mu to odradzić (mogło się okazać, że w taki zimny dzień musiałyby długo szukać drugiego otwartego okna), on jednak wleciał do trójkątnego otworu, który wcześniej umknął mej uwagi, a znajdował się pod sufitem, w miejscu gdzie boazeria na ścianie przytyka do komina. Niespełna pięć minut później by już z powrotem, z kluczem w dziobie. Schowałem klucz w pończosze.

Przy okazji wpadłem na jeszcze jeden pomysł. Napiszę list, podpiszę go imieniem Jahlee, i poproszę Oreba, żeby wetknął go w deseczki okiennicy w jej pokoju, gdzie dozorca powinni go znaleźć. Nie zaszkodzi nam, a może pomóc.

* * *

Kolacja się opóźniła, co było do przewidzenia. Biedna Vadsig przeszukała pół domu, zanim przyznała się Aanvagen, że zgubiła klucz. Aanvagen dała jej burę i wytargała ją za uszy, co było przykre, lecz nieuniknione. W obecności Aanvagen pocieszałem ją najlepiej, jak umiałem. Obiecałem, że kiedy wyjdę na wolność, podaruję jej korale.

— Sphixdag zbliża się. Do sądu pójdziesz — powtarza Aanvagen z powagą.

Ma jasne włosy i rumianą twarz. Wydaje mi się, że to dobra kobieta. Dziś jest molpdag, mam więc przed sobą blisko tydzień czekania. Muszę przez ten czas ściągnąć Jahlee na Błękit i pomóc jej odzyskać przytomność. Nie może być mowy o zwłoce. Nie mam żadnej wymówki. Po prostu muszę to zrobić.

Wymknąłem się po północy z pokoju, kiedy Oreb doniósł mi, że wszyscy mieszkańcy już śpią. Jest ich czworo: Aanvagen, Vadsig, „Kucharka” i „Pan”. Odszukałem nasze bagaże (złożono je na parterze, w schowku obok kuchni), wyjąłem z nich prezent od maytere Mięty i kilka drobiazgów, a następnie rozejrzałem się po domu i nauczyłem na pamięć rozkładu pomieszczeń. Jak na standardy Błękitu noc była ciemna, ale nie mogła się równać z nieprzeniknionym mrokiem dziennej nocy we „Whorlu”. Niedogaszone ognie rzucały dość światła, bym nie wpadał na sprzęty, Oreb chrapliwym szeptem udzielał mi wskazówek, a ja dodatkowo wymacywałem sobie drogę kosturem.

Kiedy uznałem, że dobrze znam dom, wyszedłem na dwór. Tak jak się spodziewałem, wszystkie drzwi prowadzące do domu Jahlee były zamknięte. Nie udało mi się ich otworzyć

kluczem do mojego pokoju, poza tym przypuszczam, że na noc są zabezpieczane sztabami, tak jak drzwi w domu Aanvagen. Nic więcej nie mam do dodania — może poza tym, że poprosiłem Vadsig o kawałek laku. Chciałbym obejrzeć odcisk mojego pierścienia. Kamień, jak się okazuje, wcale nie jest czarny, lecz fioletowoszary.

Przed obiadem straszne wrzaski na dole. Vadsig mówiła mi, że nie wolno jej bez pozwolenia wychodzić z domu, mimo to wyszła poszukać Skóry. „Kucharka” przyłapała ją i zmyła jej głowę.

— Ale dla ciebie, mójpanie Rogu, znalazłam go. W domu za domem, w którym twoja córka jest, mieszka. Nieszczęśliwy tam jest, służąca stamtąd mówi. Tam i sam, tam i sam chodzi. Tysiące pytań zadaje.

— Rozumiem... Przykro mi to słyszeć, Vadsig. Nie chcę, żebyś znów miała przeze mnie kłopoty, ale czy myślisz, że udałoby ci się z nim porozmawiać, kiedy pójdziesz na targ?

— Jeżeli życzysz tak sobie, mójpanie, spróbuję. Na górę Parel mnie wpuści, może.

— Dziękuję, Vadsig. Naprawdę, bardzo ci dziękuję. Jestem ci dozgonnie wdzięczny. Kiedy byliśmy u ciebie w pokoju, pokazywałaś mi portret rodziców i wazon, które mają dla ciebie ogromną wartość. Pamiętasz?

Roześmiała się i potrząsnęła szopą krótkich marchewkowych włosów. Miała miły, radosny śmiech.

— Wczoraj to było. Tak łatwo nie zapominam.

— Chciałbym cię ostrzec: pokazywanie obcym tego, co dla ciebie cenne, jest nierozsądne, Vadsig. Posłuchaj, dam ci coś cennego, tak jak obiecałem: koralowy naszyjnik. Jeśli jednak

dowie się o tym Aanvagen, możesz mieć kłopoty. Myślisz, że mogłaby to być taka nasza mała tajemnica? Przez pewien czas...

— Mnie by go zabrała? To na myśli masz, mójpanie?

Wzruszyłem ramionami.

— Znasz ją znacznie lepiej niż ja.

Cisza się przedłużała. Vadsig musiała się namyślić.

— Jej go nie pokażę — oznajmiła w końcu.

— Mądra dziewczeczka! — pochwalił ją Oreb.

— Że ukradłam go, pomyśli. Po rozprawie mi go dasz, mójpanie?

— Nie. Teraz. — Wyjąłem arkusz papieru i otworzyłem piórnik. — Najpierw jednak napiszę coś, co będziesz mogła pokazać ludziom na dowód, że nie jesteś złodziejką.

Napisałem i dałem jej. Kiedy się okazało, że nie umie czytać, przeczytałem jej swoje słowa: *Niniejszym oświadczam, że ja, Róg, podróżnik i mieszkaniec Nowego Vironu, daruję ten naszyjnik, złożony z trzydziestu czterech paciorków z zielono-różowego koralu, mojej przyjaciółce Vadsig, mieszkance Dziury. Daję go jej w prezencie, z własnej woli, przez co od tej pory staje się on jej prywatną własnością.*

Wyjąłem korale i zapiąłem jej na szyi. Od razu je zdjęła, żeby obejrzeć, potem założyła, znów zdjęła, znów założyła, obróciła się w taki sposób, jakby wdzięczyła się do lustra, oczy jej zabłyśły — krótko mówiąc, okazywała taki zachwyt, jakby przed chwilą oderwano ją od garów i obwołano królową miasta.

— Jeżeli uda ci się porozmawiać z moim synem, Vadsig, wyjaśnij mu, proszę, gdzie jestem przetrzymywany i jaka jest moja sytuacja. Powiedz mu też, że w Sphixdag staniemy przed

sądem, bo może o tym jeszcze nie wiedzieć. I przynieś jego odpowiedź, gdyby miał mi coś do przekazania.

— Mójpanie Rogu, postaram się.

— Cudownie! Nie wątpię, że ci się uda. Wierzę w ciebie, Vadsig.

— Zapomniała byłabym. — Niechętnie zdjęła korale, schowała je do kieszeni fartucha i przykryła brudną ścierką. — Pani pyta. Sny wszystkie rozumiesz, mójpanie? Powiedziałam tak jej.

Próbowałem tłumaczyć, że sny to temat-rzeka i nikt nie wie wszystkiego na ich temat, ale przyznałem, że zdarzało mi się poprawnie zinterpretować pewne główne wątki w niektórych snach.

— Tej nocy dziwne sny pani i pan mieli. Im je wytłumaczyć zechcesz?

— Z chęcią spróbuję, Vadsig. Zrobię, co w mojej mocy.

— Jej to powiem.

Od tej rozmowy minęły jakieś dwie godziny. Na razie ani Aanvagen nie przyszła do mnie z prośbą o objaśnienie znaczenia snu, ani Vadsig nie wróciła, aby zdać relację z ewentualnej rozmowy ze Skórą. Czy udałoby się nam ze Skórą uratować Jahlee? Oczywiście zakładając, że najpierw on się uwolni, sam albo z moją pomocą. To chyba możliwe, chociaż szanse będziemy mieli niewielkie. Wolałbym chyba oddać nasz los w ręce sędziego.

Aanvagen przyniosła mi nader obfitą kolację. Przyszła w towarzystwie swojego korpulentnego męża, który po przejściu dwóch pięter po schodach poczerwieniał na twarzy i dostał zadyszki.

— Beroep... imię moje brzmi, mójpanie. — Podał mi dużą, miękką doń. Uścisnąłem ją. — Mójpanie Rogu... — Kolejne sapnięcie. — Mójpanie rajanie... mójpanie Incanto... mójpanie Jedwabiu...

— Dobry człowiek! — To powiedział Oreb.

— Człowiekiem wielu imion... jesteś.

Zdyszany Beroep uśmiechnął się w sposób, który z pewnością miał uchodzić za przyjacielski.

— Być może, ale na pewno nie do wszystkich tych imion mam prawo. Nazywajcie mnie Rogiem, bardzo proszę.

— W domu przywitać cię nie mogliśmy... Żołnierze patrzyli. — Wdech, wydech. — Mójpanie Rogu.

Zapewniłem go, że nie mam tego za złe ani jemu, ani jego małżonce.

— Karmicie mnie tu dobrze, dostarczyliście mi drewno, wodę do mycia i pościel. I naprawdę wiem, że większość więźniów nie ma nawet co marzyć o podobnych luksusach.

Aanvagen szturchnęła męża w bok.

— Do bogów przemawiasz... mójpanie Rogu? — zapytał.

— Czasami... A oni czasem raczą mi odpowiedzieć. Ale, ale, że też jeszcze nie poprosiłem was, żebyście usiedli. Mam tu tylko łóżko, ale jeśli chcecie, usiądźcie na nim.

Usiedli. Beroep wyjął z kieszeni chusteczkę, otarł twarz i łysą głowę.

— Nat. Jego znam. Chciwy z niego złodziej.

— Innym nie powtarzaj tego, mójpanie Rogu — dodała pospiesznie Aanvagen.

— Naturalnie.

— Sędzia Hamer Nata kuzynem jest.

Beroep wyraźnie czekał na moją reakcję, ja jednak starałem się nie dać po sobie poznać, co czuję.

— O tym już wcześniej wiedziałeś?

— Wiem, że Dziurą rządzi pięciu sędziów. Słyszałem również, że Nat ma wśród nich pewne wpływy, nie przypuszczałem jednak, że z jednym jest spokrewniony. Czy ten właśnie sędzia ma orzekać w naszej sprawie?

Beroep smętnie pokiwał głową. Aanvagen znów dała mu kuksańca w grubo otulone tłuszczem żebra.

— O nasze sny zapytać musisz, Beroepie.

— Że przyjaciół mójpan Róg ma, najpierw powiedziec muszę. Biedny przez sędziego Hamera będzie. Pobity, być może. Lecz przyjaciół miał będzie. Chciwym złodziejaszkiem Nat jest. Cała Dziura wie.

Podziękowałem obojgu ze szczerego serca i zapytałem, co im się śniło.

— Beroep nie śpi, taki sen ma. W całym domu głosy słyszy.

Mąż Aanvagen z zapalem pokiwał głową.

— Mówią i stukają, mójpanie Rogu. Szeptu, szeptu, puk, puk.

— Rozumiem. Nie wstałeś sprawdzić, co to jest?

— Śpię. Nie mogę.

— No tak. Co mówiły głosy?

Beroep wzruszył ramionami.

— Pst! Pst!

Była to nędzna imitacja chrapliwego skrzeczenia Oreba, któremu posłałem znaczące spojrzenie, aby przypadkiem się nie odezwał.

— Ptak dobry! — powiedział, i to całkiem głośno. — Nie! Nie!

— Niewiele mi powiedziałeś — zauważyłem, zwracając się do gospodarza. — Pozwól, że wysłucham jeszcze twojej żony,

zanim spróbuje objaśnić ci sen. — U siebie w domu jestem — zaczęła z entuzjazmem Aanvagen. — W dużym pokoju, dla towarzystwa. Kiedy tu trafiłeś, ten pokój widziałeś, mójpanie.

— Naturalnie. Wiem, który pokój masz na myśli.

— Ze mną dwoje dzieci w nim jest. Ciemniejsze niż mój kot jedno włosy ma. Z Beroepem dzieci nie mamy. O tym wiedziałeś?

Przyznałem, że Vadsig mi o tym wspominała.

— Dziewczynki w ślicznych sukienkach. Buzie czyste. Włosy bardzo ładne. Córkę masz, mójpanie?

— Tak. Córkę i trzech synów.

— Syna Strik więzi — wtrącił mąż Aanvagen.

— Właśnie. Mojego syna, Skórę. Razem podróżowaliśmy. Dwaj moi pozostali synowie, Racica i Ściągno, są wolni.

— Z Dziury daleko podróżujemy. Do Nowego Vironu się wyprawiamy. Dalej nawet żeglujemy. — Wykonał zamaszysty gest. — A teraz wędrowców aresztujemy? Złe to dla podróżnych.

— Rozumiem.

Aanvagen, siedząc na łóżku, pochyliła się ku mnie.

— To właśnie mi te dziewczynki mówią. Że złe to dla nas, ciebie przetrzymywać.

Chrząknąłem — miałem nadzieję, że zachęcająco.

— O twojej córce mówią. Chora jest. Z tobą odesłać ją musimy. W policzki mnie całują. — Pokażny biust Aanvagen zafalował. — Matką mnie nazywają, mójpanie. Krzywdy mojej nie chcą. Ostrzegają! Ostrzegają!

— Uważa! — przetłumaczył Oreb.

— Czy było w tym śnie coś jeszcze, co wydało ci się znaczące?
— zapytałem.

Aanvagen otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła.

— Czy zauważyłaś więcej znaków związanych z bogami?

— Jakiś znak znalazłeś już? — zainteresował się jej mąż.

— Naturalnie. Dzieci. Molpe jest boginią dzieciństwa, o czym z pewnością wiecie. Występowały w tym śnie jakieś zwierzęta, Aanvagen?

Pokręciła głową.

— Tam tylko ja i dziewczynki byłyśmy.

— Może myszy? Małpy? Krowy? Ptaki? — Przypomniał mi się stary, nieszczęsny patere Remora. Nie mogłem się powstrzymać od dalszego wyliczania: — Sępy, hę? Hieny... hmm... Wielbłądy?

Aanvagen usłyszała tylko pierwszą część mojej wypowiedzi.

— Myszy ani szczurów w moim domu nie ma, mójpanie.

— A u ciebie? — zwróciłem się do Beroepa. — Czy w twoim śnie były zwierzęta? Na przykład nietoperze? Albo koty?

— Nie, mójpanie — stwierdził stanowczo. — Żadnych.

— No dobrze. Orebie, zadam ci pytanie. Chciałbym, żebyś mi odpowiedział szczerze. Myślisz, że to dobry człowiek?

— Człowiek dobry!

— A Aanvagen? Czy jest dobrą kobietą?

— Dobra dziewczeczka!

— Zgadza się z tobą. Beroepie, czy głos, który słyszałeś, brzmiał podobnie? Czy te dźwięki mógł wydawać mój ptak albo jakiś inny, podobny do niego? Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz.

Przez chwilę patrzył na mnie bez słowa, a potem otarł czoło chusteczką i odparł:

— Możliwe, mójpanie. Zaprzeczyć nie mogę.

— Ciekawe. To jest nocny kruk, święty ptak boga patronującego bezkresnej otchłani pomiędzy whorlami. Tak jak sowa jest świętym ptakiem Tartarosa. W śnie twojej żony przewija się odwołanie do Molpe, u ciebie widać ślady wpływów Zewnętrznego.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— O co chodzi, Vadsig? — zapytałem.

— Mojapani Cijfer tu jest. Przez kuchnię weszła, w pokoju od frontu siedzi. Z panią rozmawiać chce.

Aanvagen spojrzała na mnie pytająco, szukając przyzwolenia.

— Chwilkę tylko, mójpanie. Wrócę zaraz, Beroepie — Wybiegła.

— Dobrą kobietą jest — powiedział Beroep, kiedy drzwi się za nią zamknęły. — Ale mniej od kota rozumu ma. Bez niej lepiej porozmawiajmy. O sędzie myślałeś? O sędzim Hamerze? Że przyjaciół miał będziesz, powiedziałem.

Odparłem, że próbowałem, ale niewiele wiem o zawłościach polityki w Dziurze i tylko jednego jestem pewien: nie zrobiłem nic złego.

— Dysponując tą ograniczoną wiedzą, sędzę, że najlepiej dla mnie byłoby przekonać Nata, aby wycofał zarzuty. Gdyby dać mu klejnoty, które mam w bagażu...

Beroep pokręcił smutno głową.

— Zrobić tego nie mogę, mójpanie. Spis sędzie Hamer ma, przeze mnie podpisany. Pięćdziesiąt kart zapłacić by mi kazał.

— To pech.

Kolejny smętny ruch głowy.

— Kim jesteś, mójpanie, nie zastanawiasz się? Dlaczego twoim strażnikiem zostałem?

Przyznałem, że nie poświęciłem tej kwestii wiele uwagi.
— Że uciekniesz, nadzieję mają. Sto kart zapłacę. Zrujnowany będę.

— Biedny człowiek!

Mąż Aanvagen poklepał łóżko, na którym siedział.

— Dużo koców masz. Ogień masz. Strawę smaczną dostajesz.

— Wszystko po to, żeby nie groziła ci ruina. Rozumiem. Rzeczywiście, źle się złożyło. Domyślam się, że nie ma sensu, abys prosił Nata o wycofanie zarzutów.

— Nienawidzi on mnie. — Beroep otarł pot z twarzy. — Przekupić go bym mógł. Myślę tak. Chciwy jest. Pomóc by przyjaciele mogli.

— Świetnie. Mówiłeś, że kto więzi Skórę, mojego syna?

— Strik. Jak ja, uczciwym kupcem, jest.

— A on by ci nie pomógł?

— O to zapytam, mójpanie. Być może.

— Skóra jest młody i silny. I uparty, jak wszyscy młodzi ludzie. Znacznie prędzej on wam ucieknie niż ja.

— Nie idzie!

Spojrzałem na Oreba, który siedział na swojej żerdce przy kominie.

— Dobrze, nie ucieknę. Beroepie, nie musisz się już tym martwić. Nie ucieknę, dam słowo. Nie mogę jednak ręczyć za syna, ponieważ nie mam z nim kontaktu. Powiedz o tym Strikowi.

— Z nim porozmawiam, jak radzisz, mójpanie. Nam pomóc może.

— A co ze strażnikiem Jahlee, mojej córki?

— Na morzu Wijzer jest. — Beroep wskazał podłogę. — Jego żona to Cijfer. Pieniędzy żadnych nie da, póki Wijzer nie każe.

— Nie wiesz, kiedy może wrócić z rejsu?

Pokręcił głową, a ja usłyszałem głos Aanvagen dobiegający ze schodów:

— Beroep! Hus! Pod naszymi drzwiami hus był!

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła gospodyni w towarzystwie nieco drobniejszej i nieco młodszej kobiety o identycznych niebieskich oczach, jasnych włosach i bladej cerze. Kiedy Beroep się odezwał, w jego słowach brzmiał niczym niemaskowany sceptycyzm:

— Hus to był?

— Tak! — Gesty Cijfer sugerowały zwierzę wielkości konia pociągowego.

Podszedłem do drzwi i zawołałem Vadsig, po czym odwróciłem się do gospodarzy.

— Schody są strome — wyjaśniłem. — Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, że zawołałem na pomoc służącą? Nie chciałem was kłopotać.

— Moim gościem jesteś, mójpanie — powiedział Beroep.

— O co chodzi, mójpanie? — dobiegł z dołu głos Vadsig.

— Proszę cię, otwórz drzwi frontowe i zostaw je otwarte. Twój pan mówi, że masz mnie posłuchać. To ważne.

Zapadła cisza, a po chwili rozległ się pospieszny tupot stóp.

— Czy słusznie przypuszczam, że gdyby w Dziurze pojawił się nagle hus, dziki, ktoś by go zastrzelił?

Beroep pokręcił głową. Przerażone kobiety głośno zaprotestowały.

— Nie zabiliby go?

— Pecha to przynosi! — odparły chórem Aanvagen i Cijfer.

— Przesąd to jest — stwierdził Beroep tonem człowieka, który toleruje niedorzeczne wierzenia dyletantów. — Do miasta

jeśli zwierzę przyjdzie, nieszczęście to zwiastuje. Do lasu przegnać je musimy. Jeśli ktoś je zabije, nieszczęście w mieście zostanie.

Nasłuchiwałem klekotu racic Babbiego na drewnianych schodach, ale na próżno.

— Otworzyłaś drzwi, Vadsig, tak jak prosiłem?

Odpowiedziała mi, ale jej nie zrozumiałem.

— Przyjść jej na górę każ — poradził mi Beroep.

— Chodź do nas, Vadsig! — zawołałem ile sił w płucach. — Bardzo cię proszę!

Rozkaszlałem się.

— Herbaty z brandy ci trzeba, mójpanie — stwierdziła Aanvagen. — Zaraz dostaniesz. Tego dopilnuję.

— W cztery oczy porozmawiać powinniśmy — zasugerował Beroep. — Lepiej tak będzie. Husa w moim domu mieć chcesz.

— To prawda.

— Nie dziki to hus jest. I nie cień. Hus oswojony? Twój, mójpanie?

Pokiwałem głową.

— Jak ptak twój jest.

— Ptak dobry! — przytaknął Oreb.

— Trochę jak ten ptak. Wabi się Babbie i, oczywiście, nie mówi. Ale jest zwierzęciem czystym i łagodnym. Kiedy się rozdzieliliśmy, wrócił do kobiety, od której go dostałem. Gdy dowiedziała się, gdzie przebywam, obiecała mi go zwrócić.

Vadsig wpadła do pokoju bez tchu.

— Słucham, mójpanie Rogu.

— Chciałem cię tylko zapytać, czy otworzyłaś frontowe drzwi, tak jak o to prosiłem.

— Tak, mójpanie.

— Duże zwierzę widzisz? — zainteresowała się Aanvagen.

— Tak, pani.

— Jakie zwierzę, Vadsig?

— Muły, mójpanie. Wozy ciągną.

— Husa widzisz? — dopytywała się Cijfer.

— Husa? Husa nie, mojaniani Cijfer.

— Zostawiłaś otwarte drzwi, idąc na górę?

— Nie, mójpanie. Zimno na dworze jest.

— Jak długo były otwarte?

— Dopóki nie zawołałeś mnie, mójpanie. Oreb sfrunął mi na ramię i spojrzał na mnie pytająco, dając mi do zrozumienia, że jeśli tego chcę, poleci poszukać husa. Pokręciłem głową, dyskretnie, mam nadzieję.

— Husa nie widzisz, Vadsig? — upewnił się Beroep.

— Nie, panie.

Mąż Aanvagen spojrzał na Cijfer.

— Przy drzwiach domu mojego hus był?

— Tak. Takiego olbrzyma nigdy nie widziałam. Kły długie jak moja ręka miał.

— Twój Babbie to jest? — zapytał mnie Beroep.

— Tak, z pewnością.

— Vadsig twój Babbie skrzywdzi?

— Na pewno nie.

Skinął na Vadsig.

— Pod drzwi idź. Husa gdy ujrzysz, otwarte drzwi zostaw i nam o tym powiedz. Jeśli husa nie będzie, drzwi zamknij i do zajęć swoich wracaj.

Dziewczynka dygnęła pospiesznie i wybiegła.

Cijfer podała Beroepowi list, który napisałem przed kilkoma godzinami; ręce tak jej się trzęsły, że papier zaszeleścił.

— W śpiącej dziewczyny pokoju to znalazłam. Przeczytasz?
Aanvagen też?

Pochylili się nad listem.

— Twoją córką ona jest, mójpanie? — Głos Cijfer drżał.

Skinąłem głową.

— Dzień cały śpi. W nocy nie. Chodzi i mówi. — Spojrzała na Aanvagen. — Moje obrazki ze ścian zrzuca!

Na dole rozległ się łoskot i głośny trzask. Vadsig krzyknęła przeraźliwie.

6

Ciemne puste pokoje

Cóś tam jest, brachu. — Świnia, macając po omacku w ciemności, w której nigdy nie następowało rozjaśnienie, natrafił na jego rękę i zacisnął na niej dłoń. Paznokcie wbiły mu się w skórę. — Chałupy może.

— Myślisz, że będziemy tu mogli zatrzymać się na noc? Nie widzę światła.

— Żeś gadał, że u Ogara też światła nie było.

Idący z przodu Ogar zauważył:

— Oliwa do lamp kosztuje, a świece są praktycznie nie do dostania. — Umilkł na chwilę, po czym mówił dalej: — Nie umiem powiedzieć, jak daleko stąd do miasta, ale przebyliśmy szmat drogi. Chętnie bym odpoczął. A ty, Rogu?

Świnia puścił jego rękę i oddalający się stukot pochwy zasugerował, że ruszył gdzieś w prawą stronę.

— Świnia cały czas szedł pieszo, ja zaś nie wysiłałem się, siedząc wygodnie na grzbiecie twojego niesłychanie tolerancyjnego osła. Z pewnością Świnia i osioł, którego dosiadałem, są znacznie bardziej zmęczeni ode mnie.

— Mur — zabrzmiał całkiem blisko głos Świni. — Bez okien, bez drzwi. — Chwila ciszy. — Jest brama. Otwarta na oścież.

— Nie ma bramy! — poinformował go Oreb.

— To opustoszały dworek — wyjaśnił Ogar. — Wielokrotnie obok niego przejeżdżałem. Jeśli chcecie, możemy tu urządzić biwak. Przynajmniej nie będzie nam kapało na głowy; po takim upale prawie na pewno będzie padać. Co ty na to, Rogu? Zatrzymujemy się?

— Dobrze. — Wyjął zapalarkę, którą dała mu Wrotycz. — Chciałbym go zobaczyć, jeśli należał do człowieka imieniem Krew. Czy tak właśnie było?

— Nie mam zielonego pojęcia, kto był jego właścicielem. Wiem tylko, że odkąd jeżdżę tym traktem, nikt tu nie mieszka. Dworek stoi na odludziu, a pustych domów jest w bród. I to zazwyczaj w lepszym stanie.

— W takim razie zostańmy tu na noc, jeśli ty i Świnia nie macie nic przeciwko temu.

Trzasnęła zapalarka.

— Na twoim miejscu oszczędzałbym tę świecę.

— Wchodzę, brachu — dobiegł z większej odległości głos Świni. — Idziesz ze mną?

— Idę, idę.

Zsiadł z osła.

Mur był w ruinie. Powykręcane żelastwo, przez które musiała brnąć maytere Marmur, zniknęło.

— Walczyłem tutaj w bitwie — szepnął do siedzącego mu na ramieniu Oreba.

— Nie walczy!

— Czasem trzeba. Czasem i ty walczysz.

Oreb przestąpił z łapy na łapę i zaklekotał niepewnie dziobem.

— Złe miejsce.

— Bez wątpienia. Więżiono tu Jedwabia, Acalypbę, patere Kowadełko i mistrza Miecznika. Całkiem niedawno wyobraziłem sobie, że Miecznik idzie obok mnie. Chciałbym, żeby tu wrócił. — Przeprowadził osła przez bramę i podniósł wyżej latarnię. Migotliwe światło świecy ledwie wyłowiło z mroku masywną sylwetkę fontanny Scylli. — Albo Jedwab — dodał szeptem.

— Złe miejsce!

Za jego plecami Ogar parsknął śmiechem.

— Nawiedzone, jak wszystkie ruiny.

— Tak, to nawiedzone miejsce. — Idący przed Ogarem mężczyzna machnął przed sobą gruzłowatym kosturem, chociaż w blasku latarni nie było widać żadnych przeszkód. — Powinien tu leżeć martwy talus. Ciekawe, co się z nim stało.

— A ja jestem ciekaw, co się stało z twoim druhem Świnią. Nie widzę go przed nami.

— Rzeczywiście. Orebie, mógłbyś go poszukać? Jeżeli coś mu się stało, wracaj szybko i powiedz nam.

— Przydatny zwierzak. — Ogar zrównał się z nim. — Byłeś tu już kiedyś?

— Dwadzieścia lat temu. Miałem strzelbę zamiast kostura i tysiąc towarzyszy zamiast dwóch. Chyba powinienem powiedzieć, że teraz bardziej mi się tu podoba, bo nikt nie próbuje mnie zabić, ale bym skłamał. — Kijem wskazał bramę posiadłości. — Ślizgacze gwardii cywilnej przebiły się tędy do środka, prowadząc ostrzał z broni pulsacyjnej. My w tym czasie przeleźliśmy przez mur. Byli wśród nas ochotnicy, jak ja, gwardziści, a nawet skrzydlate żołnierki z Trivigaunte. Czekwały już na nas talusy, ale nie miały szans ze ślizgaczami i naszą

armią. Inni z pewnością bardziej się zasłużyli, ale i mnie udało się strzelić...

Oreb wrócił.

— Świnia przychodzi.

— Nic mu się nie stało?

Oreb zakrakał gardłowo.

— Teraz nic nie zrozumiałem — poskarżył się Ogar.

— Bo nic nie powiedział, po prostu zaskrzeczał. Robi tak, kiedy nie wie, co powiedzieć albo jak się wysławić. Z tego wniosek, że ze Świnią stało się coś, czego nie umie wyjaśnić ani opisać. Czy Świnia krwawi, Orebie?

— Nie ranny.

— To dobrze. Mam nadzieję, że się nie przewrócił?

— Nie, nie.

Fontanna wyschła, misa była pełna butwiejących liści, kamień — niegdyś biały — poszarzał. Ktoś utracił Scylli jedną rękę.

— Czy ludzie nadal ją tu czczą?

Ogar wahał się chwilę z odpowiedzią.

— Czasami. Nie jestem religijny, więc nie przykładam wielkiej wagi do bogów, ale chyba nie jest już tak jak dawniej. Teraz składa się w ofierze głównie kaczki. Tak mówi matka Wrotyczu.

— A teofanie? Zdarzają się?

— Przykro mi, nie znam tego słowa.

— Dzieweczka przychodzi — oznajmił Oreb.

— Czy Scylla ukazuje się w waszych świętych oknach?

— A, o to chodzi... — Ogar pchnął osła kolanami i pociągnął za wodze tych, które prowadził luzem. — Też chyba nie tak jak

kiedyś. Augurowie twierdzą, że dwa, trzy razy do roku objawia się w oknie w Wielkim Manteionie.

— Rzeczywiście, dawniej było inaczej. Kiedy dorastałem, bogowie w ogóle nas nie odwiedzali. Zmieniło się to dopiero po tym, jak odlecieliśmy na Błękit.

— Nie wiedziałem.

— Zmierzałem do tego...

— Człowiek idzie — przerwał im Oreb. — Świnia człowiek.

— To dobrze. — Podniósł latarnię. — Świnio? Nic ci się nie stało?

— Ano.

Przyspieszył kroku.

— Martwiliśmy się o ciebie.

W podrygującym świetle lampy pojawił się olbrzymi Świnia — brudne czarne spodnie, przybrudzona szara koszula, potężny rapier, którym sondował otwarte drzwi willi, szykując się do wyjścia z niej.

— Zanocujemy w środku. Na pewno są tam kominki. Kiedyś musiały być.

— Ano, brachu.

Odwrócił się do Ogara.

— Pomóc ci przy osłach?

— Nie trzeba. Rozpalcie ogień.

— Dobrze. Uważaj, Świnio, teraz zdmuchnę świecę. Ogar radzi mi ją oszczędzać, i słusznie. I tak nie widziałem w pobliżu niczego, co nadawałoby się na opał. Meble pewnie skradziono albo spalono dawno temu.

— Ano.

— Biedny człowiek — mruknął Oreb.

— Zaprowadzisz mnie na tyły domu? Poszukamy drewna. Pamiętam, że drzewa zwieszają się tam nad murem. Na pewno znajdziemy jakieś połamane gałęzie.

Duża dłoń opadła mu na ramię. Świnia się nie odezwał, ale on i tak potulnie poszedł za nim.

— Tu stały garaże, w których Krew trzymał ślizgacze, i zagrody dla rogatych kotów. Opiekował się nimi talus, ten sam, którego Jedwab zabił w tunelu. Te talusy, które zginęły podczas naszego szturmu, musiały należeć do Ayuntamiento. Na pewno były tu też klatki na króliki, chociaż nie przypominam sobie, żebym je widział.

— Widział? — Dłoń Świni zacisnęła mu się na barku. — Żeś powiedział: widział?

Oreb poruszył się niespokojnie. Częściowo rozłożył skrzydła.

— Uważa.

— Tak, Świnio. Tak właśnie powiedziałem.

— Kumple, tak?

— Z całą pewnością ja jestem twoim przyjacielem. Mam nadzieję, że ty jesteś moim.

— No to rzeknij mi coś, brachu. Gadaj, co widzisz.

— W tej chwili? Nic. Jest zupełnie ciemno.

— Żeś gadał, że zgasisz świecę. Wiem, żeś to zrobił. Żem słyszał, jak otwierasz, dmuchasz i zamykasz klapkę.

— Zgadza się. Jeśli chcesz, mogę znów zapalić latarnię i poszukać drewna.

— Nie ma słońca, brachu?

— Nie. Nic a nic.

Dłoń na ramieniu, i tak kurczowo je obejmująca, zacisnęła się jeszcze mocniej.

— A krainy niebios? Jest tam jakie światło?

— Nie... Zaczekaj. — Zadarł głowę i spojrział w niebo. — Widzę czerwony punkcik. Chyba jakieś miasto płonie, chociaż z tej odległości wygląda jak iskierka. Ktoś mi mówił, że tym właśnie są te punkciki.

— A dom, brachu? Żeś wlaźł do środka?

— Jeszcze nie. Ale mam taki zamiar.

— Czyli nie wiesz, czy w środku pali się światło, co? — Głos Świni drżał.

— Wątpię. Przy wejściu było ciemno, w oknach nie widzieliśmy... przynajmniej ja nie widziałem światła. Nie pytałem o to Ogara, ale gdyby coś zobaczył, chyba by mi powiedział.

— A ty, Oreb? Byłeś ze mną w środku.

— Ptak leci — potwierdził ostrożnie Oreb.

— Masz dobre ślepie. Widzisz po ciemku. I to lepiej niż człowiek, nie, Oreb? Weź no się rozejrzyj. Zrób kumpłowi przysługę.

— Ptak patrzy.

— Nie bój. Co widzisz?

— Świnia. Jedwab.

— Ano. Co jeszcze?

— Mur duży. Duży dom.

— A kobitka? Widzisz tu jakąś kobitę, co się gapi i słucha?

— Nie ma dziewczeczki.

— Może za oknem?

— Nie, nie. Nie widzi.

Rozległo się stęknienie i głuchy łomot. Świnia przyklęknął na jedno kolano w suchej trawie.

— Pomożesz mi, brachu? Gadasz, żeś mój druh, nie? Pomożesz?

— Naturalnie. — Sadząc po tym, jak ułożyła się dłoń na jego ramieniu, Świnia uklęknął przed nim. Wyciągnął po omacku rękę i namacał drugą dłoń, owłosioną i dużą jak spora szynka, zaciśniętą na głowicy broni. — Zrobię co w mojej mocy. Przecież wiesz.

— Pamiętasz, jakżeś mnie po gębie macał, brachu?

— Oczywiście.

— Żem chciał ci wtedy pokazać, że ślepiów nie mam. Zasłaniam je szmatą. Ludziska myślą, że udaję. No to żem chciał, cobys sam się przekonał.

— Rozumiem. — Wtedy żeś nie miał świcy, ale teraz masz. Zapal no ją, brachu. Na chwilkę.

— Z przyjemnością to zrobię. Poczekaj.

Otworzył latarnię i wyjął zapalarkę. Strzeliła złotymi iskrami, jasnymi jak rzucone pochodnie. Świeca rozbłysła żółtym jak masło ognikiem.

Szmata zniknęła z szerokiej, brodatej twarzy Świni. Szeroko rozstawione oczodoły, widoczne jak w nagiej czaszce, patrzyły niewidząco przed siebie.

— Widzisz je, brachu? Moje ślepia? Widzisz, gdzie były?

— Tak, Świnio — przytaknął z wysiłkiem. — Widzę.

— Nie ma ich, nie? Wyrznęli mi je.

Opuścił latarnię i odwrócił wzrok.

— Nie ma. Oślepił cię.

— Czasem się brudzą, to je czyszczę palcem. Owijam go szmatą i już.

— Człowiek płacze — stwierdził Oreb.

Róg spojrział na Świnie. Z obu stron szerokiego nosa spływały strugi łez.

— Mogę ci je przemyć, jeśli chcesz, Świnio. Wezmę czystą szmatkę i świeżą wodę.

— Żem wlaźł do środka. — Głos Świni był ledwie słyszalny. — Żem chciał się zorientować, co tam można znaleźć. I żem ją zobaczył.

Cisza. Róg otworzył osłonkę latarni i zdmuchnął świecę. Nie umiałby powiedzieć, dlaczego to zrobił.

— Znów ciemno, co?

Paskudna satysfakcja w głosie Świni raniła bardziej niż tysiąc łez.

— Tak, Świnio. Znów ciemno.

— Nie zapytasz o nią, brachu?

— Nie mówi — poradził Oreb.

Udał, że nie słyszy ostrzeżenia.

— Pomyślałem, że to nie najlepsza chwila na zadawanie wścibskich pytań.

— Nie interesuje cię to, brachu?

— Przeciwnie, bardzo interesuje, ale teraz nie jest odpowiedni moment. Ogar rozkulbacza osły i liczy na to, że my dwaj nazbieramy drewna. Poszukajmy. Obiecaliśmy mu.

W pewnym momencie, kiedy siedzieli już we trójkę przy małym ogniu rozpalonym w olbrzymim kominku zdobitym sellarię Krwi, Ogar powiedział:

— Muszę zerknąć na osły. Nigdy mi jeszcze żaden nie zginął w dzienną noc i chciałbym, żeby tak zostało. — Wstał. — Przynieść wam coś?

— Niczego nam nie trzeba.

— Teraz, brachu? — wyszeptał Świnia, kiedy Ogar wyszedł. — Chcesz teraz o niej posłuchać?

Pokręcił głową.

— Poczekaj, aż Ogar wróci.

— Chcesz, żeby usłyszał? Żem myślał, że nie.

— Ależ oczywiście, że chcę. Zna okolicę i jej mieszkańców. Byłeś tu kiedyś?

— Czy Świnia był? Nie był!

— Ja byłem, ale dawno temu. Dużo pozapominałem, nawet jeśli chwilami wydaje mi się, że to nieprawda. Część wspomnień uległa zniekształceniu, a to, co pamiętam dobrze, pewnie się zdezaktualizowało. Chciałem porozmawiać z tobą sam na sam, żeby dowiedzieć się, co cię trapi. Teraz, kiedy już to wiem, i sam zaczynam się tym martwić, chętnie wysłucham opinii Ogara. — Czekał na reakcję, ale Świnia się nie odezwał, więc mówił dalej: — Nie spodziewam się, oczywiście, że Ogar wyjaśni nam, jak to możliwe, że człowiek bez oczu widzi. Może jednak powie nam coś o tym, co widziałeś.

— Człowiek idzie — zapowiedział Oreb. — Wraca.

— Osły się nie rozbiegły, Ogarze? Nie wróciłbyś tak szybko, gdybyś musiał ich szukać.

Ogar uśmiechnął się i usiadł na swoim miejscu.

— Nie, wszystko jest w porządku. Chyba za bardzo się nimi przejmuję. Dziś już więcej do nich nie idę. Wam to się pewnie wydaje głupie.

— Fakt, że troszczysz się o swoje zwierzęta? Bynajmniej. Posłuchaj, Ogarze. Świnia powiedział mi niezwykłą rzecz i chciałby tobie również o niej opowiedzieć.

— Jeżeli mógłbym w czymś pomóc, spróbuję.

— Na pewno. Kiedy tylko przeszliśmy przez bramę, od razu wszedł tutaj, do domu. Sam. Nie muszę się chyba rozwodzić nad tym, że jest tu zupełnie ciemno, a on nie miał ze sobą światła.

Ogar ostrożnie skinął głową.

— Wolałbym nie musieć podkreślać także tego, że Świnia jest niewidomy, ale takie są fakty. Odkąd mi o tym powiedział, nigdy w to nie wątpiłem, ale uparł się, żebym to sprawdził. Sprawdziłem. Jest całkowicie ślepy. Jeśli masz w tej kwestii jakieś wątpliwości, z pewnością i ty będziesz mógł przekonać się osobiście.

— Wystarczy mi twoje słowo. Zupełnie jednak nie rozumiem, do czego zmierzasz.

— Człowiek widzi — wyjaśnił zwięźle Oreb.

— No właśnie. Świnia widział jakąś kobietę tutaj, w tym domu. Dobrze mówię, Świnio?

— Ano.

— Teraz wiesz tyle samo co ja, Ogarze. Spróbujmy dowiedzieć się czegoś więcej. Było ciemno, Świnio. Nie była to zwyczajna nocna ciemność, w której można rozróżnić kontury dużych przedmiotów i ludzi, lecz absolutny, nieprzenikniony mrok. We wnętrzu zburzonego domu musiało być kompletnie ciemno. Jakim cudem mogłeś ją tam zobaczyć?

Świnia pokręcił głową.

— Nie wiem.

— Miała jakieś źródło światła? Świecę?

— Gdyby miała, Świnia by jej nie zobaczył — odparł z namysłem olbrzym. — I by wam nie powiedział. — Wyciągnął przed siebie ręce. — Jest tu ogień, nie? Stary Świnia go czuje, bo ogień grzeje. A widzi go? Nie widzi.

— Czy widziałeś coś jeszcze oprócz kobiety? Podłogę, na której stała? Ścianę za jej plecami?

— Nie, brachu. Se nie przypominam.

— Nie znałeś jej? — upewnił się Ogar. — To nie była Wrotycz ani... ani inna kobieta, którą poznałeś podczas swojej

wędrówki?

Świnia odwrócił się w jego stronę, myląc się o mniej więcej dziesięć stopni.

— Skąd by Świnia wiedział, czy to ona?

— No tak... — Ogar w zadumie podrapał się po brodzie.

— Człowiek mówi! — ponaglił go Oreb.

— Dobrze, coś wam powiem. Uprzedzałem was, że dom jest podobno nawiedzony. Nie wiem, czy was obu ostrzegłem, na pewno mówiłem o tym tobie, Rogu. Świnia chyba w tym czasie poszedł naprzód.

— Nawiedzony przez kobietę?

— Tak. Chcecie usłyszeć całą opowieść? Uprzedzam, że jest to historia z gatunku tych, jakimi starsze dzieci straszą maluchy.

— Chętnie posłucham. A ty, Świnio?

— Ano. Gadaj.

— Dobrze. Dawno temu mieszkał tu bogacz, który miał brzydką córkę. Tak brzydką, że nikt nie chciał się z nią ożenić. Bogacz wydawał przyjęcia i urządzał bale, na które zapraszał wszystkich młodzieńców z miasta, ale żaden nie kwapił się do ożenku. Kiedy do jego domu przyszła wiedźma, cała w czerni, nakarmił ją, dał jej kartę i zapytał, co ma zrobić z tak paskudną córką. Wiedźma kazała mu ją zamknąć w takim miejscu, gdzie tylko on będzie ją mógł oglądać. O co chodzi, Rogu?

— O nic. Po prostu po raz setny zdałem sobie sprawę, jaki ze mnie głupiec. Mów dalej, proszę; bardzo chętnie wysłucham twojej opowieści do końca.

— Jak chcesz. — Ogar podniósł do światła butlę wina, z której pociągał, stwierdził, że nadal jest prawie pełna, i napił się. — Wiedźma kazała mu trzymać córkę pod kluczem tak długo, aż wszyscy zapomną o jej brzydocie. I tak bogacz zrobił. Zamknął

ją w ciemny, pustym pokoju i nigdy nie otwierał okiennic, aby nikt jej nie zobaczył. Sam przynosił jej jedzenie i wkrótce wszyscy o niej zapomnieli. Wszyscy poza augurem, który ją ochrzcił. Nie wiem, jak miała na imię. Ten augur z pewnością wiedział.

— Pleśń.

Ogar wytrzeszczył oczy.

— Przepraszam, nie chciałem ci przeszkadzać. Mów dalej. Jestem ciekawy, co było potem.

— Augur przychodził do domu bogacza i wypytywał o dziewczynę. Ojciec za każdym razem wymyślał jakiś wykręt: mówił, że córka jest chora albo że wyjechała. Wkrótce augur nabrał podejrzeń, że coś jest nie w porządku. Którejś nocy przyszedł, toporkiem wyrąbał otwór w okiennicy i wypuścił brzydką dziewczynę z ciemnicy. Zaczęła chodzić po domach, prosząc, by ktoś ją przygarnął. Nikt jednak jej nie chciał, taka była brzydka, zaczęła więc płatać im figle. Rzucała w nich talerzami, na które nałożyli sobie kolację, sprawiała, że sami okładali się pięściami i tym podobne. Kiedy jednak bóg kazał augurowi odejść, ten go posłuchał i zniknął. Generał Mięta zabiła bogacza i nie było już nikogo, kto mógłby uwolnić albo chociaż nakarmić dziewczynę, która w końcu umarła z głodu we własnym domu. Jej duch nadal tu mieszka. Widuje się go, jak spaceruje po murze albo po dachu, a czasem zaczyna podróży. Jeżeli go spotkasz i będziesz dla niego miły, przepowie ci przyszłość i przyniesie szczęście. Jeśli jednak choć słowem wypomnisz dziewczynie brak urody, przeklnie cię, a wtedy zostanie ci nie więcej niż rok życia.

— Mówi dobrze! — Oreb z aprobatą zaklaskał skrzydłami.

Ogar się uśmiechnął.

— To wszystko. Nic więcej nie wiem, poza tym, że mieszka w Zaścianku rodzina, która twierdzi, że jest w posiadaniu tego toporka, który augur ponoć zostawił, odchodząc. Widziałem go: zwykły stary toporek pozbawiony wszelkiej magicznej mocy. Coś się tak zadumał, Rogu?

— Z twojej opowieści wynika, że Jedwab opuścił Viron i jeśli jeszcze żyje, przebywa na Zieleni lub Błękanie. To patere Jedwab wyłamał toporkiem okiennice i uwolnił Pleśń, z pewnością właśnie o nim opowiada twoja historia. Niewykluczone, że mądra wiedźma w czarnej szacie to czyjeś zniekształcone upływem lat wyobrażenie maytere Róży, ale co do tego, że tym augurem był Jedwab, nie może być cienia wątpliwości. — Spojrzał na Świnie. — Nikt nie zapytał, co się stało z innymi mieszkańcami tego domu. A powinniśmy byli. Jedwab zabił Krew, Echidna zgładziła Piżmo. Hiacynt wyszła za Jedwabia, który opiekował się Pleśnią do czasu, aż przeprowadziła się z babką na Błękit. Doktor Żuraw, o którym byłbym niesłusznie zapomniawszy, omyłkowo zginął z rąk gwardzistów. Z pewnością wielu mieszkańców, w szczególności strażników Krwi, poległo w bitwie, która miała na celu uwolnienie Jedwabia i innych więźniów przetrzymywanych tu z rozkazu Ayuntamiento. Nie wiemy jednak, co się stało z dwoma albo i trzema tuzinami kucharzy, pokojówek, lokajów i prostytutek.

Świnia zwrócił bezoką twarz w stronę ognia.

— A oni, brachu, wiedzieliby, jak ślepy gość może zobaczyć kobitę?

— Nie, Świnio. Nie sądzę. Ale dzięki nim uświadomiłem sobie coś równie ważnego, o czym bez nich byłbym całkiem zapomniawszy: prawdziwe wydarzenia i prawdziwe opowieści nigdy się nie kończą. Kiedy Pokrzywa i ja poświęciliśmy Krwi

kilka stron naszej książki, myśleliśmy, że jego historia i historia tego domu dobiegły końca. Krew zginął, dom został złupiony, nie zostało nic innego, jak tylko sięść i spisać relację Jedwabia, Hiacynta i starca, który zbudował latawiec. Nawiasem mówiąc, ten ostatni udał się z nami na Błękit. Nie pozwalał nam wymawiać swojego imienia, za to dużo opowiadał o Pleśni i o swoich ptakach. Nie wpadliśmy na to, że Krew, jego córka i dom przetrwają w legendzie, a najwyraźniej tak się stało.

— To wyście księgę jakowąś napisali, brachu?

— Tak, wspólnie z żoną napisałem książkę. Poczęstujesz mnie winem, Ogarze?

— Proszę. Wcześniej mówiłeś, że nie chcesz.

— Wiem.

Wytarł wylot szyjki i przytknął butelkę do ust.

— Wypijesz za mnie, brachu?

— Tak. Ty nie możesz pić, odkąd straciłeś wzrok. Tak mówiłeś.

— Ano. Jak się pije, trza mieć ślepie i patrzeć, gdzie się lezie.

— Istotnie. Zaprzyjaźniliśmy się, Świnio, bardziej niż ty czyja z Ogarem, chociaż to on i Wrotycz tak gościnnie nas przyjęli. Gdybyś nie mógł pić wina, ja też nie wziąłbym go do ust. Ale teraz na pewien czas nasze drogi się rozejdą, a powiem ci w zaufaniu, że parę łyków dobrego wina może mi pomóc odegnać duchy. Dziękuję, Ogarze.

Ogar wziął od niego butelkę.

— Masz na myśli brzydką córkę?

— Taka brzydka to ona wcale nie była — powiedział nieco za głośno Świnia.

— Jedwab mówi!

— Nie. Jej właśnie będę szukał: Pleśni, dziewczyny z twojej opowieści. — Wstał, podpierając się kosturem. — Zostawię wam latarnię. Miałeś rację, Ogarze, mówiąc, że świeca jest bezcenna i mogę nie mieć okazji wstawienia nowej. Na razie jednak nie będzie mi potrzebna, tak jak Świni nie były potrzebne oczy. Nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać, jak to się działo, że czasem Jedwab widział Pleśń, kiedy ona znajdowała się zupełnie gdzie indziej.

Świnia także wstał.

— Idziem razem, brachu.

— Doprawdy... wolałbym pójść sam.

— Będiesz ślepy jak ja, brachu. Oreb ci pomoże, ale lepiej, cobyś miał ze sobą kogoś przyzwyczajonego. Brachu...

— Tak?

— Śliczna była, brachu. Podobała się staremu Świni. Mądry z ciebie gość, brachu.

Pokręcił głową, choć wiedział, że jego towarzysz nie widzi tego gestu.

— Wcale nie, Świnio.

— Tak, tak. Nie sięgała mi wyżej niż do paska i chuda była jak patyk. Ale śliczna. Wiesz czemu, brachu?

— Domyślam się. Dlatego że ją zobaczyłeś, choć nie widzisz od lat.

— Trafiłeś, brachu. Znasz ją, nie?

— Tak, Świnio. Wiem, że to dla ciebie nic nie znaczy, ale kiedy mieszkaliśmy razem w pałacu calde w Vironie, pomagałem ją karmić i opiekować się nią. — Spojrzał na Ogara.

— Nie dziwi cię, że przez kilka dni mieszkałem w pałacu calde?

Ogar pokręcił głową.

— Tam właśnie ja i Pokrzywa poznaliśmy Pleśń — ciągnął Róg. — Kobietę, którą w swojej opowieści nazwałeś brzydką córką i która dużo później podarowała mi oswojonego husa. Chciałbym jej pokazać, że przybyłem tu, aby w pewien sposób jej odplacić; szukam bowiem oczu dla jej babki. Przy okazji zapytałbym, gdzie jest Jedwab.

— Ufasz temu duchowi — zauważył Ogar. — Obaj mu ufacie.

— Owszem, tylko, że ta kobieta żyje. Tak przypuszczam. Z pewnością nie umarła tu z głodu.

— Jak nie chcesz, bym laźł z tobą, brachu...

— Wolałbym... żebyś został.

— Jak chcesz to załatwić? Umiesz się skradać?

— Świnia idzie — zasugerował Oreb.

— Ty z nią będziesz gadał, brachu, a ja se postoję za tobą i popatrzę. Żeś słyszał? Popatrzę.

— Tak, Świnio, rozumiem cię, ale czy zgodzisz się mi pomóc, jeśli wezmę cię ze sobą? Trzeba się będzie wspiąć na górę, co może być trudne. Podsadzisz mnie? Stanąłbym ci na ramionach.

— A pewno!

— W takim razie chodźmy.

Wyszli na dwór, w absolutną czerń. Jeden z osłów zaryczał, ciesząc się na dźwięk ludzkich kroków. Obaj przemówili do niego, chyba równie szczęśliwi, że słyszą jakiś jeszcze głos poza swoimi, choćby oswojonego zwierzęcia. Kiedy zatrzymali się i odwrócili w stronę willi, poświata płonącego w środku ognia, widoczna przez otwarte drzwi, wydawała się równie odległa jak płonące miasto w krainach niebios.

— Gdzie idziem, brachu?

— Do pokoju, o którym mówił Ogar. — Złapał się na tym, że mówi szeptem. Odchrząknął. — Tego, w którym Krew więził

Pleśń. Teraz, kiedy stoimy twarzą do willi, powinien być chyba z prawej strony, chociaż pewności nie mam. Orebie, widzisz dom przed nami, prawda?

— Widzi dom!

— Świetnie. Na jednym jego końcu powinna się znajdować oranżeria, niska dobudówka z dużymi oknami, zwieńczona, podobnie jak cały dworek, blankami. Widzisz ją?

— Ptak znaleźć. — Kruk zerwał się do lotu. — Leci ptak!

— Na prawo, brachu.

— Wiem. — Zaczął iść. — Kiedyś tu był mięciutki trawnik.

— Ano.

— Miękki i zielony rozciągał się przed prawdziwym pałacem. Bo dworek Krwi bardziej zasługiwał na nazwę pałacu niż rezydencja calde w mieście; bardziej nawet niż pałac prokuratora. Trudno uwierzyć, że wszystkie zmiany, które tu się dokonały, okazały się, koniec końców, zmianami na lepsze. Ale tak właśnie było.

Świnia ścisnął go za ramię.

— Machnij no szerzej tym kijem, brachu. Zaraz wleziesz na w ścianę.

— Dziękuję. Mam wrażenie, że w ogóle o nim zapomniałem.

— Ano. Ptaka gdzieś widzisz, brachu?

— Idzie ptak! — uspokoił go Oreb.

— Nie, Świnio. W takich ciemnościach widzę nie lepiej od ciebie.

— No to machaj kijem i stukaj w ziemię, jeśli nie chcesz wyróżnąć jak długi.

— Dobrze. Znalazłeś oranżerię, Orebie?

— Ptak znaleźć! Idzie ptak!

— Jest coraz bliżej, prawda, Świnio? Umiąłbyś powiedzieć, czy budynek, który mamy po lewej, jest w tym miejscu równie wysoki jak na początku? Tam miał parter, dwa piętra i strych.

— Tu nie — odparł Świnia po dłuższej chwili. — Nie wydaje mi się.

— No to doszliśmy na miejsce. — Czubkiem kostura namacał ścianę. — Nie jestem akrobatą, Świnio. Zresztą nawet gdybym był, mógłbym mieć kłopot z ustaniem na twoich ramionach w takich ciemnościach. Możesz tu przykucnąć, przy samym murze? Muszę się na ciebie wspiąć. I trzymaj się blisko ściany, kiedy będziesz się prostował. Chciałbym móc się o nią oprzeć. Uprzedzam, jestem ciężki.

— Ty, brachu? — Świnia ścisnął jego bark. — Żem kiedyś musiał przenieść chorego. Kapitana Lanna. — Świnia przykucnął i teraz mówił mu prosto do ucha. — Ciężki jest, gadali; nikt inny go nie dźwignie. Włóż, brachu.

— Staram się.

— Nie było go łatwo znaleźć, ale ważył tyle co szczeniak. Mógłbym go na pół złamać jak patyk. Jak się uspokoiło, żem jeszcze po konia wrócił. Żem se go zarzucił na barana, jak owieczkę. Ale się bał! Wstaję, brachu. Trzymasz się?

— Tak. Możesz wstawać.

Nie było to takie łatwe, jak sobie wyobrażał, ale udało mu się precyzyjnie przycisnąć między ozdobnymi blankami.

— Jedwab idzie! — Oreb był wyraźnie dumny.

— No... — Stanął na nogi, dysząc z wysiłku. — Jedwab rzeczywiście kiedyś tu był. — Wychylił się przez blanki, na próżno próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. — Świnio, mógłbyś mi podać kostur? Położyłem go przy murze. Będzie mi teraz potrzebny do badania drogi.

— Ano. — Cisza. — Masz. Wyciągnij grabę.

— Nie blisko. Leci ptak.

Właścicielowi Oreba ciarki przebiegły po plecach.

— Tylko go przez przypadek nie uderz. Mnie się to kiedyś zdarzyło.

— Masz go, brachu?

— Ma Jedwab!

— Prawie... Tak! Musnął mi palce. No, jest. Mam go.

— Dobra. A co ze mną, brachu? Jak Świnia wejdzie na górę?

Wyprostował się, przeniósł kostur nad blankami i opukał podłóżę.

— Wcale. Nie damy rady cię tu wciągnąć, w dodatku wątpię, czy ten dach utrzymałby twój ciężar. Mówiłem, że znam Pleśń; w przeszłości wyświadczała mi czasem drobne przysługi. Jeśli ją znajdę, sprowadzę do ciebie. — Przez chwilę ważył w duchu moralny aspekt tego stwierdzenia, po czym dodał: — Albo przyślę.

Nie czekając na protesty Świni, odwrócił się i zaczął iść. Już po chwili trafił kosturem w przykrą pustkę w miejscu, gdzie dawniej znajdował się szklany świetlik w dachu konserwatorium. Od tej pory szedł ostrożniej i trzymał się tak blisko blanków, że chwilami ocierał się o mur.

— Tu ściana — ostrzegł go Oreb.

Wysondował ją kijem, po czym, macając dłońmi, znalazł okno. Odepchnął na bok szczątki zniszczonych okiennic.

— To tutaj. Tak jak myślałem. Jest ktoś w środku?

— Nie ma człowieka. Nie ma dziewczeczki.

Przełożył kij przez okno, obrócił go w dłoni w poprzek, zaparł o boki futryny i podciągnął się na nim, zapierając się podszwami znoszonych butów o ścianę.

— To tutaj — powtórzył. — Z całą pewnością. To dawny pokój Pleśni, pierwsze pomieszczenie, do którego trafił Jedwab, włamawszy się do domu. — Pod kosturem dźwięczała podłoga. Pomieszczenie chyba było puste. — Są tu jakieś meble, Orebie? Może stół albo coś takiego? — Przytknął dłoń do ściany i ostrożnie postąpił krok w przód. Jeden, potem drugi. — W czasach Jedwabia drzwi były zamknięte od zewnątrz, ale nie wydaje mi się, aby nadal tak było — powiedział w ciemność. Nikt mu nie odpowiedział. Po chwili ostrożnej eksploracji zawołał: — Orebie? Oreb!

— *Byłeś niegrzeczny?*

Pytanie zdawało się dobiegać z jakiegoś boleśnie odległego miejsca.

— Jakby z Błękitu — powiedział głośno. — Bo zapewne tam właśnie się znajdujesz.

Cisza, ciemność i ciężar lat.

— Chciałbym z tobą porozmawiać, Pleśnio. Mam ci coś do powiedzenia, chcę też o coś zapytać i coś prosić. Porozmawiaj ze mną.

Odległy głos milczał.

Pod palcami wyczuł drzwi. Otworzył je.

— *Byłeś niegrzeczny?*

Przypomniał sobie Zielen, wojnę, którą toczył tam i przegrał, cudowne noce w towarzystwie jednorękiej kochanki, której usta miały słony smak morza.

— *Byłem. Nieraz.*

Pleśń stała przed nim, jakby zawsze tam była.

— *Szukałeś mnie. — To nie było pytanie.*

— *Tak. Chciałem ci powiedzieć, że tu jestem. Szukam oczu dla twojej babki. Obiecałem jej to.*

— Długo cię nie było.

— Wiem. — Potulnie pokiwał głową. — Próbowałem odszukać Jedwabia, ale nadaremno. Nadal szukam.

— Znajdziesz go. — Ton jej głosu nie dopuszczał cienia wątpliwości.

— Naprawdę? — Serce żywiej mu zabiło. — To wspaniale! Jesteś pewna, Pleśnio? Naprawdę znasz przyszłość, jak bogowie?

Stała przed nim w milczeniu, drobna jak dziecko, z twarzą jak czaszka i opadającymi do pasa czarnymi włosami.

— Wyglądasz... — Rozpaczliwie szukał odpowiednich słów. — Jak wtedy, gdy widziałem cię pierwszy raz.

— Tak.

— Jakbyś głodowała. Myślałem, że... że marynarze dowożą wam na wyspę jedzenie. I że łowicie z babcią ryby.

— Długo cię nie było — powtórzyła. — A ja tu byłam.

— Rozumiem. To znaczy... wydaje mi się, że rozumiem. Na pewno widzę cię tu teraz, co przypomina mi, że mam cię prosić o przysługę. Ale najpierw mam pytanie: gdzie jest Jedwab?

— Gdziekolwiek zdążasz.

— W Vironie? Dziękuję, wiem, że się nie mylisz. A teraz, Pleśnio, czy zechciałabyś mi wyświadczyć ogromną przysługę? Chciałbym, żebyś wyszła na dwór i porozmawiała, chociaż przez chwilę, z moim przyjacielem Świnia.

Zniknęła w mgnieniu oka, zostawiając go w ciemnościach. Wrócił tą samą drogą, którą przyszedł, stanął przy oknie i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył tylko ciemność głębszą niż każda naturalna noc. Usłyszał głos Świni i mimo że nie rozumiał słów, wiedział, głos jest przepełniony radością. Nastąpiła przerwa w rozmowie — cisza trwała pół minuty, a potem znów zabrzmiał

bas Świni, drżący i naładowany emocjami. Nie można było mieć wątpliwości, że Świnia jest bliski płaczu.

Ogar pogłaskał osła po gładkich, miękkich nozdrzach.

— No, już dobrze. Spokojnie. Nic się nie bój.

Osiół (miał na imię Żółw i nie był tym, którego dosiadał Ogar) nie do końca się z nim zgadzał, ale uprzejmie nie zaprzeczał.

— Przecież gdyby tu były wilki, tobym wiedział prawda?

Ogar cofnął się i zakręcił głownią, której płomień zdążył już prawie całkiem zgasnąć. Sypnęła skrami i rozświeciła się na tyle, że zobaczył wszystkie osły jednocześnie. Miały spętane przednie nogi, były spłoszone i tuliły się do siebie nawzajem.

— Ptak wrócić! — Oreb przysiadł na jednym z wyciągniętych ramion Scylli. — Ptak wrócić. Jedwab wrócić. Idzie ogień.

— Cieszę się — przyznał Ogar. — Zaczynałem się o niego martwić. Długo ich ze Świnia nie było. — Przeszedł przez portyk i znalazł się w dawnym przedpokoju. — Jesteś nareszcie. Wszystko w porządku?

— Nie. — Róg odwrócił się plecami do ognia. — Mógłbym prosić jeszcze trochę wina?

— Śmiało. Dopij. I tak już niewiele zostało.

— Dziękuję.

— Jesteś zmęczony? — Ogar usiadł obok niego. — Żle wyglądasz.

— Jedwab dobry — mruknął Oreb, sadowiąc mu się na ramieniu.

— Ja... — Róg się napił i odstawił butelkę. — Nieważne. Jestem ci winien przeprosiny. Odchodząc, napiłem się twojego dobrego wina ze złej przyczyny. To rodzaj występku. Wino ma w sobie coś świętego, zauważyłeś?

Ogar wzruszył ramionami.

— Patronuje mu któreś z pomniejszych bóstw. Jak wszystkiemu, co nie podlega bezpośrednio któremuś z Dziewięciorga.

— Syn Thiony. Dziwne, że to pamiętam, prawda? Nie ma chyba mniej znaczącego faktu w całej religii, ale właśnie ten utkwiał mi w pamięci. Pierwszy raz przypomniałem sobie o nim, kiedy pisaliśmy z Pokrzywą o patere Jedwabiu, a teraz znowu. Mogę jeszcze?

— Naturalnie.

Ogar podał mu butelkę.

— Wino jest poświęcone Thebciepei, gdyż powoduje upojenie, a to stan jej właśnie przynależny, podobnie jak magia, paradoksy, iluzje i tym podobne. Ale winem jako takim rządzi syn Thiony. Thiona to bardzo mało znaczna bogini.

— Nie chciałbym zmieniać tematu, ale czy wiesz, co się stało ze Świnia?

— Nie mam nic przeciwko takiej zmianie. Nie wiem.

— Biedny Świnia! — zakrakał Oreb.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w płomienie, aż Ogar się odezwał:

— Nie możesz mi powiedzieć, co się z nim dzieje?

— Tak jak nie umiem powiedzieć, co działo się ze mną. Chociaż to się może zmienić, kiedy zbiorę myśli.

— Mądry Jedwab!

Uśmiechnął się.

— Tak właśnie mówił Pięściak o patere Kowadełko. Czy Kowadełko jest teraz prolokutorem?

Ogar pokiwał głową.

— Pasuje mi to imię.

— Dobrze się składa. Może zechce mi pomóc. Został ostatni łyk. Chcesz? Proszę.

— Już i tak za dużo wypilem. Próbuję sobie przypomnieć te złe powody, o których wspomniałeś, lecz wino tak działa, że człowiek zapomina. Pamiętam tylko, jak mówiłeś, że może odpędzi duchy, ale nie ducha brzydkiej córki. Chciałeś ją zobaczyć.

Skinął głową.

— To właśnie była ta niewłaściwa motywacja: chęć odegnania duchów. Zawsze błądzimy, kiedy używamy wina w innym celu niż dla samej przyjemności picia. Powinno być napojem, miłym, orzeźwiającym napitkiem, najlepszym jaki mamy poza chłodną, smaczną wodą. Kiedy je wykorzystujemy, aby zapomnieć, bo to właśnie miałem na myśli mówiąc, że pomoże mi odegnąć duchy, albo by się rozgrzać, kiedy zmarzniemy, deprecjonujemy je. Nawiasem mówiąc, zauważyłeś, że się ochłodziło?

— Rzeczywiście. — Ogar się uśmiechnął. — Chwała Pahowi!

— Bynajmniej. Pah jest bogiem słońca, a przecież zdmuchnięcie słońca studzi whorl. Wspomniałem wcześniej o synu Thiony. Nazywamy go tak, bo nikt nie wie, jak ma na imię. Właściwie niewiele o nim wiadomo, poza tym, że jest śniadoskóry i patronuje winu. Nie nudzę cię? Nie musimy o tym rozmawiać.

Ogar podniósł butelkę, ale odstawił ją z powrotem, nie pijąc.

— Skądże. Może zostawimy tę resztkę dla Świni?

— Wątpię, by miał ochotę, ale to miło, że o nim pomyślałeś.

— Powiedziałeś, że nikt nie wie, jak się nazywa bóg wina. To niezwykle. Myślałem, że znamy imiona wszystkich bogów. Może nie ja, ale augurowie na pewno.

— Rzeczywiście, to niezwykle, ale się zdarza. Miałem kiedyś nauczyciela, który z tego żartował. Dużo nauczyliśmy się o bogach. Thionie i jej synowi poświęciliśmy wtedy dobre pół dnia i mój nauczyciel powiedział, że syn Thiony tyle wypił, że zapomnieli-, śmy, jak się nazywa.

Ogar parsknął śmiechem.

— Powiedział również, że syn Thiony jest jedynym bogiem o nieznanym imieniu, ja zaś dopiero po wielu latach uświadomiłem sobie, że nie miał racji. Mówimy przecież o Zewnętrznym, ale określenie „Zewnętrzny” to nie imię, lecz tylko określenie. Przydomek.

— Bóg dobry — zauważył Oreb.

— Twój ulubiony, prawda? — spytał Ogar. — Jego kochasz najbardziej.

— Właściwie tylko jego kocham, jeśli w ogóle można tak powiedzieć. Jest jedynym bogiem, którego warto kochać. Widzisz, Ogarze, ja byłem na zewnątrz. Widziałem Błękit i Zieleń, whor — le zupełnie różne od tego.

Ogar skinął głową.

— Człowiek wychodzi na zewnątrz z głową pełną najwyższych ideałów, ale wkrótce stwierdza, że bogowie nie wyszli z nim. Wszyscy zostali, nawet Pah. Opowiadałem o tym, że w Nowym Vironie źle się dzieje.

— Opowiadałeś.

— Jestem przekonany, że to właśnie jest jeden z głównych powodów takiego stanu rzeczy. Wielu z nas okazywało w życiu dobroć tylko dlatego, że bali się bogów. Zewnętrzny się nam objawił. To bardzo w jego stylu, bardzo typowe. Każe nam spojrzeć na siebie samych i sprawdzić, ile w nas prawdziwej uczciwości i łagodności. Chciałbyś zostać ojcem.

Ogar pokiwał głową.

— Mam nadzieję, że to będzie syn. Co nie znaczy, że nie chciałbym córki.

— Niektóre dzieci sprzątaję w domu, bo spodziewają się nagrody, inne dlatego że podłogę trzeba zamieść, a matka jest zmęczona. Jedne od drugich dzieli otchłań stokroć większa niż ta, która rozciąga się między tym whorlem i Błękitem.

— Bogowie każę się nam wynosić. Wszyscy to mówią. Ja...

— Takie jest ich zadanie.

— Nie chodzę do manteionu, Rogu. Wydaje mi się jednak, że bogowie powinni lecieć z nami. Są nam to winni.

— Pewnie oni z kolei uważają, że powinniśmy ich z radością zabrać ze sobą. Jesteśmy im winni i to, i jeszcze więcej.

Ogar milczał, wpatrzony w ogień.

— Przez trzysta lat pozwalali nam żyć w tym whorlu, którym kierują. Zdarzały im się błędne, okrutne decyzje, ale zwykle byli nam jednak życzliwi. Scylla nie jest tu może typowym przykładem, lecz znasz ją najlepiej, więc do niej się odwołam. Pomogła założyć Viron i łaskawie zgodziła się zostać jego patronką. Spisała Kartę, która przez trzy stulecia dobrze nam służyła. Nie sądzisz, że zasłużyła sobie na to, aby mieszkańcy Vironu wzięli ją ze sobą, jeśli tylko będą mogli?

— Dlaczego powiedziałeś, że to zły przykład?

— Bo Scylla zapewne nie żyje. Była najstarszym dzieckiem Echidny i wydaje się prawdopodobne, że przyłożyła ręki do zamordowania ojca. Może jeszcze wrócić, naturalnie, tak jak on wrócił. Nie bez powodu nazywamy ich nieśmiertelnymi bogami.

Ogar wstał, złamał szczapkę na kolanie i wrzucił obie połówki do ognia.

— Pewnie z chęcią położyłbyś się spać, a ja cię zagaduję. Przepraszam.

— Nie ma za co. Osły są dziś rozdrażnione; czekam, aż się uspokoją. Gdybym się teraz położył, do rana rozbiegłyby się po całym lesie.

— Wiesz, co je tak przestraszyło?

— Zwykle chodzi o wilki. Między innymi dlatego chciałem się tu zatrzymać. Z pewnością po tym, jak wynieśli się prawowici właściciele, wprowadziła się tu masa zwierzęcego drobiazgu, ale wilków na razie nie ma. Chyba nie lubią siedzieć w murach. A może boją się duchów.

— Niewykluczone. Po dzisiejszej nocy i ja nie mam ochoty widywać duchów. A właśnie, czy naprawdę mamy w tej chwili noc? Gdyby słońce zapłonęło, gdzie byłby klosz?

— Nie umiem tego stwierdzić.

— Ja również nie. Orebie? Widziałeś w okolicy wilki?

— Nie widzi.

— Coś płoszy osły Ogara. Wiesz, co to może być? Domyślasz się?

— Nie, nie.

— Mógłbyś w takim razie wyświadczyć mi przysługę i trochę się rozejrzeć? Jeżeli zobaczysz wilka albo inną istotę, której osły mogłyby się bać, nie zbliżaj się do niej i wróć nam o niej powiedzieć.

Oreb odfrunął.

— Mówiłeś o duchach, Ogarze. Widziałem kobietę, którą w swojej opowieści nazwałeś brzydką córką. Powiedziała mi, że Jedwab jest w Vironie i że tam go znajdę. Nie prosz, abym ci ją pokazał...

— Nie miałem takiego zamiaru — odparł z przekonaniem Ogar.

— Nie mogę kazać jej pojawiać się czy znikać, choć nie ukrywam, że bywały czasy, kiedy bardzo tego żałowałem. Nie jest złym człowiekiem, lecz przeraża mnie, a nigdy jeszcze tak się jej nie bałem jak dzisiaj — nawet wtedy, gdy siedzieliśmy w chacie, którą z maytere Marmur zbudowały z wyrzuconego przez morze drewna. Wtedy naprawdę była obok mnie, równie rzeczywista jak ty i ja w tej chwili. Tutaj rozmawiałem nie z nią samą, lecz raczej z czymś na kształt wspomnienia, jakie zachowała na swój temat.

Ogar złamał następną szczapę.

— Powiedziałeś, że nie jest prawdziwym duchem, bo, jak twierdzisz, żyje.

— Zgadza się, chyba tak właśnie mówiłem.

— Ale Scylla jest martwa. Czy z tego wynika, że gdyby pojawiła się w świętym oknie w małym manteionie, w którym pobraliśmy się z Wrotyczem, byłaby duchem? Duchem bogini? Kiedy byłem szprotem, ludzie gadali o duchu Paha Wielkiego; niektórzy klną się na niego po dziś dzień.

— Wydaje mi się to prawdopodobne, ale pewności mieć nie mogę — Wiem o bogach mniej, niż sądzisz. Poza tym z pokorą przyznać muszę, że moim zdaniem mało kto wie naprawdę dużo na ich temat. Przypuszczamy, że są podobni do nas, przenosimy na nich własne namiętności i niedoskonałości — i taki właśnie był sens żartu mojego nauczyciela, rzecz jasna. Jeżeli drażni nas sąsiad, zakładamy, że w podobnym stopniu drażni bogów, i tak dalej. Słyszałem nawet, jak ludzie mówili, że ten czy ów bóg śpi i trzeba mu złożyć ofiarę, aby się obudził.

Ogar otworzył usta, zawahał się, ale w końcu nie wytrzymał i wypalił:

— Myślisz, Rogu, że Świnia poszedł spać gdzieś w innym pokoju?

— To możliwe, choć bardzo w to wątpię. Jeżeli tak, to chyba lepiej stać się nie mogło.

— Ty też się o niego niepokoisz.

— Owszem. Ty nie śpisz, ponieważ martwisz się o osły. Ja nie mogę spać, bo zastanawiam się nad losem Świni. Prawdę mówiąc, myślę również o sobie i swojej misji.

— Ta kobieta... Mogła mu zrobić krzywdę? Twierdzisz, że nie jest duchem... Dobrze, wierzę ci. Kiedy o niej myślę, przypomina mi boginię, a bogini... Czemu kręcisz głową?

Wyprostował się i odwrócił plecami do ognia, zwracając się do Ogara.

— Nie jest boginią. Mam ci powiedzieć, kim jest? Pewnie już wiesz albo się domyślasz. Jeśli tak, to przepraszam.

— Tak, chciałbym. Wolałbym też, żebyś wysłał był Oreba na poszukiwanie Świni, zamiast przejmować się wilkami... Nie zgadzasz się ze mną.

— Nie. Rzeczywiście, Oreb mógłby pomóc; trudno to teraz stwierdzić. Przypuszczałem jednak — i nadal jestem takiego zdania — że byłoby to dla niego niebezpieczne o wiele bardziej niż wypatrywanie wilków, które raczej nie stanowią dla ptaka zagrożenia. A tu znalazłby się w zamkniętej przestrzeni z olbrzymim, uzbrojonym mężczyzną, który ma niezwykle wyostrzony słuch i potrafi dzięki niemu lokalizować nawet nieruchome, bezdźwięczne obiekty. Gdyby Świnia zezłościł się na intruza, co wcale nie jest takie nieprawdopodobne, Oreb mógłby zginąć.

— Twierdzisz, że Świnia potrzebuje teraz samotności.

— Istotnie.

Ogar usiadł po turecku, krzyżując pulchne nogi.

— Ze względu na coś, co duch mu powiedział?

— Być może. Tego nie wiem.

— Opowiedz mi o niej.

— Jak sobie życzysz. Wspomniałeś o tym, że bogowie namawiają wszystkich do opuszczenia tego whorla. Urządzenia służące do pokonania przestrzeni dzielącej „Whorl” od Błękitu i Zieleni noszą nazwę lądowników. Słyszałeś o nich?

— Tak. Ale nigdy ich nie widziałem.

— Czy wiesz o tym, że Pah zainstalował je na „Whorlu”, zanim ten wyruszył w podróż z whorla krótkiego słońca? I że większość z nich została złupiona?

— Tak ludzie gadają.

— Nie zaprzeczam. W ładunku znajdowały się między innymi ludzkie zarodki, bardzo stare, wiekowe, zakonserwowane zimnem większym niż chłód najsurowszych zimowych nocy. Czasem rabusie zostawiali embriony nietknięte, kiedy indziej bezmyślnie je niszczyli, a jeszcze przy innych okazjach kradli je i sprzedawali, zapakowane w lód, aby przetrwały do chwili, gdy zostaną wszczepione.

— Ludzkie zarodki, Rogu? Ja tylko słyszałem, że tak się robiło ze zwierzętami.

— Ale to prawda. — W blasku ognia jego twarz miała surowy wyraz. Niebieskie oczy ginęły pod siwiejącymi brwiami. — Oprócz zarodków zwierzęcych były też ludzkie. Przewożono również nasiona, zamrożone i gotowe do kiełkowania nawet po setkach lat. Nas jednak interesują embriony ludzi, bo Pleśń była jednym z nich. Podobnie jak patere Jedwab.

— Calde Jedwab? Żartujesz!

Pokręcił głową.

— Chciałem ci opowiedzieć o Pleśni, ale Pleśni by nie było, tak przynajmniej mi się wydaje, bez patere Jedwabia. A oboje by nie istnieli, gdyby nie Pah, który na whorlu krótkiego słońca nosił imię Tyfon.

— Słyszałem o tym, że bogowie w różnych miejscach mogą mieć różne imiona.

— I tak było. Na whorlu krótkiego słońca nazywali się inaczej. Tamte osoby — Tyfon, jego rodzina i przyjaciele — nie przestały wcale istnieć na tamtym whorlu nawet po tym, jak bogowie przenieśli się na pokład „Whorla”.

— Mów dalej.

— Bardzo proszę. O tym, że Pah nosił wcześniej imię Tyfon, dowiedziałem się od Alki, mojego dawnego kompana, który twierdził, że wie o tym od Scylli. Alka był złodziejem i bandytą, ale na swój sposób był też człowiekiem głęboko religijnym, wątpię więc, aby zmyślił tę historię. To nie byłoby kłamstwo w jego stylu. Wiesz, o co mi chodzi? Kiedy Pah — poprzestaśmy przy tym imieniu, bo już do niego przywykliśmy — postanowił pchnąć śmiertelników na inne whorle, użył w tym celu aż trzech niezależnych metod. Niektórych posłał w drogę śpiących, zamkniętych bez przytomności w rurach z cienkiego szkła i czekających, aż ktoś stłucze szkło i ich obudzi. Innych, w tym także moich i twoich przodków, Ogarze, po prostu ulokował tutaj, we wnętrzu „Whorla”. A jeszcze innych zakonserwował w postaci zamrożonych embrionów, wyprodukowanych na drodze starannych manipulacji w jego laboratoriach.

— Po co mu tyle różnych sposobów?

— Możemy tylko zgadywać. Spróbujesz?

Ogar się zamyślił.

— Chciał, żebyśmy skolonizowali nowe whorle, prawda? Do tego potrzebni mu byli ludzie, więc wsadził ich do „Whorla”.

— Śpiących? Czy tych, którzy się tu osiedlili?

— Jednych i drugich. Obawiał się pewnie, że wybuchną walki i nawzajem się powyrzynamy. Mogła też wybuchnąć jakaś epidemia, która wyniszczyłaby populację. Ale nie, wtedy byłby problem ze śpiącymi, bo nie miałyby ich kto obudzić.

— Sądzę, że Centralny Procesor dałby sobie z tym radę.

— Nigdy nie spotkałem śpiącego, Rogu. Nigdy nawet nie widziałem. W przeciwieństwie do ciebie, jak mniemam. Bardzo się od nas różnią?

— Z wyglądu? Wcale. Wymazano im z pamięci pewne fakty i wszczepiono na ich miejsce fałszywe wspomnienia, ale nie rzuca się to w oczy.

— Chcesz powiedzieć, że wszyscy mogliśmy być śpiącymi? Że w całym whorlu nie byłoby domów i ludzi, tylko same rośliny i zwierzęta?

— Nie. Chodziło mi o to, że Pah z pewnością rozważał taką możliwość, ale odrzucił ją jako niepraktyczną. A z pewnością niepożądaną.

Ogar pokiwał głową.

— Nie miałyby go kto czcić.

— To też prawda, chociaż nie wydaje mi się, żeby wtedy się tym przejmował. Gdyby nie obawa, że moje słowa zabrzmiały wyjątkowo bezbożnie, powiedziałbym, że Kapituła i manteiony były zwykłym żartem, a Pah uczynił się naszym głównym bogiem przede wszystkim dlatego, że bawił go ten pomysł. Znasz opowieść o wieśniaku, który przez całe życie skarżył się na zbyt obfite lub zbyt skąpe opady, na kiepską glebę, silne

wiatry i w ogóle na wszystko, co możliwe? Nie jest bardziej bezczelna niż żart mojego nauczyciela o synu Thiony, a podobnie jak on, także zawiera pewną mądrość.

Ogar pokręcił przecząco głową.

— Wieśniak zmarł, poszedł do Centralnego Procesora i wkrótce został wezwany do wspaniałej sali tronowej przed oblicze Paha. Pah powiedział tak: „Podobno wydaje ci się, że po części spaprałem sprawę, budując «Whorla»”. Wieśniak przytaknął, mówiąc: „No tak... panie, często miałem wrażenie, że sam bym lepiej zrobił to czy tamto”. Na to Pah: „Tego właśnie chciałem, abyś tak myślał”.

Ogar się uśmiechnął.

— Celną przypowieść.

— Istotnie. W dodatku wyjaśnia wiele faktów, zwłaszcza kiedy uświadomisz sobie, że sam Pah też został stworzony — przez Zewnętrznego. Pah chciał nas kształtować i nami rządzić, a do tego potrzebni mu byliśmy przytomni, nie śpiący. Jako nasz główny bóg miał idealne warunki do takiej manipulacji, chociaż nie można wykluczyć, że fałszywe wspomnienia śpiących miały służyć dokładnie temu samemu celowi. Tak samo jak ten wieśniak skarżymy się na burze, ale Pah z pewnością przewidział, że burze i gorsze jeszcze przygody czekają nas na nowych whorlach. Jak byśmy sobie z nimi radzili, gdybyśmy nigdy wcześniej nie widzieli śniegu ani nie doświadczyli sztormu?

— Nadal nie rozumiem, po co te embriony. Powiedziałeś, że ty też... że calde Jedwab został wyhodowany z takiego zarodka. Pleśń też.

— Chcąc skolonizować nowe whorle... Skoro mowa o burzach — na dworze zerwał się wiatr. Zauważyłeś?

— Cały czas nasłuchuję. Nie chcę wprowadzać osłów do domu, dopóki nie rozpęta się prawdziwa burza. Tu nie będą się mogły paść.

— Chcąc skolonizować Błękit i Zieleń, Pah musiał mieć pewność, że przynajmniej część ludzi dotrze do celu żywa. Podział na dwie grupy — śpiących i nie śpiących — właściwie załatwiał sprawę. Gdyby się okazało, że sen, którego mechanizmu nie znamy, nie utrzymałby ich przy życiu przez trzysta lat, koloniści pochodziliby z naszych rodów. Gdyby zaś, jak sugerowałeś, nas wygubiła jakaś choroba, Centralny Procesor obudziłby śpiących. Albo zrobiłyby to chemy, które Pah również tu zaokrętował. Sęk w tym, że sam fakt przetrwania populacji do momentu przybycia na Błękit i Zieleń był konieczny, lecz niewystarczający. Musieliśmy jeszcze przeżyć na tych whorlach. Błękit jest całkiem gościnnie; sami sobie jesteście tam najgroźniejszymi wrogami. Co innego okrutna Zieleń, na której żyją inhumi, grasują niebezpieczne zwierzęta, szerzą się choroby. Pah się spodziewał, że my, zwykli ludzie, możemy sobie z nimi nie poradzić, zadbał więc o to, aby znalazły się wśród nas jednostki nieprzeciętne, takie jak Pleśń, której duch może opuszczać ciało nie tylko po śmierci. I tacy jak Jedwab, typ przywódcy, o których opowiada się legendy, lecz którzy rzadko naprawdę istnieją. Na których rzadko zasługujemy, mógłbym dodać.

Ogar długo wpatrywał się w ogień, zanim przemówił:

— Powiedziałeś, że większość zarodków skradziono lub zniszczono.

— Obawiam się, że tak właśnie się stało.

— Czy to znaczy, że jesteśmy skazani na klęskę?

— To możliwe. Zwłaszcza na Zieleni.

— Chciałbym stąd odlecieć. Czy jestem szalony? Nigdy przedtem się tak nie czułem.

— Nie ma co ukrywać, że podróż jest bardzo niebezpieczna. Prawdą jest jednak i to, że ty, Wrotycz i wasze dzieci moglibyście wieść na Błękanie żywot o wiele lepszy, niż tutaj moglibyście sobie wymarzyć. Poza tym wypełnicie wolę Paha.

— Nie na Błękanie. Chcę polecieć na Zieleń. Chcę być tam, gdzie jestem potrzebny.

Zanim odpowiedział, wyciągnął się na wznak na podłodze, podkładając ręce pod głowę.

— Jesteś dzielnym człowiekiem.

— Wcale nie! I dobrze o tym wiesz. Ale... ale...

— Jesteś dzielny.

— Jestem solidny, rzetelny, mam głowę na karku, nie piję za dużo, nie wściekam się bez potrzeby. Nie szukam guza. Pracy się nie boję, lubię i potrafię się targować. Przydałbym się. Na pewno.

— Nie wątpię.

— Będę musiał o tym pomyśleć. I to dłużej, pewnie aż do narodzin dziecka.

W zburzonej willi zapanowała cisza, mącona tylko jękami wiatru, trzaskaniem ognia i cichym oddechem mężczyzny leżącego na podłodze. Po pewnym czasie Ogar wstał, wyjął z kominka płonącą żagiew i wyszedł na dwór. Kiedy wrócił, przyrzucił kocem leżącego, który uchylił powieki i wymruczał:

— Dziękuję.

— Nie śpisz?

— Chyba nie.

— Mówiłeś dzisiaj o rzeczach, które brzmiały zgoła... jak by to powiedzieć... niereligijnie. Sam to nawet przyznałeś.

- Ten żart o zmarłym wieśniaku...
- Nie tylko. Mam pytanie, Rogu. Dziwnie to zabrzmiało, tego się przynajmniej obawiam. Wyda ci się głupie.
- Boisz się, że nie potraktuję cię poważnie.
- Ogar usiadł.
- Chyba tak.
- Jeżeli zadasz je na serio, ja na serio odpowiem. A na pewno się postaram. O co chodzi?
- Powiedziałeś, że jest dwóch bogów, których nie znamy. To znaczy, wiemy, że istnieją, ale nie znamy ich imion. Mówiłeś też coś o tym, że Zewnętrzny stworzył Paha, prawda?
- Tak. Zewnętrzny stworzył zarówno bogów, jak i człowieka, rodzaj ludzki. Pismo Chasmologiczne stwierdza to wprost, a ja osobiście jestem przekonany, że to prawda.
- Ten drugi bezimienny bóg, syn Thiony... Wiadomo, kto był jego ojcem?
- Podobno Pah. Mówi się, że Thiona jest jedną z jego mniej ważnych konkubin, nie taką faworytą jak Kypris.
- W takim razie moje pytanie naprawdę może brzmieć głupio. Czy nie jest możliwe, że są jedną osobą?
- Mężczyzna leżący na podłodze nie odpowiedział.
- Nie znamy ich imion. Czy może być tak, że Zewnętrzny jest synem Thiony i bogiem wina?
- Pytanie wcale nie jest głupie. Przeciwnie, świadczy o twojej przenikliwości. W ciągu ostatnich paru minut dwukrotnie wprowadziłeś mnie w zdumienie. Tak, możliwe, że tak właśnie jest. Ja tego nie wiem.
- Jeśli jednak Zewnętrzny stworzył Paha, a Pah jest ojcem boga wina...

— Widziałeś kiedyś Thionę, Ogarze? W świętym oknie albo gdzieś indziej?

Ogar pokręcił głową.

— Ja też nie. A Paha? Bo ja nie.

— Nie.

— Co wobec tego wiemy o rodowodzie boga wina? Jak naprawdę może wyglądać? Jakim ograniczeniom Zewnętrzny podlega, a od jakich jest wolny? Mówiłem ci o Alce, o tym, jak Scylla poinformowała go, że na whorlu krótkiego słońca Pah miał na imię Tyfon. Kiedy rozmawiałem z Alką, Scylla opętała kobietę imieniem Acalypha, która później opowiadała o tym mojej żonie. Jak sądzisz, czy po tym, jak Scylla zawładnęła Acalyphą, zniknęła z Centralnego Procesora? Albo czy mogła w tym samym czasie opętać inną kobietę lub jakiegoś mężczyznę?

— Podejrzewam, że mogłaby, gdyby tylko chciała.

— Z całą pewnością. — Mężczyzna leżący dotąd na podłodze usiadł. — Miałem ci opowiedzieć, dokąd poszliśmy ze Świnia, kiedy zostawiliśmy cię samego przy osłach. Potem jednak uznałem, że lepiej będzie nic nie mówić i zobaczyć, jak zachowa się Świnia: jeśli zechce, sam nam to obu opowie, a jeśli będzie wolał milczeć, pozostanie to jego tajemnicą. Teraz znowu zmieniłem zdanie. Powinieneś to usłyszeć. Ty i Wrotycz przyjęliście nas w swoim domu i byłbym niewdzięcznikiem, gdybym zaniedbał swojego obowiązku.

— To ma coś wspólnego z bogami?

— Być może. Spotkałem Pleśń i poprosiłem ją, żeby porozmawiała ze Świnia. Potem zawahałem się, czy od razu wrócić do ciebie, czy też najpierw zajść do pokoju, który należał do Hiacynta.

— Żony Jedwabia?

— Właśnie. Przez pewien czas mieszkała w tym domu. Była piękną kobietą, najpiękniejszą, jaką w życiu widziałem. Chociaż potem poznałem jeszcze jedną, która mogłaby z nią konkurować, mimo że była okaleczona.

— Mów dalej, Rogu.

— Kiedy o niej pomyślałem i przypomniałem sobie, jak prześliczna mi się wtedy wydawała, zapragnąłem znaleźć się w jej apartamentach i chociaż dotknąć ścian. Przecięła azothem kamienny parapet w swoim pokoju. Jego też chciałem dotknąć, jeśli nadal był na swoim miejscu, tak jak chciałem stanąć przy oknie, przez które wyskoczył Jedwab. Powtarzałem sobie w kółko, że to idiotyczne i że powinienem wrócić tutaj. Wspomniałem o tym, że Oreb mnie zostawił?

Ogar tylko pokręcił głową i słuchał dalej.

— Odrunął. Powinienem był pamiętać, że boi się Pleśni. Było, naturalnie, ciemno choć oko wykol, musiałem więc wymacać sobie drogę kosturem. Przejście przez pokój Pleśni do drzwi zajęło mi chyba z pięć minut. Doszedłem do wniosku, że spróbuję wrócić do ciebie, a jeśli przez przypadek trafię do pokojów, których wygląd pasowałby do przedstawianego przed Jedwabia opisu apartamentów Hiacynta, tym lepiej.

— To brzmi rozsądnie.

— Dziękuję. Pomysł może i był rozsądny, ale nie na wiele mi się zdał. Ledwie wyszedłem z pokoju Pleśni, kompletnie się zgubiłem i gorzko pożałowałem, że nie zabrałem ze sobą latarni. Długo błąkałem się bezradnie po korytarzach, szukając schodów i usiłując nie wchodzić do pokojów, po tym, jak kilka z nich zwiedziłem — byłem bowiem przekonany, że wejście na schody musi się znajdować na korytarzu.

— Oczywiście.

— Mimo to i tak wpakowałem się do jakichś apartamentów. Zrazu niczego nie zauważyłem, a kiedy wreszcie zdałem sobie sprawę, co się stało, znalazłem drzwi i przeszedłem przez nie, myśląc, że wracam na korytarz. Tymczasem trafiłem po prostu do kolejnego pokoju, który był większy od pierwszego i, na ile potrafiłem to ocenić, miał w przybliżeniu kształt trójkąta. Nie wiem, czy geometrzy mają specjalną nazwę dla takiej figury: szeroki trójkąt z dwoma obciętymi rogami. Wtedy poczułem pewność, absolutną, niepodważalną pewność, że znajduję się w garderobie Hiacynta. Nigdy przedtem tam nie byłem, chociaż, jak mówiłem, sam dom zdarzyło mi się przed laty odwiedzić. Myślałem o niej jednak tysiące razy — i teraz byłem pewien, że właśnie do niej trafiłem. Nie musisz mi wierzyć, jeśli nie chcesz; nie będę miał do ciebie pretensji.

— Mów dalej. Co zrobiłeś?

— Pomyślałem, że skoro zaszedłem tak daleko, to mogę już poszukać sypialni, gdzie znajdowało się okno, z którego skakał Jedwab; mógłbym przy nim stanąć, dotknąć parapetu i tak dalej. Ostukiwałem podłogę kijem, szukając drzwi, kiedy usłyszałem potężne uderzenie i trzask pękającego drewna. Nawet nie będę próbował opisać ci, jak bardzo się przeraziłem — sam, w ciemności.

Ogar uniósł brwi.

— A wiesz, ja chyba też słyszałem głośnie „bum!” gdzieś w głębi domu, na długo przed twoim powrotem. Pomyślałem, że Świnia się o coś potknął i przewrócił.

— Może tak właśnie było, choć wątpię. Domyślałam się raczej — i jest to wyłącznie moje domniemanie — że Świnia uderzył w ścianę rapierem, którego używa w mroku w taki sposób, jak ja kostura, albo pięścią.

— Uderzył w ścianę?

— Tak. Nie sądzę, żeby zostały tu jakieś sprzęty; z pewnością je zrabowano. Sądząc po tym, co słyszałem o Krwi, musiał tu mieć piękne meble, spodziewam się więc, że dawno zostały stąd wywiezione. Gromadzimy skarby, Ogarze, i w swoim ograniczeniu myślimy, że gromadzimy je dla siebie, podczas gdy w rzeczywistości zbieramy je dla tych, którzy przyjdą po nas. Mogę ci zdradzić pewną wstydliwą rodzinną tajemnicę?

— Jeśli tylko chcesz, nie wahaj się.

— Miewaliśmy kłopoty z naszym najstarszym synem. Uważał, że jest znacznie mądrzejszy od mnie i Pokrzywy, że powinniśmy go słuchać i być wdzięczni, że zniża się do tego, by nami rządzić i doradzać nam.

— Ja też dałem się ojcu we znaki — odparł z uśmiechem Ogar.

— Kiedyś zezłościł się na Pokrzywę i uderzył pięścią w kredens, przy czym zrobił to tak nieszczęśliwie, że złamał drzwiczki i poważnie skaleczył się w rękę. Czy to wyjaśniałoby naturę łoskotu, który słyszałeś?

Ogar podrapał się po głowie.

— Co tak rozzłościło Świnie?

— Najprawdopodobniej moje postukiwanie.

— On też był w sypialni żony Jedwabia?

— I pomyślał, że zaraz mu w czymś przeszkodzę. To tylko domniemanie, ale przypuszczam, że tak właśnie się stało.

— Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałeś posłać Oreba, żeby miał go na oku. — Ogar zebrał drzazgi i korę, które zostały po drewnie na opał, i dorzucił je do ognia. — Nadal jednak nie wiem, co Świnia tam robił.

— W pustym pokoju, w pustym domu, po ciemku? Niewiele mógł tam robić, co najwyżej to, co sam zamierzałem: wsłuchać się w ciszę, dotknąć ścian i parapetu i zgadywać, gdzie stało łóżko i inne sprzęty należące do Hiacynta.

— Wydawało mi się, że Świnia nigdy wcześniej nie był w tym rejonie whorla. Tak mówił. Ty zresztą też, Rogu.

— Chyba tak. — Wstał, otrzepując siedzenie i kolana spodni.
— Potrzebne będzie więcej drewna. Jeśli pozwolisz, pójde poszukać.

— Nie chcesz już o tym mówić.

— Możesz tak to ująć, jeśli taka twoja wola. Ja nie mam nic rozsądnego do dodania, a nie chciałbym wyjść na durnia, bo i tak wystarczająco często mi się to zdarza. Interesują cię inne przesłanki świadczące o mojej głupocie?

Ogar sięgnął po latarnię.

— Chętnie posłucham.

— Nie Świnię słyszałem, lecz kogoś innego. To nie był apartament Hiacynta, lecz kogoś innego. Świnia nie nawiązał kontaktu z Hiacyntem, tylko z kimś, kto tam mieszkał przed nią.

— Wierzysz w to, co teraz mówisz?

— Ani trochę. Kiedy Świnia wróci, o ile w ogóle wróci, mogę go zapytać, bardzo dyplomatycznie, co Pleśń mu powiedziała i po co poszedł do dawnego apartamentu Hiacynta. Mogę, ale nie muszę. Tobie radzę w ogóle go nie wypytywać, chociaż nie mogę ci tego zabronić. Idziesz ze mną po drewno?

— Tak. — Ogar otworzył już latarnię i uklęknął przy ogniu, aby zapalić zamocowaną w niej świecę. — Wezmę ją. Za murem powinniśmy znaleźć dużo drewna. Ten wiatr z pewnością połamał mnóstwo gałęzi.

Wiało potężnie, kiedy porzucili pełgające po ścianach światło i zapach dymu i wyszli na zewnątrz przez otwór, w którym dawniej znajdowały się drzwi dworku Krwi. Wicher niósł jesienny aromat i targał latarnią w dłoni Ogara jak piórkiem na nitce.

Ogar od razu podszedł do spłoszonych osłów.

— Wprowadzę je do środka. Zaraz lunie.

Jego towarzysz miał mu właśnie poradzić, żeby się pospieszył, i wyjaśnić, że zapewne nadchodząca burza tak przerażała zwierzęta, kiedy Oreb z impetem wylądował mu na ramieniu.

— Człowiek idzie! — zakrakał. — Wielki człowiek!

— Świnia? Gdzie?

— Wielki, wielki! Uważa!

— Możesz mi wierzyć, że zachowam ostrożność. Gdzie on jest?

Oreb trzepotał skrzydłami, z trudem utrzymując równowagę na wietrze.

— Nie, nie!

— Nie musisz ze mną iść. Powiedz tylko, gdzie go widzisz.

— Z tyłu. Ptak pokazać.

Oreb śmignął pod wiatr, mocno pracując skrzydłami, na wysokości kolan dorosłego człowieka. Słabe światło latarni przygasło, aż w końcu zupełnie zniknęło — Ogar wprowadził osły do wnętrza zrujnowanej willi.

— Idzie ptak! — zawołał z ciemności Oreb.

— Tak! Idę!

— Jedwab dobry! — Wiatr niemal zagłuszał chrypliwy skrzek. — Uważa!

Niczego nie namacał kijem, gdy nagle zacisnęła się na nim olbrzymia dłoń, obejmując go od barków po pas.

— Chciałbyś mieć światło?

Głos bożęcia zmieszał się z odległym gromem, zupełnie jakby przemówiła nadciągająca burza. Słowa bożęcia zaparły Rogowi dech w piersi.

— Jeśli chcesz, spalę dla ciebie ten dom, święty.

Nie był w stanie myśleć. Odparł z najwyższym trudem:

— Jeżeli zaciśniesz dłoń, zabijesz mnie.

— Nie zacisnę. Chcesz usiąść mi na dłoni, święty? Tylko nie spadnij.

— Tak. Ja... Chętnie.

Coś nacisnęło mu na stopy. Kolana się pod nim ugięły, a obejmująca go dłoń rozluźniła uścisk i cofnęła się na skos do góry. Pomacał twardą, nierówną powierzchnię, na której go usadowiono, i odkrył, że pół łokcia dalej po obu stronach opada stromo w dół. Odkrył stulone za nim olbrzymie palce, każdy szerokości jego głowy.

— Orebie? — wyszeptał, chociaż chciał krzyknąć. Wziął wdech i spróbował ponownie: — Orebie!

— Ptak tutaj.

„Tutaj” oznaczało w tym wypadku całkiem sporą odległość.

— Chodź do mnie, Orebie, proszę cię.

Czuł, że zimny, gwałtowny wiatr w każdej chwili może go zdmuchnąć z niepewnego siedziska.

— Rani ptak?

— Nie! — Odchrząknął. — Przecież wiesz, że nie zrobię ci krzywdy.

— Wielki człowiek. Rani ptak?

— Jeśli spadniesz... — zadudnił w ciemności bas. Błyskawica rozświetliła horyzont, na ułamek sekundy wyławiając z mroku twarz wielką jak oblicze Echidny, które dawno temu pojawiło się w świętym oknie: stosunkowo małe oczy, nozdrza jak dwie jaskinie, przepastne usta. — Nie złapię cię.

— Proszę. — Ciężko łapał powietrze, walcząc z poczuciem, że wiatr rozwiewa w nicość każde jego słowo. — Powiedziałeś, że mogę mieć światło. Mam latarnię. Mogę ją zapalić?

— Jak sobie życzysz, święty. — Chrapliwy szept przywodził na myśl odległą lawinę.

Schował latarnię do kieszeni, kiedy patrzył, jak Ogar zapala swoją. Teraz wyjął ją, wyciągnął zapalarkę — i omal nie wypuścił obu z rąk.

— Maleńkie to światło, święty. — Tym razem w przerażającym dudnieniu dało się słyszeć nutę rozbawienia.

— Nie szkodzi — odparł z narastającym poczuciem ulgi. — Ja też jestem mały.

Białe iskry trysnęły na drżący knot. Wyglądało to, jakby trzymał w rękach deszcz spadających gwiazd — gwiazd na dnie grobu, gdzie Jedwab i Hiacynt złożyli ciało Orlicy we śnie, który przypomniał mu się z niezwykłą wyrazistością.

Tutaj grzebiemy naszych zmarłych w ziemi, pomyślał, aby znaleźli się bliżej Zewnętrznego. Na Błękanie kontynuujemy tę praktykę, chociaż w ten sposób oddalamy ich od niego.

Świeca zapłonęła żółtym ognikiem. Zamknął latarnię, wpatrując się jak urzeczony w opuszek kciuka bożęcia — gładko zaokrągloną twarz człowieka bez twarzy, noszącego spiczasty kapelusz, który w rzeczywistości był szponem.

— Widzisz mnie. — Olbrzym wydawał się zadowolony.

— Tak. Ty mnie widziałeś już wcześniej.

Olbrzymia twarz zniżyła się do niego, powoli, a potem równie powoli się podniosła jak ogromna łódź kołysana długą, łagodną falą.

— Tak jak Oreb. Oreb widzi po ciemku, nawet kiedy wydaje mi się, że nie ma ani odrobiny światła.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczął się zastanawiać, czy bożę go usłyszało.

— Oreb ma większe oczy niż ja — ciągnął odważnie. — Chociaż jest ode mnie mniejszy. Twoje oczy wydają mi się bardzo małe, ale tylko dlatego, że masz dużą twarz. Każde z nich jest zapewne wielkości łebka Oreba.

Deszcz spadł z nieba jak bicz.

— Za szybko mówisz, święty — zagrzmiało bożę.

Pewnie wydaje ci się również, że bardzo szybko się poruszamy, pomyślał. Brykamy jak wiewiórki albo króliki.

— Czy coś ci grozi, święty? Obronię cię.

— Nie.

Podniósł latarnię. Mokra tunika oblepiała mu rękę. To było lepsze — o wiele lepsze — niż kanały na Zieleni.

— Trzeba ci czegoś, święty? Dostarczę ci to.

— Bardzo to miłe z twojej strony. — Musiał się bardzo wysilać, żeby go usłyszano.

— Ptak tutaj! — Oreb siadł mu ciężko na głowie, przyprawiając go o dreszcz strachu. — Mokry, mokry! — Chmura kropelek wody zmieszała się z deszczem, gdy kruk otrząsnął się i zamachał skrzydłami.

— Schowaj się pod palcami, dobrze?

— Ptak dobry! Jedwab dobry!

Skruszony, przemówił powoli do bożęcia:

— Przygotowałeś dla mnie schronienie. Zaprosiłeś do niego także Oreba. Czy to przeze mnie... przez nas musisz tkwić na deszczu?

Znów wydało mu się, że w basowym głosie bożęcia słyszy rozbawienie, nie był jednak pewien, czy sobie go nie wyobraża. — Ja nie cierpię, święty. — Olbrzymia, podświetlona od dołu twarz pochyliła się nad nim. — Trzeba ci czegoś?

— Nie. — Słowa nadal przychodziły mu z trudem.

— Reszta ma zostać — zadudniło bożę. Jego gorący, wilgotny i cuchnący oddech przebił się przez wiatr. Uderzył piorun, wycinając z ciemności bezbarwną skórę poplamioną czarnymi jak atrament cieniami. — Dość już odeszło. Reszta ma zostać. To właśnie przyszedłem ci powiedzieć. Tak rzecze Jedwab.

Kompani od kielicha

Przeprowadziliśmy eksperyment, który zakończył się fiaskiem. Taka jest prawda i tak muszę na to patrzeć. Całe moje planowanie... Nie, powiem szczerze: całe moje knucie poszło na marne. Muszę wymyślić coś nowego.

Podczas pobytu w Blanko odkryliśmy z Favą, że kiedy nasze umysły się połączą, my dwoje — a także wszyscy przebywający w naszym towarzystwie — możemy uwolnić ducha od ciała i wysłać go w podróż. Udaliśmy się wtedy na Zieleń. Później z kolei Jahlee, diuk, Skóra, ja i jeszcze parę innych osób przenieśliśmy się do wielkiego miasta na whorlu czerwonego słońca. Domyślam się, że udało nam się to zrobić, ponieważ diuk był tam już wcześniej. Niech pomyślę.

Będę zapisywał wszystko, nawet najmniejsze drobiazgi. Może coś przyjdzie mi do głowy — czy podczas pisania, czy jutro, kiedy będę przeglądał te zapiski.

Namówiłem Beroepa, żeby zaprowadził mnie na drugą stronę ulicy, do domu Cijfer. Twierdził, że to poważne wykroczenie; ryzykowali z Aanvagen konfiskatę łodzi, a może nawet domu, gdyby urzędnicy się o tym dowiedzieli. Oczekaliśmy, aż upłynie trochę czasu od zaciemnienia i ulica opustoszeje. Zakutałem się w gruby, ciemnoszary płaszcz sztormowy z kapturem, uszyty z diago — nalu. Przypomniało

mi się, jak dostałem od Oliwinu moją togę augura. Jakież dziwne jest ten whorl! Tutaj zakładając nowe szaty, stajemy się nowymi ludźmi. Gdy tylko Beroep zapakował mnie w to przesadnie obszerne okrycie, więzień imieniem Róg zniknął, a jego miejsce zajął bezimienny kapitan bezimiennej łodzi. Przez cały czas, kiedy pływałem z Babbiem i Algą, nie miałem takiego płaszcza. Teraz zaś nie mam łodzi, a jestem dobrze wyekwipowany na drogę. I z pewnością wkrótce jakaś łódź się pojawi.

W taki sam sposób rubiny i czerwono-fioletowe jedwabie czyniły ze mnie rajana Gaonu. Jesteśmy jak papier, na którym strój pełni rolę atramentu.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Oreb pofrunął przodem, na tyle daleko, by jego obecność nie zdradziła mojej tożsamości. Miał nam poza tym zagwarantować, że Cijfer na nasz widok natychmiast pogasi światła i otworzy drzwi domu.

Tak właśnie zrobiła. Pospiesznie przeszliśmy przez próg.

— Służbę odesłałam, mójpanie Rogu. Tak rzekłeś i tak zrobiliśmy.

— Idzie ptak! — Oreb wleciał już tymczasem na schody.

Pobiegliśmy za nim — dokładniej rzecz biorąc, pobiegłem ja z Cijfer, Beroep zaś podążył ciężko za nami, dysząc i postępując. Jedne schody, drugie, aż w końcu znaleźliśmy się w zamykanym od zewnątrz pokoju, którego okno wskazała mi Vadsig i o którym nieustannie myślałem. Na pierwszy rzut oka było w nim równie ciemno jak w willi Krwi. Niewiele brakowało, żebym potknął się o krzesło, które wskazała mi Cijfer.

— Świecę podać ci, mójpanie Rogu? Okiennice zamknięte są. Nie widzi nikt.

Przyszło mi do głowy, że nawet gdyby okiennice były otwarte na oścież, w tym płaszczu i tak nikt by mnie nie rozpoznał, i

przypomniałem sobie, co Jedwab mówił o Pleśni: twierdziła, że dopóki okno jest zamknięte, jej duch nie może wydostać się z pokoju. Postanowiłem więc otworzyć okiennice w pokoju Jah — lee i później to zrobiłem, ale nic z tego nie wynikło.

Beroep dotarł do pokoju w tej samej chwili, gdy Cijfer przyniosła świecę. Chciał podejść do Jahlee i spojrzeć na nią z bliska, ale zbyłem go gestem — mam nadzieję — nieznoszącym sprzeciwu, i opadł zdyszany na krzesło. Dopiero kiedy usiadł, zrozumiałem, jak to się stało, że Cijfer, która od dłuższego już czasu pilnuje Jahlee, wciąż nie zdaje sobie sprawy, że ma do czynienia z inhumim: prześcieradło okrywające Jahlee było podciągnięte pod sam skraj jej peruki.

— Dobra rzecz? — spytał Oreb, gdy uniosłem przykrycie.

Przykryłem Jahlee z powrotem i kazałem mu być cicho.

— Zakryłaś jej twarz — powiedziałem, zwracając się do Cijfer. — Mogę zapytać dlaczego?

— Cicha taka jest, mójpanie. I zimna. Jak trup twoja biedna córka wygląda. Patrzyć na nią nie lubię.

— Lecz żyje? — spytał Beroep.

— Tak. Jest w śpiączce, z której zamierzam ją wybudzić.

Byłem święcie przekonany, że zdołam tego dokonać, i dałem temu przekonaniu wyraz w słowach. Co by się stało, gdyby Jahlee, którą raz już pochowano żywcem w Gaonie, została pogrzebana po raz drugi tu, w Dziurze? Kto by ją wtedy wyratował?

— Duchy mój dom opuszczą, mójpanie, gdy ona obudzi się?

Odparłem Cijfer, że tego właśnie się spodziewam, i wyprosiłem oboje z pokoju. Ona wyszła potulnie, on niechętnie. Co tu więcej mówić?

Nic, doprawdy.

Przesiedziałem przy niej całą noc, wspominając Zieleń: miasto w ruinach, bagna i dżungle, pola ryżowe, zapomnianą wieżę na urwisku. Porzucony lądowik, w którym umarłem, stawał mi przed oczami nie raz i nie dwa, lecz dwadzieścia lub trzydzieści razy. Na ile było to możliwe, zapuszczałem się w każdy zakamarek, zaglądałem pod każdy liść, zerkąłem w każdą szparę. Dwa piętra niżej, gdzie Beroep rozmawiał z gospodynią, popijając białą brandy, którą mieszkańcy Dziury szczególnie sobie upodobali, talerze spadły z półki i Cijfer krzyknęła przerażona. Zdarzyło się to krótko po północy. Ja nie doświadczyłem podobnej aktywności. Otworzyłem okiennice, a po półgodzinie, kiedy pokój nieznośnie się wychłodził, zamknąłem je z powrotem. Przeszawiłem świecę z miejsca na miejsce. Szturchałem ogień pogrzebaczem i podsycąłem go drewnem. Ściągnąłem z Jahlee prześcieradło i pocałowałem ją w policzek. Wyciągnąłem spod przykrycia jej rękę (która z całą pewnością była ręką inhumiego) i ścisnąłem w dłoniach. Była zimna jak lód; dłoń zwykłej martwej kobiety byłaby cieplejsza. Rozgrzała się po pewnym czasie, lecz Jahlee ani drgnęła.

Modliłem się, błagając o pomoc Zewnętrznego i wszystkich innych bogów, przesuwając paciorki w palcach i wspominałem tysiące rzeczy, od dobroci mojej matki po wyraz twarzy i słowa Świni, kiedy wrócił do mnie i Ogara siedzących przy ogniu w willi Krwi. Słuchałem Oreba i rozmawiałem z nim, głównie po to, aby go upomnieć, by nie rozpowiadał nikomu, co robię. Kiedy już miałem dość jego gadaniny, otworzyłem ponownie okno i wysłałem go na poszukiwanie Babbiego — czego teraz ogromnie żałuję, gdyż do tej pory nie wrócił.

Nastał świt, a wraz z nim przyszedł mocno wstawiony Beroep, twierdząc, że nie może dłużej ryzykować mojej

nieobecności w domu. Oto więc jestem. Niczego nie osiągnąłem. Cóż więcej mogłem zrobić? Żałuję, że nie obciąłem sobie ręki, aby krwią posmarować usta Jahlee.

* * *

Mam nowinę, i to chyba dobrą. Rankiem doszło na dole do awantury. Przystawiłem ucho do dziurki od klucza i udało mi się rozpoznać głos kucharki. Nietrudno było się domyślić, komu złorzeczy, zacząłem więc walić pięściami w drzwi i wzywać Vad — sig. Zjawiała się u mnie na piętrze bez tchu, czerwona na twarzy jak Aanvagen, ze świeżym siniakiem na policzku.

— Chcę tylko z tobą chwilę porozmawiać — wyjaśniłem. — Niech kucharka ochłonie. Pomyślałem, że się ucieszysz, kiedy wyratuję cię z opresji, jakakolwiek by była.

— Wychodzę, mójpanie. Jej o pozwolenie nie pytam. — Powiedziała to tonem człowieka, który lekceważy potęgę militarną całych miast. — Od rana gada, mójpanie. Kłamie. Nie więcej niż godzinę to było. Mniej!

— Wierzę ci.

— Nie płaci mi ona, mójpanie. Służącą jak ja jest!

— Z pewnością przywykła do wyżywania się na tobie, kiedy byłaś młodsza, Vadsig. Z twojego zachowania i sposobu mówienia musi się teraz nauczyć, że dorosłaś.

Z zapalem pokiwała głową.

— Całe życie służą jest. Inaczej ze mną będzie. Widzi to. Własny dom mieć będziemy. Dzieci urodzę. Służących, takich jak ona, do usługiwania nam będziemy mieli.

— Mierz wysoko, Vadsig. Nie masz nic do stracenia.

— Dziękuję, mójpanie. Bardzo pan uprzejmy. — Przyglądziła fartuch i cofnęła się za próg. — Twój syn dobrze się ma,

mójpanie. Szczęśliwy nie jest, ale zdrowy. Pozdrowienia przeze mnie tobie przesyła, mójpanie.

Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku, zanim zdążyłem zamknąć usta. Skóra? Z Vadsig? W jakimż cudownym whorlu żyjemy!

Spaceruję po pokoju, trzy kroki w tę, trzy kroki z powrotem. Martwię się o Oreba. Jeżeli przeczytasz kiedyś te słowa, Pokrzywo, powiesz pewnie, że powinienem był się martwić o naszego syna — ale czym tu się niepokoić? Albo się z Vadsig pobiorą, albo nie. Nie mogę decydować za nich; ty też byś nie mogła. To będzie ich postanowienie. Jeśli ich drogi się rozejdą, będą tego później żałować i nic, co moglibyśmy teraz powiedzieć albo zrobić, tego nie zmieni. Jeżeli się pobiorą, również czasem będą tego żałować — i na to też nie mamy wpływu. O czym tu więc dumać? Życzę obojgu jak najlepiej. Ty również trzymałabyś za nich kciuki, gdybyś teraz była tu ze mną.

Co się zaś tyczy Oreba... Martwię się o niego, ale jestem bezradny. Kiedy dotarliśmy do „Whorla”, przepadł bez śladu na blisko rok. Teraz nie ma go niecałą dobę. Modłę się, żeby nie stała mu się krzywda — więcej zrobić nie mogę. Mam nadzieję, że Zewnętrzny, któremu kiedyś Jedwab chciał złożyć Oreba w ofierze, uśmiecha się do niego.

Przyczyna mojego niepowodzenia z Jahlee jest oczywista. Jej duch jest nieobecny. Miałem nadzieję, że może unosi się gdzieś w pobliżu ciała, a ja w jakiś sposób ułatwię mu powrót. Wszystko jednak wskazuje na to, że został na Zieleni. Ja stamtąd wróciłem, zakładając, że i Jahlee to robi, gdy tylko zechce. Albo więc nie chce tu wracać, albo nie może. W pierwszym

przypadku nie mam nic do powiedzenia. Jeśli taka jej wola, może trwać w tym stanie, jak długo zechce.

Jeśli jednak coś uniemożliwia jej powrót (a przyznaję, że tego właśnie się obawiam), muszę ją tu sprowadzić. Nie mogę jednak udać się po nią sam, bez takiej osoby, jaką jest Jahlee i jaką była Fava.

Zostają mi Vadsig, Aanvagen, Beroep i — być może — Cijfer. Próbowałem sobie wyobrazić, że jedno z nich jest inhumim, ale bez powodzenia. Vadsig jest wprawdzie szczupła i drobna, ale sam pomyśl, że inhuma z własnej woli prowadzi taki tryb życia — sypia na poddaszu, zamiata i myje podłogi, zmywa naczynia — jest zgoła niedorzeczny. Twierdzi, że pracuje tu od dwóch lat. Przez ten czas z pewnością zostałaaby zdemaskowana — a gdyby nawet nie, Oreb natychmiast by się na niej poznał. Przecież widział ją wielokrotnie. Beroep i Aanvagen odpadają, gdyż oboje są zbyt korpulentni. Jeśli zaś chodzi o Cijfer, to po prostu wierzyć mi się nie chce. Oreb widział ją i nic nie powiedział. Nie zasłoniłaby twarzy Jahlee. Nie sprowadziłaby jej biochema na pomoc. Cała czwórka zatem odpada.

Nie mam nikogo więcej. Co mi pozostaje?

Spać.

Bez snów. Nie śniła mi się Fava, Mora, nikt. W czym właściwie nie ma nic dziwnego, Mora zapewne nie śpi.

Za oknem zmierzch. Kończy się kolejny krótki zimowy dzień. Wkrótce cały dom zaśnie, a ja wyjdę szukać na ulicach kogoś takiego jak Fava i Jahlee, kto, być może (podkreślam: być może) zgodzi się udać ze mną na Zieleń i sprowadzić moją córkę do domu. Cóż więcej mógłbym zrobić? Dziękuję bogom, a w szczególności Zewnętrznemu, że Beroep zapomniał się upomnieć o pożyczony mi żeglarski płaszcz.

* * *

Tyle się wydarzyło, że próba spisania wszystkiego wydaje się beznadziejna. Miałem rację: płaszcz Beroepa przydał mi się, ale wcale nie po to, aby na ulicach Dziury szukać inhumiego, który byłby skłonny mi pomóc. Ledwie zdążyłem napisać słowo „płaszcz” i odłożyć piórnik oraz kurczący się szybko zapas papieru, gdy na schodach usłyszałem tupot buciorów i szczęk broni. Do mojego pokoju weszli dwaj ludzie uzbrojeni w strzelby. Zaprowadzili mnie do sędziego Hamera — nie do sądu jednak, lecz do jego domu, gdzie urzędował w sellarii.

— Nieformalne posiedzenie to jest, mójpanie Rogu. — Miał czerwona, nalaną twarz, ja zaś odniosłem wrażenie, że usiłuje przemawiać głosem bardziej basowym niż mu natura dała. — Przesłuchanie wstępne. W sprawach karą śmierci zagrożonych tak robimy.

Stwierdziłem, że przecież nikogo nie zabiłem.

— Swoim więźniem Nata uczyniłeś. Zniewoliłeś go, mójpanie. Wedle naszego prawa ciężkie przestępstwo to jest.

Uśmiechnął się, przekrzywił głowę i przeciągnął palcem po szyi.

— Czy Nat cieszy się w Dziurze jakimiś szczególnymi względami, panie sędzio?

Spoważniał.

— Mójpanie Rehtorze do mnie zwracać się należy, kiedy przemawiasz, mójpanie.

— Proszę o wybaczenie, mójpanie Rehtorze. Jestem tu obcy, nie nawykłem do waszych zwyczajów. Czy Nat cieszy się w Dziurze jakimiś przywilejami, mójpanie Rehtorze? Czy może to prawo, o którym wspomniałeś, wszystkich dotyczy?

— Wszystkich chroni, mójpanie.

— Co z przybyszami takimi jak moja córka, syn i ja sam, mójpanie Rehtorze? Czy i nas chroni? Czy też obejmuje ochroną tylko obywateli waszego miasta?

— Wszystkich. Rzekłem tak, mójpanie, i tak jest.

— Wobec tego protestuję w imieniu mojej córki, mójpanie Rehtorze. Została na twój rozkaz zatrzymana i uwięziona, chociaż nie miała nic wspólnego ze zniewoleniem Nata. Którego, nawiasem mówiąc, wkrótce uwolniliśmy.

— Zgodnie z prawem przetrzymywana jest, mójpanie. Łamać prawa nie wolno. — Sędzia zwrócił się do żołnierzy. — Córka mój — pana Roga, meren Jahlee, gdzie jest? Do sądu dlaczego jej nie przyprowadzono?

Jeden z żołnierzy wyprężył się na baczność i zasalutował.

— Śpi ona, mójpanie Rehtorze.

— Ją obudźcie.

Odbyła się szeptana narada, ja zaś, korzystając z okazji, trochę się rozejrzałem. Pięciu uzbrojonych w strzelby ludzi wzięłem za legionistów, chociaż mundury mieli cokolwiek wybrakowane. Oprócz nich, sędziego i mnie w pokoju znajdowali się jeszcze Beroep i Aanvagen.

Sellaria emanowała bogactwem i luksusem, chociaż na żadnym z naprawdę zamożnych mieszkańców Vironu z czasów mojego dzieciństwa nie zrobiłaby wielkiego wrażenia. Nawoskowa — na drewniana podłoga była gładka i błyszcząca, szorstki dywan przed biurkiem — też niczego sobie, boazeria jednak wyglądała topornie, a ściany obwieszono ponurymi obrazami. Wystroju dopełniały masywne krzesła i przeszklone gablotki zawierające zardzewiałe noże i miecze oraz rżnięte i wypolerowane do połysku kamienie.

— Mójpanie Rogu! — Sędzia zabębnił laską w biurko. — Twoją córką wkrótce się zajmujemy. Również mójpanem Skórą, który z tobą wraz oskarżony jest.

— niesłusznie. Jest moim synem; robił tylko to, co mu kazałem.

— Później obaj to powiecie. Teraz wiedzieć muszę, czy do winy się przyznajesz, a nie, czy mójpan Skóra się przyznaje albo meren Jahlee, której snu dzielni mężczyźni przerwać się nie odważyli. Naszego prawa nie znasz, mójpanie?

Pokręciłem głową.

— Głośno odpowiadać musisz.

— Nie, mójpanie Rechterze. Nie znam.

— Przestępcy tacy jak ty, mójpanie Rogu, trojaki wybór mają. Żeś niewinny, twierdzić możesz. Jeśli zrobisz tak, słowami swoimi i przez świadków niewinności swojej przede mną dowieść musisz.

— Czy to znaczy, że będę mógł swobodnie przemawiać, mójpanie Rechterze?

— Rzekłem tak, mójpanie. Do winy jeżeli przyznasz się, tak samo wygląda sprawa. Słowami swoimi i poprzez świadków przekonać mnie masz, abym łagodny wyrok wydał.

— To rozumiem, mójpanie Rechterze.

— Także odmówić odpowiedzi możesz. Tak jeśli uczynisz, przyjaciela ci wyznaczę. Wtedy wykazać winę twoją musimy, a naszych świadków on przesłuchiwać może. Dla dzieci i niemów taki wyjątek czynimy.

— Powiedziałeś, że musisz mi udowodnić winę, mójpanie Rechterze. Wydawało mi się, że masz być sędzią w mojej sprawie?

— Sędzią twoim jestem. Winny jeśli jesteś, wykazać to muszę.
Co wybierasz?

Zerknąłem na Beroepa. Nie chciał mi spojrzeć w oczy.

— Będę milczał aż do procesu, mójpanie Rehtorze.

— Do winy przyznać musisz się albo jej zaprzeczyć. Proces wtedy zacząć się może.

Pokręciłem przecząco głową.

— Do mnie głośno mówić masz!

Byłem przerażony, ale przypomniałem sobie, jak Jedwab w Limnie marzył o publicznym procesie, chociaż zdawał sobie sprawę, że proces taki musi się zakończyć skazaniem go na śmierć. Zebrałem się na odwagę i odparłem:

— Jesteś moim oskarżycielem, mójpanie. Postawcie mnie przed bezstronnym sędzią, to z nim porozmawiam.

— Sędzią twoim jestem! — Uderzył laską w blat biurka.

— Utrzymujesz, że zgodnie z obowiązującym tu prawem, którego nie znam, możesz mnie sądzić. Ja zaś twierdzę, że zgodnie z jedynym prawem, jakie znam — prawem rozumu — mogę się bronić. Rozum wymaga bezstronnego sądu, a także zapewnienia mi pomocy człowieka, który zna się na waszym prawie. — Doskonale pamiętam, z jakim wysiłkiem przełknąłem wtedy ślinę. — Kogoś, kto stanie po mojej stronie.

W sellarii zapadła cisza, którą mąciło tylko szuranie wojskowych butów.

— Czy to wszystko, co do powiedzenia masz, mójpanie Rogu?
Skinąłem głową.

— Głośno mówić masz!

Pokręciłem głową, czekając na cios w potylicę.

— Mójpanie Beroep! Beroep zrobił krok w przód.

— Słucham, mójpanie Rehtorze?

— W twoim domu mójpan Róg jak długo przebywa? Widziałem, jak Beroep odruchowo porusza palcami, próbując policzyć na nich dni i nie dać przy tym poznać, co robi.

— Osiem dni, sędzio Hamer — odparłem.

— Mnie mójpan Rehtor nazywać masz.

— Nie, sędzio Hamer.

— Uciszyć — polecił Hamer jednemu z legionistów, który podszedł do mnie od tyłu i zakrył mi usta dłonią.

— Sześć dni, mójpanie Rehtorze — powiedział Beroep.

— Nie osiem? Beroep odchrząknął.

— Sześć tylko naliczyłem, mójpanie Rehtorze.

Zrobiło się małe zamieszanie i do sali wprowadzono Skórę, Vadsig oraz dwoje ludzi w średnim wieku.

— Mójpan Skóra to jest? — spytał sędzia. Odepchnąłem dłoń legionisty i powiedziałem na cały głos: — Nie!

— Co mówisz takiego, mójpanie?

Tym razem legionista jedną ręką zatkał mi usta, a drugą położył na karku. Nie mogłem wykrztusić słowa.

— Mójpanie... — Sędzia zwrócił się do Skóry. — Twoje imię poznać musimy.

— Nazywam się Racica — odparł Skóra.

— Mójpanie Rehtorze, tak do mnie się zwracaj, mójpanie. Jeszcze raz odpowiedz.

— Rozumiem, mójpanie Rehtorze.

Hamer przewrócił oczami. Domyślałem się, że podobnie jak ja w duchu błaga nieśmiertelnych bogów o zmiłowanie.

— Sądowi imię swe podać musisz, mójpanie. Jak brzmi ono?

— Skóra, mójpanie Rehtorze — odparł mężczyzna w średnim wieku. — W moim domu mieszka. Jeśli przenieść...

Hamer wszedł mu w słowo:

— Jego pytam, mójpanie!

— Nazywam się Racica — powiedział Skóra.

— Nie Skóra?

Widziałem, że Skóra zerka na mnie ukradkiem, wątpię jednak, by sędzia to zauważył.

— Nie.

— Skórą go zawsze nazywamy, mójpanie Rehtorze — wtrąciła piskliwym głosem kobieta.

— Cicho bądź, Versregal! — zbeształ ją mąż.

— W waszym domu przebywa, mójpanie Striku?

— Ja tak — odparł Skóra. — Ale mój brat nie.

— Mójpan Skóra twoim bratem jest?

Skóra pokiwał głową. Jeden z żołnierzy podszedł do niego i pięścią uderzył go w skroń.

— Głośno do sędziego Hamera mówić musisz — wyjaśnił mu szeptem Strik.

Vadsig podeszła do sędziego. Oczy jej płonęły.

— Nie wie nic on! Nie zrobił nic! Dlaczego nad nim znęcacie się? To sprawiedliwość ma być?!

I tak złorzeczyła sądowi przez pewien czas; za dużo tego było, żebym miał wszystko zapisać, nawet gdybym spamiętał. Kiedy Hamer ustalił, że Vadsig jest tylko służącą w domu Aanvagen, kazał ją zakneblować i przywiązać do krzesła.

— Mójpanie Skóro, synem mójpana Roga jesteś?

— Nie nazywam się Skóra — zaproponował Skóra. — Mam na imię Racica. Skóra jest moim bratem bliźniakiem. Zamieniliśmy się. Kiedy byliśmy mali, stale to robiliśmy na złość ojcu. Nigdy nie umiał nas rozróżnić.

— Mójpanie...

— Racica. Jesteśmy identyczni.

— Trzech synów i córkę mójpan Róg ma — wtrąciła Aanvagen.

Hamer spiorunował ją wzrokiem.

— Dowiedziałem się, że brat ma tu kłopoty — ciągnął Skóra. — Przyjechałem więc sprawdzić, czy mogę mu jakoś pomóc. No i się zamieniliśmy. Skóra jest już pewnie w drodze do domu.

Hamer kazał żołnierzowi mnie puścić i zapytał, czy Skóra jest moim synem. Przytaknąłem.

— Synów trzech masz, mójpanie? Tak ta kobieta mówi.

Skinąłem głową. Cios powalił mnie na kolana.

— Synów trzech masz?

Chyba znów pokiwałem głową. (O Zieleni napiszę przy innej okazji). Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na podłodze przy biurku Hamera, który przepytywał Azijina.

— Z mójpanem Rogiem rozmawiałeś, kiedy uwięzieni przez śniegi byliście. O synach bliźniakach mówił?

— Tak, mójpanie Rehtorze — odparł stojący na baczność Azijin.

— Więcej niż „tak” usłyszeć bym chciał.

Azijin przełknął ślinę; dźwięk nie był głośny, ale w sellarii panowała tak absolutna cisza, ja zaś leżałem tak blisko, że i tak go usłyszałem.

— O rodzinie swojej często mi opowiada, mójpanie Rehtorze. O synach bliźniakach, o żonie, o starszym synu, o córce, która zasnęła i obudzić jej nie mogliśmy...

— Wam nie pozwala on?

Sierżant ponownie przełknął ślinę.

— Nie, mójpanie Rehtorze. Pozwala, ale nie budzi się ona.

Hamer chrząknął.

— O bliźniakach mówi? Synach?

— Tak, mójpanie Rehtorze.

Sędzia musiał chyba dać jakiś znak, bo Skóra podszedł do biurka.

— Syn ten z nim jest wtedy, sierżancie?

— Tak, mójpanie Rehtorze.

— Nie ten drugi to jest?

(Wstrzymałem oddech i zamknąłem oczy).

— Drugi, mójpanie Rehtorze...

— Drugi to jest?! — Nie musiałem widzieć Hamera, aby wiedzieć, że poczerwieniał ze złości. — Mówisz tak, sierżancie?

— Nie, mójpanie Rehtorze.

— Ten syn to jest?

— Tak, mójpanie Rehtorze.

— Co to za człowiek?! — wybuchnął Skóra. — I dlaczego łże? Zrobiło się cicho i dopiero po dłuższej chwili Hamer znów zabrał głos:

— Mójpanie Striku, za więźnia Skórę odpowiedzialny byłeś.

— Stoi tu on! — zawołał Strik. — Przed tobą stoi, mójpanie Rehtorze.

— Nie, mójpanie. Uciekł on. Jego miejsce brat zajął, gdy spałeś.

— Ale... ale...

— Dla mnie jasne to jest. Mójpanie, Racica nazywasz się? Skóra skinął głową.

— Tak, mójpanie Rehtorze.

— Mójpan Skóra twoim bratem jest?

— Tak, mójpanie Rehtorze.

— Kiedy mójpana Nata ojciec wasz uwięził, w swoim rodzinnym mieście przebywałeś?

Skóra odkaszlnął nerwowo.

— Mogę coś powiedzieć, mójpanie Rehtorze? Pewna sprawa nie daje mi spokoju...

— Mów. O co chodzi, pytam cię.

— Ten człowiek wcale nie jest moim ojcem. On tylko tak mówi. Podejrzewam też, że sporo rozmawiał z moim prawdziwym ojcem, ponieważ dużo wie o moich braciach i całej naszej rodzinie. Ale to nie on.

— Ojcem twoim nie jest? Kłamie?

— Nie wiem, czy kłamie, mójpanie Rehtorze. Czasem mam wrażenie, że wierzy w to, co mówi.

Sędzia zastukał w biurko.

— Do końca zbliżamy się. Sierżancie, mójpan Skóra, który z wami w gospodzie był, ojcem tego człowieka nazywał?

— Tak, mójpanie Rehtorze.

— To dobrze. — Sędzia odetchnął z ulgą. Usłyszałem grzechot odkładanej na blat laski. — Dobrze! Zeznanie od mójpana Nata mam. Przez mójpana Roga i mójpana Skórę związany został i pobity. Mójpana Roga mamy.

Skóra chciał zaprotestować, ale zrezygnował.

— Przeszkadzać mi nie możesz, mójpanie! Mójpan Róg ojcem twoim jest?

— Ojciec tak ma na imię, mójpanie Rehtorze, ale...

— Ten człowiek innym Rogiem w takim razie jest. Rogiem sam nazywa się. Mójpana Roga mamy. Mójpana Skóry nie mamy. Meren Jahlee nie widziałem, lecz chorobą złożona leży, a wina jej niewielka jest. — Hamer przemawiał tak podniosłym głosem, że cała sellaria zamarła w wyczekiwaniu. — Po przesłuchaniu wstępnym werdykt wydaję. W przypadku meren Jahlee podstaw do zarzutów nie widzę. Mimo że nieobecna, zwolniona zostaje.

— Dziękuję ci, mójpanie Rechterze. — Głos Vadsig był ledwie słyszalny, ale i tak zaskoczył mnie niepomrotnie, aż otworzyłem oczy. — Bardzo to wielkoduszne.

Azijin wskazał ją wściekłym gestem, na co któryś z legionistów podszedł i znów włożył jej knebel, który trzymała na podołku.

— Co się mójpana Skóry tyczy, winę jego ucieczka potwierdza. O bezprawne uwięzienie mójpana Nata oskarżony jest. Tu nie ma go, by mógł głos zabrać, że milczy więc, uznaję. Tego prawo wymaga. O jego ucieczkę mójpana Strika obwiniam.

Patrzyłem na Strika spod przymrużonych powiek. Był załamany.

— A co ze mną, mójpanie Rechterze? — zapytał Skóra.

— Z tobą mój sąd żadnej sprawy nie ma, mójpanie Racico. Wolny jesteś i odejść możesz.

— Dziękuję — powiedziała znowu Vadsig.

Tym razem Azijin zamierzał osobiście założyć jej knebel, ale sędzia kazał mu ją uwolnić.

Strik chciał coś powiedzieć, lecz Hamer uciszył go gestem.

— Nie twoje to przesłuchanie wstępne jest, mójpanie. Jego datę ustalę. Zawiadomiony zostaniesz. — Odchrząknął. — Mójpanie Beroep.

Nieszczęsny Beroep z wahaniem wystąpił naprzód.

— Dla nas mójpana Roga strzegłeś. Mójpana Strika również przetrzymywać będziesz.

Aanvagen wyręczyła męża w odpowiedzi:

— Jak sobie życzysz, mójpanie Rechterze. Bezpieczny u nas będzie.

— Za siebie mówić mójpan Róg nie może. Zarzutów nie odpiera ani do nich nie przyznaje się.

W tej samej chwili do sellarii wpadła Cijfer z wiadomością, że Jahlee zniknęła. Ale teraz muszę już iść.

* * *

Wyszedłem, aby zgromadzić pieniądze. Nie było to łatwe, ponieważ nasz łup składał się głównie z biżuterii, ale po długich poszukiwaniach i pukaniu do wielu drzwi znalazłem wreszcie pewnego jubilera. Ściągnąłem go z łóżka i namówiłem do kupienia sześciu klejnotów. W drodze powrotnej zajrzałem do gospody — co było z mojej strony głupotą, skoro miałem przy sobie tyle pieniędzy. Pomyślałem jednak (całkiem słusznie, jak się okazało), że odpocznę godzinkę przy kieliszku przed powrotem do Aanvagen, a może przy okazji usłyszę coś ciekawego. Lokal był czysty, przyzwoity i o tak późnej porze prawie pusty.

Usiądź, patere.

Alka siedział naprzeciw mnie, z miną bardziej zawziętą i znacznie groźniejszą niż go sobie wyobrażałem, kiedy opisywaliśmy jego spotkanie z Jedwabiem. Zniknął, gdy mrugnąłem powiekami, ale wkrótce znów się pojawił. Skończyło się na tym, że zawołałem właściciela, powiedziałem mu — zgodnie z prawdą — że boli mnie głowa, jestem wykończony, rozpaczliwie potrzebuję kompanii i chętnie postawię mu szklaneczkę jego własnej brandy, jeśli podzieli się ze mną najświeższymi miejskimi ploteczkami.

— Z daleka przybyszem jesteś?

Pochylił się nade mną — łysy, krępy, po czterdziestce.

— Przybyszem, któremu bardzo brakuje towarzystwa.

— Dziewczynę chcesz?

Pokręciłem głową.

— Nie. Wystarczy mi tylko ktoś prawdziwy, z kim będę mógł porozmawiać. Zamykasz już?

— Nie, mójpanie. W rozjaśnienia porze zamykamy. Niedługo syn mój przyjdzie, a ja położyć się mógł będę.

— Mało kto mówi teraz o rozjaśnieniu — zauważyłem. — O zaciemnieniu zresztą też.

— Syn mój ze mnie się śmieje, mójpanie. — Usiadł na stołku Alki, co przyjąłem z ogromną ulgą. — Starych śmieci nie zapominam. Wrócić nie mogę, ale pamiętam. Stary jak ja jesteś, mójpanie. Dlaczego przybyłeś tutaj?

Najpierw nie wiedziałem, czy powiedzieć, że mi kazano (Jedwab mi kazał), czy że mnie zmuszono (zmusił mnie Hari Mau i jego ludzie), a potem postanowiłem zmienić temat.

— Chyba z tego samego powodu co inni. Nie napijesz się? Stawiam, obiecałem.

— Nie, mójpanie. W domu czasem tak, ale tutaj nigdy nie piję. W fachu tym nie można. Do Dziury skąd przybywasz?

— Z Nowego Vironu.

— Długa droga to jest, ale wczoraj wieczorem z Nowego Vironu inny wędrowiec do mojej gospody przybył. Ciebie szuka?

— Wątpię? Jak się nazywał?

Karczmarz podrapał się po łysej czaszce.

— Zapomniałem, mójpanie. A ty? Powiem mu, kiedy znowu przyjdzie.

— Róg, mójpanie — odparłem z uśmiechem. — Tak powiedz. Dla twojego towarzystwa mójpan Róg szuka. Krajanem twoim jest. U Beroepa go znajdziesz. Pomoże ci.

Gospodarz się roześmiał.

— Lepiej mówisz, mójpanie.

— Ale jeszcze nie doskonale? Co powiedziałem źle?

— „Dla” nie mówi się.

Napiłem się z wyszczerbionej szklanki, próbując sobie przypomnieć, co przed chwilą powiedziałem.

— Twojego towarzystwa mójpan Róg szuka?

— Tak, mójpanie. Dobrze tak jest. Powiedzieć też trzeba: „U Beroepa znajdziesz go”.

— Rozumiem. Dziękuję za naukę. Teraz trochę odczekam, zanim znów spróbuję.

— Dobrym człowiekiem tu Beroep jest. — Karczmarz mrugnął porozumiewawczo, udał, że pije, i nagle spochmurniał. — Wkrótce po nim będzie. Zbankrutuje. Łodzie jego chcą, mójpanie.

Dołączył do nas młody mężczyzna.

— Po Striku już — powiedział.

— Mój syn — wyjaśnił gospodarz. — Wapen.

— Przed sądem Strik stanie — dodał Wapen. — Wszystko zabierają.

— Za co będzie sądzony?

Wapen wzruszył ramionami.

— Jak czegoś nie chcą, to dlatego że za ciężkie.

— Nas zniszczą, mójpanie — dodał jego ojciec. — Jeden człowiek i drugi.

— Gospodę ojca niedługo zabiorą.

Wapen nie był wysoki, ale muskularny. Kiedy się nade mną nachylił, dostrzegłem na dziobatym policzku bliznę po cięciu nożem albo rozbitą butelką.

— Niedługo, nie teraz jeszcze — wtrącił jego ojciec.

— Lepiej gospodę sprzedajmy i łódź kupmy. Nie wrócimy.
— Tych zniszczcie, którzy was zniszczyć chcą, jeszcze lepiej
— podsunąłem.

Karczmarz rozejrzał się lękliwie po sali, za to jego syn tylko splunął na podłogę i zapytał:

— Co jeszcze nam mogą zrobić?

Niedługo potem gospodarz wymknął się do domu, a Wapen poszedł się zająć klientami.

— Tuś jeszt.

Obejrzałem się przez ramię. Za mną stała jakaś kobieta. Chwiała się na nogach.

— Acalypha?

— Ta z Żeleni? Nie, to ja. — Jahlee przysiadła ciężko na stołku Alki i podparła dłońmi brodę. — Kiepszko wyglądam, czo?

— Nie uśmiechaj się.

— Dobra. Taka byłem głodna... Znalazłam ją w zaułku.

— Mów ciszej, proszę cię.

— Piłam i piłam, aż szę przewróciłam i pomyslałam, że muszę przesztacz.

— Zabiłaś ją, Jahlee?

— Raczej nie. — Zawiesiła głos. Oczy jej się rozbiegły, nos spłaszczyl, jakby chciał zapaść się w głąb czaszki. — Nigdy szę tak nie upiłam. Podobam czy szę, raszanie?

Pokręciłem głową, zastanawiając się w duchu, ile będzie potrzebowała czasu, żeby wytrzeźwieć. Doszedłem do wniosku, że najwyżej kilka minut. Chociaż istniała też możliwość, że bierzemy za upojenie alkoholem skutki trwałego uszkodzenia mózgu.

— Taka byłam sztrasznie głodna...

— Krew, którą pijesz, miesza się z twoją krwią. Na pewno o tym wiesz.

— Nie pomyslałam, raszanie. Była jak krowa. — Umilkła. Widziałem, że czeka, aż ją zrugam. — Chciałam wrócić do tego dużego domu, gdzie mnie trzymają pod kluczem.

Pokiwałem głową.

— No i nie mogłam go znaleźć. A za to zobaczyłam ciebie.

— To był dobry pomysł. Musimy cię gdzieś ukryć, a chyba nierozsądne byłoby wracać do Cijfer.

Podniosła rękę.

— Mam krzywo włosy?

— Nie i na twoim miejscu bym ich nie ruszał. — Widząc znajomą twarz, zawołałem: — Racico! Chodź, usiądź z nami.

Podszedł do stolika i podał mi rękę.

— Przykro mi, ale my się chyba nie znamy. Jest pan z Nowego Vironu?

Martwiłem się o Oreba, o swój proces, o tysiąc innych spraw, ale nie mogłem powstrzymać się od śmiechu — tak jak chwilę później, kiedy do gospody wszedł Skóra z podbitym okiem i posiniaczoną twarzą, wciąż wściekły i gotowy do bójki.

— Owszem — przytaknąłem. — Jestem twoim ojcem. A to jest Jahlee, twoja siostra.

Tego mnie uczy doświadczenie

Róg!

Kiedy ociekając wodą, wszedł do olbrzymiego westybulu willi, Ogar wytrzeszczył oczy. — To ty, brachu? — Świnia odwrócił się niezupełnie w jego kierunku. — To ty?

Na wpół śpiące osły podniosły łby i zastrzygły uszami, nasłuchując wilgotnego szurania jego butów na zniszczonym, brudnym parkiecie.

— Tak, to ja. — Usiadł między Świnią a Ogarem, ocierając wodę ściekającą mu do oczu. — Zmęczony i przemoczony do suchej nitki.

— Ptak też!

— To prawda. Otrzep dobrze pióra, tylko nie siadaj mi na ręce, bardzo cię proszę. Ledwie jestem w stanie utrzymać jej własny ciężar.

— Złapało cię bożę... — Głos Ogara brzmiał tak, jakby on sam nie wierzył w to, co mówi. — Powiedziałem Świni.

— Tak? I co Świnia na to?

— Żem się modlił za ciebie, brachu.

Zerknął na Świnię i położył drżącą dłoń na jego olbrzymim kolanie.

— Ty też jesteś mokry.

— Ano, brachu. Pada deszcz? Jeszcze jak!

Obejrzał się na Ogara.

— Ty również.

Ogar nic nie odpowiedział.

— Tak, Świnio, leje jak z cebra. Ale na dworze, tutaj nie. Willa ma dach z dachówek, a taki dach nie przecieka, dopóki dachówki nie popękają.

— Przez okna, brachu.

— Ptak też — zauważył Oreb.

Pogłaskał ptaka.

— Chcesz powiedzieć, że tak jak deszcz dostajesz się do domu przez wybite okna? Czy że jesteś taksamo mokry jak Ogar i Świnia?

— Ptak mokry!

Oreb rozpostarł skrzydła, grzejąc je przy dogasającym ogniu.

— Istotnie, jesteś mokry, i z tego samego powodu: dlatego że byłeś tam razem ze mną.

— Ja nie byłem — zauważył Ogar, wpatrując się w płomienie.

— Powinienem ci to powiedzieć, i mówię. Usłyszałem, jak bożę do ciebie mówi, i schowałem się tutaj, w jednym z mniejszych pokoiów. Wszedłem, dopiero kiedy Świnia wrócił.

— Nie mam do ciebie pretensji.

— Mówiłem mu, żeby też się schował, ale nie chciał. Wszedł na dwór, na deszcz. Chciał ci pomóc.

— Człowiek dobry! — zakrakał Oreb.

— A ty wszedłeś za nim, żeby go tu ściągnąć z powrotem?

Ogar pokiwał głową. Nadal patrzył w ogień.

— Uwiesił mi się na ręce — wyjaśnił Świnia.

— Chciałem, żeby mnie wysłuchał. Ty rozmawiałeś z bożę — ciem, tak zwyczajnie, jak człowiek ze służącym. Myśmy... ja nie słyszałem, co mówiłeś. A ty, Świnio?

— Nie za wiele.

— Dolatywały nas tylko jakieś pojedyncze słowa, ale po brzmieniu twojego głosu poznawaliśmy, że nic ci nie grozi. Świnia schował broń i wrócił tutaj.

— Jedwab dobry!

— Bez wątpienia Orebie. Dlatego go szukamy. Ale ty, Świnia i Ogar też jesteście dobrzy, każdy na swój sposób. Nie zasłużyłem na takich przyjaciół. Przyszliście do mnie, kiedy siedziałem na dłoni bożęcia, a to wymaga sporej odwagi. To, że Ogar się tu ukrył, dowodzi tylko jego rozsądku; nic by nie wskórał, próbując mnie obronić przed wyimaginowanym zagrożeniem. Kiedy przyszło do ratowania ludzkiego życia, zachował się niezwykle odważnie. Jeśli zaś chodzi o Świnię, to jego gotowość do poświęcenia po prostu odbiera mi głos. Ja tam byłem, Świnio, siedziałem na dłoni bożęcia. Sama myśl, że można by je zaatakować, na przykład ostrzelać ze strzelby przez okno tego dworku, wydaje mi się niewiarygodna. Ale żeby rzucić się na nie z rapierem...

Pokręcił głową.

— Dla mnie to pestka. — Świnia się roześmiał. — Żem go nie widział.

— Az Pleśnią się spotkałeś? Za drugim razem, kiedy ją do ciebie posłałem?

— Ano. — Wszelka brawura zniknęła bez śladu z głosu Świni.

— Bez urazy, Rogu... — odezwał się Ogar. — Nie wiem, czy powinienem o to pytać... Bałem się. Nie ukrywam.

— Ja też.

— Nadal się boję. — Ogar dopiero teraz spojrzał mu w oczy. — Ciekawi mnie, o czym rozmawialiście. Ono... nie chce nas zabić ani nic?

Pokręcił głową.

— Przeciwnie, próbuje nam pomóc.

— Stary Świnia też by chętnie posłuchał, brachu.

— Z przyjemnością wam o tym opowiem. Właściwie taki wręcz mam obowiązek, ale są jeszcze inne pytania. Nie wiem, może Ogar już je zadał, ja w każdym razie nie słyszałem odpowiedzi.

— Nie pytałem — zaprzeczył Ogar.

— W takim razie ja zapytam. Co powiedziała ci Pleśń, Świnio? To może być ważne.

Cisza przeciągała się tak bardzo, że Oreb nie wytrzymał:

— Świnia mówi!

— Trudno mi to zebrać do kupy — mruknął przepraszająco Świnia. — Żem zapytał o nowe ślepia. Żeście wiedzieli, że tak zrobię, nie?

— To prawda.

— Na to ona, że nie wie. Żeśmy trochę pogwarzyli i gada, cobym się ciebie trzymał, to może dostanę ślepia. I że jak Ogar powie, że cię capnęło, to mam wyjąć miecz i walić.

— Rozumiem, i to z pewnością lepiej niż przedtem. Czy powiedziała ci, dlaczego uważa, że w moim towarzystwie łatwiej ci będzie odzyskać wzrok?

— Nie powiedziała, brachu.

— Po wyjściu z pokoju Pleśni chciałem udać się do apartamentów zajmowanych dawniej przez Hiacynta, żonę Jedwabia. Trafienie do nich zajęło mi trochę czasu, a kiedy je wreszcie znalazłem, ty już tam byłeś. I rozzłościłeś się, bo, jak przypuszczam, nie chciałeś, żeby ci przeszkadzano.

— Ano.

Długą chwilę patrzył na tę szeroką, mięsistą twarz, smutno przewiazaną brudną szmatą na wysokości oczu.

— Mogę zapytać, co tam robiłeś, Świnio?

— Żem chciał podumać.

— Nie wiedziałeś o tym, że pokój, który wybrałeś na miejscu zadumy, był w przeszłości sypialnią Hiacynta?

— Nie, brachu.

— Z Pleśnią rozmawiałeś przed domem, na trawniku.

— Ano.

— Wtedy jeszcze nie padało. Jestem tego pewny, bo kiedy nieco później wyszliśmy z Ogarem poszukać drewna, wciąż było sucho. Dlaczego wróciłeś do środka, Świnio? Chciałeś się schować przed wiatrem?

— Dlaczego, brachu? A dlaczego by nie? Żem o tym nie myślał.

— Wróciłeś tutaj, gdzie Ogar na nas czekał?

Ogar dotknął jego kolana i bezgłośnie poruszył ustami: „Nie”.

— Raczej nie — odparł Świnia. — Żem się wczołgał przez okno.

— I poszedłeś na piętro, do dawnej sypialni Hiacynta, podumać?

— Ano, brachu.

Dotknął swojej twarzy i stwierdził, że obeschła przy ogniu. Przeczesał palcami rozczochrane włosy. Były jeszcze mokre.

— Szermujesz słowami, Świnio.

— Czy szermuję?

Zabrakło spodziewanego „Nie, nie szermuje”.

— Owszem. A ja jestem zbyt zmęczony, żeby bawić się w szermierkę słowną. Nie pobierałem lekcji fechtunku, Świnio. Co

innego Jedwab. Poznałem nawet jego nauczyciela, Miecznika. Wtedy jeszcze fechtunek to była wspaniała sztuka.

— Tak?

— O tak.

Przypomniał sobie uszkodzoną laskę Miecznika, w której ukryta była klinga, zapomnianą i porzuconą w kącie pokoju w pałacu calde. Wyciągnął (on czy Jedwab?) ostrze, chcąc dotknąć miejsca, w którym wyszczerbił je azoth Krwi. Przypomniał sobie tamten moment, a wraz z nim fakturę trzymanego w dłoni bambusowego mieczyka i tupot szybkich, drobnych kroków w tych chwilach, gdy nie było czasu na czcze przechwałki, bo liczył się tylko niby-śmiertelny balet pchnięć i zasłon, natarć i obron, klęsk i zwycięstw.

— Później, kiedy budowałem papiernię, zastanawiałem się, po co to komu. Poza potyczkami, które zostaną zawczasu zaaranżowane, sytuacje, w których dwóch ludzi z rapierami w rękach staje naprzeciw siebie, muszą być bardzo rzadkie. Na Zieleni... Mówiłem ci, że byłem na Zieleni, Świnio?

— Ano.

Położył się na plecach i podłożył sobie ręce pod głowę.

— Miałem tam miecz. Użyłem go najpierw do oczyszczenia zatkanego trupami wylotu kanału, a potem zabijałem nim czerwone skoczki i inne zwierzęta. Na upartego można to nazwać sztuką, ale nie fechtunkiem.

— Chciałbym ci powiedzieć, brachu. — Basowy, chrapliwy głos Świni zdawał się dobiegać z bardzo daleka. — Naprawdę bym chciał.

— Ale obiecałeś, że nie powiesz?

— Sam nie wiem. Coś jakbym słyszał w głowie. Żem szedł i szedł. Żem dziwnie się czuł. Wierzycie w duchy?

— Nie — odparł Ogar.

— Tak. Jak najbardziej.

— Jeden jest tam w środku, brachu. Żem poczuł.

Zduszony szloch wywołał współczucie Oreba:

— Biedny Świnia!

— Żem poczuł perfumy. Cmoknęła mnie. Uwierzysz?

— Tak. Wielu mężczyzn tam całowała, Świnio.

— Gdybyś wlaźł...

Mosiężny czubek pochwy zgrzytnął o kominek. Ogar przerwał przedłużające się milczenie:

— Obiecałeś opowiedzieć nam, co ci powiedziało bożę.

— Rzeczywiście. Niestety, wygląda na to, że nie mam dobrych wiadomości ani dla was, ani dla siebie. Zanim jednak przejdę do rzeczy, wyjaśnię wam, że nie mam najmniejszego zamiaru robić tego, co mi doradzono.

— Chcesz mu się sprzeciwić?

— Tak. Jakim prawem miałoby wymagać ode mnie posłuszeństwa? — Przypomniawszy sobie zacinający deszcz, lodowaty wiatr i słabe ciepło olbrzymiej dłoni. — Zadam ci teraz pytanie, Ogarze. Tobie też, Świnio. I nie będzie to pytanie retoryczne. Co daje bożęciu, albo komukolwiek innemu, moralne prawo do wymagania naszego posłuszeństwa? W przeciwieństwie do mnie spędziliście tutaj ostatnie dwadzieścia lat. Odpowiedzcie, jeśli potraficie.

— Przemawiają w imieniu bogów — odparł Ogar wyjątkowo, nawet jak na niego, nieprzekonująco.

— Tak twierdzą, być może. Ale to, z którym rozmawiałem, wcale mi tego nie powiedziało. Mógłbym w tym miejscu dodać, że augurowie też tak czasem mówią, chociaż mają ku temu wątpliwe podstawy.

— Trzymało cię garści, brachu, nie? Mogło cię zabić.

— Zgadza się. Siedziałem mu na dłoni. Gdybym zeskoczył, mógłbym się poważnie poturbować.

— Byś się zabił, brachu.

— Nie sądzę. Od ziemi dzieliła mnie odległość dwu-, najwyżej trzykrotnie przewyższająca mój wzrost. Mniej więcej z takiej wysokości zleciał Jedwab, kiedy wyskoczył przez okno z sypialni Hiacynta. Słyszeliście o tym?

— Nie — odparł Ogar.

— Nie będę was zadręczał szczegółami, ale Jedwab wyskoczył z tamtego okna i na kamiennej nawierzchni przed domem złamał nogę w kostce. Gdybym zeskoczył z dłoni bożęcia, spadłbym na wilgotną ziemię. Może taki upadek miałby podobne skutki, wątpię jednak, by okazały się poważniejsze.

— A gdyby zacisnęło łapsko, brachu?

Oreb skrzeknął z przerażenia.

— Zmiażdżyłoby mnie, bez dwóch zdań. Choć wątpię, żeby zdążyło. Bożęta poruszają się bardzo powoli. Krótko rozmawialiśmy, ale i tak zdążyłem zwrócić na to uwagę. Każdy palec waży pewnie tyle co ty cały, Świnio. Wobec tego zaciśnięcie pięści wymaga przemieszczenia ciężaru czterech olbrzymich mężczyzn.

— Brachu...

Parsknął śmiechem.

— Oreb mówił mi, że za domem jest jakiś ogromny człowiek. Sądziłem, że to ty, a ponieważ martwiliśmy się z Ogarem o ciebie, poszedłem tam. Później, kiedy siedziałem mu na dłoni, byłem trochę zły na Oreba, że zakrakał „wielki człowiek”, zamiast powiedzieć „bożę”, „olbrzym” albo cokolwiek, co

przygotowałyby mnie na to spotkanie. Potem zdałem sobie sprawę, że dla niego jesteśmy równie duzi, jak bożę dla nas; Oreb nie odróżnia potężnego człowieka, takiego jak Świnia, od prawdziwego olbrzymia, jakim jest bożę, bo z jego punktu widzenia nie ma wielkiej różnicy. Co takiego mogłoby mu zrobić bożę, czego nie mógłbyś uczynić ty, Świnio?

— Ja tam bym cię nie skrzywdził, Oreb — zapewnił Świnia.

— Wiem. Bożę również nie. Uważaliście z Ogarem, że postąpiłem niezwykle odważnie, wdając się z nim w dyskusję...

— Nadal tak sędzę — wtrącił Ogar.

— Ale przecież Oreb wykazuje się nie mniejszą odwagą, gdy siada mi na przegubie dłoni i zaczynamy rozmawiać. Dziki ptak by tego nie zrobił i trudno mieć do niego o to pretensje...

Ptaki kojarzyły mu się z drzewami, wysokimi jak góry, wdzięcznymi olbrzymami o liściach jak paprocie, które kołyszą się przy najłżejszym wietrzyku, a palone pachną jak kadzidło; z drzewami, wyspami i całymi kontynentami, uśmiechniętymi jeziorami, głębokim, błękitnym morzem i wstrząsanym sztormami oceanem.

— O czym tak dumasz, brachu?

— O trzech whorlach. Dwóch dużych, niskich, czyli położonych blisko krótkiego słońca, i tym trzecim, krążącym bliżej gwiazd. Nie wiem, który z tamtych dwóch jest większy, Błękit czy Zieleń, ale z pewnością oba są dużo, dużo większe od tego, w którym się teraz znajdujemy, whorla długiego słońca. Kiedy pierwsi z nas wylądowali na Błękiecie, mało kto zwrócił na to uwagę. Ja, na przykład, zupełnie tego nie zauważyłem. Oba whorle są ogromne i tylko to było ważne. Teraz jednak domyślam się, że Błękit jest dziesięć albo dwadzieścia razy większy i że różnica wielkości między nim a tym whorlem jest

znacznie bardziej znacząca niż między bożęciem a nami. W tym whorlu Pah pooddzielał grupy ludzi za pomocą rzek i pasm górskich. Na Błękanie nie ma takiej potrzeby, same odległości wystarczą, żebyśmy się do siebie zanadto nie zbliżali.

Przymknął powieki. Przed oczami stanął mu ogromny, bezkresny ocean. Wyobraził sobie, że czuje łagodne kołysanie słupa.

— Rogu? Mówiłeś, że masz dla nas złe nowiny. Co miałeś na myśli?

— Świni to chyba nie dotyczy. Złe wieści mam dla nas dwóch, Ogarze. Chciałeś przenieść się z całą rodziną na Zieleń, po tym jak Wrotycz urodzi wasze dziecko. Tak mówiłeś. Nie zmieniłeś zdania?

— Nie. Ja... Nie.

— W takim razie miałem rację, nie ucieszysz się. Dla mnie również jest to zła wiadomość, ponieważ mam znaleźć Jedwabia i zabrać go ze sobą na Błękit. To zaś oznacza, że musimy znaleźć sprawny lądowik, na którym będą wolne miejsca. Od bożęcia usłyszałem — nie wiem, kto tak postanowił, ale tak mi powiedziało — że już wystarczająco dużo ludzi opuściło „Whorl” i ci, którzy jeszcze są na pokładzie, mają tu zostać.

Oreb zagwizdał przeciągle.

— Domyślasz się chyba, że byłem wstrząśnięty. Wcale nie mam pewności, że jest to decyzja zgodna z wolą Paha. Kiedy patere Jedwab i śpiąca, którą obudził, zeszli pod zewnętrzną powierzchnię whorla, do lądowików, znaleźli tam inskrypcję, którą na zlecenie Paha wyrznięto w stopniach: „Ten, kto tu schodzi, najlepiej służy Pahowi”. Zawsze interpretowałem ją w ten sposób, że wszyscy mieszkańcy whorla mają go opuścić.

— A co, już nie, brachu?

— No właśnie już nie. Tak w każdym razie mówi bożę. Ci, którzy jeszcze są we „Whorlu”, mają w nim zostać. Podobno jest nadzieja, że uda się go naprawić. — Zamknął oczy i mówił dalej półgłosem: — Tego chcieli Echidna i Hierax. Wyglądałoby więc na to, że jednak zwyciężyli, chociaż bożę twierdzi, że przemawia w imieniu patere Jedwabia.

— A może to boski Jedwab wydał takie polecenie, Rogu?

Usiadł gwałtownie, otwierając szeroko oczy.

— Co powiedziałaś?

— Pomniejszy bóg, którego augurowie nazywają Jedwabiem Milczącym. Albo Srebrnym. — Ogar odchrząknął. — Nie znam twoich przekonań religijnych, Świnio...

— Nie bój — uspokoił go Świnia. — Że niby się wkurzę? Wszyscyśmy są kumple. Prawda, Oreb?

— Dobry Jedwab!

— On naprawdę jest dobry — powiedział Ogar, po czym dodał pospiesznie: — Nie żeby inni nie byli. Nie ma złych bogów. Wiem o tym.

— Chcesz powiedzieć, że macie tu boga Jedwabia?

— No... tak. — Ogar otulił się kurtką i przysunął się o cal bliżej do dogorywającego ogniska. — Myślałem, że wiesz. Szukasz calde Jedwabia, którego na pewno nazwano tak na jego cześć, no bo przecież ludzie też mogą sobie nadawać takie imię. Mężczyznom, to znaczy chłopcom. Jest rzadko spotykane, nie tak jak Ogar, Róg czy Świnia, ale się zdarza. Wełna, na przykład, jest bardzo pospolite.

Ogar zamilkł, najwyraźniej wystraszony, że uraził jednego lub obu kompanów.

— Dobre imię! Jedwab dobry!

— Cicho, Orebie. Ogarze, bardzo interesuje mnie ten bóg, którego nazywacie Jedwabiem. Pamiętaj, że długo mnie tu nie było.

— Nie powinienem był o nim wspominać. — Ogar wyraźnie żałował swoich słów.

— Ja bym też posłuchał — zadudnił Świnia. — Żeś gadał, że to Jedwab tak powiedział. Czemu?

— No bo... bożę rozmawiało z Rogiem, a Róg szuka calde Jedwabia i... Może ich coś łączyć, nie? To samo imię...

— A dlaczego augurowie nazywają go Jedwabiem Milczącym albo Srebrnym, Ogarze? Wiesz?

— Chyba tak. Ale powinieneś wiedzieć, że jego osoba budzi kontrowersje, gdyby przyszło ci rozmawiać o nim z kimś innym. Czy mówiłem, że to pomniejszy bóg?

— Tak.

Oreb zaklekotał dziobem, wyraźnie niezadowolony.

— No, niektórzy się z tym nie zgadzają. Mówią, że wcale nie jest bogiem, tylko jednym z aspektów Paha. Nie rozumiem, o co chodzi z tym aspektem.

Świnia poruszył się niespokojnie.

— To jest tak, że chce połączyć po okolicy, ale żeby go ludziska nie rozpoznali.

— Aha.

— Nie chciałbym zaprzeczać twoim słowom, Świnio, i waham się, czy warto to robić w sprawie tak mało istotnej, ale to, o czym wspomniałeś, to zwykle kłamstwo, a nie żaden aspekt. Za granicą bogowie są znani pod innymi, cudzoziemskimi imionami, Ogarze. Słyszałeś o tym?

— Nie podróżowałem wiele, nie tak jak ty czy Świnia, ale coś tam słyszałem.

— Tak właśnie jest. I tamte imiona również są imionami bogów, którzy mają do nich pełne prawo, tak jak my do swoich. Jest jeszcze kwestia osobowości, zarówno tej naszej prawdziwej, wewnętrznej, jak i tej, którą postrzegają inni. Ty masz swoją osobowość: zawsze jesteś sobą, Ogarem, łagodnym lub okrutnym, złym albo dobrym. Świnia jest Świnią, Oreb...

— Ptak dobry!

— ... jest zawsze Orebem i, jak sam mówi, dobrym ptakiem, a ja jestem sobą. Inaczej jest z nieśmiertelnymi bogami, którzy mogą mieć i mają wiele osobowości. Nawiasem mówiąc, nie dokonałem tego odkrywczego spostrzeżenia sam; tego po prostu uczono mnie w scholi.

— No dobrze — powiedział Ogar. — Chcesz powiedzieć, że kiedy bóg zmienia imię i osobowość, to przybiera nowy aspekt. Mam rację, Rogu?

Skinął głową.

— I nowy wygląd. Bóg jest nadal Pahem, Molpe czymś kim tam był, ale objawia nam się w nowej postaci, której wcześniej nie mieliśmy zaszczytu oglądać; w nowym aspekcie Paha lub Molpe. Ale czym bóg nazywany Jedwabiem zasłużył sobie na przydomek „Milczący”?

— Tym, że powiedział prolokutorowi, że wygląda przez święte okna, nie pokazując się w nich, jak Tartaros. Tylko że Tartaros zaciemnia święte okno i przez nie przemawia. A Jedwab twierdził, że niczego w wyglądzie okna nie zmienia i zwykle nic nie mówi. Po prostu patrzy.

— Dziękuję. — Przeciągnął się i ziewnął. — Bardzo ci dziękuję, Ogarze; uwierz mi, wręcz nie umiem wyrazić swojej wdzięczności. Gotowi do spania? Bo ja przyznam, że jestem bardziej niż gotowy.

— Nie śpi. Noc dobra!

— Może noc, a może nie noc, Orebie. Tego nie wiemy. Ale na pewno nie będziemy zmuszać do spania kogoś, kto nie ma na to ochoty.

— Nie musisz leżeć na gołej podłodze, Rogu — zauważył pospiesznie Ogar. — Mam koc, możesz się na nim położyć. Kiedy go złożysz na trzy, będzie ci znacznie wygodniej.

— Dziękuję. Bardzo to miłe z twojej strony, ale obawiam się, że przede wszystkim potrzebujemy drewna. Robi się coraz zimniej. Pójdę i poszukam, jeśli mi obiecacie, że się stąd nie ruszycie.

Świnia zaczął wstawać.

— Za mokre będzie, brachu. Nie zapali się.

— To prawda — zawtórował mu Ogar. — Jeszcze się nabawisz zapalenia płuc, i to na darmo.

— Suchego nam trza, brachu. — Świnia dźwignął się z mozołem. — I ja znam takiego, co je przyniesie. Ty nigdzie nie leż.

— Świnio...

Długi rapier tylko do połowy wysunął się z mosiężnej pochwy, ale szmer stali zabrzmiał jak syk dusiciela zdolnego zmiażdżyć i pożreć pięciu ludzi naraz. Przerażony Oreb zakra — kał piskliwie.

— Nie zamierzałem cię powstrzymywać, Świnio... Nie chciałem również się upierać, żeby iść z tobą.

— I dobrze, brachu. — Świnia wyszczerzył zęby w uśmiechu. Klinga zniknęła w pochwie. — Odpocznij. Stary Świnia zerwie kawał podłogi i połamie deski. Ogrzejesz się.

Siedzieli bez słowa, patrząc, jak szerokie plecy Świni znikają w ciemnościach.

— Przyniosę ci ten koc — zaproponował Ogar, wstając.

— To twoje posłanie. Nie chcę cię go pozbawiać. Przedwczoraj w nocy spałem na polu pszenicy.

— Mam drugi — rzekł z uśmiechem Ogar. — Myślałem, że lepiej mnie już znasz. Wiem, że bez namysłu oddałbyś swój jedyny koc potrzebującemu. Ja nie. Świnia też nie.

— Świnia dobry? — Oreb był trochę zdezorientowany.

— Tak, Orebie, Świnia jest dobrym człowiekiem. Ba, wyjątkowo dobrym. Jeśli nie oddałby drugiemu swojego jedyne go koca, to źle go oceniłem.

Ogar podniósł wzrok znad juków, z których wyciągał koc.

— No, ale tak w ogóle mało kto pozbyłby się koca.

— Oczywiście. Dlatego właśnie powiedziałem, że Świnia, który mógłby to zrobić, jest wyjątkowo dobrym człowiekiem. Między innymi dlatego. Było to chyba trochę nietaktowne z mojej strony, zwłaszcza że zaraz położę się na kocu, który mi pożyczyłeś, ale nie zamierzałem cię krytykować. W żadnym razie. Mogę wygłosić pewną uwagę osobistą, Ogarze? Bez urazy.

Ogar skinął głową. Składał koc na troje.

— Chętnie posłucham. — Cieszę się. Gdybyś miał tylko jeden koc, mógłbyś dowiedzieć się o sobie czegoś zdumiewającego, czegoś, co zapewne by cię zaskoczyło. Ale mnie nie.

Ogar nie odpowiedział, dopóki nie rozłożył sobie koca przed kominkiem.

— Powiedziałeś coś osobistego, Rogu, i był to dla mnie wielki komplement. Czy mogę ci się odwzajemnić? Wątpię, żebyś uznał to za pochlebstwo z mojej strony. Mam tylko nadzieję, że zbytnio się nie rozżościsz.

— Uważa! — krzyknął Oreb.

Właściciel pogłaskał go, delikatnie gładząc połyskliwe czarne pióra.

— Którego z nas ostrzegasz, Orebie?

— Ciebie, bez wątpienia. Obawia się, że wciągnę cię w jakiś... spisek przeciwko Świni. Nie mam takiego zamiaru.

— To dobrze.

— Chciałem tylko powiedzieć, że cię lubię. I to bardzo. Wro — tycz też cię lubi. A Świnia...

— Tak?

— Nieważne. — Ogar położył się obok niego i zapatrzył w ogień. — Za dużo gadam. Nie jest to moja jedyna wada, ale najgorsza i najtrudniej ją zwalczyć. Dobranoc, Rogu.

— Proszę... To może być coś ważnego. Poprosiłeś mnie o pozwolenie, ja się zgodziłem i chcę teraz to usłyszeć. Proszę cię o to jak o przysługę.

— Obiecałeś powiedzieć nam, czego dowiedziałeś się od bożęcia, ale nie zrobiłeś tego. Stwierdziłeś tylko, że jednak nam nie powiesz. O co chodzi?

— Tak stwierdziłem? Nie zrobiłem tego celowo. Czy jeśli ci to powiem, ty powiesz mi to, co zamierzałeś powiedzieć o Świni? Nie oszukuję cię; to naprawdę dla mnie ważne.

— W porządku. Czego chciało od ciebie bożę?

— Mam iść do miasta i rozgłosić, że nikt więcej ma go nie opuszczać. Mieszkańcy mają odbudować tunele i, jeśli im się uda, naprawić ocalałe lądowniki.

— Ale mają ich nie używać?

— Tak.

Ogar czekał na dalszy ciąg, aż w końcu nie wytrzymał i zapytał:

— Powiedziało ci dlaczego?

— Żeby można było ponownie wystrzelić „Whorl”. Przyznam, że nie mam pojęcia, jak tego dokonać, ale z drugiej strony nie wiem również, jak wystrzelono go za pierwszym razem.

Po raz drugi cisza zapadła i przedłużała się w nieskończoność, dopóki Ogar jej nie przerwał:

— Wola bogów, jak sądzę.

— Być może. Bożę nie powiedziało tego wprost, ale to całkiem prawdopodobne.

Oreb zakrakał — trudno było powiedzieć, czy ze współczuciem, czy z powątpiewaniem.

— Nie zrobisz tego, Rogu? Tak się odgrażałeś.

— Wiem. — Leżąc na wznak na pożyczonym kocu, skubnął brodę. — Nie, nie zrobię tego. Nie będę się powtarzał, dodam tylko, że siła i rozmiar nie dają nikomu moralnej władzy. Silny człowiek, taki jak Świnia, mógłby nas zmusić, żebyśmy byli mu posłuszni, ale mamy prawo stawić mu opór.

— Nie walczy! — doradził Oreb.

— Powiedz to silnemu. Jesteś mądrym ptakiem i wiesz, co mówisz, ale wybrałeś niewłaściwego adresata.

— Ale bogowie... — Ogar zawiesił głos.

— Zgoda, bogowie mają autorytet moralny. Zwłaszcza Pah Wielki, bo reszta bogów ma autorytet tylko dzięki temu, że Pah im go udziela. Jeśli bóg miałby... Nie, „jeśli” to dziecinne słowo. Żaden bóg do mnie nie przemówił. Co chciałeś powiedzieć na temat Świni?

— Rogu...

Z miejsca, w którym leżał, nie widział twarzy Ogara — na dobrą sprawą w ogóle niewiele widział poza wysoko sklepionym sufitem i malowidłem przedstawiającym wijące się

sylwetki, ledwie widocznym w migotliwym blasku. Głos Ogara zdradzał jednak zaniepokojenie.

— Uważam, Rogu, że powinieneś przynajmniej rozważyć możliwość posłuchania go. Przecież bożę... To znaczy, rzadko coś do nas mówią, ale większość ludzi jest zgodna, że kiedy to robią, przekazują nam wolę bogów. Wszyscy, których znam, tak twierdzą. Obiecałeś mu coś?

— Jedwab dobry! — zakrakał wierny Oreb.

— Niczego nie obiecywałem. Bożę wydawało mi polecenia, ja kiwałem głową i zadawałem pytania. To wszystko.

— Ale twoje potakiwanie sugerowało...

— Ze słyszę i rozumiem odpowiedzi bożęcia. Nic więcej. Mam znaleźć Jedwabia — bożę twierdzi, że jest tutaj — i zabrać go do Nowego Vironu. Chcę wrócić do domu, do Algi i dwóch synów, którzy nam zostali. Mam wrażenie, że od roku ich nie widziałem. Jak ty byś się czuł, gdybyś przez rok nie widział żony?

— Twoja żona nazywa się Alga? Wydawało mi się, że jakoś inaczej.

— Powiedziałem: Alga? To przepraszam. Ma na imię Pokrzywa. Ale odbiegamy od tematu. Dałem uroczyste słowo honoru, po czym, aby go dotrzymać, postawiłem wszystko na jedną kartę — i przegrałem. Widzisz moją twarz, Ogarze? Czuję na sobie twój wzrok.

— Tak.

— To wcale nie jest moja twarz. Nie miałem okazji przejrzeć się w lustrze, ale nie ma takiej potrzeby, palce mi to podpowiadają. Zresztą te palce również nie należą do mnie; nie jestem ani taki wysoki, ani szczupły. Służąc swojemu miastu, zgubiłem gdzieś siebie. Straciłem tożsamość. Po tym, co

przeszedłem, nie zamierzam teraz zrezygnować, choćby wszyscy bogowie z Centralnego Procesora sprzysięgli się przeciwko mnie. Co chciałeś powiedzieć o Świni?

— Straciłeś tożsamość?

— Nie jestem gotów, aby o tym rozmawiać, z dwóch powodów. Po pierwsze, i tak byś mi nie uwierzył. A po drugie, zawarliśmy umowę. Ja się z niej wywiązałem, mówiąc ci, czego bożę ode mnie chciało. Wyjaśniłem ci również, dlaczego nie zamierzam mu być posłuszny. Co chciałeś powiedzieć na temat Świni?

— Zaraz. Bardzo długo już go nie ma.

— Zauważyłem. Nie wiem, czy jeszcze dziś do nas wróci; nie wiem, czy w ogóle wróci. Wzywam cię do wywiązania się z umowy.

— Dobrze, muszę się tylko zastrzec, że to, co usłyszysz, nie jest do końca prawdą. Powiem ci, co wtedy chciałem powiedzieć, ale od tamtej pory zdążyłem to przemyśleć i częściowo chciałbym swoje słowa cofnąć. — Ogar zrobił krótką przerwę. — Oto co wtedy chodziło mi po głowie. Chciałem powiedzieć, że nieźle się dogadujemy, my dwaj. Ogar i Róg. Dobrze brzmi, prawda? Tak się nazywa gospoda w górach. Zmierzałem jednak do tego, że nie lubię Świni. I to właśnie chciałbym odwołać. Chciałem powiedzieć, że go nie lubię, że wydaje mi się niebezpieczny...

— Świnia dobry!

— I chciałem ci podać nazwę gospody, w której zamierzam się zatrzymać w mieście. To „Gronostaj”. Miałem też zaproponować, że kiedy się pożegnamy i rozstaniemy, możesz tam przyjść i zatrzymać się na noc, tylko żebyś nie przyprowadzał ze sobą Świni.

— To bardzo hojna propozycja. Doceniam ją. — Uśmiechnął się, patrząc w sufit.

— Tylko że tak jak przed chwilą mówiłem, to, że nie lubię Świni, nie do końca jest prawdą. Boję się go. Jest ogromny i bardzo silny, a przez swoją ślepotę także trochę dziki. Gdybym był ślepy, pewnie zachowywałbym się podobnie. — Ogar zachichotał nerwowo. — Nie mam więc do niego pretensji. Mimo to przeraża mnie. Jestem młody, Wrotycz, być może, jest w ciąży z naszym pierwszym dzieckiem i nie chcę jeszcze umierać.

— Zapewniam cię, że my, starsi, też nie chcemy. Powiedziałeś, że nieprawdą jest, jakobyś nie lubił Świni. Czy to znaczy, że go lubisz?

— Ja... tak. Lubię go. Nadal się go boję, ale bardzo go lubię.

— Ja również. Dziękuję ci, Ogarze. Dziękuję za propozycję noclegu w mieście. Może jeszcze skorzystam z twojej propozycji, ale przede wszystkim dziękuję, że mi zaufałeś.

Ogar z wysiłkiem przełknął ślinę.

— Jeśli będziesz chciał, możesz przyjść ze Świnią.

— Jeszcze raz dziękuję, tym razem w jego imieniu. Jesteś niezwykle łaskawy.

— Mówiłeś, że to, czego nie chciałem powiedzieć, może być ważne. Wiem, że tak nie było. Ale to wszystko, co miałem wtedy powiedzieć.

— Mylisz się. Tak jak się spodziewałem, twoje słowa były niezwykle ważne. Mogę cię jeszcze o coś prosić, Ogarze? Tyle dla mnie zrobiłeś, że wstyd mi prosić cię o kolejną przysługę, ale jednak to zrobię.

— Słucham, o co chodzi?

— Idź spać.

— Pomyślałem... Świnia nie wróci. Chyba obaj o tym wiemy. Pomyślałem, że może powinienem go zastąpić, poszukać starych mebli nadających się do spalenia albo zerwać część podłogi...

— Do ognia — wyjaśnił Oreb.

— Nie. Proszę cię, połóż się spać.

— Robi się coraz zimniej.

— Będziemy musieli wytrzymać. Proszę cię, śpij.

Leżąc na plecach z rękami pod głową, toczył w duchu długą dysputę. Przypominał sobie, jak Zewnętrzny niespodziewanie dotknął Jedwabia na boisku i jak on sam grał dalej, kompletnie nieświadomy doniosłego wydarzenia, bez reszty pochłonięty grą, skupiony na tym, że zabrano mu piłkę na ułamek sekundy przed strzałem i że patere Jedwab gra w piłkę o wiele lepiej niż on kiedykolwiek będzie umiał, świadomy istnienia rozjarzonego nieba, na którego tle przesuwiał się ślizgacz — czarny krzyżyk na tle słońca, znak dodawania, symbolizujący dodanie do whorla czegoś, co miało go na zawsze zmienić, zapowiadający przybycie boga bogów, który od tak dawna pozostawał na zewnątrz, szmer bryzy silniejszej niż wszystkie wyjące, wściekłe huragany Paha.

Wiedział i o tym, że jest malowaną drewnianą marionetką w niebieskim płaszczu, błękitną figurką na pozytywce, której płaszcz jest tylko namalowany, nieświadomą wszystkiego, co dzieje się dookoła, gdy pozytywka milkła, gdy przemyślna, błyszcząca sprężyna przestawała się rozkręcać i wprawiać jego i jego partnerkę w szalone piruety w takt melodii odtwarzanej przez stalowy grzebień, który śpiewał sobie piosenkę o dziewicy zaplatającej włosy w blasku świec i podglądanej przez włóczęgę kradnącego posiłek z ogrodu jej ojca — jabłka stawały

się dla niego bezcenne, gdy mignęła mu przez okno, siedząca w koszuli nocnej na łóżku, najpiękniejsza kobieta w całym whorlu, Kypris i Hiacynt w jednym, nieświadoma jeszcze ani pełni własnej urody, ani siły swojego uśmiechu.

*Miasto porzuciłem piękne,
Nie oglądając się ni raz.
I spostrzegłem ogród cudny,
W nim fontannę pod jabłonią.
Piękne dziewczęta nieszczerze są,
Tego mnie uczy doświadczenie.*

Ciemne włosy zaplatały się w koronę, uśmiech rozdzierał serce. Grajek nieszczególnie radził sobie z mandolą, słodki, cichy głos miał niewielką skalę, a jednak... a jednak...

*Na jabłonkę się wdrapałem.
Wysiliwszy się odważnie.
Za oknem tuż siedziała ona,
Pracowita jak mróweczka.
Piękne dziewczęta nieszczerze są,
Tego mnie uczy doświadczenie.*

— Nie śpiewa — rzekł Oreb, sam kiepski śpiewak. — Nie płacze.

*Stary już jestem, odejść pora,
Choć nigdy piękniejszej nie widziałem.
Zła na mnie nie bądź, że cię porzucam.
Ona odchodzi, ja nie zostanę.
Piękne dziewczęta nieszczerze są,*

Tego mnie uczy doświadczenie.

— Biedny Jedwab!

Bezszelestnie wstał i dorzucił do ognia tłące się, niedopalone szczapki. Sądząc po nierównym oddechu, Ogar jeszcze nie spał. Położył się z powrotem.

— Patere? Patere, nie śpisz już?

Jest Rogiem i stoi pod oknem sypialni Jedwabia.

Jest Jedwabiem, który wychyla się z okna i odpowiada:

— Nie śpię, ale patere Płetwa jeszcze chyba nie wstał. Nie krzycz tak.

— ... umiera! Matka tak mówi. Posłała mnie po ciebie, patere.

Uklęknął przy łóżku, pogrążony w modlitwie. Jedwab nakreślił paciorkami znak dodawania i uklęknął obok modlącego się chłopca, niosąc pojednanie z Pahem starej kobiecie o poszarzałej twarzy.

— Udzielam ci, moja córko, przebaczenia w imieniu bogów. Wspomnij słowa Paha, który rzekł: „Czyńcie wolę moją, żyjcie w pokoju, mnożcie się i nie ruszajcie mojej pieczęci. W ten sposób unikniecie mego gniewu. Odejdźcie ochoczo... “.

Odejdźcie ochoczo...

Odejdźcie ochoczo...

Umierająca kobieta odwraca głowę na bok.

— Pokrzywo! Gdzie Pokrzywa? Pokrzywo!

Wstaje i bierze kobietę za rękę.

— Jestem tutaj. Jestem, babciu.

— Kochałam cię, Pokrzywo.

— Wiem, babciu. Ja też cię kocham.

Obserwował je dwoma parami oczu.

— Chcę, byś wiedziała, Pokrzywo, że byłaś kochana. Zapamiętaj to. Ktoś kiedyś cię kochał. I ktoś może cię pokochać w przyszłości, Pokrzywo.

Te słowa wracały zwielokrotnione echem: *Ktoś może cię pokochać, Pokrzywo.*

Zamrugnął i otworzył oczy, niepewny, czy nadal nie śni. W końcu usiadł. Zadrżał.

Ogień dogasał. Ogar, otulony kocem, oddychał równo i głęboko. Oreba nie było nigdzie widać.

— Przyszedłeś tu pieszo, patere? — zdziwił się Krew. — Odwieziemy cię ślizgaczem. Jeśli powiesz o naszej małej umowie...

Ręka w rękę, potykając się, szli przez ten właśnie pokój. Chciał wtedy... Nie, to patere Jedwab chciał trzymać się jak najbliżej Krwi, żeby bogacz nie zauważył azotha Hiacynta, zatkniętego za pas i przykrytego połą tuniki. Piżmo eskortował ich do ślizgacza pilotowanego przez Słonkę, szpiega Trivigaunte.

Stamtąd, z góry (ledwie widział teraz to miejsce) obserwował ten pokój, w którym mężczyźni w średnim wieku, odziani w wieczorowe stroje, popijali drinki i rozmawiali. Krew sącząca się z rany, którą zadał mu siwogłowy, dyskretnie skapywała na dywan.

Za plecami miał biały posąg Thiony. Wytężył wzrok, usiłując dojrzeć go w ciemnościach, aż w końcu mu się udało. Kiedy figura drgnęła, ruszył w jej stronę.

Wychyłony przez barierkę patrzył, jak Thiona zmienia się w Pleśń, która rozwiewa się jak mgła. Pokiwał w zadumie głową, wyjął latarnię, którą dostał od Ogara, i wyjętą z paleniska szczapką zapalił świecę.

Wszedł do apartamentów Hiacynta i zawołał półgłosem:

— Jedwab? Jedwab? — Mimo woli pomyślał o Orebie. —
Gdzie jesteś, Jedwabiu?

Odpowiedział mu zduszony okrzyk Świni.

— A ty co, śmierci szukasz? — Głos Świni nie brzmiał przyjaźnie.

— Wiem, że w nim jesteś, Jedwabiu. Muszę z tobą porozmawiać.

Długie ostrze wysliznęło się z pochwy. Stojąc w progu sypialni, zajrzał do środka i zobaczył niewidomą, przerażającą twarz Świni. Klinga rapiera badała powietrze niczym język ogromnego, stalowego węża.

— Mam światło. Wiem, że tego nie widzisz, ale przyniosłem latarnię. Bez niej...

Świnia się zbliżał, kierując się jego głosem i szukając go tym przerażającym ostrzem.

— ... nie odważyłbym się przyjść. Jeśli mnie zabijesz, mój duch zostanie tutaj, razem z duchem Hiacynta. Pomyślałeś o tym?

Świnia się zawahał.

— Za każdym razem, gdy przyjdiesz się z nią spotkać, zastaniesz tu także mnie.

— Brachu...

— Lubię cię, Świnio, ale nie chcę teraz z tobą rozmawiać. Przyszedłem tu, ryzykując życie, aby porozmawiać z twoim jeźdź — cem. Porozmawiaj ze mną, patere, albo od razu mnie zabij. Nie mam broni, a ty nie masz innego wyboru.

— W takim razie porozmawiajmy. — Świnia schował broń. — Poznałeś po tym, że stale mnie tu ciągnie, prawda? Mówiłeś, że masz latarnię?

— Tak. — Kamień spadł mu z serca. — Nie i tak, powinienem odpowiedzieć. Gdyby chodziło tylko o to, że Świnia koniecznie chciał tu być sam, chyba bym się nie domyślił. Pomyślałbym o Kypris i Jedwabiu bogu, Jedwabiu Srebrnym, jak nazywają cię augurowie, i przestał sobie zawracać wami głowę. Ale teraz wiem, że wcale z nią nie jesteś. Nie możesz do niej wrócić, dopóki Świnia jest niewidomy.

— Istotnie. Chociaż tak czy inaczej pomógłbym mu odzyskać wzrok, tak jak ty podjęłaś godny pochwały wysiłek przywrócenia wzroku maytere.

— Nawet ten głos brzmi jak twój, patere. — Podniósł wyżej latarnię, rozświetlając pusty, ciemny pokój. — To dziwne, słyszeć twój głos dobywający się z krtani i ust Świni. Wygląda na to, że głos jest w znacznie większej mierze funkcją ducha, niż myślałem. Acalypha musiała przemawiać zupełnie inaczej, kiedy opętała ją Kypris.

— To prawda. Powiedziałeś, że nie chodziło tylko o to, że tu wracam, Rogu. Po czym mnie rozpoznałeś?

Westchnął.

— Szkoda, że tego nie wiedziałem, kiedy pisaliśmy z Pokrzywą naszą książkę. Bardziej podkreślałbym zmiany głosu. Gdybym nie miał światła, byłbym gotów przysiąc, że patere Jedwab we własnej osobie stoi przede mną.

— Stoi przed tobą i zadaje ci pytanie, Rogu. Skąd wiedziałeś? Nie zmuszę cię do odpowiedzi, choć chyba mógłbym to zrobić, ale będę wdzięczny, jeśli mimo to mi powiesz.

— Żałuję tylko, że nie mam jakiejś dobrej odpowiedzi. Śniło mi się, że Świnia zdjął bandaż z oczu i jego twarz zmieniła się w twoją. Musiałem coś przeczuwać. Nazywamy go Świnią i rozmawiamy o nim tak, jakby to było jego prawdziwe imię.

Tymczasem jest to po prostu vironskie imię męskie, które wczoraj sobie wybrał.

— Pamiętam.

— Naturalnie. Ogar zwrócił mi w nocy uwagę, że nasze imiona współgrają ze sobą: Ogar i Róg. Taka jest nazwa myśliwskiej gospody. Zacząłem wtedy rozmyślać o imieniu Świni, bo z nim czuję się bliżej związany niż z Ogarem, mimo że ten ostatni był dla nas tak uprzejmy, i przypomniałem sobie stare powiedzenie, że nie robi się jedwabnej sakiewki ze świńskiego ucha. Jedwabna sakiewka to najczęściej sakiewka, która po prostu jest uszyta z jedwabiu. Ale przecież może to być też pojemnik zawierający jedwab. Albo Jedwabia.

Świnia parsknęła śmiechem.

— Świnia — albo ty w jego ciele — moglibyście uznać za zabawną próbę zaprzeczenia przysłowiu. Tak sobie pomyślałem. Poza tym rzadko się zdarza, żeby ktoś polubił człowieka, którego się boi, tymczasem Ogar jednocześnie lubi Świnię i się go boi. Jesteś jednym znanym mi człowiekiem, który posiada taki naturalny urok. Świnia też go roztacza. Poza tym, jak sam powiedziałaś, Świnia chętnie wracał do tego pokoju i wpadał w złość, gdy ktoś go tu nachodził.

— To Świnia się złościł.

— Wiem. W pewnym sensie jesteś Jedwabiem, ale głównie jesteś Świnią, tak jak wskazują na to pozory. Świnią, któremu wydano po prostu pewne nowe polecenia.

— Coś gadał, brachu?

— Powiedziałem, że nie mam najmniejszego zamiaru naruszać twojej prywatności, i jestem ci ogromnie wdzięczny, że pozwoliłeś mi spędzić w tym pokoju choć parę chwil. Wrócę teraz do Ogara i zostawię cię sam na sam z myślami.

— A co to takiego? — zachichotał Świnia. — Polezę z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko.

— Ależ skąd. Może znajdziemy drewno na opał. Myślisz, że się nam uda?

Zaparło mu dech w piersi.

— Cóżeś tak zaniemówił, brachu? — Jest tu kilka okien, prawda? Na pewno sam je już odkryłeś.

— Czym odkrył? Ano. Pewnie.

— Przed chwilą chmury się rozstąpiły i mignęło mi światło. To znaczy, że słońce znów świeci. Robi się dzień. Wiem, że... tobie to nie sprawia różnicy, ale ja i Ogar bardzo się ucieszymy. Osły pewnie też.

— Ha! Chciałbym też poczuć różnicę, brachu. Pomożesz mi znaleźć nowe ślepia, prawda?

— Zrobię co w mojej mocy, Świnio. Masz na to moje słowo.

Drzwi były stanowczo za wąskie, żeby mogli przez nie przejść ramię w ramię, chociaż obaj mieliby na to ochotę. Zwolnił kroku i puścił przodem Świnie, który na czworakach zaczął gramolić się na korytarz. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że naga podłoga i pleśniejące ściany rozwiały się, a pokój roztoczył przed nim cały swój dawny splendor: gruby, ozdobny dywan, malowane różem i złotem portrety kobiet, olbrzymie łoże z aromatycznego drewna, z czarno-szkarłatną pościelą. W powietrzu uniosła się woń wina i czekolady, pod sufitem zaroilo się od lamp jaśniejszych niż latarnia, którą trzymał w ręce, choć przyćmionych dla wygody szepczącej w łóżku pary.

Buty Świni zniknęły za progiem, pozostawiając po sobie tylko ciszę i zniszczenia. Został sam. Westchnął i wyszedł, ponaglany bezgłośnie parodią śmiechu Hiacynta.

Przed procesem

Nie sposób zrelacjonować tu wszystko, co wydarzyło się od czasu, gdy ostatni raz przerwałem pisanie. Kiedy we „Whorlu” Jedwab przemówił do mnie przez mojego druha Świnię, chciałem usłyszeć o wszystkim, co mu się przydarzyło od czasu naszej wspólnej wyprawy do Centralnego Procesora. Nie zgodził się (teraz rozumiem dlaczego), ale dane mi było poznać pewne fragmenty tej historii. Streszczenie niektórych wydarzeń trwałoby tak długo, że „Whorl” by odleciał, zanim opowieść na dobre by się rozpoczęła. Z moją historią rzecz ma się podobnie, ale przynajmniej spróbuję zrobić, co się da.

Jeszcze tylko nadmienię, że mieszkamy sobie całkiem wygodnie w domu, który dawniej był własnością sędziego Hamera. Obecnie należy do mnie — otrzymałem go w darze od miasta. Mam nadzieję sprzedać go przed wyjazdem. Pieniądze przydadzą się mnie i Pokrzywie, Vadsig ze Skórą chcą zbudować dom i łódź, a niewykluczone, że Racica wkrótce się ożeni. Zauważyłem, że kiedy jeden z bliźniaków coś robi, drugi nie pozostaje długo w tyle.

Skoro już wspomniałem o Vadsig, wypada dodać, że przed procesem długo ją wypytywałem, zauważyłem bowiem podczas przesłuchania, że została opętana. Domyślałem się — miałem

wręcz nadzieję — że to Jahlee odpowiada za jej opętanie. Myliłem się jednak.

— Kim jesteś? Wiem, że nie jesteś Vadsig. Jeżeli chcesz, żebyśmy cię za nią brali, musisz się nauczyć mówić tak jak ona.

Spojrzała na mnie wyzywająco; znałem to spojrzenie z naszego poprzedniego spotkania, kiedy mówiła mi o kłótni z „kucharką”.

— Przybyliśmy ci pomóc. Powinieneś nam być wdzięczny.

— Rzeczywiście, potrzebuję pomocy. I bardzo wam za nią dziękuję.

— Tak lepiej. — Uśmiechnęła się.

— Mówisz „my”. Ile was jest?

Zachichotała.

— Co za różnica?

— Chciałbym wiedzieć, kiedy wszystkie znikniecie — odparł Skóra. — Chcę odzyskać Vadsig.

— Ona nadal tu jest. — Głos się zmienił. — Niedługo będziemy musiały odejść. Onorifica przyjdzie mnie obudzić. — Powrót do poprzedniego tonu (dalej nie będę już zaznaczał tych zmian; następowały zbyt często). — To jest w tym wszystkim najlepsze. Mogę jeść.

Postanowiłem podjąć grę.

— Nie jesteś Pleśnią — zauważyłem. — Chociaż z początku tak pomyślałem. Ale Pleśń byłaby sama.

Vadsig znów parsknęła śmiechem.

— Dla nas to wcale nie jest zabawne — powiedział Skóra. — Prawda, ojczy? Kim jest Onorifica? Czy to ta dziewczyna, która myślała, że twój kostur umie mówić?

Chichot Vadsig.

— Bo umie!

— Służąca w domu generała Inclito — wyjaśniłem. — Stąd wiem, że Vadsig została opętana przez Morę, córkę Inclito, którą z pewnością pamiętasz, i Favę, jej przyjaciółkę.

— Mówiłeś, że Fava nie żyje. Powiedziałeś, że siedzieliśmy na jej grobie...

— To mi się podoba! — przerwała Skórze Vadsig.

— Chyba nie zapomniałaś, Favo, że dzięki mnie twoje ciało zostało pochowane — zauważyłem. — W przeciwnym razie dzikie zwierzęta pożarłyby je jeszcze tej samej nocy. Osobiście cię pochowałem, kopiąc w zmrożonej ziemi. Zrobiłabyś to samo dla mnie?

Vadsig nie odpowiedziała.

— Nadal nie rozumiem, jak to było z Favą — poskarżył się Skóra. — Czy ona naprawdę nie żyje?

— Śmierć nie jest taką ostrą, klarowną granicą jak krawędź stołu. To proces, który trwa, i może upłynąć sporo czasu, zanim zmarła osoba odejdzie na dobre. Czasem może to trwać w nieskończoność. Fava i Mora były sobie bardzo bliskie, nic więc dziwnego, że Fava nadal istnieje w snach Mory. Dziwi mnie tylko, że obie przeniknęły do twoich snów.

Skóra rozdziawił usta. Położyłem mu dłoń na ramieniu.

— Trzy whorle są o wiele bardziej niezwykłe, niż myślisz, synu. Jeżeli dorastając będziesz się trzymał blisko domu, nie oddawał przesadnej czci bogom i zajmował się przyziemnymi sprawami, coraz rzadziej będziesz się na te niezwykłości natykał. Zacznieś z nich drwić.

— Okrutny dla niego jesteś, mójpanie.

— Nie, Vadsig, po prostu sprawiam mu ból. Tylko dzieci nie odróżniają okrucieństwa od edukacji.

— Odeszły? — zapytał Skóra.

Vadsig zachichotała.

— Nie, synu. Nie odeszły. Ale Vadsig tak bardzo cię kocha, że kiedy wyczuła, że moje słowa sprawią ci przykrość, przełamała ich wolę, aby cię obronić. Wyobraź sobie, że dosiadasz klaczy, która nagle słyszy rozpaczliwy krzyk swojego źrebięcia. Może uda ci się nad nią zapanować, ale będziesz się musiał postarać, bo z początku na pewno stracisz nad nią kontrolę. Tak jak straciły ją Mora i Fava.

Skóra zacisnęła dłonie w pięści.

— Niech one sobie pójdą, ojcze!

— Zapytałbym cię, kogo zamierzasz uderzyć, ale to bez sensu. Jeśli chcesz, możesz uderzyć mnie, powstrzymam cię jednak, a przynajmniej spróbuję, gdybyś miał zamiar rzucić się z pięściami na Vadsig. Nie przegnasz w ten sposób tych, które ją opętały, a ona sama niczym nie zasłużyła na twoją złość.

— Nie uderzę cię.

— Dziękuję. Jeśli chodzi o wypędzenie Mory i Fawy, przypuszczam, że moglibyśmy tego dokonać, ale moim zdaniem nie warto. Odejdą, kiedy Onorifica zbudzi Morę na śniadanie — tak jak Mora powiedziała. Na razie musimy z nimi rozmawiać. Z nimi i z Vadsig. Mogłybyście pozwolić Vadsig mówić? Bardzo was proszę. Czas ucieka, a my mamy sporo do omówienia. Jeżeli Fava jest głodna, a Vadsig nie ma nic przeciwko temu, mogę kazać przynieść coś do jedzenia...

— Rybie głowy?

Zdumiony podniosłem wzrok. Oreb siedział na swojej grzędzie za kominem.

— Ptak wrócić!

— Do ciebie ja mówię, mójpanie — odezwała się Vadsig. — Czego życzysz sobie?

— Po pierwsze, twojej zgody na opętanie. Czy masz coś przeciwko temu, aby Mora i Fava pozostały z tobą do wschodu słońca? Zapewniam cię, że w ostatecznym rozrachunku pomoże to tobie i Skórze.

Nie odpowiedziała.

— Ptak znaleźć — obwieścił Oreb. — Znaleźć husa.

— Rzeczywiście, wysłałem cię na poszukiwanie Babbiego. Dziękuję. Nie mam w tej chwili czasu dopytywać się, gdzie jest, ale później do tego wrócę. Staraj się nie zapomnieć.

— Dobry hus!

— Jeśli pomoc to ma, niech będzie. Przyjaciółmi jesteśmy.

— Doskonale. Dziękuję ci, Vadsig. ‘W ten sposób pomagasz nie tylko sobie i Skórze, ale mnie także. Muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie. Fava — przynajmniej wydaje mi się, że to Fava — chciałaby, żebyś coś zjadła. Mogę się mylić, ale przypuszczam, że każe ci jeść bardzo żarłocznie. Masz ochotę na solidny posiłek?

— Nie, mój panie.

— Musisz mówić pełnymi zdaniami. Słyszac tylko dwa słowa, nie mam pewności, z kim rozmawiam.

— Ciebie przepraszam, mójpanie. Głupio czuję się.

— To ona — stwierdził Skóra. — Mnie nie zwiodą.

— Mówię ja, kandij. Późno jest i głodne jesteście. Jeśli za dużo jeść będę, powstrzymać mnie możecie. Ale nie zrobię jej nic złego ani nie będę piła krwi, tak jak to kiedyś robiłam, Incanto. Nie dam Fawie jej skrzywdzić.

— Świetnie. Dziękuję wam wszystkim. Sam też jestem głodny...

— Ptak jeść? — zakrakał zza komina Oreb.

— Tak, Orebie, naturalnie.

Spojrzałem na Vadsig, zastanawiając się, czyj wyraz twarzy oceniam.

— Skóra pewnie też zgłodniał, a nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy rozmawiali przy jedzeniu. Skóro, zszedłbyś na dół i poprosił Aanvagen o przyszykowanie jedzenia? O ile jeszcze nie poszła spać.

— Już idę, ojciec.

Skóra przesłał Vadsig całusa.

— O czym chcesz porozmawiać, Incanto?

— O obaleniu sędziów rządzących Dziurą.

Oreb gwizdnął przeciągle.

— Wydaje mi się, że nie mam innego wyjścia. Nat jest mściwy i ustosunkowany. Jeżeli stanę przed sądem, z pewnością uznają mnie za winnego i surowo ukarzą. Jeśli nawet nie zostaną ścięty, czeka mnie chłosta. Skóra, Jahlee i ja zostaniemy pozbawieni wszystkiego, co do nas należy, a kiedy stwierdzą, że większość naszych łupów zniknęła, gdyż zdążyłem je sprzedać, Beroep i Aanvagen będą skończeni. Strik już wszystko stracił.

— Dobrym człowiekiem jest, mójpanie — zapewniła mnie Vadsig. — Często Pan tak mówi. I Parel. Ostro Strik targuje się, ale jego towary jak mówi, takie są. Naprawdę myślisz, że to możliwe, Incanto? Duko został obalony; lubię sobie wyobrazać, że ja i Eco przyłożyliśmy do tego ręki, ale mieliśmy do dyspozycji ordę Blanko, która właściwie nas w tym wyręczyła.

— Przede wszystkim muszę podkreślić, że jeżeli nam się uda, zwrócimy kapitanowi Strikowi utracony majątek. Pomógł mi, kiedy wyruszałem w drogę, tak że na pewno chcę przynajmniej spróbować. Powiem więcej, postaram się wynagrodzić szkody wszystkim, których niesłusznie pozbawiono tego, co do nich należało. Sędziowie wykorzystują swoją pozycję do bogacenia

się. Jeśli tylko zdołamy, odbierzemy im majątki i stanowiska. Przypominają mi Ayuntamiento, radę sędziów, którą obaliliśmy w Vironie. Mówiąc „my”, mam na myśli nie tylko maytere Miętę, patere Jedwabia, Algę i siebie, lecz także kilkuset innych ludzi, którzy tworzyli trzon rebelianckich sił. Radców również było pięciu: Lemur, Lori, Wari, Leniwiec i Tarsjusz. Mieli pod swoimi rozkazami armię i gwardię, które dawały im ogromną przewagę, jakiej brakuje tutaj sędziom. Orda Dziury składa się głównie z rezerwistów.

Vadsig spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

— Imion tych nie znam, mójpanie. Co innego wiem. Legioniści w mieście są. Strzelby mają.

— My też mamy broń, Vadsig. Pozostaje tylko znaleźć mężczyzn i kobiety, którzy użyją jej z należytą odwagą i determinacją.

— Ona będzie walczyć, jeśli stawką będzie los Skóry i szansa na własny dom, Incanto. Mora i ja też was wspomozemy, ale ryzykujemy niewiele.

— Chłopiec idzie! — obwieścił Oreb.

Chwilę później usłyszeliśmy na schodach kroki Skóry.

— Gospodyni... Aanvagen? Tak się nazywa?

Pokiwaliśmy głowami.

— Nie ma jej w domu. Z mężem i Strikiem poszli przynieść rzeczy i sprzęty Strika, żeby mu się tu wygodniej mieszkało. Powiedziałem kucharce, czego chcemy. Obiecała wszystko przyszykować, tylko mam po to zejść i wnieść na górę. Zawoła mnie, kiedy jedzenie będzie gotowe.

— Pomóc jej pójdę — zaproponowała Vadsig.

Pokręciłem głową.

— Musimy porozmawiać. Mówiłem o buncie w Vironie, w którym brałem udział. Byłem jednym z gońców generał Mięty, dostałem postrzał w pierś i tak dalej... To w tej chwili nieważne. Istotne jest to, że bunt się powiódł, mimo że napotkaliśmy znacznie poważniejszy opór niż ten, którego możemy się spodziewać tutaj, w Dziurze. Iskrą, która wznieciła bunt, była teofania. Echidna objawiła się w świętym oknie w moim man — teionie. Żadne z was pewnie nie widziało świętego okna?

Skóra i Vadsig pokręcili głowami. Oreb pisnął ostrożnie:

— Ptak widzieć?

— To prawda, byłeś ze mną w Wielkim Manteionie i tam widziałeś święte okno. Musisz mi wybaczyć chwilę zwłoki, Orebie. Wyjaśnię tym młodym ludziom, o co chodzi.

— Słyszałam o nich — powiedziała Vadsig (której ustami przemawiała zapewne Mora). — Można przez nie przejść, jak przez prawdziwe okno? — Na pewno była to Fava.

— A to ciekawa kwestia. Bogowie w pewnym sensie mogą. Potrafią wydostać się ze świętego okna pod postacią niezauważalnych błysków światła, aby opętać człowieka, w podobny sposób jak ty i Mora opętałyście Vadsig. Wy robicie to pewnie zupełnie inaczej, prawda?

— Nie wiem, Incanto. Chyba tak. We mnie weszły, mójpanie, jak do domu się wchodzi. Mnie o nic nie pytały, lecz przyjaciółkami jesteście.

— Zmierzałem do tego, że dla kogoś, kto nie został wychowany w przesadnej bojaźni bożej, a ludzi takich nawet w Vironie nie brakowało, bóg w świętym oknie był po prostu dużym gadającym obrazkiem. Mimo to tamta jedna teofania wystarczyła, aby wzniecić bunt, o którym wszyscy marzyli, lecz

na który nikt się nie przygotowywał. Wydaje mi się, że tutaj podobne wydarzenie mogłoby mieć podobny skutek.

— Naprawdę, ojczy? — spytał Skóra. — Jesteś pewien?

Słowo pisane nie jest w stanie oddać tonu jego głosu ani wyrazu twarzy, ale była to jedna z tych nielicznych chwil, kiedy nie miałem cienia wątpliwości, że mnie kocha.

— Nie — odparłem. — Ale jestem gotów zaryzykować życie, żeby to sprawdzić. Nie mam innego wyjścia.

Wszystko to wydarzyło się, zanim Skóra poszedł do Strika zabrać swoje łóżko i został pobity przez Strika i jego żonę, i zanim Racica i Jahlee dołączyli do nas w gospodzie. Chciałbym się teraz chwilę pomodlić, a potem muszę iść do sądu. Sprawowanie urzędu Najwyższego Sędziego zaczyna mi coraz bardziej przypominać czas spędzony w Gaonie, z tą tylko różnicą, że nie mam tu żon i mieć nie pragnę.

* * *

Przejrzałem zapiski i widzę, że obiecałem napisać o tym, jak szukałem Jahlee. Teraz jest na to dobry moment, najpierw jednak wspomnę, że przez pewien czas po przybyciu byłem zupełnie zdezorientowany. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób przeniosłem się na Zielen wprost z sellarii sędziego Hamera, skoro poprzednio za każdym razem potrzebne mi było towarzystwo inhumy. Intuicja podpowiadała mi z początku, że to się po prostu nie może dziać naprawdę, w związku z czym wcale nie jestem na Zieleni, lecz śnię lub halucynuję. Wydawało mi się, że trwa to godzinę, może dwie, choć w rzeczywistości musiało upłynąć znacznie mniej czasu.

Później zdałem sobie sprawę, że istnieją co najmniej trzy wytłumaczenia mojego stanu. Pierwsze — z pewnością

najbardziej pociągające — to że Fava opętała Vadsig. Kłopot w tym, że „Fava” opętująca Vadsig może być zaledwie snem Mory o Favie, a wówczas pajęczyna komplikacji płacze się niewiarygodnie.

Drugie wyjaśnienie (które osobiście mnie odrzuca, lecz wydaje mi się najbardziej wiarygodne) jest następujące: w sellarii był z nami inhumim, z którego obecności nie zdawałem sobie sprawy. Piszę „inhumi”, chociaż w poprzednich wypadkach bilokacji zawsze miałem za partnera inhume, samicę; nie można wykluczyć, że obecność samca jest w zupełności wystarczająca. Jeżeli to wyjaśnienie jest słuszne, interesująca — i potencjalnie użyteczna — wydaje mi się informacja o tym, kto był inhumim. Skóra, Vadsig, Aanvagen, Beroep i Azijin odpadają. Przebywałem wśród nich zbyt długo i zbyt często, aby dać im się tak omamić. Cijfer również nie wchodzi w grę. Zostaje więc sędzia Hamer (to z całą pewnością najciekawsza propozycja), żołnierze i inni obecni, z których każdy może się okazać inhumim dowolnej płci.

Trzecia możliwość jest taka, że pomogli mi Sąsiedzi, od których inhumim musieli w przeszłości uzyskać tę zdolność. Widywałem ich i rozmawiałem z nimi, ale nie czas i miejsce, aby się teraz o tym rozpisywać. Całkiem możliwe, że pierścień Algi nie tylko identyfikuje mnie jako przyjaciela, ale wręcz ich przyciąga — chociaż, prawdę mówiąc, wszyscy lubimy swoich przyjaciół, nieważne, czy noszą pierścienie, czy nie. (Może zbyt wiele sobie wyobrażam).

Bez względu na moc pierścienia, Sąsiedzi mogli mnie odnaleźć wcześniej, zanim się ujawnili, co nastąpiło dopiero po tym, jak ze Skórą porozmawialiśmy z Vadsig, a dokładniej nawet po tym, jak ja i Racica poznaliśmy w gospodzie Wapena.

Chcieli nam pomóc i rzeczywiście — ich zeznania miały wielką wagę podczas mojego procesu, o czym za chwilę napiszę.

Niechętnie o tym wspomynam, lecz istnieje jeszcze czwarta...

Oreb wrócił. Usłyszałem, jak puka w okno. Wleciał do środka i przywitał się ze mną — jak zwykle — z ożywieniem, chociaż jest zmarznięty i głodny. Mówi się, że ptaki tuczą się zimą, ale to porzekadło chyba Oreba nie dotyczy. Jest chyba za słaby, żeby udziobać większy kęs z zamarzniętych zwłok.

Wysłałem go z wiadomością dla Pokrzywy, co powinienem był zrobić dawno temu. Na pewno zamartwia się o Skórę i Racicę, o mnie, a najbardziej o Ścięgno. Drobnym pismem, na przedartym na dwoje arkuszu papieru napisałem, że Ścięgno żyje szczęśliwie na Zieleni, ma dwóch synów i jest calde niedużej wioski, która rozkwita pod jego rządami. Dodałem, że bliźniaki, całe i zdrowe, są ze mną, że przybyła nam adoptowana córka i że Krait, którego również adoptowałem i traktowałem jak syna, nie żyje. (To ostatnie zdanie nie było chyba do końca zgodne z prawdą, bo skoro był synem Jahlee, stał się naszym wnukiem — ale na pewno można adoptować i wnuka).

Widzę, że pomyliłem pierścienie. Ten, który noszę, nie jest tym, który dostałem od Algi, chociaż są bardzo podobne. To pierścień od Oreba. Wygląda na to, że po założeniu na palec kamień zmienia kolor, bo z początku był znacznie ciemniejszy.

Powinienem chyba cofnąć się w tekście i poprawić błąd, ale nie cierpię kreślić — stronicie wyglądają potem paskudnie. Poza tym wykreślenie fragmentu oznacza przyjęcie pełnej odpowiedzialności za wszystko, co zostaje nieskreślone. Gdybym poprawił ten lub inny błąd, prowokowałbym pytania,

dlaczego zaniedbałem pozostałe omyłki. Jeśli zaś bym postanowił poprawić nawet nie wszystkie, lecz chociażby większość błędów, musiałbym podrzeć całą tę relację na strzępy i napisać ją od początku. A nowa wersja z całą pewnością ustępowałaby tej, którą masz, czytelniku, przed sobą, ponieważ nie umiałbym się powstrzymać od korzystania z wiedzy i opinii, które były mi niedostępne w czasie, gdy spisywałem fakty na bieżąco. Uczciwe błędy każdemu się zdarzają; w tej opowieści aż się od nich roi — i niech tak zostanie.

* * *

Po ciosie w głowę, jaki otrzymałem podczas przesłuchania w sellarii sędziego Hamera, znów znalazłem się w opuszczonej wieży na urwisku, w której rozstałem się z Jahlee. W pierwszej chwili nie posiadałem się ze szczęścia, myślałem bowiem, że bez trudu znajdę ją i pomogę jej wrócić do pogrążonego we śnie ciała.

Obszedłem całą wieżę. Znalazłem wiele niezwykłych mechanizmów oraz zamknięte na klucz drzwi, najprawdopodobniej wychodzące wprost na urwisko w głębi jakiejś skalnej szczeliny. Nigdzie jednak nie napotkałem Jahlee i w końcu musiałem pogodzić się z myślą, że podczas mojej nieobecności opuściła wieżę, porzucając nadzieję ratunku, wyleciała przez okrągłe okno (które opisałem wcześniej) i wróciła na otulone mgłą bagna, gdzie się urodziła.

Rozmawiałem z Orebem, który doszedł już do siebie po wyczerpującym locie. (Wczoraj był zmęczony i słaby; zaraz po jedzeniu wetknął głowę pod skrzydło i zasnął). Wypytałem go o mój list.

— Ptak wziąć.

— Wiem, że go wzięłeś, Orebie. Zaniósłeś go Pokrzywie, tak jak cię o to prosiłem?

— Tak, tak! Wziąć dziewczeczce. Dzieweczka płakać.

— Rozumiem.

Wstałem od biurka i przez jakiś czas chodziłem po komnacie, przystając to przy jednym oknie, to przy drugim (jest ich w sumie siedem) i wyglądając przez środkową płytkę oprawionego w ołów niebieskawego szkła o kształcie rombu. Dom jest pięknie położony — na szczycie wzgórza, z którego rozpościera się doskonały widok na całą Dziurę. Ale pięć sekund po wyjrzeniu przez okno nie umiałbym już powiedzieć, co właściwie widziałem. Gdyby nagle odtworzono w Dziurze Dzielnicę Słońca sprzed pożaru, pewnie też bym niczego nie zauważył.

Oreb skakał tam i z powrotem, kłapiąc dziobem i pogwizdując w sposób, który u niego świadczy o podenerwowaniu. W końcu odwróciłem się i spojrzałem na niego.

— Co ci kazała powiedzieć? Na pewno przekazała jakąś odpowiedź.

— Nie mówi.

— Nic? Niemożliwe, coś musiała powiedzieć. Naprawdę odesłała cię bez słowa?

— Nie mówi — upierał się przy swoim Oreb.

— Czy na pewno byłeś u Pokrzywy? Kobiety z drewnianej chaty na południowym skraju Jaszczurki? Przy ogonie?

— Tak, tak. — Z zapalem pokiwał łebkiem. Opisałem mu Pokrzywę, na co powtórzył: — Tak, tak!

— Kiedy ją znalazłeś, był dzień czy noc? Pamiętasz, Orebie?

— Słońce świeci.
— Dzień. Co robiła, zanim dałeś jej mój list?
— Morze patrzy.
— Może patrzy? A może nie? O co ci chodzi?
— Patrzy mokre. Wielkie mokre. Patrzy morze.
— No tak, teraz rozumiem. Wyglądała przez okno, czy stała na plaży?

Może się to wydać głupie, ale takie szczegóły były dla mnie bardzo ważne. Chciałem sobie wyobrazić całą scenę.

— Nie stoi. Dzieweczka siedzi.
— Siedziała na plaży, tak? To chcesz powiedzieć? Na łupku?
Kiedy byliśmy znacznie młodszy, wynosiliśmy na plażę koc, żeby siedząc na nim, oglądać gwiazdy. Ale dawno już tego nie robiliśmy.

— Siedzi krzesło! — Oreb zaczynał się niecierpliwić.
— Wyniosła z domu krzesło, usiadła na nim i patrzyła na morze. Nie ma w tym chyba nic dziwnego. Obaj ze Ściągnem odpłynęliśmy, więc spodziewa się naszego powrotu tą samą drogą. Był z nią ktoś jeszcze?

— Nie, nie.
— Była sama? Nikogo nie widziałeś?
Podchwycił moje słowo, co często mu się zdarza:
— Nikogo.
— Zapewne nie przysiadłeś jej na ramieniu, co? Jak dostarczyłeś list? Porozmawiałeś z nią wcześniej? Powiedziałeś, kim jesteś i kto cię przysłał?

Oreb przyglądał mi się w zadumie, przekrzywiając łebek to w jedną stronę, to w drugą, błyskając półprzymkniętymi ślepiami.
— To chyba nieistotne. Pamiętasz, co ci powiedziała?
— Ptak upuścić!

— Przesfruwając nad nią, zrzuciłeś mój list? Mam nadzieję, że nie do morza!

— Tak, tak! Nie mokre.

— Tak czy inaczej dostała mój list i go przeczytała. Musiała, skoro mówisz, że później płakała.

— Tak, tak.

Pogroziłem mu palcem.

— W takim razie na pewno dała ci jakąś odpowiedź. Przecież nie odleciałeś natychmiast po zrzuceniu mojego listu, prawda? Na pewno byłeś zmęczony i choć wodę znalazłbyś w naszej młynówce, przypuszczam, że poprosiłeś Pokrzywę o coś do jedzenia.

— Rybie głowy.

— No właśnie, coś w tym guście.

— Ptak mówi. Rybie głowy?

Pokiwałem głową.

— Zawsze była hojna i z pewnością pamięta poprzedniego Oreba, który należał do Jedwabia.

Przefrunął na okno i zastukał dziobem w szybę, dając mi do zrozumienia, że chce odlecieć.

— Pa, pa!

— Jak chcesz. — Przesunąłem zasuwkę i otworzyłem okno. — Jest zimno. Uważaj na siebie.

— Dzieweczka pisać. Dać ptak.

I odleciał.

Pora chyba, bym dokończył opowieść o poszukiwaniach Jahlee. Stwierdziwszy ponad wszelką wątpliwość, że nie ma jej w wieży, w której ją zostawiłem, podszedłem do okrągłego otworu w ścianie, tłumacząc sobie, że jestem obecny na Zieleni tylko duchem, a duchowi od upadku nie może się stać krzywda.

Pamiętałem jednak, co się stało z duko na whorlu czerwonego słońca, tak jak pamiętałem bezrozumną powłokę, którą obudziliśmy, wróciwszy na Błękit.

(Kolejny błąd. Powinienem był napisać „bezduzną” albo coś w tym guście. Umysł diuka pozostał na swoim miejscu, przynajmniej w pewnym sensie. Na zawsze przepadła ta część jego istoty, która marzy i śni. Nie wykreślę tych słów, chociaż czuję taką pokusę).

Dawniej wierzyliśmy, że po śmierci ludzi ich duchy podążają do Centralnego Procesora. Całkiem możliwe, że Zewnętrzny lub inny bóg przysyła po nie swoje sługi, jak nauczano w Blanko. Kiedy jednak umiera duch człowieka, jest to śmierć ostateczna.

Kilkanaście razy zmuszałem się do skoku, tłumacząc sobie, że nic mi nie będzie — i kilkanaście razy cofałem się od krawędzi. Napisałem, że bałem się skoczyć z powodu tego, co stało się z duko Rigoglio, prawda jednak jest taka, że najpierw pojawił się strach, jego przyczynę zaś odkryłem znacznie później — może nawet nie przyczynę, lecz racjonalne uzasadnienie. Powiedziałem sobie, że choć Jahlee mogła stamtąd odfrunąć, ja tego nie potrafię.

Gdy tylko te słowa przybrały kształt w moim umyśle, zrozumiałem, że nie mam racji. Obecna duchem na Zieleni Jahlee nie była imitacją człowieka, lecz prawdziwą istotą ludzką, nie mogła więc latać — tak jak ja tego nie potrafiłem. Pozostawała jeszcze możliwość, że jednak skoczyła, bo na pewno nie miała takiego lęku wysokości jak ja.

Przypomniał mi się siwogłowy, któremu przycięte skrzydła uniemożliwiały latanie. Próbując odlecieć, kiedy walczyli z Jedwabiem na dachu willi Krwi, spadł i zginął. Stojąc w okrągłym otworze okiennym, podwinąłem rękaw, szukając

blizny, którą dziób siwogłowego pozostawił na ręce Jedwabia. Niczego, oczywiście, nie znalazłem — w końcu to Jedwab, nie ja, walczył z siwo — głowym, podobnie jak Jedwab zabił Krew, kiedy bogacz odciął matce ramię. Fakt, że obie te sceny tak żywo i wyraziście stawały mi przed oczami, niczego w tym wypadku nie zmieniał.

Samo stanie na skraju przepaści i spoglądanie na rozciągającą się w dole dżunglę było przerażające, ale wspinaczka po urwisku okazała się jeszcze gorsza, gdyż trwała znacznie dłużej. Z początku myślałem o tym, żeby wyjść przez okrągły otwór, szybko jednak stwierdziłem, że mur wieży jest zbyt gładki. Może pokusiłbym się o to jako dziecko — albo jako Jedwab, który mówił mi kiedyś, że w dzieciństwie wspinał się jak małpka — ale mógłbym też po prostu spaść i się zabić. Zszedłem schodami na sam dół wieży i kiedy doszedłem do wniosku, że znajduję się mniej więcej na wysokości jej podstawy, próbowałem wyłupać dziurę w ścianie, używając do tego podłużnego, spiczasto zakończonego narzędzia znalezionego w jednym z warsztatów. Nie udało mi się. Gdy zmęczony przymknąłem oczy i oparłem się o mur, powtarzając sobie, że nie mogę się teraz poddać, poczułem, że ściana za moimi plecami ustępuje.

Urwisko było wystarczająco chropowate, by dawać nadzieję na zejście tą drogą — i wszystko szło dobrze, a przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki nie spojrzałem w dół.

Była to z mojej strony skrajna głupota. Pofalowana zielona równina, złożona w rzeczywistości z wierzchołków drzew wyższych niż wieża, z której wyszedłem, wydawała się równie odległa jak widziana z otworu w murze. Otchłań przerażała mnie i przyprawiała o zawroty głowy. Zamknąłem oczy,

rozpaczliwie wpijając się palcami w skalny występ, i powtarzałem sobie w kółko, że kiedy otworzę powieki, nie wolno mi patrzeć w dół.

Po minucie, może dwóch otworzyłem na próbę oczy, lecz zielona równina ponownie przyciągnęła mój wzrok. Nie mogę powiedzieć, że znów zamarłem, bo od dłuższego czasu w ogóle się nie poruszałem, ale wszelki ruch wydał mi się jeszcze bardziej niewyobrażalny niż przed chwilą.

Na tle zieleni pojawiła się plamka, rosła z każdą chwilą. Z początku wziąłem ją za smugę dymu; pomyślałem, że ktoś pod drzewami rozpałił ognisko z wilgotnego drewna — sami często tak robiliśmy. Patrzyłem, nie widząc, tak jak człowiek stojący przed plutonem egzekucyjnym widzi tylko wyloty luf strzelb. Dym wirował i snuł się (tak to wyglądało) coraz wyżej, wybiegając mi na spotkanie. Przeszło mi przez myśl, że cały ten wilgotny, gnijący whorl stanął w ogniu i okrywa się kłębamii dymu. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, co naprawdę widzę, i zacząłem wspinać się z powrotem, tęskniąc za bezpiecznym wnętrzem wieży.

Nie wspiąłem się daleko, kiedy się ze mną zrównali. Jakiś czas temu pisałem o tym, jak inhumii, którzy walczyli po naszej stronie w wojnie z Hanem, próbowali uniemożliwić mnie i Wieczornej Pieśni ucieczkę w dół Nadi. To była fatalna sytuacja, która dodatkowo pogarszała mrok — ale tym razem było jeszcze gorzej, bo wszystko odbywało się w blasku dnia, w którym pławiłem się ja sam i tysiące inhumich. Większość wyglądała jak zwierzęta, krzyżówka gada z nietoperzem, o wstrętnym, zbrojnym w długie kły pysku. Byli jednak wśród nich i tacy, których rodzice posmakowali ludzkiej krwi: nadzy, wychudzeni, z twarzami jak ludzie, błyszczącymi oczami,

drobnymi jak u dziecka nogami i rękami przemienionymi w skrzydła. Mówili do mnie i rozmawiali między sobą, przemawiając na przemian to z okrucieństwem, to znów z udawaną łagodnością, stokroć od okrucieństwa gorszą; ich słowa będą obsesyjnie powtarzały moje sny, dopóki śmierć się o mnie nie upomni. Wspinałem się, a oni tłukli mnie skrzydłami po twarzy, wbijali mi krwiożercze kły w kark i ramiona, plecy i nogi, aż stopy i dłonie zrobiły mi się śliskie od krwi, mimo że przy każdej okazji próbowałem się od nich oganiać i bronić. Nie wiem, jak długo trwała ta wspinaczka — na pewno wydała mi się znacznie dłuższa niż w rzeczywistości. Czasem musiałem

z mozołem podciągać się od chwytu do chwytu, kiedy indziej znów przemierzałem na czworakach strome piargi, pełen obaw, że zjadę w dół razem z kamienną lawiną, ale szczęśliwy, że posuwam się szybko naprzód.

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że już minąłem wieżę i nie znajduję się poniżej niej, lecz nad jej szczytem. Mimo to piąłem się dalej w górę, święcie przekonany, że próba powrotu do wieży (nie wiedziałem, czy minąłem ją z lewej, czy z prawej strony) przyniosłaby mi zgubę. Miałem nadzieję, że na szczycie urwiska znajdę kawałek płaskiej powierzchni i uda mi się przepędzić dręczycieli. Pamiętałem, że mimo liczebnej przewagi nie kwapili się do otwartego ataku na mnie i Wieczorną Pieśń, dopóki nie zasnęliśmy.

Dopiero wtedy przypomniał mi się azoth, a zaraz po nim miecz, który stworzyłem dla siebie na whorlu czerwonego słońca. Rzuciłem go później nieszczęsnemu omofagowi w jaskini lwa, a jemu miecz roztopił się w rękach. Uformowałem więc sobie igłowiec, a kiedy poczułem, że na dobre

zmaterializował mi się w dłoni, zacząłem raz za razem strzelać do inhumich.

Efekt był zdumiewający. Niektórzy, trafieni w locie, spadali w przepaść i ginęli. Inni okazywali tylko lęk — zdawali sobie sprawę, że zostali w jakiś sposób zranieni, nie rozumieli jednak natury obrażeń. Jeszcze inni byli zgoła igłoodporni i atakowali dalej, dopóki nie zacząłem ich okładać igłowcem po głowach. Gdyby ci ostatni rzucili się na mnie chmarą, na pewno spadłbym i zginął. Oni jednak chcieli mojej krwi, nie życia, a z potrzaskanego trupa u stóp urwiska dużo krwi by nie wysali. To mnie ocaliło.

Kusi mnie, żeby napisać, że skraj klifu zniecka wyrósł mi przed oczami, bo tak to dla mnie wyglądało. Prawda, rzecz jasna, wyglądała znacznie zwyczajniej; sunąłem ku niemu cały czas, cal po calu, nie wiedząc, jaka dzieli mnie od niego odległość. Pokonałem dystans równy potrojonej wysokości wieży i w końcu dotarłem do krawędzi. Wątpię, aby ciało, które pozostawiłem rozciągnięte na podłodze sellarii sędziego Hamera, było zdolne do takiego wysiłku. Na szczęście nie musiało go podejmować. Mimo że ciężar, który dźwigałem w górę klifu — drapiąc krwawiącymi paznokciami rudą skałę — zdawał się całkiem rzeczywisty, był znacznie mniejszy niż masa mojego ciała.

Przez chwilę osiągnięcie skraju przepaści w zupełności mi wystarczało. Leżałem na plecach, dysząc i drżąc na całym ciele, ostrzeliwując z igłowca tych inhumich, którzy zapuścili się zbyt blisko.

Odezwała się jakaś kobieta. Pomyślałem, że to jeden z inhumich, którzy podczas wspinaczki drażnili mnie swoimi kłamstwami, i nie zwróciłem uwagi na jej słowa. Nagle Jahlee

pochyliła się nade mną, jej rdzawe włosy musnęły mój policzek, jej słodka, śliczna twarzyczka znalazła się tuż nad moją.

— Wróciłeś! Już przestałam czekać.

— Uwięziono mnie — wyjaśniłem. — Kiedy odeszłaś, byliśmy już aresztowani, pamiętasz?

Inhumi zaprzestali ataków. Pomogła mi usiąść.

— Czy to twoja męska połowa, Mglista? — zabrzmiał inny głos. — Jego krew nie napełnia naszych żołądków.

Samiec, który się odezwał, przybrał kształty bezwłosego, wy — mizerowanego karła.

Jahlee skinęła głową.

— To mój ojciec.

Inhum powiedział coś jeszcze, nie pamiętam jednak jego słów, których zresztą wypowiedział najwyżej dwa lub trzy. Strzeliłem do niego — igła trafiła go w pierś — i patrzyłem, jak umiera.

Jahlee zamurowało.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Bardzo wyraźnie uświadomiłem sobie, kim jesteśmy my, a kim są oni.

— Ale... oni oddają mi cześć, rajanie. Nie mówią o tym w ten sposób, ale tak to właśnie wygląda. My... Przynoszą mi pożywienie, którego nie mogę jeść. Dzieci. A ja cały czas myślę o tym, że moje ciało, tam, w górze, głoduje.

Chciałem zapytać, co się dzieje z dziećmi, których krwi nie może wypić (bałem się, że i tak to wiem), kiedy mój wzrok przykuła nowa postać, wysoka, ciasno opatulona płaszczem nieokreślonej barwy, poruszająca się sztywnym, nieco ptasim krokiem. Widząc ją, uświadomiłem sobie, że to co brałem za

olbrzymi czarny głaz, było w istocie przysadzistym budynkiem z kopułą i bez okien.

Jahlee tłumaczyła mi (z pewnością słusznie), że nie powinienem był zabijać jej przyjaciela.

— Wybaczysz mi to? — zapytałem. — Ja ci wiele wybaczyłem i uczyniłem cię swoją córką, choć przedtem byłaś moją niewolnicą.

* * *

Minęło kilka dni, odkąd ostatnio coś napisałem. Zaniedbałem tę relację, ale miałem w tym czasie mnóstwo zajęć. Wkrótce odpływamy. Pominę Sąsiada — treść naszej rozmowy wkrótce i tak stanie się oczywista. Jutro wyruszamy w drogę do domu. Jeśli w ogóle chcę napisać coś o swoim procesie, muszę to zrobić dzisiaj.

Uwięziono mnie w tak zwanym Pałacu Sprawiedliwości — okazałym, masywnym gmachu, w którym mieszczą się sale obrad wszystkich pięciu sędziów. Zabrali mnie z domu Aanvagen kilka godzin przed rozpoczęciem procesu i zamknęli w celi na tyłach budynku. Oreb mnie tam odwiedzał — bez trudu prześlizgiwał się między prętami w oknie, a za drugim razem sprowadził Babbiego.

Bardzo się ucieszyłem na jego widok.

— Wyrosłeś — stwierdziłem. — Sam zobacz! Kiedy cię wypuściłem, byłeś wielkości sporego psa.

To naprawdę jesteś ty, mój dawny pan?

(Babbie wyraził to spojrzeniem — inaczej mówić nie umie, ale na ogół ten sposób komunikacji w zupełności nam wystarcza).

Przełożyłem rękę przez pręty. Babbie stanął na czterech tylnych łapach, czterema przednimi oparł się o ścianę i nosem szturchnął moje palce. Jego sierść — bo nie nazwałbym jej futrem — była sztywna jak szczotka ryżowa.

Tak! Tak, to ty!

— Tak, to ja, i bardzo się cieszę, że cię widzę, Babbie. Potrzebuję twojej pomocy. Pomożesz mi? To może być niebezpieczne.

— Ptak pomoże!

Skinąłem głowę.

— Ty już bardzo mi pomogłeś, a i tak muszę cię prosić o więcej. Pomóż Babbiemu znaleźć salę, do której mnie zabiorą. Będzie to któreś z pomieszczeń w tym gmachu, od frontu.

— Ptak znaleźć!

I rzeczywiście.

Napisawszy o Orebie, nie mogłem się powstrzymać od otwarcia okna. Może wrócił? Jednak nie. Wystawiłem głowę na zewnątrz, zobaczyłem kilka ptaków, ale Oreba wśród nich nie było.

Wprowadzono mnie do sali rozpraw ze skutymi rękami. Chyba chcieli mnie w ten sposób upokorzyć. Ja jednak zamiast upokorzenia czułem coś na kształt gwałtownej radości. Wiedziałem, że albo się nam powiedzie i moje kłopoty się skończą (istotnie, skończyły się, lecz ich miejsce zajęły nowe) — albo przegramy i zginę. Całkiem możliwe, że przy okazji zginęliby także moi dwaj synowie i córka, ale przecież wszystkich nas czeka śmierć. Nie znaczy to, że chciałem zobaczyć, jak umierają. Ucieszyłem się jednak widząc ich w sali razem z moim adwokatem.

Powinienem był go przedstawić wcześniej, zanim wziąłem się za opisywanie procesu. Nazywa się Vent, jest w średnim wieku, łysy i brzuchaty. Wyznaczyłem go na stanowisko sędziego.

Wstał, witając się ze mną; Skóra i Racica również wstali. Do sali wszedł Hamer, odziany niczym augur w czarną togę, i wszyscy musieli wstać z miejsc. Chyba dopiero wtedy dotarło do mnie, że sala jest nabita, a sądząc po dobiegających z korytarza szmerach, pod drzwiami kłębił się tłum tych, dla których zabrakło miejsca w środku. Na pewno w tej właśnie chwili moją uwagę zwróciła Cijfer. Wskazała towarzyszącego jej mężczyznę o zaczerwienionej twarzy i bezgłośnie poruszyła ustami; niestety, nie zrozumiałem jej słów. Wyglądała na bardzo szczęśliwą i ogromnie podekscytowaną, doszedłem więc do wniosku, że chciała mi przekazać jakąś dobrą wiadomość. Uśmiechnąłem się do niej w odpowiedzi, udając niczym niezmaconą pewność siebie i głowiąc się nad tożsamością rumianego mężczyzny, którego — tego byłem pewien — powinienem był rozpoznać.

10

Przez drzwi Quadrifonsa

Świnia przestał pogwizdywać.

— Już niedaleko, brachu. Pewnie się nie możesz doczekać, co?

— Aż znów odwiedzę miasto, w którym się urodziłem? — Wysiłkiem woli powstrzymał się od powiedzenia „zobaczę”. — Prawdę mówiąc, boję się tej chwili. Miasto na pewno się zmieniło, i to, jak podejrzewam, nie na lepsze. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Mówiłeś, Ogarze, że Jedwab nie jest już calde...

— Jedwab dobry! — Oreb, jadący do tej pory na grzbiecie drugiego jucznego osła, przefrunął mu na ramię i rozpostarł skrzydła niczym rozkwitający w słońcu czarno-czerwony kwiat.

— A kto jest?

— Kto jest teraz calde? — Ogar, dosiadający prowadzącego osła, obejrzał się przez ramię. — Mąż generał Mięty. Bizon. Calde Bizon.

— To dobrze. Trochę go znam.

— Chcesz z nim porozmawiać?

— Mówi Jedwab — mruknął Oreb.

— Spróbuję.

Umilkł, spoglądając na puste domy, które mijali, oraz te (wśród nich zapewne wiele było niezamieszkanych), do których

się zbliżali. Tą drogą jechał Jedwab z Alką, a później pokonał ją na pokładzie kierowanego przez Słonkę ślizgacza, niewiele jednak o niej mówił. Róg próbował sobie przypomnieć, czy sam kiedyś nią podążał, doszedł do wniosku, że nie, gdy nagle, na widok wąskiego, starego domu, którego różowy tynk prawie zbielał z wiekiem, a rakplast zaczął się kruszyć, załala go fala wspomnień. Pokrzywa; strzelba na ramieniu; maytere Marmur; tłum obdartych ochotników śpiewających dla dodania sobie otuchy.

*Miasto porzuciłem piękne,
Nie oglądając się ni raz.
I spostrzegłem ogród cudny,
W nim fontannę pod jabłonią.
Piękne dziewczęta nieszczerę są,
Tego mnie uczy doświadczenie.*

Były i inne piosenki, całe mnóstwo, ale tylko tę jedną potrafił sobie przypomnieć. Pokrzywa pamiętałaby wszystkie.

Obejrzał się na dom, lecz już zniknął wśród drzew. Jak długo stoi pusty? Dwadzieścia lat? Piętnaście? Może dziesięć? Nie reperowany dach zaczął przeciekać, woda wdarła się w szczeliny rakplastu i co roku w zimie zamarzała, rozsadzając ściany.

— Mówi, mówi — zakrakał Oreb. — Mówi dobrze.

Uśmiechnął się.

— Jak chcesz. Pytałeś, Świnio, czy cieszę się z powrotu do rodzinnego miasta, ja zaś odparłem, że zasmuca mnie świadomość zmian, do jakich pod moją nieobecność musiało tu dojść. Właśnie minęliśmy znajomy dom.

— Żeś znał tych ludzi?

— Nie, ale kiedyś tędy szedłem i go mijalem. Byłem jeszcze dzieckiem. Śpiewaliśmy piosenkę o domu z ogrodem i rosnącej w nim jabłonce. I wtedy zobaczyłem ten dom, przy którym rzeczywiście był mały ogródek i jabłoń. Wydaje mi się, że na najwyższych gałęziach miała kilka owoców, ale nie jestem pewien, może pamięć mnie zwodzi. Wtedy wydało mi się to cudownym, niemal magicznym zbiegiem okoliczności. Dobrą wróżbą. Tęskniliśmy do dobrych wróżb. Nie byliśmy nawet rezerwistami, chociaż za takich się uważaliśmy.

— Ano.

— Cieśle i kamieniarze w roboczych ubraniach, brudnych od zaprawy i trocin, ze strzelbami, z których nie bardzo umieli strzelać. Ja też miałem pistolet i igłowiec, i z obu byłem niezmiernie dumny. Byłeś żołnierzem, Świnio. Pewnie więcej ćwiczyłeś z bronią niż ja?

— Nie za dużo.

— Nie mówi. — Oreb wychwycił jakąś utajoną nutę w tonie Świni.

— Tak się zastanawiam... Mam nadzieję, że nie uznasz tego za wścibstwo, chociaż może powinieneś, ale... Czy mieliście oficjalną inicjację? Na przykład złożyliście ofiarę Sphigx w jakimś manteionie, aby oddać się jej pod opiekę jako adepci sztuki wojennej?

Świnia milczał.

— Przypominasz mi czasem Alkę, który, mimo że pyskacz i bandyta, był na swój sposób bardzo religijny.

— Ci twoi bogowie, brachu... pozwoliliby mi wyłupić ślepie? Gdybym się modlił i w ogóle?

Róg wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że mogliby interweniować, aby zapobiec takiemu okrucieństwu, lecz rzadko to robią. Kiedy ostatnio byłeś w manteionie?

— My z Wrotyczem już prawie nie chodzimy — odparł Ogar, chcąc przerwać zbyt długą ciszę. — Ale jeśli jest w ciąży, będziemy musieli znowu zacząć. Inaczej będą nam robić kłopoty, jakbyśmy chcieli obmyć dziecko, prawda?

— Weźcie im coś dajcie i po sprawie — podsunął Świnia.

— Nie jestem zamożny. — Ton Ogara brzmiał przeprasząco. — Chociaż bardzo bym chciał.

A ja bym chciał, żeby tu wyrosła wielka góra, pomyślał Róg. Góra, po której stoku jedziemy od rana, tak żebyśmy mogli nagle wyjechać na przełęcz, skręcić za skalny załom i spojrzeć z góry na Viron rozpostarty pod nami niczym dywan, z ulicami biegnącymi z północnego wschodu na południowy zachód i z północnego zachodu na południowy wschód, z szeroką blizną ulicy Słońca biegnącą przez najstarszą część miasta i przecinającą je ze wschodu na zachód. Tę najstarszą dzielnicę zbudował Pah, podobnie jak stary różowy dom — stworzył domy i sklepy zanim jeszcze wprowadzili się tu ludzie, zanim pojawili się kupcy i sprzedawcy. Powinniśmy byli uznać je za święte i o nie dbać, ale woleliśmy uskarżać się na tysiące drobiazgów, zapominać o nich i budować nowe, które nazywaliśmy lepszymi, choć wcale takie nie były.

Jabłonka też zniknęła. Została pocięta na opał w tych trudnych czasach, kiedy świece są drogie, a oliwa trudno dostępna. Czy zasadził ją Pah? To możliwe; jabłonie nie żyją dłużej od ludzi. Teraz jednak, kiedy jej zabrakło, kiedy została ścięta, porżnięta na polana i spalona, czy ktoś zasadzi następną?

— Wtedy chyba pierwszy raz usłyszałem tę piosenkę. Nie pomyślałbym, że kiedyś będzie dla mnie taka ważna.

— Pójdziesz do Juzgado, Rogu? — zainteresował się Ogar. — Chciałeś porozmawiać z calde.

— Wiem, tak powiedziałem.

Natłok nowych myśli.

Ogar odchrząknął.

— Ja zatrzymam się w tej gospodzie, o której ci mówiłem. Wezmę sobie pokój, więc pewnie będę się tam też stołował. Dobrze karmią. Może ty i Świnia chcielibyście coś zjeść? Z przyjemnością postawię wam obiad, a wy od razu się dowiecie, gdzie to jest, na wypadek gdyby nie udało się wam znaleźć innego noclegu.

Róg podjął wreszcie decyzję i pokręcił głową.

— To bardzo uprzejme z twojej strony, ale trafię tam. Najpierw chcę się udać nie do Juzgado, lecz do Dzielnicy Słońca, gdzie dawniej mieszkałem. Jeżeli Viron nie zmienił się bardziej, niż się spodziewam, będę musiał czekać cały dzień, żeby spotkać się z calde; jeżeli przyjdę po południu, będę czekał do wieczora, a on i tak pewnie mnie nie przyjmie. Dlatego dopiero rano pójdę do Juzgado. A ty, Świnio?

— Z tobą, brachu. Mogę chyba zapytać o nowe ślepia, co?

— Oczywiście. Idziemy do Dzielnicy Słońca?

— Gdzie ty, tam ja.

— Ptak idzie — oznajmił Oreb. — Idzie Jedwab.

Domów przybywało, nie wszystkie już były puste, aż w końcu utworzyły nieprzerwany szpaler wzdłuż drogi. Ogar wskazywał te, które należały do jego znajomych i przyjaciół, sypiąc anegdotami na temat ekscentrycznych właścicieli.

— Oto miejscowy manteion. Kiedy mieszkaliśmy tutaj, właśnie do niego chodziliśmy.

— Żem myślał, żeście nie chodzili — zdziwił się trochę Świnia.

— Czasami tak. Dalej czasem chodzimy, z matką Wrotyczu; żona by chciała, żebyśmy chodzili jeszcze częściej. Ale wtedy chodziliśmy zawsze, kiedy jej rodzice wpadali z wizytą. Jej ojciec jeszcze żył. Chyba wam mówiłem, że po jego śmierci odziedziczyliśmy sklep i przeprowadziliśmy się do Zaścianka. — Zawiesił głos. — Manteion jest pewnie opuszczony. Mało tu ludzi zostało. Jeśli nikt tam nie mieszka, na pewno zamknęli go na klucz. Ale może nie. Chcielibyście zajrzeć do środka?

— Ano — przytaknął Świnia z wyraźnym zadowoleniem. — Czy on może zajrzeć? Nie może. Ale chciałby zobaczyć. A ty, brachu?

— Jeśli nas to zbytnio nie opóźni...

— Nie jest duży. Właściwie jest całkiem mały i zwyczajny. Tak tylko pomyślałem, że mógłby was zainteresować.

— Nie zarźnie — mruknął Oreb.

Świnia nastawił ucha.

— Czegoś chciał, Oreb?

— Co powiedział? „Nie zarźnie”. Poprzednio Oreb, kruk pa — tere Jedwabia, często tak mówił. Całkiem możliwe, że to ten sam ptak.

— Nie zarźnie! — powtórzył z naciskiem Oreb.

— Wiesz, dlaczego tak mówi? — zainteresował się Ogar.

— Wie, że składa się tu zwierzęta w ofierze, i boi się, że jego też mógłby spotkać taki los. Gdybyśmy rozumieli, co próbują powiedzieć nam inne zwierzęta, z pewnością okazałoby się, że chodzi im o to samo.

Nad głowami przeleciało im stado kraczących wron.

— A one co gadają, brachu? — spytał Świnia. — Zawsze wiesz, co gada Oreb. A te?

Róg spojrział w stronę krain niebios. Można by pomyśleć, że na chwilę całkiem zapomniał o sobie i towarzyszach.

— Kraczą „Jutrrro, jutrrro, jutrrro”. Pewnie chodzi im o to, że jutro znajdę Jedwabia, chociaż już go znalazłem. Więc może jutro ty znajdziesz sobie nowe oczy. Mam nadzieję, że tak będzie.

— Znalazłeś Jedwabia? — Ogar spojrział na niego zdumiony. — Dziwię się, że nic nam nie mówiłeś.

— W nocy znalazłem boga, po tym, jak mi o nim opowiedziałeś. Ale i o tym powinienem milczeć. Proszę cię, Ogarze, zapomnij, że o tym wspomniałem.

Mijali następne puste domy.

— Umiesz wyczytać przyszłość z lotu ptaków? — zapytał w końcu Ogar. — Słyszałem, że tak można, tylko zapomniałem, jak to się nazywa.

— Jeśli chodzi ci o słowo, którym zaimponujesz przyjaciołom, to brzmi ono „auspicje”. A jeśli sam chcesz to po prostu wiedzieć, wystarczy „wrózenie”. To pierwotna forma augurskiej wróżby, dziś prawie zapomniana.

— Jedwab wiedzieć — zapewnił ich Oreb.

— Możliwe. Ja jednak tego nie potrafię.

Niedługo potem dotarli pod manteion. Szerokie główne wrota były solidnie zamknięte, ale uparte palce Świni z łatwością wyciągnęły skobel z bocznego wejścia.

— Ktoś już wyczyścił manteion, zanim żeśmy przyszli — wyjaśnił. — Potem wepchnął śruby z powrotem, ale nie trzymają.

Po rozświetlonej słońcem ulicy wewnątrz manteionu wydawało się mroczne niczym jaskinia. Świnia wszedł głębiej, zgrzytając pochwą rapiera o ławki, znalazł ołtarz i obmacał jego krawędzie i rogi.

— Nie zarżnie! — wrzasnął Oreb jeszcze głośniejszym niż dotychczas.

— Nie bój się — uspokoił go jego pan. — Nie ma świętego okna. Obawiam się, że padło łupem złodziei. Tego właśnie szukasz, Świnio?

— Ano, brachu.

— Niektóre manteiony nadal są otwarte — zauważył Ogar. — Róg może cię zaprowadzić do jednego z nich, skoro dalej idziecie razem. Mogę go zresztą zastąpić, gdyby zajęły go inne sprawy.

— Dzięki. Dzięki wielkie.

— Możemy zatrzymać się gdzieś po drodze do gospody.

Świnia odwrócił się w ich stronę. Mosiężny czubek pochwy zgrzytnął o ołtarz.

— Żeś gadał, że idziesz do Dzielnicy Słońca, brachu.

— Tak. Zajrzę do tamtejszego manteionu, chociaż nie wiem nawet, czy jeszcze stoi ani czy jest czynny. Muszę cię uprzedzić, że większość dzielnicy spłonęła w pożarze dwadzieścia lat temu.

— Idę z tobą — postanowił Świnia. Stał przy ambonie i grubymi, poczerniałymi paznokciami dłubał w jej ozdobnej ścianie.

— Co cię dręczy? Nie chcesz mi powiedzieć? Nie musisz, oczywiście. I tak zrobię co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Gdybym jednak wiedział, co się trapi, moja pomoc byłaby bardziej trafiona.

— Byś wiary nie dał.

— Biedny Świnia!

Oreb przefrunął mu na ramię. W ciszy, która zapadła po tych słowach, miało się wrażenie, że do manteionu wróciły duchy złożonych w nim ofiar. Prawie dało się wyczuć woń kadzidła zmieszana z odorem palonych włosów i zapachem cedrowego dymu; prawie słyszało się śpiew augura i beczenie jagnięcia, którego czas nadszedł.

Ogar odkaszlnął.

— Nie możesz mu jakoś pomóc, Rogu?

— Niedługo przed tym, jak straciłeś wzrok, poszedłeś do manteionu. — Róg mówił cicho, ledwie słyszalnie. — Uklęknąłeś i modliłeś się; może teraz się tego wstydzisz, ale niepotrzebnie. Patrzyłeś w święte okno. Podczas składania ofiary nie pojawił się w nim żaden bóg, a w każdym razie nie doszło do żadnej oczywistej teofanii, nie było świętych odcieni, nic takiego. Poczuleś jednak wewnętrzny spokój i bezbrzeżną radość, których nie umiesz wytłumaczyć. I chciałbyś znów je poczuć.

— Żeśmy łupili — powiedział Świnia. — Ja i moi.

— Rozumiem.

— Nie, brachu. Żeś sam kiedyś kradł?

— Nie, Świnio.

— A w mieście łupionym żeś był?

— Nie. Nigdy.

— Jedni szukają kobit, inni picia albo kart, albo czego innego, co się sprzeda. Żem robił różne rzeczy. Tyżeś mówił, że kapujesz, brachu. Teraz też kapujesz? Czy chcesz więcej? Com pił i co to były za kobity?

Róg prawą dłońią nakreślił w powietrzu znak dodawania.

— Nie ma takiej potrzeby.

— Dzięki. Tera to okna dobrze chodzą. Żeś miał rację. Stary Świnia wtedy nie wiedział, ale to prawda. Żem myślał tylko o złocie. Za duży żem jest, żeby w drzwi wejść, brachu. Żeś widział, nie? Żem musiał na kolanach do ciebie do chałupy wchodzić, Ogar. Prawie do wszystkich. Nie żebym to lubił, ale jak mus, to mus. A tam żem zobaczył takie duże, że stanąć w nich żem mógł. No to bach, do środka.

— Moglibyśmy rozbudować dom — powiedział Ogar. — Dałbym sobie z tym radę.

— To miło. Żeś święty jest, nie, brachu?

— Nie — odparł łagodnie. — Nie, Świnio. Przecież ci mówiłem.

— On też był.

— Zabiłeś go, Świnio?

— Ano. Stał przy świętym oknie.

Świnia wyciągnął rapier. Oreb zaskrzeczał ze strachu i pofrunął schować się za swoim panem.

— Miał złoty kielich. Upuścił go i rozbił. Porcelana.

— Biedny Świnia.

— Żem go załatwił. — Świnia podniósł broń. Ostrze zabłysło w przyćmionym blasku słońca. — Ciach i już.

— A potem?

— Nic nie powiesz, brachu? Żem myślał, że coś będziesz chciał.

Pokręcił głową, chociaż Świnia nie mógł tego widzieć.

— Może później.

— Jak chcesz. Najgorsze już wiesz.

— Chcę usłyszeć najlepsze.

— Nie ma.

— Po tym, jak go zabiłeś, twoją uwagę zwróciło święte okno za jego plecami. Mam rację?

— Nie. Żem gadał o drzwiach? Wielkie, że nie trzeba klękać. Czy gadał? Gadał.

— Tak, mówiłeś.

— Nie lubię, ale i tak bach! na kolana. Żem nie chciał, alem musiał. Mało żem się nie wykopyrtnął.

— Powiedziałaś coś wtedy, Świnio? Modliłeś się?

— Nie. Żem próbował, ale nie szło. Mógł? Nie mógł! Beczał jak dziecko. Teraz beczy.

— Płaczesz, to prawda. Ale my z Ogarem wcale się z ciebie nie śmiejemy.

— To miło. — Świnia pociągnął nosem i wytarł go w niewiarygodnie już brudny rękaw. — To wszystko, brachu. Tak było.

— Nie, Świnio. Twoja historia pozostanie niedokończona, niekompletna, dopóki nie opowiesz wszystkiego. Zrób to teraz. Nie można z tym dłużej zwlekać.

— Rogu... — Ogar złapał go za ramię.

— Zaraz się tobą zajmę. Wiem, że to na pewno ważna sprawa, ale uwierz mi, może poczekać. Mów, Świnio.

— Coś mnie dotknęło. — Świnia mówił takim tonem, jakby zapomniał, że ktoś może go usłyszeć. — Miałem ślepie.

— No tak. Naturalnie.

— Dotknęło moich pleców i głowy, jakby stało za mną. Żem się obejrzał. A tam nic.

— Co było dalej?

— Żem poczuł, brachu. Tak jakeś gadał. Cały czas bym chciał to czuć, ale więcej się nie zdarzyło.

— Zmieniłeś się. Zacząłeś się łapać na uczynkach, których byś się po sobie nie spodziewał.

— Ano.

— Jedwab dobry — mruknął siedzący mu na ramieniu Oreb.

— To było twoje wyznanie grzechów, Świnio. Nie zapowiedziałem tego, ale fakt pozostaje faktem. Jestem wprawdzie świeckim, lecz i świecki może wysłuchać spowiedzi, gdy zajdzie potrzeba.

Chciałbym, żebyś teraz uklęknął. Wiem, że tego nie lubisz, ale nie powinieneś odmawiać Zewnętrznemu — jestem przekonany, że właśnie on cię wtedy dotknął — szacunku, który okazujesz tyłu drzwiom. Uklęknieś?

— Myślisz, że da mi nowe ślepie?

— Nie mam pojęcia. Uklęknieś?

Świnia przyklęknął.

— Świetnie. To była najtrudniejsza przeszkoda; bałem się, że możemy jej nie pokonać. — Róg gestem odesłał Ogara na drugi koniec manteionu, blisko głównego wejścia. — A teraz powtarzaj za mną. *Oczyść mnie, przyjacielu.*

Świnia posłusznie powtórzył.

— Nie lubisz mówić „ja”, prawda, Świnio? Czy to jakiś przesąd?

— Tam, w kraju światła, to źle brzmi — odmruknął Świnia.

— Niegrzecznie? Poradzimy sobie. Powiedz: „Gdyż obraziłem Zewnętrznego i innych bogów”. Potem musisz mi wyznać całe zło, jakie uczyniłeś, poza morderstwem i rabunkiem, o którym opowiedziałeś przed chwilą. Orebie, idź do Ogara. Później was zawołam.

Stojący przy wejściu Ogar obserwował Świnie (który nawet na kolanach prawie dorównywał wzrostem stojącemu przed

nim mężczyźnie w znoszonej brunatnej tunice), dopóki zakłopotanie nie kazało mu odwrócić wzroku.

— Człowiek mówi — wyjaśnił Oreb, przysiadłszy na oparciu ławki przed Ogarem. — Mówi Jedwab. — Zagwizdał, jakby chciał podkreślić wielką wagę tej rozmowy, i dodał: — Ptak leci. Leci Ogar.

Ogar z roztargnieniem skinął głową. W niszach pod ścianami nadal stały posągi Dziewięciorga. Ciekawe, pomyślał, kto to jest, ten z sową? Z pewnością niektóre figury przedstawiały pomniejszych bogów — łącznie było tych postaci więcej niż dziewięć. Pomniejsi bogowie nigdy go nie interesowali, wydawali mu się mało ważni, a teraz pierwszy raz przyszło mu do głowy, że sam jest mało ważny, a ci naprawdę ważni bogowie, tacy jak Echidna (stoi tam, trzymając w każdej ręce po wężu), przejmują się tylko ważnymi sprawami ważnych ludzi.

— To Echidna, to Molpe, ta z drozdem... A kto to jest z gołębicami?

— Człowiek mówi — powiedział znowu Oreb, w innym kontekście.

— Mówię do siebie — odparł Ogar. — Próbuję przypomnieć sobie imiona bogów, to wszystko.

Jeden z mamroczących przy ołtarzu głosów zabrzmiał głośniej i dało się w nim rozróżnić słowa.

Przynoszę ci, Świnio, pojednanie z bogami. W imię Zewnętrznego, przebaczam ci. W imię Paha Wielkiego i Jedwabia Srebrnego, przebaczam ci. W imię wszystkich pomniejszych bogów, przebaczam ci, albowiem mam taką moc.

Szybkim gestem nakreślił nad głową Świni znak dodawania.

Ogar podszedł bliżej. Świnia wstał, wyprostował się i odwrócił, słysząc szuranie butów na posadzce.

— Nic nie słyszałem — zapewnił go Ogar. — Chyba powinienem ci o tym powiedzieć, Świnio. Staralem się was nie słuchać i nic nie słyszałem. Siedziałem przy drzwiach, a wy mówiliście bardzo cicho.

— W porządku. Tak było, brachu?

— Skądże. — Róg pokręcił przeczącą głową. — Obaj się mylicie. Ty, Ogarze, słyszałeś tę część spowiedzi Świni, w której wspominał o złupieniu miasta w Górach Spoglądających ku Góróm. Słyszałeś również, jak mówiłem, że jest to część wyznania grzechów, chociaż zawczasu go o tym nie uprzedziłem.

Ogar skinął głową.

— Zastanawiasz się pewnie, co powinienesz uczynić jako obywatel miasta i członek Kapituły. Musisz zrozumieć, co naprawdę jest twoim obowiązkiem. Kiedy ktoś, obojętne kto — augur, sy — billa, człowiek świecki — przypadkiem usłyszy fragment wyznania grzechów innej osoby, honor nie pozwala mu ujawnić tego, co usłyszał. Nie wolno mu czynić do tego żadnych aluzji ani sugestii. Wyrażam się jasno?

— Tak. — Ogar ponownie skinął głową. — Całkowicie.

— Pozwól, że coś jeszcze ci powiem. Świni już to mówiłem, ale chcę, żebyś i ty to usłyszał. Dobrze wiesz, tak jak wiemy to ja i Świnia, jakie słowa padły tu przed chwilą. Nie jesteśmy dziećmi. Śmierć przed świętym oknem, zwłaszcza śmierć od stalowego ostrza, tak jak umierają ofiarne zwierzęta, to dla augura wielki zaszczyt. Każdy augur marzy o takiej śmierci. Nie twierdzą, że zabicie augura w taki sposób nie jest wobec tego złem, ale kiedy augur umiera w taki sposób, inni augurowie, a

także bogobojni świeccy, powinni się zastanowić, czy jego zgon nie był nagrodą od Hieraxa.

— Hierax nie żyje — wtrącił Świnia.

Ogar spojrzał na niego niedowierzająco.

— Ach tak... — westchnął Róg. — Nie wiedziałem o tym, aczkolwiek dopuszczałem taką ewentualność. Z pewnością dobrze się stało.

— Zanim stąd wyjdziemy... — zaczął Ogar. — Nie przeszkadza ci, Rogu, że późno dotrzemy do miasta, prawda? Mówiłeś, że i tak do Juzgado pójdziesz dopiero rano.

— Chciałbym dziś po południu odwiedzić dzielnicę, w której dawniej mieszkałem. Ale nie, nie obawiam się spóźnienia. Chyba że to, co proponujesz, zajmie nam wiele godzin.

— Piętnaście minut, najwyżej pół godziny, nie więcej. Kiedy...

Ręka Świni — gruba od węzlastych mięśni i uzbrojona w mocne, czarne paznokcie — zacisnęła się na ramieniu Ogara.

— Śmiało, gadaj. Wszyscyśmy są kumple.

Ogar z wdzięcznością pokiwał głową.

— Kiedy siedziałem tam, przy wejściu, próbowałem sobie przypomnieć imiona bogów. To przez te... posągi. — Wskazał je gestem. — Dużo wiesz o bogach. To widać. Nie tylko ja zwróciłem na to uwagę, ale Wrotycz też. Udało mi się rozpoznać tylko paru. Opowiedz mi o nich trochę. Mógłbym potem powtórzyć Wrotyczowi. I matce. Chętnie bym posłuchał, jeśli Świnia nie ma nic przeciwko temu.

— Jedwab mówi? — Oreb skierował na niego pytające spojrzenie czarnego ślepieca.

— Ano, brachu. Gadaj. Posłuchamy.

— Dobrze. — Róg powiódł wzrokiem po stojących w niszach figurach. — Od którego mam zacząć?

— Powiedzmy, że od tego. — Ogar wskazał najbliższy posąg.
— To Phaea, prawda?

— Tak, nie mylisz się. Phaea jest czwartą córką Paha i jedną z Siedmiorga. Właściwie, jak się nad tym zastanowić, nie mogliśmy zacząć lepiej, skoro szukamy nowych oczu dla Świni, a ja chcę zawieźć na Błękit ziarna kukurydzy. Phaea Ucztuująca jest boginią leczenia i pokarmów. Patronuje zarówno bankietom, jak i szpitalom. Można ją rozpoznać po towarzyszącym jej dziku.

— No właśnie — przytaknął z zapalem Ogar. — Po tym się zorientowałem.

— W takim razie wypada zauważyć, że czasem zamiast dzika Phaea trzyma na rękach udomowionego warchlaka, kiedy zaś i jego zabraknie, można ją rozpoznać po szerokiej talii. Jest patronką kucharek i lekarzy. Czy to ci wystarczy?

Ogar skinął głową.

— Ale następnej to w ogóle nie umiałem rozpoznać. Kto to?

— Zaraz, pomacam. — Grube palce Świni prześliznęły się po figurze z góry na dół, dłużej badając okolice jej stóp. — Nosi hełm, brachu?

— Tak, została przedstawiona w hełmie z krótkim grzebieniem. Miałem właśnie powiedzieć, że nie widzę towarzyszącego jej zwykle lwa, którego brak zapewne utrudnił ci jej identyfikację, Ogarze, ale to nie jest do końca prawda. Ma medalion przedstawiający lwią głowę, jednak z daleka jest praktycznie niewidoczny. Świnia, stary wiarus, rozpoznał ją po hełmie, lecz mam wrażenie, że — zgoła niepotrzebnie — bał się, że się obrazę, jeśli pierwszy wymieni jej imię. To Sphigx, najmłodsza z Dziewięciorga.

Ogar podszedł bliżej i obejrzał medalion.

— Cieszę się, że wciąż tu jest. Wiele jej posągów uległo zniszczeniu, kiedy walczyliśmy z Trivigaunte.

— To może być kopia; posąg wygląda na nowszy od pozostałych. Jeśli mam rację, to zapewne taki właśnie był też powód zredukowania tradycyjnego lwa do wizerunku na medalionie. Augur mógł liczyć na to, że wandalę wezmą ją za jakąś pomniejszą boginię.

— Bóg dobry? — zainteresował się Oreb.

Róg wzruszył ramionami.

— Tego bym nie powiedział, ale nie jest gorsza niż wszyscy Siedmioro razem wzięci. Przynajmniej mówi się o niej, że jest odważna, ja zaś przekonałem się, że ktoś, kto ma jedną cnotę, zwykle ma i inne. Można sobie wprawdzie wyobrazić człowieka, który jest dzielny, a przy tym chciwy, pozbawiony skrupułów, skłonny do wypitki, zazdrosny, okrutny, lubieżny, porywczy i tak dalej, można by długo kontynuować tę smutną wyliczankę. Jednak w życiu takich potworów raczej się nie spotyka. Ja w każdym razie nie spotkałem.

— Dzięki wielkie, brachu.

Te słowa kompletnie go zaskoczyły.

— Nie mówisz serio. Znam cię od niedawna, ale nikt, kto przebywa z tobą dłużej niż godzinę, nie mógłby cię wziąć za wcielenie samych wad. Jesteś hojny, miły i dobroduszny, Świnio. Mógłbym bez trudu dorzucić do tego wiele innych zalet, wśród nich cierpliwość i stanowczość.

— Bardzo żeś miły.

Ogar odchrząknął, chociaż wbrzmiało to tak, jakby się prawie zakrztusił.

— Chciałbym zaznaczyć, że podpisuję się pod wszystkim, co Róg powiedział. Nie umiałbym tego tak ładnie wyrazić, ale

całkowicie się z nim zgadzam.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

— Może przejdziemy dalej? Nie ukrywam, że czekam niecierpliwie.

— Masz na myśli kobietę z węzami? Chciałem jeszcze o coś zapytać przy Sphigx, ale zapomniałem.

— To ciekawa postać. Kiedy byłem mały, wydawała mi się najmniej interesująca z Dziewięciorga, i coś w tym jest, z pewnością jednak nie można powiedzieć, by była nieciekawa. Można ją sobie wyobrazić jako lustrzane odbicie jej siostry, Phaei. Phaea również będzie wtedy odbiciem Sphigx, a zatem boginią pokoju. Ten tytuł się jej należy, chociaż nikt tak o niej nie mówi, przynajmniej w Vironie.

Świnia dotknął posągu i namacał medalion.

— Walczą ze sobą, brachu? Powinny. — Nie. Mimo mieczy, które trzyma w dłoniach, Sphigx nie jest tylko boginią wojny, co powinienem był już wcześniej wyjaśnić. Patronuje również posłuszeństwu, odwadze, czujności i wytrwałości, wszystkim zaletom dobrego żołnierza, a także zamiłowaniu do czystości i porządku. Powiedziałem, że Phaea jest boginią lekarzy i uzdrowień. Znałem lekarza imieniem Żuraw, z Trivigaunte, zanim jeszcze wybuchła wojna między naszymi miastami. Był człowiekiem niepozornej postury, ale dzielnym i twardym. Umiałby w krótkich, żołnierskich słowach wyjaśnić, co wspólnego mają właściwa dieta i czyste ręce ze zdrowiem i leczeniem. Teraz rozumiecie, że potrzebujemy ich obu, i Phaei, i jej siostry. Można by rzec, że są sobie nawzajem potrzebne.

Wyprostował się i z uśmiechem odwrócił do Ogara.

— Przypomniałeś sobie, o co chciałeś zapytać?

Ogar pokręcił głową.

— W takim razie ja zadam ci pytanie. Kiedy powiedziałeś, że dużo wizerunków Sphigx Dźgającej zostało zniszczonych, pomyślałem, że zniszczyli je rozeźleni vironczycy, postrzegający ją jako symbol Trivigaunte. Dopiero przed chwilą przyszło mi do głowy, że wandalami mogli być sami intruzi. W Trivigaunte i na podległych mu terenach zabronione jest wykonywanie podobizn Sphigx, zarówno posągów, jak i obrazów; ponoć sama wydała taki zakaz. Niewykluczone, że pobożni przybysze z Trivigaunte niszczą jej wizerunki wszędzie, gdzie je znajdują. Czy tak właśnie się stało?

— Głównie w mieście. W Wielkim Manteionie.

Świnia parsknęła śmiechem.

— Jedni i drudzy je rozbijali, co?

Ogar przytaknął, uśmiechając się smutno.

— Słyszałem, że ci z Trivigaunte właśnie tak robili. Miałem nadzieję, że Róg wyjaśni nam ich zachowanie. O to właśnie chciałem cię zapytać, tylko zapomniałem. Rogu, potrafisz wytłumaczyć, dlaczego to robili?

Zapatrzył się w półmrok nieczynnego manteionu. Pojedynczy snop słonecznego blasku ciął przesycone kurzem powietrze.

— Mówi Jedwab!

— Obawiam się, że to do mnie. — Odwrócił się w ich kierunku. — Kimże jestem, aby sprzeciwiać się żądaniu ptaka? Niszcząli je, ponieważ myśleli, że tego chce ich bogini. Ale to rozumiecie i bez moich wyjaśnień. Prawdziwe pytanie brzmi, czy istotnie tego chciała, a jeśli tak, to dlaczego. — Znowu umilkł, patrzył niewidząco w dal. — Jeśli tak nie było, jej domniemane żądanie jest w rzeczywistości kłamstwem rozsiewanym albo przez Kapitułę Trivigaunte, jeśli tak ją nazywają, albo przez rząd rani. W takim wypadku ma zapewne

na celu skuteczne oddzielenie podwładnych rani od mieszkańców innych miast. Mówiłem wam, że na południe od Nowego Vironu znajduje się miasto założone przez wychodźców z Trivigaunte?

— Ja o tym nie wiedziałem — przyznał Ogar.

— Mieszkamy się trochę, czemu władze obu miast usiłują zapobiegać. Kobiety stamtąd wychodzą za virończyków, a tamtejsi mężczyźni żenią się z vironkami.

— To mi ich żal trochę — stwierdził Świnia.

— Mnie w pewnym sensie też, chociaż wątpię, żeby układało im się znacząco lepiej albo gorzej niż innym parom. W każdym razie obyczaj nietworzenia podobizn bogów z pewnością wyróżnia i izoluje mieszkańców Trivigaunte. Ten manteion wydałby im się bluźnierczym przybytkiem, podobnie zresztą jak domy co pobożniejszych virończyków. Mój przyjaciel Alka, którego nazywano zwykłym przestępcą, chociaż był niepospolitym człowiekiem, miał u siebie na ścianie obrazek przedstawiający Scyllę. Przepraszam, odbiegam od tematu. Jeżeli ów zakaz wydała Sphigx, przypuszczam, że kierowała nią albo duma, albo wstyd. Mogła uznać, że tworzone przez nas wizerunki nie są w stanie oddać jej urody. Widziałem Kypris...

Dłoń Świni zacisnęła mu się na łokciu. Grube, spiczaste paznokcie boleśnie wpiły się w ciało.

— ... dawno temu i twierdzę, że żaden artysta nie umiałby tak pięknie przedstawić kobiety. Hiacynt, żona Jedwabia, była w młodości olśniewająco piękna, ale nawet ona z Kypris nie mogła się równać.

Uścisk dłoni Świni zelżał.

— A może Sphigx wstydziała się swoich wyznawców, wręcz w ogóle kultu, jaki ją otaczał. Inni bogowie nie znają tego uczucia,

choć bardzo dobrze by o nich świadczyło.

Ogar przyglądał mu się z niedowierzaniem.

— **Ale...**

— Ale przecież są bogami. To chciałeś powiedzieć? To prawda. Są naszymi bogami, przynajmniej tu, w tym whorlu, i jeżeli domagają się od nas czci, mamy do wyboru albo ich nią obdarzyć, albo umrzeć. Widzisz następną niszę?

— Tak. Jest pusta.

Oreb zakrakał chrypliwie. Jego pan podszedł do kolejnego zagłębienia w ścianie.

— W pewnym sensie się mylisz. Należy do Zewnętrznego. Świnio, włożysz w nią rękę? Nic ci się nie stanie.

— Nie.

— W porządku. Rozumiesz, Ogarze, dlaczego ta pusta nisza należy do Zewnętrznego? Dlaczego teraz mówię, że jest jego, chociaż wcześniej mogła być własnością któregoś z Dziewięciorga? Może nawet samego Paha?

— Dlatego że nikt nie wie, jak wygląda Zewnętrzny? Wydaje mi się, że powiedziałaś coś takiego.

— To jeden z powodów, lecz nie jedyny. Nie twierdzę, że Zewnętrzny jest taki sam jak Sphigx widziana oczami kobiet z Trivigaunte. Nie ma nic złego w tworzeniu jego wizerunków, w przedstawianiu go, na przykład, w postaci szlachetnego mędrca albo nocnego nieba, jakie mamy na Błękicie, olbrzymiej ciemności poznaczonej punkcikami światła. Nie ma i nie będzie w tym nic złego, dopóki nie zaczniemy wierzyć, że Zewnętrzny naprawdę wygląda tak, jak go przedstawiamy. Dlatego ta pusta nisza jest jego najlepszym przedstawieniem.

Ogar westchnął ciężko.

— **Ale** przecież tamci właśnie tak przedstawiają Sphigx!

Później, kiedy na ulicy Złota rozstali się z Ogarem i ruszyli w stronę Dzielnicy Słońca, Świnia zapytał:

— W tych chałupach to nie ma ludzi, co, brachu?

— Nie ma mężczyzny! — odpowiedział mu Oreb. — Nie ma dziewczeczki!

Jego właściciel westchnął.

— Po tym, jak odwiedziliśmy dawny dom Ogara i Wroty — czu, zapytałem, kiedy dotrzemy do zamieszkaney części miasta. Mówiłem dosyć cicho, a ty pewnie miałeś co innego na głowie i mogłeś mnie nie słyszeć. Ogar wtedy odpowiedział, że już w niej jesteśmy, że ulica, którą idziemy, jest jedną z tych, których mieszkańcy wcale jeszcze nie porzucili. Zacząłem liczyć domy i wyszło mi, że na każdy zamieszkany przypadało pięć pustych.

Świnia milczał.

— Oczywiście te, które wydały mi się puste, również mogły mieć lokatorów.

— Żeś gadał, że co puste, to jest Zewnętrzny.

— To bardzo pocieszające spostrzeżenie. Dziękuję ci. Wracając do twojego pytania: niektóre domy są zamieszkane, ale niezbyt wiele.

Świnia przekrzywił głowę.

— Wóz, brachu!

— Nie słyszę. Masz lepszy słuch niż ja, dawno to zauważyłem. Cieszę się, że ty usłyszałeś turkot kół, i wierzę, że się nie mylisz. Mogę ci opowiedzieć pewną historię? Teraz mi się przypomniała. Nawet jeśli wysłuchanie jej nie sprawi ci szczególnej radości, ja z przyjemnością ją opowiem.

— Czy ma coś przeciwko? Nie ma!

— Jeszcze raz dziękuję. Zacznę może od tego, że nie mam pewności, czy chodzi o ten sam manteion, chociaż

przypuszczam, że tak. Ogar mówił, że nie pamięta imienia augura, który odprawiał modły, kiedy z żoną czasem tam zaglądali. Jeżeli jest to ten sam manteion, to augur, o którym ci opowiem, musiał być jego poprzednikiem. Nazywał się patere Raja.

— Człowiek dobry?

— Otóż to, Orebie, o tym właśnie będzie ta historia. Pewien chłopiec — jego imienia nie pamiętam, lecz nie jest istotne — wrócił z matką do miasta po mniej więcej rocznej nieobecności. Przez ten czas mieszkali na wsi. Na pewno pamiętasz, Świnio, że Ogar i Wrotycz przeprowadzili się po ślubie z Zaścianka do miasta, ponieważ Ogar nie mógł znaleźć pracy w Zaścianku. Później przenieśli się z powrotem. Podobnie rzecz się miała z tym chłopcem i jego matką: wyprowadzili się z miasta i zamieszkali na farmie na odludziu, gdzie chłopiec, wtedy jeszcze całkiem mały, mógł do woli cieszyć się kawałkiem lasu i strumieniem tak szerokim, że nie potrafił go przeskoczyć. Był jednak bardzo samotny i w końcu postanowili wrócić. To była długa podróż, przynajmniej jak na ówczesne wyobrażenia chłopca o podróżach, mimo że większą część drogi przemierzył w popychanym przez matkę wózku, w którym mieścił się także cały ich dobytek. Długa droga bardzo zmęczyła matkę i kiedy dotarli na obrzeża miasta, zatrzymali się na noc u przyjaciółki, aby dopiero następnego dnia udać się do uroczego domku, który dawno temu udostępnił im inny ich przyjaciel, mężczyzna, który od czasu do czasu musiał tam nocować, gdyż zostawił w nim swoją brzytwę. Po kolacji biedna kobieta poszła do łóżka i zasnęła kamiennym snem. Chłopiec zaś nie spał.

— Chłopiec dobry?

— Nieszczerólnie, Orebie, chociaż uważał się za dobrego, bo matka bardzo go kochała. Nie był jeszcze na tyle duży, by rozumieć, że zawsze będzie go kochała, obojętne czy będzie grzeczny, czy nie.

Mijali dawne piwnice — puste, kwadratowe dziury obudowane drewnem (teraz osmolonym) i wypełnione czarną wodą.

— Od pożaru dzielnicy minęło dwadzieścia lat — wyjaśnił Świni. — Szkoda, że jej nie odbudowali. Na Zieleni byłem w Mieście Inhumich; jest równie opustoszałe jak ta okolica. O, to chyba ulica Sznurów. Smutny widok. Nie sądziłem, że ogień doszedł tak daleko.

— Przykre, brachu.

— Zaraz skończę. Jeżeli zobaczę jeszcze coś godnego uwagi, powiem ci o tym. — Zebrał myśli. — Chłopiec wybrał się na spacer. Chciał znaleźć jakieś inne dziecko. Wiedział jednak, że może zabłądzić, poszedł więc tą ulicą, przy której stał dom, gdzie zamieszkał z matką, słusznie rozumując, że w razie potrzeby łatwo wróci tą samą drogą. Pewnie już się domyślasz, co się stało? Coś odwróciło jego uwagę i pomylił kierunki: myśląc, że wraca do matki, przemierzył szmat drogi, aż w końcu zobaczył starego człowieka w czerni, który stał na schodach manteionu i płakał. Do tego momentu chłopiec bał się prosić o pomoc, ale staruszek wyglądał tak pocziwie, że do niego podszedł. Jeszcze przez jakiś czas się wahał, przestępował z nogi na nogę, co rusz brał głęboki wdech i zaraz wypuszczał powietrze z płuc, zastanawiał się, jak zacząć rozmowę, i po chwili zmieniał zdanie, aż w końcu zapytał: „Dlaczego płaczesz?”. Starzec podniósł wzrok i wskazał mijające ich przez cały czas pojazdy i lektyki. „Gdyby zło, jakie wyrządziłem bogom, nagle się zmaterializowało, nie zmieściłoby się w tych wszystkich wozach, a czterech ludzi byłoby mało, żeby nad nim zapłakać”.

Szli dalej w milczeniu. Od czasu do czasu mijali szalasy zbudowane z ocalonych z pożaru desek, przez co z daleka wyglądały jak pomalowane na czarno. Przy następnej ulicy

bawiły się dzieci. Piskliwe okrzyki rozbrzmiewały jak świergot wróbli siedzących na odległym drzewie.

— I to koniec, brachu? — spytał Świnia, gdy milczenie się przedłużało.

— Tak, to koniec.

— Coś cię gnębi.

— Chłopiec dom? — zainteresował się Oreb. — Znaleźć dom?

— Tak, wrócił do domu. Ale nie był już tym samym chłopcem.

— Róg otarł oczy. — Dom też już nie był taki sam — dodał szeptem.

Świnia jednak go usłyszał.

— Swój dom widzisz, co?

Nie mogąc wykrztusić ani słowa, pokiwał tylko głową.

— Mówi tak — przełożył Oreb.

— To ulica Srebra. Szliśmy... ulicą Srebra, a ja jej nie rozpoznałem. Nie byłem pewien. Świnio?

— Ano?

— Mówiłem o występkach przeciw bogom... Ale w gruncie rzeczy wcale mnie nie interesuje, czy Sphigx, Scylli i pozostałym podoba się to, co robię.

— Żeś gadał, że nie będziesz rozbijał figur.

— Bo nie są moją własnością. Poza tym były... są dziełami sztuki, a niszczenie dzieł sztuki bez przyczyny zawsze jest złem. Ale Świnio...

— Stary Świnia jest twoim kumplem, brachu.

— Wiem. Dlatego to takie trudne. Byłeś już ślepy, kiedy opuszczałeś dom w Górach Spoglądających ku Górom. Tak mówiłeś.

— Kiedym swoich zostawił. Ano. — Przeszedłeś cała tę drogę pieszo, mimo że jesteś niewidomy.

— Ano żem przeszedł, brachu. No, parę razy żem rymsnął.

— W takim razie chcę cię o coś prosić. Nie mam do tego prawa i do końca życia będę miał wyrzuty sumienia...

— Nie mów!

— ... jeśli poproszę, ale jednak to zrobię. To ja cię tu przyprowadziłem, zdaję sobie z tego sprawę. Gdyby nie ja, nie trafiłbyś do leżącej w ruinie dzielnicy, a może nawet do samego Vironu.

— Gadajże, brachu.

— Pomyślałem, że... pokażę ci, gdzie mieszkałem. Dom, w którym się wychowałem, manteion... Sklep ojca. Pokażę ci, gdzie się znajdowały. I opowiem ci o nich, żebyś wiedział, ile dla mnie znaczą. — Miał ochotę zamknąć oczy, ale powstrzymał się i obserwował twarz Świni. — Poproszę jednak o coś innego. Ogar zatrzymał się w gospodzie. Powiedział, że chętnie przyjmie nas obu, razem albo osobno. Gospoda nazywa się „Gronostaj” i stoi na Palatynie, na wzgórzu w centrum miasta. Zechciałbyś pójść tam sam? Bardzo cię proszę.

Świnia się uśmiechnął.

— To wszystko, brachu?

— Obiecuję, że spotkamy się tam przed zaciemnieniem. Chcę jednak... muszę pobyć tu sam. Po prostu muszę.

Świnia namacał go olbrzymią dłonią; w drugiej cały czas ścisnął rapier.

— Nie ma sprawy, brachu. Potrzebny ci byłem na drodze, teraz chcesz, żebym se poszedł. Nie bój, za dużo już krzywdy w tym whorlu. Do zobaczenia.

Świnia zaczął się oddalać.

— Przyjdę tam do ciebie, obiecuję — powtórzył. — Powiedz to Ogarowi, ale niech nie czeka na mnie z kolacją. Idź ze Świnią,

Orebie. Pomóż mu.

Oreb zakrakał żałościwie, ale posłusznie odfrunął.

Jego pan wsparł się na gruzłowatym kosturze i odprowadził obu towarzyszy wzrokiem. Nie był w stanie zrobić ani kroku, dopóki nie zniknęli mu z oczu. Olbrzym szedł powoli, górując nad nielicznymi mijanymi obdartusami. Siedzący mu na ramieniu kruk wydawał się malutki i delikatny; szkarłatny łebek, dziób i łapy były jedynymi barwnymi plamami w szaroburym krajobrazie.

Wolno, niesamowicie wolno cichło w oddali postukiwanie mosiężnej pochwy o bruk. Olbrzym zagadnął jakiegoś przechodnia, znajdował się już jednak za daleko, żeby dało się rozróżnić słowa. Przechodzień coś odpowiedział, wskazując tę część ulicy Srebra, która prowadziła w stronę targu; najprawdopodobniej próbował w ten sposób coś pokazać nie tyle niewidomemu, który go zatrzymał, ile raczej jego oswojonemu ptakowi. Obaj — olbrzym i ptak — ruszyli dalej, aż w końcu zniknęli w szarości i czerni.

Wtedy odwrócił się i żwawym krokiem odszedł. Przy każdym kroku koniec kostura zahaczał o poślubiony koleinami bruk, stukał o kamienie, rozchlapując błoto na jego buty i spodnie.

Tu bawiły się dzieci, skacząc przez sznurki, na których may — tere wieszala pranie. Jakiś czas temu przeskoczyły gromadnie na Błękit — smutne, wygłodniałe dziewczynki z czarnymi grzywkami albo mysimi ogonkami, w które wplatały skrawki kolorowej przędzy. Na Błękit, a niektóre na Zielen — te w większości już nie żyły.

Osmalona ściana z rakplastu, ziejące pustką okna... dawniej była tu świątynia. Kiedy cały whorl spał, maytere klękała tu — nie po to jednak, by się modlić, lecz by szorować kamienny

stopień, czarny od popiołu, który niczym nie różnił się od błota. Maytere Mięta ubierała się tam i rozbierała, w zaciemnionym pokoju za zamkniętymi na klucz drzwiami i zaciągniętymi kotarami; cerowała znoszone ubrania i przykrywała swoje dziewicze łóżko starym obrusem z impregnowanej olejem bawełny, wiedząc, że przy byle deszczu woda znów zbierze się na wklęsłym brzuszysku sufitu.

Ten sufit już bardziej się nie zapadnie. Runął przeciekający dach, z którego maytere obserwowała statek powietrzny. Szerokie drzwi z ciemnego dębu, które maytere Róża zamykała co wieczór, zanim ostatnia smuga słońca zniknęła pod kloszem, dawno się spaliły — mniejsza o to, czy w czymś piecu, czy podczas pożaru, który przeorał dzielnicę na początku wojny z Trivigaunte. Teraz każdy mógł tu wejść. I nikt nie chciał.

Kamienny mur oddzielający ogród od ulicy był cały, brakowało tylko furtki i zardzewiałej kłódki. Ogród objęły w posiadanie chwasty, jeżyny i — tak, tak! — winorośl pnąca się po poczerniałym kikucie figowca. Ocalały resztki altany, w których od biedy dało się przysiąść. Usiadł, oparł się wygodnie i zamknął oczy. Niedługo potem naprzeciw niego usiadła młoda sybilia, z obszernej kieszeni bombazynowego habitu wyjęła rejestrator i włączyła odtwarzanie.

Ulicą Słońca dotarł na targ, a ulicą Manteionu na Palatyn, do pałacu calde. Jego zburzony mur połatano nowymi kamieniami i świeżą zaprawą, które prawie nie różniły się od oryginałów.

— *Patere... Pat ere?*

Głos cichy i niewyraźny; coś było z nim nie tak. Rozejrzał się, nie szukał kobiety, która przemówiła, lecz augura, do którego się zwracała.

— *Patere... Patere Jedwabiu?*

Cofnął się i spojrział w okna. Na najwyższym piętrze mignął mu cień głowy i zarys ramion.

— Pleśń? — Starał się mówić cicho, ale jednocześnie chciał, żeby usłyszano go pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt łokci nad ziemią.

— *Nie ma jej tutaj... Nie ma jej, patere.*

To przez ptaka, pomyślał. Przez niego bierze mnie za Jedwa — bia. Ledwie jednak ta myśl przebiegła mu przez głowę, uświadomił sobie, że Oreba nie ma w pobliżu, bo odesłał go ze Świnią.

— *Proszę...*

Reszty nie usłyszał, wiedział jednak, jak brzmi prośba. Masywne drzwi były zamknięte na głucho. Zastukał ciężką, mosiężną kołatką. Każde uderzenie brzmiało jak huk pistoletowego wystrzału.

Z wnętrza pałacu nie dobiegł żaden dźwięk. W końcu odwrócił się i znużonym krokiem zszedł po obramowanych balustradą schodach na ulicę. W oknie nie było teraz nikogo widać; stłumiony, cichy głos (damski, ale nie kobiecy) umilkł. Mrużąc oczy, spojrział w nieruchome słońce. Klosz przesłonił je już prawie całkowicie, targ wkrótce zostanie zamknięty. Powiedział — obiecał — Świni, że spotkają się przed zmierzchem w „Gronostaju”, ale od gospody dzieliły go najwyżej dwie, trzy przecznice.

Minął właśnie pierwszą z nich, gdy czyjeś palce, szczupłe, lecz bardzo silne, zacisnęły mu się na łokciu. Odwrócił się i zobaczył przed sobą małą dziewczynkę, zakutaną w jutowy worek.

— *Proszę, patere... Proszę... Porozmawiaj... Porozmawiaj ze mną.*

— Nie jestem augurem. Pomyliłaś mnie z kimś.

— Nie pamiętasz... Nie pamiętasz mnie. — Niewyraźny dźwięk, który rozległ się po tych słowach, mógł, lecz wcale nie musiał, być stłumionym łkaniem. — Zapomniałeś... Zapomniałeś o biednej... Zapomniałeś o biednej Oliwinie, patere?

Poruszyło go coś dziwnego w jej przygarbionych ramionach i w sposobie, w jaki przekrzywiła głowę. Ścisnęło go w gardle.

— Nie — odparł. — Nie zapomniałem o tobie, Oliwinie.

Nie kłamie, powiedział sobie stanowczo. Nie można zapomnieć czegoś, czego się nie wiedziało.

— Pobłogosławisz... Pobłogosławisz mnie? — W głosie dobywającym się z jutowego worka brzmiała radość. — Złożysz ofiarę, tak... Złożysz ofiarę, tak jak kiedyś? Ojciec... Ojciec odszedł. Dawno temu... Dawno temu, patere. — Pociągnęła go za sobą w stronę pałacu calde. — Tam jest... Tam jest kobieta, patere. Na... Na północy.

Z pewnością ktoś, kto może jej pomóc. Kto wyleczy dręczącą ją przypadłość.

— Mądra kobieta — domyślił się.

— O... O tak! Mam... Mam nadzieję, że tak!

Skreśli w zaułek. Mur pałacu calde, elegancko zdobiony wysokimi, wąskimi oknami w ozdobnych kamiennych obramowa — niach, ustąpił miejsca nie mniej wspaniałej — choć pozbawionej okien — ścianie ogrodu calde, zbudowanej z gigantycznych kamieni, nieobrobionych, niekształtnych, lecz spasowanych jak elementy układanki.

Mała, kulejąca dziewczynka ciągnęła go w głąb uliczki szybciej, niż chciałby iść. Trąd? Dla niego było to tylko słowo z Pisma. Otwarte rany, ropa sącząca się ze skóry... Ohyda. W

Piśmie dobrzy ludzie, zwłaszcza tacy natchnieni przez bogów jak patere Jedwab, traktowali ludzi cierpiących na tę okrutną chorobę z niezwykłą łagodnością, słyszał jednak, że rzadko się to zdarza. Mówił o tym zapewne jakiś augur. Może patere Remora, który uczęszczał do scholi.

Nagle się zatrzymali. Wśród olbrzymich głazów osadzono żelazne drzwi, tak niskie, że musiałyby przez nie przejść na kolanach, jak Świnia. Mieściły się w niewielkim zagłębieniu, w którym znajdowała się także pusta butelka i brązowe, naniesione wiatrem liście. Z zakamarka włosiennicy Oliwin wyjęła mosiężny, nadgryziony patyną klucz. Coś błysnęło jak wypolerowana stal. Wetknięty do zamka klucz zaklekotał i zgrzytnął piskliwie. Rygiel przesunął się z łoskotem.

— *Quadrifons...* — wyszeptała Oliwin.

Drzwi się otworzyły.

Schylił się pod nadprożem, a potem musiał się skulić jeszcze bardziej, żeby nie zahaczyć głową o grube konary wiekowego dębu. Dalej rozpościerała się rabata z chryzantemami, pięknymi w gasnącym blasku słońca. Gdzieś niedaleko szemrała fontanna.

— Nie wiedziałem, że są takie drzwi — powiedział. Nawet jemu te słowa wydały się niedorzeczne. — Drzwi, do których otwarcia potrzebny jest klucz i słowo. — Zawiesił głos. — To święte imię, do tego stopnia, że prawie się go nie używa. Dziwię się, że je znasz.

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Wydawało mu się, że między grubą tkaniną okrywającą jej głowę i cienkim materiałem, który zasłaniał jej twarz, dostrzega błysk grubych szkieł.

— To tylko... To tylko słowo. Otwiera... Otwiera drzwi. Moja. Moja matka. — W jej głosie zabrzmiała wyjątkowo żalonna nuta. — Nie pamiętam... Nie pamiętam jej. Była... Była sybil — lą? Tak... Tak mówi... Tak mówi mój ojciec. Że była... Że była sybillą.

— Jeśli chcesz, mogę ci opowiedzieć o Quadrifonsie.

Pokiwała głową. Niewiele brakowało, żeby cień dębu i zwoje juty zupełnie zamaskowały ten gest.

— Mógłbyś... Mógłbyś, patere?

— Nie jestem patere Jedwabiem. Mylisz się. Powiem ci jednak wszystko, co wiem, chociaż nie będzie tego dużo. — Plecy tak go rozboleły, jakby miały mu za chwilę pęknąć. Uklęknął z ulgą. — Quadrifons jest najświętszym z pomniejszych bogów. Tak mówi o nim Pismo Chasmologiczne. Gdybym miał w tej sprawie coś do powiedzenia, a oczywistym jest, że nie mam, rzekłbym, że Zewnętrzny jest najświętszym z bogów, a właściwie jedynym ze wszystkich, tych głównych i tych pomniejszych, który w ogóle naprawdę jest święty. — Zaśmiał się nerwowo. — Widzisz już, dlaczego nie jestem augurem, Oliwinie. Pismo jednak tak go nazywa, a Kapituła utrzymuje, że jego imię jest tak uświęcone, iż najlepiej nie używać go w ogóle, ponieważ mogłoby zostać sprofanowane.

— Mów... Mów dalej.

— Nie znam cię, nie wiem wobec tego, czy chciałabyś sprofanować imię boga...

Pokręciła głową.

— ... ale w to wątpię. Nie wydajesz mi się osobą szczęśliwą, a tacy najczęściej wykazują podobne skłonności. Mogę się mylić, pocieszę cię jednak, że nie krzywdzimy bogów, mieszając ich imiona z przekleństwami. Krzywdzimy w ten sposób siebie

Powiedziałem, że moim zdaniem większość bogów wcale nie jest święta, ale nie muszą być święci, aby nasze złośliwości i szyderstwa uderzały w nas samych. — Spojrzał na zasłoniętą twarz, szukając zrozumienia, ale nic z niej nie wyczytał. — Mógłbym opowiedzieć ci znacznie więcej, ale zostawię to na inną okazję, kiedy lepiej się poznamy. Zwłaszcza że chciałaś słuchać o Qua — drifonsie.

Pokiwała głową.

— Niestety, niezbyt wiele o nim wiem i wątpię, żeby ktoś wiedział więcej. Podobnie jak o Pahu mawia się, że jest bogiem dwugłowym... Słyszałaś o tym?

— O... O tak. — Sprawiała wrażenie zniechęconej.

— Quadrifons ma ponoć cztery oblicza. To znaczy, ma tylko jedną głowę, ale z każdej strony znajduje się na niej twarz, dzięki czemu spogląda jednocześnie na północ, południe, wschód i zachód. Jest bogiem mostów, przejść i rozstajów, ma jednak znacznie bardziej złożoną naturę, niż sugerowałyby te proste atrybuty. Ma cztery twarze, jak mówiłem.

Przez chwilę słyhać było tylko dźwięczny szmer fontanny.

— Mam figurkę... — odezwała się w końcu Oliwin. — Mam figurkę z dwiema... Mam figurkę z dwiema głowami.

— Chętnie bym ją zobaczył. Zdajesz sobie sprawę, naturalnie, że to tylko wizerunek podyktowany konwencją? Czasami musimy sobie wyobrazić Paha, kiedy się do niego modlimy; figurki i kolorowe obrazki nam w tym pomagają. Pah bywa przedstawiany jako trąba powietrzna, a Quadrifonsa przedstawia się czasem pod postacią potwora, skrzyżowania orła Paha z lwem Sphigx. Pozwolisz, że korzystając z okazji, powiem ci coś o Sphigx? Pomyślisz pewnie, że to dygresja, ale zapewniam cię, że wcale nie odbiegam od tematu.

— Mów... Mów dalej.

Niezgrabnie usiadła naprzeciw niego, podciągnęła nogi do piersi i objęła je rękami. Chude kolana sterczały wyraźnie spod kilku warstw materiału.

— Dziś rano rozmawiałem o Sphigx z moimi dwoma przyjaciółmi. Jest patronką Trivigaunte, nie pozwala jednak swoim wyznawcom rzeźbić posągów ani malować obrazów, które by ją przedstawiały.

— Aha.

— Tak właśnie odpowiadałem patere Jedwabowi. — Uśmiechnął się do wspomnień. — Kazał mi wtedy myśleć o honorze pa — lestry z ulicy Słońca i odpowiadać „tak”.

— Pamiętam, jak... Pamiętam, jak byłeś calde.

— Chcesz powiedzieć, że pamiętasz, jak patere Jedwab nim był. Ja nazywam się Róg.

Skinęła głową.

— Z tego wynika, że calde Bizon nie pozbył się ciebie, kiedy objął urząd. Dobrze to o nim świadczy.

— On chyba nie wie... On chyba nie wie, że tu jestem. Czy chciałeś powiedzieć, że Sphigx przypomina Quadrifonsa... Czy chciałeś powiedzieć, że Sphigx przypomina Quadrifonsa, który zataja swoje imię?

— Bystra jesteś. Tak, do tego właśnie zmierzałem. Kiedyś na targu pewna kobieta sprzedawała ze stolika wizerunki Sphigx, pewnie całkiem podobne do tej figurki Paha, którą masz.

— Moja jest... Moja jest z kości, patere.

Pokiwał w zadumie głową.

— Tamte były drewniane. W każdym razie tak wyglądały. Ta kobieta była szpiegiem Trivigaunte. Była bardzo sprytna, wykorzystując posążki Sphigx do przekazywania informacji,

ponieważ nikt, kto znał panujące w Trivigaunte zwyczaje, nie pomyślałby, że coś ją z tym miastem łączy. Później, na Błękicie, przekonałem się, że za granicą przybysze z Trivigaunte często kupują sobie wizerunki bogini, które następnie zawożą do domu i ukrywają.

— Nie... Nie rozumiem.

Oliwin przekrzywiła głowę. Znów mignęły mu jej okulary.

— Dlaczego je kupują? Chyba dlatego że im nie wolno. A może im się wydaje, że w ten sposób nawiążą z nią wyjątkowy kontakt? Tak jak imię Quadrifonsa, w połączeniu z kluczem, daje ci dostęp do tego pięknego ogrodu. — Rozejrzał się, sięgając wzrokiem poza skrywające ich gałęzie. — Ja też kiedyś mieszkałem w pałacu calde. To było tuż po jego ponownym otwarciu. Tutaj rosły tylko chwasty i pojedyncze drzewa, a w całym Vironie wprost roilo się od ludzi. Kiedy razem z Quadrifonsem otwieraliście przede mną drzwi ogrodu, spodziewałem się za nimi ujrzeć zielsko i suche liście. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś opiekuje się tym ogrodem jak w czasach calde Tussaha, podczas gdy miasto popada w ruinę. To budujące odkrycie.

Oliwin wstała. On również.

— Zmierzałem do tego, że zakazując swoich podobizn w Trivigaunte, Sphigx sprawiła, że są tam bardzo cenne. Quadrifons mógł mieć podobny zamysł, kiedy postanowił ograniczyć możliwość używania jego imienia. A może chciał się połączyć z Zewnętrznym, którego prawdziwe imię pozostaje nieznane.

Wyszli spod rozłożystego dębu. Stąpali po miękkim, zielonym trawniku. Na ich widok siwowłosa mężczyzna wypuścił z rąk motykę i uklęknął.

— Chce, żebyś go pobłogosławił...

Wyglądało na to, że nie ma wyboru. Nakreślił znak dodawania nad głową starca.

— Bądź błogosławiony w przenajświętsze imię Pała, ojca bogów, w imię jego żyjących dzieci, w imię patrona drzwi i rozstajów oraz w imię Zewnętrznego Zapoznanego, do którego modlimy się, aby pobłogosławił to święte miasto Viron.

— Chodź... Chodź, patere. — Oliwin pociągnęła go za rękaw. — Musimy znaleźć... Musimy znaleźć... jakiś chleb.

Ruszył za nią, snując niewesołe myśli o tym, że starzec na pewno zauważył, jak niezborne było to błogosławieństwo, chociaż starał się mówić cicho i szybko.

Drzwi (tym razem drewniane, choć okute żelazem) prowadziły do komórki przy kuchni. Tę kuchnię pamiętał jak przez mgłę. Kucharka, która skrobała marchew, na ich widok zamarła z ustami rozdziawionymi w idealnym O. Drzwi kredensu zagrzechotały i zamknęły się z hukiem, a Oliwin już ciągnęła go na górę po mrocznych schodach, kulejąc wyraźniej niż przedtem. Prawie biegiem pokonali podest na piętrze.

Na następnym podeście znajdowało się małe okno. Zatrzymał się przy nim, żeby złapać oddech.

— Tutaj.

— Nie... Nie, patere. Urodziłam się na dole... Urodziłam się na dole, ale mam pokój na poddaszu.

— Wiem, moje dziecko. Widziałem cię.

Przełożyła bochenek do drugiej ręki i przyglądała mu tunikę.

— Jest... Jest brudna.

— Dużo podróżowałem. Tej nocy spałem na podłodze, i to nie najczystszej. Poza tym nie wiem, czy pamiętasz, ale ty usiadłaś na ziemi, a ja uklęknąłem i chyba nawet zapomniałem otrzepać

kolana, kiedy wstałem. Chciałbym ci zadać pytanie natury osobistej, Oliwinie. Pozwolisz?

Złapała materiał jego tuniki kciukiem i palcem wskazującym i pocierała go z zaciekawieniem. Palce miała metalowe.

— Nie chciałbyś... Nie chciałbyś się przebrać w coś czystego?

— O tak. Chętnie bym się również wykąpał, ale się obawiam, że ani jedno, ani drugie nie jest możliwe.

Podniosła na niego wzrok. Gruby materiał skutecznie skrywał jej twarz.

— Znam takie... Znam takie miejsce.

— Gdzie mógłbym się wykąpać? To dobrze. Powiedziałbym nawet: to wspaniale! Zanim jednak stąd pójdziemy, muszę coś zobaczyć. Jest tu pokój, do którego chciałbym zajrzeć, jeśli tylko będzie to możliwe. Myślę, że dam radę go znaleźć sam. Możemy się umówić później. Tutaj albo w pobliżu.

— Tutaj... Tutaj, patere.

Otworzyła drzwi, za którymi ciągnął się korytarz z drzwiami rozmieszczonymi po obu stronach. Zapomniał o tym korytarzu — lub tak tylko sobie wyobrażał, bo wzór na dywanie uderzył go jak obuchem.

— Tak, to tam. Moja... Mieszkaliśmy tu z Pokrzywą. Tylko przez kilka dni, chociaż wtedy zdawało się nam, że upłynęła cała wieczność. — Mówił bardziej do siebie niż do Oliwinu, ale nie potrafił się powstrzymać. — Cały czas marzliśmy. Zabieraliśmy koce z innych komnat, pustych, naturalnie. Mieliśmy w swoim pokoju mały kominek; to z nas, które pierwsze wróciło, ograbiało kuchenną skrzynię na drewno. — Spojrzał na dłoń zaciśniętą na wyniesionym z kuchni bochenku chleba. — I rozpałało ogień. Mieliśmy starą mosiężną szkandelę, którą po napełnieniu rozżarzonym węglem nagrzewało się

łóżko. Rozbieraliśmy się, kąpali i dygotali nago pod kocami, próbując się rozgrzać.

Przepchnął się obok Oliwin i wszedł w korytarz, który tak dobrze zachował w pamięci. Pomyślał, że wtedy nie chodzili tymi schodami, tylko większymi, od frontu, prowadzącymi do kuchni z parteru.

— Byliśmy tu ogromnie szczęśliwi, najszczęśliwsi pod słońcem i na pewno szczęśliwsi niż kiedykolwiek później na Błękanie, choć i tam bywaliśmy bardzo szczęśliwi.

Oliwin wskazała jedne z drzwi.

— Nie, to było tam — powiedział. — Na pewno.

— Tutaj... Tutaj możesz się umyć. Przyniosę czyste... Przyniosę czyste ubranie.

— Nie chcę, żebyś dla mnie kradła, moje dziecko, a chyba to właśnie sugerujesz.

— Ze starego... Ze starego magazynu, patere. Nikogo już... Nikogo już nie obchodzi.

Wróciła na schody.

Wzruszył ramionami i otworzył drzwi, które mu wskazała. Za nimi znajdował się mały pokój, mniejszy nawet od tego, który przed laty dzielił z matką. Łóżko, komoda, nocny stolik tak mały, że wyglądał jak zabawka. Nigdzie nie było widać miski ani umywalki, co zapewne oznaczało, że za drzwiami, o których myślał, że prowadzą do garderoby, mieściła się łazienka. Perspektywa kąpieli — nawet w balii, w zimnej wodzie — była niezwykle pociągająca. Szybkim ruchem zrzucił tunikę i otworzył drzwi na oścież.

Mój proces

Teraz, kiedy mam wolną chwilę i znów mogę coś napisać, mam ochotę wyrzucić całą tę księgę za burtę. Wyruszyliśmy przedwczoraj wieczorem, po trwającym pół dnia czekaniu na wiatr, i od tamtej pory płynie my wzdłuż wybrzeża, trapieni słabiutkimi bryzami. Większość wczorajszego dnia spędziłem na czytaniu wszystkiego, co napisałem od czasu pobytu w Gaonie. Zapisałem ogrom papieru, trawiąc na tym setki godzin, ledwie napomknąwszy o swoich poszukiwaniach patere Jedwabia we „Whorlu”, które przecież były główną przyczyną mojej wyprawy — i (czas spojrzeć prawdzie w oczy) największą porażką mego życia.

Nie zrelacjonowałem również udanej próby obalenia rządzących Dziurą sędziów, chociaż ostatnio co rusz to obiecywałem. Zaraz się tym zajmę. Może za to nie opiszę już powrotu do Viro — nu, spotkania z ojcem i całej reszty — i tak będzie najlepiej. Racica i Skóra obawiali się, że zostaną aresztowani. Zapewniłem ich, że dopóki będą ostrożni, nic im nie grozi — i miałem rację. Wijzer i Wapen — miejscowi, ustosunkowani wśród marynarzy i właściciele łodzi — osiągnęli znacznie więcej. Koniec końców (po tym, jak wyprowadzono mnie skutego z domu Aan — vagen) dołączyli do nich jeszcze Strik i Beroep i choć czasu było mało, zgromadzili łącznie

ponad sześciuset bojowników — tak wielu, że zabrakło dla nich broni, którą zakupiłem, i musieli kupować strzelby za własne pieniądze. Kiedy rebelia rozgorzała na dobre, dołączyli do nas następni, uzbrojeni w noże i pałki, z dumą jednak stwierdzam, że ci, którzy byli z nami od początku, mieli strzelby — wszyscy, co do jednego.

W kwestii kobiet wzięliśmy przykład z generał Mięty, zlecając im głównie opiekę nad rannymi oraz zaopatrywanie mężczyzn w amunicję. Niektóre jednak walczyły i spisały się bardzo dobrze. Miały dostarczać bojownikom żywności, lecz bunt nie trwał wystarczająco długo, aby stało się to potrzebne. Zwołaniem kobiet — w większości młodych i biednych — zajęła się Vad — sig. Jej wyczyn, a także spryt i odwaga, z jakimi go dokonała, zasługują na najwyższą pochwałę.

Uprzedzam jednak fakty. Tymczasem powinienem zaznaczyć przede wszystkim, że bardzo liczyłem na pomoc Mory i Favy. Siedząc w celi w Pałacu Sprawiedliwości wmówiłem sobie, że wszystko od nich zależy — jeżeli uda im się przybyć do Dziury i opętać sędziego Hamera, zostanę uwolniony. Usiłowałem nie myśleć o karze, jaka mnie czeka, jeśli się nie zjawią, i nie robić sobie wielkich nadziei, że dadzą mi jakiś sygnał. W celi było ciemno, zimno i potwornie brudno. Pomyślałem, że gdyby groziło mi wieloletnie uwięzienie w takim miejscu, z pewnością odebrałbym sobie życie, i to raczej prędzej niż później. Zostawiłem azoth Skórze i nie miałem pojęcia, że on z kolei — spodziewając się aresztowania — powierzył go Vadsig. Gdybym miał go pod ręką, mógłbym popełnić samobójstwo... albo wyciąć sobie drogę na wolność i uciec, co wydaje mi się znacznie bardziej prawdopodobne.

W końcu przyszli po mnie legionieści. Poprosiłem, by zdjęli mi żelaza; zwróciłem uwagę, że jestem schorowany i na razie nie wydano na mnie wyroku. Odparli, że decyzja w tej kwestii należy do porucznika. Poprosiłem więc, by mnie do niego zaprowadzili, na co powiedzieli mi, że właśnie tam idziemy. Porucznik miał osobiście odeskortować mnie do sądu.

Był starszy, niż się spodziewałem. Miał około trzydziestu lat.

— Kenbaar jestem, mójpanie. Przyjacielem sierżanta Azijina jesteś? O tobie dobrze mówi.

Przyszło mi wtedy do głowy, że mój przyjaciel Azijin może zginąć, jeśli naprawdę dojdzie do buntu, który planuję. Pocieszyłem się jednak refleksją, że bez pomocy Mory i Favy Azijin i jego towarzysze najprawdopodobniej zabiją Racicę, Skórę, Vadsig, mnie oraz setki innych ludzi.

— Bez rozkazu sędziego Hamera zrobić nic nie mogę, mójpanie — wyjaśnił porucznik, zdejmując mi kajdany. — Że skuty masz być, nie powiedział, zdjąć je więc mogę. Jeśli jednak uciec próbował będziesz, strzelać muszę.

Chyba podziękowałem i zapewniłem, że nie będę próbował ucieczki, chociaż pamiętam tylko to, że roztarłem obolałe nadgarstki i poczułem przerażenie na myśl o tym, że będzie na sali sądowej uzbrojony w igłowiec. Miałem nadzieję, że poza orężem, który sami wniesiemy, w sądzie nie będzie za dużo broni — o ile, rzecz jasna, przyjdzie połowa czy choćby czwarta część tych, co obiecali, i jeżeli nie zostaną zrewidowani.

Wkrótce potem zaprowadzono mnie do sądu, istotnie bez kajdan, ale za to w towarzystwie porucznika Kenbaara z obnażonym mieczem i trzech legionistów ze strzelbami. Nietrudno się domyślić, że ci trzej również mnie przerażali, ale naprawdę nogi się pode mną ugięły na widok blisko setki

uzbrojonych żołnierzy — wśród nich sierżanta Azijina — rozstawionych pod ścianami sali, która okazała się znacznie większa, niż przewidywałem.

(Od razu wyjaśnię, że zmyliło mnie niesłuszne skojarzenie z salami sądowymi w naszym Juzgado. Powinienem był się domyślić, że w Dziurze, gdzie sędziowie naginali prawo do swoich potrzeb, takie pomieszczenia mają znacznie większą rangę i rozmiary). Doprawdy, nie umiem powiedzieć, czy sala była już pełna, kiedy mnie wprowadzono (inni świadkowie mówili mi, że tak to właśnie wyglądało), czy też publika napłynęła licznie do wnętrza już po tym, jak zająłem miejsce obok Venta. Po dłuższej chwili, którą jemu wypełniało przekładanie tych samych papierów tam i z powrotem, a mnie — trzymanie spuszczonej głowy w dłoniach, zapytałem, czy moja córka mogłaby się do nas przysiąść.

— Możliwości takiej prawo nie przewiduje, mójpanie Rogu. Za nami w rzędzie rodzina i przyjaciele siadają. W sądzie rzadko taki tłum mamy; Dziura cała na proces ten czeka. Do sali może nawet twoja córka wejść nie zdoła.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy Jahlee dotknęła mojego ramienia. Odwróciłem się i ujrzałem Racicę, Skórę, Vadsig, Aan — vagen i wielu innych, których twarze wydały mi się znajome, chociaż nie umiałem połączyć ich z imionami. Poczulem przypływ nadziei.

Hamer wszedł do sali z pompą, w licznej asyście sekretarzy. Przywołał obecnych do porządku i zapytał prokuratora — wysokiego, chudego mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widziałem — czy jest gotowy, na co ten wstał i przytaknął. Hamer to samo pytanie zadał Ventowi. Vent również wstał.

— Nie, mójpanie Rechterze — powiedział.

Sędzia czekał na dalszy ciąg, lecz ten nie nastąpił.

— Dlaczego gotowy pan nie jest, mójpanie Advocaacie? — To pytanie, z pozoru całkiem zwyczajne, wprost ociekało sarkazmem. — Sądowi wyjaśnić to musisz.

— O mnie jeśli chodzi, mójpanie Rechterze, o moją osobistą gotowość jeśli pytasz, to owszem, gotów jestem. Jeśli jednak obrony twe pytanie dotyczy, przygotowani nie...

W tymże momencie wybuchło małe zamieszanie spowodowane pojawieniem się niskiego człowieka, trzymającego się sztywno jakby kij połknął. Miał grzywę siwych włosów i okrągłą, jakby rozmiękczoną twarz — jedną z tych, które znamionują bezdenną głupotę. Był ubrany całkowicie na czarno i szedł przejściem między ławkami, wymachując laską zrobioną z kręgosłupa jakiegoś zwierzęcia.

— Oto jestem, mójpanie Rechterze — oznajmił wysokim, piskliwym głosem. — Taal przybył. Bez niego nie zaczynajcie. Ścisk na korytarzu, mójpanie Rechterze. Na ulicy jeszcze większy. Przez tom spóźniony. Spóźniony!

Wcisnął się między Venta i mnie. Serdecznie uścisnął mi dłoń, szepcząc do mnie takim tonem, że słyszeli go chyba wszyscy zebrani:

— Mójpanie Rogu, zaszczyt to dla mnie. Przyjemność to jest. Księciem sławnym jesteś, zdobywcą, lecz bogom pokornie służysz.

Sędzia Hamer grzmotnął młotkiem w biurko.

— Cisza! Cisza! Gotowy jesteś, mójpanie Advocaacie?

Taal wstał, wsparłszy się na lasce, i przez chwilę chyba zbierał myśli.

— Gotowi jesteśmy, mójpanie Rechterze. Wniosek mam. Rozpatrzyć go zechcesz, mójpanie Rechterze? O oddalenie

pozwu ab initio wnoszę.

Podniósł się gwar, który Hamer szybko uciszył. Odrzucił wniosek Taala i poprosił oskarżenie o przedstawienie argumentów. Zeznawał Nat i inni. Nie będę obciążał tej relacji szczegółami, powiem tylko, że byłem wstrząśnięty szybkością procesu.

Następnie wstał Vent, który wygłosił krótką mowę wstępną.

— Mójpanie Rechterze, nasz wniosek o oddalenie pozwu odrzuciłeś. Nie bez powodu jednak go zgłosiliśmy. Do przestępstwa w tym wypadku nie doszło. Prawu nie zaprzeczamy. Sprzeczne z prawem uwięzienie drugiego człowieka jest. Poważnym wykroczeniem jest, lecz takowego klient nasz nie popełnił. Tego dowiedzimy.

Znów szmer rozmów i sceptyczne spojrzenie sędziego Ha —
mera.

— Naszemu prawu nie podlega. To również wykażemy.

Oszłomienie, cisza.

Taal wstał i wytyżając swój piskliwy głos, zawołał:

— Wezwać mój pana Zieka!

Legionista przyprowadził świadka z sąsiedniego pomieszczenia.

— Kupcem jesteś?

Ziek przytaknął, po czym, z pomocą Taala i Venta, opowiedział o tym, jak zorganizował grupę kupców, jak Nat do niej dołączył wbrew woli pozostałych, i jak nas spotkali.

— Więcej ich niż was jest? — To Vent.

— Nie, mójpanie.

— Siłą was biorą?

— Nie, mójpanie.

— Służących wielu mają, i zbrojnych? W strzelby? Igłowce?

— Tak, mójpanie Advocaacie. Nie, mójpanie Advocaacie.

— Igłowców nie mają? Rzec nam musisz.

— Trzech ich tylko jest. Strzelbę młody człowiek ma, mójpanie.

Taal uniósł brwi — krzaczaste i całkiem siwe.

— Strzelbę jedną, mójpanie? Strzelba jedna tak was przeraziła?

— Nie, mójpanie Taalu.

— Nadzieję mam. Zeznania Nata nie słyszałeś?

— Nie, mójpanie. Wysłuchać mi go zabroniono.

— Słusznie. Testis oculatus unus plus valet quam auriti decem. Ze sobą służących Nat miał?

— Tak, mójpanie. Czterech.

— Broń mieli?

— Tak, mójpanie.

— W sądzie tym sugeruje się, jakoby mójpan Róg, stary i bezbronny, mójpana Nata do pozostania ze sobą zmusił.

Całkiem przestałem ich słuchać. Obserwowałem wiszący na bocznej ścianie obraz — był duży, w brązach i odcieniach poma — rańcu, przedstawiał siedzących przy stole mężczyzn w długich szatach. Wisiał na sznurku zakończonym frędzlami, na ozdobnym haczyku w kształcie skaczącej ryby i właśnie się zakołysał.

Wijzer przyszedł ze mną porozmawiać.

— Do starego whorla po mójpana Jedwabia wróciłeś? Tak Skóra mówi. Dobry to chłopak?

— Dobry. Tak jak i Racica.

Skinął głową i usadowił się na nadburciu, jedną ręką trzymając się sztagu. Jest wyższy niż przeciętny mężczyzna, barczysty, ma szeroką, zaczerwienioną twarz.

— Z Nowego Vironu jesteś? Szpika znasz?

Nie mogłem powstrzymać skojarzeń z dopiero co opisywaną sytuacją.

— Tak, mójpanie Advocaacie — odparłem.

Poczerwieniał jeszcze bardziej, zmrużył oczy i spojrział w słońce.

— Mnie nie znasz?

— Oczywiście, że cię... Aha, czy cię znam z Nowego Vironu? Ależ ze mnie głupiec! Przecież to ty powiedziałeś mi o Pajarocu!

— Człowiek dobry? — zaciekawiał się Oreb, siedzący na sztagu sporo wyżej niż zacisnęła się na nim pokryta piegami dłoń Wij — zera.

Babbie, który spał przy moich stopach, podniósł masywny łeb i zamrugał — jakby z rezerwą przytakiwał.

Wijzer spojrział najpierw na kruka, potem na husa.

— Mnie pamiętasz, mójpanie Rogu?

— Naturalnie. Już dawno powinienem był cię skojarzyć. Szpik powiedział, że znalazł kupca, który może mi pomóc, i we trzech spotkaliśmy się u niego na kolacji. Bardzo smacznej zresztą. Ma dobrą kucharkę.

Wijzer przyjrzał mi się badawczo.

— Nie żyje Szpik.

— Przykro mi to słyszeć. Mam nadzieję, że nie zginął gwałtowną śmiercią.

Pokręcił głową.

— Kiedy dwadzieścia lat temu przybyliśmy na Błękit, był mężczyzną w średnim wieku. Nie, nie dwadzieścia, tylko dwadzieścia dwa lata temu.

Zawołałem Racicę, który pośrodku pokładu rozmawiał ze Skórą i Vadsig, i spytałem, jak długo mnie nie było.

— Od lata tego roku, co był przed poprzednim, ojcze.

— Prawie dwa lata — wyjaśniłem Wijzerowi. — Chociaż kiedy patrzę na synów, wydaje mi się, że upłynęło znacznie więcej czasu. Kiedy odpływałem, ledwie wyrosli z dzieciństwa. Teraz to młodzi mężczyźni.

— Odważni młodzi mężczyźni. Rycerscy.

Zgodziłem się z nim.

— U sędziego Kennera ich widzę. Obaj zginą, myślę, ale biegną i strzelają, strzelają i biegną, a za nimi moi marynarze. Jak młode lwy są.

Podziękowałem mu.

— Na pewno widziałeś ich też na moim procesie. Ja wypatrzyłem cię wśród publiczności. Siedzieli tuż za mną.

— Do środka ich wpuściliśmy. — Pokiwał głową. — Beroep i ja. Jego rodzina, mówimy, i rozstępują się wszyscy.

— Zechciałbyś podzielić się ze mną wrażeniami z procesu? Byłbym ci ogromnie zobowiązany, kapitanie.

— Ja, mójpanie Rogu? — Spojrzał na sternika, potem przeniósł wzrok na lekko wzburzoną, zielonkawą wodę. — Widziałeś i ty.

— To prawda, chciałbym jednak usłyszeć jeszcze czyjąś opinię, a ty jesteś bystrym obserwatorem.

Roześmiał się.

— Wcale nie, moja żona mówi.

— Mężczyźni i kobiety często mają odmienne zdanie na temat tego, co jest ważne.

— Vadsig zapytać powinienes, mójpanie. Albo córkę swoją. — Uśmiechnął się chytrze.

— Może i tak zrobię, na razie jednak interesują mnie twoje wrażenia. Zauważyłem, że trudno mi pisać o procesie.

Przeszkadza mi natłok szczegółów.

Uśmiechnąłem się. Wijzer również.

— Kiedy pisałem — nie tylko to, co widzisz tu, przede mną; znacznie więcej mam schowane razem z ubraniami, które kupiłem w Dziurze...

— Nowe stroje kupujesz, mójpanie, stare nosisz. Na łodzi to rozsądne.

— ... zauważyłem, że z uporem staram się zapisywać treść wszystkich rozmów. Gdybyś zechciał mi teraz opowiedzieć, co zapamiętałeś z mojego procesu, zamieściłbym twoje słowa w mojej relacji, co z pewnością wyszłoby jej na zdrowie.

Skinął głową, znowu spojrział na fale, na niebo i krzyknął coś do młodego człowieka przy sterze.

— Co najlepiej zapamiętałem, chcesz wiedzieć, mójpanie Rogu?

Przytaknąłem (miałem nadzieję, że z entuzjazmem). Ponieważ nic więcej nie mówił, zaryzykowałem:

— Zapewne najbardziej zapadł ci w pamięć whorl czerwonego słońca. Wieża i jamy pod nią.

— To gnijące miasto? — Pokręcił głową. — Nie pamiętam. Zapomnieć się staram.

Udał, że podnosi do ust butelkę i pije.

— Człowiek mówi! — uparł się Oreb.

— Co pamiętam? Tych z nogami.

— Zaginiony Lud? Myślałem o nich. Większość z was uznała pewnie, że to po prostu jacyś wysocy, zamaskowani ludzie.

— Tak być mogło, mójpanie, lecz po cztery ręce mieli.

— Zaręczam, że nie byli takimi samymi ludźmi jak my, kapitanie. To Sąsiedzi, których po tej stronie morza najczęściej nazywamy Zaginionym Ludem.

— Nie że ludźmi są, myślę. Może inni tak, nie wiem. Zaginiony Lud rozpoznaję. — Wzruszył ramionami. — Mnie moja załoga służy. Tobie tamci służą, mójpanie Rogu?

— Nie. To moi przyjaciele, nie pracownicy.

— Silny wiatr dadzą?

— Może potrafiliby to zrobić, nie wiem. Na pewno o to nie poproszę. Żeglujmy z takim wiatrem, jaki mamy, kapitanie.

Teraz ja zapatrzyłem się na morze. Nie mogłem opędzić się od myśli, że gdzieś pod tymi falami jest Alga.

— Wielkie mokre — stwierdził Oreb. — Złe miejsce!

— Dla ptaków to rzeczywiście nie najlepsze miejsce, zwłaszcza dla tych, które nie są ptakami morskimi. Szybko jednak nauczysz się patrolować plaże w poszukiwaniu martwych ryb.

Wijzer parsknął śmiechem.

— Czy właśnie ta scena z mojego procesu najbardziej zapadła ci w pamięć? Kiedy Sąsiedzi znaleźli się w sali? Proszę, opowiedz mi, co widziałeś, słyszałeś i czułeś.

— Taala obserwowałem. Na niego trzy karty dałem. O tym wiedziałeś?

— I tak, i nie. Beroep mówił mi, że złożyliście się na wynajęcie go ze Strikiem i Ziekim. Ponoć Taal słono sobie policzył za bronienie mnie, bo się obawiał, że popadnie u sędziów w niełaskę. Ty zaś i twoi przyjaciele baliście się, że bunt nie wybuchnie.

Wijzer pokiwał głową.

— Bez całej reszty by nie wybuchł. Bez Zaginionego Ludu, mójpanie.

— Możesz mieć rację.

— I jeszcze on. — Czubkiem buta prawie dotknął szerokiego grzbietu Babbiego. — Tak nigdy się nie śmiałem.

Przyznałem, że w tamtym momencie hus nie wydał mi się zabawny, ale z perspektywy czasu zaczynałem doceniać humorystyczny aspekt jego zachowania.

— Śmiałem się i za boki trzymałem, ale igłowiec też wyjąłem. Dlaczego, jak myślisz, mójpanie?

Uśmiechał się, ale wpatrywał we mnie z powagą.

— Przypuszczalnie bałeś się, że któryś z legionistów mógłby zastrzelić biednego husa za gonienie sędziego po całej sali. Ja się tego obawiałem.

— Nie, mójpanie. — Wijzer powoli pokręcił głową. — O twoją córkę chodziło. Śliczną dziewczyną jest. Nie jak moja Cijfer piękną, ale i tak śliczną. Jak ma na imię? Zapomniałem.

— Jahlee.

— Właśnie, Jahlee. Też się śmieje. Tak jak ona żeby ktoś się śmiał, nigdy nie słyszałem, mójpanie.

— Zła rzecz! — zakrakał Oreb. Kazałem mu siedzieć cicho.

— Z twoimi synami rozmawiam. Dobrzy chłopcy to są. Nasza siostra, mówią. Nasza siostra. Ale mówią to i w oczy mi nie patrzą. Pod pokładem śpi?

— Tak, kiedy ją ostatnio widziałem, spała.

— Moja łódź to jest. — Wijzer tupnął w pokład. — Jeśli nikogo na mojej łodzi nie skrzywdzi, nic nie zrobię.

— Natomiast jeśli komuś stanie się krzywda, będziesz musiał zareagować. To zrozumiałe, kapitanie.

Wstał, szykując się do odejścia.

— Mogę ci zadać jedno pytanie? Jak Taalowi udało się wezwać Zaginiony Lud? Ja z nim nie rozmawiałem. Jeśli zrobił to na wasze polecenie, to skąd wy wiedzieliście, że tak trzeba?

— Nie my, mójpanie. — Wijzer znów zmierzył mnie spojrzeniem. — Ja to umiem, myślisz? Mylisz się. Nie wiem.

— Dobry człowiek! — zapewnił mnie Oreb.

— Nie twierdziłem, że umiesz to zrobić, po prostu... miałem nadzieję. Sam chciałbym to potrafić.

— Co myślę, powiem ci. Z tobą oni rozmawiają?

— Czasem tak.

— Z tobą tylko? Tak mówią?

Odszedł, nie czekając na moją odpowiedź. Kazałem Babbie — mu zejść pod pokład i mieć baczenie na Jahlee, żeby nikt jej nie skrzywdził ani nawet nie tknął.

— Dobry — mruknął Oreb z aprobatą. — Dobry.

Babbie posłusznie wstał. Grube czarne pazury (które wyglądają tak tępo, kiedy błagalnie kładzie mi łapę na kolanach, a zarazem potrafią być tak okrutne, gdy szarpie nimi moich wrogów) zaklekotały o deski pokładu, zupełnie tak samo, jak kiedy we dwóch stanowiliśmy całą załogę mojego małego słupa, ze wszech stron — od dziobu i od rufy, od sterburty i bakburty — otoczeni przez błękitne niebo i łagodnie falujące morze.

Sam mam ochotę zejść pod pokład. Nie zrobię tego (przynajmniej jeszcze przez jakiś czas), ponieważ wiem, że jest tam równie ciemno i zimno jak tutaj, a miejsce uporczywego wiatru zajmie setka złośliwych przeciągów. Podobnie jak „Whorl” i jego dzielni, udręczeni mieszkańcy, kurczowo trzymam się swojego słońca.

Sąsiedzi zrobili na Wijzerze największe wrażenie — na Wij — zerze, który już próbuje zapomnieć whorl czerwonego słońca i najdalej za miesiąc wmówi sobie, że to był tylko przykry sen.

Ile spośród złych snów, które pamiętam, wcale nie było snami? Co za różnica? Albo przeżywamy nasze życie w myślach, albo nie żyjemy wcale. Mężczyzna wyobraża sobie, że żona jest mu wierna, i jest szczęśliwy. Jaka to różnica, czy ona go zdradza, czy nie, dopóki on wierzy, że nie? Czytajcie uważnie, moi synowie! Rzeczywistość (znana tylko jej samej i bogom) jest zapewne taka, że czasem bywa mu wierna, a czasem nie, jak każda kobieta.

Na tym przykładzie widać, po co potrzebni nam są bogowie. Widzą prawdziwą rzeczywistość — a jeśli nawet nie, to nam się wydaje, że ją widzą. Na pewno można to powiedzieć o Zewnętrznym, o ile prawdą jest, że Pah i inni oddają mu cześć. Jak dla ludzi, z którymi spotykamy się w snach, wygląda nasze przebudzenie? Dla tych, z którymi rozmawiamy? Umieramy — ale czy nasze ciała leżą niepogrzebane, dopóki nasi towarzysze ze snu nie pochowają ich, roniąc łzy?

W nocy śniło mi się, jak znajduję piórnik w Vironie. Przypuszczam, że właśnie pod wpływem tego snu zasiadłem dziś do pisania. W rzeczywistości (tak jak ja ją postrzegam) znalazłem go po tym, jak wyszedłem ze starego manteionu, ale zanim jeszcze córka maytere zawołała do mnie z okna na czwartym piętrze. Czy był bardziej rzeczywisty, kiedy go znalazłem, niż kiedy go wyśniłem? Jak to możliwe, jeżeli niczym się nie różnią? Czy naprawdę znalazłem go w miejscu, gdzie dawniej stał sklep mojego ojca? Może jest to tylko część snu, której mój umysł na jawie jeszcze nie odrzucił? Trochę to zbyt idealne, aby było prawdziwe, lecz pamięć tak mi właśnie podpowiada.

Sąsiedzi... Jacyż oni byli wysocy! Jacy godni!

Głos Taala brzmiał jak dźwięk mosiężnej trąbki:

— Zaginiony Lud, dawnych władców whorla tego wzywam! Niech dobrego imienia klienta mojego, mójpana Roga, bronią!

Wszyscy zapewne wzięli jego słowa za jakiś zabieg retoryczny; z całą pewnością nie było w sądzie drugiej osoby tak mocno o tym przekonanej jak ja. Rozmawiałem z nimi, wyłuszczy — łem im naturę moich tarapatów, oni zaś obiecali, że pomogą mi w miarę swoich możliwości. Oczekiwałem jednak znaków i omenów w rodzaju tych, jakich spodziewałem się (i w pewnym stopniu doczekałem) po Morze i Favie, nie zaś niezwykłego spektaklu z udziałem żywych legend, które jedna po drugiej wchodziły po stopniach z prawej strony sędziowskiego biurka i zajmowały miejsce na stołeczku dla świadków, aby uroczystym tonem złożyć zeznania.

— Mójpanie Wietrzna Chmuro, prawu życie całe poświęciłem, lecz w sądzie nigdy żadnego z was nie widziałem. Po co przybyłeś?

— Jak mógłbym nie przybyć?

— Pytań zadawać ci nie wolno, mójpanie — warknął Hamer. Podziwiałem jego odwagę.

— Dlaczego?

— Wbrew prawu naszemu to jest, mójpanie — wyjaśnił Taal.

— Wobec tego nie zapytam o nic więcej, dopóki prawo obowiązujące w Dziurze nie zostanie zmienione. Ale Dziura będzie na tym stratna. Przybyliśmy, bo tak nakazuje nam honor.

— Ponieważ oskarżonym wasz przyjaciel jest?

— Ponieważ oskarżeni są mieszkańcy tego miasta.

— Kto nas oskarża?

Hamer zastukał młotkiem w blat biurka.

— Do sprawy na wokandzie ograniczyć się powinieneś, mójpanie Taalu.

Wiszący na ścianie obraz spadł na podłogę. Mniej więcej połowa publiki zerwała się na równe nogi.

— Twoja to sprawka, mójpanie Wietrzna Chmuro? — zapytał półgłosem Taal.

— Nie.

Hamer pochylił się nad biurkiem w jego stronę, wymachując sędziowską buławą.

— Mówić masz, mójpanie! Kto więc to uczynił?

— Ty.

W pojedynczej, wypowiedzianej bez emocji sylabie było coś takiego, że nawet sędzia się zląkł. Ja byłem przerażony.

— Mójpanie Rechterze — odezwał się Taal. — Niebezpiecznym jest to, co tu robimy. Przesłuchać mójpana Wietrzną Chmurę ja muszę, lecz nie musisz ty, mójpanie. Z całym szacunkiem sądowi należnym, to właśnie sugeruję.

Głos drżał mu coraz wyraźniej. Hamer, blady jak ściana, skinął głową.

— Mojego klienta, mójpana Roga, od jak dawna znasz?

— Odkąd dałem mu swój kielich.

Wietrzna Chmura odwrócił się w moją stronę i choć nie widziałem jego oczu — nigdy nie widziałem oczu żadnego z Sąsiadów — poczułem na sobie jego spojrzenie.

— W dniach i latach wyrazić tego nie zdołasz, mójpanie?

— Nie.

— Uczciwym człowiekiem jest?

— Aż za bardzo.

— Tobie służy?

— Owszem.

Nie ukrywam, że to mnie zaskoczyło. Nadal łamię sobie nad tym głowę.

— Naszej rasy zdrajcą jest?

— Nie. — Wydawało mi się, że w głosie Sąsiada słyszę nutę rozbawienia.

— Na sprawie bieżącej skupić się muszę, mójpanie. Zrozum. To, że nam ten whorl oddaliście, nieistotne jest. O to pytać nie mogę. Twojej ludzkich charakterów znajomości mogę dociekać, jeśli pozwoli mójpan Rehtor. Człowiekiem, tak jak my „człowieka” rozumiemy, nie jesteś, mójpanie?

— Nie. Jestem przedstawicielem innego rodzaju.

— Wielu ludzi jednakże znasz, mójpanie? Takich jak ja i mójpan Rehtor?

— Tak. Byłem jednym z tych, którzy weszli do waszego whorla, kiedy zbliżał się do naszego słońca. Na pokładzie „Whorla” poznałem wielu przedstawicieli waszego rodzaju. Wielu poznałem również później, na obu whorlach, które dawniej należało do nas.

— Z nich jednym mój klient, mójpan Róg, jest?

— Tak. Poznaliśmy się lepiej, gdy zamieszkał w moim domu. To daleko stąd. Przekonałem się, że jest człowiekiem honorowym i lojalnym wobec swojego rodzaju.

— Jeżeli lojalny wobec nas jest, mójpanie, dla was wrogiem być musi. Czy temu zaprzeczysz?

— Tak. Sami hodujecie sobie wrogów, którzy są także naszymi wrogami. To ci, którzy są gotowi zniszczyć innych dla własnej korzyści i ograbić ich, by rozszerzyć zakres swojej władzy.

Wietrzna Chmura zawiesił głos — nie zapomnę tej chwili i wątpię, żeby ktokolwiek z obecnych potrafił ją zapomnieć — i

powoli, bardzo powoli, zwrócił ukrytą w cieniu twarz w stronę sędziego Hamera.

— Twoim gościem mójpan Róg był. Tak powiedziałaś. Zaprosiłaś go?

— Nie. Przyprowadził go inny „człowiek”, który mieszkał w moim domu. W przeciwieństwie do innych, on się mnie nie bał.

— I przeciwko temu nic nie miałaś, że w twoim domu bez pozwolenia zamieszkał?

— Niedługo nastanie wiosna. Wrócą białe rybołowy, rozkrzyczane i przesłaniające w godowym locie niebo, które kiedyś było nasze. Dwa z nich zagnieżdżą się na kominie twojego domu, chociaż wcale ich nie zaprosisz. — Wietrzna Chmura cały czas spoglądał na Hamera, chociaż mówił do Taala. Po tych słowach odwrócił się do Nata. — Twierdzisz, że wyrządził ci krzywdę, ja jednak widzę, żeś cały, zdrowy, spasiony i wolny. A przy nim stoi człowiek z mieczem.

Chwali się Natowi, że w tym momencie wstał i próbował wycofać zarzuty, ale Hamer nie chciał o tym słyszeć. Zapytał, czy jego wcześniejsze zeznania ma uznać za kłamliwe, i ostrzegł, że jeżeli przytaknie, zostanie oskarżony o składanie fałszywych zeznań.

Dopiero wtedy zrozumiałem, co naprawdę źle się dzieje w Dziurze. Nie chodziło o to, że sędziowie biorą łapówki ani że czerpią niesłuszne korzyści majątkowe z zajmowanych stanowisk — chociaż jedno i drugie było prawdą. Problem polegał na tym, że stworzyli system, który powoli, lecz systematycznie niszczył wszystkich, którzy się z nim stykali. Gdyby pozwolić mu działać, zniszczyłby i mnie, o co z początku zabiegał Nat. Z czasem jednak unicestwiłby i samego Nata, i całą Dziurę.

Vadsig przyszła ze mną porozmawiać.

— Siedzisz tu, mójpanie Rogu, piszesz i piszesz. Z nami nie rozmawiasz.

— Biedny człowiek! — przytaknął Oreb.

Zwróciłem mu uwagę, że do niego się odzywam (prosiłem go przecież, by siedział cicho) i że rozmawiałem z kapitanem.

— Za tobą tęsknimy. Skóra i Racica, ale ja też, mójpanie. Zły na nas jesteś?

— Bynajmniej. Wolałbym jednak, Vadsig, abyście wy, młodzi, pożądali mojego towarzystwa, niż rozpamiętywali moją nieobecność.

— Odejść mam?! — Zerwała się na równe nogi, strząsając spódnicę i udając urażoną. — Rzec mi musisz! Do kuchni, powiedz! Do kuchni wracaj, brudna Vadsig!

Zaprotestowałem, tłumacząc, że żaden mężczyzna nie mógłby się krzywić na towarzystwo takiej kobiety.

Usiadła.

— Do waszego miasta kiedy dotrzemy, ślub weźmiemy ja i Skóra. O błogosławieństwo matki prosić chce. Dobrym synem jest.

— Wiem, Vadsig. Dla mnie też jest dobrym synem. Nie masz pojęcia, jak się cieszę z waszego postanowienia.

— Pobłogosławi go, mójpanie? Myślisz tak?

— Dobra dziewczeczka? — zainteresował się Oreb.

Wiedząc, że ma na myśli ciebie, droga Pokrzywo, skinąłem głową.

— Nie pobłogosławi, myślę. — Vadsig spojrzała na mnie z ukosa, ciekawa mojej reakcji.

— Mylisz się — powiedziałem. Myślałem tylko o tobie.

— Kart nie mam, mójpanie.

Rzuciłem jej na podolek pięć albo sześć kart — nie prawdziwych, jakich używamy w Vironie, lecz błyszczących złoto-srebrnych imitacji, których na Błękicie jest coraz więcej.

Nie chciała ich wziąć do ręki.

— Skórze tak dużo już dajesz, mójpanie.

— Tobie nic nie dałem, Vadsig, a mam u ciebie wielki dług.

— U Mory i Favy dług masz.

— To prawda. I spłacę go, jeśli tylko nadarzy się po temu okazja. W tej chwili zaś mam okazję odwdziżyć się tobie, choćby w niewielkim stopniu, i chcę tę szansę wykorzystać. Nie będę wyliczał wszystkiego, co dla nas zrobiłaś, bo sama wiesz to najlepiej. Ja jednak również mam tego świadomość i te karty są tego wyrazem.

— Swojego syna też dajesz?

Górna warga jej zadrzała. Oślepiające światło słońca bezlitośnie zdradziło to ledwie zauważalne drżenie.

— Pytasz, czy pobłogosławię wasz związek? Ależ oczywiście. Jeśli chcecie, sam odprawię ceremonię, chociaż lepiej by było, gdyby zrobił to Jego Mądrość patere Remora. Jeśli się zgodzi, będę mu asystował.

— Zona kiepska ze mnie. — Przyglądała ubranie, które opięło się na jej ciele, dowodząc, że jest przeraźliwie chuda.

— Przed powrotem tutaj spotkałem młodą kobietę Oliwin. Gdyby była tu z nami — w pewnym sensie jest, ponieważ mam ze sobą jej cząstkę — zwróciłaby uwagę, że możesz dać mężczyźnie miłość i urodzić mu dzieci. Ona była do tego niezdolna i z radością zamieniłaby każde z wielu stuleci, którymi, być może, obdarzą ją bogowie, na rok twojego życia.

Oczy Vadsig zmieniły wyraz.

— Pomóc jej nie mogłeś, mójpanie?

— Nie. Ona pomogła mnie.

Oreb podchwycił pierwsze z moich słów i dołączył je do swojego ulubionego orzeczenia:

— Nie zarżnie!

Pokiwałem głową.

— Staralem się jej nie skrzywdzić, Orebie. Chociaż tyle mogłem dla niej zrobić.

— A włosy? — Vadsig zanurzyła palce w krótkich, pomarańczowych lokach. — Brzydkie jak ja miała?

— W ogóle nie miała włosów. Twoje są czyste, mocne... Nic, tylko się nimi zachwycać.

— Kolor zły mają, mójpanie.

— Włosy dobrej kobiety nie mogą mieć złego koloru.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę. Vadsig obawiała się ciebie i braku akceptacji z twojej strony, ja zapewniałem ją, że jej obawy są bezpodstawne, czego w głębi serca jestem pewien. Biedne dziecko, powinna raczej martwić się o połów i bać się brutalnego gwałtu w Nowym Vironie, zamiast fantazjami dodawać sobie trosk.

I nagle:

— Kiedyś z powrotem jak ty lecę, mójpanie?

— Do Vironu, Vadsig?

— Tak, do Vironu. I do Grotestad. Do whorla długiego słońca polecieć bym chciała. Ciągłe o nim opowiadasz, i kucharka, i moi dawni państwo. W Grotestad się urodzili, mójpanie. Nigdy go nie widziałam.

Powiedziałem, że może w przyszłości będzie to możliwe.

— Tam się Zaginiony Lud udał?

Skinąłem głową.

— Powitać nas chcieli?

— Można tak powiedzieć. Mieli jednak dość rozumu, aby wcześniej dobrze nas poznać i zakazać nas inhumimi...

— Zła rzecz!

— Dopiero wtedy odważyli się wyjść nam na spotkanie.

— Stało się źle. — Vadsig zgodziła się z Orebem.

— Że zostawili wśród nas inhumich? — Pokręciłem głową. — To niewygórowana cena za dwa whorle, a pozwoliła Sąsiadom precyzyjnie określić, co nas odróżnia.

— Ponieważ krew naszą piją, mójpanie?

Zastanawiałem się przez chwilę, jak jej to wyjaśnić, nie łamiąc danego słowa.

— Nie możesz zobaczyć samej siebie, Vadsig.

— W lustrze mogę.

Pokręciłem głową.

— Mówił ci ktoś, że masz piękne oczy?

Zarumieniła się i wzruszyła ramionami.

— Tak Skóra mówi.

— Ale ty mu nie wierzysz, bo wiesz, że cię kocha. Jesteś jeszcze bardzo młoda. Kiedy dorośniesz, może zrozumiesz, że ze wszystkich uczuć — zaliczam do nich także obojętność, bo i ona jest w pewnym sensie uczuciem — tylko miłość widzi nagą prawdę.

— Widzi dobrze!

— Tak, miłość dobrze widzi. I dobrze jest widzieć. Bez względu na to jednak, Vadsig, jak piękne masz oczy, nie możesz nimi spojrzeć na nie same. Siebie możesz ujrzeć tylko w posrebrzonym szkłe. Znałem kogoś mądrego, kto codziennie rano przeglądał się w ścianie srebrnego imbryka na herbatę.

Uśmiechnęła się; miałem nadzieję, że to robi.

— Łyżeczkę w kieszeni może miał, mójpanie.

— Zdawał sobie sprawę, że jego obraz jest zniekształcony. Ty porównujesz swoje odbicie z kobietami, które widzisz na co dzień. Tak samo zrobili Sąsiedzi. Znając swoich inhumich, dali nam naszych, aby móc ich potem porównać. Nie wiem, niestety, do jakich doszli wniosków, wiem natomiast, co potem zrobili.

— Whorle nam oddali? Mówiąc to, powiodła wzrokiem dookoła — po szerokiej brązowej łodzi, na której się znajdowaliśmy, po rozległym morzu, błękitnej kopule nieba poznaczonej chmurami i ptakami, po odległym brzegu. Miałem cień nadziei — nadal mam — że spoglądała na nie nieco inaczej niż przedtem.

— Tak. Inhumi praktycznie doprowadzili do ich zagłady. Nie znaczy to, że wszyscy Sąsiedzi wyginęli, lecz cywilizacja, którą stworzyli, nie przetrwała wstrząsu wywołanego pojawieniem się inhumich. Wielu już wcześniej opuściło te dwa whorle, uciekając przed inhumimi i zarazem zabierając ich ze sobą.

— Żeby krew ich pili? — Wzdrygnęła się bez cienia kokieterii. — Tego nie rozumiem, mójpanie.

— Mówiłem ci, że nie możemy zobaczyć samych siebie i potrzebujemy do tego luster. Nie możemy również uciec od siebie samych.

Klekot pazurów Babbiego na moment zagłuszył skrzypienie takielunku. Odwróciłem się i zobaczyłem głowę Jahlee wynurzającą się z małego włazu. Skinąłem na nią ręką, aby do nas dołączyła.

— Jaka piękna ona jest! — szepnęła Vadsig.

Rozmawialiśmy we troje dobrą godzinę, może nawet dłużej.

Wkrótce się ściemni i nie dam rady dłużej pisać. Poza tym czuję zapach kolacji. Może przy innej okazji napiszę więcej.

12

Pałace

Nie wchodź tu, Oliwinie!

Rzut oka pozwolił mu stwierdzić, że letnia woda jest pokryta bezpieczną warstwą piany i mętna od mydła.

— Nie musisz się chować... Nie musisz się chować, patere.

Prychnął w odpowiedzi.

— A ty nie musisz tu zaglądać co pięć minut. Nie utopię się.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że świeże ubranie...
Chciałam ci tylko powiedzieć, że świeże ubranie leży tutaj.

Drzwi zamknęły się cicho. Wstał. Ręcznik leżał w zasięgu ręki — podobnie jak wszystko w tym maleńkim pomieszczeniu. Wycierając się, zauważył, że jego stare ubranie gdzieś zniknęło; zostały tylko buty. Zabrała tunikę, spodnie, brudne pończochy i bieliznę pewnie wtedy, gdy pierwszy raz otworzyła drzwi — był tak zajęty chowaniem się przed nią, że niczego nie zauważył. Kukurydzę — bezcenną, z taką łatwością zdobytą kukurydzę — trzymał w kieszeni spodni. Miał nadzieję, że stare ubranie znajdzie w sypialni. Wyszedł z wanny, wyciągnął korek z odpływu i usiadł na taborecie, aby wytrzeć stopy, a kiedy się z tym uporał, przepasał się ręcznikiem.

— Jesteś tam, Oliwinie? — zawołał i trzy razy zastukał mocno w drzwi, po czym, nie doczekawszy się odpowiedzi, ostrożnie je otworzył.

Czyste kalesony, czarne spodnie i czarna tunika czekały na niego na łóżku. Obok leżała złożona w kostkę szata przypominająca togę augura, a na niej — ziarna kukurydzy, czysta chusteczka, nowe pończochy, jego okulary, dwie karty i niedawno znaleziony piórnik. Dookoła tych drobiazgów leżały udrapowane paciorki. Po starym ubraniu i emaliowanej latarni nie było śladu. Westchnął ciężko i zaczął się ubierać.

Kończył właśnie wiązać buty, kiedy otworzyły się drzwi do pokoju.

— Możemy iść... Możemy iść, patere?

— Podglądałaś mnie, prawda, Oliwinie? Za szybko się teraz zjawiałaś.

Nie odpowiedziała. Zauważył, że przestępuje z nogi na nogę, i zwrócił uwagę, że nie nosi butów, tylko kawałki grubego płótna obwiązane sznurkiem wokół stóp.

— Przez dziurkę od klucza? Nie powinnaś tego robić.

Bez słowa wskazała mu dziurę w boazerii na ścianie oddzielającej sypialnię od sąsiedniego pokoju.

— Chciałaś wiedzieć, kiedy będę gotowy? Tak?

— Czy je... Czy je włożysz. Nigdy...

— Co nigdy? Nie będę się złościł, obiecuję.

Łatwo mu było złożyć taką obietnicę, gdy wiedział, że litość łatwo przewycięży ewentualny gniew.

— Nigdy nie widziałam... Nigdy nie widziałam biochema. Tylko... Tylko ojca.

— Który nie jest biochemem. Tak myślałem. Ty też jesteś chemem, prawda?

Skinęła głową.

— Proszę cię, pokaż ręce. Do światła. Podejdź do okna.

— Zanioślam chleb... Zanioślam chleb na górę? Kiedy się...

Kiedy się myłeś?

— I przyniosłaś mi czyste ubranie. Przy okazji zapewne wyrzuciłaś stare. Miałaś sporo pracy.

— Długo się... Długo się kąpałeś.

— Możliwe.

Wyjrzał przez okno, chcąc ocenić dystans dzielący słońce od widnokręgu, i zdał sobie sprawę, że Długie Słońce nigdy nie zachodzi. Jakież nienaturalne wydało im się ruchome słońce, kiedy przybyli na Błękit!

— Upiorę... Upiorę ci je.

— Dziękuję. A teraz pokaż mi swoje ręce. Trzeci raz nie poproszę.

Jedna dłoń była zbudowana z prętów i klocków z różnego materiału, druga wyglądała na żywą tkankę.

— Ponieważ podglądałaś mnie, kiedy się ubierałem, nie będzie chyba nic niestosownego w tym, że poproszę cię teraz, abyś się rozebrała, prawda, Oliwinie?

Skuliła się.

— To uczciwa propozycja, a przy tym sprawiedliwa kara za twój uczynek. Ale nie będę się upierał. Proszę tylko, byś zdjęła zawój okrywający twarz i głowę. Teraz. Natychmiast.

Zrobiła to. Przytulił ją, czując, jak wstrząsa nią szloch, i głaszcząc ją po gładkiej, metalowej czaszce.

— Jesteś podobna do matki — powiedział po upływie dziesięciu lub więcej minut. — Czy Pięściak... Czy ojciec mówił ci o tym? Na pewno tak.

— Czasami...

Usiadł na łóżku.

— Myślisz, że jesteś taka okropnie brzydka? Dla mnie nie, naprawdę. Twoja matka jest moją starą i dobrą przyjaciółką i

nikt, kto tak bardzo ją przypomina, nie może mi się wydawać brzydki.

— Nie poruszam się... Nie poruszam się jak trzeba.

Niechętnie skinął głową.

— Nie umiem zachowywać się... Nie umiem zachowywać się jak kobieta. Ona... Ona odeszła.

— Została schwytana przez żołnierki z Trivigaunte, Oliwinie. Tak jak ja. A po powrocie do miasta udała się na Błękit. To był jej obowiązek, jej powinność wobec Paha Wielkiego. Rozumiesz, co mówię?

Metalowa czaszka poruszyła się wolno z boku na bok.

— Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądałaś, kiedy odlatywaliśmy. Kłopot w tym, że byłaś jeszcze bardzo mała i nie zwracałem na ciebie należytej uwagi.

— Nie miałam jeszcze... Nie miałam jeszcze imienia. Nie umiałam... Nie umiałam mówić, patere.

Nadal nie bardzo umie, pomyślał. Pięściak musiał sam zbudować jej aparat mowy i efekty jego pracy pozostawiały co nieco do życzenia.

— Patere...

— Chcesz, żebym poszedł z tobą na górę, złożył w twoim imieniu ofiarę i pobłogosławił cię, tak jak to robił Jedwab.

Skinęła głową.

— Dlatego przyniosłaś mi ten strój, którego właściwie nie zgodziłem się przywdziać, ponieważ nie mam prawa go nosić. I dlatego wierzysz się nerwowo, kiedy rozmawiamy. — Próbował sobie przypomnieć, czy zdarzyło mu się kiedyś widzieć chema przestępującego z nogi na nogę, ale doszedł do wniosku, że chyba nie. — Nie uda ci się jednak przekonać mnie do porzucenia zamiaru, który wcześniej powziąłem. Pójdę do

pokoju, o którym wspomniałem. Sam. Jeżeli drzwi będą otwarte, spędzę tam trochę czasu. Spiesz ci się gdzieś?

Kiedy nie odpowiedziała, pomyślał, że mogła go nie zrozumieć.

— Może musisz gdzieś iść? — podpowiedział. — Coś zrobić?

Pokręciła głową.

— W takim razie nic ci się nie stanie, jak trochę poczekaasz. Postaram się, żeby... nie trwało to zbyt długo.

Nic nie powiedziała.

— Po wyjściu z tamtego pokoju złożę ofiarę i pobłogosławię cię, tak jak sobie życzysz. Następnie chciałbym ci wyjaśnić, co mnie tu sprowadza, i poprosić cię o pomoc. — Nie mogąc dłużej znieść jej milczenia, odwrócił się do niej plecami. — Przyjdę po ciebie. Obiecuję.

Noc czała się za wąskim oknem, kiedy wstał, otrzepał nowe czarne spodnie i ostatni raz powiódł wzrokiem po pokoju. Zdmuchnął świecę i wyszedł na korytarz. W pierwszej chwili pomyślał, że nikogo w nim nie ma, ale gdy tylko zamknął za sobą drzwi, strzęp szarobrunatnego mroku oderwał się od sąsiedniej futryny i podkuśtykał do niego.

— Długo musiałaś czekać, Oliwinie — powiedział. — Przepraszam.

— Nie szkodzi. Nie szkodzi, patere.

Głowę i twarz znów zawinęła w jutowe płótno. Pogłaskał ją jak zwykle dziecko, gdy podeszła na wyciągnięcie ręki.

— Naprawdę myślisz, że jesteś brzydka? Nie masz racji.

— Nie mogę... Nie mogę, patere. Mężczyźni...

— Chemy?

— Uważają, że jestem brzydka, kiedy... Uważają, że jestem brzydka, kiedy mnie widzą. Więc staram się upodobnić... Więc

staram się upodobnić do was.

Po tych słowach wydała z siebie dziwny, piskliwy dźwięk, w którym dopiero po chwili rozpoznał śmiech.

Drzwi do komnaty na czwartym piętrze, które przed nim otworzyła, były grube na pięć palców, stare i pokost zląził z nich płatami, ale trzymały się mocno. Podążył za nią w zalegający za nimi mrok i dotarło do niego, że pomieszczenie, które zajęła, pierwotnie pełniło rolę schowka, a kiedy pstryknięciem palców włączyła słabą zieloną lampkę na suficie, przekonał się, że nic się w tym względzie nie zmieniło. Pod ścianami i po kątach stały skrzynie i beczki, a po całej podłodze poniewierały się łomy, wiertła, pilniki, szpule drutu i kawałki maszynierii, oddzielone od większych całości w akcie kanibalizmu.

— Tutaj ojciec cię zbudował — stwierdził.

— Tu nade mną... Tu nade mną pracujemy.

Spomiędzy skrzyń wygrzebała białą figurkę, na wpół pełną butelkę wina i kawałek czystego białego materiału, z którego po rozwinięciu wyjęła przyniesiony z kuchni chleb. Rozpostarła obrus na podłodze i ustawiła na nim pozostałe przedmioty.

— Będziesz mi musiała powiedzieć, w jaki sposób Jedwab składa ofiarę. Nie mamy ognia.

— Wino jest krwią... Wino jest krwią, patere. A chleb... A chleb mięsem.

W pierwszym odruchu chciał zaprotestować, ale dał sobie spokój. Nakreślił w powietrzu znak dodawania i spojrzał na Oliwin, która trzymała w rękach książkę.

— To Pismo Chrasologiczne?

— Przechowuję je tutaj... Dla ciebie.

Złapał się na tym, że się uśmiecha.

— Powiedziałem, że nie mamy ognia, Oliwinie, ale nie wiem, czy nie ważniejszy jest brak świętego okna. Mimo to dzięki tobie możemy nawiązać łączność z bogami; może znajdziemy ich w tej księdze, jak to się czasem zdarza. Później chciałbym z tobą chwilę porozmawiać, a następnie złożę ofiarę. Dobrze?

Skinęła głową i uklękła.

Egzemplarz Pisma był mały i znieszczony; przyszło mu do głowy, że dobrze wyglądałby w rękach jakiegoś uczniaka w scholi. Otworzył książkę w przypadkowo wybranym miejscu.

— Tam, gdzie dźwięczna woda w fontannie pospiesznie w ziemię wsiąka, ucztą kończy się dzień. Jedzą i piją, a gdy głód zaspokoją, wzdychają za przyjaciółmi i oplakują zmarłych. Łzy obeschną, dopiero gdy sen słodki ześle im trosk ludzkich zapomnienie. Noc obejmuje łąd w posiadanie, gwiazdy staczają się po lazurowej równinie: Na głos Paha dzikie wzbijają się tumany, chmury i mrok podwójny nieba okrywają.

Odczytanie fragmentu Pisma czczono zwykle chwilą milczenia, która teraz wydała mu się błogosławieństwem — choć trudno byłoby je nazwać prawdziwą ciszą, tyle niespokojnych myśli kłębiło mu się w głowie.

— Co to oznacza, patere... ?

— Wszystkiego nie sposób wytłumaczyć. Każdy ustęp w Piśmie ma nieskończoną mnogość znaczeń. — To była standardowa gotowa odpowiedź. — Jeśli jednak chodzi o jego znaczenie dziś, dla nas, tu i teraz... Cóż, spróbuję. Zaczyna się od stwierdzenia wprost, że dotyczy naszej obecnej sytuacji: „Dźwięczna woda w fontannie” z pewnością odnosi się do mojej kąpieli, za którą jeszcze raz ci dziękuję. „Tam” to zapewne ten pałac, ponieważ tu właśnie wziąłem kąpiel. Woda wsiąka w

ziemię „pospiesznie”, ponieważ niecierpliwie czekałaś, aż skończę się myć i przyjdę z tobą tutaj, na górę.

— Bogowie są na mnie... Bogowie są na mnie źli?

— Na ciebie? — Pokręcił głową. — Bardzo w to wątpię. Powiedziałbym raczej, że delikatnie i żartobliwie próbują ci wskazać właściwą drogę, jak rodzice ukochanemu dziecku. — Umilkł, próbując zebrać myśli. Zerknął do książki. — Dalej mamy „uczta kończy się dzień”. Chcesz, abym złożył w ofierze ten chleb i wino, a dzień istotnie dobiegł końca, co dodatkowo potwierdza, że w tym fragmencie chodzi o naszą ofiarę. „Uczta” ma zapewne wydźwięk ironiczny. Nie mamy zwierzęcia na ofiarę, nie będzie więc prawdziwego mięsa. Powinniśmy, naturalnie, zjeść trochę chleba, aby był to nasz wspólny posiłek. Przynajmniej ja powinienem. I...

— Napić się... Napić się wina. Zawsze to... Zawsze to robisz.

— Jedwab pija wino? Nie jestem Jedwabiem co już kilkakrotnie podkreślałem. Nazywam się patere Róg... a właściwie po prostu Róg, chociaż w tych szatach czuję się trochę jak augur. Na czym stanęliśmy?

— Na picciu wina... Na picciu wina, patere.

Kusiło go, by ją upomnieć, że ma go nazywać Rogiem, ale nie był to najlepszy moment. Skinął głową.

— Mówiłaś, że Jedwab pije wino — stąd słowo „piją”, które pojawiło się w naszym cytacie. „Jedzą i piją, a gdy głód zaspokoją, wzdychają za przyjaciółmi i oplakują zmarłych”. Hmm, wygląda na to, że w tym momencie bóg, który do nas przemawia, przechodzi od opisu naszej aktualnej sytuacji do prorokowania. Mówi o tym, że złożę ofiarę w twojej intencji i zaspokoję głód i pragnienie twoim chlebem i winem, a potem będziemy oplakiwać naszych zmarłych przyjaciół. W tej chwili

nie mam pojęcia, o jakich przyjaciół chodzi, lecz w swoim czasie na pewno się tego dowiemy. Czy jakichś twoich przyjaciół już nie ma wśród nas?

— Raczej... Raczej nie.

— Krait, mój przybrany syn, nie żyje. Ten passus może jego dotyczyć. Albo może Sklerodermii, mojej dawnej przyjaciółki... Zobaczymy. — Zajrzał do Pisma. — „Łzy obeschną, dopiero gdy sen słodki ześle im trosk ludzkich zapomnienie”. Wygląda na to, że potem będziemy spać. Wiem, że wy, chemy, też czasem śpicie. Zamierzasz dzisiaj spać, Oliwinie?

— Jeśli tak... Jeśli tak każesz.

— Nie ja, lecz bogowie. Powinnaś przynajmniej rozważyć taką możliwość. Ja z pewnością będę spał, jeśli tylko zdołam zasnąć.

— Ojciec kazał mi spać, kiedy... Ojciec kazał mi spać, kiedy odejdziesz.

— Ale go nie posłuchałaś?

— Tam, przy... Tam, przy oknie. Żebym mogła... Żebym mogła wyglądać na zewnątrz.

— Nie wiedziałem, że umiesz spać na stojąco.

— Jeśli mam... Jeśli mam się o co oprzeć. Zobaczyłam... Zobaczyłam cię.

— Na ulicy. Masz dobry wzrok.

— Nie mogę zamknąć... Nie mogę zamknąć oczu. — W jej głosie było słycać łzy. — A... A reszta?

— Słusznie. Moim obowiązkiem jest wyłożyć ci znaczenie cytatu, a nie plotkować o naszych zwyczajach nocnych. — Spojrzał do Pisma, jeszcze raz przeczytał cały ustęp i zamknął księgę. — Nie jest to łatwy fragment, myślę jednak, że odzwierciedla troskę bogów o nasz los. „Noc obejmuje łąd w

posiadanie, gwiazdy staczają się po lazurowej równinie: Na głos Paha dzikie wzbijają się tumany, chmury i mrok podwójny nieba okrywają”.

— Gwiazdy... Gwiazdy, patere?

— Maleńkie światełka na nocnym niebie — wyjaśnił z roztargnieniem. — Mamy takie na Błękicie. Tutaj też są, w pewnym sensie, ale ich nie widać, ponieważ znajdują się na zewnątrz whorla. To trudny cytat, Oliwinie. Po co wspominać o gwiazdach, kiedy ofiarę składamy we whorlu długiego słońca?

Wpatrywała się w niego, on zaś nie mógł wprowadzić nic wyczytać z jej twarzy, ale czuł, że czeka na jego słowa.

— Moim zdaniem jest to tak zwany atrybut, czyli znak, za pomocą którego bóg, który obdarzył nas swą łaską, pozwala się nam rozpoznać. Najczęściej atrybuty przybierają formy zwierząt: sęp jest atrybutem Hieraxa, jeleni — Thelxiepei i tak dalej.

— Nie było... Nie było mowy...

— Wiem. Nie ma tam ani słowa o zwierzętach. — Zamilkł na dobre pół minuty, zmagając się ze swoim sumieniem. — Będę z tobą szczery: prawdziwy augur powiedziałby, że to Pah natchnął nas do wybrania tego fragmentu, z dwóch powodów. Po pierwsze, mamy ze sobą jego podobiznę. Po drugie, kiedy cytat wymienia boga z imienia, automatycznie zakłada się, że taki wybór to jego ingerencja. Nie zawsze jednak jest to prawda i wątpię, aby tak było w tym wypadku. Gwiazdy, które na pierwszy rzut oka nijak tu nie pasują, znajdują się, jak mówiłem, na zewnątrz tego whorla. Jako obiekty znajdujące się poza nim — i tylko poza nim — mogą być atrybutem Zewnętrznego, tak jak w pewnym śnie, który przyśnił mi się dawno temu.

Zawiesił głos, czekając na protesty Oliwinu, ale nic nie powiedziała.

— Przyśniły mi się konie, o których mówi się, że są atrybutem Scylli, ale nie miałem wrażenia, żeby to ona zesłała mi sen. Spójrzmy zatem w gwiazdy, tak jak często robiliśmy to z żoną, kiedy byliśmy młodzi. — Uśmiechnął się niepewnie. — „Gwiazdy staczają się po lazurowej równinie”. Lazurowa równina to niebo, jakie za dnia widzi się na Błękanie. Lazur to przecież odcień błękitu.

Oliwin skinęła głową.

— Na Błękanie gwiazdy zachodzą, z twego wniosku, że wpływ Zewnętrznego osłabnie, mimo że Błękit również leży poza „Whorlem”.

— Czy to... Czy to źle?

— Dla mieszkańców Błękitu bardzo źle. Chyba się domyślam, jaka jest tego przyczyna. Wczoraj bożę powiedziało mi, że wystarczy już kolonistów na Błękanie i Zieleni i ci, którzy zostali w tym whorlu, mają już nigdzie nie lecieć.

— Nie wiedziałam... Nie wiedziałam o tym.

— Mało kto o tym wie. Miałem to rozgłosić, lecz tego nie zrobiłem. Przynajmniej na razie. — Pomyślał o Nowym Vironie i Pajarocu. — Na Błękanie nie darzymy bogów szczególnym szacunkiem. Mało w nas pobożności, mało i przyzwoitości. Naszym bogiem stało się bogactwo: ziemia, złoto, karty. Resztki boskiej czci można znaleźć już tylko w najnowszych koloniach, gdzie osadnicy przynieśli ją z „Whorla”, a jeszcze nie zdążyli zatracić. Zewnętrzny, który nawet tutaj nie jest najpopularniejszym z bogów, tam został całkiem zapomniany.

— Nie płacz... Nie płacz, patere.

— Kiedyś miałem wyrzuty sumienia, Oliwinie, ponieważ nie czciłem go należycie. Co najwyżej raz do roku, nie częściej, próbowałem wykonać jakiś gest, który świadczyłby o moim szacunku dla niego, ale poza mną nikt, nawet moi synowie... Zresztą mniejsza z tym. — Otarł twarz szerokim rękawem togi. — Twoja matka nadal oddaje cześć bogom. Powinnaś o tym wiedzieć.

— Znasz... Znasz ją?

— Owszem. Widziałem się z nią i rozmawiałem przed udaniem się na Zieleń. Nie powiedziałem ci o tym od razu, bo... bo...

Oliwin wyciągnęła do niego rękę; drobne, twarde palce okryte czymś przypominającym żywe ciało zacisnęły się na jego dłoni.

— Straciła wzrok.

Palce rozluźniły uścisk. Cienka metalowa ręka opadła do boku.

— Poza tym czuje się dobrze, a ja... jestem przekonany, że przesłałaby ci pozdrowienia, gdyby tylko wiedziała o twoim istnieniu. Jest jednak całkiem niewidoma, jak mój przyjaciel Świnia. Prawdę mówiąc, czasem tak sobie myślę, że Świnia został mi zesłany, abym nie zapomniał o twojej matce.

Czekał na jakąś odpowiedź, na choćby słowo komentarza.

— Powiesz pewnie, że taka była wola bogów. — Odchrząknął. — Kara za porzucenie cię, mimo że odchodząc, wypełniła ich wolę. Ja ją jednak kocham i nie mogę się nad nią nie litować. Dała mi jedno ze swoich oczu, niewidzące, naturalnie. Oba ma ślepe, ale to jedno dała mi, abym poszukał dla niej nowych oczu, sprawnych, kiedy dotrę do „Whorla”. Zgubiłem je. A przynajmniej nie mam go już w kieszeni.

Umilkł i otuliła ich cisza panująca w pałacu calde. Gdzieś tu na pewno ktoś jeszcze jest, powtarzał sobie, chociażby kucharka albo ogrodnik. Kiedy Bizon został calde, razem z maytere Miętą (która, zostając jego żoną, musiała odwołać śluby) zamieszkali chyba w tym olbrzymim, tajemniczym gmachu. Wyglądało jednak na to, że teraz nikt tu nie mieszka. Nawet zakutana w jutę postać po drugiej stronie obrusa wydała mu się nierzeczywista. Można by pomyśleć, że pustka, która objęła cały Viron w posiadanie, tu właśnie ma swoje źródło.

— Zgubiłeś... Zgubiłeś je? — Cichy, łamiący się głos przywodził na myśl zawrodozenie wiatru w kominie.

Wiedział, że musi jej coś odpowiedzieć.

— Tak. Zgubiłem. Chyba została na Zieleni. — Chciał dodać „razem z moimi kośćmi”, ale zamiast tego powiedział: — Razem z moim pierścieniem i innymi drobiazgami.

Otulona zwojem materiału postać wyglądała tak, jakby w ogóle go nie usłyszała.

— Widzisz, ono już do niczego by się nie przydało, ani jej, ani nikomu innemu. Dała mi je na wzór, żebym wiedział, jak wygląda.

— Mam... Mam szczęście.

Uznał, że się przesłyszał.

— Słucham?

— Nie działałam najlepiej... Nie działałam najlepiej, patere.

— Nikt nie jest doskonały. Ale znacznie lepiej jest... mieć niesprawną nogę niż skłonność do czynienia zła.

— Ale oczy... Ale oczy mam sprawne. Widzę... Widzę dobrze. Sam tak... Sam tak powiedziałaś. To znaczy, że mam szczęście... To znaczy, że mam szczęście, prawda?

— Rzeczywiście. Lecz znów odbiegam od tematu, od interpretacji fragmentu Pisma, które bóg, Zewnętrzny, jak mniemam, dla nas wybrał. Jest w nim dwukropek. Wiesz, co to jest dwukropek? Nie średnik, tylko dwukropek? Dwie kropeczki, jedna nad drugą. — Kiedy Oliwin nie odpowiedziała, brnął dalej: — Dwukropek to bardzo mocny separator, Oliwinie. Rzadko pojawia się w Piśmie. W tym wypadku wydaje mi się (pewności oczywiście mieć nie mogę, ale tak właśnie sędzę), że oddziela fragment o gwiazdach przetaczających się po lazurowym niebie od tego, który następuje po nim, abyśmy zrozumieli, że dotyczą dwóch różnych whorli. Bo widzisz, Błękit i whorl długiego słońca same są jak dwa punkciki, kiedy spojrzeć na nie z perspektywy Zewnętrznego. Górna kropka to ten whorl, bardziej odległy od krótkiego słońca; dolna symbolizuje Błękit. — Odchrząknął, sięgając wstecz pamięcią. — Zamknąłem już książkę, ale chyba dobrze pamiętam ten fragment: „Na głos Paha dzikie wzbijają się tumany, chmury i mrok podwójny nieba okrywają”. Pah sam jest dzikim wirem powietrznym; tak się go często przedstawia. Najstarsze wizerunki pokazują go jako trąbę powietrzną.

— Nie wiedziałam... Nie wiedziałam o tym. Czy ten drugi... Czy ten drugi... ? Nie chcesz, abym wymawiała jego... Nie chcesz...

— Czy jego też przedstawia się jako powietrzny wir? O to ci chodzi?

Pokiwała głową.

— Nie. Ale kiedy się tak zastanowić, to zadałaś' bardzo celne pytanie. Pah przedstawia się albo jako wicher, albo w postaci człowieka z dwoma głowami. Można by się więc poniekąd spodziewać, że ten, który ma cztery oblicza, będzie miał

podobny wizerunek. Ale tak nie jest. Kiedy autor chce uniknąć pisania wprost jego imienia — co rzadko się zdarza, ponieważ mało kto w ogóle o nim pisze — stawia zamiast niego znak dodawania. Krótką poziomą kreskę przeciętą krótką pionową. Obecnie jest to chyba symbol błogosławieństwa, chociaż wcześniej mógł to być znaczący rysunek. Mówiłem ci chyba, że ten bóg jest patronem rozstajów. Skrzyżowań.

— Teraz... Teraz rozumiem.

— Istnieje jednak pewna przypowieść o innym bogu występującym pod postacią wiatru i nie jest wykluczone, że właśnie ona ma związek z naszym cytatem. Pewien człowiek bardzo chciał doświadczyć teofanii Zewnętrznego. Modlił się o to i modlił, aż zerwał się wichur. Z pierwszej chwili wziął wiatr za boga; cieszył się i wychwalał go. Tymczasem wichur narastał, rozpętała się burza, deszcz chłostał go jak grad, a grad jak kamienna ulewa. Ze skał dookoła tryskała woda, huragan wyrwał drzewa z korzeniami, piorun uderzył w górę, na której ów człowiek stał. W końcu przerażony znalazł niewielką jaskinię, aby w niej przeczekać nawałnicę. W końcu burza minęła, wyszło słońce, powiał zefirek. I właśnie ten zefirek, ten słaby powiew był bogiem, którego ów człowiek szukał.

Oliwin milczała.

— Z tej historii płynie morał, że Pah Wielki nie jest Zewnętrznym. Bogowie często mają więcej niż jedno imię i więcej niż jedną osobowość; nawet niedawno rozmawiałem o tym z przyjaciółmi. Niegdyś ludzie uważali, że Zewnętrzny jest po prostu jednym z aspektów Paha. Historia, którą ci przed chwilą przytoczyłem, powstała najprawdopodobniej po to, aby wykazać, że nie mieli racji. Wracając zaś do cytatu... Jak mówiłem, zanosi się na wielkie wydarzenia w tym whorlu. Pah

będzie się manifestował wielokrotnie i w złowrogiej postaci. Pojawią się „dzikie tumany”, zwróć uwagę na liczbę mnogą.

— Czy on nas... Czy on nas skrzywdzi?

— Tego nie umiem powiedzieć. Wiem natomiast, że Zewnętrzny nas przed nim ostrzega, a Zewnętrzny też jest bogiem, i to, być może, najmądrzejszym i najlepszym ze wszystkich, a z całą pewnością o wiele mądrzejszym od nas. Gdyby uważał, że nie potrzebujemy ostrzeżenia, nie udzielałby go nam. Jeszcze tylko ostatnie zdanie i będę mógł przystąpić do złożenia ofiary w twojej intencji. „Chmury i mrok podwójny nieba okrywają”. Można by powiedzieć, że sprawa jest oczywista. „Mrok podwójny” z pewnością odnosi się do gaśnięcia długiego słońca. Noc nadciąga... — Wyjrzał przez okno. — Właściwie już nastąpiła i teraz kilka dni może upłynąć, zanim znów ujrzemy światło dnia.

— Może znów pójdę spać, kiedy... Może znów pójdę spać, kiedy odejdziesz, patere.

— To rozsądny pomysł. — Palcem zataczał małe kręgi na policzku. — „Chmury”, tak? Niewiele mogę o nich powiedzieć. Może chodzić o zupełnie zwyczajne chmury, jakie codziennie widuje się na niebie, ale równie dobrze może to być woal, którym bóg okrywa umysły tych, których zamierza zniszczyć. Trudno powiedzieć. Największą zagadką są „nieba”, przynajmniej dla mnie. Widzieliśmy już, że przez passus przewijają się dwa firmamenty: niebo Błękitu i tutejsze. Liczba mnoga wskazuje, moim zdaniem, że właśnie o nie chodzi. Wiatry, chmury i „mrok podwójny” odnoszą się więc nie tylko do tego whorla, whorla długiego słońca, ale także do Błękitu. Co noc robi się na Błękitcie ciemno, nie umiem sobie jednak wyobrazić, co miałyby oznaczać „mrok podwójny”. Augur z

pewnością lepiej by to objaśnił. Niestety, nie mamy pod ręką prawdziwego augura.

Odkorkował butelkę.

— Masz jakiś kieliszek, Oliwinie? I nóż, żebym mógł pokroić chleb?

— Mogę przynieść... Mogę przynieść, ale...

Wahanie w cichym, niewyraźnym głosie było wyraźniejsze niż normalna w nim niechęć do odzywiania się w ogóle.

— Ale co? Powiedz, proszę.

— Ojciec nie lubi, jak... Ojciec nie lubi, jak zabieram różne rzeczy.

— Rozumiem. A calde Bizon może w ogóle nie wiedzieć, że tu jesteś, tak?

Pokiwała głową.

— Twój ojciec oczywiście ma rację. Lepiej nie ryzykować usunięcia cię z pałacu, chociaż moim zdaniem calde Bizon albo generał Mięta mogliby mieć z ciebie pociechę, gdybyś została ich służącą. Ojciec kazał ci spać, kiedy go nie będzie?

Przytaknęła.

— Spotkałem dziś swojego ojca. Nie widziałem go od lat. Chyba ci o tym nie powiedziałem...

— Nie, patere...

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Szedłem ulicą Słońca, szukając pozostałości naszego sklepu. A on podszedł i zapytał, w czym może mi pomóc. Pewnie się zorientował, że szukam konkretnego miejsca.

Ściany z rakplastu, zmyte prawie do czysta przez liczne deszcze, kruszyły się do prostokątnych otworów dawnych piwnic. Spękane rakplastowe stopnie przy pustych futrynach drzwi rozsypały się w żwir i piach. Spoglądał na ściany ponad

wejściami, szukając dobrze znajomego szyldu: KOŚCIEC. ARTYKUŁY PAPIERNICZE. Najwyraźniej był jednak mniej trwały niż sadza.

— Mógłbym w czymś pomóc?

Przechodzień był niski i korpulentny. Wydatna łysina podkreślała i tak wysokie czoło.

— Znałeś tę okolicę przed pożarem?

Łysy mężczyzna skinął głową i wskazał coś wyciągniętą ręką.

— Całe lata tu pracowałem.

— Był tu gdzieś w pobliżu sklepik, w którym sprzedawano... papier, pióra, atrament, zeszyty. Wiesz, gdzie to było?

Mężczyzna znowu wyciągnął rękę.

— To był mój sklep.

Razem podeszli do miejsca, które pokazywał.

— Minęło tyle lat... — Słowa więzły mu w gardle.

— Cała dzielnica spłonęła.

— Nie było mnie wtedy tutaj.

— Mnie też. Walczyłem na północy z ordą Trivigaunte. A dawniej, przed pożarem, zachodziłeś do mojego sklepu?

— O tak. Regularnie.

Mężczyzna zrobił pół kroku w bok. Przekrzywił głowę.

— Ciemię? Nie tak się nazywasz?

— Nie. — Najlepiej, tak, na pewno najlepiej będzie nie mówić zbyt dużo i zbyt szybko. — Mieszkałeś tutaj? W Dzielnicy Słońca?

— Tak. Miałem żonę i siedmioro dzieci. Czterech synów i trzy córki. Mieszkaliśmy przy Srebra, ale dom też się spalił. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Odlecieli na zewnątrz, na okrągłe whorle.

— Jeden z twoich synów miał na imię Róg, prawda? —
Mówienie przychodziło mu z coraz większym trudem.

— Tak, pierworodny. Znałeś go?

— Nie tak dobrze, jak bym chciał.

— To był dobry chłopak, pracowity i odważny jak byk Paha.

— Mężczyzna podał mu rękę. — Skoro się przyjaźniliście, miło mi cię poznać. Jestem Kościec.

Uścisnął jego dłoń.

— Nazywam się Róg i jestem twoim synem, ojcze.

Kościec wytrzeszczył oczy.

— Niemożliwe!

— Bardzo się zmieniłem, wiem.

Kościec pokręcił głową i odsunął się o krok.

— Tutaj była poluzowana deska w podłodze. Po zamknięciu sklepu wyjmowałeś ją i chowałeś pod nią kasetkę z pieniędzmi i księgi rachunkowe.

Kościec rozdziawił usta.

— Nie chciałeś, żebym o tym wiedział, i zezłościłeś się na mnie, kiedy się dowiedziałeś, że cię podejrzałem, ale nadal je tam chowałeś. Teraz wiem, że chciałeś mi w ten sposób okazać zaufanie, ale wtedy...

Łzy i uściski nie pozwoliły mu powiedzieć nic więcej.

— To naprawdę ty, Rogu? — spytał ojciec, kiedy odsunęli się od siebie. — Wróciłeś?

Przytaknął i poszli razem do karczmy mieszczącej się w namiocie, gdzie bar był deską ułożoną na dwóch beczkach. Poza tym znajdowały się tam trzy stoliki, trzy krzesła (w tym jedno złamane), trochę stołków i małych beczulek.

— Zmieniłeś się nie do poznania. — powiedział Kościec.

— Wiem o tym. Ty też. Kiedy się rozstawialiśmy, był z ciebie kawał chłopca. — Wspomnienia wróciły wezbraną falą. — Powiedziałaś, że jestem odważny. Ale ja się ciebie bałem. Matka też. Wszyscy się baliśmy.

— Wino czy piwo? — zapytał barman i zdziwił się, słysząc, że Kościec prosi o wino.

— Co u niej, Rogu?

— U matki? Kiedy ją ostatnio widziałem, miała się dobrze, ale to było dawno. Pierwiosnek się nią opiekuje.

— Ożeniłem się drugi raz. Chyba powinienem ci powiedzieć. Przez chwilę nie mieli sobie nic do powiedzenia.

— Pewnie zastanawialiście się, dlaczego zostałem.

Pokręcił głową.

— Myśleliśmy, że cię zabili.

— Mnie? Nie, Rogu.

— To dobrze. — Było mu niedobrze z zakłopotania.

— Jak sobie tam poradziliście?

— Nie najgorzej. Nie było łatwo, ale i tutaj nie mieliśmy lekko. Ty na pewno nie miałaś, a gdybyśmy my z Pokrzywą zostali, też byłoby nam ciężko. A tam nie było wcale trudniej, tylko... inaczej. Osioł nam zdechł. — Parsknął śmiechem. — Nie wiem, dlaczego o tym mówię, ale tak się stało. Wtedy sięgnęliśmy dna. To był najgorszy czas. Potem nasz los zaczął polepszać, chociaż bardzo powoli. Lata ciężkiej pracy. Bywało, że głodowaliśmy.

— Wiem, jak to jest. — Kościec pokiwał głową.

— Mówi się, że ryb w morzu nie brakuje. To znaczy, na Jaszczurce ludzie tak mówią. Bo teraz mieszkamy na Jaszczurce.

— Nie słyszałem. Wiem tylko, że jest Błękit i Zielen.

— To wysepka na Błękanie. Mamy tam dom, który sami zbudowaliśmy, i papiernię. — Uśmiechnął się. — Masz trzech wnuków... Nie, nie trzech, więcej, ale trójka jest moja. Ścięgno, Racica i Skóra.

Kościec też się uśmiechnął.

— Z Pokrzywą? To jej szproty?

— Tak. Pobraliśmy się. Od dawna to planowaliśmy i patere Remora udzielił nam ślubu dosłownie kilka dni po lądowaniu. Pamiętasz patere Remorę, ojciec?

— Remora? — Kościec skubnął w zadumie płatek ucha. — Płetwa. Pamiętam patere Płetwę. A potem był Jedwab, ten, co to później został calde.

Róg skinął głową.

— Byliśmy u niego na składaniu ofiary. Ze trzy, może cztery razy.

— Więcej.

— Może ty i matka tak. — Kościec opróżnił kieliszek. — Chcesz dolewkę?

— Nie, dziękuję. — Jego kieliszek wciąż był prawie pełny.

— A ja sobie wezmę. — Kościec skinął na barmana. — Wiesz, co ci powiem? Powinienem był opisać całą tę historię. Czasem żałuję, że tego nie robiłem.

— Na Błękanie spisałem dzieje Jedwabia. Właściwie to spisaliśmy, z Pokrzywą.

— No proszę! Naprawdę?

— Tak. Prawie tysiąc stron.

— Chętnie bym ją zobaczył. Oczywiście już nie te, jak w czasach, kiedy strzelałem do tych z Trivigaunte, ale nadal mogę coś przeczytać. Przez szkło. Dlaczego szukałeś naszego sklepu, synu? Chcesz kupić papier i pióra?

— Nie chciałem go po prostu zobaczyć. Postać w tamtym miejscu i powspominać. — Zamyślił się na chwilę. — Teraz, kiedy już wiem, gdzie był, chyba tak właśnie zrobię. Drugiej szansy mogę już nie mieć.

— Naprawdę chcesz tam iść? — Barman podał wino. Kościec zapłacił. — Jeżeli czegoś potrzebujesz, zaprowadzę cię do nowego sklepu. Wszystko tam mamy.

— Nie ma potrzeby, dziękuję.

— Ołówki? A może piórniki i trochę papieru?

— Byłoby miło. Jesteś dla mnie bardzo dobry, ojcze. Zawsze taki byłeś, nigdy nie wywdzięczę ci się za wszystko, co zrobiłeś, ucząc mnie naszego fachu, ale dziękuję. Nie śmiałybym ci się tak narzucać.

— Na pewno?

— Na pewno. Nie potrzebuję tych rzeczy i źle bym się czuł, przyjmując je od ciebie.

— No dobrze, gdybyś zmienił zdanie, po prostu daj znać. — Kościec wstał. — Muszę... No wiesz. Przepraszam na chwilę.

— Jasne.

— Obiecuj mi, że nie wyjdiesz. Chcę cię wypytać o twoich synów i opowiedzieć ci o braciach. Przyrodnich. Rożek ma dziesięć lat, Kozioł osiem. Zaczekaj.

— Dobrze.

Rozmawiali jeszcze ponad godzinę. Później, kiedy wrócił do miejsca, gdzie dawniej stał sklep, na schodkach znalazł piórniki, nie nowy, ale nadal nadający się do użytku. Był wykonany z cienkiego metalu obciągniętego czarną skórą i niczym nie różnił się od piórników, które sprzedawali w tym sklepie przed dwudziestu laty uczniom scholi.

— Stoję przed tobą — powiedział, zwracając się do Oliwinu — ale zamierzam złożyć ofiarę żałobną za siebie, za moje ciało, które, o ile mi wiadomo, leży niepogrzebane na Zieleni. Nie mogłem tego zrobić w manteionie. Prawdę powiedziawszy w ogóle nie powinienem składać ofiary w manteionie, mógłbym co najwyżej asystować augurowi. Doszło do zamiany części. Myślę, że rozumiesz to lepiej niż biochem.

Pokiwała głową, chociaż chyba nie bez wątpliwości.

— Świetnie. — Podniósł wzrok. Wyobraził sobie Złotą Ścieżkę prowadzącą do Centralnego Procesora, chociaż nic nie widział, bo długie słońce skryło się pod kloszem. — Nie ma tu mojego ciała, nie ma go w ogóle w tym whorlu, ale składamy je w ofierze in absentia tobie, Quadrifonsie, i innym bogom tego whorla. Ofiarowujemy je również Zewnętrznemu, w którego królestwie spoczęło. Przyjmijcie, o bogowie, ofiarę złożoną przez tego dzielnego człowieka. Choć serca nam krwawią, my dwoje, czyli człowiek ten we własnej osobie oraz Oliwin, zgadzamy się na to. Co mamy czynić? Przemówiłeś już do nas, zapowiadając przyszłe czasy. Gdybyś chciał przemówić ponownie, czy to poprzez omeny i prorocstwa, czy też w inny sposób, każdy, nawet najmniejszy znak z twojej strony będzie dla nas bezcenny. Jeśli jednak postanowisz inaczej...

Podniósł ręce. Odpowiedziała mu cisza. Opuścił ramiona.

— Czekamy. Przemów do nas, błagamy, poprzez tę ofiarę.

Wziął do ręki chleb, który Oliwin wykradła z kuchni, i podniósł go przed sobą.

— Oto ciało moje. Przyjmij, o Zewnętrzny Zapoznany, ofiarę z niego składaną. Przyjmij ją, Pahu Wielki, i wszyscy inni bogowie.

Opuścił chleb, przełamał go na dwoje, rozsypując brunatne okruszki po całym obrusie, oderwał mniejszy kawałek i go zjadł.

— Oto krew moja. — Podniósł butelkę, opuścił, napił się z niej i prysnął winem na obrus.

— Umiesz z tego wyczytać... Umiesz z tego wyczytać, co się wydarzy, patere?

— Mogę spróbować.

Schylił się nad obrusem i wyduł wargi.

— Czy mój ojciec... Czy mój ojciec wróci, patere?

— Prawa część płótna — popukał palcem w materiał — odnosi się do augura i ofiarodawcy. Może już o tym wiesz?

Oliwin skinęła głową.

— Mamy tu dwoje wędrowców, mężczyznę i kobietę. — Uśmiechnął się, wskazując ślad na płótnie. — Oboje zbliżają się do drugiej kobiety, którą z pewnością jesteś ty. Wydaje się więc całkiem prawdopodobne, że przedstawiają twojego ojca i kobietę, na której poszukiwanie wyruszył. Ponieważ zbliżają się do ciebie z przeciwnych stron, można się spodziewać, że przybędą osobno. Musisz być na to przygotowana.

— Nie miałabym nic... Nie miałabym nic przeciwko temu!

W jej głosie brzmiała prawdziwa radość, która — można by pomyśleć — znalazła odbicie nawet w jej oczach, ale to było, rzecz jasna, niemożliwe.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz... Dlaczego tak na mnie patrzysz, patere?

— Bo wiem, jak mówi twoja matka, Oliwinie. Twój głos jest zwykle zupełnie inny, ale przed chwilą zabrzmiał zupełnie tak samo.

— Chciałam o niej z tobą... Chciałam o niej z tobą porozmawiać. — Oliwin podniosła ręce do twarzy. W ciszy, która zapadła, rozległ się metaliczny szcęk. — Proszę... Proszę, patere. Daj je... Daj je jej.

Na jej dłoni leżało oko, takie samo jak to, które zostawił na Zieleni, tyle że nie takie ciemne. Materiał zsunął się jej z twarzy, która teraz, z pustym oczodołem, do złudzenia przypominała twarz jej matki.

Cofnął się z przerażeniem.

— Nie mogę się na to zgodzić. Jesteś jeszcze młoda! Zakazuję ci! Nie możesz się poświęcać...

Oko spadło na płótno, między okruchy chleba i plamy z wina. Oliwin wyprostowała się i kuśtykając uciekła z pokoju, zanim zdążył ją zatrzymać. Jeszcze bardzo długo słyszał jej nierówne kroki na drewnianych i marmurowych schodach. Oddalały się od niego, zaplamionego obrusa i oka, które oddała matce.

— Dziękuję — powiedział. — Bardzo ci dziękuję, Ogarze. Dobry wieczór, Świnio. Mam nadzieję, że trafiłeś tu bez problemu. — Widząc Oreba, który przysiadł na wezglowiu łóżka w sąsiednim pokoju, dodał: — Człowiek wrócić.

— Jakiś gość chciał się z tobą widzieć, brachu. Ale se polazł.

Ogar pokiwał głową.

— Augur z pałacu prolokutora. Zostawił wizytówkę. Gdzie ja ją położyłem?

Rzeczy Ogara leżały rozrzucone na starej komodzie z różanego drewna. Zaczął je przekładać, szukając wizytówki.

— Żeśmy się o ciebie martwili, brachu.

— Niepotrzebnie. Chociaż zdaję sobie sprawę, że jest bardzo późno. Czego ten augur ode mnie chciał? I skąd w ogóle wiedział, gdzie mnie szukać?

— Zarejestrowałem cię. — Ogar odłożył zapalarkę, podniósł strzęp papieru i najpierw zajrzał pod niego, a potem przyjrzał mu się uważnie. — Takie są przepisy. Tu jest kopia tego, co napisałem. Chcesz zobaczyć?

Róg opadł na krzesło.

— Przeczytaj na głos. Jestem taki zmęczony, że nie mam na nic siły.

— No dobrze. Napisałem tak: Ogar z Zaścianka, Świnia z Na — beanntan i Róg z Błękitu.

— Tak się nazywa twoje miasto, Świnio? Nabeanntan? Nie mówiłeś nam o tym.

— Żem nie jest z miasta. — Świnia rozbierał się do snu. — Ale żem musiał coś powiedzieć, żeby se zapisali.

— Niewinne kłamstewko. Podejrzewam, że Gronostaj musi zgłaszać gości komuś w gwardii cywilnej... Teraz to pewnie jest gwardia calde. A stamtąd ta informacja w jakiś sposób dotarła do pałacu. Czego chciał?

— Ostrzec cię, brachu.

— Przed czym?

— Nie zarźnie! — zakrakał głośno Oreb.

Ogar na chwilę przerwał poszukiwania.

— Tak powiedział, kiedy zapytaliśmy, po co przyszedł, ale myślę, że w rzeczywistości chodziło mu o co innego.

— O co?

— Nie wiem. Powiedziałem, że może ci coś przez nas przekazać. Albo zostawić zapieczętowany list do ciebie. Nie chciał.

— Wypytywał o ciebie. Jak wyglądasz, gdzieś był. Idę się umyć, brachu. Chcesz iść pierwszy?

— Nie, dziękuję, już się kąpałem.

— Żem tak myślał. Mydłem zalatujesz. Ciuchy też masz nowe, nie?

— Tak, augurską togę, tunikę i spodnie. Ale nie jestem au — gurem, mówiłem wam. Wyjaśnianie trwałoby zbyt długo, wolę z tym poczekać do rana. Dziwię się, Ogarze, że skomentowanie mojego nowego stroju zostawiłeś Orebowi. Świnia musiał zrozumieć Oreba, bo inaczej nie wiem, skąd miałby wiedzieć.

— Człowiek mądry — zauważył Oreb.

Sumiaste czarne wąsy i gęsta broda mądrego człowieka drgnęły w uśmiechu.

— Kulki na mole, brachu.

Ogar wziął do ręki skromnie wyglądającą wizytówkę.

— Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak sam poruszysz ten temat, jeśli będziesz chciał o tym rozmawiać. Zdziwiłem się jednak, widząc cię w tym stroju tak szybko po tym, jak tamten drugi augur wyszedł. Proszę, tu jest jego wizytówka.

Patere Gulo Koadiutor Pałac prolokutora — Znasz go, brachu?

— Nie przestajesz mnie zdumiewać, Świnio. Jak ty to robisz?

— Słucham. Zaparło ci dech w piersi.

— Ja też to zauważyłem — powiedział Ogar.

— Naprawdę? Pewnie macie rację. Zdziwiło mnie jednak nie samo imię, chociaż je znam, lecz fakt, że ten człowiek jest koadiutorem. Mówicie, że chciał mnie ostrzec? To musi być poważna sprawa, jeżeli Jego Mądrość wysłała swojego koadiutora z ostrzeżeniem.

— Dobry Jedwab! Rybie głowy?

Pokręcił głową.

— Nie, nie chcę jeść. Mam po prostu ochotę odpocząć. Przespać się. A jeśli ja mogę iść do łóżka bez kolacji, i tobie nic

się nie stanie. Ogarze, mógłbyś mi wskazać jakiś kąć do spania? Nie będę wam dłużej zawracał głowy.

Ogar zaprowadził go do drugiego pokoju i wskazał siennik. Róg zdjął buty i wyciągnął się na posłaniu.

— Kiedy jedliśmy, nakarmiliśmy twojego ptaka — mruknął Ogar. — Nie martw się o niego.

Nie słysząc odpowiedzi, poruszony widokiem jego tragicznego oblicza, dodał, jeszcze bardziej zniżając głos:

— O nic się nie martw. Wszystkim się ze Świnia zajmujemy. Miał nadzieję, że mówi prawdę.

— *Ktoś do ciebie, Rogu!* — zawołała z kuchni matka.

Błądził w płomieniach i kłębach dymu. Nic nie widział, brnął przez ogień, który strawił całą dzielnicę; na oślep posuwał się pod prąd czasu, próbując dotrzeć do dwugłowego człowieka siedzącego na starym krześle, na którym ojciec zasiadał do posiłków.

— *Ktoś do ciebie.*

Obudził się zlany potem. Musiało minąć dobre dziesięć minut, zanim się zorientował, że jest znacznie starszy, a powrót do przeszłości jest możliwy jedynie w snach.

Kiedy odnalazł się w czasie, usiadł na sienniku. Od strony łóżka dobiegał ciężki oddech Ogara, w sąsiednim pokoju posapywał miarowo Świnia. Okno było otwarte. Nocny wietrzyk poruszał zasłonami, które niczym duchy szeptały o czasach wspaniałości „Gronostaja”. Oreba nie było słyhać — jeśli w ogóle był w pokoju, zapewne spał, ale najprawdopodobniej szybował właśnie gdzieś nad miastem.

To był idealny moment — a on mimo to czuł dziwną niechęć.

Wyciągnął wciśnięte pod łóżko buty i zaczął macać w poszukiwaniu stojącego w kącie kostura, zanim przypomniał sobie, że zostawił go w pałacu calde — albo w łazience, albo w przylegającym do niej pokoju. Gdyby Ogar lub Świnia się obudzili, mógłby powiedzieć, że właśnie po niego wraca. Ba, gdyby chciał ugłaskać swoje sumienie, mógłby naprawdę po niego pójść — chociaż o tej porze nikt chyba nie odpowiedziałby na pukanie do drzwi pałacu. Jeszcze mniej prawdopodobne było, aby wpuszczono go do środka i pozwolono zabrać kostur czy cokolwiek innego.

Ogar ani Świnia się nie obudzili.

Klucz tkwił w zamku. Przekręcił go ostrożnie, cicho, ‘wyśliznął się za drzwi, zamknął je od zewnątrz i schował klucz do kieszeni.

Tłumy klientów wydeptały szare ścieżki w puszystych niegdyś dywanach, balustrady przy schodach straciły część bala — sków. Z przestronnej sellarii zniknęło wiele sprzętów i lamp. Wyniosły młody człowiek z brodą czarną jak broda Świni sprzeczał się z recepcjonistą. Recepcjonista miał na sobie niebieską tunikę z czerwonym haftem, który wyglądał na tak dobrany, aby odpędzać noc i śmierć. Młody brodacz miał długą, zakrzywioną szablę i biały zawój zamiast kapelusza. Nawet na niego nie spojrzeli.

Drzwi do oranżerii były zamknięte na klucz, ale zamek był mały i tani, a same drzwi stare i spaczone.

Gdzie Thelx zwierciadło trzyma.

W wilgotnym powietrzu unosiła się woń rozkładu. Ogromne kwiaty zniknęły, drzewa pousychały albo zarosły pnączami, wielobarwne trawy zostały wdeptane w błoto. Tym bardziej

niewiarygodne wydawało się, że stawek przetrwał, ale światło z odległych krain niebios odbijało się złotem w jego toni.

Uklęknął i zamknął oczy.

— To ja, patere, Róg. Przyszedłem po ciebie. Chcę cię zabrać na Błękit. Jesteś tutaj. Wiem, że tu jesteś.

Nie doczekał się muśnięcia widmowych rąk, nie odpowiedział mu ulotny głos.

— To, co napisaliśmy o tobie z Pokrzywą... Nie zmyśliśmy tego. Opowiadałeś nam o różnych sprawach na statku powietrznym, pamiętasz? I powiedziałeś, że jakaś częśćka ciebie zawsze tu będzie. — Otworzył oczy. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że widzi w wodzie wizerunek Jedwabia. Było to jednak jego własne odbicie, w dodatku tak słabe, że znikło, gdy dłużej mu się przyglądał. — Jesteś tutaj. Wiem, że stąd nie odejdziesz, a ja nie będę cię mógł zabrać. Ale porozmawiaj ze mną, patere. Zawsze mnie lubiłeś. Nikogo w palestrze nie lubiłeś tak jak mnie.

Niektóre rośliny musiały jeszcze normalnie kwitnąć, bo nocny wiatr przyniósł słaby zapach kwiatów.

— Patere? Proszę cię, patere. Niczego w życiu tak nie pragnąłem, jak teraz rozmowy. Daj mi dosłownie minutę, nie więcej. Chcę cię zobaczyć.

— Kochałem ciebie i tylko ciebie. Nikogo więcej. Ciepłe usta musnęły jego ucho. W oczku wodnym starszy Jedwab klęczał obok Hiacynta. Oboje się do niego uśmiechali.

Ziewająca służąca, która otworzyła drzwi rezydencji calde, rozdziawiła usta i pospiesznie zeszła mu z drogi. Kiedy w końcu znalazł właściwy pokój i wziął w ręce pałkę, usłyszał w oddali strzały. Otworzył okno.

Najpierw rozległy się trzy, ze strzelby. Potem, nasłuchując, usłyszał jeszcze dwa. Konny gwardzista przemknął pod oknem.

Służąca czekała w korytarzu, aby odprowadzić go do drzwi. Była tak rozespana, że ostrzegając go przed niebezpieczeństwem czyhającym na ulicy, nazwała go calde.

— Jeden strzał oznacza zgon — odparł z uśmiechem. — Kiedy jest ich więcej, to znaczy, że ktoś okropnie pudłuje.

Tej prawdy nauczył się na gorszych ulicach i w tunelach dawno, dawno temu. Żałował, że nie ma drobnych, którymi mógłby zapłacić dziewczynie za otwarcie drzwi i ewidentną troskę o jego los, ale miał przy sobie tylko dwie całe karty, a karta to stanowczo zbyt hojna nagroda.

— Masz — powiedział, wcisnął służącej kartę w dłoń i oddalił się, zanim zdążyła go zawstydzić podziękowaniami.

Na ulicy było bardzo ciemno. Byłoby też zupełnie cicho, gdyby nie pięciu pędzących gdzieś gwardzistów. W głównej sali „Gronostaja” panował spokój, chociaż ktoś przewrócił stolik i stłukł wazon. Recepcjonista zniknął, sala była całkiem pusta. Schody wydały mu się dłuższe i bardziej strome niż poprzednio.

Kiedy wsunął klucz do zamka, Świnia zapytał sennie:

— Pamiętasz, brachu, jak krakały?

Chwilę trwało, zanim zebrał myśli.

— Naturalnie, Świnio. Pamiętam.

— Dalej tak samo gadają?

13

Jol

Namiot nie jest najlepszym domem na zimę. Sypiałem zimą w jaskiniach i innych miejscach i wszędzie było mi lepiej — teraz jednak jesteśmy w namiocie, i to z mojej winy. My, czyli Jahlee, Oreba i siebie.

Wczoraj rano przybiliśmy do portu w Nowym Vironie, po tym, jak zmienne wiatry przez cały dzień nie pozwoliły nam podejść do miasta, które widzieliśmy już na horyzoncie. Jak się domyślasz, z niezwykłą wręcz przyjemnością zesliśmy na ląd. Nawet Wijzer chyba był zadowolony.

Muszę w tym miejscu przerwać opowieść, której właściwie jeszcze nie zacząłem, aby wspomnieć, że kapitan proponował nam przybicie do brzegu Jaszczurki, mimo złej pogody i nędznych warunków do lądowania, jakie oferuje Zatoka Ogona. Wyjaśniłem wówczas, że choć bardzo chętnie udałbym się prosto do domu, obowiązek mi na to nie pozwala. Najpierw musiałem stanąć przed mieszkańcami Nowego Vironu, którzy uczynili mnie swym posłańcem, oraz załatwić kilka innych spraw. Żadne tortury zadawane w Wieży Matachina nie byłyby dla mnie tak bolesne jak widok maleńkiej złotej plamki okna naszego domu, kiedy stałem na pokładzie, na wpół oślepiony zacinającym deszczem i niesioną wiatrem morską pianą. Siedziałaś do późna, Pokrzywo, czytając, pisząc lub szyjąc — i

zastanawiając się zapewne, co się z nami dzieje. Ogromnie chciałem cię zobaczyć, choćby przez chwilę tylko i z bardzo daleka. Kusilo mnie, żeby posłać do ciebie Oreba. Wiem jednak, że przetrzymawszy ten huragan w domowym zaciszu zrozumiesz, dlaczego postanowiłem nie ryzykować jego małego życia.

Jeszcze jedna dygresja, na którą nic nie poradzę. Chcę go do ciebie posłać, gdy tylko odzyska siły. Morze obeszło się z nim okrutnie, ale za dzień lub dwa powinien dojść do siebie. Tymczasem mam nadzieję, że uda mi się przekazać ci dobre nowiny za pośrednictwem Sąsiadów. Wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że będą ze mną w stałym kontakcie, tak jak to miało miejsce w Dziurze. Jeśli tak się stanie, poproszę ich o przesłanie ci wiadomości.

Koniec końców wylądowaliśmy w Nowym Vironie. Oreb nauczył się nowej frazy: „Nie łódź!”, która wyraża zarówno jego odczucia, jak i moje, i to znacznie lepiej niż ja bym to potrafił ująć. Na pewno nie będzie mowy o żadnym zimowym żeglowaniu. Inni chyba podzielają moje zdanie — zwłaszcza Jahlee, która omal nie umarła, tak gwałtownie wymiotowała krwią. Przynajmniej udało jej się przekonać Wijzera i jego ludzi, że jest poważnie chora. (Wydaje mi się, że Racica zna prawdę, chociaż nic mu nie powiedziałem. Skóra utrzymuje, że też się z niczym przed nim nie zdradził i że powiedział tylko Vadsig. Jej z kolei nie pytałem. Zresztą równie prawdopodobne jest, że podejrzenia Racicy wzbudziło coś, co sam zobaczył albo co Jahlee mu powiedziała).

Gospody w mieście są niebezpieczne. Prosiliśmy różnych ludzi, aby polecili nam jakiś uczciwy i cichy lokal, ale ponieważ za każdym razem czekało nas rozczarowanie, kwestię noclegu

załatwiliśmy następująco: Racica, Skóra i Vadsig zamieszkali u mojego brata Zamsza i jego żony, którzy mają akurat trzy wolne łóżka. Ja i Jahlee kupiliśmy sobie namiot, który rozbiliśmy na piaszczystym placu nad morzem, będącym własnością miasta. Miasto wysłało mnie w drogę i dla niego trudziłem się przez blisko dwa lata bez zapłaty, więc przynajmniej tyle jest mi winne — tak tłumaczyłem ludziom, którzy przyszli nas wyrzucić. Mam nadzieję, że niedługo zostanę wezwany do złożenia sprawozdania z wyprawy.

Białozór ogłosił się calde i wygląda na to, że ludzie się z tym pogodzili. Rozmawialiśmy o tym z Racicą, kiedy nas odwiedził. Białozór rządzi jak tyran, tak ponoć twierdzi Zamsz, ale wielu mieszkańców woli tyranię od panującej wcześniej anarchii. To również wiem od Racicy, chociaż sam bym się tego domyślił. Mam nadzieję, że za rok lub dwa virończycy nie zmienią zdania. Tak będzie dla nich lepiej.

* * *

Dokładamy wszelkich starań, żeby w namiocie mieszkało się przytulnie. Okopaliśmy go ze Skórą i nacięliśmy chrustu, którym Jahlee bardzo przemyślnie obłożyła ściany, aby osłabić napór wiatru. Muszę w tym miejscu nadmienić, że trochę się ociepliło, co jest lepsze od każdej ilości chrustu. Mamy nieduży miedziany piecyk, który służy nam do gotowania i ogrzewa wnętrze. Na dobrą sprawę można by powiedzieć, że mieszka nam się zaskakująco wygodnie. Gdy tylko złożę raport i oddam komu trzeba kukurydzę, kupię jacht i odpłyniemy — ale po rejsie z Wij — zerem po wzburzonych sztormem falach niespecjalnie spieszy mi się do powrotu na morze.

Słońce i słaby wiatr — zima dobiega końca. Modłę się, aby naprawdę tak było. Kiedy się zaczynała, walczyłem w Gaonie z Wielkim Hanem; do głowy by mi wtedy nie przyszło, że zanim się skończy, będę prawie w domu. Zewnętrzny był dla mnie bardzo łaskawy. Jestem pewien, że czyta moje słowa, gdy przelewam je na papier. Atrament na moich podziękowaniach jeszcze nie wysechł.

Znowu przyszedł Racica. Zgodziliśmy się, że ja wprawdzie muszę na razie zostać w mieście, ale nie ma powodu, żeby on tkwił tu razem ze mną. Ma poszukać łodzi, która przewiozłaby go na Jaszczurkę. Dałem mu na to pieniądze. Oddałem mu również większą część tej relacji, do bandytów. Sam zapytał, czy mógłby ją przeczytać. Odparłem, że będzie mi bardzo miło, poprosiłem jednak, by na razie ci jej nie pokazywał, bo chciałbym najpierw z tobą porozmawiać. Zgodził się. Poprosiłem również, żeby na nią uważał, gdyż jest dla mnie bezcenna, on zaś obiecał się o nią zatroszczyć. To dobry chłopak, może trochę nad wiek poważny. Chciał mi coś powiedzieć, ale taki był zapłakany, że nie mógł tego z siebie wydusić. Objęliśmy się i pożegnali.

Opowiadał mi trochę o tym, co się z nim działo przed naszym spotkaniem w Dziurze. Przy następnej okazji będę musiał go pociągnąć za język — opiszę wtedy jego losy wraz z przygodami Skóry w Gaonie. Koniecznie.

Kiedy czeladnik odwiedzał mnie w celi, opowiadałem mu o pisaniu i wyrobie książek. Przyniósł pióro, atrament i papier, jakich używają we whorlu czerwonego słońca, i napisał mi kilka zdań: „Jesteś jedynym klientem, który mógł opuścić nasz loch, lecz postanowił zostać. Musiałeś odwiedzić wiele strasznych miejsc, jeśli to cię nie przeraża”. Mam nadzieję, że

cytuje go wiernie, pomijając ortografię — stosował bowiem pisownię charakterystyczną dla mieszkańców tamtego miasta, z której niewiele pamiętam poza tym, że bardzo różni się od naszej.

— Bywałem w miejscach bardziej niebezpiecznych — odparłem. — Żadne jednak nie było tak przerażające.

— Musiałeś już kiedyś być w Nessus. Mówiłeś, że spacerowałeś brzegiem Gyoll.

— Tak, to prawda, podczas wcześniejszej wizyty. Wtedy przenieśliśmy się z naszego whorla wprost do Zburzonego Dworu.

— Potraficie to zrobić? — Wybałuszył oczy.

— Przenieść się do Zburzonego Dworu? Najwyraźniej tak. Wtedy nam się udało.

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Nie można powiedzieć, żeby był przystojny. Raz, może dwa razy widziałem wesołe ogniki w jego oczach, ale chyba nigdy się nie uśmiecha.

— Sam mógłbyś napisać książkę, gdybyś chciał. My z Pokrzywą mieliśmy mnóstwo innych zajęć, kiedy pisaliśmy dzieło nazwane przez ludzi „Księżą długiego słońca”. Czekaliśmy do wieczora, aż bliźniaki zasną, i jedno z nas siadało do pracy. A czasem pisaliśmy oboje.

Wziął do ręki pióro. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć.

— Musisz tylko zdecydować, co chciałbyś powiedzieć w rozmowie z przyjacielem. Na pewno masz przyjaciół.

Pokiwał głową.

— Drotte’a, Roche’a i Eatę. Drotte jest ode mnie trochę starszy, Roche też. Eata jest młodszy.

— Ale jesteście przyjaciółmi, tak? Cała czwórka?

Znowu pokiwał głową.

— No to wyobraź sobie, że opowiadasz wszystko Drotte i Roche'owi. Będziesz się musiał postarać, a przy tym unikniesz czczych przechwałek, które kusilyby cię, gdybyś rozmawiał z Eatą.

— Rozumiem... — powiedział. Nadal jednak miał zatroskaną minę.

— Zwykle pisałem pierwszy. Chyba że opisywaliśmy wydarzenia, o których Pokrzywa wiedziała znacznie więcej niż ja.

— Pisałeś tak, jakbyś mówił?

— Tak. W wolnej chwili Pokrzywa przeglądała moje zapiski, poprawiała błędy, gdyż zarówno w gramatyce, jak i w ortografii jest ode mnie lepsza, i dodawała coś do siebie. Następnie ja przepisywałem całość, uwzględniając jej uwagi i czasami dorzucając jeszcze swoje komentarze, po czym ona przepisywała wszystko na czysto i zamykaliśmy ten fragment.

— Spójrz tylko! — Piórem dźgnął swoje duże Y. — Gdyby napisał je mistrz Palaemon, byłoby piękne!

— Uroda tekstu powinna tkwić w słowach. Wystarczy, że litery dają się przeczytać, nie muszą być piękne.

— Powiedziałeś, że twoja żona przepisywała wszystko po tobie.

— To prawda, ale to był drobiazg w porównaniu z ogromem pracy, jaki poza tym wykonywała. Zdarzało się, że musieliśmy wyobrażać sobie przebieg niektórych wydarzeń i rozmów. Jest w tym świetna. Setki razy przypominała mi o ważnych rzeczach. Poza tym, owszem, ma ładniejszy charakter pisma niż ja, ale to miało drugorzędne znaczenie.

— Ja nigdy niczego nie zapominam. Nie rozumiem, jak można zapomnieć.

— Masz szczęście. Przyda ci się to, kiedy dorośniesz do napisania własnej książki.

Pokręcił głową.

— Nie ma mowy, dopóki nie zatrudnię skryby, który ładnie pisze.

— A zrobisz to?

Gdy patrzyłem na jego łachmany, trudno mi było w to uwierzyć — ale gdy przeniosłem wzrok na jego wąską, skupioną twarz, wierzyłem w każde jego słowo.

— Kiedy zostanę mistrzem. Mistrz Gurloes najczęściej zleca pisanie mistrzowi Palaemonowi. Ale mistrz Malrubius miał skrybę, który dwa razy w tygodniu przychodził mu pomagać. Skrybowie nie mają wyboru: kiedy im każemy, przychodzą. Boją się nas.

— Nie dziwię im się. — Ostatni raz powiodłem wzrokiem po celi. Wiedziałem, że wkrótce ją opuszczę, i już zaczynałem za nią tęsknić. Znalazłem tu spokój, mogłem odpoczywać i modlić się.

— Ty się nie boisz.

— Skąd ta pewność? Może w duchu umieram ze strachu?

Pokręcił głową z uporem, który przywodził mi na myśl Ścięgno.

— Widziałem wielu klientów. Ty się nic a nic nie boisz.

— Bo wcale mnie tu nie ma.

— Ten sędzia się boi.

— Widzisz, on nic nie wie. — Z trudem zachowywałem powagę. — A może już wie, tylko boi się, że ja i moja córka zostawimy go tu samego? Co nie jest wykluczone.

— Ona jest czarownicą, prawda?

Jeśli mnie pamięć nie myli, nie odpowiedziałem na to pytanie.

— Co powiesz na to, żebyśmy złożyli mu wizytę? Pokażesz mi, gdzie go trzymacie?

Zastanawiał się przez chwilę, z brodą wspartą na dłoni.

— Nie powinienem cię wypuszczać...

— Nie zamierzam cię o to prosić. Sam wyjdę.

— Byłoby fatalnie, gdyby zobaczył cię jakiś czeladnik. — Nadal się wahał. — Chociaż w tej czarnej szacie mógłby cię wziąć za jednego z naszych. Pod warunkiem że nie zobaczy twojej twarzy.

— Najlepiej by było założyć kaptur. — Zrobiłem sobie kaptur na wzór tych noszonych przez czeladników i upiększyłem go ozdobami podpatrzonymi u mistrza Gurloesa. Uznałem, że moja siwa broda i włosy na to zasługują. — Ujdzie? Jak myślisz?

— Bardziej czarny. — Nie można mu było odmówić odwagi. — Nasze są z fuliginu. Jak sadza.

Zrobiłem, co mogłem.

— Może udałoby mi się załatwić ci miecz. Mam spróbować?

Uformowałem miecz — podobny do tych, jakie widywałem w rękach czeladników, z oburęczną rękojeścią i długim, prostym ostrzem.

— Mogę go wziąć do ręki? Jest prawdziwy?

— Naturalnie. — Podałem mu miecz. — Nie, nie jest.

Było widać, że wzięcie broni do ręki sprawiło mu przyjemność.

— Ciężki.

— To broń mojego przyjaciela Świni, tak ją zapamiętałem. Rapier. Możesz go ponieść? Nie jestem już młodzieniaszkiem.

— Tego się nie praktykuje.

Wyszliśmy — ja przez zamknięte drzwi, on przez otwarte.

* * *

Udałem się dziś rano do miasta, zdecydowany złożyć wreszcie sprawozdanie z poszukiwań. Do południa siedziałem w poczekalni u Białożora, potem wróciłem tutaj. Jutro najpierw pójde do Szpika — to znaczy do jego dawnego domu. Nie wątpię, że Szpik nie żyje; Racica nie okłamałby mnie w takiej sprawie. Kiedy jednak siedziałem beczynnie u Białożora, oddając się rozmyślaniom, przyszło mi do głowy, że Szpik mógł mi zostawić wiadomość. Na pewno warto to sprawdzić. Nie będzie to gorsza strata czasu niż to, co zrobiłem dzisiaj.

Kiedy prolokutor poprosił mnie o złożenie ofiary w Wielkim Manteionie, również uznałem to za mało znaczącą stratę czasu, teraz jednak widzę, że w ten sposób sam przyczyniłem się do swojej porażki. Gdybym nie przystał na jego prośbę, może udałoby mi się znaleźć Jedwabia, który, jak słyszałem, zatrzymał się w naszej gospodzie. O tym jednak dowiedziałem się zbyt późno. Czasu raz straconego — takiego, w którym niczego nie osiągamy i z którego nie mamy żadnej przyjemności — nie sposób odzyskać.

Bawię się z Orebem i drapię Babbiego za uszami; ani jedno, ani drugie nie jest stratą czasu, bo wszyscy trzej mamy z tego sporo frajdy. Poza tym czuję, że mam prawo do chwili wytchnienia po tym wielogodzinnym siedzeniu i gapieniu się. Dochodzę do wniosku, że nie umiem się modlić w obecności ludzi, którzy nie modlą się razem ze mną.

Nie, to nieprawda. Po prostu nie próbowałem. Jutro znów tam pójde i jeśli Białożór (który nie mniej od Szpika i

pozostałych jest odpowiedzialny za wysłanie mnie na poszukiwania) znów nie znajdzie dla mnie czasu, będę się modlił. Może inni do mnie dołączą. Tak, ta myśl podnosi mnie na duchu! Już nie mogę się tego doczekać.

Jedwab modlił się na statku Ayuntamiento, kiedy doktor Żuraw mu się przyglądał. Jeżeli on mógł, mogę i ja.

Wróciła Jahlee, uradowana i rozmowna. Chłód, wilgoć i brak światła bardzo jej odpowiadają.

— To o wiele lepsze niż śnieg, rajanie. O wiele! Muszę się dużo ruszać, to prawda, ale wyspałam się za wszystkie czasy. Mam wrażenie, że mogłabym już nigdy nie spać. I czuję głód. To cudowne!

Kazałem jej obiecać, że nie będzie atakować dzieci.

— Ani biedaków. Zawsze mi to powtarzasz.

— Słusznie, biedaków też nie. Nikogo, kto chodzi głodny. Obiecujesz?

Uśmiechnęła się, na ułamek sekundy odsłaniając kły.

— Nie zamierzam sama się pogryźć, jeśli o to ci chodzi. Mogłabym wrócić i pokąsać Wielkiego Hana?

— Wielki Han przypuszczalnie nie żyje.

— Na pewno mają już nowego. Ale tak na serio, to przydałaby mi się jakaś ładna kobieta, podobna do mnie. Obiecuję jej nie zabić.

— I do niej nie wracać.

— Najwyżej raz. Masz moje słowo. — Ruszyła do wyjścia: młoda, piękna, elegancka kobieta w białym futrze. — Myślisz, że lepiej bym wyglądała jako brunetka?

— To możliwe. — Zmierzyłem ją wzrokiem. — Nie, jednak nie. Trudno byłoby coś w tobie ulepszyć.

— Większy biust? — Zakołysała biodrami w sposób, który Vadsig nazywa „bujaniem”. — Węższa talia? Powiedz szczerze.

— Zła rzecz! — To Oreb.

— Szczerze? Nie radzę ci próbować ani jednego, ani drugiego, bo złamiesz się na dwoje.

Roześmiała się. Uroczo się śmieje, mnie jednak wydało się, że w namiocie pociemniało.

— Mam ochotę na seks z jednym z was. Z jedną z waszych kobiet. Potem się posilę. To dopiero będzie zabawa, co?

Usiłowała mnie sprowokować. Zbyłem ją machnięciem ręki.

— Chciałem porozmawiać z tobą o czymś poważnie, Jahlee. Może to dobry moment.

— Chcesz, żebym sobie poszła? Nie mogę mieć o to do ciebie pretensji.

Podkasła spódnicę i tanecznym krokiem podeszła do wyjścia.

— Nie, skądże. Wcale nie.

— To dobrze. Bo długo bym bez ciebie nie wytrzymała. — Zadarła spódnicę wyżej, odsłaniając nogi. — Ładne, prawda?

— Nawet bardzo.

— Ale słabe. Silniejsze nie będą. Muszę sobie poszukać nowego wierzchowca.

— Mogłaś przyjechać tu z Dziury na swoim białym mule. Chociaż straciłabyś znacznie więcej czasu.

Wzruszyła ramionami.

— O ile w ogóle bym tu dotarła. Już wolałabym... no wiesz.

— Przylecieć.

— Nie mów tego głośno, to nierozważne. Nawet gdybym uszła z życiem, muła i tak bym straciła, a musiałabym podróżować bez ciebie. — Pierwszy lepszy mężczyzna albo...

— Nie sędzę. Ale mniejsza z tym. Wybieram się do miasta po nowego muła albo coś w tym guście. Jeśli tylko znajdę jakąś łódź.

Życzyłem jej powodzenia.

— Merryn też miała kłopot ze zwierzętami — dodała i wyszła.

Od dłuższej chwili łamię sobie głowę nad tym imieniem. Najpierw, co zrozumiałe, pomyślałem, że Merryn to jakiś inny inhumi z Gaonu. Wtedy jednak nie byłoby sensu podkreślać, że miał problemy ze zwierzętami, ponieważ mają je wszyscy inhumi.

Kiedy poszliśmy z katowskim czeladnikiem do celi Jahlee, zastaliśmy u niej chorowitą kobietę. Była blada i wychudzona. W pierwszej chwili przestraszyłem się, że Jahlee pije jej krew, dopóki nie przypomniałem sobie, że we whorlu czerwonego słońca je (i zarazem nie je) to samo co ja. Różnice dzielące nasze systemy trawienne zatarły się, jeśli można tak powiedzieć, gdy nasze układy pokarmowe przestały istnieć.

— To mój ojciec — przedstawiła mnie obcej kobiecie. — A tego chłopca nie znam.

Kobieta się uśmiechnęła. Widząc ten uśmiech, uznałem, że nie można jej ufać.

— A to mój brat — powiedziała. — My, wiédźmy i kaci, jestešmy braćmi i siostrami.

Miała piskliwy, nieprzyjemny głos.

— Przeprowadziłem ją tutaj — wyjaśnił czeladnik. — Jest wiédźmą. — Skinieniem głowy wskazał Jahlee. — Pomyślałem, że druga wiédźma jej pomoże.

Kusi mnie, żeby napisać w tym miejscu, że młoda wiédźma znowu się uśmiechnęła, ale na jej twarzy pozostał po prostu

tamten poprzedni uśmiech, jakby o nim zapomniała.

— Nie ma mocy.

— Nie znasz jej — zauważył czeladnik.

— Nie wyczuwam w niej mocy, a poza tym sama twierdzi, że jej nie ma.

Wiedźma wstała. Poruszała się sztywno, jak kobieta przygięta brzemieniem wieku.

— Bo tak jest — przytaknęła Jahlee. — Jestem zwykłą ludzką kobietą.

Szczęście bijące od niej, gdy wypowiadała te słowa, radowało moje serce.

— Pójdę już — stwierdziła wiedźma.

Czeladnik otworzył drzwi, wyszedł razem z nią i zamknął celę od zewnątrz. Przez zakratowany judasz usłyszałem, jak mówi, że chciałby nam pokazać swojego psa. Nie wiem, czy wiedźma coś odpowiedziała; niczego nie usłyszałem.

— Chętnie go zobaczę — powiedziała Jahlee, przechodząc przez drzwi. — Uwielbiam psy.

Wyszedłem tuż za nią, w samą porę, aby zobaczyć rozdziawione usta wiedźmy i jej ziejące bezdenną pustką wielkie, ciemne oczy.

(Muszę pamiętać, żeby zapytać Jahlee o sekret. Nie mogę ujawnić go Pokrzywie, chociaż bardzo bym chciał, żeby go poznała i zrozumiała. Jahlee może to zrobić. Była w świetnym humorze. Powinienem był ją zatrzymać).

* * *

Mamy jacht! Zewnętrzny widział, że potrzebujemy łodzi, i zesłał nam jacht, w którego posiadanie weszliśmy bez pieniędzy i prawie bez kłopotu. Dziś rano znalazłem dom, w którym

dawniej mieszkał Szpik. Sprzedano go, ale nowy właściciel był tak uprzejmy, że skierował mnie do dobrej kobiety imieniem Papryka, która zarządza majątkiem Szpika.

— Mam list od niego — powiedziała i podała mi pismo.

Nie przytoczę tu jego treści, ponieważ nie pamiętam użytych w nim sformułowań, ale Szpik pisał w nim o Papryce jako swojej „ukochanej”, używał innych czułych słówek, prosił, aby zajęła się rozdaniem prezentów, które poniżej wyliczał, oraz pozwalał jej zatrzymać resztę majątku dla siebie.

— Od lat się przyjaźniliśmy, a po śmierci żony nie miał już nikogo oprócz mnie. Gdyby nie ja, nie osiągnąłby tego, co mu się udało. — Westchnęła. Miała oczy koloru błękitnej porcelany i dużą, okrągłą twarz, która w tej chwili wyrażała mniej więcej tyle samo emocji co porcelanowy talerzyk. — Nadal byłby wśród nas.

Zapytałem, co ma na myśli, ale nie chciała mi wyjaśnić.

— Czasu się nie cofnie. Byłeś jego przyjacielem?

— Stał na czele pięcioosobowej delegacji z miasta, która kazała mi wyruszyć na poszukiwanie patere Jedwabia. Później się zaprzyjaźniliśmy.

— Tego, który był calde, kiedy odlatywaliśmy?

— Tak, właśnie o nim mówię.

— Udało ci się go sprowadzić?

Pokręciłem głową.

— Staralem się, ale zawiodłem. Nie zrozum mnie źle: nie szukam nagrody, gdyż nie mam do niej prawa. Przywiozłem jednak ziarna kukurydzy, których potrzebowaliśmy, i chciałbym przekazać je komuś, kto zrobi z nich dobry użytek. Spodziewałem się, że po powrocie zgłoszę się do Szpika. Dowiedziawszy się, że nie żyje, próbowałem skontaktować się z

Białozorem. Kiedy mi się nie udało, pomyślałem, że może Szpik zostawił mi wiadomość albo jakieś instrukcje.

— Potrzebujesz pieniędzy? Mogłabym ci trochę dać.

Wstała, podpierając się grubą czarną laską, i podeszła do sekretarzystki.

— Nie. To, co mam, wystarczy na zaspokojenie potrzeb moich i mojej rodziny.

Wstałem, kiedy ona wstała, ale machnęła ręką, żebym usiadł.

— Jak się nazywasz? Bo zapomniałam... — Róg.

— Mhm.

— Mieszkamy na Jaszczurce. Szpik i ci pozostali przyplłynęli tam do nas. Wtedy pierwszy raz rozmawialiśmy.

Nie odpowiedziała. Jest wysoka, przysadzista, ma drobne usta i bujne siwe włosy.

— Nie powinienem był się zgodzić, teraz to wiem. Wtedy jednak myślałem, że to mój obowiązek.

— Co miałeś nadzieję zyskać?

— Pytasz o pieniądze? — Pokręciłem głową. — Nie spodziewałem się zapłaty, chociaż gdyby mi ją zaproponowano, raczej bym nie odmówił. Ale masz rację, chciałem coś z tego mieć. Miałem nadzieję spotkać się znowu z Jedwabiem i z nim porozmawiać.

— Chcesz chusteczkę?

Podawała mi chusteczkę — małą, obszytą koronką, a mnie stanęły przed oczami ogromne, męskie chustki, które maytere Marmur zwykła była upychać po rękawach. Pokręciłem głową i otarłem oczy.

— To pewnie przez wiatr — powiedziałem. — Albo od nadmiaru pisania. Dużo ostatnio piszę, głównie przy lampie.

— Ja piszę listy tutaj. — Wskazała różane biurczko. — Dużo światła wpada przez okno. Widzisz?

Przyznałem, że stoi w dogodnym miejscu.

— Tylko że ja w ogóle mało piszę, więc jeśli chcesz, mógłbyś tu czasem przychodzić i sobie pisać.

Podziękowałem jej i zapytałem ponownie, czy w dokumentach Szpika znalazła jakąś wzmiankę na mój temat.

— Jest tego mnóstwo. — Nie chciała mi spojrzeć w oczy. — Nie wszystko jeszcze przejrzałam. Ale sprawdzę. Mógłbyś przyjść jutro?

— Z przyjemnością.

— Na pewno nie chcesz nic zjeść?

— Miło, że pytasz, ale dziękuję.

— Ja zjem. — Zadzwoiła dzwonkiem. — Jeżeli coś znajdę, muszę mieć pewność, że naprawdę jesteś Rogiem.

Przyznałem jej rację i pochwaliłem tę ostrożność.

— Na lądowniku byłeś pewnie małym szprotem.

Przytaknąłem, dodając, że sam uważałem się za mężczyznę.

— Dla ciebie to chyba odległa przeszłość, prawda? Dla mnie nie. Wydaje mi się, że minęło dosłownie kilka lat. Chętnie dałabym ci także pieniądze, ale muszę wiedzieć, że to ty.

— Mówiłem ci już, że nie potrzebuję pieniędzy. Jeśli zaś chodzi o potwierdzenie mojej tożsamości, w mieście mieszka mój brat, Zamsz. Na pewno za mnie poręczy.

Niewolnica weszła do pokoju. Ukłoniła się. Papryka kazała jej podać herbatę i przysłać „chłopca”. Po wyjściu służącej otworzyła sekretarzyk i wyjęła z niego dwie karty.

— Prawdziwe. Takich używaliśmy tam, w domu. Za jedną taką Kapituła zapłaci ci cztery złote karty.

Spodziewała się chyba, że jej twierdzenie podam w wątpliwość, spytałem więc:

— Masz na myśli patere Remorę? Wątpię. Nie są moje.

Przyszedł chłopiec w wieku około dziesięciu lat, którego przedstawiła jako swojego wnuka.

— Posłuchaj, Łasico. Pójdiesz do sklepu Zamszu. Ten pan wyjaśni ci, jak tam trafić. Poprosisz Zamsza, żeby tu przyszedł i potwierdził tożsamość tego pana, który twierdzi, że jest jego bratem.

Nie znam dobrze Nowego Vironu, ale najlepiej jak umiałem objaśniłem Łasicy drogę do sklepu. Kiwał głową, tak jakby mnie rozumiał.

— Masz czarodziejskiego ptaka?

Roześmiałem się i odparłem, że mam oswojonego ptaka, który wcale nie jest czarodziejski. Nie miałem serca pozbawiać go złudzeń i tłumaczyć mu, że czarodziejskie ptaki nie istnieją.

— Gdzie on jest?

— Posłałem go do żony z wiadomością, że nasz syn, Racica, już wraca do domu, a reszta rodziny, czyli Skóra, nasz drugi syn, jego narzeczona, nasza córka i ja wrócimy wkrótce.

Papryka uśmiechnęła się na myśl o zbliżającym się weselu.

— Po śmierci żony Szpik chciał się ze mną ożenić, ale się nie zgodziłam.

Powiedziałem, że przykro mi to słyszeć.

— No, biegnij, Łasico. Poproś tego pana, żeby tu przyszedł. Nic więcej nie musisz wiedzieć. Darlibyśmy tylko koty, patere. Nigdy nie żałowałam, że powiedziałam „nie”.

— Nie jestem augurem. Wiem, że mam na sobie augurską togę, ale to zbieg okoliczności.

— Mówiłeś, że masz żonę?

— Bo to prawda. Ale niektórzy augurowie mają żony.

— Patere Jedwab podobno się ożenił. Tak słyszałam.

Wróciła niewolnica, uginając się pod ciężarem tacy z herbatą i winem, kubkami, kieliszkami, sosjerkami i takim mnóstwem kanapek i ciastek, że pożywiłaby się nimi cała palestra. Napilem się herbaty (chcąc sprawić przyjemność Papryce, wychyliłem także kieliszek wina) i zjadłem kanapkę. Była przepyszna.

Powspominaliśmy trochę Viron. Opowiedziałem o zniszczeniach w Dzielnicy Słońca. Papryka myślała, że dawno ją odbudowano.

— Gdyby nie tamten pożar, chybabym tu nie przyleciała, patere. Miałam tam ładne lokum, całe piętro bardzo przyjemnego domu, z czynszem opłaconym za pół roku z góry. Ale kiedy dom się spalił, pomyślałam, że wszystko straciłam, a on chce odejść, jego też stracę. Dlatego poszłam za nim.

Chwilę bawiła się wyjętymi z sekretarzyka kartami, wreszcie odłożyła je na miejsce. Przypominały jej Viron i utracone mieszkanie.

— Dlaczego ludzie są tacy niedobrzy?

— Bo oddalają się od Zewnętrznego.

Wcześniej nie myślałem o tym w ten sposób, odpowiedziałem więc bez namysłu, ale kiedy wypowiedziałem te słowa, dotarło do mnie, że mam rację.

— A kto to? — Bóg.

Nagle przestraszyłem się, że powiem za dużo, że za bardzo będę naciskał.

— Po prostu bóg? — Wzięła sobie następną kanapkę.

— Boskość to mało, Papryko?

— Jest dużo bogów, w dodatku czasem mam wrażenie, że są nie lepsi od nas.

— Oni też się od niego oddalili. Poza tym w rzeczywistości wcale nie ma wielu bogów, nie ma nawet dwóch. Całą boskość, o jakiej można w ich wypadku mówić, a nie jest tego wiele, zawdzięczają Zewnętrznemu.

— Nie rozumiem. — Wyglądała na szczerze zaskoczoną.

— Używasz laski. Wyobraź sobie, że ta laska umiałaby sama chodzić i postanowiła od ciebie odejść.

Roześmiała się, a ja zrozumiałem, co przed laty pociągało w niej Szpika. Nie śmiała się pod publiczność, jak to często zdarza się kobietom, lecz szczerze, tak jak śmieją się dzieci i mężczyźni.

— Gdyby Zewnętrzny postanowił stworzyć laskę, byłaby to laska doskonała, zdolna chodzić i myśleć samodzielnie. — Pokazałem jej kostur, który wyciął dla mnie Cugino. — Gdyby jednak postanowiła od niego odejść, zamiast przyjść, kiedy ją zawoła, nie byłaby już laską, tylko chodzącym kijem. Gdyby zobaczył ją ktoś rozpalający w piecu, złapałby ją, połamał i dorzucił do ognia.

Przyglądała mi się badawczo, jedząc, ja zaś mówiłem dalej:

— Wielokrotnie się od niego oddalałem, ale zawsze podążał za mną. I mam nadzieję, że to się nie zmieni.

— Dopóki się nią podpieram, jest zwykłą laską. — Podniosła swoją czarną laskę. — To właśnie masz na myśli?

— Tak.

Strzepnęła okruchy z dłoni, zgarnęła karty i rzuciła mi je na kolana.

— Weź je.

— Nie potrzebuję ich, mówiłem przecież.

— Może kiedyś ci się przydadzą.

Palcami prawej dłoni podrapała się po wnętrzu lewej — znaczenia tego gestu nie zrozumiałem i nadal nie rozumiem.

— Nie lepiej poczekać, aż ktoś potwierdzi, kim jestem?

— Jesteś Róg, człowiek, któremu Szpik kazał sprowadzić Jedwabia.

— Właśnie.

Pokręciła głową.

— Na razie nie dałam ci nic z rzeczy pozostawionych przez Szpika. A karty są moje i chcę ci je dać. Mówił, po co mu Jedwab?

— Naturalnie. W mieście panował chaos, szerzyło się bezprawie. Szpik i pozostali próbowali stworzyć rząd, ale nie mogli się porozumieć w kwestii wyboru calde; obawiali się zresztą, że mieszkańcy nie zaakceptują ich decyzji. A na Jedwabia wszyscy by się zgodzili, nawet tych pięcioro, którzy po mnie przyszli.

— Niepotrzebny nam już calde — stwierdziła z goryczą Papryka. — Mamy Białozora.

— Biorąc pod uwagę, że nie udało mi się sprowadzić Jedwabia, to chyba dobrze.

Nic nie odpowiedziała. Obserwowała mnie ponad krawędzią kieliszka.

— Myślisz, że zabił Szpika, prawda?

— Tego nie powiedziałam. I nie powiem.

— Ale tak właśnie myślisz. — Zawahałem się, szukając słów, które byłyby przynajmniej do zniesienia, jeśli nie do zaakceptowania. — Ja nic o tym nie wiem. Wróciłem dopiero przed kilkoma dniami.

Pokiwała głową.

— Przypuśćmy jednak, że jest inaczej i mam absolutną pewność, że Szpik, który walczył u mojego boku w tunelach, a potem pomagał mi wypełnić misję, którą sam mi zlecił, został

zamordowany przez człowieka, który obwołał się nowym calde. — Odłożyłem karty na tacę. — Nawet dysponując taką wiedzą, musiałbym się zastanowić, jakie skutki dla miasta miałyby usunięcie go z urzędu i postawienie przed sądem. Trudno byłoby obalić górę; z pewnością się ze mną zgodzisz. Łatwiej ją jednak obalić niż potem zastąpić nową.

Nadal nic nie mówiła.

— Zwracam ci karty — dodałem. — Nie mam prawa ich zatrzymywać.

Łasica wrócił z wiadomością, że Zamsz wprawdzie nie przyjdzie, ale dał mu list. Papryka złamała pieczęć, rozłożyła papier i dwukrotnie przeczytała pismo. Zapytałem, czy i ja mógłbym poznać jego treść, skoro mnie dotyczy.

Pokręciła głową i schowała list do szuflady sekretarzyka.

— Zamsz pisze, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Poza tym porusza pewne osobiste sprawy, których wolałabym nikomu nie ujawniać, dopóki się z nim nie skonsultuję. Żywiłeś nadzieję, że Szpik zostawił ci jakiś list, prawda?

— Tak. Miałem rację?

— Nie. Ja w każdym razie nic takiego nie znalazłam. Zostawił ci jednak coś innego. Łódź.

Na mojej twarzy musiało się odmalować zaskoczenie.

— Chyba koniecznie chciał ci coś dać. Uznał zapewne, że jacht do niczego mi się nie przyda i po prostu go sprzedam. I pewnie tak bym zrobiła, gdyby nie wpisał go na listę prezentów. Nie znam się na łodziach.

Poszliśmy do portu obejrzeć łódź. Dzień był słoneczny i zimny, a my szliśmy bez pośpiechu, w towarzystwie jej wnuka i jeszcze jednego chłopca, jego rówieśnika. Jacht na rufie ma napis „Lilia Wodna”. Przypomina mi o przykrym fakcie, jakim

było zamordowanie Lilii, córki Języka, do którego doszło podczas mojej nieobecności. Nazwę jacht „Morska Pokrzywa”. Jest jolem (jeszcze takim nie pływałem), ma wysoki maszt bliżej dziobu i drugi, mniejszy, przy rufie.

— Poradzisz sobie z nią sam? — spytała Papryka. — Ja ci wiele nie pomogę.

Zdziwiłem się, że w ogóle pomyślała o żeglowaniu. Powiedziałem jej o tym.

— Byłam tu dwa razy, przyszłam obejrzeć łódź. Powinnam — dodała przeprasząco. — Szpik kazał mi się wszystkim zaopiekować.

— Oczywiście.

Odwróciła się do mnie plecami i spojrzała na jacht. Laską postukiwała w spaczony deski pomostu.

— Kiedy byłam młodsza...

Wskazałem Łasicę i jego kolegę, którzy już wskoczyli na pokład.

— Chcesz gdzieś popłynąć?

Jol jest szerszy od mojego starego słupa i chyba odrobinę krótszy, prowadzi się jednak świetnie i śmiga po falach jak kaczka — a to przecież najważniejsze. Posadziłem Paprykę przy sterze, poprosiłem, żeby nie poruszała nim zbyt gwałtownie, i z pomocą chłopców zabrałem się do stawiania żagli. Postawiliśmy duży gąflowy grot, mały trójkątny bezan (był owinięty na bomie bezanmasztu; to chyba jedyny żagiel na bezanmaszcie) i kliwer. Mogliśmy, naturalnie, wciągnąć więcej płótna, ale uznałem, że na nieznaną mi łodzi byłoby to nierozsądne. Odbiliśmy od brzegu i żwawo ciąłiśmy wodę. Chłopcy byli zachwyceni; Papryka chyba też.

— Po przybyciu do miasta poprzysiągłem sobie, że nigdy więcej nie będę żeglował w zimie — powiedziałem. — I będę się upierał, że dotrzymałem słowa. Dziś mamy pogodę wręcz wiosenną.

Skinęła głową. Zarumieniła się, z nosa jej kapąło, promieniała.

— Wiatr niesie zapach wodnych kwiatów.

Czyjaś drobna rączka pociągnęła mnie za rękaw.

— On wróci?

— Kto?

— Łasica mówi, że kazałeś mu porozmawiać z kimś innym.

— Ach, Oreb... To prawda. Posłałem go do żony.

Obserwowałem pracę grota i nie zwracałem uwagi na małą, pełną powagi buzię.

— Ale wróci?

— Mam nadzieję. Zawsze wraca, chociaż kiedyś czekałem na niego prawie rok.

Papryka pogoniła chłopców i zachęcającym gestem wskazała mi nadburcie obok siebie.

— Grozi ci niebezpieczeństwo, wiesz o tym?

Usiadłem.

— Na pewno nie ze strony tych chłopców. Poza tym morze często bywa niebezpieczne, ale raczej nie w tej chwili. Pewnie chodzi ci o Białożora?

Przytaknęła.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Wiem, że przyszło ci to do głowy, kiedy rozmawialiśmy o tym, jak został calde — wynikało to z tonu twojego głosu i wyrazu twarzy. Ale Białożór stał na czele grupy, która wysłała mnie na poszukiwanie Jedwabia. Nie

może mi mieć chyba za złe, że próbowałem spełnić jego polecenie, a jeżeli chce mnie ukarać za to, że zawiodłem...

Wzruszyłem ramionami.

— Powiedziałeś, że obawiali się wtedy, że jeżeli któreś z nich zostanie calde, ludziom się to nie spodoba.

Niezupełnie tak powiedziałem, ale teraz pokiwałem głową.

— Za to z ciebie byliby zadowoleni. — Papryka się zamyśliła. — Miałeś rację. — Niczego takiego nie powiedziałem. Stwierdziłem tylko, że uważano, iż mogliby zaakceptować calde Jedwabia.

Nie odezwała się już więcej do czasu, gdy zawróciliśmy z powrotem w stronę miasta — wtedy zaczęliśmy rozmawiać o możliwości obalenia Białożora.

— Jeżeli dasz mu dość czasu, zabije cię, patere.

— To nie Białożór jest chorobą, która trapi Nowy Viron. Zanim objął władzę, w mieście panowało okrutne bezprawie, teraz, jak mi się wydaje, zmieniło się na lepsze. Jak to mówią: narowi — sty koń wymaga solidnego bata. Obaliliśmy sędziów rządzących Dziurą. Mogłaś o tym słyszeć.

Nie zareagowała. Chłopcy przesiedli się bliżej, żeby posłuchać.

— To było proste — tak proste, że ja i moja młoda przyjaciółka kazaliśmy sędziemu prowadzącemu mój proces wydać wyrok skazujący, gdyż w przeciwnym razie mogłoby w ogóle nie dość do zaplanowanego przez nas buntu. Chciał oddalić zarzuty, bo się bał. Trzymaj kurs, bardzo cię proszę. Znosi nas.

Wyjąłem jej rumpel z ręki i wróciłem na kurs.

— Dobrze poznałem mieszkańców Dziury — ciągnąłem. — To dobrzy ludzie, odważni, pracowici i o wiele czystszy od nas;

zawzięci kupcy, ale łagodni i w większości uczciwi. Sędziowie wykorzystywali ich dobroduszość i dlatego musieli odejść; gdybym ja ich nie usunął, najdalej za parę lat mieszkańcy sami by się tym zajęli. Z tego, co widziałem, wnoszę, że Białozór nie wykorzystuje zalet virończków, lecz ich wady. Jeżeli są zbyt kłótniwi, by się przeciw niemu sprzymierzyć, i zarazem tak porywczy, że są gotowi płacić mu podatki, by chronił ich przed sobą nawzajem, nie mają powodów do narzekań.

Nadal nie wyglądała na przekonaną.

— Dziura przypominała Viron, bo potrzebowała lepszych władz. A Nowy Viron potrzebuje lepszych ludzi — dodałem.

Zbliżaliśmy się do portu. Podyrygowałem Łasicą i jego kolegą, którzy ściągnęli grot, i kazałem im czuwać z fałem w rękach. Czarny punkcik w oddali zwrócił moją uwagę. Pomachałem do niego i wróciłem na swoje miejsce.

— W obecnej sytuacji żaden dobry człowiek nie byłby w stanie rządzić Nowym Vironem — stwierdziłem stanowczo. — Nawet generał Mięta.

— Ani Jedwab.

— Ani Jedwab. Słuszna uwaga. Musieliby albo stać się gorsi, albo przekazać ster komuś innemu.

* * *

Oreb przyfrunął (powinienem był o tym wspomnieć wczoraj, kiedy pisałem) tuż po tym, jak zwinęliśmy grotżagiel.

— Ptak wrócić! Jedwab dobry! — obwieścił głośno i zaczął mnie skubać za włosy.

Bzdury, jak zwykle.

Obiad w pałacu calde

Czy wszyscy chcecie spotkać się z calde? — spytał z powątpiewaniem sekretarz Bizona. — Ano — przytaknął Świnią, wstając. Ogar skinął głową, odchrząknął i wykrztusił:

— Ta... Tak.

— Zły człowiek! — Oreb najwyraźniej nie polubił urzędnika.

— Zobaczę, co się da zrobić — powiedział sekretarz i po raz drugi zniknął za masywnymi, rzeźbionymi drzwiami z dębowych desek.

— Pewnie dużo się zmieniło, odkąd ostatnio tu byłeś? — spytał Ogar, prawdopodobnie, by zamaskować swoje zdenerwowanie. — Prawda, Rogu?

Pokręcił głową.

— Wcale nie. Dywan jest nowy, ale nie różni wiele od tego, po którym szedłem, niosąc wiadomość dla calde Jedwabia. Pamiętam te drzwi, a wydaje mi się, że i krzesła stały tu tak jak teraz.

Skryba wrócił i skinął na niego.

— Wchodzimy — powiedział, zwracając się do Świni. — Uważaj na nadproże. Świnią wziął go za rękę.

— Żeśmy nie czekali długo, brachu.

— Istotnie. To bardzo łaskawe ze strony calde.

W wyłożonym drewnem pomieszczeniu za drzwiami znajdowały się następne krzesła i dwa zavalone papierami biurka. Drugie drzwi, większe od pierwszych i zaopatrzone w masywną mosiężną klamkę, powoli, choć bez zgrzytów ustępowały pod naporem skryby. W poszerzającej się szparze pojawiło się wysokie okno z widokiem na miasto, a obok niego krawędź szkła, pustego teraz, lecz opalizującego obiecującą, gołębioszarą poświatą. Barczysty, uśmiechnięty mężczyzna pomógł skrybie otworzyć drzwi. Miał szpakowatą brodę i wysokie czoło. Na jego widok Ogar z wysiłkiem przełknął ślinę.

Brodacz się uśmiechnął.

— Jestem calde Bizon. Przepraszam, że musieliście czekać, ale musiałem jeszcze coś załatwić.

Wyciągnął rękę na powitanie. Ogar ją uścisnął.

— To moi przyjaciele, calde — powiedział. — Róg i Świnia. Właściwie to Róg chciał się z tobą zobaczyć.

Bizon skinął głową. Nadal się uśmiechał, ale z rezerwą.

— Przybył aż z Błękitu. Tak mówi. A ja mu wierzę. I był na Zieleni. A co się tyczy mnie i Świni... No, pomyślałem, że ja też powinienem przyjść. — Spojrzał bezradnie na swoich przyjaciół.

— Mieszkańcy Nowego Vironu, miasta założonego przez naszych kolonistów, wysłali mnie z pewną misją — powiedział niższy z nich. — Chciałbym ci opowiedzieć o Nowym Vironie.

Bizon podał mu rękę i wskazał gościom krzesła — tapicerowane, duże, wygodne, ozdobnie rzeźbione, z siedziskami z czerwonej skóry i oparciami z materiału.

Róg przysunął się do Bizona, odkrywając przy tej okazji, że krzesło jest tak ciężkie, iż z trudem je poruszył.

— Reprezentuję Ayuntamiento Nowego Vironu, a zarazem całe nasze miasto. Muszę w tym miejscu nadmienić, że choć mamy Ayuntamiento z prawdziwego zdarzenia, brakuje nam calde.

— Jedwab mówi! — ogłosił Oreb.

— Tak, tego byśmy właśnie chcieli, ale zanim do tego przejdziemy, muszę wyłuszczyć calde całą sytuację. Jeżeli tego zaniedbam, może nie zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależy nam na jego współpracy.

— Słucham. — Oczy Bizona wciąż zdradzały jego niepewność.

— Trzeba ci wiedzieć, że już dość dawno nie byłem w domu. Moje informacje mogą być nieaktualne. Co więcej, jeśli ostatnio przybył do was lądownik z tych rejonów Błękitu...

Bizon pokręcił głową.

— Dobrze. Z początku nie widzieliśmy potrzeby posiadania rządu. Zostawiliśmy ciebie i generał Miętę na czele wojsk walczących z Trivigaunte i zeszliśmy do tuneli. Mogliście uznać to za dezercję, mam jednak nadzieję, że tak się nie stało.

Bizon wzruszył ramionami.

— W waszej grupie było nie więcej niż tuzin zdatnych do walki mężczyzn. Chociaż trudno wam odmówić wyjątkowej odwagi.

— Mój ojciec został i walczył do końca, o tym też nie powinienem zapominać. Nie wolno mi. W tunelach zresztą też starliśmy się z wrogiem. Wspomniałeś o mężczyznach zdatnych do walki. W tunelach walczyły kobiety, i to sporo, oraz chłopcy i nawet kilka dziewcząt. Każdy, kto mógł udźwignąć strzelbę, brał udział w walce. Inaczej nie dotarlibyśmy do lądowników.

— Wyobrażam sobie.

— Spędziliśmy mniej więcej trzy dni w tunelach, a potem trzy tygodnie w lądowniku, w strasznym ścisku, przemieszani ze śpiącymi. Śpiący nie bardzo wiedzieli, co się dzieje; niektórzy byli do tego stopnia dezorientowani, że graniczyło to z obłędem. Wody prawie nam wystarczyło, co było prawdziwym błogosławieństwem, mieliśmy jednak zdecydowanie za mało jedzenia. Słyszałem później o lądownikach, w których sytuacja wyglądała znacznie gorzej, ale na naszym wcale nie działa się dobrze. To był trudny czas.

— Aleś wytrzymał, brachu. To się liczy.

— Wszyscy wytrzymaliśmy, Świnio. — Próbował przekazać w tych słowach, co wtedy czuł, i miał nadzieję, że mu się udało. — Mieliśmy przywódców, ale gdyby zabrakło im poparcia mas, ich obecność nie miałaby znaczenia. Zresztą przez większość lotu my ich prowadziliśmy, a nie oni nas. Dlatego po lądowaniu na Błękanie w całkiem naturalny sposób ludzie objęli władzę. Kiedy chcieliśmy coś postanowić, zbieraliśmy się, wszyscy albo przynajmniej większość z nas, każdy, kto chciał, mógł się wypowiedzieć, a potem odbywało się głosowanie. Niektórych, na przykład Szpika, słuchano z większym poważaniem niż innych. Jeśli tacy ludzie byli w jakiejś kwestii zgodni, głosowanie stawało się formalnością.

— Mimo to decyzję podejmowaliście wy, a nie wasi przywódcy — powiedział Bizon.

— Właśnie. W ten sposób podzieliliśmy na przykład ziemię. Wytyczyliśmy działki — większe z gorszą ziemią, mniejsze tam, gdzie ziemia była żyzniejsza albo było źródło, a potem ciągnęliśmy losy. Miasto się rozrastało, przybywały następne lądowniki, zwłaszcza przez pierwsze kilka lat.

Bizon skinął głową i dalej słuchał uważnie.

— Przylatywały też lądowniki z innych miast, często z takich, o których nigdy nie słyszeliśmy. Ich mieszkańcy przyłączali się do nas. — Lepiej było chyba nie wspominać o tym, że niektórych zmuszano do osiedlenia się w pobliżu, a innych sprzedawano i kupowano jak bydło. — Wraz z dorosłymi przybywały dzieci. Można powiedzieć, że i ja byłem jednym z nich, miałem piętnaście lat. A na miejscu rodziły się następne.

— I wasz system przestał się sprawdzać.

— No właśnie. Ludzi zrobiło się za dużo, niektóre farmy znajdowały się zbyt daleko od miasta. Niektórzy porzucali rolę, zostawiali drwałami, rybakami, kupcami, wyjeżdżali z domów i coraz częściej opuszczali spotkania Zgromadzenia. Poza tym z początku wszyscy chcieli mieszkać w mieście, ale kiedy zrobił się tłok i zaczęły się mnożyć napady, gwałty i rozboje, wielu z tych, którzy mądrze przemawiali na Zgromadzeniach, woleli wyprowadzić się za miasto.

— Zła dziura! — wyjaśnił Oreb.

— W końcu stało się jasne, że potrzebujemy calde. Nie wiem, ilu zamożnych mieszczan ostrzyło sobie zęby na ten urząd... ośmioro, może dziesięcioro. A może jeszcze więcej.

Bizon pokiwał głową. Przeniósł wzrok najpierw na Ogara, potem na Świnie.

— Nie zrobiliście wyborów?

— Chcieliśmy uniknąć anarchii na nieznaną dotąd skalę. Gdyby zapowiedziano wybory, te osiem czy dziesięć frakcji rozpętałoby regularną wojnę. Ktoś w końcu zostałby calde, ale rządziłby...

— Ruinami — dokończył za niego Bizon. — Tak jak ja, przede mną moja żona, a jeszcze wcześniej patere Jedwab.

Pokręcił przecząco głową.

— Owszem, widziałem zgliszcza, ale widziałem również, że większość Vironu przetrwała wojnę z Trivigaunte. Wątpię, by z wojny domowej, jaka w tej chwili grozi Nowemu Vironowi, ocalał choć jeden dom. — Odetchnął głęboko. — Zapowiedziałem, że na wstępie muszę opisać sytuację w Nowym Vironie, i to zrobiłem. Nie ma mowy o zgodzie i jedności mieszkańców, z których większość postradała rozum, znalazło się jednak pięcioro rozsądnych i wpływowych ludzi, którzy postanowili prosić, abyście przysłali nam Jedwabia. Lud przyjmie go z otwartymi ramionami, a tamtych pięcioro obiecało go poprzeć.

Ogar chrząknął przepraszająco.

— Ale... mówiłeś... tamta piątka będzie przecież od niego silniejsza... ?

— Nie. Po pierwsze, nigdy nie wystąpiliby przeciw niemu wspólnie, ponieważ nie mniej niż samego calde boją się zdrady we własnych szeregach. A po drugie, tysiące wątpiących, którzy w tej chwili nikogo nie popierają, zebrałyby się pod jego sztandarem. Zwolennicy calde będą zjednoczeni i o wiele liczniejsi niż poplecznicy tamtych. — Przeniósł wzrok na Bizona. — Będą, jeśli nam go oddacie. Po to przybyłem. Mam nadzieję, że powiesz mi, gdzie go znajdę, i pomożesz mi go przekonać, żeby udał się z nami w drogę.

— Będzie wam potrzebny lądownik. Chyba że jakiś już macie?

— Rzecz lata? — Oreb też się zdziwił.

— Tak, chodzi o przedmiot, który lata pomiędzy whorłami. Nie, nie mamy lądownika i będzie nam potrzebny. Na pewno...

Bizon uciszył go, podnosząc rękę.

— Na pewno mam kilka sztuk, które chwilowo nie są mi potrzebne. Czy to właśnie zamierzałeś powiedzieć? Otóż nie, nie mam. Kiedy Jedwab był calde, odesłał stąd wszystkich, których udało mu się namówić do odlotu. Dawniej skazańców wtrącano do jam. — Parsknął śmiechem. — Myślałem, że mnie czeka ten los. Ale po tym, jak Jedwab objął urząd, więźniom dawano wybór: egzekucja albo lądownik. Nie przypominam sobie, żeby ktoś wybrał egzekucję.

— Jeżeli...

Bizon nie dał mu dojść do słowa.

— Chwileczkę. Zapytałeś, a ja jeszcze nie skończyłem. Skazańcy byli nieliczni. Większość przyszłych kolonistów stanowili fachowcy różnych specjalności wraz z rodzinami: cieśle, kamieniarze, drobni farmerzy, wiejscy robotnicy. Wspomnieliśmy przed chwilą o tym, że rządzą ruinami. Jest to oczywiście przesada, ale nie pozbawiona ziarna prawdy — a to dzięki temu, że Jedwab wysłał w drogę wszystkie lądowniki, które udało się polatać i wyszykować do lotu. Mało kto wracał, a jeśli nawet, to tylko po to, żeby zebrać więcej ludzi i znów odlecieć. — Bizon odchylił się na oparcie krzesła. Twarz miał czerwoną i pochmurną, ale po chwili parsknął śmiechem. — No, wyrzuciłem to z siebie. Dawno już chciałem to zrobić.

— Skoro nie macie żadnego lądownika, Jedwab i Róg nie będą mogli polecieć na Błękit — stwierdził Ogar. — Mam rację?

Bizon zerknął na cienki złoty zegarek.

— Jeżeli chcą lecieć, muszą szukać gdzie indziej. I tyle. Może będę mógł im w tym pomóc. Mogą też poczekać do czasu, aż będę miał jakiś sprawny lądownik, ale nie wiem, kiedy to nastąpi.

— Powiesz mi, gdzie znajdę Jedwabia? I pomożesz mi go przekonać?

Bizon wstał.

— Może tak, a może nie. Jeszcze nie zdecydowałem. Nadeszła pora obiadu, panowie. Zapraszam do pałacu. Czy uczynicie mi ten zaszczyt i zjecie obiad ze mną i moją żoną? Przy jedzeniu wrócimy jeszcze do tej rozmowy.

Bizon i Świnia usiedli na szerokiej tylnej kanapie ślizgacza, dwaj pozostali pasażerowie zajęli miejsca na rozkładanych siedzeniach naprzeciwko.

— Zwykle wracam na obiad do domu — powiedział Bizon, gdy ślizgacz ruszył. — Ludziom tłumaczę, że mam świetną kucharkę. — W zadumie skubnął brodę. — To prawda, lubię jej kuchnię, ale nie jest to prawdziwy powód, dla którego jadam w domu. Po prostu lubię rozmawiać z żoną o sprawach, które wypłynęły w ciągu dnia. Teraz chciałbym porozmawiać z nią o was i waszej prośbie. Chociażby dlatego, że znacznie lepiej ode mnie zna Jedwabia.

— Mówisz o maytere Mięcie. W książce, którą napisałem wraz z Pokrzywą, moją żoną, sugerowaliśmy, że możecie się z maytere Miętą pobrać. Nie wiedzieliśmy jednak, czy do ślubu dojdzie.

— Dobra dziewczeczka!

Bizon się roześmiał.

— Nie nazywaj jej maytere, proszę cię. Nie jest już sybillą i nie lubi, kiedy się jej o tym przypomina. Możesz zwracać się do niej per generale albo po prostu Mięto, wszystko jedno.

Zapadła cisza, w której rozległ się pomruk Świni:

— To się nazywa jazda, brachu. Żem daleko podróżował i na różne sposoby, ale latanie jest najlepsze. Takie uczucie...

— Prawie zapomniałem, że w ogóle istnieją, chociaż przed odlotem z whorla raz albo dwa leciałem ślizgaczem calde. — Róg patrzył przez przezroczystą kopułę na rozciągające się w dole miasto. — Słonka prowadził; obiecał nawet, że nauczy mnie latać. To było w tym dniu, kiedy poleciliśmy na statek powietrzny. Zastanawiałem się nieraz, czy... nieważne, mniejsza z tym.

— Jak chcesz, brachu.

Bizon kazał pilotowi zwolnić i zwrócił się do Świni, dotykając jego kolana:

— Słyszałeś o mojej żonie?

— Żem nie miał przyjemności.

— Jeździ na wózku. Nie żeby nie mogła chodzić; może, ale bardzo przy tym cierpi. Dlatego chętnie korzysta z wózka. Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć. Róg na pewno już o tym słyszał.

— Wcale nie. — Róg oderwał się od podziwiania pustych sklepów. — Co jej się stało?

— Próbowano ją zabić.

— Przypominam sobie, jak ludzie coś o tym mówili — wtrącił Ogar.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Zamachowiec zginął chwilę po tym, jak strzelił. — Bizon wzruszył ciężko ramionami. — Gdyby nie twój przyjaciel, w ogóle bym o tym nie wspomniał.

— Biedny człowiek — skrzeknął cicho Oreb. Trudno było powiedzieć, czy ma na myśli zamachowca, czy Bizona. — Biedna dziewczeczka.

Wolno lecący ślizgacz zwolnił jeszcze bardziej i wylądował na szerokich, gładkich brukowcach przez pałacem calde.

Przezroczysta kopuła zniknęła, wsuwając się w lśniące burty ślizga — cza z szeptem zdradzanego sekretu. Pilot wyskoczył z za sterów i otworzył drzwi. Sądząc po zielonym mundurze hycła, był żołnierzem gwardii calde. Dwóch innych gwardzistów otworzyło frontowe wrota pałacu.

Świnia wziął go za rękę.

— Pikną chałupa, brachu. Tak mi się zdaje.

— Że ładna? To właśnie znaczy „pikną”? Tak, pałac rzeczywiście jest piękny. A drzwi ma tak duże, że nie będziesz się musiał w nich schylać. Tylko uważaj, są schody.

Ciekawski czubek pochwy z rapierem zahaczył o pierwszy stopień.

— Kazałem wam czekać w przedpokoju, ponieważ chciałem skontaktować się przez szkło z żoną i zapytać, co myśli o zaproszeniu was do domu — wyjaśnił Bizon. — Czasem nie ma ochoty przyjmować gości, wołałem więc najpierw sprawdzić, jak się czuje. I powiem szczerze, że zdumiał mnie jej entuzjazm, kiedy o was powiedziałem.

Ogar już od dłuższej chwili wytrzeszczał oczy.

— Szkoda, że nie ma z nami Wrotycza. To moja żona. Byłaby zachwycona...

— Jeśli mieszkacie gdzieś niedaleko...

— Nie, mieszkamy w Zaścianku. Poza tym musiałyby się ubrać i w ogóle. I pewnie by nie chciała przyjść, powiedziałyby, że nie ma odpowiedniej sukienki.

Mięta czekała na nich w ogromnej jadalni, w której Jedwab podejmował kiedyś generalissimus Siyuf. Bizon podbiegł do niej.

— Pozwól, kochanie, że przedstawię ci Roga, gościa z Błękitu, oraz jego przyjaciół Ogara i Świnię.

— Zna dziewczeczka! — stwierdził Oreb.

Mięta uśmiechnęła się do wszystkich. Twarz miała ściągniętą i bladą, ale uśmiech promienny.

— Witajcie. Rogu, na pewno mnie pamiętasz, byłeś przecież moim gościem.

Uśmiechnął się i zasalutował.

— Oczywiście, pani generał.

— Cieszę się, że cię widzę. I to bardzo. Ogromnie. Jedliście już coś w Vironie?

— Całkiem sporo.

— Zjedliśmy śniadanie w gospodzie — wyjaśnił Ogar. — Jedzenia było mnóstwo, ale Róg oddawał swoje porcje Świni.

— Ptak jeść!

— I Orebowi, który jednak je mniej.

— Tu nie będzie latał głodny. — Mięta wskazała stół. — Dla was wszystkich. Siadajcie, proszę. Ja już siedzę, a w tym domu nie przykładamy wagi do protokołu, przynajmniej nie przed zaciemnieniem. Popchniesz mnie, kochanie?

Bizon popchnął wózek.

— Tak lepiej. — Zająwszy miejsce u szczytu długiego stołu, Mięta z zadowoleniem powiodła wzrokiem po srebrnej zastawie. — Posadziłam was wszystkich po jednej stronie, bo inaczej nie moglibyśmy sobie niczego podawać ponad stołem. Kiedy jadamy z calde we dwoje, musimy siadać na rogu. — Trzonkiem noża zastukała trzy razy w kieliszek i zwróciła się do służącej, która na ten dźwięk zjawiała się w jadalni: — Jesteśmy gotowi, możesz... Nie, jeszcze nie. Musimy odmówić inwokację. Zrobisz to, Rogu?

Smutno pokręcił głową.

— Pomyślałaś, że jestem augurem, ale to nieprawda. Nie mam prawa nosić tej szaty.

— Lepszy augur fałszywy niż żaden. Jeśli tego nie zrobisz, będę musiała poprosić calde. On pchnie posłańca do pałacu proloku — tora i zanim zaczniemy jeść obiad, nadejdzie pora kolacji.

— Ja...

— Proszę, Rogu. Zrób to dla mnie.

Wstał i uczynił w powietrzu znak dodawania.

— Łaskawy Zewnętrzny, ja, który pod nadzorem tej dobrej kobiety poznałem tyle pacierzy, nie znam żadnego stosownego na taką okazję. Składamy ci nasze podziękowania, niedostateczne, z pewnością, lecz to jedyne, co możemy ci ofiarować za dobry pokarm i za to, że zgromadziłeś nas tutaj w zdrowiu i przyjaźni.

Usiadł.

— Phaeo, pobłogosław ten posiłek — wymamrotał Bizon.

Mięta wzięła do ręki półmisek.

— Sałatka z gołębia, Świnio. Miejscowy smakołyk, tak przynajmniej uważamy. Nałożyć ci?

— Ano, panienko. Dziękuję ślicznie.

Mięta zsunęła mu na talerz kopiastą porcję sałatki.

— Jesteś chyba najbardziej małomównym gościem, jakiego mieliśmy okazję przyjmować. Odkąd przyszliście, prawie się nie odzywasz, muszę więc, jako gospodyni, cię zagadywać.

— Mówi Świnia!

— Dziękuję, Orebie. Ogarze, nic nie jesz. Nałóż mu łososia z kaparami, kochanie. Kalina zaraz poda gorące mięsiwa. Pomóż mi, Świnio. Nie jestem w tym najlepsza, więc udawaj, że zgrabnie cię zagadnęłam, a ty się odprężyłeś i rozgadałeś.

— Żem w tym nie za dobry, pani.

— Trudny przypadek — stwierdziła Mięta, zwracając się do męża. — Ci nad wiek wyrośnięci chłopcy często tacy są. Trudno ich zmusić do pracy w klasie, ale nie wolno się zniechęcać.

— Spróbuję. Posłuchaj, Świnio. Wiem, po co Róg dziś do mnie przyszedł: szuka calde Jedwabia i myśli, że mogę mu go dać. Jesteś jego przyjacielem, jak mniemam...

— Ano.

— Przyszedłeś tylko po to, aby udzielić mu moralnego wsparcia? A może też chcesz o coś prosić?

— O ślepie.

Bizon spojrzał pytająco na Miętę.

— To moja wina, calde — wtrącił pospiesznie Ogar. — Powiedziałem mu, że może w mieście znajdziemy odpowiedniego lekarza.

Świnia odkaszlnął. Taki dźwięk, niezwykle świadomy, mogłaby wydać ucłowieczona góra.

— Nie ma takiego. Nie musisz mówić. Stary Świnia wie.

— Nie twierdzę, że taki lekarz tu jest, ale spróbujemy znaleźć kogoś, kto ci pomoże. Popytam.

— Nie warto. Jak wy byście takiego doctora tu mieli, toby twoja szanowna małżonka nie siedziała na wózku. — Świnia, nie odwracając głowy, musnął ramię Mięty palcami niewiele od tego ramienia chudszyimi. — Ty widzisz, Świnia chodzi. I dobrze. Duch mi gadał, cobym polazł z brachem, to może ślepie się dla mnie znajdą. Jeśli stary Świnia ma widzieć, ty może jeszcze pochodzisz.

— To naprawdę był duch? — zapytała Roga Mięta.

— Chyba tak, chociaż ta kobieta... Pleśń, może ją pamiętasz?

— Mhm.

— Pleśń żyje, a w każdym razie nic mi nie wiadomo o tym, żeby zmarła. Potrafi jednak objawiać się ludziom jak duch. Świni też się pokazała. Wiem, że to niedorzeczne, mówić, że pokazała się niewidomemu, ale tak właśnie było. Widziałeś ją, Świnio, prawda?

— Ano, brachu.

— Mówił potem, że to cudowny widok. Zgadza się z nim. Powiedziała mu, że jeśli będzie ze mną podróżował, może odzyskać wzrok. Dobrze mówię, Świnio?

— Ano. — Świnia poruszył się na krześle. — Nie zostawisz mnie już więcej, co, brachu?

— Nie. Obiecuję. — Zwrócił się do Mięty: — Po dotarciu do miasta chciałem sam pochodzić po Dzielnicy Słońca. Na pewno to rozumiesz, generale. Taką mam nadzieję.

— My... Ja też tak robiłam.

— Poprosiłem Świnię, żeby sobie poszedł. Posłuchał mnie, a ja dopiero dużo później zdałem sobie sprawę, że postąpiłem okrutnie.

— Nie ma sprawy, brachu.

— Właśnie że jest. To się nie powtórzy. Może powiem to tu i teraz, żeby usłyszeli mnie calde i generał Mięta: jeżeli do czasu mojego powrotu z Jedwabiem na Błękit nie odzyskasz wzroku, polecisz z nami.

— To mi o czymś przypomniało. — Mięta się uśmiechnęła. — Powinnam powiedzieć mężowi, a wam przy okazji, że pałac znów jest nawiedzony, tym razem nie tylko przez tę małą, ale i przez Jedwabia.

— Chcesz powiedzieć, że Jedwab nie żyje? — zapytał skonsternowany.

— O nie. — Mięta uśmiechała się figlarnie. — Wręcz przeciwnie, jestem pewna, że żyje i ma się świetnie, patere.

— Jedwab dobry! — zakrakał Oreb.

Róg westchnął. Odłożył widelec.

— Nie będę wam znowu tłumaczył, że nie jestem augurem. Jeżeli was to bawi, proszę, śmieJCie się do woli. Zrozumcie jednak, że dla mnie to poważna sprawa. Muszę znaleźć Jedwabia i zabrać go na Błękit. Obiecałem, że dołożę wszelkich starań, aby to osiągnąć; do tej pory dotrzymywałem obietnicy i zamierzam wytrwać w tym zamiarze. Gdybym był znalazł calde Jedwabia bez waszej pomocy, nie zawracałbym wam głowy. Niestety, nie udało mi się. Dowiedziałem się, że miał dawniej dom pod miastem...

— Właściwie chatę — wtrącił Ogar. — Tak mówią.

— Nie ma go tam. Nikt nie wie, gdzie teraz mieszka. Ogar i Wrotycz nie wiedzą i twierdzą, że mało prawdopodobne, by wiedział to ktoś z Zaścianka. Ale przecież calde musi... na pewno ma...

— Ja nie — zauważył Bizon.

— Nie, nie! — Oreb wyręczył swojego pana.

— Kochanie, musisz się nauczyć taktu w rozmowie. Po prostu musisz. — Mięta spoważniała. — Spójrz na niego. Spójrz na jego twarz.

Róg ukrył głowę w dłoniach.

— Jeśli ty... Nie, to jakiś obłąd.

— Bez wątpienia. — Mięta pokiwała głową. — Pozwól, że ci to wyjaśnię. Nadal będzie to wyglądało nedorzecznie, nic na to nie poradzę, ale wyjaśnienie może pomóc. Nie byłeś w mieście od czasu wojny, tak?

Przytaknął.

— Wiesz o tym, że Jedwab został calde. A wiesz, że zrezygnował z urzędu, żebym ja go objęła?

— Słyszałem, że został zmuszony do ustąpienia.

Pokręciła głową.

— Może tak to odbierał i nawet tak o tym mówił, ale to nieprawda. Nie wszyscy popierali jego politykę, zwłaszcza jego stosunek do emigracji. Mój mąż też był jej przeciwny. Konflikt narastał i w końcu Jedwab musiał wygłosić przemówienie. Nie jest najlepszym mówcą i rzadko występuje publicznie, ale ta mowa mu wyszła. Była tak dobra, że uczy się o niej w pale — strach. Wyjaśnił, że kazał ludziom opuszczać Viron, ponieważ tak pojmował swój obowiązek wobec bogów, a zwłaszcza wobec Paha i Zewnętrznego.

Ogar, siedzący obok Bizona, pochylił się nad stołem i przyłożył stuloną dłoń do ucha.

— Mogłabyś mówić głośniej? Bardzo proszę. Nie słyszę cię, a... chciałbym.

— Postaram się. Mówił również, że w ten sposób spełnił obowiązek wobec miasta. Był w stałym kontakcie z bogami, w szczególności z Pahem, który groził kataklizmem całemu whorlowi, jeśli wystarczająco dużo ludzi go nie opuści. Nie było jeszcze wtedy bożąt, w każdym razie nikt ich jeszcze nie widział.

— Widzi duch? — zaciekawiał się Oreb.

Mięta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Przypomniał wszystkim, że zawsze zapowiadał, że będzie calde, tylko dopóki będziemy go chcieli oglądać w tej roli, i na koniec zapytał, czy nadal jest nam potrzebny. Wciąż cieszył się ogromną popularnością, lecz wielu jego najzagorzalszych zwolenników odleciało łądownikami.

— Odpowiedziały mu i wiwaty, i gwizdy — wtrącił Bizon. — Ciekawi was pewnie, czy wiwatowałem, czy gwizdałem, ale pewnie o to nie zapytacie. Wiwatowałem. Nie musicie mi wierzyć, ale tak było.

— To prawda. Stałam obok niego i też się cieszyłam. Wtedy jednak jak grom z jasnego nieba uderzyła nas jego zapowiedź, że będzie posłuszny woli ludu i złożył urząd... Tak? O co chodzi, Kalino?

Mięta szeptem naradziła się ze służącą, po czym odprawiła ją gestem.

— Zechcesz popchnąć mój wózek, Świnio? W razie potrzeby umiem sama się na nim poruszać, ale jest ciężki. Pomożesz mi?

— Ano, panienko. To zaszczyt. — Świnia wstał. Palcami trzykroć grubszymi od jej palców namacał uchwyty i wolniutko odsunął go od stołu. — Tylko musisz mi gadać którądy.

— Ćwierć obrotu w prawo, bardzo cię proszę.

Siedzący przy stole mężczyźni odprowadzili ich wzrokiem, a kiedy oboje zniknęli za złoconym, łukowato sklepionym przejściem, Ogar mruknął:

— Ciekawe, czego od niego chce.

Bizon sięgnął po wino.

— A dlaczego myślisz, że w ogóle czegoś chce?

— No... to chyba oczywiste. Może myślałbym inaczej, gdybym przez ostatnie dwa dni nie przestawał z Rogiem, ale po tym, co słyszałem, wydaje mi się to ewidentne. Mogła przecież poprosić tę dziewczynę, żeby ją popchnęła. Albo pojechać sama. Albo poprosić kogoś z nas, którzy widzimy. A Świnia może ją wepchnąć na ścianę, chociaż mam szczerą nadzieję, że tego nie zrobi. Chciała z nim porozmawiać bez świadków i aż podskoczyła z radości, kiedy nadarzyła się okazja po temu.

„Podskoczyła” nie jest w tym miejscu może najszcześniejszym słowem, ale tak to właśnie wygląda.

Bizon napełnił Ogarowi kieliszek.

— Jeżeli kilka dni w towarzystwie Roga miało na ciebie taki wpływ, sam powinienem się koło niego zakręcić. Co ty na to, Rogu? Czy twój uczeń ma rację?

— Nie wiem, ale jego wyjaśnienia brzmią wiarygodnie.

— Co mu Mięta mówi? Zgadujcie.

— Podejrzewam, że nic. Przypuszczam raczej, że go o coś wypytuje, o coś takiego, o czym w jej mniemaniu mogą porozmawiać otwarcie tylko w cztery oczy...

Ogar pstryknął palcami i uśmiechnął się triumfalnie.

— Tak? Wiesz, o czym mówią? — dopytywał się Róg. — Bo ja, przyznaję, mam tylko jakieś mętne wyobrażenie na ten temat.

Ogar otworzył usta — i zaraz je zamknął.

— Powiedz — zachęcił go Bizon. — Ja też jestem ciekawy.

— Nie. Przepraszam, calde. Przepraszam, Rogu. Lubię generała Miętę, a Świnia jest moim przyjacielem. Jeśli będą chcieli, żebyśmy się dowiedzieli, sami nam powiedzą.

Oreb z aprobatą pokiwał łebkiem.

— Mądry człowiek!

Bizon się uśmiechnął.

— Może to z niego wydusimy, co, Rogu?

Róg pokręcił głową.

— Obaj mają rację, on i Oreb. Ogarze, codziennie mnie zaskakujesz. Chyba już ci coś takiego mówiłem, więc teraz tylko to potwierdzam. Nie przemyślałem implikacji natury etycznej. Generał Mięta jest mądrą i dobrą kobietą. Jeżeli uważa, że jej pytanie i odpowiedź na nie wymagają prywatności, prawdopodobnie ma rację.

Ogar przytknął wyprostowany palec do ust.

— Obawiam się, że zamiast planowanych pięciu mięs na ciepło zostaną podane tylko cztery — obwieściła Mięta, wróciwszy z kuchni. — Pocieszę was jednak: Świnia skosztował pieczonych ostryg i twierdzi, że są przepyszne.

— Ano. Oreb?! Jest tu gdzieś?

— Ptak tutaj. Nie leci.

— Weź se jedną. Takiego czegoś żeś jeszcze nie jadł.

— Świnia dobry!

Mięta zajęła już miejsce przy stole i nabiła na widelec kawałek karczocha.

— Na czym to ja skończyłam? Ach tak, miałam wam opowiedzieć o człowieku, który mnie postrzelił.

Bizon spojrzał na nią z troską.

— Nie, nie mylę się. Do tego właśnie zmierzałam, chociaż trochę okrężną drogą. I do tego ducha. Świnia zainteresował się duchem; pytał mnie o niego w kuchni.

— Widzi ducha? — powtórzył swoje pytanie Oreb.

— Ja nie, Orebie, ale widziała go moja kucharka. Rogu, ciebie szczególnie powinno to zainteresować. Szukasz Jedwabia, prawda?

— Tak.

— Nie ty jeden — wtrącił Bizon. — Chciałbym ci o tym powiedzieć, zanim skończymy obiad, ale najpierw oddam głos małżonce.

— Dziękuję. Nie wiem, czy to, co powiem, pomoże ci, Rogu, ale nie jest to wykluczone.

— Proszę, mów. Jestem ci bardzo wdzięczny.

— Byłam calde. Nie wiem, na ile pamiętasz nasze prawo, ale przewiduje ono, że ustępujący calde może wskazać następcę.

Może albo powiedzieć ludziom, kogo chciałby widzieć na swoim miejscu, albo zostawić zapis do odczytania po jego śmierci. Calde Jedwab zrezygnował ze sprawowania urzędu, a w pożegnalnej mowie, o której mówiłam, wskazał mnie.

— Rozumiem.

— Rani i kobiety z jej rządu wpadły w szal. — Uśmiech Mięty rozgrzewał. — Powtarzały nam stale, że my, vironki, jesteśmy niewolnikami, a tu, proszę: kobieta została calde Vironu. Dlatego z początku myśleliśmy, że człowiek, który do mnie strzelał, mógł działać na zlecenie władz Trivigaunte. Był jednak virończykiem, a my nie wpadliśmy na żaden ślad jego związków z Trivigaunte.

— Może strzelał do ciebie tylko dlatego, że jesteś kobietą? — podsunął Ogar. — Zdarzają się mężczyźni, którzy mogliby to zrobić. A na pewno tacy, którzy się w ten sposób przechwalają.

Bizon pokręcił głową.

— Niewielu.

— Ale się zdarzają. Prawda, Rogu?

— Z pewnością. Wystarczyłby jeden.

— Zgadzam się z wami, ale w tym wypadku raczej tak nie było — powiedziała Mięta. — Mąż się ze mną zgadza, chociaż się do tego nie przyzna.

— Nie mam zdania. Nie udało nam się dowiedzieć dostatecznie dużo, bym wyrobił sobie jakąś opinię.

— A ja sobie wyrobiłam. Trzeba wam wiedzieć, że kiedy zostałam calde, słońce zgasło. Nie dokładnie w chwili objęcia przeze mnie urzędu, ale jakiś tydzień później.

— Osiem dni — poprawił żonę Bizon. — Tak, osiem dni później. Było gorąco, strasznie gorąco, a w Urbs ponoć jeszcze gorzej niż tutaj. U nas wskutek udaru cieplnego zmarło około

stu ludzi, głównie starszych; w Urbs było ponad tysiąc ofiar. Naradziliśmy się wtedy z Ayuntamiento: calde Jedwab, mój mąż i ja. To było spotkanie nieoficjalne, ale bardzo owocne. Dużo się dowiedzieliśmy... zarówno my dwoje, jak i z pewnością calde Jedwab.

Świnia przełknął ślinę.

— Calde go nazywacie.

— Tak. Zachował tytuł, chociaż już nie urzęduje. Tak jak ja. Podobnie zresztą jak zachowałam rangę generała, chociaż nie jestem w czynnej służbie i nawet nie mogłabym sprawować tej funkcji.

Kalina wniosła dymiącą tacę.

— Pamiętasz, Rogu, co ci mówiłam dawno temu na temat tuneli? — zapytała Mięta. — Że odprowadzają nagrzane powietrze na powierzchnię whorla, a w przeciwnym kierunku płynie nimi świeże i chłodne?

Skinął głową.

— Pająk mi to wyjaśnił, kiedy byłam jego więźniem. Dowiedział się tego od radcy Wariego, a Wari od Tarsjusza. To Jedwab wpadł na pomysł spotkania z nimi, powinna o tym wspomnieć. Powiedział nam, że widział tunel całkowicie zalany wodą. Inne, aż nazbyt liczne zawały się i zatkały ziemią i kamieniami.

— I dlatego bywa tak gorąco? — spytał Ogar. — O to ci chodzi?

— I dlatego małe ludziki gaszą wam świcę. — Świnia oderwał sobie kawałek aromatycznej pieczeni wieprzowej.

— Jeżeli dobrze się domyślam, co znaczą twoje słowa, Świnio, to obaj macie rację. Ciepło się gromadzi, lata są zbyt gorące, a zimy zbyt łagodne, więc żeby nie pogarszać sprawy, Pah od

czasu do czasu gasi słońce. Wtedy tego jeszcze nie wiedzieliśmy, dopiero później bogowie nam o tym powiedzieli. Bożęta też. Ale chciałam mówić o tym, że na tamtej naradzie podjęłam dwie decyzje. Pierwszą był zakaz opuszczania whorla, a drugą postanowienie o utworzeniu ekip remontowych, które, kierowane przez radcę Tarsjusza, miały się zająć odgruzowaniem i odbudową tuneli. Ja podjęłam te decyzje, ale wszyscy się ze mną zgodzili, nawet Jedwab.

— I tak straciliśmy już za dużo ludzi — wyjaśnił Bizon. — Gdyby Trivigaunte przypuściło kolejny atak, byłoby po nas. Ta ciemność była jeszcze gorsza. Przerazająca. Pomyśleliśmy, że oczyszczenie tuneli może pomóc, przekonaliśmy mieszkańców Urbs, żeby też się tym zajęli. Nie wiemy, czy naprawdę pomogło, ale przynajmniej było widać, że coś robimy.

— Trivigaunte odtrąbiło zwycięstwo — ciągnęła z uśmiechem Mięta. — Nie spodziewaliśmy się tego, ale przyjęliśmy ich decyzję z ulgą. Stwierdzili, że podporządkowaliśmy się woli Sphi — gx, a my im przytaknęliśmy, wiedząc, że trudniej im będzie po czymś takim ponownie nas zaatakować. Czemu tak kręcisz głową, Rogu? Nie wierzysz mi?

— Ależ wierzę. — Przesunął liść sałaty na talerzu w taki sposób, aby zasłonić wizerunek Scylli na porcelanie, i odłożył ozdobny srebrny widelec. — Oczywiście, że wierzę. Wierzyłbym, nawet gdybyś opowiadała o rzeczach stokroć bardziej niezwykłych. Myślałem jednak o tym, że od tamtej pory sporo musiało się zmienić. Ludzie znów wsiadają na pokład lądowników, lecą na Błękit i na Zielień... Prawda?

— Tak. My...

— Skąd ten pomysł? — przerwał Mięcie Bizon.

— Bogowie powiedzieli wam, że to Pah gasi słońce, a bożę to potwierdziło. Ja też rozmawiałem z bożęciem. Ponieważ całkiem niedawno wróciłem do whorla długiego słońca, rozmowa wydała mi się zapewne mniej niezwykła niż powinna.

— Było ogromne-poinformował Miętę i Bizona Ogar. — Usiadł mu na dłoni. Zgięło palce, żeby osłonić go przed deszczem.

— To nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest to, co bożę mi powiedziało.

— Jedwab mówi! — poradził mu Oreb.

— Tak, mówi. Czasem za dużo mówi, a za mało je. Pyszne bułeczki. — Wziął następną i posmarował ją masłem.

— Masz na imię Róg, prawda? — zdziwiła się Mięta.

Zerknął na nią z ukosa.

— Naturalnie... A, o to chodzi. Oreb tak do mnie mówi. Podejrzewam, że nauczył się nazywać swojego pana Jedwabiem, po czym w jego oczach ja przejąłem tę rolę. Z pewnością wróci do pat ere Jedwabia, gdy tylko go znajdziemy. Zresztą sam też go szuka.

— Co ci powiedziało bożę? — spytał Bizon. — Chętnie usłyszę.

— A ja chętnie usłyszę, gdzie jest Jedwab. Powinienem zaproponować ci wymianę informacji. Tak, zrobmy to. Oczywiście i tak odpowiem na twoje pytanie, nawet jeśli nie zgodzisz się na wymianę; jesteś calde i masz prawo wiedzieć... Ale może jednak mi powiesz? W nagrodę za to, że jestem z tobą szczery?

— Dobrze — powiedziała Mięta.

Bizon westchnął.

— Moja żona ma zwyczaj obiecywać więcej, niż możemy zrobić. Nie wiem, gdzie teraz mieszka calde Jedwab, chociaż

przypuszczam, że mógłbym się tego dowiedzieć. Moja niewiedza jest jednak zamierzona. Czy wystarczy, jeśli ci to wyjaśnię?

— Wolałbym usłyszeć coś więcej niż wyjaśnienia.

— Postaram się. Mięta powiedziała już, jak została calde. Niedługo potem zaczęły się dzienne noce i pojawiło się pierwsze bożę.

— Rozumiem.

— Domyślamy się, że człowiek, który do niej strzelał, chciał ją zabić, bo myślał, że po jej śmierci Jedwab znów będzie calde. Panuje takie przekonanie...

— Niezbyt rozpowszechnione — zastrzegła się Mięta.

— ... że bogowie są źli na Viron, ponieważ Jedwab nie jest już calde.

— Sam chciał se pójść — zadudnił Świnia. — Panienska tak gadała.

— Istotnie, zrezygnował z urzędu — przytaknęła Mięta. — Tak jak mówiłam. Nawet nie zapytał, czy przejmę schedę po nim. Może dobrze zrobił, gdyż wątpię, czybym się wtedy zgodziła, a tak zgodziłam się zostać jego następczynią.

— Nie miałaś wyboru — przypomniał jej Bizon. — Wybuchłyby zamieszki.

— Pewnie tak. Mogę tylko dziękować bogom, co zresztą czynię, że kiedy mnie postrzelono, zachowałam dość rozsądku, aby odejść, używając odniesionej rany jako wymówki.

— Była bardzo poważna.

— Nie mogłam przez nią siedzieć przy biurku — odparła z uśmiechem Mięta. — Teraz, jak widzicie, żartuję sobie z tego i opowiadam tylko, że wylegiwanie się na brzuchu jest okropnie męczące. Prawda jest taka, że kula strzaskała mi prawe biodro i

modłę się, aby nastał dzień, kiedy z tego również będę umiała żartować. Zwróciłeś uwagę, Rogu, że ludzie znów wsiadają do lądowników.

— Tak, mówiłem o tym.

— Miałeś rację. Wielu ludzi chciałoby powrotu Jedwabia. Niektórzy uważają, że sami bogowie chcą go widzieć na tym stanowisku, inni twierdzą, że miał rację, kiedy mówił, że woła bogów jest opróżnić whorl z ludzi. Ja się temu sprzeciwiłam. Poleciałam wstrzymanie odlotów i kazałam gwardzistom zająć wszystkie lądowniki. Pah rozlokował we whorlu żołnierzy, którzy mieli ich pilnować. Wiedzieliście o tym?

— Ano — przytaknął Świnia.

— Ja nie. — Ogar pokręcił głową. — A ty, Rogu?

— Tak. Jedwab opowiadał mi o jednym takim żołnierzu, a potem, w tunelach, znaleźliśmy ich zwłoki. Byli malowani na niebiesko, a nie, jak nasi, na zielono. Zginęli od kul.

— Mój zamachowiec nie strzelał ze strzelby, tylko z igłow — ca — powiedziała z goryczą Mięta. — Ze strzelbą nie dałby rady przekraść się tak blisko. O czym to ja mówiłam?

— O tym, że gwardia calde zajęła lądowniki — podsunął Ogar. — Nigdy nie widziałem lądownika. Wy pewnie tak.

— Ja nie — oświadczył Świnia.

— Nie widzi — zawtórował mu Oreb.

— Wartownicy, których przed wiekami wystawił Pah, zginęli z rąk ludzi, którzy przyszli ukraść karty z lądowników. Postawiliśmy na ich miejscu własne straże: po pięciu gwardzistów na lądownik. Dobrze mówię, kochanie?

Bizon pokiwał głową.

— Po zamachu mój mąż zapalał żądzą zemsty wobec wszystkich, którzy chcieli odlecieć...

— Tych, którzy demonstrowali i ślali petycje — wyjaśnił Bizon. — Protesty zaczęły się po pierwszej dziennej nocy. Zadałem sobie sporo trudu, próbując ustalić tożsamość najpierw organizatorów, a potem także uczestników. To Kapituła pociągała za sznurki.

— Jedwab dobry! — zaskrzeczał Oreb. — Nie zarżnie!

Róg pokiwał głową.

— Spodziewałem się tego.

— Ponoć Pah przemówił do prolokutora — ciągnął Bizon. — Wiecie, jak zwykle.

— Doszliśmy do wniosku, że musimy rozładować napięcie i uspokoić tłumy. — Mięta zerknęła na męża, szukając u niego potwierdzenia. Skinął głową. — Nie mogliśmy wszystkich aresztować. Mielibyśmy następny przewrót...

Bizon prychnął.

— Naturalnie oparlibyśmy mu się i wygrali, nie mam co do tego wątpliwości, ale cóż to by było za zwycięstwo? Zabilibyśmy ludzi, którym mieliśmy przewodzić. Pozostałoby nam już tylko gratulować sobie we własnym skromnym gronie.

— I dlatego pozwoliliście niektórym odlecieć. Spełnić wolę Paha, jeśli można się tak wyrazić.

— Można, oczywiście — przytaknął Bizon. — My po prostu uważaliśmy, że zamiarem Paha nie było unicestwienie Vironu. Pod rządami Jedwabia miasto tak się wyludniło, że znalazło się na krawędzi zagłady. Dlatego musiał ustąpić.

— Nie macie więc nic przeciwko temu, żebym zabrał go na Błękit, nie wiecie jednak, gdzie...

— Mieszka. Właśnie. Poza tym nie tylko ty go szukasz, Rogu. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Wzruszył ramionami.

— Wiem, że w nocy jacyś ludzie przyszli do „Gronostaja”. Tam się zatrzymaliśmy. Podobno, choć trudno mi w to uwierzyć, Jedwab również tam nocował.

— Pobili recepcjonistę. Chcieli się dowiedzieć, w którym pokoju mieszka Jedwab, na co on zgodnie z prawdą odparł, że w gospodzie nie ma nikogo o takim imieniu, i pokazał im księgę gości. Pobili go dotkliwie i wałęsali się po korytarzach, dopóki straż ich nie przepędziła.

— Żli ludzie? — zainteresował się Oreb.

— Nie aresztowaliście ich?

— Próbowaliśmy.

— Nie słyszałam o tym — przyznała Mięta. — Czego chcieli od calde Jedwabia?

— Chcieli go zabrać na Błękit. Tak twierdzili.

Mięta w zadumie wydeła usta.

— Słyszeliśmy jakieś zamieszanie na korytarzu — przyznał Ogar, wracając się do Bizona. — I strzał.

— Trzy strzały. — Świnia przesuwiał dłońmi po białym obrusie w poszukiwaniu jedzenia.

Mięta dyskretnie podsunęła mu półmisek polędwicy w sosie winnym.

— Mówisz, Rogu, że przysłali cię obywatele Nowego Vironu, i że od ponad roku jesteś w drodze. Czy to możliwe, że oni również stamtąd przybyli? Że wysłano ich, kiedy długo nie wracałeś?

Z namysłem pokręcił głową.

— To możliwe, ale wątpię, by tak było. Chyba widziałem jednego z nich, jak rozmawiał z recepcjonistą w „Gronostaju”. Był ubrany inaczej niż ludzie z naszych stron. Owszem, w Nowym Vironie mieszkają także cudzoziemcy, ale nie wydaje

mi się, żeby komuś takiemu zlecono odszukanie patere Jedwabia.

— Mają lądownik — powiedział Bizon. — Przylecieli nim i wystawili przy nim straż. Jeżeli znajdziesz Jedwabia... — Zerknął na Miętę.

— Jedwab tutaj! — oznajmił rozdrażniony Oreb.

— Być może — zgodziła się z nim Mięta. — To drugi temat, który powinniśmy poruszyć: duchy. Ale najpierw skończmy z pierwszym. Czy pozwolicie mi mówić przez pełną minutę? Nie przerywając mi?

— Mów, proszę — powiedział Róg.

— Moim zdaniem bardzo prawdopodobne jest, że mój mąż ma rację. Ty chcesz zabrać Jedwabia na Błękit. Im również na tym zależy. I mają lądownik. Jeśli znajdziesz Jedwabia, moglibyście dojść do porozumienia...

Bizon skinął głową.

— Można by również odebrać im lądownik. Nie wiem, ilu mają strażników, ale zapewne nie więcej niż dwudziestu, może trzydziestu. Wystarczyłoby na nich tuzin żołnierzy. Musielibyśmy jednak wtedy pogodzić się z tym, że miasto opuści kolejna grupa kolonistów. I to może nie ostatnia, gdyby lądownik tu wrócił. — Widzisz, kochanie, Róg znowu jest niezadowolony. O co chodzi, Rogu? Uważasz, że powinniśmy posłać osadników do Nowego Vironu? Nawet gdybyśmy w tym celu musieli zabijać?

— Przeciwnie. Powinniście kategorycznie zakazać opuszczania miasta. Takie żądanie przekazało mi bożę. Obiecałem, że wam o nim powiem, licząc na to, że wy w zamian zdradzicie mi miejsce pobytu Jedwabia.

— Na Paha! — Bizon odsunął się od stołu. — To wszystko zmienia! Muszę pomyśleć.

— Świetnie — ucieszyła się Mięta. — Zajmij się myśleniem, a ja będę mogła spokojnie powiedzieć to, co mam do powiedzenia i może wreszcie do czegoś dojdziemy. Czy bożę wyjaśniło ci przyczynę tego żądania, Rogu?

— Nie.

— Jak zwykle. — W cichym, słodkim głosie Mięty pobrzmiwało echo czystego dźwięku trąbki zwołującej rozproszone wojsko. — Jeżeli powiedziało ci coś więcej, coś, co możemy lub wręcz powinniśmy usłyszeć, chciałabym to usłyszeć teraz.

— Kazało mi rozgłosić ten komunikat tutaj, w Vironie. Nikomu więcej nie wolno opuszczać miasta. Świni i Ogarowi już to mówiłem.

— Nic im się nie stanie, jeśli jeszcze raz to usłyszą. Obwieściłeś wolę bożęcia mieszkańcom?

Zirytowany skubnął rzadką, siwą brodę.

— Uznałem, że moim głównym zadaniem jest odnalezienie Jedwabia i sprowadzenie go na Błękit, bo do tego się zobowiązałem. Pomyślałem również, że bożę nie ma prawa mi rozkazywać, bez względu na to, w czym imieniu przemawia. Jedwabia jednak nie znalazłem...

Mięta pokręciła głową.

— ... i zaczynam podejrzewać, że nie znajdę go, dopóki nie spełnię woli bożęcia.

— To możliwe — przyznał Bizon.

— W takim razie jesteś coraz bliżej — zauważyła Mięta. — Powiedziałeś nam i swoim przyjaciołom. Nie można tego

jeszcze nazwać „rozgłoszeniem”, ale z pewnością zrobiłeś krok w dobrym kierunku.

— Dziękuję. Bardzo wam dziękuję. — Łzy napłynęły mu do oczu.

— Czujesz się oszukany przez mojego męża. Słyszałam to w twoim głosie.

— Nie mówi!

— Oreb ma rację, nie powinienem ci przytakiwać. Ale nie muszę, skoro to słyszałaś.

— Bizon powiedział ci prawdę. Nie wie, gdzie mieszka Jedwab. Ja też nie wiem. Po tym, co powiedziałam wam o człowieku, który mnie postrzelił, powinieneś mnie zrozumieć. Jest sporo ludzi, którym zależy na powrocie Jedwabia...

Bizon przysunął się do stołu i rozpostartą dłonią uderzył w blat.

— Wyznaczył moją żonę na calde, a ona wyznaczyła mnie. Już to wyjaśniliśmy.

Ogar z zapalem pokiwał głową.

— Bez dwóch zdań.

— Powiem wam zatem to samo, co mówiłem już wielu ludziom. Jeżeli Jedwab przyjdzie do mnie, poprosi, abym ustąpił i uczynił go swoim zastępcą, zrobię to bez wahania.

Mięta położyła swoją dłoń — drobną i bardzo bladą — na rękę Świni.

— Jesteś przyjacielem Roga. Martwisz się o niego, to widać. Dobrze to o tobie świadczy.

— Ja też jestem jego przyjacielem — wtrącił Ogar.

— Nie wątpię w to. Musisz zrozumieć, Rogu, że Jedwab również ma przyjaciół. Nie tylko osobistych, takich jak Świnia i Ogar w twoim wypadku, ale także, jeśli można tak powiedzieć,

przyjaciół publicznych, ludzi, którzy go kochają i którzy go popierali. Będą go chronić.

— I myślą, że wy byście go dziabnęli?

— To znaczy: zabili? Jeśli tak, to nie, nie zrobilibyśmy tego. Jesteśmy jego przyjaciółmi, co nie zmienia faktu, że wielu ludzi podejrzewa nas o złe zamiary. Albo obawia się, że takowe żywimy — I ukryli go gdzieś poza miastem.

— Wydaje mi się, że gdybyście naprawdę się przyjaźnili, powiedziałyby wam, gdzie jest — zauważył Ogar.

— Nie zrobił tego. — Mięta pokręciła głową. — A to dlatego, że on również jest naszym przyjacielem. Gdybyśmy wiedzieli i gdyby było wiadomo, że wiemy...

— Ktoś mógłby znowu próbować cię zabić — dokończył Ogar.

— Mnie albo mojego męża. Albo próbowano by otruć nas oboje. Albo w inny sposób wyrządzić nam krzywdę. Zwróciłeś uwagę, Rogu, że ani razu nie powiedział, że nie wie, gdzie jest Jedwab — tylko że nie wie, gdzie mieszka? Osobiście podejrzewam, że prolokutor go ukrył.

Bizon wstał.

— Muszę z nim porozmawiać. Przepraszam na chwilę. Spróbuję go znaleźć przez szkło.

— Pewnie spróbuje się dowiedzieć, gdzie trzymają Jedwabia — wyjaśniła Mięta.

— Dobry człowiek! — Oreb zakrakał z aprobatą.

— Niezbyt to rozsądne — ciągnęła w zadumie gospodyni. — Wątpię jednak, by Jego Mądrość coś powiedział. Może zaproponuje mu przewodnika, ale to też niewiele pomoże. Mogę tymczasem opowiedzieć wam o naszym małym duchu? To się wam może przydać.

Świnia chrząknął z satysfakcją i odsunął talerz.

— Ja bym posłuchał.

— Proszę bardzo. Jak zapewne się domyślacie, pałac, w którym się znajdujemy, został zbudowany w okresie rozkwitu Vironu, kiedy miasto miało nieco więcej mieszkańców i znacznie więcej pieniędzy. Po śmierci calde Tussaha został zamknięty. Radca Lemur, który był rzeczywistym władcą Vironu w czasach, gdy byłem dzieckiem, a później młodą kobietą, nie odważył się ani ogłosić się calde, ani rozpisać wyborów, które mógłby przegrać. Zadowalał się faktyczną władzą; jej zewnętrzne atrybuty go nie interesowały. Pałac świecił pustkami przez blisko trzydzieści lat.

— Do czasu, aż calde Jedwab się do niego wprowadził — wyjaśnił Świni Ogar.

— Tak. Najpierw mieszkał tu z moją przyjaciółką Marmur, jej wnuczką, lotnikiem, którego towarzysze polegli na wojnie z Trivigaunte, i paroma innymi osobami. Ty też tu mieszkałeś, Rogu? Na pewno mu towarzyszyłeś, ale może na noc wracałeś do domu?

— Jadaliśmy tutaj, a sypialiśmy w pokoju na piętrze.

— Jednym z wielu. Na parterze znajdują się pomieszczenia wykorzystywane przy oficjalnych okazjach. Oprócz jadalni jest tu sala balowa, ogromna sellaria, westybul, który już widzieliście, i biblioteka. Poza tym kuchnie, spiżarnie, schowki i tak dalej. Ja z mężem śpimy w apartamencie na piętrze, gdzie poza tym mieszczą się sypialnie gościnne. Jest ich całkiem sporo. Wyżej ulokowano pokoje asystentów, garderobianych, pokojówek, dworek, lokajów i reszty służby towarzyszącej gościom. Na trzecim piętrze znajdują się pokoje służby pałacowej. Są małe i nigdy ich nie liczyłam, ale musi ich być

blisko setka. Nasza służba nie jest nawet w połowie tak liczna, podobnie zresztą jak dawna służba calde Jedwabia i jego żony.

Ogar zapytał, czy są w pałacu jakieś nawiedzone pokoje. Mięta obdarzyła go uśmiechem.

— Wszystkie są w pewnym sensie nawiedzone. Naszego małego ducha najłatwiej spotkać w pomieszczeniach najczęściej używanych, ale zapewne tylko dlatego, że tam zwykle znajdzie się ktoś, kto go zauważy. Chcesz coś powiedzieć, Rogu?

— Mówi Jedwab!

— Tylko to, że pominęłaś ostatnie piętro, generale.

— Bo nigdy tam nie byłam, a teraz, kiedy trzeba mnie nosić po schodach w górę i w dół, prawdopodobnie nigdy już się tam nie wybiorę. Słyszałam tylko, że to istny labirynt schowków i pokoików zawalonych najróżniejszymi drobiazgami. Z podobnych powodów nie wspomniałam o piwnicach, których mamy dziewięć lub dziesięć na trzech podziemnych poziomach.

— Żem kiedyś znał gąskę, co ją duch w chałupie przestraszył — zaburczał basem Świnia. — Na górze, w kraju światła.

— Tamten duch był zapewne prawdziwym duchem — zauważyła z uśmiechem Mięta. — A ten nasz chyba jest materialny. Chodzi tak jak ja, jakby mnie przedrzeźniała, co sugeruje, że może być diabłem. To jednak wydaje mi się mocno wątpliwe, aczkolwiek zdarzają się diabły obleczone w ciało. Ona jednak kradnie różne drobiazgi, a poza tym zostawia ślady w kurzu i śniegu. Opisałam wam pałac, abyście zrozumieli, dlaczego poszukiwania ducha nie przyniosły efektów. Teraz rozumiesz, Rogu?

Pokiwał głową.

— Tak, tak! — zapewnił Oreb.

— To dobrze. Gdybyście chcieli potem zwiedzić parter, chętnie was oprowadzę i powiem tyle, co wiem o pokojach i wyposażeniu.

— Ja się chętnie przejdę. — Ogar zapalił się do tego pomysłu. — Z przyjemnością.

— Stary Świnia popchnie panienkę. Będzie dumny.

— W takim razie obiecuję, że potem wybierzemy się na wycieczkę. Wiem, że Róg już widział pałac, ale może chciałby jeszcze raz go obejrzeć?

Skinął głową, po czym dodał na użytek Świni:

— Bardzo chętnie.

— Od początku mówię o naszym duchu jak o kobiecie, a żaden z was nie zapytał dlaczego. Myślicie, że nie mam racji?

— Wcale nie.

Nie patrzył już na drobną, bladą twarz Mięty, lecz rozglądał się po pokoju, jakby spodziewał się, że Oliwin lada chwila wychynie gdzieś zza rogu. W szkle oprawionego obrazu mignęły mu trupie oczy Pleśni, ale zniknęły, gdy zaczął im się bacznie przyglądać.

— Ma spódnicę z jakiegoś grubego materiału — mówiła Mięta. — A głowę owija jakimś szalem. Przypomina kobietę, więc zakładamy, że nią jest. Mój mąż twierdzi, że to dziecko z któregoś z okolicznych domów, które przebiera się w ten sposób i od czasu do czasu zakrada do pałacu. Ja osobiście przypuszczam, że jest córką żebraka, która wprowadziła się do pałacu, kiedy był niezamieszkały, a teraz nie zamierza się stąd ruszać. Przyznaję, że fakt nieznaleszenia jej zdaje się potwierdzać pogląd Bizona. Może macie jakieś inne pomysły?

Nikt się nie odezwał. Ogar pokręcił głową.

— Rogu, mówiłeś przed chwilą, że jakiś inny duch polecił cię Świni. Na pewno masz jakieś podejrzenia.

— Mówi Jedwab! — Oreb wyraźnie się niecierpliwił.

— Nie mam nic do powiedzenia poza tym, że obie przedstawione przez ciebie teorie wydają mi się mało wiarygodne. Słusznie proponujesz, abym przedstawił inną, własną, ale nie mogę tego zrobić.

Mięta uniosła brwi.

— Nie wiesz nawet, czy to kobieta, czy mężczyzna?

— Tego nie powiedziałem. Skoro wszyscy, którzy ją widzieli, uważają, że jest kobietą, prawdopodobnie mają rację.

— Miejże litość, brachu — mruknął Świnia.

— Jeżeli nie jest prawdziwym duchem, lecz istotą z krwi i kości, moglibyście zastawić na nią pułapkę — podsunął Ogar. — Prowadzimy z żoną sklepik w Zaścianku, w którym sprzedajemy między innymi łapki i wnyki. Mógłbym wskazać ci człowieka, który zrobi odpowiednio większą pułapkę.

— To byłoby okrucieństwo. — Mięta pokręciła głową. — Wolę mieć ducha, o którym możemy porozmawiać, niż dziecko złapane w potrzask. Ale i tak nie powiedziałam wam jeszcze najciekawszego: otóż wczoraj znów ją widziano.

— Niech to licho!

— Tak, Świnio. Kucharka ją wypatrzyła. Towarzyszył jej duch Jedwabia. Tak, Rogu?

— Mówisz tak, jakby Jedwab nie żył.

— Wcale nie. Widzisz, kucharka myśli, że ten mały duch to prawdziwy duch człowieka, który zmarł, ale nie wstąpił do Centralnego Procesora. Cała służba...

Bizon wrócił do stołu, kręcąc głową.

— Nie wierzę w duchy.

— Tego nie powiedziałam, kochanie. Mówiłam tylko, że nasi służący w nie wierzą. Zresztą tak się składa, że ja również — ale nie w duchy, które kradną i zostawiają ślady stóp.

— Czasem nie widzimy jej całymi miesiącami, a potem ktoś słyszy kroki na górze i znów się zaczyna. Prawdę mówiąc, znacznie częściej słyszymy ją niż widzimy — stwierdził Bizon.

— Zmierzałam właśnie do tego, Rogu, że chociaż w ogólności wierzę w duchy, to w tego konkretnego nie bardzo. Skoro zaś kulejące dziecko nie jest prawdziwym duchem, to wątpię, aby towarzyszący mu Jedwab nim był. Sądzę raczej, że nasza kucharka widziała żywego calde Jedwabia. Udało ci się porozmawiać z Jego Mądrością, kochanie? Długo cię nie było. Co powiedział?

Bizon przysunął sobie krzesło.

— Może najpierw zamkniemy temat tego ducha?

— Dobrze, już kończę. Nie powiedziałam wam jeszcze, że Jedwab nie miał na sobie augurskiej togi. Często przychodzi do pałacu w świeckim stroju, więc w tym, że wczoraj ubrał się podobnie, nie ma nic dziwnego. Calde, nawet były calde musi być niezwykle ostrożny. Kucharka twierdzi, że był ubrany całkiem zwyczajnie, chociaż ubranie miał bardzo brudne. Powiedziała, że wyglądał tak, jakby wstał z grobu.

— Miał... — Ogar wskazał Oreba.

— Nie ma ptaka?

Mięta pokręciła głową.

— W todze i ze słynnym gadającym ptakiem na ramieniu każ — dy by go rozpoznał. Nawet bez nich rozpoznała go kucharka, która wcześniej służyła u niego. Wtedy pewnie widywała go codziennie, albo prawie codziennie. Ciebie, kochanie, widzi równie często, prawda?

Bizon przytaknął.

— Po tym, jak zostałam calde, często gościliśmy tutaj Jedwabia i Hiacynta. Mam zawołać kucharkę? Chcecie z nią porozmawiać?

— Ja tam nie chcę, panienko.

— A ty, Ogarze? Chcesz, żebym ją zawołała?

— Wydaje mi się, że dobrze by było, abyśmy dla odmiany byli ze sobą szczerzy — odparł Ogar z zaskakującym u niego ożywieniem.

Oreb z satysfakcją zatrzepotał skrzydłami.

— Mówi Jedwab!

— Dobrze — powiedział Róg. — Ja zacznę. Zdajecie sobie chyba sprawę, że kucharka widziała mnie, a nie calde Jedwabia. Jeżeli chcecie ją wezwać, aby mnie rozpoznała, proszę bardzo.

— Nie — odparła Mięta.

— Jak chcesz. — Chciał wspomnieć o ogrodniku, ale uświadomił sobie, że staruszek go nie zdradził, wypadało więc odwdzińczyć mu się tym samym. — Chcielibyście, żebym wam powiedział, lum jest wasz duch. To zrozumiałe; na waszym miejscu też bym tego oczekiwał. Ona jednak zaufała mi, biorąc mnie za patere Jedwabia, a ja nie zamierzam jej zawieść.

— Wzięła cię za Jedwabia — przypomniał Bizon.

— Sam to przed chwilą powiedziałem.

— Prolokutor również myśli, że nim jesteś. Chce, żebyś po południu złożył ofiarę w Wielkim Manteionie.

— Mówiłem wam przecież, że nie jestem augurem.

— Domyślam się, że masz asystować prolokutorowi — powiedziała Mięta.

Bizon skinął głową.

Świnia odsunął krzesło.

— Pora iść, brachu. Żwawo. Bo jak zostaniesz, to się nie wymigasz.

— Zostańcie. Mamy nadzieję, że się zgodzisz — powiedział Bizon. — Potraktuj to, proszę, jak przysługę, którą wyświadczysz mnie i mojej żonie.

— Przyłączam się do tej prośby — oznajmiła Mięta.

— Idziesz, czy siedzisz, brachu? — Świnia położył mu rękę na ramieniu.

Wzruszył ramionami.

— Siedzę. Od małego szanuję generał Miętę. Nie mogę jej teraz odmówić.

— Doskonale! — Bizon dolał mu wina. — Ogar zalecił nam szczerść, więc niech i ja mam w niej swój udział. Wiedziałem o tym, kiedy do mnie przyszlście. To znaczy, wiedziałem, że kapituła cię szuka, bo prolokutor dowiedział się, że jesteś w mieście, i zamierzał cię ściągnąć pod wieczór do manteionu. Nie chciałem, żebyś się zgodził, więc...

— Dlaczego nie? — zdziwił się Ogar.

— Bałem się, że każe wszystkim ładować się na lądowniki. Wolałbym tego uniknąć, tym bardziej że nie mamy już lądowników. To znaczy, są dwa, ale niesprawne, a miasta nie stać na ich naprawę. — Bizon napił się wina. — Ale teraz już wiem, że tego nie powie. Prawda, Rogu?

— Nie powiem. — Westchnął. — Powiem im to, co usłyszałem od bożęcia: mają zostać w mieście, ponieważ Pah... Mniejsza o Paha. Powiem, że mają zostać, i poproszę o pomoc w znalezieniu Jedwabia.

— Tutaj Jedwab — oznajmił poirytowany Oreb.

Mięta pokiwała głową.

— Sam powiedziałaś, że nasz mały duch pomylił cię z calde Jedwabiem.

— To prawda. — Przypomniał sobie ogrodnika. — Często mi się to zdarza.

— Nie dziwię się. Nie dałam ci skończyć, kochanie, ale teraz dokończę za ciebie. Może w ten sposób oszczędzę ci zakłopotania, bo jeśli się nie mylę, chciałaś właśnie przyznać się do tego, że zaprosiłaś gości na obiad, aby nie spotkali się z prolokutorem. I pragnęłaś zatrzymać ich tutaj pod jakimś pretekstem do czasu, aż nabożeństwo ofiarne dobiegnie końca, prawda?

Bizon niechętnym chrząknięciem przyznał jej rację.

— Dobrze. — Mięta podnosiła właśnie pieczoną ostrygę do ust, ale zawahała się i odłożyła widelec. — Wysłuchaliśmy wyznań Roga i mojego męża. Nie sądzę, żeby Oreb miał coś na sumieniu, więc można założyć, że od początku był z nami szczery. Teraz ja coś powiem, po mnie będzie Ogar, a na końcu Świnia. Upomnę się o to, panowie, więc bądźcie przygotowani.

— Ja się nie boję, panienko.

— Słuchajcie więc. Rogu, powiedziałaś, że nasz duch wziął cię za calde Jedwabia, i zasugerowałaś, że podobnie musiała się pomylić nasza kucharka. Dodałaś też, że takie pomyłki nie są dla ciebie niczym nowym.

— Istotnie.

Znów rozejrzał się po pokoju — tym razem nie szukał jednak Oliwinu ani Pleśni, tylko po prostu oglądał jadalnię.

(Nigdy więcej tu nie przyjdę, pomyślał. Niedługo pójdziemy do Wielkiego Manteionu i będę asystował przy składaniu ofiary. Nie wiem, co się później wydarzy — prawdopodobnie udamy się do „Gronostaja” albo do Juzgado, ale na pewno nie wrócimy

tutaj. Wyjdę przez te olbrzymie drzwi wejściowe, gwardziści zamkną je za mną i nigdy już nie zobaczę tego wnętrza).

— Czy przybyłeś tutaj z Błękitu? Stamtąd cię przysłano i tam chcesz zabrać Jedwabia.

Pokręcił przecząco głową.

— Po drodze byłem na Zieleni, gdzie spędziłem prawie cały rok. Ale na Zielen przyleciałem z Błękitu. Mamy dom, nieduży, chatę właściwie, na południowym skraju wyspy zwanej Jaszczurką, przy Ogonie. Dom i papiernię. Dawniej miałem też jacht, ale obawiam się, że straciłem go na dobre.

— Muszę cię o coś zapytać. Pomyślisz może, że to okrutne, ale mimo że też tak uważam, nie mam wyboru. Czy podobne omyłki zdarzały się już na Zieleni? Czy nazywano cię tam czasem Jedwabiem?

Pokręcił głową.

— Wątpię, żeby tamtejsi osadnicy kiedykolwiek widzieli Jedwabia albo znali jego imię. Chyba że usłyszeli je ode mnie.

— Nowy Viron założyli koloniści z naszego miasta. Na to wskazuje jego nazwa. Tam z pewnością wielu ludzi słyszało o calde Jedwabiu, a niektórzy zapewne widzieli go na własne oczy. Czy mylili cię z nim, Rogu? Czy choć raz ci się to zdarzyło?

— Nie — odparł, po czym, widząc, że nikt nie kwapi się do zabrania głosu, dodał: — Wiem, co chcesz powiedzieć.

— Czyżby? W takim razie oszczędź mi zachodu i sam to powiedz.

Oreb podchwycił ostatnie słowo:

— Powie Jedwab!

Zajął się jedzeniem, mając nadzieję, że ktoś inny pierwszy się odezwie.

— Świnia i Ogar już wiedzą. Od początku. Wiedziałeś o tym? Poprosiłam Świnię, żeby popchnął mój wózek, a gdy tylko oddaliliśmy się z jadalni poza zasięg głosu, wyjaśniłam mu, że byłam nauczycielką Roga. Codziennie widywałam go w klasie.

— Nie widzi! — skomentował jej słowa Oreb. — Nie ma chłopca. — Mąż powiedział mi przez szkło, że podajesz się za Roga, ale jego zdaniem próbowałeś w ten sposób oszukać swoich towarzyszy. Udał jednak, że ci wierzy, i poprosił, abym ja też podjęła grę — Zgodziłam się, lecz kiedy cię zobaczyłam, szybko doszłam do wniosku, że ty wierzysz w to, co mówisz. Zapytałam o to Świnię, a on potwierdził moje obawy. Wcale nie próbowałeś go oszukać, Jedwabiu. Ani jego, ani Ogara. Oszukiwałeś tylko samego siebie. Ale teraz to się skończyło.

— Nie spróbowałeś marynowanych sardeli — powiedział, zwracając się do Świni. — Chcesz? Ja chętnie zjem.

— Róg odleciał — ciągnęła Mięta z zaciętym wyrazem twarzy. — W przeciwieństwie do nas zrealizował Plan Paha. Ja zapłaciłam za to wieloma bezsennymi nocami, calde, obawiam się jednak, że w twoim wypadku cena okazała się znacznie wyższa. Róg był niewinny, a ty chciałeś się pozbyć wyrzutów sumienia. Sama chętnie bym się ich pozbyła, ale nie da się tego zrobić w taki sposób.

— Dzięki, brachu. Wielkie dzięki.

Zsunął Świni na talerz trzy marynowane sardele i nałożył sobie dwie kolejne.

— Wiem, że wyglądam jak patere Jedwab, ale wiem również, kim jestem — powiedział. — Nikt, nawet ty, maytere, nie zdoła przekonać człowieka, który wie, kim jest, że jest kimś innym.

15

W domu

Powiało z zachodu, na szczęście słabo, a my jesteśmy na zawietrznej od Wysepki Pleśni. Mogliśmy rzucić kotwicę w zatoczce. Chyba naprawdę trzeba było tak zrobić. U nas jest już cień, chociaż wszędzie dookoła woda skrzy się w resztkach dziennego światła.

Wyruszyliśmy z Nowego Vironu o poranku — Skóra, Vadsig, jahlee i ja. Skóra i ja stanowimy wystarczającą załogę dla jola (szczerze mówiąc, sądzę, że w razie konieczności umiałbym nim sam pożeglować), ale Vadsig radzi sobie ze sterem nie gorzej od nas (znacznie lepiej od wielu mężczyzn, których widziałem), a i Jahlee trochę pomogła. Chcieliśmy obrać kurs południowy z lekkim odchyleniem na zachód. Zachodni wiatr był idealny. Postawiliśmy oba sztaksle i trójkątny grottospel — jako dodatki do grota i bezana — i pognaliśmy jak na skrzydłach. Napisałem chyba wcześniej, że jol nie jest tak szybki jak mój stary slup, nie uwzględniłem jednak faktu, że można na nim rozpiąć znacznie więcej płótna.

Dodam jeszcze, że Skóra znalazł bonnet do jednego ze sztaksli i nie może się doczekać, kiedy będzie miał okazję go wypróbować. Jeżeli pogoda dopisze, postawimy go w drodze powrotnej do domu.

— Hus wrócić! — ogłosił Oreb.

Rozejrzałem się po jachcie i dopiero po chwili dostrzegłem Babbiego płynącego od strony wyspy. Wcześniej zszedł na brzeg i Pleśń poprosiła, że chciałyby go na chwilę zatrzymać. Domyślałem się, że już go puściła. Szkoda, że nie wiem, po co był jej potrzebny.

Wczesnym popołudniem pokonaliśmy cieśninę, na pychu, prawie ocierając się burtami o skały. Odkąd odpłynąłem stąd słupem, do maleńkiej przystani z pewnością zawijały inne łodzie, ale nie został po nich najmniejszy ślad, zatoczka wyglądała tak samo, jak kiedy ją opuszczałem; na płaskim kamieniu, na który wyskoczyły ryby dla Pleśni, zostało nawet kilka łusek. Skóra chciał zostawić Vadsig na straży jola, ona jednak uparła się, że zejdzie z jachtu, i poprosili mnie, abym rozstrzygnął ich spór.

— Chata stoi na samym szczycie — powiedziałem. — Raz już się tam wspiąłem, wystarczy. Nie zamierzam powtarzać tej wycieczki. Idźcie wszyscy. Ja zostanę na łodzi.

Odpowiedział mi chór sprzeciwów.

— Nie macie racji, mówiąc, że Pleśń was nie zna. Uwierzcie mi, zna was nie gorzej niż mnie. Będziecie musieli się przedstawić maytere Marmur i wyjaśnić, kim jesteście, ale z tym nie powinniście mieć kłopotów. Powiedzcie jej, że czekam w łodzi i chętnie z nią porozmawiam. Jeśli będzie mogła, niech do mnie zejdzie.

Skóra zapytał, czy powinien wziąć strzelbę. Poradziłem, żeby ją zabrał, jeśli dzięki temu ma się poczuć bezpieczniej, ale dodałem, że najprawdopodobniej nie będzie mu potrzebna. Vadsig schowała igłowiec do kieszeni spódnicy. Babbie, który pilnował jola na przystani w Nowym Vironie, obawiał się chyba, że nie puszcze go na brzeg. Kiedy mu powiedziałem, że

nie mam nic przeciwko temu, aby wraz z młodzieżą zszedł na ląd, nie posiadał się z radości.

Tuż po tym, jak odbiliśmy od brzegu, wydało mi się, że widzę ją wśród rozświetlonych fal. Nikomu nic nie powiedziałem, a wrażenie zaraz minęło. Musiałem się pomylić.

Oreb pierwszy zobaczył maytere Marmur, podfrunął jej na spotkanie i ją prowadził: przysiadłszy jej na ramieniu, co dwa kroki pokrzykiwał „Tutaj Jedwab!” albo „Na łódź!”. Wiedziałem, że muszę ją rozczarować, i chciałem jak najdłużej odwlec ten okrutny moment.

— Patere? — Maytere po omacku znalazła naszą cumę.

Naparłem na pych i jol zbliżył się do brzegu.

— Nie musisz wchodzić na pokład — powiedziałem. — Wsiądę.

— To... to naprawdę ty! Och, patere... Jak dobrze było cię zobaczyć, patere...

Zszedłem do wody, ale nie zamoczyłem się zbytnio. Złapałem maytere za ramiona. Kazałem jej podnieść głowę i odwrócić ją w taki sposób, że światło słońca padło na tysiące tworzących jej twarz maleńkich mechanizmów. Wydawało mi się, że wstawienie nowego oka będzie trudne, próbowałem więc przygotować do tej chwili i ją, i siebie. Domyśliła się już, co próbuję zrobić.

— Od Roga? Prosiłam go... To taki dobry chłopiec. Czy... może ci... może przypadkiem wspomniał, patere, że... To nic ważnego, ale... Och... Och! Och, Scyllo!

Ta scena wciąż staje mi przed oczami. Zapamiętałem ją niezwykle wyraziście — a najlepiej szczęście w głosie maytere. Nie będę tu opisywał, jak drżały jej ręce, jak cała się trzęsła, jak

mnie objęła, jak zaczęła tańczyć na kamieniach (puściła się w tak wariacki tan, że przestraszyła Oreba) i jak potem znów mnie uściśnęła i podniosła z ziemi jak dziecko. Gdybym umiał, opisałbym może radość, jaką sam odczuwałem. Ale nie potrafię.

Ale najgłośniej dźwięczy mi w uszach „Och, Scyllo!”. Nie jest to wspomnienie żywsze od innych, ale ma wyjątkową wymowę. Inne wspomnienia są cudowne, ciepłe i na zawsze pozostaną dla mnie bezcenne, ale jeśli kiedyś nadejdzie chwila, w której będę musiał udowodnić sens swojego istnienia — kiedy będę musiał wytłumaczyć się z przestrzeni, którą zajmowałem, z jedzenia, które spożyłem, z powietrza, które zużyłem na oddychanie — najpierw opowiem o oku maytere. Wątpię, bym później musiał opowiadać o czymś więcej.

Vadsig ugotowała kolację. Bardzo smaczną, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę surowce, jakie miała do dyspozycji. Skóra łowi — na razie bez powodzenia, ale obiecał nam ryby na śniadanie.

— Jutro odpływamy, mójpanie? — zapytała Vadsig.

— Najpierw muszę porozmawiać z maytere na osobności. To się chyba da załatwić i nie powinno długo potrwać. Potem, jeśli pogoda będzie łaskawa, odpłyniemy.

— Rozmawiałeś już z nią dzisiaj — zauważyła Jahlee. — Chyba nie sądzisz, że dałam się nabrać na ten wykręt z pilnowaniem łodzi?

Zaprotestowałem przeciwko zarzucaniu mi próby oszustwa.

— Kazaleś mi się wspiąć na górę, chociaż wiesz, że mam słabe nogi.

— Wiedźmy nie chciałaś zobaczyć? — zdziwiła się Vadsig.

Jahlee stanowczo pokręciła głową.

— Z tyłu została, mójpanie. Dalej iść nie może, powiedziała. Dobrze, powiedzieliśmy, i stromą ścieżką wspinaliśmy się dalej. Na szczyt weszliśmy, a tam ona już jest.

— Wspięłam się po skałach zamiast po ścieżce. Przecież wam tłumaczyłam. Ta droga jest znacznie szybsza, ale i bardziej niebezpieczna.

Jahlee spojrzała na mnie błagalnie, abym przyszedł jej w sukurs.

— Zostałem przy łodzi z dwóch powodów — zacząłem. — Nie próbowałem was oszukiwać. Przede wszystkim Skóra niepokoił się o jacht i bałem się, że uprze się sam go pilnować, jeśli nikt inny się nie zgodzi. A chciałem, żeby spotkał się z Pleśnią, porozmawiał z nią i, przy odrobinie szczęścia, zaprzyjaźnił.

— My z Pleśnią już się znamy — zauważyła Jahlee.

— Wiem. Podobnie jak wiedziałem o tym, że Skóra będzie się zamartwiał o łódź, jeśli ty na niej zostaniesz. A poza tym chciałem porozmawiać z maytere na osobności.

— Aby wzrok jej przywrócić, mójpanie? — domyśliła się Vadsig.

— Nie. To bym chętnie zrobił w obecności tysięcy świadków. Ale chciałem jej powiedzieć, jak udało mi się tego dokonać.

— Nie zły! — Oreb sfrunął z takielunku na moje ramię i zaczął mnie tarmosić za włosy. — Da ptak!

— Nie przesadzaj, nie jestem aż taki puchary.

— Ptak brać! Wić gniazdo!

— Nie przeszkadza ci moja łysina?

— Wcale łysy nie jesteś, mójpanie.

Biedna Vadsig była chyba nie mniej zdziwiona po moich słowach niż ja po jej. Przeczesałem palcami włosy (które urosły mi już stanowczo za długie) i stwierdziłem, że ma rację.

— Chciałeś zostać sam z tą metalową kobietą. Jak je nazywacie? — spytała Jahlee.

— Chemy.

— Żelazna dziewczeczka — dodał Oreb.

— Ale po co? Nawet nie dałeś jej tej czarnej szaty, którą jej kupiłeś. Powiedziałeś, skąd masz dla niej oko?

— Nie. Może powinienem był jej powiedzieć i dać szatę, ale nie miałem pewności, że odzyska wzrok. Gdyby się nie udało...

— Wzruszyłem ramionami. — A potem była taka szczęśliwa, przepełniała ją taka radość, że każdy inny prezent wydałby jej się nic niewart.

Przypomniałem sobie Świnię i Jedwabia.

— Dasz jej szatę jutro?

— Tak. I wtedy też powiem jej, skąd wzięłem oko. Na pewno będzie ciekawa i ma prawo to wiedzieć. W Vironie nie ma już kob-chemów; wiem, bo pytałem Jego Mądrość i tak mi powiedział. To znaczy, nie ma żadnego poza tą kobietą, która dała mi oko. Próbowali ją sprowadzić do pałacu prolokutora, ale nie chciała przyjść.

— O czym mówisz, mójpanie? — Vadsig przenosiła wzrok ze mnie na Jahlee (która sprawiała wrażenie znudzonej) i z powrotem.

— O chemach. O nowo powstających młodych chemach. Wydaje mi się, że instynkt każe im się ukrywać, dopóki nie będą gotowe. Oliwin chyba nie zdaje sobie z tego sprawy, ale i my rzadko jesteśmy świadomi działania instynktów.

Skóra zawołał Vadsig do siebie i na chwilę zostaliśmy z Jahlee sami.

— Kiedy maytere odzyskała wzrok, powiedziała coś, co mnie zdumiało i nie daje mi spokoju. Zawołała „Och, Scyllo!”. Czy to

imię coś ci mówi?

— Nie.

— A mnie tak. Czasem śnię o niej. To patronka Vironu, najstarsza córka Paha. Maytere jest kobietą religijną i przeżyła w Vironie kilkaset lat.

— Nie mówi — wychrypiał Oreb. Nie jestem pewien, co chciał przez to powiedzieć.

— Właściwie nie ma powodu, dla którego maytere nie miałyby jej przywołać, nawet jeżeli, jak się domyślam, Scylla już dawno temu została wygnana z Centralnego Procesora. Była jednym ze zbuntowanych dzieci Paha.

— W takim razie nie ma się czym przejmować.

— Zgadzam się z tobą, ale właśnie to mnie martwi. Nie ma się czym przejmować, a ja się przejmuję. Nawet jeżeli Scylla nadal istnieje, z pewnością nie przebywa tutaj i ma niewielki wpływ na to, co się tu dzieje. A jednak nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to ważne, że jej imię ma wielką wagę, nawet jeśli sama Scylla nic nie znaczy. Nie rozumiem tego.

* * *

Maytere jest z nami na pokładzie — śmiertelnie przerażona, ale jest. Siedzi przy kabinie, kurczowo trzyma się nadburcia i prawie się nie odzywa. My, biochemy, możemy przynajmniej się łudzić, że przeżyjemy kąpiel w morzu, a nawet zatopienie łodzi. Maytere zdaje sobie sprawę, że w takiej sytuacji musiałaby zginąć. Chcąc ją zagadać, zapytałem, jak dotarła na wysepkę Pleśni.

— Łodzią, którą sama zbudowałam.

— Byłaś bardzo dzielna.

— Moja wnuczka siedziała z tyłu. Wtedy jeszcze widziałam, a ona mówiła mi, jak mam płynąć.

— Nie bałaś się?

— Bałam.

— Teraz chyba nie jest gorzej.

— Jest, patere. O wiele gorzej. Ja... My...

Jol wspiał się dziobem na falę większą od innych. Maytere zaniemówiła.

— Nie obawiaj się, maytere. Nie ma czego. Sztormy zatapiają łodzie, a tu wieje silny, przychylny wiatr.

Niewiarygodnie głupio to zabrzmiało, gdy napiszę, że widziałem w jej oczach strach, po tym, jak jedno z tych oczu nosiłem przez tyle czasu w kieszeni, a drugie jest czarne i niewidome — ale tak właśnie było.

— A nie będziesz się bała w lądowniku, maytere? Lot z jednego whorla do drugiego jest ogromnie ryzykowny. Wielu ludzi przypłaciło taką podróż życiem.

Pokiwała głową. Spróbowałem ją pocieszyć:

— Mówiłaś nam kiedyś, że nie powinniśmy bać się śmierci, ponieważ bogowie oczekują naszego przybycia.

— Na lekcjach religii, patere? To możliwe. Tak, na pewno tak mówiłam.

— Czy te słowa stały się ostatnio mniej prawdziwe?

— Kiedy płynęliśmy na wyspę...

— Tak?

— To był długi, bardzo długi rejs. — Zaprzątnięta innymi myślami, trochę się odprężyła. — Z miejsca, w którym siedziałam, w ogóle jej z początku nie widziałam. Oczekałyśmy, aż morze zupełnie, ale to zupełnie się uspokoi. Nie pamiętam, jak długo to trwało. — Umilkła na chwilę,

sięgając pamięcią wstecz. — Piętnaście. Piętnaście dni, w samym środku lata. Aż pewnego ranka ujrzałyśmy tylko maleńkie wodne wzgórki.

— Rozumiem.

— Podkasałam habit i zatknęłam go za pasek. Wiesz, jak to tobie. — Puściła nadburcie i wzięła w palce materiał nowej szaty — Miło jest mieć znowu habit na sobie. Kazałeś go dla mnie Uszyć. Tak powiedziała Vadsig.

— Wymiary musiałem podać z pamięci.

— Jest trochę za duży, ale mi to odpowiada. Jeśli będę chciała, żeby leżał bardziej przy ciele, mogę włożyć coś pod spód. Tak samo w zimie. Nie będę już miała prawa nosić habitu, ale to i tak bardzo miłe.

— To właściwie nie jest habit, tylko taka suknia uszyta w podobnym stylu: czarna, z obszernymi rękawami i tak dalej...

— Mhm. — Znów oburącz chwyciła się nadburcia.

— Chcesz zostać sama?

Pokręciła gwałtownie głową.

— Jedwab zostać! — dodał Oreb, jakby bał się, że źle ją zrozumiał.

— To nawet nie jest bombazyne, patere. Bombazyne tka się z jedwabiu i wełny, a to jest wełniany diagonal.

— Nic lepszego nie mieli.

Drobną, twardą dłonią dotknęła mojej dłoni.

— Mogę?

Jej ręce wyglądały jak ręce starej kobiety.

— Proszę bardzo. Tylko nie ściskaj.

— Kiedy odnajdę męża, właśnie tak wezmę go za rękę. I ścisnę. I minie chyba cały dzień i cała noc, zanim go puszczę. Potem zrobimy z mojej córki prawdziwą kobietę. Kompletną

kobietę. A potem zaczniemy budować następną. Myślisz, że naprawdę uda nam się tam dostać?

— Tobie na pewno.

— Kiedy wiosłowałam, płynąc na wyspę...

— Tak?

— Nie bałam się. Wnuczka mi mówiła, gdzie mam płynąć. Kiedy spychałyśmy łódź na wodę, wcale nie umiałam wiosłować, nic a nic. Była bardzo cierpliwa.

— Na swój sposób jest dobrą kobietą.

— Właśnie dlatego... Dzięki temu było mi łatwiej, patere. Powtarzałam sobie, że muszę się nią opiekować, bo przecież jest jeszcze dzieckiem...

— Chociaż wcale nim nie była. Rozumiem.

— Biedna dziewczeczka — mruknął Oreb. — Biedna dziewczeczka.

_To, czy umrę, czy przeżyję, nie miało żadnego znaczenia, więc się nie bałam. Teraz mam córkę. Dla niej muszę żyć.

* * *

Dziwny sen. Byłem w swojej celi we whorlu czerwonego słońca, katowski czeladnik siedział na mojej pryczy. Rozmawialiśmy jakiś czas, a potem wstałem i podszedłem do drzwi. Przez zakratowany judasz widziałem gładkie jak szkło morze i setkę kobiet stojących na jego lustrzanej tafli, wszystkie w czarnych szatach.

— I Abaia — mówił za moimi plecami czeladnik. — I mieszkają w morzu.

Obudziłem się zdezorientowany, przestraszony i wyszedłem na pokład. Wczorajszy wiatr, który tak szybko zaniósł nas tak daleko, ucichł prawie zupełnie. Morze wyglądało tak jak w

moim śnie, z tą oczywiście różnicą, że nikt na nim nie stał. Czy identyczne kobiety w czerni miały oznaczać potomstwo maytere? Wydaje mi się to nieprawdopodobne, ale nie mam lepszego pomysłu.

Przed powrotem do koi porozmawiałem jeszcze z Orebem.

— Ptak leci. Leci dziewczeczka. Mówi płynnie.

I tak dalej w tym stylu. Powiedziałem mu, żeby leciał, jeśli chce. Odfrunął.

— Dokąd on poleciał, patere? — spytała maytere z koi po drugiej stronie kajuty.

— Obiecałaś mi, że będziesz spała.

— Obiecałam, że spróbuję.

Nic nie powiedziałem.

— Dla nas to trudne — dodała. — Czasem całymi dniami nie możemy zasnąć.

— Nadal się boisz?

— Już mniej. Patere?

— Tak? Słucham?

— Czy myślisz, że gdybym zasnęła, mogłabym się potem obudzić znowu jako służka sybilli przy ulicy Słońca?

Pokręciłem głową.

— Też tak myślę. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spałam. Nigdy nie budzimy się sami; coś musi nas obudzić. Wiedziałaś o tym? Spałam, dopóki maytere Kukurydza nie weszła do pokoju. Wtedy zerwałam się na równe nogi i przyszykowałam śniadanie, ale już dochodziło południe. Nigdy więcej nie spałam.

* * *

Nareszcie w domu! Racica zmiądzzył mi dłoń w uścisku i wyłomotał mnie po plecach, jakbyśmy nigdy nie spotkali się w Dziurze. Pokrzywa ucałowała Vadsig, na co moje serce podskoczyło z radości, po czym objęła i pocałowała mnie, co było w całym tym powitaniu najlepsze. Nasz domek nic a nic się nie zmienił, papiernia znowu działa, Róg produkuje papier.

Oreb wyfrunął nad morze i zataczając kręgi, pokrzykiwał:

— Tutaj Jedwab! Tutaj Jedwab!

Zupełnie jakby chciał ogłosić nowinę swoim pobratymcom — chociaż na Błękicie są nimi białe morskie ptaki z zębami, rozszczepionymi piórami, czteronogie i czteroskrzydłe. Wątpię, czy bylibyśmy szczęśliwsi, nawet gdyby Jedwab we własnej osobie nas odwiedził.

Wyszłaś przed dom, Pokrzywo, żeby przy mnie posiedzieć. Tę relację zawsze pisałem z myślą o tobie, muszę więc uwzględnić w niej i ten fakt, tak jak wszystkie inne, oraz przytoczyć, co zapamiętałem z naszej rozmowy. Krótkie słońce zachodziło w glorii złota i szkarłatu. Przyniosłaś dwa koce. Jeden rozłożyliśmy na piasku, chociaż w miejscu, gdzie usiadłem i pisałem, nie było wcale wilgotno. Usiadłaś obok mnie i otuliliśmy się drugim kocem. Zapytałaś, czy teraz jestem szczęśliwy.

— Bardzo — odparłem. — Kiedy byłem z dala od domu, nawet na biegunie zachodnim, ze Świnia, cały czas zadręczałem się myślą, że jeśli wrócę tu bez Jedwabia, będę załamany. Jakże się myliłem!

Przyszło mi do głowy, że zaraz spytasz, kim jest Świnia, i zacząłem sobie układać w głowie jego historię, ale zapytałaś o co innego:

— Powiedz mi, co zrobiłby Jedwab, gdyby przybył tu razem z tobą?

— Uśmiechnąłby się i pobłogosławił nas i nasze dzieci. Z pewnością.

Mówiłem dalej w podobnym duchu, czyli niezbyt mądrze, i znacznie ważniejsze (tak mi się przynajmniej wydaje) były nieustępliwe pokrzykiwania Oreba, który wrzeszczał na przemian Jedwab tutaj!” i „Tutaj Jedwab!”, dopóki nie kazałem mu być cicho. Mylił się, naturalnie, chociaż byłoby znacznie, znacznie lepiej, gdyby miał rację. Jedwab został we „Whorlu” — a ja i tak czuję jego obecność.

W końcu wszyscy pokładli się spać, łącznie ze mną — a wyłączając Oreba, którego posłałem w drogę. Przespałem parę godzin u twojego boku i się obudziłem. Wszyscy spali, nawet Jahlee; zdaję sobie sprawę, że za dzień lub dwa będzie musiała zapolować. Bałem się, że cię obudzę — a właśnie ciebie budzić nie chciałem. Tu, w papierni, nie będę ci przeszkadzał. Zapaliłem naszą starą lampę i piszę przy stoliku, na którym podliczałem wydatki i przychody.

Przez jakąś godzinę spacerowałem po plaży, nasłuchując jej pieśni.

Napisałem powyżej, że Jedwab został w tamtym whorlu — bo to prawda, Pokrzywo. Kiedy sam tam byłem, przez pewien czas towarzyszył mi mistrz Miecznik.

Miecznik oczywiście nie żyje. Wyruszył na wojnę z Trivigaun — te i najprawdopodobniej zginął — a jeśli nie, z pewnością nie przeżył dwudziestu dwóch lat, jakie od wojny upłynęły. Kiedy na prośbę Jedwabia sprowadziłem go do pałacu calde i wypytywałem o tajniki fechtunku, był już starszym człowiekiem. A jednak był tam ze mną — i jest tutaj, ponieważ

przetrwał w moich i twoich wspomnieniach. Pytałaś, co zrobiłby Jedwab. A co by mógł zrobić, nie tylko dla nas (bądźmy szczerzy, nasz los nie ma już wielkiego znaczenia), ale dla Nowego Vironu? Powiedziałem Papryce, że źli ludzie nie mogą mieć dobrego rządu.

Jedwab by się modlił. To oczywiste.

* * *

Jahlee nie żyje. Umarła w ramionach Pokrzywy.

Zabiłem ją.

Pokrzywa przyszła, kiedy się modliłem. Słyszając stukot zasuwki i skrzypnięcie drzwi, przerwałem pacierz, wstałem — i rozpoznałem Pokrzywę. Rozmawialiśmy, najpierw w pielni, potem na plaży, w blasku Zieleni, wypatrując „Whorla” wśród gwiazd. Opowiadaliśmy sobie nawzajem o różnych rzeczach; może w przyszłości o nich napiszę, przynajmniej o niektórych.

Zasnęłaś. Ułożyłem cię na piasku i wróciłem do domu po koce. Chciałem cię przykryć, usiąść przy tobie i poczekać, aż się obudzisz. Maytere nie spała. Uklęknąłem przy niej i przez jakieś dwie minuty rozmawialiśmy szeptem.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, niosąc koce, w pierwszej chwili pomyślałem, że wstałaś i gdzieś sobie poszłaś. Po prostu. Nie wiedząc, co robić, wróciłem do miejsca, w którym cię zostawiłem. Wtedy okrywający cię cień poruszył się i ujrzałem jej twarz.

Zawołałem cię po imieniu. Zbudziłaś się i krzyknęłaś. Miałem azoth za pasem, ale nie wyciągnąłem go. Rzuciłem się na Jahlee z pięściami, a kiedy upadła, kopałem ją jak Alka. Może przyjdzie taki dzień, że to sobie wybaczę.

Nie potrafię zmusić się do tego, żeby opisać to zdarzenie ze szczegółami. Wszyscy, którzy spali w domku, wysypali się na plażę — Babbie był pierwszy, za nim Skóra ze strzelbą. Wybuchło zamieszanie, ja zaś, nie wiedząc, że Jahlee umiera, wyjaśniłem, że dostała drgawek. Wziąłem ją na ręce, zaniósłem do domu i kazałem wszystkim poczekać na dworze.

Wyszli — wszyscy poza maytere, która mogła mi się przydać jako pielęgniarka. Ty jednak wkrótce wróciłaś z pudełkiem bandaży i maści, które trzymamy w papierni. Położyłem Jahlee na naszym łóżku; wiała się w taki sposób, że było oczywiste, iż nie ma kości. Nie krzyknęła ani razu, a przemówiła, dopiero kiedy wzięłaś ją w ramiona. Wyjaśniła, że chciała cię zabić i że słusznie zrobiłem, rzucając się na nią.

— Więcej tego nie robi — obiecałaś jej.

Przeniosłem świecę bliżej łóżka. Miałem wrażenie, że oglądam twarz pięknej kobiety ulepioną z wosku, który rozpływa się pod wpływem ciepła płomienia — tyle że tym ciepłem była śmierć.

— Od dawna go pragnęłam... Opowiadałaś jej o Kraicie, rajanie?

Pokręciłem głową.

— Mówił mi, że niedługo po tym, jak on i Ściągnio porzucili dom, adoptował chłopca — powiedziałaś. — I o tym, że ten chłopiec zginął na Zieleni.

— Był jednym z nas.

Spojrzałaś na nią z niedowierzaniem, a ja wyjaśniłem:

— To inhuma.

Jahlee oddychała z coraz większym trudem i w końcu maytere stwierdziła:

— Chyba już nic więcej nie powie.

Trzymałaś ją w ramionach, ale patrzyłaś na mnie.

— Sprowadziłaś tu inhumiego? Jak mogłeś?!

— Myślałem, że nikogo nie skrzywdzi. — Trudno mi było spojrzeć ci w oczy, ale zmusiłem się do tego. — Krait i ja...

Nie umiałem ci tego wyjaśnić, chociaż próbowałem to już zrobić w innej księdze, opisać w zimnych, czarnych słowach, jak bardzo się nienawidziliśmy — i jak byliśmy dla siebie ważni.

Jej głos zabrzmiał jak słowa trupa przemawiającego z trumny:

— Krait był moim synem. Moim i Ściągną. Domyślałeś się tego, prawda, rajanie?

Pokiwałem głową.

— Za dużo o tym wiedziałaś, moja córko. I za bardzo chciałaś się dowiedzieć jeszcze więcej.

— Myślicie, że ich los jest nam obojętny...

— Waszych dzieci? — Chciałem zaprzeczyć, ale zdałem sobie sprawę, że ma rację.

— Wy się o nie troszczycie, więc i my musimy.

Zapadła cisza, w której nabrałem pewności, że tym razem naprawdę już nie przemówi. Pod warstwą pudru, różu i farbek jej twarz miała kolor kredy.

~ O co jej chodzi? — zapytałaś. — Aby się wśród nas ukryć, upodabniają się do nas. Naśladują nas we wszystkim, nawet w uczuciach. Większość młodych in — humich zostaje pożarta przez ryby, gdy są jeszcze bardzo małe.

— Rani? — stęknęła Jahlee. — Rani...

— Chyba mówi o tobie — zwróciła ci uwagę maytere.

— Próbowwała mnie zabić — odparłaś. — Nie chcę z nią rozmawiać.

Mimo to nadal nie wypuszczałaś jej z objęć.

Coś na kształt uśmiechu musnęło usta Jahlee.

— Tyle ich miał, rani, w Gaonie... Nie mogłam wszystkich zabić. Schyl się.

Zrobiłaś to, jak zauroczona.

— Bez krwi nasze dzieci są bezrozumne.

— Nie! — krzyknąłem.

— Bliżej, rani. To wielka tajemnica.

— Zdradza swoją rasę — ostrzegłem ją.

— Nienawidzę swojej rasy. Posłuchaj mnie, rani.

— Dobrze — powiedziałaś. — Słucham.

Maytere dotknęła mojej ręki. Wiedziałem, że ten gest oznacza „Ja też”, ale nie kazałem jej wyjść.

— Z waszej krwi czerpiemy moc ich umysłów. Ich umysły niczym nie różnią się od waszych. Dawno temu w tym miejscu wypiął krew waszego synka. Krait był moim synem, jednym, który miał umysł waszego dziecka. — Zakrztusiła się, a kiedy znów przemówiła, ledwie ją słyszałem, chociaż nachyliłem się nad nią tak samo jak ty. — Bez was jesteśmy tylko zwierzętami, które umieją latać i nocą piją krew.

Po tych słowach umarła. Ty, Pokrzywo, również umrzesz, jeżeli inhumie się dowiedzą, co ci powiedziała. Możesz zresztą umrzeć i bez tego — wystarczy, że dowiedzą się, że tu jestem. Pomyślą, że ci powiedziałem.

Nie powinienem był wracać.

[W tym miejscu kończy się relacja, którą spisał własnoręcznie dla naszej matki].

Hari Mau

Wszedł protonotariusz, uklonił się służalczo i wręczył prolokutorowi złożoną kartkę papieru. Kiedy wyszedł, mały, korpulentny dostojnik rzekł: — Proszę o wybaczenie. Z całą pewnością jest to sprawa bez znaczenia.

Siwowłosy mężczyzna, do którego się zwrócił, uśmiechnął się i skinął głową.

— Pochlebia mi fakt, że Wasza Mądrość pokłada we mnie tak wielkie zaufanie.

— Jedwab dobry! — zapewnił Oreb.

— Pewien jestem, że się nie mylę.

Jego Mądrość otworzył list, przeczytał go, zerknął z powagą gościa i wrócił spojrzeniem do pisma.

— Wasza Mądrość nie musi zdawać się na mnie. Zdaję sobie sprawę...

Prolokutor uciszył go gestem pulchnej dłoni.

— List dotyczy ciebie, tego nie zamierzam ukrywać. Pytam teraz, uczciwie i otwarcie, czy ufasz memu osądowi i słuszności moich poglądów.

— Znacznie bardziej niż swoim, Wasza Mądrość.

— Wobec tego wiedz, że ta nota dotyczy ciebie, nie pozwolę ci jednak się z nią zapoznać. Jej szczegółową treść zdradzę, gdy

uznam to za stosowne. Czy będziesz mi asystował z własnej woli?

— Własnej i nieprzymuszonej, Wasza Mądrość.

— Godne pochwały. — Prolokutor spojrział na porcelanowy, malowany w kwiaty cyferblat zegara. — Została niespełna godzina, a obaj chcielibyśmy jeszcze przez kilka bezcennych chwil oddać się modlitwie na osobności. Dlatego będę mówił krótko.

— Słucham, Wasza Mądrość.

— Po pierwsze, tobie przypadnie w udziale odprawienie nabożeństwa, ale ja będę wróżył z ofiar. Przygotuj się na wygłoszenie mowy do bogobojnych suplikantów.

Siwowłosy skinął głową.

— Po drugie, muszę cię ostrzec, że widziano w naszym mieście cudzoziemców, którzy zamierzają ponoć uprowadzić się na Błękit. Wczoraj w nocy wysłałem do ciebie koadiutora, aby uprzedził cię o obecności tych przybyszów z zewnątrz. Nie spotkał się z tobą, ale... Dlaczego tak na mnie patrzysz?

— Nie zarżnie!

— To nic takiego, Wasza Mądrość. Proszę mówić dalej.

— Zmierzałem do tego, że nasze uroczyste nabożeństwo może stać się dla nich doskonałą okazją do spełnienia groźby. Ty, jak miemam, nie nawykłeś być obiektem knowań ludzi złej woli. Możesz mi jednak wierzyć, kiedy twierdzę, że ja doskonale wiem, o czym mówię. Gdybym powziął był zamiar schwytania cię i wywiezienia z miasta, nie omieszkałbym skorzystać z szansy, jaką daje uroczyste nabożeństwo.

— Będę uważał, Wasza Mądrość.

— Koniecznie. — Prolokutor nie ukrywał swojego powątpiewania. — Masz awanturniczą naturę, ale i wielkiego

ducha. Rozwijaj w sobie niewinność gołębiczy i rozwagę żółwia. Obie mogą ci się przydać.

— Staram się, Wasza Mądrość.

— Mam taką nadzieję. — Prolokutor znów zerknął na zegar. — Pozostaje jeszcze kwestia tej noty: generał Mięta chce z tobą porozmawiać. Nie obawiaj się zbędnego mitrżenia czasu. Generał jest w tej chwili w pałacu.

Protonotariusz zaprowadził go do niewielkiej, lecz urządzonej z przepychem komnaty na tym samym piętrze. Przy oknie siedziała zatroskana Mięta, zaciskając dłonie na podłokietnikach wózka.

Uklonił się; siedzący mu na ramieniu Oreb zatrzepotał skrzydłami.

— Jestem zaszczycony, generale. Jak mogę pomóc?

Skinęła głową i przywołała na usta wymuszony uśmiech.

— Zamknij drzwi, proszę. Nie mamy czasu na przyzwoitość.

Zrobił, o co prosiła.

— Rzeźnicy mogą nas podsłuchiwać, więc staraj się mówić cicho. — Rozejrzała się po pokoju. — Mogą nas również podglądać, ale na to nic nie poradzimy. Usiądź przy mnie, abyśmy dobrze się słyszeli. To...

Czekał.

— Od dawna chciałam to zrobić i teraz właśnie to zrobię. Mój mąż... Ale mniejsza z tym. Nie jesteś Jedwabiem. To ustaliliśmy.

— Mam nadzieję.

— W takim razie powiem ci coś o nim. Ten mały augur powtarza mi, że o trzeciej będziesz składał ofiarę. To ma być uroczyste nabożeństwo. Chce, żebym przyszła.

— Ja też chcę.

— Naprawdę? — Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. — W takim razie może przyjdę. Ale i tak najpierw muszę ci powiedzieć. — Jeszcze bardziej zniżyła głos, tak że ledwie było ją słychać. — I coś ci dać.

Czekał.

— Podejrzewam, że Echidna dlatego kazała mi pokierować buntem przeciwko Ayuntamiento, że umiałam jeździć konno. Nie wiem, czy tak było, ale dosiadłam konia. Pewien człowiek oddał mi wspaniałego rumaka, ogromnego białego ogiera, wskoczyłam na jego grzbiet. Wtedy jeszcze potrafiłam.

— Pamiętam.

— Dziękuję. Miło mi to słyszeć. Wskoczyłam mu na grzbiet, a on stanął dęba. Chyba się nie spodziewał, że ktoś spróbuje go dosiąść bez siodła. Kiedy wspiał się na tylne nogi, Jedwab rzucił mi swój azoth. — Mięta się zawahała. — Mogłeś o tym słyszeć. To było jedno z najsłynniejszych wydarzeń tamtej wojny.

— Rzeczywiście, słyszałem. Nawet opisałem to zdarzenie.

— Świetnie; chętnie kiedyś przeczytam ten opis. Nie zastanawiałam się, skąd Jedwab ma taką broń. Po prostu złapałam azoth i zaczęłam się nim posługiwać. — Sięgnęła pod szal okrywający jej kolana. — Później się dowiedziałam, że dostał go od żony. To znaczy od Hiacynta, która niedługo potem została jego żoną. Lubię myśleć, że stało się tak dzięki azothowi.

Pokiwał głową.

Jej drobna, ściągnięta twarz była bledsza i poważniejsza niż zwykle. Poniewczasie zorientował się, że Mięta cierpi.

— W zamian za azoth wymusiła na nim obietnicę ożenku. Tak, na pewno tak było. A on dotrzymał i słowa, i tajemnicy, taki już był.

— Wiem.

— A wiesz, że ja nadal mam tę słynną, niezrównaną broń z whorla krótkiego słońca? Mam.

Milczał, w duchu modląc się za nią.

— Nie zapytasz, po co azoth kalekiej kobiecie na wózku? Śmiało. Czekam.

Pokręcił głową.

— Nogi są potrzebne temu, kto chce uciec.

Przez chwilę rozważała jego słowa.

— Czasami... Czasami ucieczka to najmądrzejsza rzecz, jaką można zrobić.

— Z pewnością masz rację.

— Uciekałam przed tobą. To znaczy przed Jedwabiem. Nie dlatego że się go bałam. Bałam się upokorzenia. To było głupie.

— Upokorzenie jest darem Zewnętrznego — powiedział, kiwając głową. — Jestem o tym przekonany.

— Naprawdę? Mówisz jak Jedwab.

— Jedwab dobry — zakrakał Oreb, wierząc mu się na ramieniu.

— Pochlebiasz mi. Jeżeli tak przemawiał Jedwab, jest nam rozpaczliwie potrzebny.

_ Człowiek idzie!

— Chodziło mi o to, że upokorzenie nieuchronnie prowadzi do wykluczenia. Człowiek upokorzony nie czuje już, że należy do grupy, a na pewno nie uważa się za jej pełnoprawnego członka. Oddalając się zaś od grupy, zbliża się do Zewnętrznego, boga odrzuconego przez innych bogów.

Rozległo się zdawkowe pukanie do drzwi, które zaraz potem się otworzyły.

— Za piętnaście minut masz być w Wielkim Manteionie — przypomniał protonotariusz.

— Postaram się.

Mięta skinęła na protonotariusza, żeby zamknął drzwi. Zrobił to.

— Czas nagli, więc nie będę się już dopytywać, co chciałeś przez to powiedzieć. Grozi ci niebezpieczeństwo. Mój mąż cię ostrzegał.

— W mieście są obcy. Jego Mądrość nazwał ich przybyszami z zewnątrz, co może być znaczące. Szukają Jedwabia. O nich mówisz?

Skinęła głową. Ukryta dotąd dłoń wynurzyła się spod szalu, zaciśnięta na azothcie z przejrzystym, lekko fioletowym kamieniem w rękojeści i krwawnikiem osadzonym pośrodku jelca. Przez ułamek sekundy wyglądało to, jakby nie chciała się z nim rozstawać.

Oreb zagwizdał i stwierdził:

— Zła rzecz!

— To z pewnością niebezpieczne narzędzie. A przy tym bardzo cenne. Mogłabyś dostać za niego dużo pieniędzy, generale.

— Mogłabym, gdybym miała prawo nim rozporządzać. — Westchnęła. — Ale nie mam. Ogromnie ułatwiłbyś mi życie, Rogu, gdybyś zadał był tamto pytanie. Odpowiedziałabym, że taka kobieta nie zdoła już wprawdzie posłużyć się azothem, może jednak nadal odczuć przyjemność z ofiarowania go komuś potrzebującemu. Do tej radości mam pełne prawo. Weź go, proszę.

~ Jeżeli już go nie chcesz, powinnaś zwrócić Jedwabiowi.

— Chcę. Bardzo chcę. Ale go nie potrzebuję. Co się zaś tyczy zwrócenia go... Próbowałam. Jedwab przyjął go i bardzo szybko znów mi oddał. Ukryj go.

W zakrystii Wielkiego Manteionu Oreb wodził podejrzliwym wzrokiem po ułożonych według wielkości nożach ofiarnych.

— Jedwab dobry. Nie zarżnie!

— Nie zarżnę, ale musisz mi w tym pomóc. Zostań tutaj. Jeżeli wyfruniesz na zewnątrz, ludzie zobaczą cię, pomyślą, że przyniosłem cię po to, by złożyć w ofierze bogom, i zaczną się tej ofiary domagać. Zostaniesz tu?

— Ptak dobry!

Otrzepał augurską togę, którą dostał od Oliwinu (trochę zawstydzony niezdarnym ścięciem, którym rano zaszył ziarna kukurydzy w szwach szaty), umył ręce i przygładził rozwiane włosy. Pod wpływem impulsu zgolił brodę, używając do tego pięknej brzytwy z inkrustowanym wzorem przedstawiającym pieczęć Kapituły: nóż i kielich.

— Mój ojciec miał większą — mówił do Oreba. — Ale nie tak ozdobną. Miała zwyczajną kościaną rączkę. A ta, jeśli się nie mylę, ma uchwyt z kości słoniowej.

— Nie zarżnie!

— Staram się. Chyba powinienem nałożyć więcej piany.

Kilka razy przesunął pędzlem z borsuczej sierści po wonnym mydle w porcelanowym kubku z symbolem Wielkiego Manteionu i zaczął sobie mydlić lewy policzek.

— Przypomniał mi się doktor Żuraw, jak się golił w naszej gospodzie w Limnie. Kusiło go, żeby zostawić część zarostu. Ja również czuję tę pokusę, ale tak jak on muszę ogolić się gładko. Mam nadzieję, że bez brody trudniej będzie mnie wziąć za patere Jedwabia. Poza tym...

— Jedwab dobry!

— ... może w ten sposób uda mi się, jak to ładnie ujął Jego Mądrość, pokrzyżować plany tym obcym.

— Ludzie źli? — Oreb przefrunął z parapetu na umywalkę i spojrzał na swojego pana okiem jak kulka wypolerowanego gagatu.

— Tego niestety nie wiem. Podobnie jak stu innych rzeczy, Ore — bie. Na przykład chciałbym wiedzieć, czy Świnia i Oreb będą na nabożeństwie. Albo czy generał Mięta i calde Bizon przyjdą. Czy pojawią się ci przybysze z zewnątrz. Gdzie jest Jedwab. Dlaczego ani Bizon, ani Jego Mądrość nie chcą mnie do niego zaprowadzić, chociaż obaj ogromnie skorzystałyby na jego odejściu z miasta.

Ostatni raz musnął brzytwą górną wargę i opłukał ostrze pod kranem.

— Jedwab dobry!

— Tak, jest dobrym człowiekiem, i to właśnie stanowi główny problem calde Bizona i Jego Mądrości. Dla Jego Mądrości Jedwab jest jak drugi prolokutor, zdolny — choć tego nie chce — podważyć zasadność jego zwierzchnictwa nad Kapitułą; dla calde Bizona byłby jeszcze groźniejszym konkurentem.

Energicznym ruchem przyłożył do twarzy zmoczony ciepłą wodą ręcznik, znacząc czarną togę jeszcze ciemniejszymi plamkami. Obejrzał je, stwierdził, że nic na to nie poradzi, i pocieszył się, że tak czy inaczej szybko wyschną.

— Ma już za żonę generał Miętę, która nie nazywa się wprawdzie calde, ale i tak nim jest.

— Dobra dziewczeczka!

— Naturalnie. Dlatego ludzie ją kochają i ufają jej. Za nią jednak stoi jeszcze jeden calde: Jedwab. W żadnym wypadku nie chciałbym znaleźć się na miejscu Bizona, a już na pewno nie w takich warunkach.

Jakiś augur stanął w drzwiach zakrystii.

— Jesteś gotowy do procesji, patere? Zaprowadzę cię do miejsca, gdzie się zbieramy.

W tym momencie nie było już sensu wypierać się tytułu.

Szepty rozlegały się w tłumie zebranych w Wielkim Manteio — nie jak szum wiatru szeleszczącego liśćmi w lesie; ciche, ledwie słyszalne wypływały z kruchty i przybierały na sile, mknąc przez nawę. Nie mógł wiedzieć (tak sobie powtarzał), że to poruszenie wywołuje jego obecność (zgodnie z poleceniem, szedł o krok z tyłu i krok na prawo od prolokutora), lecz był wiedzą leciutko, niewytłumaczalnie zakłopotany.

Miejsca siedzące przygotowano im w pobliżu Wielkiego Ołtarza, ale wystarczająco daleko, by nie przeszkadzał im ogień, który miał zapłonąć dzięki staraniom krzątających się przy nim dwadzieścioro augurów i sybilli. Dla prolokutora przeznaczony był wspaniały czarny tron, oszczędnie inkrustowany złotem; dla niego — stojący obok fotel, niewiele mniej imponujący i również połyskliwie czarny.

Chór złożony z... Próbował policzyć śpiewaków: były ich co najmniej cztery setki. Na Błękanie mogliby założyć osobne miasto i nazwać je Pieśń albo Melodia, a potem, żeniąc się między sobą, spłodzić rasę istot o gładkich twarzach i słodkich głosach, które wkrótce zyskałyby wielką sławę.

Śpiew narastał, cichł, znów się wznosił, zarazem żarliwy i majestatyczny. Zerkając przez ramię na migotliwą szarość świętego okna, zastanawiał się, którzy bogowie ich słuchają — i czy w ogóle jacyś słuchają.

Jeden na pewno słuchał, ale nie poprzez święte okno: Świnia znajdował się wśród wiernych. Wspomnienie Jedwabia i słów, które wypowiedział w zburzonej willi Krwi, wróciły ze zdwojoną intensywnością.

Słońce skupione w ogromnym wklęsłym zwierciadle z polerowanego złota spełniło swoją funkcję: znad olbrzymiej sterty cedrowego drewna (złapał się na buntowniczym pomysłe, że budulca wystarczyłoby na śliczny domek dla jakiejś ubogiej rodziny) na ołtarzu wzbiła się smużka dymu. Szybko zgęstniała i gdy hymn osiągnął crescendo, buchnął pierwszy jęzor ognia.

— Powstań — szepnął prolokutor. — Przyjmij moje błogosławieństwo.

Wstał, odwrócił się w stronę tronu, pochylił głowę. Prolokutor miękką dłonią raz po raz kreślił w powietrzu znak dodawania i zawodzącym głosem recytował najdłuższe błogosławieństwo z Pisma Chramologicznego, kładąc dodatkowy nacisk na co drugie lub co trzecie słowo.

Po błogosławieństwie wyminął ołtarz i wszedł na ambonę. Miał bardzo dużo do powiedzenia — i bardzo mało czasu. Byłoby mu znacznie łatwiej, gdyby zdołał w jakiś sposób podeprzeć się Pismem.

— Pomóż mi, o Zewnętrzny Zapoznany — szepnął i otworzył księgę w przypadkowo wybranym miejscu.

— Można by po prostu przyznać, że mit nie jest nieodpowiedzialną fantazją ani zagadnieniem psychologii najcięższego kalibru, że wymyka się takim klasyfikacjom, gdyż jest czymś zupełnie odmiennym i wymaga całkiem świeżego spojrzenia.

Westchnął z ulgą, zamknął przepiękny, wysadzany klejnotami wolumin i odłożył go na bok.

— Za chwilę złożymy ofiarę nieśmiertelnym bogom — zaczął. — Będziemy błagać, aby przemówili do nas ze świętego okna...

Podniósł się wyraźnie słyszalny szmer rozmów. Zmarszczył brwi i czekał, aż ucichnie.

— Poprosimy również, aby przemówili poprzez wnętrzości zwierząt, które złożymy w ofierze. Łatwo, aż nazbyt łatwo zapominamy jednak, że już do nas przemawiali, na długo przed tym, jak urodziła się najstarsza ze słuchających mnie osób. Moim zdaniem bogowie mówią nam, że są różne rodzaje wiedzy, których nie należy ze sobą mylić. Mit jest jedną z nich. Każdy odczuwa czasem pokusę odrzucenia wiedzy; życie bez niej byłoby o wiele prostsze. Niewykluczone, że najchętniej odrzucilibyśmy właśnie ten rodzaj mądrości, przed którego utratą ostrzegają nas dziś bogowie: wiedzy o tym, że rzecz jest tym, czym jest naprawdę, a nie czymś zupełnie innym. Mężczyzna powie, że wszystkie kobiety są takie same; kobieta to samo zarzuci mężczyznom. Ten, kto uważa się za mądrego, będzie utrzymywał, że poznać możemy tylko to, co widzimy, albo że wszelkie poznanie jest niemożliwe i w ten sposób oszczędzi sobie trudów myślenia, lecz za cenę tkwienia w błędzie.

Spojrzał na ogień na ołtarzu, próbując oszacować, ile jeszcze ma czasu.

— Zajmijmy się mitem, jakim jest stwierdzenie, że Pah nakazuje wszystkim porzucenie tego whorla i osiedlenie się na jednym z whorli zewnętrznych. Każdy z was musiał słyszeć takie leczenie w takiej czy innej formie, niektórzy może nawet od samego patere Jedwabia. Przypuszczam, że w mniej lub bardziej bezpośrednich słowach rozgłaszali je augurowie stojący tu, na tej samej ambonie. Odpowiedziały mu podekscytowane szepty. Bębniąc palcami w rzeźbioną falę

onyksu, która stanowiła ambonę Wielkiego Manteionu, czekał, aż szmer znowu przygaśnie.

— Czy to kłamstwo? Nie, to mit. Czy to tylko intrygująca fantazja? Odpowiedź ponownie brzmi: nie, to mit. Czy jest to precyzyjne, bezpośrednie stwierdzenie faktu, takie jak, powiedzmy, oznajmienie, że Jego Mądrość, który dzisiaj pozwala mi przemawiać w swoim imieniu, jest dobrym i mądrym człowiekiem? Nie. To mit. — Otarł pot z czoła. — Kiedy patere Jedwab dotarł tunelami pod miastem do pierwszego lądownika, na ostatnim stopniu znalazł wyryte następujące słowa: „Ten, kto tu schodzi, najlepiej służy Pahowi”. Umieszczono je tam na rozkaz samego Paha Wielkiego. Wynika z tego jasno, że ci, którzy do tej pory zeszli, są wyróżnieni w oczach Paha oraz, jestem o tym głęboko przekonany, w oczach jego ojca. Łatwo w tej sytuacji prześledzić genezę mitu. Lecz wy, mieszkańcy miasta, do których się zwracam i którzyście nigdzie nie zeszli, również mu służycie.

Ogień na ołtarzu płonął wściekle, huk płomieni prawie zagłuszał słowa, wonny dym sięgnął jego nozdrzy.

— Pismo nie mówi tego wprost tego we fragmencie, który przed chwilą zacytowałem, ale gdybyśmy przeczytali inny passus, do którego ja sam często wracam, dowiedzielibyśmy się, że bogowie wymagają od nas różnych form służby w różnym czasie.

Wcześniej z nadzieją wypatrywał wśród ławek wózka generał Mięty, ale bez powodzenia. Kiedy zaczął mówić, dostrzegł ją na skraju czwartego rzędu. Najprawdopodobniej służący przywiózł ją, posadził w ławce i zabrał wózek. Bizon siedział obok niej i obserwował go spod zmrużonych powiek — sam obserwowany przez przycupniętego na gzymsie Oreba.

— Podobnie jest i z nami. Jeszcze niedawno naszym obowiązkiem było stąd odejść, wsiąść do ładowników, przemierzyć otchłań i osiąść na Zieleni lub Błękiecie. Wielu z nas tak uczyniło, czym zadowoliło bogów. Bogowie chcą jednak dziś, aby ci, którzy nie odeszli, zostali w tym whorlu, prawdopodobnie już na zawsze. Do końca życia.

Bizon z uśmiechem kiwał głową; jego białe zęby połyskiwały w gąszczu brody.

— Przedwczoraj w nocy rozmawiałem z bożęciem, które mi o tym powiedziało i kazało przekazać żądanie bogów mieszkańcom miasta, co niniejszym czynię. Zaniedbałbym obowiązki, gdybym nie skorzystał z nadarzającej się okazji — tymczasem ja swój obowiązek spełniam i modłę się o błogosławieństwo bogów, w szczególności Zewnętrznego i Jedwabia, na nadchodzące dni.

Mówiąc, obserwował Świnię, jeśli jednak jego wyraz twarzy zmienił się choćby na jotę, dzieliła ich zbyt duża odległość, by mógł to stwierdzić. Czcigodny augur podszedł do ambony, niosąc wyłożony na czarnej aksamitnej poduszce lśniący nóż ofiarny. Od ołtarza buchał wściekły żar.

— Jesteśmy gotowi, patere — wyszeptał augur.

— Nie.

Zacisnął dłoń na ozdobnej rękojeści. W nawie dwaj inni augurowie prowadzili już pięknego szarego ogiera.

Przez otwarte drzwi doleciał go głos młodego, gorliwego augura, którego posłał po Świnię i Ogara.

— To jest zakrystia. Tu ubieramy się przed nabożeństwem, wszyscy augurowie. Czasem nawet sam Jego Mądrość. Ale teraz Jego Mądrości tam nie ma, przynajmniej tak mi się wydaje. Jest tylko patere Róg.

Westchnął, próbując zetrzeć plamy krwi, którymi upstrzona była toga. Pocięsział się, że i tak lepsze to niż „patere Jedwab”.

Mosiężny czubek pochwy stuknął o posadzkę i zaklekotał o futrynę.

— Człowiek idzie — obwieścił zgoła niepotrzebnie Oreb.

— Wejdz, Świnio. Większość z nas doprowadziła się już do porządku. Ja też prawie kończę czyścić szatę.

Świnia wyglądał na zadowolonego, że w progu zakrystii musiał tylko odrobinę pochylić głowę. Gorliwy młody augur wszedł za nim.

— Przepraszam, patere, ale nie udało mi się sprowadzić tego drugiego pana. Nie mógł przyjść. Porozmawiał z jakimś człowiekiem i stwierdził, że musi coś załatwić.

— Świce, brachu — zadudnił Świnia. — Kilka setek za kartę. Ogar śmignął jak strzała.

— Istotnie, wyglądał na kupca — dodał gorliwy młody augur. — Usiłowałem się dowiedzieć, jak ma na imię, ale był tak zajęty rozmową z tym drugim panem, że nie odpowiedział. Ale jeśli to ważne, mógłbym popytać.

— To chyba bez znaczenia. — Róg wytarł ręce w śnieżnobiały ręcznik, patrząc, jak zaróżowiona od krwi woda spływa z umywalki. Tym samym ręcznikiem wytarł pot z twarzy. — Z pewnością wieczorem do nas dołączy. Chcesz usiąść, Świnio? Przyniosę ci krzesło.

— Ja to zrobię — zaproponował gorliwy młody augur. I przyniósł krzesło.

— Dzięki — powiedział Świnia.

— A ty, patere Rogu? Nie usiądziesz?

Pokręcił przecząco głową, starając się wyrazem twarzy dać do zrozumienia, żeby gorliwy młody augur już sobie poszedł.

— To dla mnie wielki, wielki zaszczyt, patere. Znaczy... był. Bo ja... To znaczy ty... i Jego Mądrość, oczywiście.

— Jestem przekonany, że w twoim wypadku zaszczyt był całkowicie zasłużony.

Wskazał drzwi.

Kiedy gorliwy młody augur zniknął, Świnia się odezwał:

— Zrypanyś, co? Nie dziwota, po tym, coś zrobił.

— Czy jestem zmęczony? A wiesz, że nie? Przy Jego Mądrości naharowałem się jak cała armia rzeźników, w dodatku ciągle robiło mi się niedobrze na myśl o tym, że umiera tyle cennych zwierząt, ale teraz wcale nie czuję się zmęczony. Przeciwnie. — Sięgnął po stojący w kącie kostur i zakręcił nim w powietrzu, choć wiedział, że Świnia nie zobaczy tego gestu. — Gdyby to ode mnie zależało, wróciłbym już na ulice szukać Jedwabia.

— Jedwab dobry!

— Co poszło, to nie wróci.

— Straconego czasu nie da się odzyskać? O to ci chodzi?

— Ano.

— Masz rację, ale na razie nie możemy sobie stąd pójść. Jeszcze nie teraz. Tłum czeka na nas. Na mnie. Augurowie mnie o tym uprzedzili. Wtedy właśnie posłałem po ciebie i Ogara. Pomyślałem, że jeśli mamy czekać, to równie dobrze możemy czekać razem. — Uśmiechnął się. — Podejrzewam, że najdalej za pół godziny zapomną o nas albo pomyślą, że wymknęliśmy się innym wyjściem, i wrócą do swoich spraw. Śledziłeś przebieg uroczystości?

— Ano, pewnie. Ogar mi mówił, co widzi. Brachu... ?

— Tak, Świnio? — Odłożył kostur. — O co chodzi?

— To nie moja broszka, brachu, ale... Żeś miał zapytać o tego Jedwabia, twojego kumpla. Aleś nie zapytał, nie?

— Masz rację. Nie zapytałem. — Przyniósł sobie krzesło i usiadł. — Nie zapytałem wiernych, a w szczególności ciebie, o

los Jedwabia, z jednego prostego powodu.

— Świnia dobry — mruknął Oreb.

— To prawda — przytaknął jego pan. — Świnia jest dobrym człowiekiem i nie gorzej ode mnie zna przyczynę mojej decyzji. Ogar zresztą również.

— Czy zna? Nie zna.

— Chyba jednak zna. Wiernych nie zapytałem, ponieważ wszyscy uważają, że to ja jestem Jedwabiem. Ty też tak sądzisz.

Świnia nie odpowiedział. Jego niewidząca twarz była zwrócona ku górze i przekrzywiona w lewo. Sekundy mijały w milczeniu, a na brudnej szmacie, którą miał przewiązane oczodoły, pojawiły się dwie wilgotne plamy.

— Zostały ci łzy. Cieszę się. Jeśli jednak ronisz' je nade mną...

— Ludzie iść — ogłosił Oreb.

— ... to niepotrzebnie. Wiem, kim jestem i co muszę zrobić.

Bardzo wysoki mężczyzna w białym jak śnieg zawoju na głowie, śniady, niezwykle przystojny, wszedł do zakrystii w towarzystwie podobnych mu, choć nie tak eleganckich mężczyzn.

— Patere Jedwab — powiedział.

Pokręcił głową.

Wysoki mężczyzna uklęknął, jedną ręką podtrzymując złocopochwę długiej, mocno zakrzywionej broni.

— Przybyliśmy tutaj, aby obwołać cię rajanem Gaonu, patere Jedwabiu. Chwała ci, rajanie!

— Chwała! — zawołało towarzyszących mu sześciu. Zanim Jeszcze wzniesli wiwaty, dobyli broni i teraz wymachiwali nią nad głowami. Jeden strzelił z igłowca w sufit. — Rajan Jedwab! Oreb wyfrunął przez otwarte okno.

— Nie. — Wstał z krzesła. — Nie jestem Jedwabiem. Doceniam zaszczyt, jaki chcecie mu uczynić, naprawdę doceniam, ale trafiliście do niewłaściwego człowieka.

— Bacz, brachu. Bacz teraz.

— Wątpię, żeby zamierzali nas skrzywdzić, Świnio. Chcą raczej, abym udał się z nimi do ich miasta.

Wysoki wstał. Był o pół głowy od niego wyższy.

— Chcemy, abyś został naszym sędzią, rajanie. Po to przybyliśmy.

Pokiwał głową.

— Tak myślałem. To wy urządziliście awanturę w „Gronostaju” i pobiliście recepcjonistę.

— Tak, rajanie. — Uśmiech cudzoziemca jaśniał jak szafir nad jego czołem. — Wiedzieliśmy, że tam jesteś. Ktoś cię widział, jak wchodziłeś. Recepcjonista nie chciał nam nic powiedzieć, więc skarciliśmy go pasami. I płazem szabli. Osioł, który dostanie klapsa, na drugi dzień zdrowieje.

— Rozumiem... Chcielibyście, aby patere Jedwab was rozsądzał, tak?

— Ty. — Przybysz złożył dłonie i uklonił się nisko. — Ty, nim jesteś, rajanie.

— Nazywam się Róg. A to jest Świnia, mój druh.

Wysoki mężczyzna ponownie zgiął się w ukłonie.

— Hari Mau, sługa twój unizony, rajanie. — Inni też się uklonili, posypały się imiona, rozbłysły uśmiechy. — Musisz pójść z nami, rajanie. — Hari Mau też się uśmiechał.

— Nie.

— Bacz! — zadudnił Świnia, wstając.

— Musisz. Posłuchaj mnie, rajanie, to rozkaz samej Echidny. Uniósł brwi w zdumieniu.

— Macie na Błękanie święte okno?

— Nie, rajanie, ale służymy bogom, a oni przemawiają do nas w snach. Przysięgłem... — Za jego plecami rozległy się gniewne pomruki. — Przysięgliśmy, my, bracia, że bez ciebie nie wrócimy do domów i żon. Nie skrzywdzimy cię. — Uśmiech zbladł.

Oczy Hari Mau spoważniały. — Zamieszkaż w pałacu, który dla ciebie budujemy, i będziesz sprawiedliwym sędzią.

Róg westchnął.

— Przeczytałeś o mnie w księdze, Hari Mau? Zanim o mnie śniłeś?

— Tak, rajanie. Później też. Wielu, wielu innych miało taki sam sen, nawet kapłani w świątyni bogini.

— Nie możecie mnie zmusić. — Prawą dłoń zacisnął na gruzło — watym kosturze, lewą położył na ukrytej pod tuniką rękojeści azotha.

— Nie chcemy cię zmuszać, rajanie. Będzie znacznie lepiej, jeżeli pójdziesz z nami z własnej woli.

— Mówię wam po raz ostatni...

— Człowiek dobry? — zainteresował się siedzący na parapecie Oreb.

— ... że nie jestem tym, którego szukacie. Tym, którego i ja szukam. Jestem Róg, nie Jedwab.

— Dobry Jedwab!

— Czy mimo to chcecie, abym poszedł z wami?

— Tak, rajanie — odparł Hari Mau. Jego towarzysze zawtórowali mu półgłosem.

— Macie lądownik? Tak powiedział calde Bizon. Czeka pod miastem, pilnowany przez waszych strażników?

— Tak, rajanie. Gdy tylko znajdziesz się na pokładzie, polecimy do Gaonu.

Pokręcił głową.

— Mam inne plany. Polecę z wami z własnej woli i zrobię, co zechcecie, ale najpierw macie zawieźć mnie i Świnie...

Świnia chrząknął zaskoczony.

— ... do bieguna zachodniego. Zgoda, Hari Mau?

Kiedy operacja dobiegła końca, ostatni bandaż znalazł się na swoim miejscu, a drobne dłonie naśladowujące każdy ruch chirurga cofnęły się, siwowłosa mężczyzna, który z zapartym tchem śledził zabieg, odetchnął z ulgą.

— Mogę go teraz zobaczyć?

— Przecież widzisz — odparł chirurg i wskazał szkło. — Tam jest.

Był wzrostu Hari Mau, cerę miał jeszcze ciemniejszą.

— Nie o to mi chodziło. Obandażowana postać w szkle się poruszyła. Człowiekowi, który pierwszy się odezwał, przyszło do głowy, że pacjent usłyszał jego słowa.

— Chciałbym przy nim chwilę posiedzieć i się pomodlić. Mogę?

— To daleko stąd. — Chirurg mówił powoli, głos miał głęboki i dudniący. — Wy tłumaczę ci, jak tam dojść tunelami, ale nie mogę iść z tobą. Nie mam czasu.

— Ptak znaleźć! — zaproponował Oreb. — Znaleźć Świnia!

— Mam udać się na Błękit, który znajduje się o wiele dalej. Wątpię, abym stamtąd wrócił.

Lekarz pokręcił głową, nie odrywając oczu od Oreba.

— Kiedy „Whorl” zostanie naprawiony, opuścimy ten układ, ale to potrwa jeszcze wiele lat. Może nawet całe życie.

— Nie mogę zejść do tuneli. Moi... Moim przyjaciołom spieszy się do domu. Jeżeli mnie teraz zobaczą, zabiorą mnie do lądownika i natychmiast ruszymy w drogę. Mogę się tam dostać po powierzchni?

— Sam tak robię. — Sądząc z tonu głosu, chirurg nie słuchał jego słów. — Jesteś Róg, tak?

— Dobry Jedwab!

— Tak — przytaknął.

— Powiem im, że przyjdiesz, Rogu. I poprowadzę cię, przynajmniej przez pierwszy łańcuch, może trochę dalej. Nie będzie łatwo. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

— Mimo wszystko chcę tam pójść.

— Dobrze.

Chirurg dotknął swojego pasa i znajdujący się w suficie właz otworzył się bezszelestnie. Powiało gorącem, do środka wpadła szczypta niesionego wiatrem piasku.

— Gdybyś mógł mi pożyczyć moduł napędowy... Lekarz pokręcił głową.

— Byłeś na wschodzie.

. — Tak. Mają tam moduły napędowe. Pozwalali nam ich używać, dopóki tam przebywaliśmy.

_ Są im potrzebne. — Chirurg odbił się od podłogi, wolno podfrunął do góry i chwycił krawędź włazu. — Dla lotników. Dlatego mają zapasowe. My ich tu nie potrzebujemy i nie mamy. Nauczyliśmy się radzić sobie bez nich. Nie wychodzisz?

Róg wzbił się w powietrze, wolno, ponieważ bał się lecieć zbyt szybko.

— Jedwab idzie — zdążył obwieścić Oreb, zanim wiatr go porwał.

— Nic z tego nie rozumiem. Nie pojmuję, jak możecie tak żyć.

— W ciemności? — Chirurg złapał go za rękę. Miał dwa razy dłuższą dłoń, z różowym wnętrzem. — Zwykle nie jest aż tak ciemno.

Błyski czerwonego światła nie były w stanie rozświetlić pandemonium.

— Chodzi mi o wiatr i piasek. Zawsze tak tu wieje?

— Tak. Włącz latarkę.

— Staram się. — Gmerając niezręcznie przy opasce na głowę, przypadkiem przesunął włącznik. Snop światła rozjaśnił ciemne, surowe rysy lekarza. — Nie miałem pojęcia... Chociaż mogłem się domyślić, naturalnie... Nie wiedziałem, że tu też są dzienne noce. I że macie tak mało światła.

— Zwykle nie są nam potrzebne. — Lekarz włączył swoją czołówkę. — Te latarki to wyposażenie ratowników medycznych.

Róg zdążył się obrócić do góry nogami. Wyciągnął rękę w kierunku bladej plamy, która była tuniką chirurga, i przytrzymał się jej, żeby wiatr nie poniósł go w dal.

— Masz czujnik promieniowania?

Już miał odpowiedzieć, że nie, kiedy przypomniało mu się, że przypinał go sobie na sercu.

— Tak... Tak, mam.

— Pamiętaj o nim. Dużo możemy tu wyleczyć, ale choroba popromienna jest najgorsza.

— Ptak wrócić! — Szpony Oreba zacisnęły mu się na ramieniu.

— Rozumiem, że ty tu jesteś blisko... blisko...

— Reaktora. Chodź. — Chirurg zaczął się oddalać od włazu, ciągnąc go za sobą.

— A to miejsce, gdzie operowałeś Świnię... Jak wy je nazywacie?

— Ambulatorium.

— Znajduje się daleko, gdzie zagrożenie jest mniejsze. Reaktor zasila słońce? Tak słyszałem, chociaż trudno mi sobie wyobrazić, że coś w ogóle może je zasilać.

— Złap się tutaj. — Dłonie chirurga naprowadziły go na skalny występ. — Nie daj się zwieść myśli, że jesteś nieważki.

Z ponurą determinacją Róg zacisnął palce na wygładzonej przez piasek skale.

— Ale tak mi się właśnie wydaje.

— To przez ten wiatr. — Białe światełko czołówki chirurga zaczęło się oddalać. — Porwałby cię i poniósł. Jeśli uwierzysz, że nic nie ważysz, tak się stanie.

— Nie leci — poradził mu Oreb.

— Ten wiatr to z gorąca? — Był przerażony, ze strachu szczekał zębami.

— Tak. — Chirurg chyba na niego czekał; może zauważył, że się boi. — Dzienna noc jest najgorsza, bo ciepło słońca nie równoważy tego żaru. W końcu reaktor by ostygł i wiatr zelżał, ale zanim to nastąpi, znów włączą słońce. Na zupełne schłodzenie reaktora trzeba by czekać całe miesiące.

— Rozumiem — powiedział z zapalem, wpatrzony w światełko na czole lekarza.

— Wiatr niesie piach. Jednego dnia tworzy takie wydmy, że nie można się przez nie przekopać, a drugiego wywiewa wszystko, do gołej skały. Ścierając skałę, wytwarza coraz więcej piasku, a i sama skała pęka od gorąca.

— Jest okropnie gorąco.

— Wcale nie. Gdyby słońce było włączone, nie dałoby się dotknąć tych kamieni. Schył się. Schowaj przed wiatrem.

— Staram się, ale mam wrażenie, że to niewiele pomaga.

— Bo mamy pod górkę. — Poświata latarki chirurga zniknęła, głos jednak cały czas do niego dobiegał, jedyny element spokoju w rozszalałej ciemności. — Musisz się odepchnąć nogami.

_ Nie leci! — nalegał Oreb.

Kiedy lampka znów się pojawiła, znajdowała się zaskakująco blisko.

— Nogi masz znacznie silniejsze niż ręce.

Odetchnął głęboko i wypluł piasek.

— Nawet nie wiedziałem, że się wspinamy.

Białe światło znieruchomiało.

— Nie ważysz teraz dużo, ale nie myśl, że nic ci się nie stanie, kiedy wiatr rzuci cię na skały. Mnie się to raz zdarzyło. Bolało jak Święty Hierax. Zdarza się, że ludzie w ten sposób giną.

Chciał powiedzieć, że będzie ostrożny, ale wszystkie siły wkładał w pełznięcie naprzód.

— Nie powinniśmy naprawiać ładunku.

Zbliżyli się na tyle, że w mroku zamajaczyły mu głęboko osadzone oczy i szeroki, spłaszczony nos chirurga.

— Ale dla ciebie zrobię wyjątek. Jeżeli coś ci się stanie, pytaj o mnie.

— Zrobiłeś... — Dyszał ciężko. — ... wyjątek... dla Świni. Dziękuję...

Chirurg złapał go pod ramię i pomógł mu pokonać ostatnie dwa łokcie.

— Muszę ci coś powiedzieć.

— Proszę, mów.

— Chwyć się tutaj. Będziesz mógł stanąć.

Lekarz naprowadził jego palce na uchwyt. Łopotanie targanej zawadzącym wiatrem togi przypominało nieustanne trzaski bicia.

— Spójrz tam. Widzisz moją rękę?

— Widzi rękę? — powtórzył Oreb.

— Tak.

Jasny materiał rękawa ułatwiał zadanie, chociaż na końcu wcale nie było widać dłoni.

— Zielone światło. Widzisz?

— Tak mi się wydaje. Takie mrugające?

— Tam masz iść. To jest ambulatorium. To jakaś mila, półtorej m, li stąd. Pozdrów go ode mnie.

~ Nie omieszkam.

Wiatr się wzmógł. Chirurg musiał prawie krzyknąć, żeby było go słychać.

— Na pewno chcesz iść?

— Tak... Tak, chcę.

— Możesz wrócić ze mną.

Skinął głową, chociaż prawie stykali się twarzami.

— Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony.

Chirurg złapał go za rękę.

— No to chodźmy.

— Idzie teraz! — zagłosował Oreb.

— Nie — odparł. — Źle mnie zrozumiałeś. Nie chodziło mi o to, że chcę wrócić, tylko o to, że byłeś dla mnie niezwykle uprzejmy. Jestem ci dozgonnie wdzięczny.

— Myślałem, że jak je zobaczysz, to zawrócisz.

— Nie.

— Wszystko po to, żeby odwiedzić chorego przyjaciela.

— To jest Świnia. — W tej chwili nie stać go było na dłuższe wyjaśnienia.

— Jak chcesz. Spójrz do tyłu. Widzisz czerwone światło?

Skinął głową.

— Stamtąd przyszedliśmy.

— Tak. U podstawy słupa jest skrzynka. Otwórz ją, pociągnij za dźwignię i zamknij skrzynkę, wtedy będziesz mógł wejść do środka. Nie od razu do Sali Zdalnej Obserwacji, ale blisko. Zapytaj o mnie. .

— Będę musiał tam wrócić, żeby trafić z powrotem do lądownika? — Perspektywa dwukrotnego pokonania tej piaszczystej mili była trudna do zniesienia.

Chirurg pokręcił głową — i znów można było myśleć o Świni leżącym w białym łóżku, o ciszy i modlitwie.

— Mówię ci to na wypadek, gdybyś chciał wrócić.

— Nie wrócę.

— Nie wiadomo. Może ci się coś stać. — Chirurg położył mu rękę na ramieniu. — Ale gdybyś nie wrócił... Cóż, żegnaj.

— Żegnaj, i jeszcze raz dziękuję.

Odwróciłby się i ruszył w drogę, gdyby nie wciąż zaciśnięta na jego rękę dłoń chirurga.

— Idąc w stronę ambulatorium, oddalisz się od bieguna. Będziesz coraz cięższy.

— Dobrze wiedzieć.

— Żałuję, że nie mogę iść z tobą.

Poczuł nagły przypływ wdzięczności.

— Ja też.

Chirurg go puścił.

— Powiem im, że przyjdiesz. Poproszę też, żeby zmienili ci opatrunek. Zapiaszczy ci się.

— Dziękuję po raz kolejny.

Zaczął wchodzić po zboczu, gdy usłyszał wołanie chirurga.

— O co chodzi?

— Podziękowałeś mi za połatanie twojego przyjaciela Świni.

— Tak! — Musiał krzyczeć, żeby go słyszano.

— Kazali nam. Lotnik nam kazał. Zaczekaj.

Sądząc po podskakującej czołówce, chirurg pokonywał skalisty stok znacznie szybciej i sprawniej niż on przed chwilą.

— Lotnik kazał nam go zoperować. Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć. Zdajesz sobie sprawę, że Centralny Procesor wszystkim kieruje.

Instynkt podpowiadał mu ostrożność.

— Tak było na wschodzie. Nie wiedziałem, że wy również go słuchacie.

— Słuchamy. — Chirurg pociągnął go za głaz, który osłonił ich przed wiatrem i piaskiem. — Dawniej komunikował się z nami bezpośrednio. Odkąd przecięto kabel i straciliśmy łączność, przysyła lotników. Czasem także bożęta, ale najczęściej lotników.

— Nie leci! — poradził Oreb.

— Znaleźliśmy miejsce uszkodzenia kabla i próbujemy go naprawić, ale to nie takie proste, jak podłączenie twojego nerwu optycznego do nerwu twojego przyjaciela. W kablu są miliony włókien, a wszystkie połączenia muszą być bezbłędne.

— Wydaje mi się, że rozumiem, o czym mówisz.

— Zanim odlecimy, musimy dokonać tej naprawy i wielu innych. — Chirurg zawiesił głos. Wyraźnie się wahał, czy mówić dalej.

— Jestem ci ogromnie wdzięczny, że zgodziłeś się zoperować Świnię.

— Widzisz... Kłopot polega na tym, że nie mamy pewności, czy lotnicy zawsze wiernie powtarzają nam słowa Centralnego Procesora. Czasem mamy wrażenie, że dodają coś od siebie albo coś pomijają. Słyszałeś o zwierzętach?

— Jakich zwierzętach?

— Wielki Padwab jest ponoć wściekły na żonę i połowę swoich szprotów. Szczerze mówiąc, nie wierzę w to. — Chichot doktora Żurawia odbił się echem od skał. — Ale ludzie gadają, że tamci pozmieniali się w zwierzęta, żeby od niego uciec.

— Nie zarżnie — mruknął mu do ucha Oreb.

— Obiło mi się to o uszy — przyznał.

— Dlatego kiedy kazano nam kogoś połatać i okazało się, że ma na imię Świnia... No wiesz, zaczęliśmy się zastanawiać. Rozumiesz?

— Wystarczająco dobrze, aby się zorientować, że obawiasz się bogów, których nie czcisz.

— To chyba uczciwe. — Chirurg się odwrócił.

— Byłeś dla nas bardzo dobry, dla mnie i Świni. Znaleźliśmy w tobie przyjaciela, którego rozpaczliwie potrzebowaliśmy. Pozwól więc, że cię zapewnię, iż nie masz się czego obawiać. Świnia nie jest opętany przez Echidnę ani żadne z jej dzieci. Nie będę ci tłumaczył, skąd to wiem, ale wiem na pewno. Nie bój się, ja się nie mylę.

Chirurg zatrzymał się i spojrzał na niego.

— Dzięki. Wyglądasz na człowieka, któremu można zaufać.

— W tej kwestii na pewno.

Lekarz podał mu rękę.

— Jak się nazywasz? Wiem, że już mi mówiłeś, ale zapomniałem.

— Róg — odparł. Wśród skał znów rozległ się śmiech doktora Żurawia.

— Jestem M'to. To znaczy „rzeka”. — Lekarz odchrząknął i splunął. — Małe ludziki na mostku uważają nas za prymitywy. Może mają rację, ale jesteśmy uczciwi i lepiej od nich znamy się na leczeniu, bo częściej bywamy ranni. _ Nie wierzę, aby mieli o was aż tak niskie mniemanie. Ten lotnik, który powiedział wam o Świni... Nie nazywał się przypadkiem Flannan?

Chirurg pokręcił głową.

— Nie rozmawiałem z nim i nie wiem, jak miał na imię. Muszę już iść.

Uścisnęli sobie ręce.

Kiedy czołgając się pokonał dwadzieścia, może trzydzieści łokci skalistego, smaganego wiatrem podłoża, usłyszał niesiony gorącym polarnym huraganem głos chirurga:

— Pamiętaj o czujniku!

— Będę pamiętał! — zawołał w odpowiedzi, mając nadzieję, że tamten go słyszy.

— I nie sikaj pod wiatr!

Tuż obok niego duch Żurawia szepnął:

— Czy uwolnienie się od Hari Mau na godzinę czy dwie naprawdę jest tego warte, Jedwabiu?

Wziął mnie ze sobą

Niedługo po pogrzebie inhumy popłynął do Nowego Vi — ronu, zabierając mnie ze sobą.

— Chcę porozmawiać z Białozorem — wyjaśnił, kiedy płynęliśmy jolem wzdłuż wybrzeża. — W tym celu muszę jakoś przyciągnąć jego uwagę.

Kiedy spotkaliśmy się w Dziurze, brat uprzedził mnie, że będę musiał nazywać go ojcem.

— Zauważyłem, ojcze, że nie masz kłopotów ze zwracaniem na siebie uwagi — powiedziałem.

Uśmiechnął się. Korzystając z okazji — jestem chwilowo jedynym autorem tej relacji — chcę w tym miejscu nadmienić, że miał najbardziej uroczy uśmiech, jaki w życiu widziałem. Gdy tylko spotkaliśmy się u Wapena, z miejsca go polubiłem i mu zaufałem. Chyba wszystkich uwodził tym uśmiechem.

— Zaginiony Lud pewnie znowu przybyłby ci z pomocą, gdybyś ich poprosił — dodałem. W Dziurze mnie zafascynowali i strasznie chciałem ich znowu zobaczyć.

Powiedział mi wtedy o pierścieniu, który miał na palcu. — Dostałem go od kobiety, którą nazwałem Algą. Nie znasz jej, ale kiedy przeczytasz mój rękopis, będziesz wiedział, o kim mówię. — Zdjął go z palca i mi dał. Był to zwykły srebrny pierścień z białym kamieniem porysowanym liniami: mogły się układać w

napis lub rysunek, którego jednak nie umiałem od — cyfrować. — Spójrz przez niego — poprosił.

Podniosłem pierścień do oka. Dzień był chłodny i pogodny, wiatr wiał z północnego wschodu, fale miały białe grzywy i niecałe dwa łokcie wysokości. Wszystko to zobaczyłem po drugiej stronie małej metalowej obrączki, kiedy jednak wpatrywałem się w nią dłużej, zauważyłem na sterburcie wystający pionowo z wody konar drzewa. Miał świeże, srebrnozielone liście i był tak masywny, że wyglądał jak całe drzewo, chociaż byłem przekonany, że musi wyrastać z unoszącego się na falach normalnego pnia — przecież pływające drzewa nie sterczą z wody w taki sposób. Na jednej gałęzi ktoś siedział. Jeden z Zaginionych.

Ojciec zabrał mi pierścień i przedstawiciel Zaginionego Ludu zniknął — razem z drzewem, na którym siedział. Widziałem tylko fale. Poprosiłem ojca, żeby dał mi jeszcze popatrzeć, ale nie chciał się zgodzić.

— Pokazałem ci to, żebyś wiedział, jak wartościowym przedmiotem jest ten pierścień i żebyście nie pogrzebali go razem ze mną, kiedy umrę. Po nim Sąsiedzi — zawsze tak ich nazywał — poznają, że jesteś ich przyjacielem. Żywisz do nich w sercu jakąś urazę?

Odparłem — szczerze i bez ogródek — że nie.

— Co daje im prawo mieszkać na naszym whorlu i wędrować, gdzie im się żywnie podoba? — zapytał.

— A mnie? — odpowiedziałem pytaniem. — Co mnie daje takie prawo? Ale gdyby ktoś chciał mnie powstrzymać, niech tylko spróbuje.

Spodobała mu się moja odpowiedź. Powiedział, że odziedziczył po nim pierścień. Chyba się bał, że Białozór może

go zabić, i miał tylko nadzieję, że później wyda nam zwłoki.

Kiedy znaleźliśmy się w Nowym Vironie, spodziewałem się, że wezwie duchy, które pomogły mu w Dziurze, i poprosi o pomoc

Zaginiony Lud — ale nie, tylko chodził po mieście i rozmawiał z różnymi ludźmi. Jego ptak zawsze mu towarzyszył, a ja prawie zawsze. Babbie i Świerszcz pilnowali łodzi.

Kiedyś opowiadał historie o dwóch ludziach, którzy próbowali się nawzajem oszukać. W większości tych przypowieści obaj przegrywali, lecz czasem się zdarzało, że porażkę ponosił tylko ten, który pierwszy wystąpił z zamiarem okpienia towarzysza.

— Jeśli okradasz kogoś, kto pomógłby ci, gdybyś go o to poprosił, okradasz sam siebie — mawiał.

Często to powtarzał. Twierdził, że kradnąc, człowiek staje się coraz uboższy. Prosił ludzi, aby wskazali mu przykład starego złodzieja, któremu żyje się dostatnio.

— Znałem najlepszego złodzieja w całym Vironie — mówił. — Rozdawał kosztowności na prawo i lewo, sama rani Trivigaunte mogłaby mu pozazdrościć majątku i rozrzutności. Pewnego dnia przyznał mi się jednak, że co noc sypia w innym miejscu i nigdy nie rozstaje się z igłowcem. Innych wzbogacił, sam zaś był ubogi jak żebrak.

Mówił również, że nasze okrucieństwo koniec końców musi nam przysporzyć bólu.

— Myślicie, że możecie być okrutni w stosunku do innych, nie ucząc ich okrucieństwa wobec was? Napawacie się okrucieństwem, ponieważ wydaje się wam, że dowodzi waszej władzy nad ofiarą. Tymczasem nie macie władzy nawet sami nad sobą.

Żona stryja Zamsza kolekcjonuje te złote myśli; zacytowałem jej wszystkie, które pamiętam. Kiedy pierwszy raz byliśmy w Vironie (inhuma jeszcze wtedy żyła), stryj Zamsz nie chciał uwierzyć, że są braćmi. Teraz się tym przechwała.

Wydaje mi się, że dwa dni po przybyciu do miasta, rano, przyznał mi się, że źle spał. Pierwszą noc spędziliśmy na łodzi. Na drugą stryj Zamsz zaprosił nas do siebie, tak jak wcześniej mnie, Skórę i Vadsig. Spałem w pokoju, który wtedy zajmowaliśmy, a on dostał sypialnię Vadsig.

— Miałem w życiu wiele dziwnych snów, Racico — zagaił. — Pewnie to samo mógłby powiedzieć każdy człowiek w moim wieku. Nigdy jednak nie śniło mi się coś tak niezwykłego.

Obudziłem się w środku nocy, co często mi się zdarza, wstałem, skorzystałem z łazienki, obszedłem pokój dookoła, wyjrzałem przez okno, popatrzyłem w gwiazdy i wróciłem do łóżka.

— Co ci się śniło? — zapytałem.

— Leżałem w łóżku. W ciemności, gdzieś pod sufitem, czaiła się Scylla. Przemówiła do mnie. Usiadłem na posłaniu, myśląc, że się obudziłem i teraz jej już nie usłyszę. Spuściłem nogi z łóżka. To było dziwne uczucie. Zapytałem, kim jest, na co odparła, że jest boginią i że w starym whorlu była patronką Vironu. Przypomniałem sobie, jak matka o niej opowiadała. Pod Vironem znajdowało się ogromne jezioro; Scylla była boginią tego jeziora. Ludzie mieli tam bogów od wszystkiego. Kiedyś opętała kobietę, którą znałem. Gwałtowną i upartą.

— Ale Scylla, która ci się przyśniła, nie była chyba prawdziwą boginią? — powiedziałem i spytałem, czy prawdziwa Scylla w ogóle kiedykolwiek istniała.

— Tak — odparł. — I to jest najokropniejsze. — Potem powiedział coś, czego kompletnie nie zrozumiałem: — Żal mi Beroepa.

Beroep był mieszkańcem Dziury. Zналиśmy go.

Przez następne dwa lub trzy dni późno kładł się spać. Spacerował po ulicach i przesiadywał w gospodach. Pierwszego wieczora poszedłem z nim. Później poprosiłem Świerszcza, syna ciotki Prymulki, żeby pilnował naszego jola i Babbie mógł iść z nami. Zabieraliśmy też ptaka, który w bójce na nic by się nie zdał, ale świetnie nadawał się na strażnika: obserwował sytuację z ukrycia i ostrzegał nas, kiedy ktoś zakradał się od tyłu.

Ojciec czasem rozmawiał z tymi ludźmi, zadawał im pytania, a kiedy uznał, że zaskarbił sobie ich przyjaźń, wypytywał o obcych i chorych. Zdarzało się, że potem odwiedzaliśmy tych chorych, aby mógł zamienić parę słów z nimi i ich opiekunami. Znaleźliśmy kiedyś człowieka, którym nikt się nie opiekował. Pół dnia nam zajęło mycie go, karmienie i szukanie kogoś, kto mógłby się nim zająć. Wkrótce doszło do tego, że ludzie sami przynosili nam swoich chorych i prosili, by się za nich modlił.

— Gdyby była tu Scylla, poprosiłbym ją, żeby cię uzdrowiła — powiedział jednej kobiecie. — Nie ma jej tu jednak, chociaż ona sama pewnie byłaby innego zdania, a poza tym nawet w Starym Vironie nie jest już boginią.

Kobieta błagała go jednak o wstawiennictwo u Scylli, a on modlił się do wszystkich bogów, którzy mogli go usłyszeć.

Białozór przysłał po nas swoich ludzi. Kazali mi wrócić do stryja i zabrać ze sobą Babbiego i ptaka, ale ojciec zapowiedział, że bez nas nigdzie się nie ruszy. Zagrozili, że go zmuszą.

— Co mi zrobicie, zastrzelicie mnie? Białożór się wścieknie, kiedy się dowie, że mnie zabiliście.

— Jeśli będzie trzeba, weźmiemy cię na ręce i zaniesiemy — powiedział ich dowódca.

— Nie uda się wam.

Dowódca próbował go złapać, lecz ojciec powalił go uderzeniem laski. Gdy jeden z ludzi wymierzył ze strzelby, Babbie do — skoczył, przewrócił go i rozdarł mu nogę od kolana do biodra. Wtedy już doczekaliśmy się sporej widowni.

Białożór mieszkał w dużym domu na południe od miasta. Wszedł nam na przywitanie.

— Przybyłeś odebrać mi Nowy Viron, tak? — zagadnął.

Ojciec uśmiechnął się, zaprzeczył i przeszliśmy do ogrodu na tyłach domu. Usiedliśmy przy okrągłym stoliku. Kwitły krokusy, błękitne aromatki i inne piękne kwiaty kielkujące z cebulek. Jabłonie nie zdążyły jeszcze zakwitnąć.

Ojciec wyjął z piórnika mały nożyk i oberżnął sobie skraj togi. Wyjął zaszyte w nim ziarna kukurydzy: czarne, czerwone i białe. Dał je Białożorowi.

— Krzyżujcie je, ale zawsze pamiętajcie, żeby zachować na przyszłość czyste, niekrzyżowane szczepy, a Nowy Viron już nigdy nie będzie głodował.

Białożór wziął od niego ziarna, zawiązał je w chusteczce i schował do wewnętrznej kieszeni tuniki. A potem ojciec rozplakał się i płakał bardzo długo.

Skuci łańcuchami służący przynieśli nam wino i jedzenie, jedno i drugie bardzo smaczne. Trochę zjadłem, trochę dałem Babbiemu. Wypiłem na pewno więcej, niż powinienem.

— To twój ojciec? — spytał mnie Białożór.

Przytaknąłem. Czułem się odważny jak nigdy.

— Nie poznaję go — powiedział.

— A ja tak.

— Jeżeli to jest twój ojciec, gdzie jest calde Jedwab? — Zadając mi to pytanie, Białożór uważał się za wielkiego spryciarza.

— W książce, którą napisali moi rodzice.

— Ty jesteś Róg? Ten sam, z którym rozmawiałem dwa lata temu, kiedy dostaliśmy zaproszenie z Pajarocu?

— Tak, to ja — odparł ojciec.

— Mieszkasz na Jaszczurce, w pobliżu Ogona, i zajmujesz się produkcją papieru, tak?

Pokiwał głową.

— Jesteś mężem Pokrzywy?

— A także ojcem Ściągną, Racity i Skóry, oraz Kraita i Jah — lee, których nie znasz i nigdy nie poznasz, ponieważ oboje nie żyją. Jeżeli interesują cię moje więzy rodzinne, dodam, że jestem teściem Bali, która wyszła za mąż za Ściągną. Jestem również dziadkiem ich dzieci, Shauka i Karna.

— Założyciel rodu. — Białożór się uśmiechnął. — Gratuluje.

Ptaka najwyraźniej zrozumiał, że to pochwała dla ojca, bo trzy albo cztery razy zakrakał:

— Jedwab dobry!

— Tak, jestem dobry. — Ojciec podrapał Babbiego za uchem.

— Niedługo przybędzie tu mój syn Skóra z moją żoną oraz przyszłą synową, Vadsig. Patere Remora udzieli młodym ślubu. Mój brat Zamsz i jego żona przygotowują tę uroczystość.

— A ty wspierasz ich w tym finansowo. Tak słyszałem.

— Istotnie. W odróżnieniu ode mnie i Racity znają miasto.

Odezwałem się wtedy — zgoła niepotrzebnie — stwierdzając, że bardzo szybko poznaję Nowy Viron.

— Kiedy włączycie się nocami z... ojcem? I przesiadujecie w barach. Kogo teraz szukacie?

Powiedziałem, że nie wiem.

— Kogo szukasz, Rogu? Mam chyba prawo o to pytać. Jestem przecież calde.

— Mam ci podać imię? — Ojciec wzruszył ramionami. Do tej Pory nic nie jadł, teraz jednak wziął do ręki bąbelinę i zaczął ją obierać. — Przyjaciela, po prostu. Nie znam jego imienia. Albo jej. Poznam je, kiedy znajdę tę osobę.

— Bardzo to uprzejme z twojej strony, że odpowiadasz na wszystkie moje pytania. — Było oczywiste, że Białożór drwi z ojca, ale nie dało się ukryć, że przy okazji go podziwia. — Pozwolisz, że zadam ci jeszcze kilka?

— Pod warunkiem że najpierw ty odpowiesz na jedno moje. Czy przyjdiesz, a przynajmniej rozważysz przyjście na ślub mojego syna? Byłby to wielki zaszczyt dla niego, jego żony i całej naszej rodziny. Zdaję sobie sprawę, że w ten sposób nadużywam twojej gościnności.

Białożór zaniemówił, a potem wybuchnął śmiechem. Śmiech ma głośny, basowy.

— Chcesz, abym przyszedł na ślub twojego syna? Ja?!

— Tak. Chciałbym. Bardzo mi na tym zależy. Wszyscy będą zachwyceni.

— Zastanówmy się. — Białożór nie przestawał się uśmiechać. Pociągnął łyk wina. — Obiecałeś odpowiedzieć na dalsze moje pytania, jeśli ja odpowiem na to. Domyślam się, że chciałbyś uzyskać satysfakcjonującą cię odpowiedź.

— Wcale nie. Każda odpowiedź będzie dobra. Poza tym proszę cię tylko o rozważenie mojej prośby. Zdaję sobie sprawę, że musisz dzielić czas między wiele zajęć i ludzi, a poza tym,

prawdę powiedziawszy, masz prawo zadawać tyle pytań, ile zechcesz.

Białozór rozparł się wygodnie na krześle, rozejrzał po ogrodzie, a potem wrócił wzrokiem do nas — z taką miną, jakby widział nas pierwszy raz w życiu.

— Myślicie, że moje wino jest zatrute?

— Na pewno nie. Gdybym tak myślał, ostrzegłbym syna. Przeszkadza ci, że nie piję? — Ojciec wypił pół kieliszka i zjadł kawałek chleba.

— Jestem trucicielem. Tak ludzie mówią. Na pewno słyszałeś.

— Coś w tym guście... Owszem.

— To nieprawda. Nie mogą tego udowodnić, a ja mogę wykazać, że nie jestem trucicielem.

— Oczywiście.

— Nadal chcesz, abym przyszedł na ślub twojego drugiego syna?

— Naturalnie. Będziemy zaszczyceni.

— Wobec tego przyjdę. Daj mi znać, kiedy ustalicie datę.

— Ptak mówi! — obiecał Oreb.

Ojciec aż podskoczył. Później opowiedział mi o Scylli.

— Oto pierwsze z moich pytań do ciebie: czy Jedwab przybędzie?

— Nie mam pojęcia. Nie udało mi się go znaleźć. — Przez chwilę wydawało mi się, że ojciec znów się rozpłacze, ale pohamował łzy. — Wiem, że to był najważniejszy element mojej obietnicy. Zawiodłem. Byłem w Vironie, rozmawiałem z obecnym calde, Bizonem, i z wieloma innymi ludźmi... Spotkałem się nawet z ojcem. Nie zdołałem jednak odszukać Jedwabia i w końcu opuściłem miasto. Nie mam nic na swoją obronę.

- Nie wiesz, czy Jedwab się tu wybiera?
- Nie wiem. Może tak, ale ja wątpię.
- Nie rozumiesz, że gdyby się tu zjawił, Białożór musiałby go zabić? — spytałem szeptem.
- Nie, ponieważ to nieprawda.
- Wtykasz nos w cudze sprawy, młodzieńcze — zauważył Białożór. — Uważaj, żeby ci go ktoś nie przytarł.
- Bałem się tej chwili. — Ojciec się uśmiechnął. — Nie z powodu tego, co ty i inni moglibyście mi powiedzieć albo co Nowy Viron mógłby mi zrobić. Obawiałem się momentu, w którym będę musiał przyznać, że zawiodłem i nie sprowadziłem Jedwabia. Teraz mam to za sobą i mogę zacząć nowe życie.
- Jedwab dobry — powiedział ptak. — Jedwab dobry!
- Mogę cię jeszcze o coś zapytać?
- Zanim postanowisz, jak mnie ukarać? Śmiało.
- Białożór pokręcił głową.
- Nie ukarzę cię, nie będę ci również prawil kazań. Zrobiłeś, co mogłeś.
- Wcale nie. Zrobiłem, co zrobiłem. Mogłem zostać w Vironie i dalej szukać. A ja wróciłem.
- Powiedziałeś, że tutaj też kogoś szukasz, ale nie wiesz kogo. Czego chcesz od tego człowieka?
- Żeby udał się ze mną w podróż.
- Rozumiem. — Białożór zacmokał przez zęby. — Daleko?
- O tak. Bardzo daleko.

Do domu Białożora przybyliśmy na koniach, wracać jednak musieliśmy pieszo. Kiedy tak szliśmy, zapytałem ojca, czy chce, abym z nim wyruszył. Sprawiał wyrażenie zaskoczonego, tak jakby wcześniej nie przyszło mu to do głowy, ale poznałem go

już wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że o wszystkim myśli
zawczasu.

— Gdybym cię poprosił, zgodziłbyś się? — zapytał.

Przytaknąłem i dodałem, że Skóra i Vadsig zaopiekowałiby
się matką.

— Podróż nie potrwa długo — rzekł.

Dopiero znacznie później zrozumiałem, co miał na myśli.
Nigdy nie byłem we whorlu czerwonego słońca. Skóra mi o nim
opowiadał, ale nie uwierzyłem. Tak jak Juganu nie uwierzył
ojcu. Juganu był inhumim, którego znaleźliśmy — niskim,
łysym, starym. Zabraliśmy go na łódź i wypłynęliśmy na morze.

— Mamy więcej powodów do zmartwień niż ty — zapewnił
go ojciec. — Jeśli jacht zatonie, odfruniesz.

— Raj anie!

Juganu próbował uciec. Wspiął się po takielunku jak para ni
— timonków i rozpląszczył ramiona, ale dopadłem go i
ściągnąłem na pokład.

— Nie obawiaj się — powiedział ojciec. — Jeśli tylko nam
pozwolisz, będziemy twoimi przyjaciółmi.

— Byłem twoim wiernym sługą! — jęknął Juganu. —
Przysięgam na naszego boga!

Wtedy pierwszy raz usłyszałem, że inhumi mają jakiegoś
boga. Ojciec nie słuchał.

— Próbowaleś mnie zabić, kiedy z Wieczorną Pieśnią
odpłynęliśmy z Gaonu — powiedział. — Jeżeli teraz cię
wypuszczę, polecisz po innych i spróbujesz jeszcze raz.

Zaproponowałem, żebyśmy go zabili, kiedy z nim skończymy,
ale ojciec się nie zgodził.

— Zabiłem twoją siostrę. Jak na jedno życie, wystarczy
zabijania. Tego, co uczyniłem, nie nazwałbym morderstwem, bo

morderstwo to coś znacznie gorszego, ale nie zabiję tego człowieka, który może przecież być jej bratem. Pomoże nam, a potem go wypuścimy.

— Służyłem ci przez całą wojnę, rajanie. — (Ojciec oparł mu stopę na piersi, a czubek kostura na gardle). — Czym teraz mogę ci służyć?

— Udasz się z nami do miejsca, w którym będziesz takim samym człowiekiem jak my. — Po tych słowach ojciec popadł w dłuższą zadumę. — A potem wrócisz. Ostrzegam, będzie cię kusiło, żeby tam zostać, ale jeżeli tak zrobisz, umrzesz. I nie będzie to moja wina.

— Gdzie... — Stary inhumi bezradnie rozdziawił usta.

— Pójdziemy spać. Wszyscy. Babbie zostanie na straży, a Racica zmajstruje dryfkotwę...

— Ja lecę! Ja idę! — zawołał ptak ojca, siedzący na topie bezan — masztu.

— Tak, ty pójdziesz z nami, Scyllo. Przecież ze względu na ciebie się tam udajemy.

Zwinąłem żagle i z dwóch pagajów sporządziłem dryfkotwę.

(Moja żona podczytuje mi przez ramię, kiedy piszę te słowa. Mówi, że mało kto z czytelników będzie wiedział, co to jest dryfkotwa i jak się ją robi. Pozwolili mi pisać, ponieważ odkąd opuściliśmy Dziurę, Skóra i Vadsig rzadko widywali człowieka, który twierdził, że jest naszym ojcem. Stokrotka prawie wcale go nie widziała, więc jej ładniejszy charakter pisma i tak na nic by się nie zdał. A pisze ładniej nawet od Skóry, chociaż Skóra by się z tym twierdzeniem nie zgodził. Dryfkotwa to rodzaj kotwicy, której używa się w sytuacji, gdy lina kotwiczna nie sięga dna. Przeznaczeniem łodzi jest żegluga — będzie więc płynąć, popychana wiatrem, nawet bez jednego żagla na

masztach. Nie da się jej całkowicie zatrzymać, ale dobra dryfkotwa spowalnia ten ruch tak bardzo, że nie ma on wielkiego znaczenia. Związałem dwa pagaje na krzyż i umocowałem długą linę do miejsca, w którym się stykały. Im dłuższa jest lina, tym lepiej trzyma dryfkotwa).

Potem poszliśmy spać. Babbie miał pilnować Juganu i łodzi. Ojciec założył Juganu pędę na szyję, a drugi koniec sznurka przywiązał sobie do ręki. Powiedziałem, że jeśli my będziemy spali, a Juganu nie, wyszłoby z nas krew i umrzemy, nie budząc się, ale ojciec mnie zapewnił, że nie mam się czego bać, a sam Juganu przysiągł, że tego nie zrobi.

Zeszliśmy do kabiny. Ojciec kazał mi się położyć i zamknąć oczy. Zrobiłem to, ale kiedy usłyszałem, jak on i Juganu się kładą, a potem zagrzechotała odkładana laska, usiadłem na posłaniu. Ojciec leżał na koi, Juganu — obok niego, na podłodze. Przypomniało mi się, że ojciec trzyma pod tuniką miecz, który nazywa azothem; pomyślałem, że jeśli broń dostanie się w ręce Juganu, możemy zginąć. Nigdy nie widziałem, żeby ojciec używał miecza, ale i on, i Skóra mówili mi, co potrafi. Wyniosłem azoth na pokład i schowałem. Nie żebym się bał podróży do whorla czerwonego słońca, ale trochę się denerwowałem. Nie umiem tego lepiej wyjaśnić.

Babbie siedział na pokładzie. Spojrzał na mnie tymi swoimi zawziętymi ślepiami w taki sposób, jakby chciał mi przypomnieć, że powinienem być w kajucie i spać. Nie wiem — nigdy nie wiedziałem — jak to się dzieje, że Babbie nas rozumie, ale rozumie całkiem sporo. Można go na przykład poprosić, żeby nam coś przyniósł, a on (o ile nie zażyczymy sobie jedzenia) pójdzie i przyniesie, jeśli akurat będzie miał na to ochotę. Ojcu przynosił nawet i jedzenie, ale mnie i Skórze nie

chciał. Teraz go nie ma. Myślę, że buszuje po lasach na kontynencie, ale Vadsig upiera się, że popłynął na Skagę Wiedźmy.

Trudno to będzie wyjaśnić, ale postaram się to zrobić lepiej niż Skóra i inni przede mną.

Wcale nie czułem, żebym spał. (Skóra zawsze powtarzał, że to mu przypomina sen; mnie nie). Najbardziej przypominało mi to patrzenie przez pierścień ojca, ale nie do końca. Wszystko zaczęło się zmieniać. Jacht stał się wodą, Babbie przemienił się we włochatego człowieka o grubych rękach i bardzo szerokich barach. Miał okulary i dwoje oczu Babbiego (tych małych). Ptak był ptakiem śpiącym na topie bezanmasztu, z łbem wtulonym pod skrzydło — ale zarazem był też innym ptakiem, za grubym, żeby latać, a mimo to latał. Mrugałem powiekami i mrugałem, ale te obrazy wcale nie znikwały, tylko stawały się coraz prawdziwsze.

Poczułem, że muszę się czegoś złapać — i próbowałem chwycić się nieba. Nie mam pojęcia, dlaczego wpadłem na taki pomysł; może przez to, że niebo nie próbowało się zmieniać. Usiłowałem trzymać się wszystkiego naraz, ale poza niebem i wodą wszystko się zmieniało.

Więc próbowałem trzymać się nieba, pięknego nieba nad Błękitem, z małymi obłoczkami wszędzie dookoła i wysokimi, rozsnutymi chmurami powyżej. Kiedy już je dobrze złapałem i pomyślałem, że ojciec mi go nie odbierze, ściemniło się i pomyślałem: „Oho, idzie sztorm”. Ale to wcale nie był sztorm, tylko gwiazdy wciągały światło słońca. Łódź zakołysała się pode mną — i zorientowałem się, że to nie jest nasza łódka.

Miała cztery maszty i była wyższa, dużo wyższa na dziobie i na rufie niż na środku pokładu, ale nawet na środku wystawała

dobrze pięć albo sześć łokci ponad wodę. Słyszałem o łodziach z trzema masztami, ale nigdy o takiej ogromnej, w dodatku cztery — romasztovej. Zamiast rumpla miała koło sterowe. Człowiek, który przy nim stał, wybałuszył na nas oczy, jakby miały mu za chwilę wyskoczyć z oczodołów.

— Kapitanie! — wrzasnął.

Ptaka ojca usiadł obok niego. Był gruby i wysoki, sięgał mu do pasa. Co się zaś tyczy samego ojca, to najciekawsze było... Wiem, że Skóra już o tym wspominał, ale chcę dodać coś od siebie, tak jak napisałem o przemianie. Bardziej przypominał naszego ojca — jeszcze nie do końca wyglądał jak on, ale bardziej niż na Błękanie. Był niższy, przy kości, we włosach uchowały mu się czarne pasemka. Z twarzy też bardziej przypominał ojca, a jego oczy nie miały wcale barwy nieba.

Obok niego stał człowiek, którego nigdy przedtem nie widziałem, mężczyzna z żółtymi włosami i wydatnym orlim nosem. Jego oczy też nie były koloru nieba. Widywałem zimną lod, który miał taki odcień, gdy padło na niego światło słońca — ogromne bryły lodu unoszące się na morzu. Mężczyzna popatrzył na swoje dłonie, schylił się, dotknął kolan, w jedno nawet uderzył, i to całkiem mocno. Pięścią. Z boku.

— W życiu bym się na coś takiego nie odważył! — powiedział.

— Ale teraz taki jesteś — odparł ojciec. — Nie zapominaj.

W tej samej chwili podbiegł do nas kapitan. Wyglądał groźnie. Miał ogromną, zakrzywioną szablę (ostrze na pewno było szersze niż moja dłoń), zawieszoną na najszerszym pasie, jaki w życiu widziałem. Mówił dziwnie, z trudem go rozumiałem.

— Przykro mi, ale muszę przejąć statek — powiedział ojciec. Wyciągnął przed siebie rękę z garścią pełną złotych krążków z jakimiś rysunkami.

Kapitan otworzył usta, ale nic nie powiedział i zaraz je zamknął.

— Proszę — ciągnął ojciec. — To dla ciebie. Drugie tyle dostaniesz, kiedy odejdziemy. Mam nadzieję, że odpłacimy ci również w inny sposób.

— Lepiej słuchaj ojca — poradziłem kapitanowi.

— Hu! Hu! Hu! — powiedział Babbie. Na widok jego oczu kapitan cofnął się o krok.

Ojciec spytał, co to było, na co odparłem:

— To Babbie, ojczu.

— Nie chciałem go zabierać — powiedział. — Ale jeśli nie zabawimy tu zbyt długo, łodzi nic się nie stanie.

— Dobra łódź! — powiedział gruby ptak. Wskoczył na reling i spojrzał na wodę.

To był gruby, solidny reling, ozdobnie rzeźbiony. W miejscu, w którym staliśmy, znajdował się dziesięć łokci nad powierzchnią wody. Może nawet więcej.

Ojciec kazał kapitanowi wyciągnąć rękę i przesypał na nie złoto.

— Zabierz nas na otwarte morze. Tam się rozstaniemy, przynajmniej taką mam nadzieję.

Kapitan spojrzał z ukosa na człowieka przy sterze, który jednak udawał, że niczego nie słyszy. Kapitan doszedł do wniosku, że sternik nie słucha, okręcił się na pięcie i zbiegł po stopniach na środek pokładu. Trzasnęły jakieś drzwi.

Ojciec spojrzał pytająco na tłuste ptaszysko.

— Co teraz, Scyllo?

Na pewno jest takie słowo, którego używa się, kiedy człowiek stwierdza, że coś, co widział już wcześniej, okazuje się czymś **zupełnie** innym — jakby kij zmienił się w węża, który się nie rusza. Moja żona zna więcej słów niż większość ludzi, więcej niż wszyscy, poza ojcem, ale tego słowa nie zna.

Kiedy ojciec zapytał: „Co teraz, Scyllo?”, zobaczyłem, że ptak jest w rzeczywistości dziewczyną, wystarczająco dojrzałą, żeby opiekować się szprotami, ale za młodą jeszcze, żeby wyjść za mąż. Nie chodzi mi o to, że wyglądała, jakby się przebrała za ptaka. Wyglądała jak dziewczyna, która przypomina grubego ptaka, ale w rzeczywistości jest prawie dorosłą dziewczyną.

— Widzi, widzi! — powiedziała. Zeskoczyła na pokład i rozpostarła skrzydła. — Leci morze!

A potem ona i ptak zaczęli się rozdzielać. (Nie opiszę tego tak, jak naprawdę to wyglądało, ale postaram się napisać jak najlepiej).

Ptak był z przodu i malał w oczach, aż wyglądał zupełnie jak wtedy na naszej łodzi albo jeszcze wcześniej na Jaszczurce. Kiedy się tak kurczył, coraz lepiej było widać dziewczynę, która w końcu wstała i się wyprostowała: była chuda, koścista, miała gniewną twarz i proste czarne włosy.

— Nie tutaj — powiedziała. — Nie ma boga. Idzie morze.

Mówiła coś jeszcze. Przepłoszyłem ptaka. Wzbił się w powietrze i zaczął kołować nad łodzią.

— Scylla opętała Oreba — wyjaśnił mi ojciec. — Upłynął blisko rok, zanim to zrozumiałem, ponieważ odkąd sprowadziła go z powrotem, nie wywierała nań żadnego albo prawie żadnego wpływu. Kiedy wróciłem na Błękit, Oreb odfrunął, aby znaleźć dla niej święte okno albo inne urządzenie, które mogłoby pełnić podobną funkcję. Nic takiego nie znaleźli, więc

ściągnęła go do mnie z powrotem, zaskarbiając sobie moją ogromną wdzięczność, czego zresztą wcale nie musiała robić. Wychowałem się przecież w Vironie, jej świętym mieście.

— Gyoll? — wypaliła Scylla. — Tak? Nessus? Tak? Gdzie jest?

— Zapytaj sternika. — Ojciec ruchem głowy wskazał człowieka przy sterze. — Na pewno ci odpowie.

— Zwykły człowiek!

— No właśnie. Zwykli ludzie wiedzą takie rzeczy.

— Nic mnie nie obchodzi, gdzie jesteśmy — mruknął mężczyzna z orlim nosem. Zadarł głowę i krzyknął w ciemne niebo: — Chcę tu zostać!

— To niemożliwe, Juganu — odparł ojciec. — Ba, właśnie wracamy. Wszyscy.

Wziął mnie za rękę, drugą ręką złapał za ramię Juganu i kazał mu chwycić Babbiego. Mnie powiedział, żebym zabrał Scyllę. Próbowwała mnie uderzyć, ale złapałem ją za przegub. A potem spadliśmy, nie na dół czy do góry, tylko w bok, i spadaliśmy coraz szybciej, koziółkując.

Obudziłem się na pokładzie. Babbie lizał mnie po twarzy. W pierwszej chwili pomyślałem, że musiał mnie skaleczyć, bo skóra mnie piekła, ale okazało się, że sam się przewróciłem i uderzyłem w twarz. Wstałem, wciągnąłem dryfkotwę i postawiłem żagle.

Kiedy ojciec wyszedł z kabiny, poskarżyłem się, że mógł mnie uprzedzić, że tak po prostu upadniemy tam, gdzie staliśmy. Wtedy nie nabiłbym sobie siniaka.

— Po co? I tak byś mnie nie posłuchał.

Miałem do niego mnóstwo pytań, lecz widziałem, że jest zły, więc zaproponowałem, że rozpalę ogień w skrzyni z piaskiem i coś ugotuję. Było jeszcze za wcześnie na jedzenie, ale wiedział,

że nie lubię gotować (do tej pory sam przyrządzał wszystkie posiłki), a ja chciałem w ten sposób pokazać, że pomogę chętnie, z własnej woli. Rozpalając ogień, rozmyślałem o tym, co zjemy; musiałem się postarać, bo niewiele umiem ugotować (tak żeby smakowało) i on gotuje znacznie lepiej. Wiedziałem, jakie mamy zapasy. Nie nałowiliśmy ryb, więc postanowiłem przyrządzić ziemniaki z bekonem i cebulą. Kiedy ogień rozhulał się na dobre, zszedłem do kabiny po produkty.

Juganu siedział na mojej koi z głową ukrytą w dłoniach. Kazałem mu wstać i nie wchodzić mi w drogę.

— Teraz, kiedy już wiesz, nienawidzisz mnie — powiedział.

— Wiedziałem wcześniej. I wcale cię nie nienawidzę.

Pierwsze zdanie było kłamstwem, bo nie miałem pojęcia, że jest inhumim, dopóki nie wzięliśmy go na łódź i ojciec mi nie powiedział. Ale tak właśnie odparłem.

— Tamto miejsce...

— Stamtąd pochodzimy my, prawdziwi ludzie. — Uderzyłem się pięścią w pierś. — Pewnie dlatego tam jesteś jednym z nas. Babbie też.

Nie myślałem, że tak się tym będzie trapił. Powiedział, że taki jest w głębi ducha, że barczysty blondyn na tamtej dużej łodzi to prawdziwy Juganu, takiego widzi siebie w snach.

— Naprawdę śnisz o tym, że jesteś prawdziwym człowiekiem, jak ja?

— Tak!

— Nie wierzę.

Odepchnąłem go, aby dostać się do szafki z jedzeniem. Wyjąłem ziemniaki — tyle, żeby wystarczyło dla mnie i ojca i żebyśmy trochę mogli dać Babbiemu, kawałek bekonu, cebule, słoninę i dodatki. Odwróciłem się do Juganu.

— Czasem właśnie tak mi się śni. Naprawdę.

Wszedł za mną na pokład.

Ojciec stwierdził, że przyniosłem za dużo jedzenia, ale wyjaśniłem, że chcę dać część Babbie i ptakowi, a Babbie przecież dużo zje. Wtedy pierwszy raz wróciłem pamięcią do sceny z ptakiem i dziewczyną — nawet nie wiedziałem, czy z nami wrócili. Nagle ptak sfrunął z góry, z takielunku, i usiadł mu na ramieniu. Rozejrzałem się w poszukiwaniu dziewczyny; pomyślałem, że pewnie też by coś zjadła.

— Scylli nie musimy karmić — powiedział. — Chociaż z pewnością jest wśród nas. Porozmawiasz z nami, Scylo? — Obrócił głowę i spojrzał na ptaka, który zapytał:

— Ptak mówi?

— Naturalnie. Jeśli chcesz...

— Ptak dobry!

— Widzisz, Scylla opętała Oreba. Usadowiła się w jego umyśle, skromnym bo skromnym, ale zawsze. Dokładnie rzecz biorąc, umieściła tam swoją podobiznę. I właśnie ją zobaczyliśmy we whorlu czerwonego słońca. Na pewno pamiętasz, co ja i matka opowiadaliśmy wam o Scylli i Echidnie: o tym, jak próbowały unicestwić Paha Wielkiego, i jak się na nich za to zemścił. Chcesz najpierw ugotować te ziemniaki, które obierasz?

Odpowiedziałem, że nie miałem takiego zamiaru.

— Zrób to. Napełnij patelnię wodą, zagotuj ją i wrzuć ziemniaki na dziesięć minut. Dopiero potem je usmaż. Są stare, młodych jeszcze nie ma. Dobrze im to zrobi.

Odkąd pamiętam, nigdy jeszcze nie był tak mało podobny do naszego prawdziwego ojca — i nigdy nie mówił tak bardzo w jego stylu jak w tej chwili.

Juganu próbował powiedzieć mu to samo, co wcześniej mnie, ale ojciec wszedł mu w słowo, twierdząc, że już to wie.

— Moja siostra była inhumą, Juganu — stwierdziłem. — Miała na imię Jahlee. Często z ojcem tak podróżowali.

— Tam była młodą kobietą — dodał ojciec. — I to całkiem atrakcyjną.

Juganu podziękował mu, że go tam zabrał.

— To była najpiękniejsza chwila w moim życiu — powiedział. Wyglądał jak cherlawy, bezzębny staruszek o szarej skórze. Zastanawiałem się, ile ma lat; blondyn z orlim nosem wyglądał na młodszego niż ojciec.

— Nie wolno ci myśleć, że ta chwila nigdy już się nie powtórzy — rzekł ojciec. — Chciałbyś tam wrócić dzisiaj w nocy?

Obserwowałem kiedyś, jak Ściągno płata psikusy matce, ja ze Skórą też zrobiliśmy kilka udanych sztuczek, ale nigdy przedtem nie widziałem, żeby ktoś był tak zdziwiony.

— Zabierzesz mnie? Och, rajanie! Rajanie, ja... ja...

Ojciec położył mu dłoń na ramieniu.

— Pójdziemy, gdy tylko ja i Racica się posilimy.

— Nie morze! — zaprotestował ptak.

— Nie, tamta łódź nie wyjdzie jeszcze na morze, ale chciałbym lepiej wyczuć, jaką prędkość rozwija. Płynie z prądem, rzecz jasna, więc powinna utrzymywać niezłe tempo.

Wszyscy umilkliśmy, pogrążeni w myślach. Ojciec zwrócił mi jeszcze uwagę, żebym użył soli selerowej zamiast żółtej morskiej, którą przyniosłem razem z pieprzem.

— Tylko odrobinę. Zaczynaj już podsmażać bekon i cebulę. Tylko pokrój ją najpierw. W kostkę, nie w plasterki. — Zmienił temat: — Powinienem wam jeszcze powiedzieć, dlaczego nie

możemy udać się bezpośrednio na morze; Scylli tłumaczyłem to już kilka dni temu. Aby dostać się w wybrane miejsce, musimy mieć ze sobą kogoś, kto już tam był — a jeśli nie dokładnie tam, gdzie się wybieramy, to przynajmniej w pobliżu. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale to się sprawdza. Mogę udać się na Zieleń, co zresztą wielokrotnie czyniłem, ponieważ kiedyś byłem tam obecny ciałem, nie tylko duchem. Trafię do whorla czerwonego słońca, tak jak przed chwilą, ponieważ odwiedziliśmy go z Jahlee w towarzystwie duko Rigoglio z Soldo. Diuk był śpiącym we „Whorlu”, a więc wcześniej żył w tamtym whorlu. Nie mogę jednak przenieść nas tam prosto na morze, ponieważ nigdy na nim nie byłem. Co innego Scylla, ale jej z kolei właściwie nie ma wśród nas.

Ptak zakrakał, lecz wydał tylko zwykły ptasi odgłos, nie układający się w słowa.

— I jeszcze coś. Kiedy podróżujemy w ten sposób, często trafiamy do miejsca przypominającego to, które opuściliśmy. Dlatego zwabiłem cię na jacht, Juganu. Obiecałem Scylli, że jeśli tylko zdołam, zabiorę ją na morze w jej ojczystym whorlu. Szedłem kiedyś drogą wzdłuż Gyoll i widziałem łodzie tnące jej wody, miałem więc nadzieję, że jeśli przeniesiemy się z łodzi na Błękicie, tam również wylądujemy na łodzi. Tak też się stało. Fakt, że płynęła z biegiem rzeki, był czystym zbiegiem okoliczności. Zaczynij kroić ziemniaki, tylko uważaj, są gorące.

Wrzuciłem je na patelnię, zacząłem smażyć i zapytałem ojca, gdzie naprawdę się znajdowaliśmy, kiedy byliśmy w tym drugim whorlu. Cały czas chodziło mi po głowie to, co powiedział o tej dziewczynie: że właściwie wcale jej z nami nie ma.

— Byliśmy w obu tych miejscach jednocześnie. Filozofowie utrzymują, że jeden obiekt nie może znajdować się w dwóch miejscach naraz. Nie jestem filozofem, wiem jednak, że nie stanowimy niepodzielnych całości.

— Czyli jedna część nas była tutaj, a druga tam?

Pokiwał głową.

— I teraz, kiedy już raz trafiliśmy na tamten żagłowiec płynący po rzece, powinniśmy móc na niego wrócić, mimo że przez ten czas się przemieści. Wieczorem sprawdzimy tę hipotezę.

Przy jedzeniu wytłumaczył nam, że zabrał nas szybko z powrotem, ponieważ martwił się o naszą łódź — zwłaszcza że Babbie przeniósł się z nami i nie mógł jej pilnować.

— Była to dla mnie niespodzianka, i to niezbyt miła — przyznał. — Aczkolwiek ciekawie było się przekonać, ile Babbie ma w sobie z człowieka.

Umilkł i zapatrzył się w widnokrąg na zachodzie.

— A co ze mną? — zainteresował się Juganu.

Ojciec pokręcił głową.

— Wiedziałem, że masz ludzkiego ducha. Nie zapominaj, że adoptowałem córkę, którą do dziś oplakuję. Adoptowałem też kiedyś syna.

Westchnął ciężko, a ja zrozumiałem, z jakim trudem przychodzi mu zachowanie pogody ducha, którą tak często się odznaczał.

Ptaka wylądował mu na ramieniu.

— Ma ptaka!

— O tak, to prawdziwe błogosławieństwo. — Dał krukowi kawałek bekonu, po czym podstawił swój talerz Babbiemu. Sam zjadł dwa, może trzy kęsy. — Przykro mi, że przeszkadzam ci w

posiłku, synu, ale chyba powinniśmy zwinąć bezan i zrefować grot.

Zrobiliśmy to. Wiązałem ostatni węzeł, kiedy zaczęło wiać. Przeżyłem gorsze wichury — dwie nawet podczas naszej wspólnej żeglugi z kapitanem Wijzerem — ale byłoby głupotą wracać do whorla czerwonego słońca, zanim wiatr ucichnie, co nastąpiło trzy lub cztery godziny po zmierzchu.

Zeszliśmy do kabiny, wszyscy trzej, rozebraliśmy się i próbowaliśmy choć trochę osuszyć. Z przyjemnością wyciągnąłem się na koi i zamknąłem oczy, żeby tym razem nie widzieć, jak wszystko wokół mnie się zmienia.

Ktoś potrząsnął mnie za ramię. Otworzyłem oczy. Znów było ciemno.

— Wstawaj — powiedział. — Nie chcesz tego przespać.

Wprost przeciwnie, chciałem, ale po dłuższej chwili dotarło do mnie, że nie leżę już na koi, lecz na gołych deskach, a łódź kołysze się inaczej, niż zapamiętałem.

* * *

Niektórzy moi czytelnicy mogą słabo znać się na żeglowaniu, zaznaczę więc w tym miejscu, że nie ma dwóch takich samych łodzi. Dwie łódki, nawet zbliżone rozmiarami i podobne i wyglądu, mogą się czasem zachowywać w podobny sposób, ale nigdy nie będą identyczne. „Samru” — ta duża rzeczna łódź, na której wylądowaliśmy — mocno kołysała i kiedy człowiek znalazł się na pokładzie, zwłaszcza w którejś z wyższych jego części, bujało nim tak, jakby wspiał się na maszt dużo mniejszej jednostki.

Nasz jacht huśta. Huśtanie i kołysanie to dwie różne rzeczy. Kołysanie jest łagodniejsze, chociaż ja osobiście zawsze mam wrażenie, że jeśli potrwa dostatecznie długo, łódź się przewróci.

Poza tym nasz jacht był ze cztery razy krótszy, więc fale znacznie mocniej nim rzucały.

Usiadłem. W absolutnej ciemności nie widziałem nic. Zapytałem człowieka, który mnie obudził, kim jest.

— Juganu — odparł.

Zerwałem się na równe nogi.

W tej samej chwili białe światło rozświetliło pokład. Ojciec stał na bukszprycie i trzymał je w ręce. Na ramieniu siedział mu ptak. Dziewczyna, która — jak twierdził — była Scyllą, też stała na bukszprycie, i to jeszcze dalej od dziobu niż on.

Stulił dłoń, światło zgasło i zrobiło się ciemno jak w jaskini. Usłyszałem, jak marynarze z wachty o coś się dopytują. Potem okazało się, że posnęli na pokładzie. Słyszać było również tupot kroków, ale na to nie zwracałem uwagi.

Brnąłem po omacku w stronę dziobu, bojąc się, że uderzę w maszt albo przytrafi mi się coś jeszcze gorszego. Nie byłem pewien, czy reling biegnie wzdłuż całego pokładu (nasz jacht w ogóle nie miał relingu) i obawiałem się, że wypadnę za burtę — I kiedy moją głowę zaprzętały takie i podobne zmartwienia, namacałem ręką kogoś niskiego, owłosionego i twardego jak kamień. Natychmiast zorientowałem się, kogo mam przed sobą, i wiedząc, jaki może być groźny, powiedziałem:

— To ja, Babbie. Racica.

Wtedy wydarzyło się coś, co zaskoczyło mnie bardziej niż Wszystkie inne wydarzenia we whorlu czerwonego słońca — pozatym, co stało się na samym końcu. Babbie objął mnie, uściskał, wysapał „Hu! Hu! Hu!” i dźwignął mnie w powietrze. Ręce miał krótsze niż ja, ale za to grubsze niż moje nogi. Był najsilniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Podszedł do nas pierwszy oficer. Babbie postawił mnie na pokładzie. Oficer trzymał w ręce latarnię, którą cały czas świecił prosto w oczy to mnie, to Babbiemu, to Juganu — i tak w kółko. Wcale nam się to nie podobało, ale w końcu się domyśliłem, że szuka ojca. Gdy ojciec pokazał nam światło, mat był na dole, w środkowej części pokładu, i go nie widział.

Bałem się, że kiedy mu powiem, gdzie jest ojciec, pójdzie tam i go zrzuci.

— O co chodzi? — zapytałem. — Potrzebujesz pomocy? Chętnie pomożemy.

Wszyscy ci ludzie mówili dziwnie i trudno mi ich było zrozumieć, ale pierwszy oficer należał go najgorszych. Powiedział coś, ale musiał to powtórzyć jeszcze dwa albo trzy razy, zanim się połąpałem:

— ... ście się ulotnili.

Prawie cały czas tak mówił, ale nie będę tego w ten sposób zapisywał. W każdym razie nie za często.

— Wróciliśmy — wyjaśnił mu Juganu.

— Gdzie byliście?

Udałem, że i tego nie rozumiem.

— Szukasz mojego ojca, prawda? — odparłem. — Dlatego świeciłeś nam po twarzach.

Przytaknął.

— Ojciec wynajął tę łódź. Zażąda szczegółowego raportu. Gdzie jesteście?

— Pół dnia żeglugi od delty. Gdzie on jest?

— Która godzina? Ile zostało do rana?

— Niedużo.

Zdążyłem już przyjrzeć się jego twarzy na tyle, by stwierdzić, że to nie jemu ojciec dał złoto.

— Nie jesteś kapitanem — powiedziałem. — Gdzie kapitan?

— Śpi.

— Przyrowadź go. Ojciec będzie chciał z nim porozmawiać.

Pierwszy oficer zaczął protestować, ale nie dałem mu dojść do słowa.

— Przyrowadź go tutaj! Natychmiast!

Zamachnął się, próbując mnie uderzyć. Uchyliłem się, a Babbie złapał go za rękę i rzucił na pokład z taką szybkością i łatwością, jakby ciskał dziecinną lalkę. Latarnia upadła i zgasła.

Ojciec musiał usłyszeć hałas, bo zjawił się przy nas błyskawicznie, jakby umiał latać. Lekko otworzył dłoń, wypuszczając trochę światła. Babbie siedział na marynarzu i ścisnął obie jego ręce w swojej jednej. Dłonie miał o wiele większe niż łapy w swojej zwykłej postaci, zostały mu natomiast grube pazury i tylko po dwa palce u rąk. Ojciec kazał mu wstać. Pierwszy oficer usiadł. Był potężny, wyglądał na silnego i twarz, która wydawała się złożona z samych policzków i podbródka.

— Przepraszam, jeśli coś się stało — rzekł ojciec. — Babbie łatwo się obraża, zdaję sobie z tego sprawę.

Babbie wskazywał na swój pysk.

— Hu! Hu! Hu!

Pomyślałem, że prosi ojca, żeby go przemienił, bo chce coś powiedzieć, ale sądziłem, że to niemożliwe. Za to ojciec od razu się domyślił, o co mu chodzi. Podał mu duży, zakrzywiony obosieczny nóż, potem drugi i nakazał, żeby się z nimi obchodził ostrożnie.

Pierwszy oficer chciał coś powiedzieć — postraszyć Babbie — go — ale Scylla mu zagroziła, że albo natychmiast pójdzie po kapitana, albo każemy mu wyskoczyć za burtę. Ojciec prawie

całkiem stulił dłoń i Scylla była ledwie widoczna. Sięgnęła po oficera, jakby chciała go obrócić w miejscu. Ręce miała znacznie drobniejsze niż Babbie, podobne do węży i całe pokryte cmokającymi paszczami. Wydłużały się, w miarę jak pierwszy oficer się cofał, aż w końcu odwrócił się i uciekł.

— Krew... — powiedział Juganu takim tonem, jakby się modlił.

Światło zgasło — chyba ojciec nie chciał, żebym oglądał Scyllę.

— Nie robi? — spytała Scylla. — Ty robić?

— Nie — odparł Juganu. — Nigdy.

Pomyślałem, że pewnie łatwo zmienia się kształt, kiedy ciało zostawi się w innym miejscu. Chciałem jej dotknąć, ale nie mogłem jej w ciemności znaleźć.

Ojciec zapytał, czy wiemy, co robimy — dlaczego chcemy wypłynąć na morze. Obaj z Juganu odpowiedzieliśmy, że nie.

— Jestem zmęczony — odparł wtedy. — Bola mnie plecy. Może wrócimy? Tam będzie bezpieczniej.

Juganu zaczął go błagać, żebyśmy zostali. Nie będę przytaczał jego słów ani pisał, co się działo. Nie widziałem wiele, za to słyszałem wszystko doskonale, nawet kiedy odwróciłem wzrok. W końcu ojciec przystał na jego prośbę i powiedział, że zostaniemy do rana.

Usiedliśmy przy relingu. Było ciemno, ale nie tak zupełnie. Na topie grotmasztu paliła się czerwona latarnia, dwie inne zawieszono nad pokładem rufowym — tamte dwie były białe, ale znajdowały się daleko i dość wysoko ponad nami, mimo że ta część pokładu, na której usiedliśmy, i tak nie była tą środkową, najniższą. Zapytałem ojca, czemu pojawiliśmy się na tym kawałku pokładu, skoro wcześniej byliśmy tam, niżej.

Odparł, że nie wie i cieszy się, że wylądowaliśmy na pokładzie, a nie w wodzie.

Scylla siedziała obok mnie. Nie podobało mi się to, ale nic nie mogłem zrobić. Dopytywała się, kiedy dotrzemy do morza. Nagle zdałem sobie sprawę, że zapach, który powitał mnie w tamtym whorlu, to była woń morza, nie tego naszego, tutejszego, lecz oceanu, wielkiego morza whorla czerwonego słońca. Pachniał zupełnie inaczej — może dlatego że był większy albo bardziej słony, albo po prostu starszy. Tak się nad tym zamyśliłem, że nie usłyszałem, co ojciec odpowiedział Scylli: pewnie że nikt tego nie wie, bo to zależy od wiatru.

Jego ptak też za nią nie przepadał. Nie chciał zbliżyć się do mnie, bo siedziałem obok niej. Chciałem sprawdzić, czy wie, że to ona siedziała mu w głowie, ale on tylko powtarzał:

— Zła dziewczeczka! Nie je.

Mówił też często „Nie, nie!” i „Ptak dobry”, bez względu na to, o co go akurat pytałem.

— We „Whorlu” słyszałem, że pomniejsi bogowie zmienili się w zwierzęta, aby ukryć się przed Pahem — rzekł ojciec. — Głupio mi teraz, kiedy o tym pomyślę, ale przyznaję, że wtedy nie traktowałem tych opowieści poważnie. Tymczasem był to mit, czyli historia zawierająca znaczny ładunek prawdy. Jego Mądrość patere Kowadełko zaszczycił mnie prośbą o asystowanie mu podczas nabożeństwa w Wielkim Manteionie, na co oczywiście się zgodziłem. Scylla, podsłuchawszy przez szkło moją rozmowę z Jego Mądrością, skorzystała z nadarzającej się okazji i opętała Oreba. Sama mi o tym później powiedziała.

Kiedy mówił o szkle, pomyślałem, że chodzi mu o kieliszek albo szklanę, ale później przypomniałem sobie, jak w książce

napisanej przez mojego prawdziwego ojca czytałem o szklach, przez które można widzieć i rozmawiać na odległość.

— Nadal nie rozumiem, jak udawało ci się tak długo unikać Paha — powiedział do Scylli.

— Dobre miejsce — odparła. — Nie znaleźć. — Mówiła takim tonem, jakby miała się za chwilę rozplakać.

— Minęło ponad dwadzieścia lat. Na pewno ci wybaczy.

— Nie, nie. Nigdy.

Na tym rozmowa się zakończyła. Weszła Zieleń, większa i jaśniejsza niż widziana z Błękitu. Większa niż byśmy chcieli. Kapitan zobaczył nas i prawie przybiegł. Nie miał tym razem szabli, ale idący za nim pierwszy oficer niósł długi kij, który pachniał dymem. Sądząc po sposobie, w jaki go trzymał, musiała to być jakaś broń. Nie spuszczałem jej z oka.

— Witajcie — rzekł kapitan. — Witajcie! Myśleliśmy, że nas opuściliście.

Ojciec wyjaśnił mu, że mieliśmy pewne sprawy do załatwienia, i zapowiedział, że od czasu do czasu będziemy znikać. Kapitan zapytał, czy jesteśmy głodni, i zaprosił nas na śniadanie. Ojciec podziękował i odparł, że nie będziemy się ruszać, a wtedy obaj sobie poszli.

— Długo go nie było — zauważył Juganu. — Nawiasem mówiąc, chętnie spróbowałbym waszego ludzkiego jedzenia.

Odpowiedziałem, że mu się nie dziwię, bo to musi być nudne pić tylko krew i krew, ale odparł, że wcale nie, bo są setki rodzajów krwi.

— Jeśli chcesz, idź, zjedz coś — zaproponował mu ojciec. — Na pewno z radością cię nakarmi. Pamiętaj tylko, że jeśli będziemy musieli wracać bez ciebie, zostaniesz tutaj. Sam nie

dasz rady wrócić. Ale postaramy się ochronić fizyczną część twojej istoty.

Juganu oddalił się truchtem. Zauważyłem, że gdyby mógł, chyba na stałe by tam został.

— Ja nie — wtrąciła Scylla.

— Nawet gdybyś mogła robić tę sztuczkę z rękami? — zapytałem.

Zmarkotniała, a ja pożałowałem swoich słów.

— Biedna dziewczeczka! — zakrakał ptak. — Biedna dziewczeczka!

Chciałem, poklepać ją po plecach, ale była dziwna w dotyku.

Gwałtownie cofnąłem rękę.

— Jest tu w jeszcze mniejszym stopniu niż my — wyjaśnił ojciec. — Gdyby Oreb zmarł, w ogóle by jej tu nie było.

Na te słowa ptak zaczął się burzyć i krzyczeć i ojciec musiał go uspokoić.

Rozmawialiśmy potem i zapytałem:

— To jest whorl czerwonego słońca, tak? Kiedy zobaczymy czerwone słońce?

Pokazał na rufę łodzi. Wstałem, a potem nawet wspiąłem się na liny, żeby lepiej widzieć. Czerwone słońce wschodziło za rufą, nad znajdującym się między nim a nami starym, wałącym się miastem. Było wielkie i ciemne, jak wielgachny rozżarzony węgiel zagrzebany w popiele. Można było patrzeć wprost w jego tarczę. Miasto rysowało się czarnym konturem na jego tle; były w nim cienkie wieże i grubsze, i nawet takie, przez które widziałem na wylot, podtrzymywane cieniuteńkimi wspornikami.

Miasto było ogromne. Kiedy pierwszy raz zjawiliśmy się na łodzi na rzece płynącej przez jego środek, nie wyobrażałem

sobie, że może być takie olbrzymie. Na północy i południu ciągnęło się bez końca, w dół rzeki też, prawie do miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Miało pokruszone, walące się mury, potrzaskane wieże i takie mnóstwo popadających w ruinę i nie nadających się do zamieszkania domów, że choćbyśmy z bratem strawili na to całe życie, nie dalibyśmy rady ich policzyć; umierając, jeszcze byśmy na dobre nie zaczęli.

Ale kiedy odcinało się na de tarczy czerwonego słońca, było widać, jakie w istocie jest małe. Trudno to wytłumaczyć. Było przeogromne. Nikt mi nie uwierzy, jak to napiszę, ale gdyby zebrać wszystkie miasta na Błękanie i zlepić je w jedno, a potem dorzucić wszystkie miasta ze starego whorla, o których ojciec opowiadał, i wrzucić je do tego miasta, przepadłyby bez śladu. Gdyby ktoś wrócił tu po roku, już by ich nie znalazł.

Otoczał je mur — było go widać na obrzeżach, tak daleko na wschodzie, południu i północy, że człowiek zaczynał wątpić, czy naprawdę go widzi. A jednak był to mur, i to wysoki jak najwyższe wieże, chyba największa budowla kiedykolwiek stworzona przez człowieka — tyle że martwa i gnijąca jak cała reszta.

Krótko mówiąc: widok miasta zapierał dech w piersi. W miarę jednak jak słońce wznosiło się coraz wyżej i wyżej, Nessus malało w oczach. W końcu zamknąłem powieki, żeby nie musieć go oglądać. Zobaczyłem, jakie jest naprawdę, i wiedziałem już, że będę musiał je zapomnieć, najlepiej jak potrafię, jeśli chcę dalej normalnie żyć. Po tym, jak ojciec odpłynął, wciąż byłem ciekawy Zaginionego Ludu. Zapytałem o nich pewnego człowieka, bo wyglądał mi na takiego, który mógłby coś wiedzieć. Odpowiedział, że niektórych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Myślę, że się mylił, ale jednocześnie miał rację. W

tajemnicy Zaginionego Ludu nie ma chyba nic takiego, czego wiedzieć nie powinniśmy — jest za to mnóstwo rzeczy, których po prostu nie wiemy i już. Ale nic nie poradzimy na to, jak rzeczy mają się naprawdę. Musiałem zamknąć oczy; gdybyś był tam ze mną, czytelniku, też nie miałbyś innego wyjścia.

Odwróciłem się i spojrzałem na fordek: ojciec i Babbie siedzieli tam, gdzie ich zostawiłem, lecz nigdzie nie widziałem Scylli. Ześliznąłem się po linach na dół — i już była na swoim miejscu. A kiedy wróciliśmy na naszą łódź, zniknęła.

Przydałaby się, bo nieopodal dostrześliśmy drugą łódź, a w niej pełno mężczyzn uzbrojonych w strzelby. Szybko postawiłem grot i wciągnąłem ogromny sztaksel, którego wcześniej nie używaliśmy. Ojciec stanął przy sterze. Próbował z nimi rozmawiać, ale zaczęli strzelać. Przyniosłem mu jego miecz, Azoth.

Z początku wzbraniał się przed użyciem go, ale kiedy mnie postrzelili, obciął cały dziób tamtej łodzi.

— Bardzo się starałem ich nie pozabijać — powiedział. — Niestety, dwóch zginęło. Ich ciała wpadły do wody.

Odparłem, że to bez różnicy, bo pozostali i tak się potopią, on jednak wyraził nadzieję, że tak się nie stanie. Później, kiedy ojciec odpoczywał, Juganu po nich poleciał. Było już wtedy prawie ciemno.

Chciałbym teraz napisać o tym, jak Scylla poszła porozmawiać z Większą Scyllą, ale dwie sprawy jeszcze wymagają wcześniejszego opisanie: noże, które ojciec dał Babbiemu, i to, co Scylla powiedziała ojcu w nocy.

Dlatego po prostu będzie po kolei o wszystkim. Część tego, co napiszę, powiedział mi, kiedy płynąc łodzią po rzece, czekaliśmy, aż wstanie nowy dzień, a część kiedy Juganu i

Babbie mnie przytrzymywali, a on opatrywał mi ranę. (Wiłem się jak piskorz, a ojciec mówił do mnie cały czas, chyba głównie po to, żebym się nie wiercił). Trochę dowiedziałem się też później, kiedy gotował kartoflanę z rybą.

Prawdę powiedziawszy, nie jestem pewien, co kiedy usłyszałem, dlatego wszystko wrzucam tutaj.

Noże. Zapytałem, skąd je ma. Obserwowałem go na tyle uważnie, na ile było to po ciemku możliwe, i nie zauważyłem, żeby je skądś wyciągnął. Wyjaśnił mi, że możemy tam tworzyć przedmioty, które nie są prawdziwe, ale dopóki nam na tym zależy, wyglądają jak prawdziwe. Dodał, że w taki właśnie sposób stworzył złoto, ale kapitan nie wie, że złoto znika razem z nami, bo trzyma je zamknięte w kasetce. Zapytałem, naturalnie, czy ja też mogę robić takie rzeczy — odparł, że tak, ale muszę uważać, by się nie zorientowali, że to tylko sztuczka. Obiecałem być ostrożny.

Scylla była córką Paha. Z tego, co ojciec mówił, wynika, że Pah miał mnóstwo dzieci, ale ona była najstarsza i najważniejsza. Scylla, jej matka i inne szproty Paha próbowali go zabić, ponieważ nie chcieli puścić ludzi na Błękit, gdzie nie byliby już ich bogami. Dlatego zamierzali Paha zabić i przez długi czas myśleli, że im się udało i że nikt nie opuści starego whorla. Ale potem Pah wrócił i musieli się ukrywać.

Ojciec wyjaśnił mi, że mogli się przed nim schować na dwa sposoby. Mogli uciec do Centralnego Procesora. Scylla o tym wspominała, ojciec twierdził, że ona wie na ten temat znacznie więcej od niego, ale zrozumiałem, że Centralny Procesor przypomina tunele wyryte pod starym whorlem — były tam odgałęzienia, boczne odnogi, pomieszczenia i jaskinie, o których nikt nie wiedział. Scylla i ci inni, którzy razem z nią

próbowali zgładzić Paha, ukryli się tam, ale inaczej niż my byśmy to zrobili. Wyglądało to tak, jakbym ja schował jeden palec w jednym miejscu, drugi w drugim i tak dalej. Pochowali kawałki siebie tu i tam, a Pah szukał ich, znajdował i po kawałku zabijał.

Drugim sposobem było ukrycie się w ludziach. Czytałem w książce o patere Skoczku i teraz przypomniałem o nim ojcu, na co on powiedział, że mam rację. (To było kiedy jedliśmy zupę, teraz sobie przypominam). Bóg mógł się schować w każdym, kto spojrzał w święte okno albo chociaż w szkło, a kiedy już się schował, nie musiał nic robić. Gdyby po prostu się tam zakradł i siedział cicho, nie było sposobu, żeby go odnaleźć.

Ale Scylla i pozostali znaleźli jeszcze inne miejsce: odkryli, że przy odrobinie zachodu mogą się ukrywać w zwierzętach. Zwy — kle wyglądało to tak, powiedział ojciec, że ktoś przyprowadzał zwierzę przeznaczone na ofiarę, na przykład kozę. Kiedy augur szykował się do złożenia ofiary, zwierzę — to rozumiałe — stawało przed świętym oknem. Scylla albo inny bóg zstępował w nie i je opętywał, zwierzę wyrywało się trzymającym je pomocnikom i uciekało.

— Wkrótce Pah zrozumiał, co się dzieje — ciągnął ojciec. — I ostrzegł wiernych. Od tej pory kiedy jakieś zwierzę płoszyło się i uciekało przed ołtarza, chwyтали je i zabijali.

— Czyli im się nie udało — zauważyłem.

— Powiedzmy, że metoda bywała zawodna. Niektórym zwierzętom, zwłaszcza koniom i ptakom, udawało się przecież uciec. Pojawiły się jednak inne trudności. Zapewne właśnie z ich powodu unikano stosowania tej techniki, dopóki Scylla, Echidna, Hierax i pozostali desperaci nie spróbowali wymknąć

się Paho — wi. Pierwszy problem jest taki, że zwierzęta nie są długowieczne. Wspomniałeś o patere Skoczku...

Przytaknąłem.

— Był człowiekiem w średnim wieku, kiedy Pah go opętał, ale dopiero trzydzieści lat później oddał swoją część boga. Koń może dożyć piętnastu lat, nawet dwudziestu, jeśli się o niego dba należycie.

— Poza tym nie mogą mówić — dodałem. — Oprócz Oreba.

— To prawda. — Ojciec odstawił zupę. — Jednak stanowi to tylko część większego i bardziej złożonego problemu. Żaden koń, byk ani ptak nie ma mózgu, który choć w przybliżeniu przypominałby mózg ludzki. Jeśli porównać bogów do wina, które wlewa się w nasze mózgi jak wino do butelek, zwierzęta są wyjątkowo małymi butelkami. Nawet gdyby Scylla opętała mnie zamiast Oreba, Scylla, którą zobaczyliśmy we whorlu czerwonego słońca, i tak byłaby zaledwie namiastką tej, która kiedyś istniała w Centralnym Procesorze. A tak — Scylla, którą widzimy, jest tylko cieniem oryginału, córki tyrana, który przyjął imię Tyfon. Córki, która w sekrecie ślubowała wierność jednemu z bogów morza we whorlu krótkiego słońca, obecnie ten whorl jest nam znany jako whorl czerwonego słońca.

Przyznałem, że słyszę o tym pierwszy raz.

— Była to forma zdrady, buntu przeciw ojcu. Abaia, Erebus, Scylla i pozostali zawładnęli wodami i zaczęli snuć plany zagarnięcia lądów. Sądząc po tym, co kiedyś usłyszałem, nadal to planują.

— Chcesz powiedzieć, że Scylla, dziewczyna, która wychodzi z Oreba, chce prosić o pomoc boginię z whorla czerwonego słońca?

— Tak. Myślałem, że to oczywiste. Mówiłem wam, że opętała Oreba — ponieważ wiedziała, że on wkrótce tu trafi. Była przekonana, jak zdradziła mi pewnej nocy, że Pah nie osiedlałby ludzi na Błękicie, gdyby nie znał jakiegoś sposobu, aby samemu tam zstąpić i nimi rządzić. „Panować”, takiego słowa użyła. Myliła się; sam mogłem jej to powiedzieć. Pod postacią Oreba przez blisko rok przeczesywała ten whorl, ale znalazła tylko jeden albo dwa lądowiki z jako tako działającymi szklami. Nie chciały jej przyjąć — czy, jak powiedziała, „zapisać”. Przybyła do whorla czerwonego słońca ze mną i Jahlee, ale nie zdradziła się wtedy ze swoją obecnością. Parę nocy temu przemówiła do mnie za pośrednictwem Oreba; po tym, co mówił i w jaki sposób, poznałem, że nie jest sobą. Ujawniła się i poprosiła, abym znów ją tam zabrał.

— Czy powiedziała, że Pah ją zabije, gdy tylko będzie miał okazję?

Ojciec pokiwał głową i napił się wina z butelki. Czasem miałem wrażenie, że tylko udaje, że je i pije. To była jedna z takich chwil.

— Tak właśnie powiedziała. Nie jestem jednak pewien, czy to prawda. I nie jestem Pahem.

Juganu przysłuchiwał się naszej rozmowie. Przełknął nawet parę łyżek zupy. Znów był stary i mały, ze dwa razy mniejszy niż w tamtym whorlu.

— Pah będzie na ciebie zły. Nie jest waszym głównym bogiem?

— Nie. Moim głównym bogiem jest Zewnętrzny.

— Jedyne, któremu ufasz — dodałem. Słuchając takich jego słów, upewniałem się w przekonaniu, że wiem, kim naprawdę jest.

— Któremu nie ufam nawet w połowie tak bardzo, jak powinienem, synu.

Mniej więcej wtedy ptak usiadł mu na ramieniu.

— Ptak jeść?

— Naturalnie. Przyniosłeś ryby, więc masz prawo do części zupy. Przypomniałem, że zjadł już łby i wnętrzności.

— To prawda. — Ojciec uśmiechnął się i wzruszył ramionami. — Dieta Oreba nie sprawiała pewnie Scylli przyjemności, chociaż nigdy się na nią nie skarżyła. Może teraz już przywykła. Poza tym jeśli takie rzeczy mu smakują, może smakują także i jej. Mam taką nadzieję.

Podsunał ptakowi łyżkę pełną zupy. Ja zdążyłem skończyć swoją porcję i nie sędzę, żeby jego była jeszcze gorąca.

Zapytałem go o Pah.

— Powiedziałeś, że jej zdaniem Pah nie pozwoliłby tu nikomu przylecieć, gdyby sam też nie mógł się przenieść. A przecież musiała go dobrze znać. I długo.

— Od trzystu lat.

— Dlaczego się pomyliła?

Wzruszył ramionami.

— A skąd ta pewność?

— Powiedziałeś, że ona i ptak nie znaleźli sobie żadnego miejsca.

— Nie znaleźli. Może Pah jeszcze nie przybył. A może już tu jest, a jej po prostu nie udało się odkryć miejsca, które sobie znalazł albo stworzył. Zwróciłeś uwagę na to, że miała dużo czasu, aby dobrze poznać ojca.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu. Ja też parsknąłem śmiechem.

— A mimo to wydawało jej się, że razem z matką, Hieraxem i Molpe, chociaż Molpe pewnie niewiele im pomogła, będą

wystarczająco silni, żeby go pokonać. Pomyliła się. Kompletnie go nie doceniła.

Zamyślił się na chwilę i znów poczęstował ptaka zupą. Ptak wydziobywał z łyżki kawałki ryby i ziemniaków.

— Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę?

Skinąłem głową, a Juganu powiedział:

— Nawet bardzo, raj anie.

— Moim zdaniem Pah wie, że z upływem czasu zdamy sobie sprawę, jak bardzo jest nam potrzebny, i sami go tu ściągniemy. Nowy Viron kazał mi sprowadzić Jedwabia. To było niemądre, bo żaden człowiek w pojedynkę nie naprawi panoszącego się tu zła. Jedwab służył Vironowi ze wszystkich sił, ale zostawił go w niewiele lepszym stanie, niż zastał. Jestem przekonany, że następne pokolenie zamiast Jedwabia poszuka Paha.

Zapytałem, czy uważa, że bóg by sobie poradził. Odparł, że ze złem ludzie muszą sobie poradzić sami, a bóg co najwyżej im pomoże.

Obaj z Juganu byliśmy ciekawi, dlaczego we whorlu czerwonego słońca Scylli tak bardzo zależało na rozmowie z tą drugą Scyllą.

— Chciała jej przedstawić sytuację we whorlu długiego słońca i prosić o radę, a może także o pomoc, chociaż nie powiedziałyby tego wprost. Gdyby miała opuścić ciało Oreba i wrócić do Centralnego Procesora — w tym celu musielibyśmy oczywiście udać się do whorla długiego słońca — zostałyby unicestwiona, fak w każdym razie uważa i to dostatecznie ją odstrasza. Ale jeśli zostanie tu, gdzie jest, zginie, kiedy Oreb umrze.

— Nie zarżnie! — powiedział ptak. Juganu i ja roześmialiśmy się.

— Nie mam najmniejszego zamiaru podsłuchiwać ich rozmowy, jeśli do niej dojdzie. Chętnie natomiast sam zamieniłbym słówko z tą Większą Scyllą.

Kiedy wróciliśmy na rzeczną łódź, spełniło się tylko to drugie życzenie.

Płynęliśmy do ujścia rzeki, która, jak wyjaśnił nam kapitan, rozgałęzia się tam na pięć dużych odnóg i niezliczone mnóstwo mniejszych, które w dodatku stale zmieniają bieg. Musieliśmy więc wyszukiwać sobie trasę.

Scylla wyszła na bukszpryt; był długi, a ona stanęła prawie na samym końcu. Ja usiadłem na rzeźbionym relingu i machałem nogami w powietrzu. Moja rana w większości została na Błękicie i tu nie miałem bandaży, nie krwawiłem, trochę mnie jednak bolało i czułem się osłabiony. Ojciec powiedział, że mogę tworzyć różne rzeczy, ale martwił się, żebym nie zaczął produkować na przykład kart. Zrobiłem więc kilka drobiazgów, które nikomu nie powinny przeszkadzać — na przykład gwóźdź albo muszelkę. Należało złożyć dłonie, pomyśleć o tym, czego się chce, a potem rozsunąć je powoli, trzymając w nich tę rzecz. Kiedy coś mi się udało dokładnie tak, jak chciałem, wyrzucałem to do wody.

Rozejrzałem się, czy nikt nie patrzy, i zrobiłem Skórę. To było dużo trudniejsze, ale miło było go mieć przy sobie, móc z nim posiedzieć i porozmawiać, tylko że męczące było utrzymanie go i po jakimś czasie dałem sobie spokój. Teraz mówi, że nie pamięta ani słowa z naszej rozmowy. Nie przypomina sobie w ogóle, żeby tam był.

Trik polegał na tym, że Skórę pamiętałem najlepiej i dopóki karmił się tymi wspomnieniami, mógł być przy mnie. Ale delta rzeki ogromnie mnie intrygowała, cała ta zieleń, wraki statków

przy brzegach wysp, niektóre prawie całkiem zagrzebane w mule, szalasy zbudowane z wyrzuconego przez wodę drewna, stojące w tych samych miejscach, gdzie kiedyś piętrzyły się forty i pałace. Były tak koślawe, że aż dziw brał, że jeszcze stoją.

W pewnym momencie zapatrzyłem się na stary posąg kobiety, który sprawiał wrażenie, że gdybym tylko mógł z nim chwilę porozmawiać, byłaby to najpiękniejsza chwila w moim życiu. Zanim się odwróciłem, żeby coś bratu powiedzieć, zdążył prawie zniknąć. Szybko pojawił się z powrotem i przeprosił, ale zaraz potem go puściłem.

Delta była bagnista, woda czarna. Wcześniej wydawało mi się, że jest czarna, bo jest noc, ale czerwone słońce dawno zdążyło wzejść, a ona nie zmieniła koloru. Oglądając pokrytą zielonym dywanem deltę, odnosiłem wrażenie, że mam przed sobą trupa tak starego, że porósł go mech. Mniej więcej wtedy właśnie zorientowałem się, że nigdzie nie widać ludzi, a szalasy są puste. Forty i pałace przetrwały długo, bo były zbudowane solidnie, z kamienia, a te chatynki stały jeszcze tylko dlatego, że całkiem niedawno mieszkali w nich ludzie i po prostu nie zdążyły się rozpaść. Teraz jednak były puste, zabudowania ciągnące się między nimi i pałacami spróchniały albo może się spaliły i wiedziałem, że już nikt nigdy tu nie zamieszka, deltę będą odwiedzali tylko tacy ludzie jak my.

Wypłynęliśmy na otwarte morze, które tu nazywają Oceanem. Przypominało nasze morze — i zarazem było całkiem inne. Gdyby szukać podobieństw, wyliczyłbym ich dużo; ale gdyby zastanowić się nad różnicami, to też ich nie brakowało. Inaczej pachniało. Kolor też miało inny, chociaż trudno było powiedzieć, czym się różni; może przez ciemne niebo i przez gwiazdy. Wiedziało, że nadciąga noc, która niesie śmierć. Morze

we whorlu czerwonego słońca bardziej się pienilo i wydaje mi się, że było bardziej słone.

Stojąca na bukszprycie dziewczyna zaczęła wołać. Nie wypowiadała imienia, w ogóle nie wymawiała żadnych słów. Przypominało to raczej dźwięki, jakie mogliby wydawać siedzący na plaży ludzie, którzy grzechoczą muszelkami albo na nich gwizdzą. Brzmiało to nawet nieźle, prawie jak muzyka, tylko że słysząc ją, człowiek wiedział, że dziewczyna coś wzywa, i że to coś się zjawi, będzie ogromne i wcale się nam nie spodoba.

Minęło wiele czasu — tak wiele, że zacząłem się martwić o nasze ciała pozostawione na łodzi. Babbie chyba też się niepokoił, bo widziałem, jak podchodzi do ojca i szarpie go za rękaw. Babbie nie umiał mówić, ale łatwo było zrozumieć, o co mu chodzi. Przewiązał się w pasie kawałkiem sznurka i zatknął za niego noże, które dostał od ojca.

Chciałbym w tym miejscu coś jeszcze o nich powiedzieć. Może to nie jest najlepszy moment, ale chcę mieć pewność, że to napisałem, by każdy, kto to przeczyta, zrozumiał, więc napiszę teraz. Po tym, jak zostałem postrzelony, Juganu i Babbie przytrzymywali mnie przy opatrywaniu, Babbie próbował się do mnie uśmiechać. Nie jest w tym najlepszy i niespecjalnie się stara, ale tym razem się wysilił — pewnie widział, jak cierpię, i chciał, żebym wiedział, że nie trzyma mnie tak mocno przez złośliwość, ale naprawdę mnie lubi i chce pomóc. Ludzie polują na husy i je zjadają. Ściągnę często to robił, ja też, ale po tym, jak na łodzi bliżej poznałem Babbiego, nie byłbym w stanie zabić żadnego więcej.

W każdym razie miał półotwarty pysk, nie tak, że tylko uniósł kąciki warg, ale szerzej, i kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem

w środku te dwa noże: to były wielkie, mordercze kły w jego dolnej szczęce. Miały identyczną krzywiznę i prawie taki sam kształt, noże były tylko trochę dłuższe. Kły z naszego whorla stawały się nożami we whorlu czerwonego słońca.

Gdybym był na miejscu tej dziewczyny, zrezygnowałbym najdalej po godzinie. Ona jednak była uparta, a ja po jakimś czasie miałem ochotę stamtąd uciec. Zszedłem na śródkręcie, bo tak się nazywa środek łodzi, i patrzyłem, jak Juganu siłuje się z żeglarzem.

Kiedy wróciłem na fordek, nadal śpiewała. Ptak siedział jej na ramieniu. Ojciec też wyszedł na bukszpryt i stanął jakieś cztery łokcie za jej plecami. Zawołał mnie, a gdy podszedłem bliżej, kazał mi powiedzieć kapitanowi, żeby ściągnął wszystkie żagle. Wziąłem ze sobą Babbiego i kapitan mnie posłuchał. Zaczęliśmy dryfować, kołysząc się lekko. Byliśmy na otwartym morzu, z dala od lądu.

Przed dziobem statku z wody zaczęli wychodzić ludzie. Pożyczyłem od drugiego oficera lunetę, żeby się im przyjrzeć. To byty same kobiety. Bliżej nas stały te mniejsze, a dalej ustawiały się te większe, przez co wydawało się, że wszystkie są podobnej wielkości. Niektóre z tych najdalszych były takie wysokie jak ojciec, Juganu i ja łącznie. Wiele z nich miało na sobie czarne szaty z kapturem, ale niektóre, zwłaszcza te większe, dalej od nas, były nagie. Te bliższe rozmawiały, śpiewały i wołały do nas. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem; nigdy nawet o czymś takim nie słyszałem.

Dziewczyna cały czas im śpiewała, aż w końcu ucichły i zaczęły podchodzić. Wyglądało to tak, jakby stały na jakiejś ruchomej powierzchni tuż pod wodą. Marynarze byli przerażeni. Widząc, jak ładują falkonet, kazałem Babbiiemu

pilnować, żeby nie zaczęli strzelać, a sam wróciłem na dziób. Kobiety otoczyły łódź ze wszystkich stron. Dwie tak jakby uniosły się w powietrze i rozmawiały właśnie z ojcem i dziewczyną: w miarę, jak podnosiły się nad wodę, ich szaty wydłużały się coraz bardziej; gdyby weszły na pokład, poły płaszczy ciągnęłyby się daleko za nimi. Musiały na czymś stać, jeśli w ogóle miały nogi.

Stałem na fordeku, żeby się im lepiej przyjrzeć. Jedna uśmiechnęła się do mnie, ukazując zęby, drobne, ostre jak gwoźdźdiki. Oczy miała bez białek, lśniły pod kapturem dziwną poświatą. Stałem przy fokmaszcie, więc nie słyszałem, co te kobiety mówią ani co odpowiadają im ojciec i dziewczyna. Pomyślałem, że stworzę sobie taki miecz jak Azoth i nawet go zrobiłem, ale nie chciał działać, więc wstawiłem mu zwyczajne, stalowe ostrze.

Po pewnym czasie kobiety wróciły do wody, a ojciec z dziewczyną kazali mi przekazać kapitanowi, że może postawić żagle i że wkrótce się pożegnamy. Ojciec dał mi rubin, który, jak widziałem, dostał od jednej z tych dużych nagich kobiet; wyjaśnił, że rubin jest prawdziwy i zostanie kapitanowi na zawsze, nawet kiedy już znikniemy. Powiedziałem mu o kobiecie, która się do mnie uśmiechała.

— To była Scylla? — zapytałem.

Dziewczyna się wściekła.

Potem wróciliśmy na naszą łódź na Błękanie.

Była noc. Wziąłem pierwszą wachtę, bo wiedziałem, że muszę sobie trochę spraw przemyśleć i prędko nie zasnąć. Zaproponowałem Juganu, żeby położył się na mojej koi, jeśli chce, ale niedługo potem wyszedł z kajuty i gdzieś poleciał. Wiedziałem, że jest głodny i będzie szukał krwi, i zastanawiałem się, kogo znajdzie.

Tylko Babbie został ze mną na pokładzie, ale spał. Siadłem więc przy rumplu ze strzelbą na kolanach. Gapiłem się w niebo i na morze. Noc była pogodna, na niebie roiło się od gwiazd. Zielen zawisała nad grotmasztem; można by pomyśleć, że gdybyśmy go trochę podwyższyli, top masztu by o nią zahaczył. Nasza Zielen jest mniejsza niż ich, ale za to bardzo jasna. A najładniejsze było odbicie wszystkich gwiazd w wodzie.

Dużo myślałem — jak można się było spodziewać. Głównie o tym, co już tu zapisałem. Miałem też ogromną ochotę zastrzelić Juganu, kiedy wróci, ale wiedziałem, że strzał obudzi ojca i wszystko się wyda. A nawet jeśli nie, to ojciec zapyta potem, co się stało, a ja nie będę w stanie długo go okłamywać.

A potem przyleciał ptak. Rozmawialiśmy. To nie było wcale takie przyjemne, jak by się mogło wydawać. Przede wszystkim bał się mnie; nie zbliżył się nawet na wyciągnięcie ręki. A poza tym rozmawiałem z nim i jednocześnie z dziewczyną — nie widziałem jej, ale tam była. Ptak siedział na dachu kabiny (który jest wyłożony deskami, wysmołowany jak pokład i bardzo mocny, można na nim stanąć), mniej więcej w połowie odległości między mną i Babbie. Skakał tam i z powrotem. Dziewczyny nie widziałem, ale widziałem, że też tam jest. Trudno to wyjaśnić.

W wodzie odbijały się gwiazdy i poświata Zieleni. Noc była stosunkowo jasna, ale między burtą i wodą zalegał cień. Zielen znajdowała się na sterburcie, więc pod bakburtą kładł się ten cień i miałem wrażenie, że dziewczyna właśnie tam się chowa, patrzy i słucha, a kiedy chce, mówi przez ptaka.

Gwizdnąłem na niego. Zagwizdał w odpowiedzi. Ja gwizdałem lepiej, ale on gwizdał głośniej, więc przez chwilę

świetnie się bawiliśmy. Gwizdałem „Łódź pełną szprotek”, a on powtarzał pierwsze trzy, cztery nuty.

— Lubi ptak?

— Pewnie — odparłem. — Ale lubiłbym cię bardziej, gdybyś i ty mnie bardziej polubił.

Wiedziałem, że mnie nie zrozumie, ale przyjemnie było mieć do kogo gębę otworzyć.

— Ptak dobry!

— Czasem na pewno.

Posmutniał i powiedział:

— Ptak dobry! Chłopiec zły!

— Skoro jesteś taki dobry, to co robiłeś na bukszprycie razem ze Scyllą?

To był pierwszy raz: ptak powiedział „Ja zły?”, a ja zorientowałem się, że to wcale nie on mówi.

Przyznaję, że dało mi to do myślenia. Wcale jej nie lubiłem. Poza tym, wydawało mi się, że ja, ojciec, Juganu, nawet Babbie i ptak, wszyscy naprawdę byliśmy na tamtej łodzi na rzece, a ona nie. To mi się nie podobało. A na naszej łodzi czułem, że my jesteśmy prawdziwi, a ona ani trochę. Nie widzieliśmy jej, nie mogła nawet z nami porozmawiać bez pośrednictwa ptaka. Może nie miało to nic wspólnego z rym, że była zła, ale mnie się wydawało, że jednak ma.

— Wcale nie jesteś dobra, Scyllo — powiedziałem.

— Dobra dziewczeczka!

— Naturalnie.

Prawdę powiedziawszy, miałem nadzieję, że da ptakowi spokój i nigdy już nie wróci.

— Ty dobry? Racica dobry? Jak Jedwab?

Doszedłem do wniosku, że nie ma co udawać głupiego i pytać, kim jest Jedwab. Przecież doskonale to wiedziałem, do licha!

— Nie. Tak dobrym człowiekiem nigdy nie będę.

— Twój tata? Kłamie!

— Gdyby im powiedział, kim jest, chcieliby, żeby został calde, a wtedy Białożór by go zabił.

— Jedwab dobry! — Roześmiała się. Miała taki perlisty, jakby bulgoczący śmiech.

— Scylla zła — odparłem. — Może polecisz na ryby?

— On zabić? Zabić tata!

— Nie sądzę.

— Dzieweczka dobra! Nie zabije!

— Z pewnością. Ale przecież chciałaś, żeby Alka zabił dla ciebie tamtego starego rybaka. Czytałem o tym.

— Mój człowiek!

— Być może. Ale ja nie jestem twoją własnością.

Znów się zaśmiała, a ja rozzłościłem się nie na żarty.

— Nikt nie może mieć ludzi na własność, a jeśli nawet, to nie powinien ich zabijać, chyba że zrobili coś strasznego. I nie zapominaj, że chciałaś zabić swojego ojca, dlatego musiałaś się ukrywać. Gdyby ci się udało, byłabyś morderczynią. Zresztą pewnie i tak nią jesteś.

Ptak zagwizdał. Pomyślałem, że sobie poszła, a on jeszcze przez chwilę pogwizdywał, aż powiedział:

— My niewolnicy. Pah mieć.

— Ściągnę zawsze tak mówił.

Chyba ją zaskoczyłem.

— Kto?

— Nasz brat, jest starszy ode mnie i Skóry. Ojciec twierdzi, że mieszka na Zieleni i dochował się dwójki szprotów, ale kiedyś często mówił tak jak ty teraz. Nasz prawdziwy ojciec próbował zapędzić go do pomocy w papierni i strasznie się kłócili. Albo zaczynał coś robić, nie kończył i gdzieś sobie szedł, a ojciec musiał kończyć za niego. A jak nie ojciec, to Skóra albo ja.

— Jak niewolnik! — To do niej trafiło. — Pah mówić. Ja robić.

— Był twoim ojcem. Karmił cię, ubierał, ochraniał.

— Ja jeść! Jeść owca. Jeść chłopiec.

— Jak Juganu.

Potem na chwilę zostawiła ptaka w spokoju. Próbowałem go do siebie zwabić, ale nie chciał przyjść.

— Chłopiec zły! Nie, nie!

W końcu przestałem próbować. Odpuściłem reflinki, odwinąłem grot i lekko go wybrałem.

— Zabije ptak?

— Myślisz, że gdybym cię złapał, skreśliłbym ci tę ptasią szyjkę?

— Tak!

Splunąłem.

— Ty tak!

Wziąłem do ręki strzelbę.

— Widzisz to? Gdybym chciał cię zabić, mógłbym zastrzelić to twoje chędożone ptaszysko i wyrzucić je za burtę. Zajęłoby mi to nie więcej niż dziesięć sekund. Ale nie zrobię tego. Tak jak nie skreślę mu karku. A poza tym ukradłaś go. To ptak ojca. I jeszcze jedno: to, że kogoś nie lubię, nie znaczy jeszcze, że chcę go zabić. Wy, bogowie, podobno tak robiliście, ale ja jestem inny.

— Nie musi — powiedziała. — Umiera.

— To prawda, umrzesz, kiedy ptak umrze.

— Jutro — powiedział Juganu. — Rajan ci nie powiedział?

Nie zorientowałem się, kiedy wrócił, ale w tej chwili stał tuż obok mnie.

— Jutro wracamy. Ja chciałem wrócić od razu, ale się nie zgodził. Musimy znaleźć grób Cilinii, córki Tyfona. Znajduje się w miejscu zwanym nekropolią.

— Po co? — zdziwiłem się.

— To będzie ostatni raz. Rajan powiedział, że potem będę mógł was opuścić i chyba tak właśnie zrobię.

Zapytałem, czy wie, po co ojciec chce znaleźć grób Cilinii.

— Czemu pyta? — wtrącił ptak.

— Zawarł umowę ze Scyllą — odparł Juganu.

— Jaką umowę?

Wzruszył ramionami i usiadł na nadburciu. Ramiona znów miał krótkie i okrągłe, a jego nogi i stopy nie były już takie długie i rozplaszczone jak przy lataniu. Był zwykłym małym staruszką, którego oddech cuchnął krwią. Przyszła mi do głowy Jahlee, która zawsze formowała sobie duże cycki, żeby mnie podrażnić.

— Myślałem, że wiesz — odparł.

Powiedziałem, że nie wiem.

— A powiedziałbyś mi, gdybyś wiedział?

— Tak, chyba że by mi zabronił.

Ptak się roześmiał. Już wcześniej słyszałem, jak się śmieje, i wcale mi się to nie podobało.

— Zawarł umowę z tym wodnym potworem — powtórzył Juganu. — Przysługa za przysługę. Tyle wiem. Obiecał zaprowadzić Scyllę do tego grobowca. Do tego się zobowiązał, ale nie wiem, co ma dostać w zamian.

Pomyślałem o szukaniu grobu.

— Minęło trzysta lat. Tak mówią.

Ojciec wyszedł z kabiny.

— Minęło znacznie więcej czasu — powiedział. — Ale mam przyjaciela, który zna tamte okolice jak własną kieszeń.

Na tym na razie skończę, żeby inni też mogli popisać. To ciężka praca, o wiele cięższa, niż myślałem. Niech więc oni opowiedzą o tym, co zrobił Juganu i o całej reszcie. Będę im pomagał. Poproszę też Stokrotkę, żeby przejrzała całość i poprawiała, co trzeba. A jeśli nie ona, zajmie się tym Skóra lub Vadsig.

Jak przybył na Błękit

Ześ przylazł zobaczyć starego Świnię. To miło, brachu. Broda i skudlone włosy Świni zniknęły bez śladu, ale głowę i tak miał olbrzymią. — Nie, Świnio. — Gość pokręcił swoją znacznie mniejszą głową, wiedząc, że Świnia i tak go nie widzi. — Przyszedłem, żebyś ty mógł zobaczyć mnie.

Świnia dotknął bandaża ponad nosem — samoodkażającego się opatrunku, który zastąpił szarą szmatę.

— Nie chcieli mi go zdjąć, brachu. Zrobisz to?

Spojrzał w szkło. Pielęgniarka skinęła głową.

— Tak, Świnio. Zaraz się tym zajmę.

Namacał węzeł i wsunął weń smukłe ostrze chirurgicznych nożyczek.

— Jedwab znalazł takie nożyczki w balneum. Doktor Żuraw też takich używał, kiedy później go opatrywał. Nie wiem, dlaczego tak mnie to poruszyło, ale tak właśnie jest.

Ciął, rozkoszując się tym uczuciem.

— Brachu...

— Jeżeli okaże się, że nadal nie widzisz, nie będziesz w gorszej sytuacji niż przedtem.

— Poza tym sprawdzimy, co się stało, i poprawimy — dodała pielęgniarka. Miała ciepły głos, każde jej słowo brzmiało jak błogosławieństwo.

Świnia milczał. Ręce mu się trzęsły.

— Ostatnio niewiele patrzyłeś. — Bandaż leżał luźno na oczach Świni. — Nie masz praktyki, tak mi powiedzieli, a ja muszę im przyznać rację. Jeśli okaże się, że widzisz...

— Jedwab dobry — oznajmił Oreb ni z tego, ni z owego.

— ... obraz może być niewyraźny, rozmazany. Będziesz musiał na nowo nauczyć się interpretować to, co widzisz.

W pokoju pociemniało; wbudowane w sufit lampy przygasły, zmieniając się w złote punkciki. Spojrzał w szkło: pielęgniarka manipulowała przyrządami. Odczekał, aż da mu znać skinieniem głowy, i dopiero wtedy zdjął bandaż.

— Brachu... — Świnia złapał go za rękę.

— Masz zamknięte oko, Świnio.

— On to wie, brachu. Taki odważny? Wcale nie! — Powieki Świni zatrzepotały.

— Jesteś odważniejszy, niż ja byłbym na twoim miejscu.

Świnia obrócił głowę w bok.

— Nie pasuje mu do karnacji — zauważyła pielęgniarka.

Świnia zbył ją machnięciem ręki.

— Chce was zobaczyć, obu, razem. Żeby was nie zapomniał.

— Widzi ptak?

— Ano. — Odslonięte, szerokie usta o cienkich wargach wykrzywiły się w uśmiechu. — Świnia też cię widzi, Oreb. Brachu... ? — Świnia zaniemówił, zakrztusił się, zakaszłał i w końcu otrząsnął.

— Masz niebieskie oko, Świnio. Jak ja.

Kiedy szarosrebrne szkło zmatowiało, Świnia zapytał:

— Zostaniesz ze mną, brachu?

Skinął głową. Wiedział, że Świnia widzi jego gest, i cieszył się tym jak dziecko.

— Dopóki Hari Mau mnie nie znajdzie i nie zabierze.
— Ptak leci?
— Oczywiście, Orebie. Jeśli tylko chcesz. Pochlebisz mi.
— Świnia też, brachu?
Tego się nie spodziewał.
— A chciałbyś?
— Ano. — Głos Świni nie pozostawiał wątpliwości.
Pokręcił głową.
— Żeś widział, jak płacę.
— To nie ma nic do rzeczy. Pochlebiasz mi, Świno. Ale dopóki bóg nie powie mi, że mam zrobić inaczej, muszę ci odmówić.
Dla dobra nas obu.
— Stary Świnia pójdzie, brachu.
— Wiem, poszedłbyś ze mną, broniłbyś mnie i starał mi się pomagać ze wszystkich sił.
— Tyś to dla niego zrobił.
— Naturalnie. Jesteśmy przyjaciółmi. — Prawym palcem zakreślał małe kręgi na policzku.
— Długa droga do ziomków, bez ciebie, brachu.
Skinął głową — i znów się ucieszył.
— Wrócisz do nich? Na drugi koniec whorla?
— Nikogo więcej nie mam.
— Najemnicy. Byłeś najemnym żołnierzem, Świno?
— Ano! Czy był? Był! Żem walczył, brachu. Płacili za to. Nie było lepszego.
— Może spotkasz kogoś po drodze. Kobietę, która cię pokocha. Albo przyjaciół, którzy polubią cię tak samo jak ja.
— Żem już znalazł, brachu. Ciebie.
— Tak — przytaknął ze smutkiem. — To prawda. Uwierz mi, gdybym mógł cię zabrać do Nowego Vironu, nie wahałbym się

ani chwili. Problem, zresztą nie jedyny, polega na tym, że się tam nie wybieram. Udaję się do miasta daleko stąd. Obiecałem to Hari Mau.

— Mnie to pasuje, brachu.

— Będę tam więźniem. Chcą, abym rozsądzał ich spory i wypracowywał kompromisy Często się zdarza, że żadna ze stron nie ma racji, a jeszcze częściej, że nie istnieje kompromis, który byłby dla wszystkich do przyjęcia. — Westchnął. — Nie mogę dać im tego, czego po mnie oczekują. Z czasem ich rozczarowanie z pewnością zmieni się w gniew, chyba że wcześniej zdołam im uciec.

— Zrobiłbyś to, brachu? Czmychnął?

Z powagą pokiwał głową.

— Tak. I zrobię, jeśli tylko zdołam. Obiecałem Hari Mau, że polecę z nim do ich miasta i będę ich sędził najlepiej jak umiem, choć umiem niewiele. Nie obiecywałem jednak, że zostanę tam na zawsze. Postaram się dotrzymać słowa, ale kiedy uznam, że zrobiłem, co mogłem, wrócę do domu. Raz już okrążyłem Błękit do połowy; stamtąd nie będę miał dalej do domu niż wtedy miałem.

— Trzeba ci starego Świni, brachu, jak nic.

Kolejne westchnienie.

— Na pewno będzie mi cię brakowało, ale cię nie wezmę. Po pierwsze, Hari Mau i jego kompani szybko mnie znajdą — jeśli nie dziś, to najdalej jutro. Przypomną mi wtedy o obietnicy i będą się upierali, żebyśmy natychmiast ruszyli w drogę. A ty musisz jeszcze przez kilka miesięcy przebywać pod dobrą opieką. Ciało może odrzucić nowe oko. Można temu zaradzić, ale nie jest to łatwe i potrzeba do tego wykwalifikowanych lekarzy. Po drugie, byłbyś tam więźniem w jeszcze większym

stopniu niż ja, a na pewno znalazłbyś się w większym niebezpieczeństwie, bo złość wszystkich, którzy czuliby się przeze mnie pokrzywdzeni, skierowałaby się przeciwko tobie. Mówiłem, że czeka cię wielomiesięczne leczenie, bo tak mi powiedział twój chirurg i to samo powtórzyli mi tutaj, w ambulatorium. Gdybyś ze mną poleciał, mógłbyś tych miesięcy nie przeżyć.

Wyraz twarzy Świni uległ zmianie.

— A po trzeciej, Rogu?

— Patere!

Oreb zagwizdał piskliwie.

— Stanowiłbym dla ciebie zagrożenie — powiedział Świnia.

— Siła i mężne serce to ryzykowne atuty w walce, która jest z góry przegrana.

— To prawda. — Otarł oczy.

Odsłonięta, lekko zmieniona twarz wciąż była twarzą Świni, ale z jej ust płynął dobrze znany głos Jedwabia:

— Mimo to chętnie byś mnie wziął ze sobą, gdybyś tylko mógł.

— Tak. O tak, wziąłbym! Gdybyśmy wrócili do Nowego Vironu, albo gdybyś chociaż ty sam tam dotarł, moja misja zakończyłaby się sukcesem.

— Nie chcesz zawieść. — Dłoń Świni zacisnęła się na jego rękę.

— Oddałbym życie, żeby nie zawieść — powiedział z przekonaniem.

— Już to zrobiłeś.

— Musisz leżeć tutaj, na fotelu antyprzeciążeniowym. — Hari Mau pochylił się nad nim. — Przypięty. Przepraszam cię, ale to konieczne.

— Wiem, już tak leciałem. Martwię się o Oreba.

Hari Mau uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Schowany pod twoim ramieniem będzie zupełnie bezpieczny. Im ktoś lżejszy, tym mniej dokuczliwe jest przeciążenie. A Oreb wiele nie waży. — Szeroka sprzączka zamknęła się z trzaskiem, przyciskając azoth do spiętych mięśni. — O siebie się nie boisz, rajanie Jedwabiu?

Skoro tak chcieli go nazywać, wolna wola. Nie chcąc gapić się natrętnie na Hari Mau, przeniósł wzrok na tkaną matę, która zastąpiła... co zastąpiła? Próbował sobie przypomnieć wewnątrz ładownika, którym leciał z Błękitu na Zieleń, ale najlepiej zapamiętał długie rzędy topornych brązowych foteli, zagracony kam — buz, który karmił ich kiepsko i skąpo, strzały, krzyki i wygiętą stalową rękojeść noża Ściągną, sterczącą z pleców mężczyzny, którego imię wyleciało mu z pamięci.

— O siebie się nie boisz? — pomorzył Hari Mau.

— Czy boję się śmierci? Nie. W pewnym sensie przyniosłaby mi ulgę, złagodziła poczucie klęski. Mogę ci coś powiedzieć w zaufaniu?

— Ależ oczywiście! Jestem twoim przyjacielem.

— Boję się okazać strach. Obawiam się, że będę krzyczał, kiedy... rozlegnie się huk i nastąpi pchnięcie.

Hari Mau podał mu kłębki waty, które z wdzięcznością utkał sobie w uszach.

— Wtul głowę pod skrzydło, Orebie. Tak jakbyś spał. W ten sposób przytłumisz hałas.

— Nie słyszy?

— Właśnie — przytaknął stanowczo. — Nie słyszy.

Z zadowoleniem patrzył, jak Oreb chowa łebek pod skrzydło.

Chciał dostać miejsce blisko innych, może obok Hari Mau, ale ten przeniósł go dalej, bliżej dzioba i tego dziwnego miejsca, z którego Jedwab podziwiał gwiazdy, choć wcale jeszcze nie opuścił whorla. Hari siedział...

Wykręcił szyję, próbując spojrzeć w tył. Jakieś dwa, trzy rzędy dalej. Tak, co najmniej trzy. Może nawet cztery. Dobrze przynajmniej, że na pokładzie lądownika nie było takiego tłoku jak w tym, którym z Pokrzywą lecieli na Błękit.

Co się z nią teraz działo? Próbował sobie wyobrazić, gdzie jest i co robi, ale odkrył, że przed oczami staje mu wciąż dużo młodsza Pokrzywa, zajęta wypożyczaniem składanych stołeczków. Nie mogę się skupić, pomyślał, czując pierwsze drżenie przeszywające lądownik. Nic dziwnego — w takich okolicznościach...

Mata spleciona z łądyg jakiejś tropikalnej rośliny. W Gaonie będzie ciepło. Wzdrygnął się.

Ktoś rozpruł ściany, żeby wyrwać z nich drut. Jeśli Hari Mau i reszta mieli szczęście, złodziej zostawił porozrzucane kawałki izolacji; można było utkać je z powrotem na miejsce i przycisnąć matą. Jeżeli zaś szczęście im nie dopisało, ocieplenie zniknęło bezpowrotnie i zostało zastąpione innym materiałem, na przykład brudną, skudloną sierścią bydłą albo czymś w tym guście.

Nie, w Gaonie nie jedzą wołowiny. Tak mu powiedział Hari Mau. Krowy czczono jako poświęcone bogini matce, Echidnie Żywicielce. Tak jak węże. No, z wężami to było akurat zrozumiałe — przecież w pewnym sensie podobnie rzecz się miała w Vironie. Ale żeby krowy? Chociaż, jak się nad tym zastanowić, krowy kojarzono z Echidną i Pahem. Deszcz był od

Paha, trawa od Echidny, jak mawiano. Deszcz: owoc spółkowania bogów.

Hari Mau mówił, że w Gaonie składają krowy Echidnie w ofierze, ale ich nie zjadają: zwierzę w całości spalano na ołtarzu. Swoją drogą nieźle świadczyło to zarówno o rozmiarach tamtejszych ołtarzy, jak i o zasobach drewna.

W szkłe po prawej stronie pojawiła się twarz monitora — prawie ludzka, choć trochę rozmyta w okolicy ust.

— Za trzydzieści sekund wystartujemy w kierunku planety nazywanej Błękitem. Twój fotel został zabezpieczony.

— Tak — przytaknął niepotrzebnie. — Tak mi się wydaje.

Chciał zapytać, czy dotrą na miejsce i bezpiecznie wylądują, lecz tego nie zrobił.

— Jeżeli cierpisz na chorobę serca, lepiej będzie, jeśli zostaniesz we „Whorlu” — przypomniał monitor.

— Jestem zdrowy Rozległ się potworny ryk, ogłuszający mimo waty w uszach. Lądownik zadrżał z animuszem, jakiego jego budowniczkowie na pewno nie przewidzieli.

— Wszystko w porządku?

— Sprawdzam nasze możliwości, patere Jedwabiu.

Był wściekły, że zwykła maszyna też się myli — i mniej rozzłoszczony, kiedy Oreb, który wyjął łebek spod skrzydła i słucał, dodał:

— Jedwab dobry!

— Nie jestem Jedwabiem — powiedział monitorowi. — Masz błędne informacje.

— Twoje imię figuruje na liście pasażerów, patere Jedwabiu.

— Podał je Hari Mau, oczywiście. — Nie umiał ukryć goryczy w głosie.

— Najpierw oddzielimy się od „Whorla” — mówił monitor. Inne, w głębi pomieszczenia, powtarzały jego słowa. — Osiągnąwszy odpowiednią wysokość, odpalę silniki. Kiedy umilkną, będziesz mógł swobodnie poruszać się po pokładzie lądownika, Hari Mau. Możesz mieć mdłości. Rura gospodarcza pomoże ci zaprowadzić porządek w twoim otoczeniu.

Uświadomił sobie, że minęły blisko dwie minuty od chwili, gdy monitor zapowiedział start za trzydzieści sekund. Sięgnął po rurę gospodarczą i stwierdził, że jej nie ma.

— Uaktywni się, kiedy będzie potrzebna. Jesteś odpowiedzialny za porządek w swoim otoczeniu, Hari Mau.

To pewnie przez to, że uparłem się, by nie nazywać mnie Jedwabiem, pomyślał.

— Nie mam rury gospodarczej — powiedział. — Ale nie zwymiotuję. Latałem już lądownikami. Nawet tym, przyleciałem nim do „Whorla”. Nigdy nie miałem mdłości.

— Nie mdłości — potwierdził Oreb.

— Najpierw oddzielimy się od „Whorla”, patere Jedwabiu. — Rozmycie wokół ust rozprzestrzeniło się po całej twarzy monitora niczym rak. Dolna połowa obrazu przesunęła się w lewo, po czym z gwałtownym szarpnięciem wróciła na swoje miejsce. — Osiągnąwszy wysoki odpowiednik, odpal silniki. Będziesz swobodnie. Rura gospodarza pomoże w okolicy.

Szara twarz zamigotała i zniknęła.

To była uwertura śmierci. Lądownik został zbyt poważnie uszkodzony, żeby normalnie funkcjonować. Dostali się nim wprawdzie na biegun, ale nie było mowy, żeby przetrwał lot na Błękit. Ekspłoduje w chwili odpalenia silników raketowych, roztrzaska się przy lądowaniu albo po prostu będzie unosił się

bez końca w przestrzeni, a oni, głodując, będą co najwyżej mogli spodziewać się odwiedzin inhumich.

— Wróciłem tu. Udało mi się. Wróciłem do Vironu i szukałem Jedwabia.

Dotarło do niego, że mówi na głos. Zacisnął zęby.

— Jedwab dobry!

— Schowaj głowę, bo ogłuchniesz. Zresztą i tak możesz ogłuchnąć.

Oreb posłusznie wetknął zwieńczony szkarłatnym czubkiem łebek pod czarne jak aksamit skrzydło.

— Nie leci — wyszeptał. — Zostanie.

Czas spędzony z generał Miętą i Jedwabiem w pałacu calde był najszczęśliwszym okresem w jego życiu. Jakże niewiele było tych godzin! Jak bardzo niewiele. W pałacu Jedwabia i na łodzi, z Algą.

— Byłem szczęśliwy dwa razy — powiedział, zwracając się do ptaka, tak jednak cicho, że sam ledwie się słyszał. Przed oczami przepłynął mu szylkretowy grzebień. — A większość ludzi nigdy nie zaznaje szczęścia.

Zwymiotował, gwałtownie i obficie.

Siedział w najniższej dawniej części lądownika i miał wrażenie, że jest zawieszony pod niebem. Po lewej płonęło krótkie słońce, miłosiernie przesłonięte przyciemnioną kopułą, po prawej skrzyły się gwiazdy, a pod jego stopami leżał Błękit jak porzucona zabawka. Dom.

Hari Mau przyszedł, usiadł na sąsiednim fotelu i przypiął się pasami.

— Nikt nie powinien oglądać tego widoku więcej niż raz, ale ja nigdy nie mam dość. To jak z kobietami.

— Tak. — Uśmiechnął się. — Podobnie.

— Moi przyjaciele nie chcą patrzeć. Mota i Roti? Ci dwaj? Weszli tu na chwilę, która wystarczyłaby, żeby zjeść banana, i mieli dość. A ja nie mogę się napatrzeć.

Oreb najwidoczniej uznał, że już dostatecznie długo nie brał udziału w rozmowie.

— Nie je — oznajmił.

— Nie — powiedział jego pan. — Gwiazd nie można zjeść, co najwyżej oczami. Ja...

— Tak, rajanie? — Hari Mau dotknął jego szyi, jakby sprawdzał temperaturę albo puls.

— Zdałem sobie sprawę, że „Whorl” nie jest już moim domem. Dorastałem w nim, Hari Mau. Kiedy zamieszkaliśmy z Pokrzywą w naszej chacie na Jaszczurce, nadal nazywaliśmy „Whorl” domem. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że będzie można tam wrócić. A teraz? Wróciłem. Gdybym ja tego nie zrobił, może ona by poleciała.

Kusiło go, żeby powiedzieć, że Pokrzywie może udałoby się odszukać Jedwabia, ale wiedział, że tylko niepotrzebnie rozżłości Hari Mau.

— Nie byłeś szczęśliwy, kiedy wróciłeś, rajanie?

— Z początku byłem. Potem czasami też. — Westchnął. — Na pewno tak właśnie bym powiedział, gdybyś mnie wtedy o to zapytał.

— Czyli nie byłeś?

— Powinienem chyba powiedzieć, że to, czego doświadczyłem, znalazłszy się we „Whorlu”, potem w pobliżu Vironu, a na koniec także w samym mieście, nie było prawdziwym szczęściem, lecz zaledwie jego zapowiedzią.

— Byłem szczęśliwy, kiedy tam wszystko się ułożyło. — Hari Mau wskazał kciukiem przez ramię za siebie. — A ja mogłem

przyjść tutaj. Tu jestem szczęśliwy. Zresztą przyglądanie się szczęściu, nawet z daleka, nie jest takie złe, rajanie.

— Nie, nie jest — zgodził się. — Nie szczęścia zresztą powinniśmy szukać w życiu. Chociażby dlatego, że znajdują je tylko ci, którzy szukają czegoś innego.

— Pracy? Wojny?

— Czasami. Także spokoju albo domu. Nie chcę przez to powiedzieć, że gdziekolwiek się mieszka, jest dobrze. Czasem ludzie przez całe życie próbują znaleźć prawdziwy dom, udaje im się dopiero tuż przed śmiercią i są szczęśliwi. Niektórzy, tak jak ja, znajdują dom znacznie wcześniej, ale nie są szczęśliwi, bo o tym nie wiedzą. Kiedy do mnie przyszedłeś, chciałem ci powiedzieć, że człowiek, który nigdy nie widział gwiazd, nie może być naprawdę szczęśliwy.

— Jest w tym sporo prawdy.

— A potem zdałem sobie sprawę, że są miliony takich ludzi jak Ogar...

— Ogar dobry! — wyjaśnił Oreb.

— Tak, bez wątpienia. Ogar jest człowiekiem uczciwym i cichym. I pracowitym. Oboje z żoną pragną mieć dzieci; będzie je kochał, kiedy się pojawią. Ale mieszka we wnętrzu „Whorla”, nigdy nie widział gwiazd i najprawdopodobniej nigdy ich nie zobaczy, chociaż właśnie tacy jak on dosięgną ich w naszym imieniu.

— Nie rozumiem, rajanie.

— Po zakończeniu napraw „Whorl” odleci z układu krótkiego słońca. — Wskazał słońce wiszące na niebie. — Dziwne, że nie dowiedziałeś się o tym, kiedy byliśmy na biegunie. Kiedy skończyliśmy rozmawiać o Świni, była to jedna z pierwszych informacji, jakich mi udzielili.

— A, o tym mówisz. — Hari Mau wzruszył ramionami.

— Tak. Może im to zająć dwadzieścia lat, może pięćdziesiąt, a może i kilkaset. Muszą się jeszcze wiele nauczyć, ale mają niezbędne surowce i dostatecznie dużo siły roboczej. Poradzą sobie z nadmiarem ciepła, spadnie deszcz, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają, jezioro Limna znów stanie się słodkie, inne jeziora również. Strumienie, które wyschły sto lat temu, znów popłyną, kryształowo czyste, jak w dniu, gdy palec Paha wytyczał ich łożyska.

— Być może. Ale my tego nie zobaczymy, rajanie.

— Nie. My będziemy tylko patrzeć, jak punkcik światła na niebie rozjarza się, a potem stopniowo przygasa, aż w końcu gaśnie zupełnie.

— Będiesz szczęśliwy w Gaonie, rajanie.

Oreb zacmokał z troską.

— Nie wątpię. Na pewno się postaram. A ty, Hari Mau? Czy ty też będziesz szczęśliwy?

— Najszczęśliwszy, rajanie. — W głosie Hari Mau nie było cienia wątpliwości. — Będę tym, który cię znalazł i sprowadził. Zostaniesz naszym najznamienitszym obywatelem, a ja będę twoją prawą ręką. Będziemy podziwiani i szanowani, a mieszkańcy Gaonu będą się cieszyć pokojem i sprawiedliwością. To nie byle co, być numerem dwa w takim mieście.

— Masz rację. Kto wie, czy to nie lepsze niż bycie numerem jeden.

Hari Mau się roześmiał. To był ciepły, radosny śmiech.

— Nie mówiłbyś tak, rajanie, gdybyś widział dom, który dla ciebie budujemy. Prace przy nim zaczęły się, jeszcze za nim odlecieliśmy; powinien być już gotowy. Mieszkamy w Gaonie

dopiero czternaście lat, mówiłem ci o tym? — Policzył na palcach. — Piętnaście. Następny rok się skończył, kiedy szukaliśmy cię w tym obcym mieście.

— W Vironie?

— Tak. Znaleźliśmy cię już po jedenastu dniach. Prawda, że szczęście nam sprzyjało, rajanie?

— No nie wiem... — Człowiek nazwany rajanem zdziwił się lekko.

— Ależ tak. Czy to nie szczęście, znaleźć cię wśród tysięcy ludzi? Echidna była nam łaskawa.

Oreb przekrzywił łebek.

— Fart?

— Z pewnością nie, Orebie. Nie w takim sensie, jak zwykle się go rozumie. — Spojrzał na siedzącego obok śniadego herosa. — Przede wszystkim trudno mówić o szczęściu, kiedy znaleźliście niewłaściwego człowieka. Wiem, że bierzesz mnie za Jedwabia; nie ty jeden. Nie zmienia to jednak faktu, że nim nie jestem. Przestałem temu zaprzeczać w obecności twoich towarzyszy, ale wiem, kim jestem.

Hari Mau chciał zaprotestować, lecz został uciszony gestem.

— Poza tym ktoś starannie zaplanował znalezienie mnie i wywiezienie z miasta. Podejrzewam, że calde Bizon maczał w tym palce, a jestem praktycznie pewien, że Jego Mądrość prolokutor miał w tym swój udział.

— Jesteś pewien, rajanie? Bo jeśli tak, Gaon wiele im zawdzięcza.

— Nie. Nic im nie zawdzięczacie, bo nie robili tego z myślą o waszej korzyści. Chcieli się mnie pozbyć, a ponieważ są ludźmi przyzwoitymi, ucieszyli się, że mogą osiągnąć zamierzony cel, nie uciekając się do morderstwa. Trzeba ci wiedzieć, że

podobnie jak ty wzięli mnie za Jedwabia — a jako Jedwab byłem kłopotliwy, bo zagrażałem ich władzy. Domyślałem się, że to calde Bizon przysłał kupca, który w odpowiednim momencie zaproponował mojemu przyjacielowi Ogarowi zakup świec po okazyjnej cenie.

— Rajanie... ?

Westchnął.

— Mam nadzieję, że pociągnęli tę grę do końca i Ogar kupił świece, które następnie zawiózł żonie i teściowej do Zaścianka. O co chodzi?

— O świątynię. Po całym mieście rozesłano heroldów, którzy rozgłaszali, że złożysz w świątyni ofiarę z wielu zwierząt. Na pewno byli z ciebie dumni.

— Tak? Nie słyszałem o heroldach. Pewnie rozmawiałem wte — dy z Jego Mądrością i generał Miętą. W takim razie udział calde Bizona...

— Zły człowiek!

— ... nie ulega wątpliwości. Kapituła nie ma swoich heroldów, ma ich natomiast gwardia calde. Nie, Orebie, nie jest złym człowiekiem. To właśnie próbowałem ci dać do zrozumienia. Zły człowiek kazałby mnie zabić. Radca Wari z rozkoszą by to zaaranżował, a potem zaśmiewałby się do rozpuku.

— Gdyby chcieli się ciebie pozbyć, rajanie, po co gościliby cię z takimi honorami?

— Chociażby po to, żeby po moim zniknięciu nikt nie miał do nich pretensji. — Roześmiał się dziecinnym, szczerym śmiechem. — Planujemy i knujemy usilnie, a koniec końców i tak wypełniamy wolę Zewnętrznego, Hari Mau. Uważamy się za mądrych. Jeszcze jak! Ale w końcu zrozumiałem. Mówiłem ci?

— Nie, rajanie. — Hari Mau złożył dłonie i skłonił się lekko, nie wstając z fotela. — Chętnie posłucham.

— Zabrali mi Ogara. Może nie on sam, tylko Bizon, niewykluczone, że z pomocą żony, chociaż ja osobiście w to wątpię. Zostawili Świnie, bo myśleli, że z nim sobie łatwo poradzicie. Był niewidomy i nie mógł mnie bronić.

— Nie mógł, rajanie.

— Nie potrzebowałem ochrony. Chciałem tylko przywrócić mu wzrok i wiedziałem, że skoro lotnicy twierdzą, iż można to zrobić na biegunie zachodnim, to tak właśnie jest. Mało kto ma okazję z nimi rozmawiać, ale ja kiedyś znałem jednego lotnika. Należą do załogi i wiedzą znacznie więcej niż my. — Zachichotał. — Patere Gulo przyszedł do „Gronostaja” mnie ostrzec. O tym na pewno ci nie mówiłem.

Hari Mau pokręcił głową.

— No właśnie. Dawno temu patere Gulo był moim akolitą. Nie, przepraszam, był akolitą Jedwabia. Nie wiem, jak mogłem się tak pomylić.

— Wybaczcie ci tej omyłki przychodzi mi z łatwością, rajanie.

— Dawniej był akolitą Jedwabia, dziś zaś jest koadiutorem. W swojej naiwności myślałem, że to Jego Mądrość go przysłał.

Zdziwiłem się nawet, że urzędnik tak wysokiej rangi pełni rolę chłopca na posyłki. Przecież Jego Mądrość mógł z listem przysłać gońca albo protonotariusza. Prawda zaś była taka, że Gulo przyszedł do mnie z własnej woli. Swoją wysoką pozycję zawdzięczał dawnej znajomości z Jedwabiem. Kiedy Jego Mądrość dowiedział się o wizycie Gulo w „Gronostaju”, a dowiedział się na pewno bardzo szybko, dopilnował, żeby się nie powtórzyła, i przypisał sobie jej zorganizowanie. Posunął

się nawet do tego, że — podobnie jak Bizon — ostrzegł mnie przed tobą i gańczy — kami. Oczywiście żaden z nich nie zrobił nic, aby uniemożliwić wam uprowadzenie mnie. Miałeś kłopot ze znalezieniem mnie w zakrystii, Hari Mau?

— Jeden z waszych kapłanów wyjaśnił nam, gdzie cię szukać, i wskazał drogę, gdy powiedzieliśmy, że chcemy z tobą porozmawiać. Mimo to, rajanie, gdybyś zobaczył swój nowy dom, nie twierdziłbyś, że cię skrzywdzono. Będzie największy w całym Gaonie: dom, ogród, fontanna — wszystko przepiękne. Twoje żony wybiorą sprzęty.

— Moje żony?! — Wytrzeszczył oczy.

— Kiedy odlatywaliśmy, były dopiero cztery, ale za to najładniejsze w mieście. Zasugerowaliśmy mieszkańcom innych miast, żeby przysyłali nam swoje córki. Większość się zgodzi, tak uważa rajya mantri, a on zna się na rzeczy. A poza tym czemu mieliby...

— Musicie je odesłać z powrotem!

— Dzieweczki nie? — mruknął rozespany Oreb.

— Nie. Żadnych dziewczeczek. Po pierwsze, Hari Mau, ja już mam żonę. Po drugie, w życiu nie widziałem tych kobiet na oczy. Ani one mnie.

— Zhańbisz je, rajanie. Nikt nie zechce odrzuconej żony. Poza tym ktoś musi ci sprzątać i gotować.

Przypomniał sobie tę rozmowę, siedząc w małej jednokonnej tondze. Sądząc po tym, jak biegnący przed nim mężczyźni (niezłych tu mieli biegaczy) wymachiwali rękami, to musiał być ten dom: dwupiętrowy, tynkowany, ozdobiony wieżyczkami i oknami o niezwykłym kształcie, stał za niskim, bielonym murem. Siwobrody mężczyzna z olbrzymim czerwonym

zawojem na głowie, kłaniający się nisko, gdy tylko padł na niego wzrok rajana, musiał być rajją mantri.

Zasłonka w jednym z okien na piętrze drgnęła lekko, na sekundę odsłaniając dwie urocze, roześmiane buzie o zalęknionych oczach, po czym opadła na miejsce.

Ostatni raz

Juganu i Scylla chcieli jak najszybciej wrócić do whorla czerwonego słońca, ojciec jednak stwierdził, że nie ma sensu przenosić się tam, dopóki jesteśmy na jachcie, bo najprawdopodobniej wylądowalibyśmy znów na łodzi, a nie o to nam chodziło. Chcieliśmy najpierw znaleźć miły, spokojny dom, w którym nic nie będzie zagrażało naszym ciałom, kiedy się przeniesiemy. To zaś oznaczało, że musimy wrócić do Nowego Vironu, co przy przeciwnych wiatrach i częstej flaucie zajęło nam trzy dni. Juganu nie był zachwycony, ale nie miał nic do powiedzenia.

Myślałem, że pójdziemy do stryja Zamsza, ale ojciec wybrał inne miejsce — solidny, duży dom należący do niejakiej Papryki. Wcześniej miała już okazję poznać Skórę i do końca brała mnie za niego. Ale poza tym była miłą starszą panią.

Ojciec wyjaśnił jej, czego nam trzeba, na co odparła, że ma dla nas doskonałe lokum: pokój gościnny z jednym oknem i dwoma łózkami. Obejrzeliśmy ten pokój. Okno było duże, ale zakratowane. Papryka nie nazwała tych prętów kratami, ale tym właśnie były, chociaż powykrzywiano je artystycznie, aby układały się w wizerunek kwiatu pośrodku okna. Chwyciłem je i próbowałem wyrwać. Nawet nie drgnęły.

Papryka sobie poszła, a my zamknęliśmy drzwi na zasuwę i położyliśmy się: ja z ojcem na jednym łóżku, Juganu na drugim. Długo gapiłem się w sufit i nic się nie działo. Było koło drugiej, słońce świeciło mocno, w pokoju było bardzo jasno. Sufit oglądałem z zainteresowaniem, ponieważ ktoś wymalował na nim widziany z góry ogród. Była w nim fontanna, w której odbijała się Zieleń, duże białe kwiaty, które kwitną nocą, i nawet nietoperz. Ale po jakimś czasie mi się znudziło. Ojcu chyba też, bo zapytał:

— O czy myślisz, Juganu? Nie wiem jak, ale mi się opierasz.

Juganu zaprzeczył i przez chwilę o tym dyskutowali. Ptak też zaczął gadać — czasem mówił coś sam z siebie, czasem przemawiała przez niego Scylla. Nie podobało mi się to. Ojciec chyba to zauważył, bo kazał mu siedzieć cicho, a potem powiedział Juganu, żeby zajął moje miejsce, a mnie odesłał do jego łóżka. To też mi się nie podobało, bo bałem się o ojca, ale posłuchałem.

Zaczął opowiadać Juganu o miejscu, do którego się udawaliśmy. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby tak mówił — ani on, ani w ogóle nikt inny. Napiszę wszystko, co zapamiętałem, ale wątpię, żebyście dzięki temu usłyszeli jego słowa, tak jak ja je słyszałem, leżąc na plecach, gapiąc się na nietoperza, podczas gdy pokój pogrążał się w półmroku.

— Wyobraź sobie whorl tak stary, że nawet pory roku się w nim zużyły — mówił ojciec. — Whorl, który dawniej porastały dżungle, tak jak Zieleń, gąszcz szerokolistnych roślin, olbrzymich drzew i wielu kwiatów. Teraz jest na to za zimny; mówiąc „teraz”, mam na myśli ostatnie pięćset lat. Słońce jest czerwone. Podczas rozjaśnienia zawsze jest zimno; nawet kiedy słońce stoi w zenicie, nadal jest chłodnawo. Przez całą dobę

widać gwiazdy, chyba że chmury je zasłonią. Wyobraź sobie whorl, w którym żebracy zabijają bezdomne psy, żeby zedrzeć z nich skórę i zrobić z niej futro.

Mówił tak i mówił, aż w końcu zapytał:

— Co widzisz, Juganu? Dokąd ulatują twoje myśli? Odpowiedz szczerze.

— Myślałem o whorlu, który opisywałeś. O whorlu, który odwiedziliśmy, i o łodzi skrzydlatej kobiety.

— O czym jeszcze?

— O tym, że będę tam człowiekiem takim jak ty, a nawet lepszym, rajanie, bo będę młodszy i silniejszy, młody i silny jak twój syn, i nie będę musiał pić jego krwi, żeby mieć siłę. Wiesz, jak się rozmnażamy, rajanie? My, Ludzie?

— Wiem, że wykluwacie się z jaj w nagrzanej słońcem wodzie. Nic ponad to.

— Nie człowiek — zakrakał ptak. — Ludzie? Nigdy! Nie „Whorl”. — Wtedy poznałem, że to Scylla. — Nie tam! Dobrze! Złe rzeczy!

Juganu usiadł na łóżku.

— Byliśmy tam! Przenieśli nas! Jesteśmy wszędzie!

Ojciec kazał mu się położyć i poradził Scylli, żeby była cicho, jeśli chce zrobić to, co Większa Scylla jej kazała. Później już się prawie nie odzywała. Może nawet wcale.

— Jak się rozmnażacie, Juganu? Jeśli to nie jest zbyt osobiste pytanie, chętnie się dowiem.

— Mężczyzna, kierując się przyzwoitością, buduje dom — zaczął Juganu starczym, drżącym głosem. — Wybiera dogodne miejsce, dyskretne, gdzie słońce, które nazywacie krótkim słońcem, pieści wodę. Buduje chatę ze splecionych zielonych gałązek. Takie wyplatanie jest dla nas trudne, ale jakoś sobie z

tym radzimy. Zresztą jeśli mężczyzna pragnie potomstwa, po prostu musi to zrobić.

— Tak jest na Zieleni — powiedział ojciec.

— Tylko na Zieleni. Wody waszego whorla są dla nas za zimne i nie ma w nich odpowiedniego życia. A bez niego dzieci umrą z głodu. Buduje chatę, ozdabia ją kwiatami i oddala się na cały dzień. Kiedy wraca, kwiaty są zwiędłe, a chata pusta — może tak być. Zbiera kwiaty, wynosi je gdzieś daleko i wyrzuca do wody, a rano zbiera świeże, więcej niż poprzednio, znów przybiera nimi dom i znów znika. Wraca wieczorem. Zebrane rano kwiaty zdążyły zwiędnąć, liście na zielonych gałązkach, z który utkał ściany domu, są obwisłe i pożółkłe. Niszczy chatę, zabiera gałęzie daleko od tego miejsca i wyrzuca je do wody.

Rano zaczyna budować nowy dom, wyższy, dłuższy i bardziej przemyślnie utkany niż poprzedni. Budowa trwa cały dzień. Następnego dnia ozdabia go kwiatami od zewnątrz i w środku, i znów odchodzi.

Ja miałem już dość i byłem gotowy do przejścia, ale ojciec leżał cicho i słuchał z uwagą. Ich łóżko stało nie dalej niż dwa łokcie od mojego, ojciec leżał z brzegu, bliżej mnie, więc jak odwróciłem głowę, wyraźnie widziałem jego twarz. Miał taką minę, jakby słuchał czegoś bardzo ważnego.

— Tym razem zjawiała się kobieta — ciągnął Juganu. — Przyszła i leży w chacie. Skąd on o tym wie? Poznaje po tysiącu znaków, i zarazem po żadnym konkretnym. Może jakaś roślinka, którą oszczędził przez wzgląd na jej niezwykłą urodę, została zdeptana. A może kobieta wzięła sobie do ozdoby jeden z kwiatów, którymi przystroił chatę. Ale on wie. Zmienia wtedy postać, staje się mężczyzną młodym i silnym. W...

— Nie możecie się tak zmieniać — wtrąciłem. Ojciec spioruno — wał mnie wzrokiem.

— Ona przybrała kształty kobiety, o jakiej młodzi mężczyźni wprost marzą. Opowiadałeś mi o Jahlee, swojej córce, mówiłeś, że była piękna. Twój syn też mi o niej mówił. I tak właśnie widzi mężczyzna kobietę w półmroku chaty, którą dla niej wybudował i przystroił. Widzisz, to wszystko są obietnice, jakie składają sobie nawzajem. Obietnice związane z dziećmi, które spłodzą. Ty, rajanie, na pewno rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Twój syn mnie nie zrozumie, ale i nie musi.

— Tak, rozumiem cię — przytaknął ojciec. — Mów dalej, proszę.

— Kochają się w tej chacie jak mężczyzna z kobietą. Uprawiają pewną grę. Pewnie domyślasz się jaką, rajanie.

— Powie ptak — odezwał się ptak ojca.

— On jest dla niej ludzkim mężczyzną, ona dla niego ludzką kobietą. On jej mówi, że przybył na Zieleń na pokładzie ładow — nika, tak jak to robią ludzcy mężczyźni, ona zaś odpowiada, że uciekła z domu ojca i przypadkiem znalazła tę prześliczną chatę. I wcale nie kłamią.

Chciałem zaprotestować, ale ojciec mnie uprzedził:

— Zgadza się z tobą. To przedstawienie.

— No właśnie. Są w nim zarówno aktorami, jak i publicznością. Byłem kiedyś aktorem, rajanie.

— Rozumiem.

— Trwa to całą noc, a rano, kiedy gorący pocałunek słońca muska wodę, mówią sobie: „Musimy się wykąpać po tej miłosnej nocy”. Pływają razem, ona wypuszcza do wody swoje jajeczka, on plemniki i jest po wszystkim.

Potem długo milczeli. Ptak czasem się odzywał, ale nie był Scyllą, więc gadał bez sensu. W końcu przypomniałem:

— Ojciec cię pytał, Juganu, o czym takim myślisz, że utrudniasz nam podróż.

Ojciec próbował mnie uciszyć, ale ja nalegałem:

— Chyba powinien odpowiedzieć, nie uważasz? Chcesz go zabrać do miejsca, w którym będzie prawdziwym człowiekiem. Ja myślę, że zasługujesz na wyjaśnienie.

— Już to wyjaśnił — odparł ojciec, a ja zaniemówiłem.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim ojciec znów się odezwał, ale na pewno sporo. Chyba zastanawiał się, co powiedzieć. Mówił tak cicho, że ledwie go słyszałem. — Wkrótce nastanie wieczór. Jeżeli do tego czasu nie uda nam się wyruszyć, wyjdziemy na dach domu. Pokażę wam, gdzie patrzeć, a wy wytężycie wzrok i będziecie wypatrywać pewnej bladej, odległej, czerwonej gwiazdy. Wyobraźcie ją sobie teraz. Pomyślcie o niebie, ciemnym jak grób wyłożony czarnym aksamitem, na którym ktoś rozsypał maleńkie diamenty, i o maleńkiej kropelce krwi wśród tych diamentów. Wokół tej gwiazdy krąży whorl, bardzo stary. W tym whorlu, Juganu, znajduje się wiekowe miasto, które widziałeś. Płynie przez nie rzeka. Woda w niej jest brudna, cuchnąca i zdaje się stać nieruchomo. Znasz tę rzekę, żeglowałeś po niej. Żyją w niej kobiety, które wpływają w nią z morza. Nie mówię o podobiznach morskiej bogini, lecz o prawdziwych kobietach. Niektóre są wysokie jak wieże, inne nie większe od dzieci. Mają zielone włosy, które unoszą się za nimi na falach, czarne sutki, a oczy, wargi i paznokcie czerwone jak krew. Wilgotne i poczerwiałe od wody stopnie prowadzą znad rzeki na ulicę walących się kamienic. Prawie we wszystkich pokojach

mieszkają tam kobiety gotowe sprzedać swoje ciało za okrągły kawałek metalu ze stemplem. Niektóre z nich są piękne, inne zaś wcale niepiękne, ale w niezwykle atrakcyjny sposób.

Mówił dalej w tym stylu, ale nie wszystko pamiętam i nie będę tu wszystkiego zapisywał. Potem powiedział:

— Kiedy wejdiesz wyżej tymi ulicami, napotkasz żelazną bramę nekropolii. Udamy się właśnie tam, do nekropolii, do pogrążonego w ciszy miasta umarłych. Najpierw jednak musimy odwiedzić znajdujący się w mieście lądownik, w którym oprawcy trudnią się swoim fachem. Kaci są mężczyznami, wśród więźniów mają jednak piękne kobiety, przerażone i bezbronne, zamknięte w lochach i wdzięczne — te, które nie postradały zmysłów — każdemu, kto się z nimi zaprzyjaźni. Wiele z nich to dawne konkubiny calde miasta; te są najpiękniejsze z pięknych. Codziennie stroją się i perfumują, sposobiąc się na przyjęcie wyśnionego wybawcy, którego większość z nich nie doczeka. Marzą o wysokim i pięknym mężczyźnie, po tysiącokroć wyobrażają sobie pocałunki, którymi go obsypią... pieszczoty, którymi go zniewolą...

Ojciec umilkł, a mnie się wydało, że przestał mówić dawno temu w jakimś bardzo odległym miejscu. Otworzyłem oczy i ujrzałem gwiazdy w świetle dnia, tak jakby wymalowano je na suficie zamiast białych kwiatów. Zobaczyłem jeszcze coś, co wyglądało jak rozbite okno. Usiadłem. Przez dziurę wleciał ptak ojca. Pierwszą osobą, jaką zobaczyłem, była dziewczyna, która była w ptaku. Nie umiem dokładnie opisać tego, jak wyglądała: nie była ani bardzo szczęśliwa, ani bardzo rozzłoszczona. Wyglądała jak człowiek, który nie musi się już o nic martwić i o niczym decydować, a oczy jej tak płonęły, jakby chciała mnie nimi przepalić na wylot.

Ojciec też usiadł, potem Juganu. Juganu wyglądał tak samo jak na rzecznej łodzi, a ojciec tak jak w domu Papryki, tylko młodziej. Przedtem do złudzenia przypominał naszego prawdziwego ojca (Skóra mówi, że we whorlu czerwonego słońca zawsze tak było), ale teraz nie. Był poważny i znów miał oboje oczu, które aż błyszczały. Wstał, jakby nic nie ważył. Pomógł mi wstać.

— To tu? — spytała dziewczyna, wyciągając przed siebie rękę.

Oczywiście spojrzałem tam, gdzie pokazała. Kawalek od nas znajdował się brukowany placyk. Na środku stał słup, a po drugiej stronie długi, wysoki mur, który w jednym miejscu zawalił się i została z niego sterta kamiennych bloków.

Za nim rozciągał się cmentarz tak ogromny, jakby cały whorl umarł i został tam pochowany. Widziałem nim najróżniejsze nagrobki i pomniki, posągi płaczących mężczyzn, płaczących kobiet, rzeźby — tak myślę — ludzi, którzy umarli, inne ozdoby i kolumny z różnymi rzeczami na szczycie. Wszędzie rosła trawa, krzaki i drzewa, a między nimi prowadziły wąskie białe ścieżki; później stwierdziłem, że są zrobione z kości. Cmentarz ciągnął się w dal na stoku wzgórza. Za nim majaczyły budynki, o których mówił ojciec, a jeszcze dalej płynęła rzeka.

Dziewczyna złapała go za rękę i próbowała pociągnąć do włazu pośrodku podłogi, ale on się opierał.

— To tu! — powtórzyła. — Czekać?

— Na zaciemnienie, rzecz jasna — odparł ojciec. — Myślisz, że możemy tak sobie po prostu tam pójść i włóczyć się godzinami?

Jak zwykle miał na sobie tę czarną szatę, w której nosił zaszytą kukurydzę, ale tym razem wyglądała trochę inaczej, a

kiedy na nią patrzyłem, zaczęła się jeszcze bardziej zmieniać. Przede wszystkim robiła się coraz czarniejsza. Kiedy stała się tak czarna, że już myślałem, że bardziej nie może, czerniała dalej, aż wyglądała jak to, co zostawił po sobie Azoth, kiedy ojciec włączył ostrze i odciął dziób tamtej łodzi. W końcu miało się wrażenie, że wcale jej nie ma, tylko po prostu ten kawałek oka, który na nią patrzy, jest zupełnie ślepy.

I miała kaptur z czerwoną lamówką.

Kiedy ojciec i dziewczyna się spierali, Juganu podniósł pokrywę wjazdu i powiedział, że schodzi. Obiecał, że nic o nas nie powie, jeśli go złapią. Ojciec wytłumaczył mu, że i tak nie będą mogli go uwięzić. Pomógł mu zrobić sobie taką samą czarną szatę i długi, prosty miecz, naostrzony z obu stron. Podał mu imię swojego przyjaciela i poprosił, żeby Juganu przysłał go do nas, jeśli go spotka.

Juganu wyszedł i przez długi czas nic się nie działo. Ojciec i dziewczyna rozmawiali, ale ich nie słuchałem. Oglądałem inne lądowiki, stojące dookoła naszego, patrzyłem na rzekę i na miasto. Nie będę nawet próbował opisać tego widoku, bo i tak bym nie dał rady; a wy i tak byście go sobie nie wyobrazili, choćbyście nie wiem jak się starali. Niektóre budowle były wielkie jak góry, ale w tym mieście wcale nie wydawały się ogromne, nawet nie były duże — wyglądały jak kopczyki. Ojciec opowiadał czasem o dżungli, w której mieszka Ścięgno, i o tym, jak tam jest niebezpiecznie, ale miasto wydawało mi się znacznie gorsze — całe mile kamieni i cegieł, i miliony ludzi gorszych niż najgroźniejsze zwierzęta. Gdybym tylko mógł, od razu wróciłbym do domu.

Ptak wrócił.

— Dobre miejsce! — krakał. — Dobra dziura!

Nigdy za nim nie przepadałem. Chyba się mnie bał, bo wyglądałem jak mój brat, a przecież nim nie byłem. Po tym zupełnie przestałem go lubić i wcale nie żałuję, że odleciał z ojcem.

A potem przyszedł chłopiec, jeden z czeladników. Pamiętałem, jak ojciec o nim opowiadał, i spodziewałem się, że będzie w moim wieku, ale był młodszy, chociaż całkiem wysoki. Było widać, że wyrośnie z niego kawał chłopca.

Usiedliśmy na podłodze: ojciec, dziewczyna, ten chłopak i ja. Chłopak zapytał ojca, czy dalej pisze książkę.

— Nie — odparł ojciec. — Zrzuciłem ją już na zawsze. Jeżeli moi synowie albo żona będą chcieli ją przeczytać, proszę bardzo; lecz będą ją musieli dokończyć sami, jeśli im na tym zależy. A co z twoją książką? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, mówiłeś, że chcesz się wziąć do pisania. Zacząłeś?

Chłopak roześmiał się i odpowiedział, że nie, bo czeka, aż będzie miał więcej czasu i więcej do powiedzenia. A potem powiedział coś, co bardzo dobrze zapamiętałem:

— Ale o tobie w niej nie napiszę. Nikt by nie uwierzył.

Świetnie go rozumiem. Ledwie usłyszałem te słowa, musiałem im przyklasnąć; nadal uważam, że czeladnik miał całkowitą rację. Inni będą opisywać inne wydarzenia — ślub i tak dalej; ja już prawie kończę, więc spróbuję napisać wam o ojcu, o tym, jaki mi się wtedy wydawał. Nawet jeśli mi nie uwierzycie, jeśli uznacie, że to, co piszę, nie może być prawdą, będziecie wiedzieli, że ja naprawdę tak myślałem. Zobaczycie go naszymi oczami, chociaż trochę.

Ojciec był dobry.

To jest najtrudniejsze do wyjaśnienia. Moja ciotka też próbuje to tłumaczyć. Gdybyście ją kiedyś spotkali i zaczęła

wam o nim opowiadać, o tym, jaki potrafił być przerażający, jak przedmioty same się poruszały, jak Zaginiony Lud przychodził pod jej dom i stukał do drzwi, musicie o tym pamiętać, jeśli chcecie ją zrozumieć.

Jeżeli ktoś przeraża innych, wszyscy uważają go za złego. W towarzystwie ojca człowiek praktycznie cały czas był śmiertelnie przerażony — bał się, że ojciec któregoś dnia odkryje prawdę na jego temat i coś z tym zrobi.

Nie zamierzałem pisać o tym, dlaczego nie lubiłem jego ptaka, ale napiszę, żebyście lepiej zrozumieli. To wcale nie był sympatyczny ptak. Był brudny i nie śpiewał; hałasował bez potrzeby, jadał rybie wnętrzności i gnijące mięso. Kiedy lepiej poznałem ojca (w Dziurze i później na łodzi Wijzera), zorientowałem się, że ptak jest taki sam jak ja, z tą tylko różnicą, że on był ptakiem, a ja człowiekiem. Ojciec wiedział, że jesteśmy źli, a mimo to nas kochał. Podejrzewam, że w głębi serca kochał każdego, nawet Jahlee i Juganu. Niektórych ludzi — tak jak naszą matkę — kochał bardziej niż innych, ale tak naprawdę to kochał wszystkich. Dopóki nie poznacie kogoś takiego jak on, nie zrozumiecie, jakie to może być przerażające.

Był dobry, tak jak przed chwilą napisałem. Był chyba najlepszym z żyjących ludzi, a mnie się wydaje, że kiedy ktoś jest naprawdę, ale to naprawdę dobry, reguły się zmieniają.

— Kiedyś ta dziewczyna była w waszym whorlu kimś w rodzaju księżniczki — powiedział, zwracając się do chłopca. — Nazywała się Cilinia. Słyszałeś o niej?

Chłopiec odparł, że nie słyszał.

— Zmarła wiele lat temu, bardzo wiele, przed wiekami. Szuka swojego grobu.

— Jesteście duchami. — Chłopak powiódł po nas wzrokiem. Albo nie odczuwał strachu, albo go nie okazywał, ale też się nie uśmiechał. Zresztą i tak miał twarz, która nieszczególnie nadawała się do uśmiechania. — Poprzednio powiedziałaś, że nie.

— Bo zapytałeś o duchy zmarłych. Mój syn i ja jesteśmy żywi, podobnie jak Juganu, który cię do nas skierował. Co innego ta dziewczyna, ona naprawdę nie żyje, a my musimy jej pomóc. Czy ty też nam pomożesz?

Zgodził się i pomógł. Zaprowadził nas do starej kamiennej budowli z mnóstwem trumien. Powinny leżeć na kamiennych półkach, ale większość wcale tam nie leżała, w dodatku sporo było pustych.

— Tutaj — powiedziała dziewczyna i zagłębiła się w najciemniejszy zakamarek.

Myślałem, że nie będzie tam nic ciekawego, ale kiedy ojciec przyświecił jej światłem w ręce, okazało się, że miała rację. Stała tam odepchnięta w kąt trumienka dwa razy mniejsza od innych. Pokrywały ją pajęczyny, przez co łatwo było ją przeoczyć.

Dziewczyna patrzyła na nią, aż ojciec zapytał, czy chce, żeby zgasił światło. Powiedziała, że nie, ale on i tak stulił dłoń, aż zrobiło się prawie zupełnie ciemno. W końcu stwierdziła, że to nie wystarczy i że musimy zdjąć wieko. Potrzebowaliśmy do tego specjalnego narzędzia; ojciec zrobił je i dał chłopakowi, mówiąc, że ponieważ tylko on jeden naprawdę tu jest, najlepiej będzie, jeśli właśnie on otworzy trumnę.

— To co? Ja tylko udaję, że tu jesteście? — zdziwił się chłopiec, ale ojciec cofnął się w kąt i nie odpowiedział.

(W tamtym momencie ojciec był zaledwie cieniem i plamką światła, tak jakby w ścianie była dziurka, przez którą świeciło słońce).

— Niezupełnie — powiedziałem w końcu. — Wykręć te śruby, tak jak cię ojciec prosił.

Nie wiem, czy mnie usłyszał, ale zaczął odkręcać wieko. Narzędzie, które mu dał ojciec, chyba nie było najlepsze, bo co rusz przerywał pracę i mu się przyglądał. Używał go przez chwilę, pewnie do wykręcenia jednej śruby, potem podnosił narzędzie do oczu, oglądał je, zamykał powieki, znowu oglądał... Trochę to wszystko trwało, ale w końcu wyjął ostatnią, obejrzał się na ojca i zapytał, czy ma zdjąć wieko.

Ojciec klęczał, robiąc w powietrzu jeden znak dodawania za drugim, i nie odpowiedział, za to dziewczyna powiedziała:

— Tak! Och, tak! Otwórz!

To było zabawne: wiedziałem, że chłopak ją słyszy, ale wcale jej nie widzi.

Podszedłem bliżej, żeby zajrzeć do środka. Ptak usiadł mi na ramieniu. Chyba pierwszy raz tak się ze mną spoufalił i niespecjalnie mi się to podobało. Nadal mi się nie podoba.

Okazało się, że to nie takie proste, jak myśleliśmy. Wieko się zacięło. Przykucnąłem przy nim z drugiej strony i zacząłem się z nim mocować. Chłopak widział mnie i słyszał; było widać, że dobrze się z tym czuje, a ja dowiedziałem się w ten sposób czegoś nowego o naszej obecności we whorlu czerwonego słońca: stawaliśmy się tam bardziej rzeczywiści, kiedy robiliśmy coś razem z ludźmi, którzy byli tam naprawdę. W przeciwnym razie stawaliśmy się coraz mniej prawdziwi nawet dla siebie nawzajem.

A może nawet dla samych siebie — ale tego nie jestem pewien.

Tak sobie myślę, że kiedy ojciec chciał nas przenieść z powrotem, robił tak samo: myślał o nas, nie o whorlu czerwonego słońca, a przez to, jak się zachowywał i co mówił, sprawiał, że my też zapominaliśmy o whorlu i myśleliśmy o sobie nawzajem.

Długo się mocowaliśmy z wiekiem, zanim w końcu dało się tę trumnę otworzyć. Myśleliśmy nawet, że może jest zamknięta na jakiś niewidoczny zatrzask, ale wieko się po prostu zacięło. Sama trumna i wieko miały narożniki okute metalem, które, przeżarte rdzą, szczepiły się mocno. Kiedy je poluzowaliśmy, dziewczyna trochę się zmateriałizowała i nas odepchnęła. Wyglądała naprawdę okropnie — jakby wszystko, czego w życiu chciała, znajdowało się teraz w tej trumnie.

Może tak właśnie było, ale nie od razu się do niej dostała. W środku znaleźliśmy kasetę (tak to chyba trzeba nazwać) z kutej blachy ołowianej. Chłopiec wyjął nożyk i rozpruł nim ołów wzdłuż dłuższej krawędzi i obu boków. Chwyciliśmy za rogi i odgięliśmy blachę.

W środku znaleźliśmy nieco pyłu, włosy, stare kości i trochę biżuterii. Niewiele tego było. Myślałem, że chłopiec zabierze pierścionki i inne drobiazgi, ale nie. Obejrzałem się na dziewczynę, bo byłem ciekaw, co ona na to.

— Umarłam młodo — stwierdziła. — Niedługo po zeskanowa — niu na „Whorla”.

Mówiła do ojca, nie do mnie, i to normalnie, nie jak przedtem ptak.

Ojciec otworzył dłoń. Światło zrobiło się takie jasne, że aż oczy bolały. Ptaki mają taką cienką błoniastą powiekę do

ochrony przed zbyt jasnym słońcem i kiedy spojrzałem na ptaka ojca, zobaczyłem, że ją zamknął.

— Tak przypuszczam, Cilinio — powiedział ojciec.

Po sposobie, w jaki to mówił, można było poznać, że już nigdy nic do niej nie powie. Szkoda, że ja tak nie potrafię; próbowałem zmieniać głos, ale nigdy nie brzmi odpowiednio.

W pełnym świetle ojciec wyglądał znacznie bardziej konkretnie. Nie wiem, jak ja i ptak, bo na nas nie spojrzałem, ale dziewczyna zrobiła się zwiewna jak mgła.

A potem zniknęła, wsiąkła, tak jakby była wodą, a pył w ołowianej kasecie ziemią, na którą ktoś, kogo nie widzieliśmy, wylewał tę wodę. Może światło tak na nią podziałało.

Ojciec zacisnął pięść, a kiedy chłopiec zapytał, czy ma zamknąć trumnę, przytaknął i dodał:

— Nie wiem, co się stanie, jeśli kiedyś znowu ją otworzysz. Może nic, ale i tak nie radzę tego robić.

Chłopiec powiedział, że nie ma takiego zamiaru. Przykręcił wieko, co zajęło mu znacznie mniej czasu niż odkręcenie, i wepchnęliśmy trumnę z powrotem w kąt.

— Zła rzecz — powiedział ptak, kiedy było po wszystkim. — Zła dziewczeczka.

Było widać, że nie jest pewien, czy naprawdę odeszła.

Uznałem, że to zabawne, i powiedziałem o tym ojcu.

— Ja też nie jestem pewien — odparł. — Może się okazać, że kiedy wrócimy na Błękit, opęta Oreba jak dawniej. Ba, wydaje mi się to całkiem prawdopodobne, chociaż wolałbym, aby tak się nie stało.

Wyszliśmy na zewnątrz. Była już na dobre noc (starsi ludzie nazwaliby ją zaciemnieniem), czyli pora, gdy cienie czają się wszędzie. Przy samych drzwiach kamiennej budowli rósł

ogromny krzew różany, z chyba setką czerwonych kwiatów. Kiedy wchodziliśmy do środka, nie zwróciłem uwagi na ich zapach — tak mi się w każdym razie wydaje, ale kiedy wyszliśmy, był oszałamiający, tak jakby noc go wzmacniała, a on snuł się za nami. Może nasze ubrania nim przesiąkły. Był słodki, ale ciężki, taki że w pierwszej chwili się podoba, lecz szybko męczy. Od tamtej pory ilekroć czuję podobny zapach, przypomina mi się ta dziewczyna i pył w ołowianej kasecie. Znalazła się na początku tego paskudnego okresu, przez który przechodzi większość dziewczyn, ale z czasem pewnie by z tego wyrosła i może nawet okazała się całkiem sympatyczna.

Chłopiec powiedział ojcu, że chciałby mu pokazać swojego psa. Mówił, że chciał mu go pokazać już poprzednio, ale wtedy się nie udało, więc może teraz? Ojciec powiedział, że pewnie, czemu nie.

Zacząłem się zastanawiać, co właściwie teraz robimy, zamiast rozmyślać o dziewczynie i o tym, czy naprawdę sobie poszła — to znaczy umarła, bo przecież o to chodziło. Zapytałem, czy pójdziemy do wieży obejrzeć tego psa i czy jeżeli wszystko już załatwiliśmy, nie lepiej po prostu wrócić do domu.

— Wykonaliśmy zadanie, które sobie postawiliśmy — odparł ojciec. — Najtrudniejsza część tej wyprawy ciągle jednak przed nami. Musimy namówić albo zmusić Juganu, żeby wrócił z nami.

Chciałem zapytać, czy myśli, że Juganu nie będzie chciał wracać, ale przecież jasno wynikało to z tego, co wcześniej mówił.

— Ostrzegłeś go, co mu grozi, jeśli nie wróci — przypomniałem.

Ojciec nic nie powiedział. Jeżeli zadało mu się prawdziwe pytanie, prawie zawsze jakoś na nie odpowiadał — chyba dlatego, że był z natury uprzejmy. Ale kiedy powiedziało się coś takiego jak ja przed chwilą, tylko po to, by pokazać, że chciałoby się coś wiedzieć, często nie udzielał odpowiedzi. Poznałem go już na tyle dobrze, żeby o tym wiedzieć, więc starałem się takich zbędnych pytań unikać.

— Chcecie najpierw poszukać swojego przyjaciela, czy zobaczyć Triskele? — spytał chłopiec.

— Jedno i drugie — odparł ojciec.

Potem nic nie mówiliśmy, aż doszliśmy do furtki. Chłopiec zastukał w nią i zawołał:

— Wracamy, bracie furtianie!

Przy furtce pełnił straż kat — potężny grubas z ogromnym mieczem. Spojrzał na nas przez takie malutkie okienko i wtedy do mnie dotarło, że też powinienem mieć czarną szatę i miecz, takie same, jak ojciec pomógł zrobić Juganu.

Zrobiłem je więc pospiesznie, kiedy wartownik mi się przyglądał — i chyba popełniłem błąd. Przede wszystkim miecz był tępy, szata nie była wcale szatą, tylko zawiązanym pod szyją płaszczem, a pod spodem dalej miałem tunikę, którą uszyła mi matka. Brat furtian i tak otworzył nam drzwi, ale cały się trząsał i ojciec został z nim chwilę, by mu wytłumaczyć, że wszystko jest w porządku i nie ma się czego obawiać.

Ja i chłopiec poszliśmy dalej. Ojciec skinął na nas, żebyśmy nie czekali. Chyba dobrze zrobił. Chłopiec pomógł mi z płaszczem, a ja stwierdziłem, że mogę naostrzyć miecz, przeciągając jego krawędź między złożonymi palcami. Próbowałem jeszcze pozbyć się tuniki, ale mi nie szło, więc chłopiec pokazał mi, jak spiąć płaszcz, tak jak to robią

prawdziwi kaci. Wróciliśmy do wieży i poszliśmy dalej, do Juzgado, bo kiedy zapytałem chłopca, czy kobiety również mogą być katami, a on odpowiedział, że nie, wiedziałem, że tam właśnie powinniśmy szukać Juganu. Pomyślałem, że jeśli go znajdę i namówię do powrotu, zaoszczędzimy trochę czasu. Poza tym chłopiec powiedział, że tam właśnie trzyma psa.

Wkrótce usłyszeliśmy głos Juganu. W podziemiach było w ogóle dosyć głośno, cały czas ktoś krzyczał albo wył, ale w pewnym sensie było również cicho, bo nikt nie słuchał i kiedy Juganu mówił — tak zwyczajnie, jak ludzie mówią, kiedy chcą, żeby ktoś ich usłyszał i zrozumiał — jego głos się wyróżniał. Podeszliśmy do drzwi i zajrzeliśmy do środka przez takie samo okienko jak w furtce. W środku był Juganu z jakąś ładną kobietą.

Miała ogromne oczy, które sprawiały wrażenie, jakby często chodziła zapłakana, ale akurat w tej chwili wyglądała tak, jakby nigdy więcej nie miała już płakać, jeśli wiecie, co mam na myśli; jakby życie w tym małym pokoju było cudowne, a ona kochała cały whorl i nic nigdy nie mogło jej odebrać szczęścia. Spojrzała na mnie, kiedy zastukałem mieczem w drzwi, ale potem zaraz wróciła wzrokiem do Juganu, jakby szkoda jej było czasu na oglądanie czegokolwiek innego.

Kiedy poszliśmy na cmentarz, który tu nazywają nekropolią, ojciec i ja po prostu przeniknęliśmy przez mur, ptak i dziewczyna przelecieli górą, a chłopak wspinał się po osuwisku na drugą stronę. Pomyślałem nawet, że chyba lepiej było wrócić tą samą drogą, niż denerwować grubego mężczyznę przy furtce. Postanowiłem sprawdzić, czy dam radę przejść przez drzwi, nie mając przy sobie ojca, który powiedziałaby mi, jak to zrobić. Spróbowałem — i udało mi się.

Ale i tak dziwnie się czułem, będąc w środku. Cały czas myślałem o tym, co by było, gdybym nie dał rady wydostać się w ten sam sposób na zewnątrz. Co będzie, jeśli nigdy już nie wyjdę? Jeśli pozostanę w zamknięciu jak ta kobieta o ogromnych oczach i nigdy nie zobaczę słońca? Po co właściwie byłem tu ojcu potrzebny? Mógł mnie zostawić z Babbie na łodzi. Kiedy powiedziałem o tym pozostałym, roześmialiśmy się, ale wtedy wcale nie wydało mi się to zabawne. Ledwie się powstrzymałem, żeby nie uciec. Ale zostałem. To była jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu.

Juganu zapytał, czego chcę, ale podejrzewam, że i tak wiedział. Powiedziałem mu, że pora wracać. Kobieta uczepiła się go i rozplakała.

— Chcesz powiedzieć, że już wracamy? Teraz, zaraz? Gdzie rajan?

Powiedziałem mu o psie, że pójdziemy go jeszcze obejrzeć, bo chłopiec nas o to poprosił, i ojciec zaraz przyjdzie, a potem od razu wracamy.

Juganu długo nic nie mówił, aż w końcu stwierdził:

— Muszę pomyśleć.

Wtedy usłyszałem dobiegający przez okienko w drzwiach obcy głos. Odwróciłem się i zobaczyłem człowieka, którego nigdy przedtem nie widziałem. Był duży, barczysty, miał wielką, toporną twarz i mocno trzymał chłopaka. Zamierzał go gdzieś zabrać, a sądząc z jego tonu, zanosilo się na chłostę.

— Dobrze, mistrzu — powiedział chłopak. — Przepraszam, mistrzu. Nie chciałem zrobić nic złego.

I wtedy ptak zaczął się drzeć, tak jak to czasem robił:

— Uważa! Uważa!

Ten duży mężczyzna spojrział na niego zaskoczony.

— A co to za dziwadło?

— Należy do mistrza Malrubiusa, mistrzu — wyjaśnił mu chłopiec.

Człowiek, którego nazywał mistrzem, uderzył go na odlew w twarz. Nie wyglądał, jakby się na niego zezłościł czy coś, nie wyszczerzył złośliwie zębów, nic z tych rzeczy. Po prostu uderzył od niechcienia, jakby zabijał muchę. Wtedy ojciec stanął za jego plecami i położył mu rękę na ramieniu, a ten człowiek odwrócił się i szczeka mu opadła. Nic nie powiedział, tylko zaczął się cofać w głąb korytarza. Dalej pewnie zaczął biec, ale w hałasie nic nie było słychać.

Juganu został z kobietą o ogromnych oczach, a my z ojcem i ptakiem poszliśmy zobaczyć psa. Po ciemku brnęliśmy w błocie, ale pod spodem był twardy grunt. Chłopiec tłumaczył nam, że pies jest ranny i dobrze mu się leży w ciemności, bo odpoczywa i wraca do sił. Nie przekonał mnie. Lochy były bardzo wilgotne.

Okazało się, że pies ma trochę starych i podartych koców i mnóstwo szmat, w których wygrzebał sobie coś w rodzaju gniazda. Dobrze, że je dostał, bo jego krótka sierść wcale nie wyglądała na ciepłą. Łeb miał wielki jak u byka, tylko że bez rogów. W pysku mógłby zmieścić moją głowę i zgryźć ją jak czereśnię; wiem to, bo kiedy przyszliśmy, rozdziawił paszczę, jakby chciał powiedzieć, że się cieszy na nasz widok. Chłopiec przyniósł w kieszeni chleb i mięso. Niewiele tego było, ale dał wszystko psu i powiedział, że później przyniesie więcej. Pies wtedy na chwilę wstał i dał mu się pogłaskać po łbie. Był strasznie wysoki w kłębie. Nie miał przedniej łapy. Chłopiec opatrzył mu kikut, ale krew przesączała się przez bandaż. Pies miał zresztą dużo innych obrażeń. Chłopiec zdjął mu bandaż i naradzał się z ojcem. Widać było, że pies boi się ojca, ale

jednocześnie go lubi: położył łeb przy jego nogach, patrzył na niego i lekko drżał. Ojciec powiedział, że chłopiec zna się na opatrywaniu ran lepiej niż większość ludzi. Rozmawiali też o kobiecie, którą ojciec znał, a która straciła rękę. Wtedy nic mi to nie mówiło.

Później chłopiec założył psu świeży opatrunek i wróciliśmy. Juganu nie chciał wyjść od kobiety z pokoju, więc my weszliśmy do niego, żeby porozmawiać.

— Zostanę z Tygrysówką — powiedział. — Uwolnię ją.

— Kiedy ją uwolnisz, każe cię wyegzorcyzmować — ostrzegł go ojciec.

Złapał go za rękę. Juganu rzucił się na niego. Gdyby nie ja, chyba byłby go udusił. Był dziesięć razy silniejszy, niż kiedy ściągnąłem go z masztu na naszej łodzi. Kobieta też się wmieszała i zaczęła się regularna bójka, dopóki chłopiec nie popędził po klucz do pokoju.

Potem wróciliśmy: ojciec, ja, Juganu i ptak. Kiedy obudziliśmy się w domu Papryki, Juganu tylko poprawił sobie twarz i wyszedł. Nie odezwał się ani słowem. Sprawdziliśmy, czy na pewno wyjdzie z domu. Pewnie się bał, że go zabijemy; ja na pewno bym próbował, gdyby nie powstrzymał mnie ojciec.

Potem Skóra, Vadsig i matka przypłynęli z Jaszczurki na ślub, więc nie mam nic więcej do napisania. Przedstawiłem fakty, których byłem jedynym świadkiem. Niech Stokrotka i inni opiszą resztę. A ja będę ich krytykował, tak jak oni mnie.

Ślub

Wijzer prowadził pannę młodą. Miała na sobie zwykłą sukienkę z białego jedwabiu z koronkową woalką, ale jej uroda i perły sprawiły, że po całym manteionie roz — szedł się pomruk podziwu. Białożór przybył w asyście dwudziestu uzbrojonych strażników. Gdyby nie to, wydarzenia z pewnością potoczyłyby się inaczej i dziś nie pisalibyśmy tych słów.

Oczywiście nikt jeszcze o niczym nie wiedział, kiedy Wijzer prowadził ją do ołtarza. Pół miasta słyszało, że rodzina, której jedyną zasługą było dotychczas opublikowanie „Księgi Długiego Słońca” (kroniki opartej w większości na faktach i opisującej wydarzenia, które poprzedziły założenie Nowego Vironu), nagle zaczęła być ogromnie wpływowa w sferze polityki i religii — Zwłaszcza Pokrzywa nie mogła wprost opędzić się od nagabujących ją kobiet, które dawniej nie zniżyłyby się do rozmowy z nią. Mało która jednak odważyła się zapytać, czy mężczyzna towarzyszący Jego Mądrości naprawdę jest jej mężem.

On sam sprawiał wrażenie szczęśliwego jak nigdy przedtem. Na prośbę panny młodej zgodził się powróżyć z drugiej ofiary, konia wodnego. Wszyscy spodziewali się tradycyjnych banałów.

Sekundy składały się w minuty, piętrząc się jak ziarnka piasku. Szepty cichły, a on stał nieruchomo, wpatrzony we

wnętrznosci śnieżnobiałego zwierzęcia, które sam wypruł.

— Mój panie... ? — szepnęła pytająco panna młoda.

Otrząsnął się z zadumy.

— Przepraszam. Dużo tego jest.

Upłynęła kolejna minuta.

— Jego Mądrość w swojej dobroci wyraził na to zgodę — powiedział, kiedy wreszcie zdołał oderwać wzrok od zabitego konia wodnego. — Niewykluczone, że popełnił błąd, bo tak często oceniane są podobne decyzje.

Wszyscy instynktownie wyczuwali, że prowokuje ich, aby mu zaprzeczyli, nikt się jednak nie odezwał.

— Widzę w tym palec boży — ciągnął. — Ponieważ zaś to zwierzę zostało złożone w ofierze Zewnętrznemu, możemy domniemywać, że właśnie on interweniował. Wobec tego skorzystam z okazji i powiem wam, że Zewnętrzny jest bogiem Błękitu. Nie zastanawialiście się nigdy, kto to taki? Mamy tu już przecież innych bogów, na przykład Scyllę ważniejszą od tej, którą znaleźliśmy wcześniej. Powinniście się jej obawiać i ją szanować, ale nie oddawajcie jej czci, bo to się źle skończy.

— Pah! — zawołał któryś z weselników.

— Na razie go tu nie ma, a przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo. Ale na pewno przybędzie. Sprowadzicie go wy albo inni wam podobni, a wraz z nim przybędzie Jedwab, którego kazaliście mi przywieźć. Zawiodłem. — Zawiesił głos i powiódł po tłumie spojrzeniem jedyne go oka. Mało kto potrafił wytrzymać jego wzrok. — Oni przybędą, ale wam nie wolno zapomnieć tego, co wam dziś powiedziałem: należycie do Błękitu i do Zewnętrznego. — Spojrzał na końskie wnętrzości. — Jego Mądrość na pewno powtarzał wam, że jedna połowa ofiary reprezentuje ofiarodawcę i wróżącego augura, druga zaś

— społeczność. Przypominam o tym, ponieważ wiem, że są wśród was ludzie, którzy wyrósłszy z dzieciństwa, rzadko oddawali cześć bogom. Ten piękny biały koń wodny jest darem mojego syna Skóry i mojej przyszłej synowej, Vadsig. Wróżę im małżeństwo długie i w większości szczęśliwe, choć bynajmniej nie idealne.

Odpowiedziały mu chichoty.

— Będą mieli sześcioro dzieci... — Zawahał się, pochylił, przyjrzał czemuś z bliska. — Widzę tu też ogromne ilości papieru.

Śmiechy tu i ówdzie.

— Pióra, atrament, spółka z innym małżeństwem. Ja i Jego Mądrość jesteśmy osobami składającymi ofiarę. Wkrótce się rozstaniemy, w żalu, lecz w przyjaźni. Jednemu z nas bóg będzie szczególnie łaskawy.

— Który bóg, patere? — zapytał znajdujący się w tłumie Bia — łożór.

Wstał znad zwłok i odkaszlnął.

— Kiedy brakuje wyraźnych omenów, najbezpieczniej jest uznać, że wróżba dotyczy boga, któremu składamy ofiarę. Ten drugi augur, o ile właśnie o augura chodzi, również będzie się cieszył łaską...

Oreb wpadł do manteionu przez otwarte okno.

— Uważa! Uważa!

— ... i uda się w daleką podróż, z której nie wróci. Może to oznaczać jego śmierć.

— Złe rzeczy!

Przytknął palec do ust i posłał ptakowi gniewne spojrzenie, ten zaś usiadł mu na ramieniu, powtarzając:

— Złe rzeczy! Leci!

— Wróżba odnosząca się do nas wszystkich chyba wkrótce się sprawdzi. Wnętrznosci ostrzegają nas, że spełnienie proroctwa jest nieuchronne. Widzę, że niektórzy z was mają strzelby. To dobrze, będą wam potrzebne. Inni mogli przynieść bardziej dyskretną broń, tak jak ja. Zastanówcie się, jak najlepiej ją wykorzystać. Tym zaś, którzy przybyli tu bez broni, przypominam, że nikt, komu nie brakuje odwagi i zaradności, nie jest całkowicie bezradny.

— Jedwab dobry? — zakrakał Oreb. — Jedwab walczy?

Odwrócił się do prolokutora.

— Wasza Mądrość, proponuję spalić ofiarę w całości i jak najprędzej doprowadzić uroczystość do końca. Mamy mało czasu.

Jak już wspomniano, kapitan Wijzer poprowadził Vadsig środkiem nawy — on dumny, ze łzami w oczach, w tunice i spodniach ze szkarłatnego aksamitu, ona prześliczna i promienna w jedwabiu kapiącym od pereł. Delikatny zapach wiązanki z białych i różowych kwiatów morskiej pianki łagodził ostrą woń ofiarnego dymu. Magnolia i Wrzos, córki ciotki Pierwiosnek, niosły tren sukni, a wnuk Papryki — czarną jedwabną poduszkę z obrączką.

Wszystko szło zgodnie z planem, żeby nie powiedzieć cudownie, do chwili gdy młodzi złożyli przysięgę, pocałowali się i zaczęli wracać do wyjścia w tłumie życzeń wszelkiej pomyślności i wiwatów gości, wśród których byliśmy także Racica i ja.

— Uwaga! — zakrakał Oreb. I powtórzył z rzadko słyszonym naciskiem: — Uwaga!

Latająca postać o nie do końca ludzkich kształtach przemknęła nad ławkami i zderzyła się ze Skórą z takim impetem, że zwała go z nóg. Z wyszczerzonymi kłami i groźnie

nastawionymi szponami spadła na posadzkę, przecięta w talii na dwoje, i zaległa w kałuży krwi i śluzu.

Ostrze azotha, straszniejsze od wszystkich inhumich, zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, by po chwili znów wystrzelić i przeszyć drugiego inhumiego, który właśnie wleciał przez otwarte okno.

Nie istnieje spójny zapis przebiegu tej słynnej walki. Patere Remora (to fakt powszechnie znany) nożem ofiarnym bronił ołtarza i siebie samego — tak samo jak przed dwustu laty pisano o innym augurze cieszącym się łaską bogów. Powiada się, że w ogólnym zamieszaniu Papryka zadała śmiertelne pchnięcie Białożorowi i została (to pewne) zastrzelona przez jednego z jego strażników. Łasica, wnuk Papryki i Szpika, zabił ponoć inhumia i inhumę, chociaż był jeszcze chłopcem. Kapitan Wijzer zgładził pięciu inhumich, w tym dwóch udusił po kolei jedną ręką.

Podobnymi historiami można by z łatwością zapełnić i sto stronic, tu jednak chcielibyśmy podkreślić fakty, które pomija się w innych relacjach, a mianowicie zgiełk nie do opisanania, potop krwi i niewiarygodny zamęt, jaki zapanował w man — teionie. Wszyscy krzyczeli. Wszyscy walczyli, nawet ci, którzy chętnie by uciekli, gdyby tylko dać im szansę. Liczby napastników nie sposób nawet oszacować. W ataku wzięła ponoć udział połowa wszystkich inhumich przebywających na Błękicie, lecz twierdzenie to opiera się na ich zeznaniach, jaką więc może mieć wartość?

Ludzie obeznani ze sztuką wojenną twierdzą, że natarcie zwykle się załamuje, gdy napastnicy tracą trzecią część swoich sił. Najdokładniejszą liczbę zwłok inhumich podała Strąk, której kazano spalić ciała: sto dziewięćdziesiąt osiem. Jeżeli się nie

myli, to przy założeniu, że walczyli jak doborowy oddział wojska, łącznie musiało ich być około sześciuset — nie można jednak wykluczyć, że byli znacznie liczniejsi. My sami szacujemy ich liczbę na bliską tysiąca.

Jedno jest pewne: bez azotha, igłowca Białozora i strzelb jego gwardzistów zginąłby główny bohater tej książki, a wraz z nim wszyscy goście weselni.

Poszedł potem odwiedzić patere Remorę. Usiedli w ogródku między plebanią a manteionem i rozmawiali.

— Aaa... blisko — powiedział patere Remora. — Trwa, tak? Proces. Jeśli nie za mojego... eee... życia, to mój... hmm... akolita będzie tu miał sprawne święte okno, tak? Rogu.

— Brakuje wam Centralnego Procesora, Wasza Mądrość. Bez niego żaden bóg nie objawi się w oknie.

— Lepiej, hę? Lepiej. W... aaa... Vironie, tak? Trzydzieści lat? W... hmm, hmm... Starym Vironie, jak teraz mówimy.

Uśmiechnął się.

— Wasza Mądrość z pewnością ma rację.

— Tym, czego potrzeba... eee... mężczyznom i większości... hmm... kobiet, nie jest teofania, boskość, lecz... aaa... codzienność. Namacalność. Ha! Możliwość.

— Ale Centralny Procesor też w końcu tu przybędzie. Wasza Mądrość tego nie dożyje, lecz akolita Waszej Mądrości na pewno.

— Przyjmie go... hmm... z wdzięcznością.

Prolokutor pokiwał w zadumie głową i odgarnął siwy kosmyk opadający mu na oczy. Gość spojrział na niego z ukosa.

— A Wasza Mądrość?

— Eee... tak. Naturalnie.

— Byłaby to z mojej strony nadmierna śmiałość, gdybym chciał coś doradzać Waszej Mądrości.

— Mimo to chętnie posłucham twojej rady... hmm... Rogu.

Oreb go poprawił.

— Patere Kwezal kładł mniejszy nacisk na oddawanie czci Pa— howi, ponieważ wiedział, że Pah nie żyje. Wolał, z pewnością mądrze, podkreślać znaczenie Scylli.

Patere Remora otarł czoło starą, pożółkłą, lecz ładnie złożoną chusteczką. Był pierwszy ciepły dzień lata.

— Pamiętam to dobrze.

— Wasza Mądrość mógłby skierować uwagę wiernych na Zewnętrznego.

— Ja... hmm...

— On na pewno...

— Dobry bóg — zauważył Oreb.

— ... nie objawi się w świętym oknie. Myślę, że mogę Waszą Mądrość o tym zapewnić. Nie objawi się ani teraz, ani za czasów akolity Waszej Mądrości, ani później.

Patere Remora pokiwał głową — najpierw powoli, z wahaniem, potem z wyraźnym ożywieniem.

— Eee... rozumiem.

— Centralny Procesor może przenieść się na Błękit, Wasza Mądrość, zanim „Whorl” wyruszy w drogę. Nigdy jednak nie będzie miał tu takiej władzy jak tam, ponieważ nie będzie rządził słońcem. Na razie jednak byłoby lepiej dla Nowego Vironu i dla całego Błękitu, gdyby Wasza Mądrość zachował umiar i dyskrecję.

— Ja... hmm... tak, naturalnie. W innej... eee... sprawie, he? Ale najpierw, pat... eee... Rogu. Czy mogę ci rzec, iż jesteś... aaa... niezwykle... hmm, hmm... przewidujący? Masz rację,

teraz to... aaa... pojmuję. Sam bym... Sam, hę? Po otrzymaniu... eee... wskazówki? Raczej... aaa... sugestii? Od ciebie. Podczas... hmm... ceremonii, tak? Zaślubin twojego... hmm... syna. Sam bym... aaa... wyciągnął wnioski. — Remora parsknął śmiechem.

— Z pewnością, Wasza Mądrość.

— Czy o to chodziło? To był... eee... temat? O którym chciałeś... hę?

— Nie, Wasza Mądrość. — Gość westchnął. — W każdym razie nie tylko.

— Wobec tego... hmm?

— Samobójstwo jest złem.

Czekał na odpowiedź, ale Remora milczał.

— Czy złem jest również narażanie się na niebezpieczeństwo w nadziei, że straci się życie?

— Biedny Jedwab? — zakrakał Oreb i przefrunął z jego ramienia na zwieszającą się nisko gałąź drzewa.

— To ty... hm... Zaaranżowałeś tę... tak? Na ślubie.

— Tak, Wasza Mądrość.

Remora kościstymi palcami odgarnął mokre od potu włosy.

— Za mało... hę? Powiedz mi.

— Wasza Mądrość na pewno pamięta pierwszego inhumiego, który zaatakował Skórę. Nazywał się Juganu, a przynajmniej ja pod takim imieniem go znałem. Zakochał się w ludzkiej kobiecie, morderczynie. Chciał ją uwolnić. Bo ona siedzi w więzieniu, o czym powinienem był wcześniej powiedzieć.

— I ty mu się... aaa... sprzeciwiłeś, tak? Słusznie.

— Sprzeciwiłem się, Wasza Mądrość, ale w taki sposób, żeby jak najbardziej Juganu rozdrażnić. — Jego dłonie prowadziły ustawiczną walkę, wykręcając się i ściskając nawzajem. — Nie przewidziałem... Długo zmagalem się z tym w swoim sumieniu.

Nie przewidziałem, że Juganu zbierze setki swoich rodaków i razem przypuszczą szturm.

Remora chrząknął.

— Myślałem, że przyleci sam i będzie mu chodziło tylko o mnie — ciągnął gość. — Chciałem udać, że śpię, i pozwolić mu pić do syta, czyli całkiem sporo. Gdybym przeżył, cóż, widocznie tak miało być.

Remora pokiwał głową.

— Agdybyś... hmm... ?

— Trudno, widocznie tak zdecydował los. Przewidziałem to. Spodziewałem się, że razem z nim przyleci jeszcze dwóch, może trzech innych. Wtedy na pewno bym umarł.

— Czyli... hmm, hmm... et caetera, patere?

— W rzeczy samej, Wasza Mądrość. Tego właśnie chciałem: żeby ktoś inny mnie zabił, bo wtedy winy nie spadłaby na mnie. Wasza Mądrość wie jednak, jakie były skutki mojego niedorzecznego pomysłu: śmierć dwunastu ludzi i setek inhumich.

— Złe, tak? Okrutne... aaa... potwory, które zasługują... eee... na zagładę, mój synu.

— Tak, Wasza Mądrość. — Wyprostował się, wyprężył pierś. — Z trojgiem z nich udało mi się jednak nawiązać przyjacielskie stosunki. Nie, nawet z czworgiem, bo przez krótki czas przyjaźniłem się także z Juganu. Z dwoma inhumimi płci męskiej i dwoma kobietami, Wasza Mądrość. Zawarłem przymierze ze złem, czego teraz ogromnie żałuję, chociaż ci jego przedstawiciele, których bliżej poznałem, wcale nie byli gorsi od nas. Chciałbym się z tego wypowiedzieć. Mogę?

— Nie. Hmm... nie. — Remora pokręcił głową. — Najpierw, patere, musisz mi powiedzieć, dlaczego chcesz... aaa...

dokonać... wstąpienia, tak?

— Czy to nie oczywiste?! — W jego głosie brzmiała taka złość, że spłoszony Oreb przefrunął na wyższą gałąź. — Zawiodłem! Złożyłem w ofierze własne życie, ale na próżno!

Remora oparł się wygodnie, splatając z palców strzelistą iglicę, której czubkiem podparł sobie podbródek.

— Mój synu... Zasugerowałeś przed chwilą, że... aaa... napastnicy nie byli... eee... gorsi, tak? Moralnie nie stali niżej, hę? Udam, że... hmm... nie słyszałem. Zignoruję, tak?

— Wasza Mądrość...

Remora uciszył go gestem kościstej dłoni.

— Wysłuchaj mnie. Aaa... implikacje, tak? Nie jesteśmy lepsi... hmm... od nich. Nie będę... aaa... zaprzeczał. Być może, hę? Być może.

— Złe rzeczy! — stwierdził niewzruszony Oreb.

— Gorsze niż ptaki — zgodził się z nim jego pan i dodał smutno: — Tak jak i my. Myślałem, że może... Nie, nieważne.

— Być może — powtórzył Remora. — Zgadzam się. Ja... eee... sam...

— To nie był żaden osobisty przytyk, Wasza Mądrość, zapewniam.

— Wierzę. Ale ja, hę? Świadomy, zawsze świadomy... hmm... niedoskonałości. Wielu. Aaa... Białożór, tak? Zły człowiek? Zgodzisz się... eee... mój synu?

Wzruszył ramionami.

— Ludzie często tak o nim mówią teraz, gdy zginął.

— Czy Białożór był... eee... tak samo niegodziwy jak inhumi? Jak ten... aaa... Juganu, z którym się...

— Tak sądzę.

— Ja również. Aaa... Stary Kwezal, tak? Pamiętasz go, patere?

— Naturalnie.

— Znał Lemura, he? Dużo... aaa... dyskutowali. Ja... hmm, hmm... podobnie. Z Białożorem. Rozumiałem go, tak? Przechwałki? Tak, przechwalam się. Rzadko, tak? Ale to prawda. Rozmawialiśmy. Jadaliśmy. Spowiadałem go, he? Zły człowiek. Tu się... eee... zgadzamy. Ale... słuchaj... aaa... uważnie, patere.

— Słucham, Wasza Mądrość.

— Białożór cię... aaa... wysłał, he? Jeden z... hmm... z nas. Z pięciorga. Najgorszy. Być może. Chyba najgorszy z całej... hmm, hmm... grupy. Ale nawet on nie miałby... aaa... pretensji, tak? Do kogoś, kto... eee... odszedł. Tak powiedziałaś. Kto zginął... aaa... próbując. Wiesz, co mam na... hmm, hmm... na myśli, patere? — Remora gwałtownie potrząsnął głową. — Nie taki człowiek, he? Nie taki zły jak ty, patere?

Odpowiedziała mu cisza.

— Czy ty dalej... ?

— Czy chcę to skończyć? — Westchnął. — Tak. Chyba tak. Naprawdę. Pokrzywa będzie miała Racicę, Skórę i Vadsig. Da sobie radę.

— Nie umiera!

Remora się uśmiechnął.

— Kto to jest Pokrzywa, patere?

— Moja żona. Wasza Mądrość z pewnością ją zna.

— Mroczny dzień... aaa... dla mnie nastał, he? Chwaliłem się. A teraz... hmm... się wtrączę. Czy ty? I ona? Mąż. Długo nie wraca, he? Można by się... aaa... spodziewać, tak? Ciepłego przyjęcia. Połączenia.

— Nie, Wasza Mądrość. Ani ja, ani ona tego nie chcieliśmy. Gdybyśmy jednak to zrobili, nie byłoby w tym nic

niestosownego.

— Ja... hmm... wstrzymuję się od osądzania, he? Rozgrzeszam.

— Wasza Mądrość nie może być taki okrutny.

— Nie? Ja osobiście... hmm, hmm... uważam inaczej. Ty nadal, he? Odrzucasz dar. Życia. Spójrz na mnie, tak? Spójrz i powiedz, że nie pragniesz już... aaa... wyzwolenia. Dasz radę?

Spuścił wzrok.

— Nie, Wasza Mądrość. Gdybym wziął ze sobą Świnie... Gdybym jakoś mógł...

— Daruj sobie. Zachowaj dla dzieci, dla szprotów swoje gdybanie, tak?

Nie odpowiedział.

— Uroczystość. Zaślubiny, he? Pamiętasz?

— Tak, Wasza Mądrość.

— Dobrze? Aaa... wyraziście?

— Nadzwyczaj, Wasza Mądrość.

— Ja... hmm, hmm... homilię. Krótszą, tak? Skróciłem... hmm... gdy święty ogień, he? Ale najpierw... eee... czytanie. Uważałeś, tak?

— Taką mam nadzieję, Wasza Mądrość.

— Wszedłem na... hmm... ambonę, tak? Wziąłem do rąk Pismo?

— Tak, pamiętam.

— Aaa... I wtedy? Co było dalej, patere? Przypomnij, proszę.

— Wasza Mądrość znalazł fragment, w którym małżeństwo...

— Nie. Właśnie... aaa... pobłądziłeś. Wcześniej.

— Zaraz... — Palcem zaczął zakreślać kręgi na prawym policzku. — Już sobie przypominam. Wasza Mądrość otworzył Pismo w przypadkowo wybranym miejscu, przeczytał passus i

go odrzucił. Dopiero wtedy wybrał Wasza Mądrość ten o małżeństwie.

— Czy... aaa... zakomunikowałem pierwszy fragment?

— Czy odczytał go Wasza Mądrość na głos? Nie, tylko po cichu, a potem otworzył księgę w innym miejscu.

— Czy masz jakąś... eee... teorię, która by to... aaa... tłumaczyła?

— Tylko tę najbardziej oczywistą, Wasza Mądrość. — Przy tych słowach poczuł dotknięcie lodowatej macki niewytłumaczalnego lęku. — Pierwszy passus nie pasował do ślubu.

Remora potrząsnął głową, odrzucając niesforny kosmyk z oczu.

— Przeciwnie, on... hmm... pasował. Jak to sam... hmm, hmm... powiedziałaś. Był nader... aaa... stosowny. Odpowiedni. Ja... eee... zrezygnowałem. Jednak. Błąd. Aaa... pycha. Wiedziałem lepiej niż bogowie, he? W tym wieku powinienem... aaa... być mądrzejszy. — Wstał. — Nie poczujesz się... aaa... urażony, jeśli na chwilę cię... hmm... opuszczę? Wrócę niebawem. Ciesz się... eee... piękną pogodą, tak, patere?

— Dobrze, Wasza Mądrość. Będę czekał.

— Doskonale. To nie potrwa... aaa... długo.

— Jedwab dobry! — rzucił na pożegnanie Oreb.

Kiedy odprowadzał Remorę wzrokiem, ręce już mu się nie trzęsły. Minęła minuta, potem druga. Z drzewa, na którym przysiadł Oreb, dobiegły trele skalika, który zaraz pofrunął gdzieś dalej, nie przestając śpiewać.

— Biedny Jedwab — stwierdził ze współczuciem Oreb. — Biedny, biedny. Biedny Jedwab.

Wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem po niewielkim ogrodzie: w lewo w stronę morza i portów, w prawo — ku polom i góróm, i znów w lewo.

— Jestem więźniem w celi — powiedział, zwracając się do Ore — ba. — Kiedy ten wysoki mężczyzna w czerni wróci, przyniesie mi wyrok śmierci. Wiem o tym i jestem bezradny. Proszę cię, powiedz Pokrzywie, że ją kochałem. Zrobisz to dla mnie?

— Ptak mówi.

— Dziękuję. — Usiadł, spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach. — Kochałem też Ścięgno. I Racicę, i Skórę, i Kraita. Jahlee i Algę. Nie powinienem, Orebie, gdyż byli niemal równie samolubni jak ja, ale kochałem ich. A we whorlu czerwonego słońca zapytałem Większą Scyllę, gdzie mógłbym znaleźć Algę.

Oreb zagwizdał przenikliwie.

— Nauczyła mnie, jak się porozumieć z jej siostrą tu, na Błękanie. Zgodnie z naszą umową. Ja jednak nie skorzystałem z tej wiedzy. Nie mógłbym, dopóki Pokrzywa żyje.

— Jedwab dobry!

— Ale najbardziej kochałem Jedwabia. Staralem się go naśladować i spójrz tylko, jak spaprałem sprawę. Kiedy miałem okazję naprawdę coś dla niego zrobić, zawiodłem na całej linii.

Remora, który wrócił właśnie do ogrodu z zaczytaną księgą pod pachą, usłyszał ostatnie słowa.

— Osiągnąłeś cel... aaa... Rogu. Tak, Rogu.

— Wcale nie. Wasza Mądrość jest dla mnie zbyt łaskawy.

Remora usiadł na swoim miejscu.

— Zauważyłeś może, że... eee... nazywam cię... hmm... patere, tak?

— Owszem, Wasza Mądrość. Wielu ludzi tak się do mnie zwraca. To przez tę togę. Ja wprawdzie dobrze wiem, że nie jestem augurem, ale zmęczyło mnie już ciągle zaprzeczanie.

— No tak... aaa... rozumiem. — Remora pokazał mu książkę. — Pismo Chrasologiczne, tak? Z twojej... własnej, hę? Z Dzielnicy Słońca. Ocalone z... aaa... pożogi. Przeze mnie, patere. Widzisz? Okładka jest... hmm, hmm... osmalona.

— Rzeczywiście, Wasza Mądrość. — Ostrożnie dotknął odbarwionej skóry, jakby dotykał węża. — To egzemplarz Jedwabia? Z niego czytał w manteionie, kiedy byłem chłopcem?

— Eee... hmm... Nie. Niezupełnie, patere. Ale jesteś... hmm. Blisko, tak? Prawie trafiłeś. Do rzeczy. Pozwolisz?

— Oczywiście, Wasza Mądrość.

— Uważa! — zawołał ze swojej grędy Oreb.

— Z tej księgi czytałem na... eee... zaślubinach, tak? Teraz... hmm... szukałem. Przejrzałem Pismo, aby znaleźć passus, który wtedy... eee... odrzuciłem. Niesłusznie, hę? Pycha. Myślałem, że lepiej będzie, jeśli nie. Hmm, hmm... Błąd. Ale do naprawienia, tak? Teraz go naprawię.

Poczuł znajomy ból w piersi, który czasem go dręczył. Odetchnął głęboko, przed oczami stanęły mu miecze w wieży katów. Ludziom kazano kłaść głowę na pieńku, aby jeden z tych mieczy ją obciął. Często to robili; czasem wymagało to wielkiej odwagi.

— Przeczytasz... eee... patere? Zaznaczyłem.

Ktoś inny, ktoś znajdujący się bardzo, bardzo daleko odparł: — Nie wyobrażam sobie, żeby Pismo zawierało fragment, którego nie powinienem przeczytać albo wysłuchać, Wasza Mądrość.

— To... hmm... tutaj.

Trzymał otwartą księgę na kolanach. Ujął ją w obie ręce i podniósł tak, żeby jego cień nie padał na stronicę.

*Mimo że zdeptany pod butem pasterza,
dziki hiacynt rozkwita na ziemi.*

Zapłakał.

W oddali zabrzmiał głos Remory:

— Róg wcale nas nie zawiódł, patere. Calde. Teraz to widzisz?
Jedwab pokiwał głową.

Postowie

Ta trzytomowa historia została niemal w całości spisana przez jej głównego bohatera, dawnego rajana Gaonu, który ze szczegółami przedstawił swoje (?) poszukiwania słynnego miasta Pajarocu, tragiczne wydarzenia na Zieleni, a także panowanie w Gaonie i podróż do Nowego Vironu. Zostawiliśmy jego relację w takiej postaci, jaką jej nadał, pozwoliwszy sobie tylko poprawić oczywiste omyłki, podzielić całość na rozdziały oraz nadać tytuły zarówno rozdziałom, jak i całym tomom.

Nie zostawił nam opisu krótkich wizyt w Starym Vironie i na biegunie zachodnim, ale dużo o nich opowiadał. W tym tomie odtworzyliśmy je najlepiej, jak umieliśmy, opierając się właśnie na tych rozmowach. Czytelnicy wcześniejszych wersji trzeciego tomu często podawali w wątpliwość fakt całkowicie bezsporny, taki mianowicie, że zarzucił poszukiwania Jedwabia, aby pomóc poznanemu przypadkiem przyjacielowi odzyskać wzrok. Zgodził się udać z Hari Mau do Gaonu, żądając w zamian, aby Hari Mau przewiózł Świnie na biegun. Obaj mogli z łatwością złamać dane obietnice; obaj dotrzyмали słowa. Nam trojgu, którzy znaliśmy go dobrze (czego ta książka jest świadectwem), z łatwością przychodzi uwierzenie w to, że zachował się właśnie w taki sposób. Czytelnicy, którzy znali go słabiej, powinni pamiętać, że nie miał wcale pewności, czy Jedwab nadal przebywa we „Whorlu”. Mógł dojść do wniosku, że Jedwab opuścił Stary Viron, a może nawet całkiem porzucił „Whorl” i udał się na Błękit. Nie wolno również zapominać, że

boski Jedwab opętał Świnie (stało się to prawdopodobnie wówczas, gdy Świnia odwiedził plebanię, w której Jedwab mieszkał z Hiacyntem). A zatem pomagając Świni, pomagał Jedwabowi.

Jesteśmy wdzięczni Jego Mądrości patere Remorze za opis ich ostatniej rozmowy. Jego Mądrość nie mógł zdradzić nam szczegółów spowiedzi bohatera. Zresztą nie chcieliśmy, aby to zrobił.

Po tej rozmowie widziała go jeszcze tylko Stokrotka, która wróciła na łódź ojca po przybornik do szycia i zastała bohatera zajętego zaopatrywaniem „Morskiej Pokrzywy” w towarzystwie uderzająco pięknej jednorękiej kobiety. I tak jak Racica opisał wydarzenia, w których reszta z nas nie brała udziału, tak Stokrotka dołączy na koniec relację z tego spotkania.

Niniejsza „Księga Krótkiego Słońca” (bo taki nadaliśmy jej tytuł) została opublikowana przez nas, dwóch braci i ich żony, mieszkańców wyspy zwanej Jaszczurką i obywateli Nowego Vironu. Oto nasze imiona: Racica, Stokrotka, Skóra i Vadsig. Trwa drugi rok rządów calde Rozety.

Znałam wtedy Racicę (który wkrótce miał zostać moim mężem) wyłącznie jako przyjaciela i towarzysza nauki. Mieszkaliśmy, jak to mówią, w Jaszczurce na Jaszczurce, czyli w wiosce Jaszczurka na wyspie także zwanej Jaszczurką. Mój ojciec i brat są rybakami. Matka i ja zwykle siedziałyśmy w domu, czasem tylko pomagając im patroszyć i wędzić ryby i z rzadka towarzysząc im w rejsach do Nowego Vironu, gdzie je sprzedawali.

Kiedy byłam młodsza, matka zawsze nalegała, żebym nauczyła się czytać, pisać i rachować, a więc posiadała umiejętności, których sama nie mogła mi przekazać. Kiedy

zaprzyjaźniła się z Pokrzywą, posyłała mnie do niej do domu, abym tam uczyła się wraz z jej synami. Płaciliśmy jej za to jedną dużą lub dwie małe ryby tygodniowo. Ta umowa przestała obowiązywać na rok przed rozpoczęciem tej historii.

Tak jak wszyscy mieszkańcy wyspy, my również zostaliśmy zaproszeni na ślub Skóry i Vadsig. Popłynęliśmy do Nowego Vironu. Nasz łódź wymagała kalfatrowania i ojciec postanowił wstawić ją do suchego doku w mieście, gdzie było pod dostatkiem smoły i pakuł. Z tego powodu zostaliśmy w Nowym Viro — nie kilka dni dłużej niż inni goście z Jaszczurki, którzy wkrótce po uroczystości wrócili do domów.

Wracając na łódź z powodu, o którym przed chwilą wspomniano, ze zdumieniem rozpoznałam wysokiego, siwego mężczyznę, którego Racica i jego brat nazywali ojcem. Sam niósł worek ziemniaków, a drepczącemu obok husowi zarzucił na grzbiet dwa worki. W jednym chyba były jabłka, w drugim szynka i inne wędzone mięsiwa.

Rozpoznał mnie — widzieliśmy się kilka dni wcześniej na ślubie — i pogratulował mi przeżycia napaści inhumich. Odparłam (zgodnie z prawdą), że zginęłabym, gdyby Racica nie przyszedł mi w sukurs, i pokazałam obandażowaną szyję. Rozmawialiśmy jak dwoje przyjaciół o uroczystości i o ataku, który ją przerwał, aż stanęliśmy przy jego łodzi i przedstawił mnie Aldze, zajętej rozmieszczaniem zapasów na pokładzie; tej samej, która odegrała tak znaczącą rolę w pierwszym tomie tej historii. Jak na kobietę była całkiem silna, ale nie radziła sobie z niektórymi nieporęcznymi bagażami, pomogłam więc jej i sybilli o stalowej twarzy. Alga — ze śnieżnobiałą skórą, błękitnymi oczyma i jasnymi włosami — była śliczną kobietą, miała jednak w sobie coś ze zwierzęcia. Nie miałam

wątpliwości, że ufa wyłącznie „ojcu”, a każdego innego człowieka wypatroszyłaby równie szybko i beznamiętnie jak rybę.

— Dzisiaj wyruszamy — powiedział do mnie. — Pożegnasz ode mnie Racicę i Skórę? Pokrzywa ma swoje sprawy do załatwienia; nie chciałem jej dorzucać własnych.

Zawahałam się. — Trochę się boję — ciągnął. — W pewnym sensie zabiłem ich ojca, chociaż Zewnętrzny mi świadkiem, że nigdy nie pragnąłem jego krzywdy. Nie chcę się z nimi spotykać, a poza tym mam mnóstwo roboty. Zrobisz to dla mnie?

— Ptak mówi! — zakrakał jego kruk.

— Wiem, że ty im już przekazałeś moje słowa, ale chciałbym, żeby ona również to zrobiła. Dobrze, Stokrotko? Pożegnasz ich w moim imieniu?

Zapytała, dokąd płyną.

— Do Pajarocu — odparła Alga. — Tam znajdziemy sprawny lądownik. A jeśli nie, poczekamy, aż przyleci i albo nam go oddadzą, albo im go zabierzemy.

— I polecimy do Vironu — zdradziła mi stara sybilla.

— Do gwiazd — dodał „ojciec”.

Potem zostawiłam ich samych i poszłam na naszą łódź po przybornik, a pamięcią wróciłam do ślubu. Przypominałam sobie, jaki był piękny, zanim inhumci nas zaatakowali. W ogóle nie myślałam o księżkach, które zostawił na Jaszczurce. Wtedy nic o nich nie wiedziałam, ale od tamtej pory spędziłam nad nimi setki pracowitych godzin.

Słaba, migocząca gwiazda, którą starsi ludzie nazywają „Whorlem”, jest ledwie widoczna. Przed chwilą wyszedłem na nią popatrzeć. Przez teleskop umiem ją jeszcze dostrzec, ale gołym okiem nie daję już rady.

Mam nadzieję, że są tam wszyscy — on, jego niezwykła
kobieta, Pokrzywa, stara sybilla i ten ich ptak. Żeglują po
wielkim morzu w poszukiwaniu nowych, egzotycznych wysp.
Dobrych połowów! Dobrych połowów! Dobrych połowów!
Dobrych połowów! Dobrych połowów!